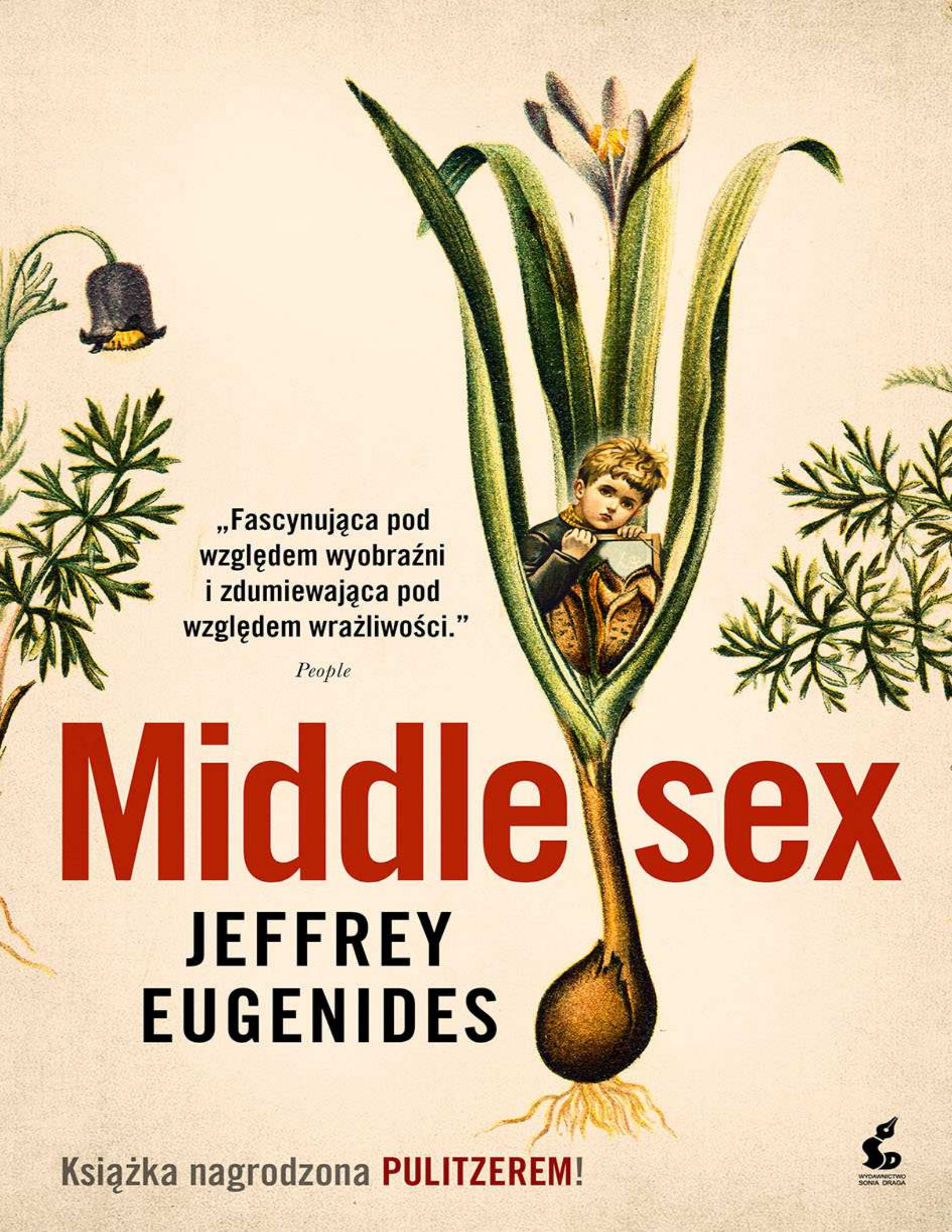

„Fascynująca pod względem wyobraźni i zdumiewająca pod względem wrażliwości.”

People

Middlesex

JEFFREY EUGENIDES

Książka nagrodzona **PULITZEREM**!

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JEFFREY EUGENIDES

Middlesex

Z języka angielskiego przełożył
Witold Kurylak

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
MIDDLESEX

Copyright © 2002 by Jeffrey Eugenides
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski
Korekta: Natalia Karpińska

ISBN: 978-83-7999-531-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Księga Pierwsza

- Srebrna łyżeczka
- Swaty
- Nieskromna propozycja
- Jedwabny szlak

Księga Druga

- Tygiel narodów Henry'ego Forda
- Minotaury
- Małżeństwo w odstawce
- Trikologia
- Serenada na klarnecie
- Wiadomości ze świata
- Ex Ovo Omnia

Księga Trzecia

- Domowa filmoteka
- Opa!

Middlesex

Dieta śródziemnomorska

Rosomaczka

Depilacja w tonie lirycznym

Mroczny Przedmiot

Zakochany Tejrezjasz

Natura ludzka

Strzelba na ścianie

Księga Czwarta

Proroczy srom

Poszukując siebie w leksykonach

Na Zachód, miły bracie

Dezaprobata płci w San Francisco

Hermafrodytos

Powietrzna jazda

Ostatnia przystań

Dla Karen Yamy, która pochodzi z zupełnie innej puli genów

Autor pragnie złożyć podziękowania następującym organizacjom i osobom za ich pomoc i wsparcie: Whiting Younger Writers' Awards, John Simon Guggenheim Foundation, National Endowment for the Arts, Deutscher Akademischer Austauschdienst, American Academy w Berlinie, MacDowell Colony, Yaddo, Helen Papanikolas i Miltonowi Karafilisowi. Podczas pisania powieści „Middlesex" autor korzystał z następujących publikacji: *The Smyrna Affair* Marjorie Housepian Dobkin, *Wrestling with Death: Greek Imigrant Funeral Customs in Utah* Helen Z. Papanikolas, *An Original Man Claude'a* Andrew Clegg'a III, *The Black Muslims in America*, C. Erica Lincolna, *Venuses Penuses: Sexology, Sexosophy, and Exigency Theory* Dr Johna Moneya, *Third Sex, Third Gender: Beyond Sexual Dimorphism in Culture and History* pod redakcją Gilberta Herdta, *Hermaphrodites and the Medical Invention of Sex* Alice Domurat Dreger, *Androgens and the Evolution of Male Tender Identity Among Male Pseudo-hermaphrodites with 5-alpha-reductase Deficiency* autorstwa dr med. Julianne Imperato-McGinley, dr med. Ralph E. Peterson, dr med. Teofilo Gautier i dr med. Erasmo Sturla oraz *Hermaphrodites with Attitude* (czasopismo wydawane przez Intersex Society of North America).

Księga Pierwsza

Srebrna łyżeczka

Urodziłem się dwukrotnie – po raz pierwszy jako dziewczynka, w dzień wyjątkowo pozbawiony smogu, w Detroit, w styczniu 1960 roku i ponownie jako nastolatek na oddziale pomocy doraźnej w okolicach Petoskey w stanie Michigan, w sierpniu 1974 roku. Lepiej zorientowani czytelnicy mogli się już zetknąć z moją osobą jako przypadkiem odnotowanym w opracowaniu doktora Petera Luce'a „Identyfikacja płciowa u pseudohermafrodytów z syndromem braku 5-alfa-reduktazy", opublikowanym w *Journal of Pediatric Endocrinology* w 1975 roku. Może widzieliście też moją fotografię w szesnastym rozdziale wyraźnie już przestarzałego opracowania „Genetyka i dziedziczenie". Na stronie 578 stoję golusieńki obok diagramu wzrostu, a moje oczy zakrywa czarny prostokąt.

Zgodnie z metryką urodzenia nazywam się Calliope Helen Stephanides, ale na moim ostatnim prawie jazdy (wydanym w Niemieckiej Republice Federalnej) figuruje po prostu imię Cal. Jestem byłym bramkarzem drużyny hokeja na trawie, wieloletnim członkiem Fundacji na rzecz Ochrony Manatów, rzadkim gościem na nabożeństwach w greckim kościele prawosławnym i – przez większą część swojego życia – pracownikiem amerykańskiego Departamentu Stanu. Podobnie jak Tejrezjasz, najpierw byłem jedną osobą, a później stałem się kimś innym. Byłem wyśmiewany przez kolegów w klasie, traktowany przez lekarzy jak królik doświadczalny, obmacywany przez specjalistów, stanowiłem też przedmiot badań finansowanych przez fundację March of Dimes. Zakochała się we mnie rudowłosa dziewczyna z Grosse Pointe, która nie zdawała sobie sprawy z tego, kim jestem (podobałem się również jej bratu). Czołg zawiódł mnie raz na pole bitwy miejskiej, w basenie przeobrażałem się w mityczną postać; opuszczałem swoje ciało, aby zająć ciała innych – a wszystko to wydarzyło się, zanim skończyłem szesnaście lat.

Jednak teraz, gdy mam lat czterdzieści jeden, czuję, że nadchodzą nowe narodziny. Po dziesięcioleciach zupełnego braku zainteresowania odkryłem, że zaczynam myśleć o zmarłych stryjecznych i ciotecznych dziadkach i babkach, o dawno utraconych przodkach, nieznanych dalszych krewnych lub – co oczywiste w wypadku tak endogamicznej rodziny jak moja – o tym wszystkim naraz. I zanim będzie za późno, chciałbym to spisać raz na zawsze – tę szaleńczą, karkołomną wędrówkę jednego genu w czasie. Recesywną mutację na moim piątym chromosomie opiewaj, bogini! Opiewaj, jak rozkwitała dwa i pół wieku temu na zboczach Olimpu, gdy kozy meczały, a oliwki spadały z gałęzi. Opiewaj, jak przeszła przez dziewięć pokoleń, dojrzewając niezauważalnie w zanieczyszczonej puli genów rodziny Stephanides. I opiewaj, jak opatrzność w przebraniu masakry wysłała ten gen ponownie w podróż, jak przeleciał niczym cząsteczka pyłku przez morze do Ameryki, gdzie przeniknął zanieczyszczone przez przemysł deszcze, aby w końcu upaść na Środkowym Zachodzie na żyzną glebę łona mojej matki.

Przepraszam, jeśli czasami wpadam w nieco homerycki ton. To również kwestia genów.

Trzy miesiące przed moimi narodzinami, po zakończeniu jednego z naszych wystawnych niedzielnych obiadów, moja babcia Desdemona Stephanides poleciła mojemu bratu, aby przyniósł jej skrzynkę na jedwabniki. Jonasz właśnie kierował się do kuchni po dokładkę puddingu ryżowego, gdy stanęła mu na drodze. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat moja babcia – ze swoim niskim wzrostem i przysadzistą sylwetką i w budzącej grozę siatce na włosy – doskonale nadawała się do blokowania ludzkich ścieżek. Za nią w kuchni zgromadziła się spora grupa goszczących u nas tego dnia kobiet, śmiejących się i szepczących między sobą. Zaintrygowany Jonasz przechylił głowę, chcąc zobaczyć, co się dzieje, ale Desdemona wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w policzek. Gdy ponownie skupił na niej uwagę, narysowała w powietrzu prostokąt i pokazała na sufit. A następnie, zniekształcając wyrazy z powodu źle dopasowanej sztucznej szczęki, powiedziała: – Idź dla *yia yia*, słodziutki *mou*.

Jonasz wiedział, co ma zrobić. Pobiegł przez korytarz do salonu. Na czworakach wdrapał się po głównych schodach na pierwsze piętro i minął

pędem pokoje usytuowane wzdłuż korytarza. Na końcu znajdowały się prawie niewidoczne drzwi, pokryte tapetą niczym brama do tajemnego przejścia. Jonasz znalazł na wysokości swojej głowy klamkę i pociągnął za nią z całej siły, otwierając drzwi. Za nimi znajdowały się kolejne schody. Przez dłuższą chwilę mój brat wpatrywał się w otwierającą się nad nim ciemność, a następnie zaczął się wspinać, tym razem bardzo wolno, na poddasze, gdzie mieszkali moi dziadkowie.

W tenisówkach przeszedł pod zwisającymi z krokwi, zawiniętymi w mokre gazety dwunastoma klatkami dla ptaków. Dzielnie zanurzył się w kwaśny zapach papużek oraz w specyficzny aromat dziadków – mieszaninę naftaliny i haszyszu. Ominął zastawione książkami biurko dziadka i jego zbiór greckich płyt z piosenkami rebetiko. W końcu, obijając się o skórzaną otomanę i potrącając okrągły mosiężny stoliczek, znalazł łóżko mojej babci, a pod nim skrzynkę na jedwabniki.

Była wyrzeźbiona z drewna oliwnego, nieco większa od pudełka na buty i miała cynowe wieczko, w którym znajdowały się otworki wentylacyjne. Widniała też na nim ikona trudnego do rozpoznania świętego – jego twarz była wytarta, ale widać było palce lewej ręki wzniesione w geście błogosławieństwa nad niską, fioletową i zdumiewająco ufną w swoje siły morwą. Jonasz patrzył przez chwilę na ten żywy obraz mistyczno-botaniczny, następnie wyciągnął spod łóżka szkatułkę i otworzył ją. W środku znajdowały się dwie splecione z lin korony weselne oraz, zwinięte jak węże, dwa długie warkocze, każdy przewiązany zmurszałą czarną wstążką. Palcem wskazującym dotknął jednego z warkoczy. W tym momencie zaskrzeczała papuga, a mój brat aż podskoczył, zamknął skrzynkę, wsunął ją pod pachę i zaniósł na dół Desdemonie.

Babcia wciąż czekała na niego w drzwiach. Odebrała szkatułkę z jego rąk i odwróciła się w stronę kuchni. W tym momencie Jonaszowi udało się zaglądnąć do pomieszczenia, w którym wszystkie kobiety ucichły. Rozsunęły się, aby przepuścić Desdemonę, a tam, na środku kuchni, znajdowała się moja matka. Tessie Stephanides siedziała rozparta na kuchennym krześle, przytłoczona napiętą jak bęben kulą swojego ciężarnego brzucha. Na jej zarumienionej i rozpalonej twarzy rysował się wyraz szczęścia i bezradności. Desdemona ustawiła skrzyneczkę na stole i otworzyła wieczko. Sięgnęła pod korony i warkocze, i wyciągnęła spod nich coś, czego Jonasz wcześniej nie zauważył – srebrną łyżeczkę.

Przywiązała nitkę do łyżeczki, podeszła z przodu do mojej matki i przytrzymała wiszącą łyżeczkę nad jej nabrzmiałym brzuchem. A co za tym idzie – także nade mną.

Dotychczas Desdemona mogła się pochwalić doskonałym wynikiem – już dwadzieścia trzy razy udało się jej poprawnie odgadnąć. Wiedziała, że Tessie to będzie Tessie. Przepowiedziała płeć mojego brata i wszystkich dzieci swoich przyjaciółek z kościoła. Nie odgadywała jedynie płci własnych dzieci, uważała, że szperanie w tajemnicach własnego łona przynosi matce pecha. Jednak bez strachu zgłębiała tajemnice łona mojej matki. Po chwili wahania łyżeczka zaczęła kołysać się z północy na południe, co oznaczało, że urodzę się jako chłopiec.

Moja matka, siedząca z rozstawionymi nogami na krześle, spróbowała się uśmiechnąć. Nie chciała urodzić syna. Jednego już miała. W rzeczywistości była tak pewna, że tym razem będzie dziewczynka, że wybrała dla mnie tylko jedno imię – Calliope. Ale kiedy moja babka krzyknęła po grecku: „Chłopiec!", okrzyk ten rozniósł się po pomieszczeniu, przeniósł do korytarza, a przez korytarz do salonu, w którym mężczyźni dyskutowali na tematy polityczne. I moja matka, słysząc słowo „chłopiec" powtarzane tak wiele razy, zaczęła wierzyć, że może to być prawda.

Jednak gdy okrzyk babci dotarł do uszu mojego ojca, ten natychmiast wkroczył do kuchni, aby powiedzieć swojej matce, że przynajmniej tym razem jej łyżeczka się pomyliła.

– A skąd ty taki mądry? – zapytała go Desdemona. Na co udzielił jej odpowiedzi, jaką mogłaby usłyszeć od wielu Amerykanów jego pokolenia:

– To nauka, mamusiu.

Od chwili, gdy tylko zdecydowali się na drugie dziecko – w tym czasie restauracja dobrze prosperowała, a Jonasz dawno już wyrósł z pieluch – Milton i Tessie zgodnie chcieli mieć córeczkę. Jonasz skończył właśnie pięć lat. Niedawno znalazł na podwórku martwego ptaka i przyniósł go do domu, aby pokazać mamie. Bardzo lubił strzelać do różnych rzeczy, tłuc je młotkiem i rozbijać, a także mocować się z ojcem. W domu zdominowanym przez mężczyzn Tessie zaczęła czuć się obco, jak niedopasowany element rodzaju żeńskiego, i już wyobrażała sobie, że za dziesięć lat będzie uwięziona w świecie samochodowych kołpaków

i problemów związanych z przepukliną. Uważała, że dziewczynka może stanowić dobrą przeciwwagę – wspólnie będą cieszyć się pieskami pokojowymi i ktoś będzie popierał jej propozycje wypadów na rewię Ice Capades. Wiosną 1959 roku, gdy pojawił się temat mojego poczęcia, matka nie mogła przewidzieć, że już wkrótce kobiety będą masowo palić swoje biustonosze. Sama nosiła biustonosze ogniotrwałe, usztywnione gąbką. Tessie bardzo kochała swojego syna, wiedziała jednak, że pewnymi sprawami będzie się mogła dzielić tylko z córką.

Jadąc rano do pracy, mój ojciec miewał wizje, w których pojawiała się niezwykle słodziutka ciemnooka dziewczynka. Siedziała na siedzeniu obok – zazwyczaj podczas postoju na światłach – i zasypywała pytaniami jego cierpliwe, wszystkowiedzące ucho.

– Jak to się nazywa, tatusiu?

– To? To jest znak Cadillaca.

– Co to jest znak Cadillaca?

– Dawno temu żył francuski badacz o nazwisku Cadillac, który odkrył Detroit. A ten znak był jego rodowym herbem, jeszcze z Francji.

– Co to jest Francja?

– Francja to kraj w Europie.

– A co to jest Europa?

– To jest kontynent, wielki kawał lądu, dużo, dużo większy od kraju. Ale cadillaki nie przyjeżdżają już z Europy, *kukla*. Pochodzą właśnie stąd, z dobrych starych Stanów Zjednoczonych.

Światła zmieniły się na zielone i ojciec pojechał dalej. Ale mój pierwowzór nie znikał. Dziewczynka była na następnych światłach, i na następnych. Jej towarzystwo było tak miłe, że mój ojciec, człowiek przedsiębiorczy, postanowił sprawdzić, co można zrobić, aby jego wizje się zmaterializowały.

Dlatego też od pewnego czasu w salonie, w którym mężczyźni rozmawiali o polityce, tematem dyskusji była również prędkość przemieszczania się nasienia. Peter Tatakis, zwany przez nas wujkiem Petem, wiódł rej wśród rozmówców zbierających się co tydzień na naszych czarnych dwuosobowych sofach. Odwieczny kawaler, nie miał żadnych krewnych w Ameryce i dlatego przywiązał się do naszej rodziny. Każdej niedzieli przyjeżdżał do nas swoim ciemnobordowym buickiem. Wysoki mężczyzna o fioletowawej twarzy, smutnym wyglądzie i niepasującej do

reszty ciała, pełnej życia głowie otoczonej falującymi włosami. Dzieci w ogóle go nie interesowały. Orędownik serii arcydzieł literatury światowej *Great Books* (którą przeczytał dwukrotnie), wuj Pete zajmował się rozmyślaniami na poważne tematy i włoską operą. Jego namiętnością w dziedzinie historii był Edward Gibbon, a w literaturze dzienniki Madame de Staël. Lubił cytować dowcipną uwagę tej pisarki na temat języka niemieckiego, zgodnie z którą język niemiecki nie nadawał się do prowadzenia konwersacji, ponieważ czasownik występował dopiero na końcu zdania i trudno było przerywać rozmówcy. Wuj Pete chciał zostać lekarzem, ale jego marzenia zostały zniweczone przez „katastrofę". W Stanach Zjednoczonych przez dwa lata uczył się kręgarstwa i obecnie miał w Birmingham niewielki gabinet, w którym stał, spłacany na raty, ludzki szkielet. W owym czasie kręgarze cieszyli się raczej wątpliwą reputacją, a ludzie nie przychodzili do wuja Pete'a, aby uwolnił ich energię kundalini. Nastawiał karki, prostował kręgosłupy i na specjalne zamówienie robił z gumy piankowej wkładki do butów. Trzeba jednak przyznać, że w niedzielne popołudnia był osobą, która w naszej rodzinie miała najwięcej wspólnego z medycyną. W młodości usunięto wujowi pół żołądka i teraz po obiedzie zawsze pił pepsi-colę, co miało mu pomagać w trawieniu posiłku. Nazwa tego napoju, jak nam kiedyś mądrze powiedział, pochodzi od nazwy enzymu trawiennego – pepsyny, dlatego nadawał się on doskonale do tego zadania.

Właśnie podobnej wartości wiedza sprawiła, że mój ojciec uwierzył w to, co wuj Pete miał do powiedzenia na temat harmonogramu procesu rozmnażania. Ułożywszy głowę na rzuconej poduszce i zdjąwszy buty, przy cicho brzmiącej z gramofonu moich rodziców muzyce z opery *Madama Butterfly* wujek Pete opowiadał, jak to pod mikroskopem zaobserwowano, że plemniki niosące męskie chromosomy przemieszczają się szybciej niż te, które zawierają chromosomy żeńskie. Stwierdzenie to wywołało natychmiastowe rozbawienie właścicieli restauracji i kuśnierzy zgromadzonych w naszym salonie. Mój ojciec przyjął jednak pozę swojej ulubionej rzeźby, Myśliciela, której miniaturka stała na stoliku telefonicznym po drugiej stronie pokoju. Chociaż temat ten został wywołany w atmosferze otwartej rozmowy, jaka panowała podczas tych niedzielnych spotkań poobiednich, było jasne, że niezależnie od bezosobowego tonu dyskusji nasienie, o którym mówiono, było nasieniem

mojego ojca. Wuj Pete postawił sprawę jasno – aby urodziła się dziewczynka, para „powinna mieć stosunek seksualny dwadzieścia cztery godziny przed owulacją". W takiej sytuacji szybsze plemniki niosące męskie chromosomy dotrą wcześniej i zginą, natomiast plemniki zawierające chromosomy żeńskie – wolniejsze, ale bardziej rzetelne – dotrą na miejsce we właściwym czasie, gdy jajo zostanie już uwolnione.

Mój ojciec miał sporo kłopotów, aby przekonać żonę do zaakceptowania takiego planu. Tessie Zizmo była dziewicą, gdy w wieku dwudziestu dwu lat wychodziła za mąż za Miltona Stephanidesa. Okres ich narzeczeństwa, który wypadł na czas II wojny światowej, był cnotliwym romansem. Moja matka była dumna ze sposobu, w jaki udało się jej jednocześnie podsycać i gasić żar w moim ojcu, trzymając jego uczucia na małym ogniu w czasie światowego kataklizmu. Nie było to jednak zbyt trudne, ponieważ Tessie mieszkała w Detroit, a Milton przebywał w Annapolis, gdzie studiował w Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Przez ponad rok Tessie zapalała w greckim kościele świeczki za swojego narzeczonego, a w tym czasie Milton wpatrywał się w jej fotografię przypiętą nad koją. Lubił ustawiać Tessie do fotografii w sposób zaobserwowany w magazynach filmowych – bokiem, z jedną nogą podniesioną i opartą na stopniu, odsłaniającą kawałek czarnej pończochy. Moja matka wygląda na tych starych fotografiach nad wyraz ulegle, jakby przepadała za chwilami, gdy jej mężczyzna w mundurze ustawia ją na jakiejś werandzie lub przy latarni, które znajdowały się w ich skromnej dzielnicy.

Tessie nie uległa, dopóki nie poddała się Japonia. Później, od nocy poślubnej począwszy (zgodnie z tym, co mój brat powiedział w moje zakryte rękami uszy), rodzice kochali się regularnie i sprawiało im to dużą uciechę. Na temat płodzenia dzieci moja matka miała jednak własne zdanie. Wierzyła, że embrion może wyczuwać, z jak dużą miłością jest tworzony. Dlatego też niezbyt jej odpowiadały sugestie mojego ojca.

– Milt, czy to są twoim zdaniem igrzyska olimpijskie?

– Tylko teoretyzowaliśmy – odrzekł mój ojciec.

– Co wuj Pete może wiedzieć o dzieciach?

– Przeczytał ten artykuł w *Scientific American* – wyjaśnił Milton, aby zaś wzmocnić swoje stanowisko, dodał: – On prenumeruje to czasopismo.

– Posłuchaj, mój drogi! Jeśli będę miała problemy z kręgosłupem, to pójdę do wuja Pete'a, podobnie gdybym miała płaskostopie, jak ty. Ale to wszystko.

– To zostało sprawdzone. Pod mikroskopem. Plemniki zawierające męskie chromosomy są szybsze.

– Mogę się też założyć, że głupsze.

– Proszę bardzo. Możesz sobie obrażać plemniki z męskimi chromosomami. Nie ma sprawy! Nie są nam one potrzebne. Potrzebujemy natomiast starych, dobrych, powolnych i godnych zaufania plemników, w których znajdują się chromosomy żeńskie.

– Nawet jeśli to prawda, i tak brzmi to śmiesznie. Milt, nie mogę tego robić jak jakaś maszyna.

– Mnie i tak będzie trudniej niż tobie.

– Nie chcę o tym słyszeć!

– Sądziłem, że chcesz mieć córkę.

– Oczywiście, że chcę.

– A zatem – powiedział mój ojciec – właśnie w ten sposób możemy mieć córeczkę.

Tessie wyśmiała ten pomysł. Ale jej sarkazm skrywał poważne opory moralne. Ingerowanie w coś tak tajemniczego i cudownego, jak poczęcie dziecka, stanowiło dla niej akt nieposkromionej pychy. Przede wszystkim zaś Tessie nie wierzyła, że jest to w ogóle możliwe. A jeśli nawet było, nie uważała, że powinni tego spróbować.

Oczywiście, narrator znajdujący się w mojej sytuacji (jeszcze w stanie przedzarodkowym) nie może mieć zupełnej pewności co do opisywanych faktów. Mogę to tylko tłumaczyć naukową manią, jaka opętała mojego ojca wiosną roku 1959, symptomem wiary w postęp, którą zarażeni byli wówczas wszyscy. Pamiętajmy, że tylko dwa lata wcześniej sputnik został wysłany w kosmos. Choroba Heinego-Medina, z powodu której moi rodzice byli w dzieciństwie objęci kwarantanną i nie mogli wychodzić z domu, została pokonana dzięki szczepionce Jonasa Salka. Nie zdawano sobie sprawy, że wirusy są mądrzejsze niż istoty ludzkie i sądzono, że wkrótce pozostanie po nich tylko wspomnienie. W tak optymistycznie nastawionej powojennej Ameryce, której schyłek miałem okazję oglądać

osobiście, każdy był panem własnego losu, a zatem (jak z tego wynika) mój ojciec również powinien starać się być panem swojego.

Kilka dni po rozmowie, w której przedstawił Tessie swój plan, Milton przyniósł wieczorem do domu prezent. Była to szkatułka zawinięta wstążką.

– Co to jest? – zapytała podejrzliwie Tessie.

– Czemu pytasz?

– Nie mam urodzin i nie jest to rocznica naszego ślubu. Dlaczego więc dajesz mi prezent?

– Czy zawsze muszę mieć powód, aby dać ci prezent? Dalej, otwórz go!

Tessie zagryzła wargę, nie do końca przekonana. Ale trudno było trzymać szkatułkę w dłoniach i jej nie otworzyć. W końcu zsunęła wstążkę i otworzyła wieczko.

Wewnątrz, na czarnym aksamicie, leżał termometr.

– Termometr – powiedziała moja matka.

– To nie jest byle jaki termometr – wyjaśnił Milton. – Znalazłem go dopiero w trzeciej aptece.

– Model luksusowy, tak?

– Tak jest – odrzekł Milton. – To jest termometr do mierzenia podstawowej temperatury ciała. Można na nim odczytać temperaturę z dokładnością do jednej dziesiątej stopnia Fahrenheita – podniósł brwi. – Zwykłe termometry zapewniają dokładność tylko do dwóch dziesiątych stopnia, a ten do jednej dziesiątej. Spróbuj, włóż go do ust.

– Nie mam gorączki – sprzeciwiła się Tessie.

– To nie jest termometr do mierzenia gorączki. Możesz go używać do sprawdzenia temperatury podstawowej swojego ciała. Jest dokładniejszy niż zwykły termometr do mierzenia gorączki.

– Następnym razem przynieś mi naszyjnik.

Ale Milton nalegał.

– Temperatura twojego ciała stale się zmienia, Tess. Możesz tego nie zauważać, ale tak jest. Pod względem temperatury ciągle się zmieniasz. Załóżmy, na przykład – przerwał, delikatnie odchrząknąwszy – że akurat masz owulację. Wtedy twoja temperatura rośnie. Zazwyczaj o sześć dziesiątych stopnia. Załóżmy teraz – mówił dalej ojciec, nabierając rozpędu i nie zważając na to, że Tessie zaczyna marszczyć brwi – że postanowilibyśmy wprowadzić w życie system, o którym mówiliśmy parę

dni temu, oczywiście to tylko przykład, więc najpierw mogłabyś określić swoją temperaturę podstawową. Być może nie wynosiłaby ona dziewięćdziesiąt osiem stopni i sześć kresek. U każdego jest nieco inna. Tego też nauczyłem się od wuja Pete'a. W każdym razie, po określeniu temperatury podstawowej mogłabyś zaobserwować, kiedy temperatura podnosi się o sześć kresek. I właśnie wtedy, jeśli postanowilibyśmy robić to w ten sposób, wiedzielibyśmy, że możemy, no, wiesz… przyrządzić odpowiedni koktajl.

Moja matka nic nie odpowiedziała. Włożyła tylko termometr z powrotem do szkatułki, zamknęła ją i zwróciła mężowi.

– Dobrze – stwierdził mój ojciec stanowczo. – W porządku! Rób, jak uważasz. Możemy mieć kolejnego chłopca. Numer dwa. Jeśli chcesz, żeby tak było, to niech tak będzie.

– Nie jestem przekonana, czy teraz będziemy mieli cokolwiek – odparła moja matka.

W tym samym czasie ja czekałem w poczekalni do świata. Mojemu ojcu nawet nie zaświtała wtedy myśl o moim poczęciu (ogarnęły go natomiast ponure myśli, kiedy tak patrzył na trzymaną w rękach szkatułkę z termometrem). Moja mama wstaje z sofy. Kieruje się w stronę schodów, trzymając dłoń przy czole, a wizja mojego pojawienia się na tym świecie zdaje się coraz mniej prawdopodobna. Wstaje również mój ojciec, aby dokonać obchodu domu, wyłączyć światła i zamknąć drzwi. Nadzieja na moje narodziny powraca w chwili, gdy ojciec zaczyna wchodzić po schodach. Termin tego ważnego aktu musi być odpowiednio dobrany, abym mógł stać się tą osobą, którą jestem. Godzinne opóźnienie i już nastąpi zmiana zestawu genów. Moje poczęcie wciąż jeszcze było oddalone o kilka tygodni, ale już teraz moi rodzice zaczęli powoli zmierzać w kierunku mającego nastąpić zderzenia. W korytarzu na piętrze pali się nocna lampka z Akropolu, prezent od Jackie Halas, właścicielki sklepu z pamiątkami. Gdy mój ojciec wchodzi do sypialni, matka siedzi przy toaletce. Dwoma palcami wciera krem Noxzema w skórę twarzy, wycierając ją następnie chusteczką. Wystarczyło, aby mój ojciec powiedział czułe słowo, a ona by mu wybaczyła. Tej nocy mógł zostać stworzony ktoś inny niż ja, chociaż podobny do mnie. Na progu tłoczyła się nieskończona liczba możliwych tożsamości, a wśród nich ja – bez zarezerwowanego

biletu. Godziny powoli mijają, planety na niebie krążą ze zwykłą prędkością, pogoda również ma pewne znaczenie, ponieważ moja mama obawia się piorunów i gdyby tej nocy padało, mogłaby przytulić się mocno do ojca. Ale nie, niebo pozostało czyste przez całą noc, a moi rodzice nadal trwali w swoim uporze. Zgasło światło w sypialni. Pozostali po swoich stronach łóżka. Na koniec głos mojej matki: „Dobranoc", na co ojciec: „Do jutra". Kolejne chwile, które miały prowadzić do powstania mojej osoby, układały się zgodnie z jakimś nieznanym planem. Dlatego też, jak sądzę, tak dużo o nich myślę.

W następną niedzielę matka zabrała Desdemonę i mojego brata do kościoła. Ojciec nigdy z nimi nie chodził, już w wieku ośmiu lat stał się apostatą z powodu niebotycznej ceny świec wotywnych. Podobnie mój dziadek wolał spędzać ranki, pracując nad tłumaczeniem na współczesny język grecki „odtworzonych" poematów Safony. Przez kolejne siedem lat, mimo powtarzających się udarów mózgu, pracował przy małym biurku, składając legendarne fragmenty w większą mozaikę, dodając w jednym miejscu strofę, w innym epilog, przywracając anapest lub jamb. Wieczorami słuchał swojej burdelowej muzyki i palił fajkę wodną.

W 1959 roku grecki kościół Wniebowzięcia znajdował się przy ulicy Charlevoix. W tym właśnie kościele byłem ochrzczony niecały rok później, aby zostać wychowanym zgodnie z nakazami wyznania prawosławnego. Kościół Wniebowzięcia – z jego stale zmieniającymi się zwierzchnikami, z których każdy był przysyłany do nas przez patriarchat w Konstantynopolu, każdy przybywał obdarzony autorytetem wielkim jak jego broda, w wyszywanych szatach liturgicznych znamionujących jego świętość, ale każdy ustępował po pewnym czasie (z reguły po sześciu miesiącach) z powodu sprzeczek wśród parafian, osobistych ataków na sposób, w jaki śpiewał, stałej potrzeby uciszania wiernych, którzy traktowali świątynię jak odkrytą trybunę na stadionie Tiger, wreszcie w związku z męczącą potrzebą wygłaszania cotygodniowego kazania dwukrotnie – najpierw po grecku, a później ponownie po angielsku. Kościół Wniebowzięcia – z panującym w nim ożywieniem w porze częstowania się kawą, z jego słabymi fundamentami i przeciekającym dachem, z wyczerpującymi etnicznymi festiwalami, lekcjami katechizmu,

podczas których przez chwilę podtrzymywano w nas nasze dziedzictwo, aby zaraz potem pozwolić mu umrzeć w wielkiej diasporze.

Tessie wraz z Desdemoną i moim bratem posuwała się wzdłuż nawy głównej, obok wypełnionych piaskiem tac ze świecami wotywnymi. Górowała nad nimi postać Chrystusa Pantokratora, wielka jak balon na paradzie w Święto Dziękczynienia. Jego postać rozpościerała się pod kopułą, dopasowana kształtem do jej krzywizny. W przeciwieństwie do przyziemnego Chrystusa cierpiącego, przedstawianego na ścianach kościołów na wysokości oczu, nasz Chrystus Pantokrator był wyraźnie transcendentalny, wszechmocny, niebiański. Sięgał w dół do znajdujących się nad ołtarzem apostołów, prezentując im cztery zwinięte skóry owcze z Ewangeliami. A moja matka, która przez całe swoje życie starała się uwierzyć w Boga i nigdy się jej to nie udało, patrzyła w górę i szukała u niego przewodnictwa.

Oczy Chrystusa Pantokratora migotały w przyciemnionym świetle. Można było odnieść wrażenie, że ciągnęły Tessie do góry. Przez kłębiące się kadzidło oczy Zbawiciela jarzyły się jak ekran telewizyjny prezentujący przegląd najnowszych wydarzeń…

Najpierw był obraz Desdemony sprzed kilku tygodni, gdy udzielała rad swojej synowej.

– Dlaczego chcesz mieć więcej dzieci, Tessie? – pytała z wystudiowaną obojętnością. Pochylona, aby spojrzeć w piec, i ukryć w ten sposób malujący się na jej twarzy niepokój (niepokój, który pozostał niewytłumaczalny przez kolejne szesnaście lat), Desdemona starała się zniechęcić ją do tego pomysłu: – Więcej dzieci, więcej kłopotów…

Następnie doktor Philobosian, od wielu lat nasz lekarz rodzinny. Ze swoimi wiekowymi dyplomami, stary doktor przedstawił swoje orzeczenie.

– To nonsens. Plemniki niosące męskie chromosomy przemieszczają się szybciej? Posłuchaj, pierwszą osobą, która zobaczyła plemniki pod mikroskopem, był Leeuwenhoek. Wiesz, co one mu przypominały? Robaki…

I ponownie Desdemona, tym razem poruszająca inną kwestię:

– To Bóg decyduje, kim ma być dziecko. Nie ty…

Takie sceny pojawiały się w umyśle mojej matki podczas niekończących się nabożeństw niedzielnych. Wierni wstawali i siadali. W pierwszej ławce wiercili się moi kuzyni: Sokrates, Platon, Arystoteles i Kleopatra. Zza

ikonostasu wyłonił się ojciec Mike i rozkołysał swoją kadzielnicę. Moja matka starała się modlić, ale to nic nie dawało. Ledwo doczekała chwili, gdy mogła pójść napić się kawy.

Już w wieku dwunastu lat moja matka nie mogła inaczej rozpocząć dnia niż wypijając dwie filiżanki nazbyt mocnej, czarnej jak smoła i niesłodzonej kawy – upodobanie to przejęła od kapitanów holowników i kawalerów w garniturach, jakich pełno było w pensjonacie, w którym dorastała. Jako uczennica szkoły średniej, wzrostu metr pięćdziesiąt pięć, siadywała obok mechaników samochodowych w restauracji na rogu, pijąc kawę przed rozpoczęciem lekcji. Oni przeglądali formularze wyścigowe, a Tessie kończyła zadanie z wiedzy o społeczeństwie. Teraz, w podziemiach kościoła, powiedziała Jonaszowi, żeby poszedł pobawić się z innymi dziećmi, a sama chciała dojść do siebie przy filiżance kawy.

Właśnie piła drugą, gdy nad uchem usłyszała ciche westchnienie i delikatny, kobiecy głos:

– Dzień dobry, Tessie – był to jej szwagier, ojciec Michael Antoniou.

– Witaj, ojcze Mike. Bardzo piękne nabożeństwo – odpowiedziała Tessie i natychmiast tego pożałowała. Ojciec Mike był duchownym pomocniczym w kościele Wniebowzięcia. Kiedy ostatni proboszcz powrócił do Aten, odwołany z hukiem po zaledwie trzech miesiącach, cała rodzina miała nadzieję, że ojciec Mike może uzyskać awans. Ale w końcu stanowisko to otrzymał nowy ksiądz z zewnątrz, ojciec Gregorios. Ciotka Zo, która nigdy nie przepuściła okazji, aby ponarzekać na własne małżeństwo, powiedziała przy obiedzie swoim głosem aktorki komediowej: – Tak to już jest z tym moim mężem. Zawsze o krok od sukcesu.

Chwaląc nabożeństwo, Tessie wcale nie zamierzała chwalić ojca Grega. Sytuacja była tym bardziej delikatna, że przed laty Tessie i ojciec Michael Antoniou byli zaręczeni i mieli się pobrać. Obecnie była żoną Miltona, a ojciec Mike – mężem jego siostry. Ledwo Tessie zeszła, aby się otrzeźwić i napić kawy, a już dzień wymykał się jej spod kontroli.

Wyglądało jednak na to, że ojciec Mike nie odczuł kłopotliwości całej sytuacji. Stał, uśmiechając się łagodnymi oczami nad wzburzonym wodospadem swojej brody. Będąc człowiekiem dobrotliwym, ojciec Mike cieszył się dużym powodzeniem wśród odwiedzających kościół wdów. Często tłoczyły się wokół niego, częstując go ciasteczkami i pławiąc się w otaczającej go aurze wieczystej szczęśliwości. Aura ta wynikała po części

z tego, że ojciec Mike sprawiał wrażenie w pełni zadowolonego ze swojej niewielkiej postury. Jego niski, wynoszący tylko metr sześćdziesiąt trzy, wzrost mógł świadczyć o ogromnej dobroczynności, jakby – zamiast samolubnie rosnąć – rozdał przypadającą na niego wysokość. Wydawało się też, że wybaczył Tessie zerwanie przed laty ich zaręczyn, ale zawsze coś wisiało w powietrzu, jak talk, który czasami wzbijał się z jego koloratki.

Z uśmiechem, delikatnie trzymając filiżankę i spodeczek, ojciec Mike zapytał:

– Co słychać w domu, Tessie?

Moja matka wiedziała oczywiście, że jako cotygodniowy niedzielny gość w naszym domu ojciec Mike był doskonale poinformowany o pomyśle z termometrem. Odniosła przy tym wrażenie, że w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

– Przyjdziesz dziś do nas – powiedziała obojętnie – to sam zobaczysz.

– Nie mogę się doczekać – odparł ojciec Mike. – W waszym domu zawsze prowadzimy bardzo interesujące rozmowy.

Tessie jeszcze raz przyjrzała się oczom ojca Mike'a, ale sprawiały wrażenie pełnych autentycznego ciepła. I w tym momencie wydarzyło się coś, co zupełnie odwróciło jej uwagę od rozmówcy.

Po drugiej stronie pomieszczenia Jonasz stał na krześle i starał się dosięgnąć kurka w termosie do kawy. Chciał nalać kawę do filiżanki, ale gdy już udało mu się odkręcić kurek, nie potrafił go zakręcić. Wrząca kawa wylewała się na stolik. Gorący płyn ochlapał stojącą nieopodal dziewczynkę. Dziecko odskoczyło. Otworzyło usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Moja matka przebiegła przez pokój i błyskawicznie porwała małą do toalety.

Nikt nie pamiętał, jak nazywała się ta dziewczynka. Nie należała do rodziny żadnego ze stałych parafian. Nawet nie była Greczynką. Pojawiła się w kościele tylko tego dnia i nigdy więcej jej tu nie widziano, wyglądało to tak, jakby jedynym celem jej istnienia było wywarcie wpływu na zmianę zdania mojej matki. W łazience odsuwała od siebie parującą koszulę, podczas gdy Tessie przyniosła wilgotne ręczniki.

– Wszystko w porządku, kochanie? Nie poparzyłaś się?

– Ten chłopiec jest bardzo niezdarny – powiedziała dziewczynka.

– Chyba masz rację. Ciągle pakuje się w tarapaty.

– Chłopcy bywają bardzo niesubordynowani.

Tessie rozbawiło to stwierdzenie:

– Dysponujesz bogatym słownictwem.

Po usłyszeniu komplementu dziewczynka uśmiechnęła się szeroko:

– „Niesubordynowany" to moje ulubione słowo. Mój brat jest bardzo niesubordynowany. W zeszłym miesiącu moim ulubionym słowem było „napuszony". Ale nie można tego słowa używać tak często. Jeśli dobrze się zastanowić, to niewiele rzeczy może być napuszonych.

– Masz rację – przytaknęła Tessie, śmiejąc się. – Ale niesubordynowani są wszędzie.

– W pełni się z panią zgadzam – odparła dziewczynka.

Dwa tygodnie później. Niedziela wielkanocna 1959 roku. Przywiązanie naszej religii do kalendarza juliańskiego jeszcze raz spowodowało, że nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka z naszymi sąsiadami. Dwa tygodnie wcześniej mój brat patrzył, jak dzieci z sąsiedztwa szukały różnokolorowych jajek w pobliskich krzakach. Widział, jak jego koledzy zjadają głowy czekoladowym króliczkom i wrzucają do przepastnych ust pełne garście żelków w kształcie fasolek (gdy tak stał w oknie, mój brat najbardziej na świecie chciał wierzyć w amerykańskiego Boga, który zmartwychwstał odpowiedniego dnia). Dopiero wczoraj Jonasz mógł pomalować jajka i tylko na jeden kolor – czerwony. Dzisiaj w całym domu czerwone jajka lśnią w coraz dłuższych promieniach wiosennego przesilenia. Czerwone jajka wypełniają misy na stole w jadalni. Wiszą w woreczkach zawieszonych nad drzwiami. Stoją rzędami na kominku i są zapiekane w mających kształt krzyża bochenkach chleba *tsoureki*.

Ale mamy już późne popołudnie, jest po obiedzie. I mój brat się uśmiecha, ponieważ nadchodzi ta jedyna część greckiej Wielkanocy, którą woli od szukania jajek i jedzenia żelków – zabawa w rozbijanie jajek. Wszyscy gromadzą się przy stole w jadalni. Zagryzając wargę, Jonasz wybiera jajko z misy, ogląda je, a następnie odkłada na miejsce. Wybiera inne.

– To chyba będzie dobre – mówi Milton, wybierając swoje. – Zbudowane jak wóz pancerny.

Milton podnosi jajko. Jonasz przygotowuje się do ataku. Nagle moja matka szturcha ojca w plecy.

– Chwileczkę, Tessie. Właśnie rozbijamy jajka.

Kolejne szturchnięcie, tym razem silniejsze.

– Co?

– Moja temperatura – chwila przerwy – wzrosła o sześć kresek.

Używała termometru. Mój ojciec dowiaduje się o tym po raz pierwszy.

– Teraz? – szepcze mój ojciec. – Jezu, Tessie, czy jesteś pewna?

– Nie, nie jestem pewna. Powiedziałeś, żebym zwracała uwagę na każdy wzrost temperatury, więc ci mówię, że mam temperaturę wyższą o sześć kresek. I – dodaje, zniżając głos – oprócz tego minęło już trzynaście dni od wiesz czego.

– No, już, tato – prosi Jonasz.

– Przerwa – mówi Milton. Wkłada swoje jajko do popielniczki. – To jest moje jajko. Niech nikt go nie dotyka, dopóki nie wrócę.

Na górze, w głównej sypialni, moi rodzice dokonują tego ważnego aktu. Naturalne dziecięce poczucie przyzwoitości powoduje, że powstrzymam się od bardziej szczegółowego opisu tej sceny. Tylko jedno – po skończeniu mój ojciec, jakby dolewał paliwo pod sam korek, mówi: „Powinno wystarczyć". Okazuje się, że ma rację. W maju Tessie dowiaduje się, że jest w ciąży, i rozpoczyna się oczekiwanie.

Po sześciu tygodniach mam już oczy i uszy. Po siedmiu mam nozdrza i nawet wargi. Zaczynają się formować moje genitalia. Na pewnym etapie rozwoju płodowego hormony, zgodnie ze wskazówkami chromosomów, hamują rozwój struktur Müllera, a pobudzają kanały Wolffa. Moje dwadzieścia trzy sparowane chromosomy połączyły się i skrzyżowały, puszczając w ruch koło ruletki. W tym samym czasie mój papou kładzie rękę na brzuchu mojej matki i mówi: „Para szczęściarzy!" Ustawione w odpowiednie regimenty, moje geny wypełniają wydane rozkazy. Wszystkie za wyjątkiem dwóch – pary szubrawców (lub rewolucjonistów, w zależności od punktu widzenia) kryjących się na chromosomie piątym. Wspólnie wysysają enzym, który zaprzestaje produkcji określonego hormonu, komplikując w ten sposób moje życie.

W salonie mężczyźni przestali rozmawiać o polityce i zamiast tego zakładają się, czy nowe dziecko Milta będzie dziewczynką czy chłopcem. Mój ojciec jest pewny swego. Dwadzieścia cztery godziny po stosunku temperatura ciała mojej matki wzrosła o kolejne dwie kreski, co potwierdziło owulację. Do tego czasu plemniki zawierające męskie

chromosomy już się poddały, wyczerpane. Plemniki z żeńskimi chromosomami wygrały wyścig, podobnie jak żółw w biegu z zającem (to właśnie wtedy Tessie wręczyła Miltonowi termometr i powiedziała, że już nigdy więcej nie chce widzieć tego instrumentu).

Wszystkie te wydarzenia poprzedziły dzień, w którym Desdemona wymachiwała sztućcem nad brzuchem mojej matki. W tym czasie nie istniała jeszcze ultrasonografia i musiała wystarczyć łyżeczka. Desdemona kucnęła. W kuchni zrobiło się cicho. Stojące wokół kobiety zagryzły wargi, patrząc i czekając. Przez pierwszą minutę łyżeczka w ogóle się nie poruszyła. Ręka Desdemony zaczęła drżeć i upłynęły długie sekundy, zanim ciotka Lina ją uspokoiła. Łyżeczka zawirowała, ja kopnąłem, moja matka krzyknęła. I wtedy, powoli, jakby poruszana niewyczuwalnym wiatrem, w ten nieziemski, spirytystyczny sposób srebrna łyżeczka zaczęła się kołysać, najpierw zataczając małe koła, ale z każdym obrotem podążając po bardziej eliptycznym torze, aż jej droga spłaszczyła się do linii prostej, wskazującej kierunek od pieca do krzeseł pod ścianą. Innymi słowy – z północy na południe.

Desdemona krzyknęła:

– *Koros*!

I pokój wybuchł okrzykami:

– *Koros, koros!*

Tej nocy mój ojciec powiedział:

– Nie pomyliła się już dwadzieścia trzy razy pod rząd, to znaczy, że w końcu musi zrobić błąd. Tym razem się myli, zaufaj mi.

– Mnie nie będzie przeszkadzać, jeśli to będzie chłopiec – powiedziała moja matka. – Naprawdę. Najważniejsze, żeby było zdrowe, miało dziesięć palców u rąk i dziesięć u nóg.

– Co za „ono”? Przecież mówisz o mojej córce.

Moje narodziny wypadły tydzień po Nowym Roku, 8 stycznia 1960 roku. W poczekalni, zaopatrzony tylko w cygara z różową wstążką, mój ojciec wykrzyknął: „Bingo!”. Urodziła się dziewczynka. Czterdzieści osiem centymetrów długości i trzy kilogramy dwadzieścia dekagramów wagi.

Tego samego dnia, 8 stycznia, mój dziadek miał pierwszy ze swoich trzynastu udarów mózgu. Obudzony przez moich rodziców pędzących do szpitala, wstał z łóżka i zszedł na dół, aby zrobić sobie kawę. Godzinę

później Desdemona znalazła go leżącego w kuchni na podłodze. Jego władze umysłowe pozostały nienaruszone, jednak tego ranka, gdy ja wydałem swój pierwszy krzyk w szpitalu położniczym, mój *papou* stracił zdolność mówienia. Według Desdemony mój dziadek zasłabł zaraz po tym, jak odwrócił filiżankę, aby przepowiedzieć swoją przyszłość z fusów.

Usłyszawszy informację o mojej płci, wuj Pete nie chciał przyjmować żadnych gratulacji. Nie było w tym żadnych czarów.

– Poza tym – żartował – to Milt odwalił całą robotę.

Desdemona zrobiła się ponura. Jej urodzony w Ameryce syn miał rację i ta świeża porażka spowodowała, że stary kraj, w którym nadal starała się żyć mimo jego oddalenia o cztery tysiące mil i trzydzieści osiem lat, oddalał się jeszcze bardziej. Moje przybycie na świat oznaczało koniec przepowiadania narodzin dzieci i początek powolnego upadku jej męża. Chociaż skrzyneczka na jedwabniki miała się jeszcze pojawiać od czasu do czasu, wśród znajdujących się w niej skarbów nie było już srebrnej łyżeczki.

Wyciągnięto mnie, dostałem klapsa i zostałem opłukany – w tej właśnie kolejności. Owinięto mnie w kocyk i pokazano światu razem z sześcioma innymi niemowlakami (czterema chłopczykami i dwiema dziewczynkami), a każdy z nich, w przeciwieństwie do mnie, został odpowiednio oznaczony. Wiem, że to niemożliwe, ale coś pamiętam – iskry powoli wypełniające ciemny ekran.

Ktoś włączył moje oczy.

Swaty

Kiedy historia ta ujrzy światło dzienne, mogę zostać najsłynniejszym hermafrodytą w historii. Byli już inni przede mną. Alexina Barbin uczęszczała na pensję dla dziewcząt we Francji, zanim stała się Ablem. Pozostawiła autobiografię odnalezioną przez Michela Foucaulta w archiwach francuskiego Departamentu Higieny Publicznej (jej pamiętniki, kończące się na krótko przed samobójczą śmiercią autorki, nie prezentują zagadnienia w sposób zadowalający – to właśnie po ich przeczytaniu wiele lat temu po raz pierwszy pomyślałem o napisaniu własnych). Gottlieb Göttlich, urodzony w 1798 roku, żył jako Marie Rosie do momentu, gdy osiągnął wiek trzydziestu trzech lat. Pewnego dnia bóle brzucha spowodowały, że Marie poszła do lekarza. Doktor zbadał ją, podejrzewając przepuklinę, a zamiast tego znalazł niezstąpione jądra. Od tego czasu Marie przywdziała męskie ubranie, przyjęła imię Gottlieb i zbiła fortunę, jeżdżąc po Europie i wystawiając się na pokaz przed lekarzami.

Skoro już wspomniałem o lekarzach, muszę powiedzieć, że jestem lepszy nawet od Gottlieba. Jeśli przyjąć, że na chemię mózgu i histologię ma wpływ poziom hormonów w czasie rozwoju płodowego, to umysł mam męski. Ale zostałem wychowany jako dziewczynka. Gdybyśmy mieli wymyślić doświadczenie określające względny wpływ natury i wychowania, moje życie mogłoby być tu idealnym przykładem. Podczas mojego pobytu w klinice, prawie trzydzieści lat temu, doktor Luce poddał mnie całej serii testów. Przeszedłem test pamięci wzrokowej Bentona i testy rysunkowe Bendera. Zmierzono mój werbalny iloraz inteligencji, a także wiele innych rzeczy. Luce poddał analizie nawet mój charakter pisma, aby sprawdzić, czy pisałem w sposób męski – linearny, czy też kobiecy – zaokrąglony.

Jedno wiem na pewno – mimo mojego poddanego działaniom endrogenów umysłu, w opowiadanej przeze mnie historii jest pewien

wrodzony element żeńskiej kolistości. Jak w każdej historii genetycznej. Stanowię ostatnie wypowiedzenie składowe w zdaniu złożonym, a zdanie to zaczyna się w odległej przeszłości, w zupełnie innym języku, i należy je przeczytać od samego początku, aby dotrzeć do końca, którym jest moje pojawienie się na świecie.

I teraz, już po moim urodzeniu, cofnę film. Mój różowy kocyk odlatuje, moje łóżeczko przesuwa się po podłodze, moja pępowina ponownie się przytwierdza, a ja krzyczę, wciągany między nogi mojej matki. Znowu staje się bardzo gruba. I dalej do tyłu, gdy łyżeczka przestaje się kołysać, a termometr powraca do swojej aksamitnej szkatułki. Sputnik wraca po swoim torze na wyrzutnię, a choroba Heinego-Medina szerzy się na świecie. Krótka migawka, prezentująca najpierw mojego ojca jako dwudziestotrzyletniego klarnecistę grającego numer Artie Shawa do słuchawki telefonicznej, a później jako ośmiolatka w kościele, zgorszonego ceną świec. Teraz mój dziadek w 1933 roku, odklejający z kasy swój pierwszy „szczęśliwy" amerykański banknot jednodolarowy. Następnie opuszczamy Amerykę, jesteśmy na środku oceanu, puszczana do tyłu ścieżka dźwiękowa brzmi zabawnie. Pojawia się parowiec, a na pokładzie śmiesznie kołysze się szalupa ratunkowa, ale już statek cumuje, najpierw rufą, i znowu jesteśmy na stałym lądzie. Film dalej odwija się ze szpuli, cofając się do samego początku…

Późnym latem 1922 roku moja babcia, Desdemona Stephanides, nie przepowiadała narodzin, ale śmierć, przede wszystkim własną. Stała właśnie w chatce, w której hodowała jedwabniki, wysoko na zboczu Olimpu w Azji Mniejszej, gdy jej serce bez ostrzeżenia przestało bić. Wrażenie bardzo wyraźne – poczuła, jak jej serce staje i zwija się w kulkę. Następnie, kiedy zesztywniała, ponownie zaczęło pospiesznie uderzać, tłukąc się o żebra. Wydała krótki okrzyk zdumienia. Jej dwadzieścia tysięcy wrażliwych na uczucia ludzi jedwabników nagle przestało snuć swoje kokony. Mrużąc oczy w ciemnym świetle, moja babcia spojrzała w dół i zobaczyła wyraźnie trzepoczący przód jej tuniki. To właśnie wówczas zdała sobie sprawę, że w jej ciele może się zrodzić niezależny od niej bunt. Desdemona stała się tym, czym pozostała na resztę swojego życia – chorą osobą uwięzioną w zdrowym ciele. Ponieważ jednak nie ufała we własną wytrzymałość, mimo że jej serce już się uspokajało, wyszła na zewnątrz,

aby po raz ostatni spojrzeć na świat, którego miała nie opuścić przez następne pięćdziesiąt osiem lat.

Rozciągający się przed nią widok był naprawdę wspaniały. Trzysta metrów niżej leżała stara stolica osmańska – Bursa, wyglądająca jak rozłożona na zielonym dywanie doliny plansza do gry w tryktraka. Czerwone romby dachówek stykały się z rombami bielonych ścian. Porozrzucane w okolicy groby sułtanów były podobne do jasnych żetonów. W 1922 roku ruch samochodowy nie blokował jeszcze ulic, a wyciągi narciarskie nie przecinały sosnowych borów na zboczu góry. Miasto nie było otoczone zakładami metalurgicznymi i tekstylnymi, które wypełniły powietrze smogiem. Bursa wyglądała (przynajmniej z wysokości trzystu metrów) prawie tak, jak przez minione sześć stuleci – święte miasto, osmańska nekropolia i centrum handlu jedwabiem, a jej spokojne, biegnące w dół ulice kwitły minaretami i cyprysami. Dachówki Zielonego Meczetu zmieniły z czasem kolor na niebieski, ale była to właściwie jedyna różnica. Jednak Desdemona Stephanides, kibicując z daleka, patrzyła z góry na planszę i widziała to, czego nie zauważali gracze.

Gdybyśmy poddali psychoanalizie powody palpitacji serca mojej babki, okazałoby się, że były one objawem głębokiego żalu. Jej rodzice nie żyli – zginęli w czasie ostatniej wojny z Turkami. Grecka armia, zachęcona przez aliantów, dokonała inwazji na zachodnią Turcję w 1919 roku, odbierając starożytne terytorium Grecji w Azji Mniejszej. Po latach życia w odosobnieniu na zboczu góry ludzie z Bithynios, wioski mojej babki, wkroczyli w bezpieczny świat Wielkiej Idei – *Megale Idea*, snu o Wielkiej Grecji. Obecnie Bursę okupowały greckie wojska. Nad dawnym pałacem osmańskim powiewała grecka flaga. Turcy wraz ze swoim przywódcą Kemalem Mustafą wycofali się na wschód, do Angory. Pierwszy raz w swoim życiu Grecy z Azji Mniejszej wyrwali się spod panowania tureckiego. Już nie obowiązywały rozporządzenia zabraniające giaurom (niewiernym psom) noszenia jaskrawych ubrań, jazdy konnej czy używania siodła. Tureccy urzędnicy nigdy już nie mieli, jak to czynili przez ostatnie wieki, przybywać co roku do wioski i siłą zabierać najsilniejszych chłopców, aby służyli w oddziałach janczarów. Mężczyźni z wioski, niosąc jedwab na rynek w Bursie, byli obecnie wolnymi Grekami w wolnym greckim mieście.

Jednak opłakująca rodziców Desdemona wciąż była więźniem przeszłości. I gdy tak stała na górze, patrząc w dół na wyzwolone miasto, czuła się oszukana przez swoją niezdolność odczuwania szczęścia wraz z innymi. Wiele lat później, już jako wdowa – gdy całą dekadę spędziła w łóżku, bardzo żywo starając się umrzeć – przyznała w końcu, że te dwa lata między wojnami pół wieku wcześniej były jedynym przyzwoitym okresem w jej życiu. Ale wtedy wszyscy, których wówczas znała, już nie żyli i mogła to powiedzieć tylko do telewizora.

Przez blisko godzinę Desdemona starała się ignorować swoje złe przeczucia, dalej pracując wśród jedwabników. Przyszła tu z domu, wychodząc tylnymi drzwiami przez słodko pachnącą altankę zarośniętą pędami winogron i przez tarasowo ukształtowane podwórze, zmierzając do niskiej, krytej strzechą chatki. Panujący wewnątrz drażniący zapach larw nie przeszkadzał jej. Hodowla jedwabników była osobistą, choć śmierdzącą oazą mojej babki. Wszędzie wokół niej, jak na jakimś firmamencie, miękkie i białe gąsienice tkwiły uczepione zebranych w wiązki gałązek morwy. Desdemona patrzyła, jak snują kokony, ruszając główkami jakby w rytm muzyki. Kiedy tak spoglądała, zapominała o istniejącym na zewnątrz świecie, o jego zmianach i niepokojach, jego okropnej nowej muzyce (która za chwilę ma się pojawić). Słyszała natomiast swoją matkę, Euphrosyne Stephanides, która wiele lat temu w tej właśnie wylęgarni objaśniała jej tajemnice jedwabników. „Aby uzyskać dobry jedwab, musisz być czysta" – mówiła córce. I dodawała: „Jedwabniki wiedzą wszystko. Zawsze można poznać człowieka po tym, jak wyglądają jego jedwabniki". Oprócz udzielania ogólnych rad Euphrosyne podawała również konkretne przykłady: „Taka Maria Poulos, która zadziera spódnicę przed każdym. Widziałaś jej kokony? Plama po każdym mężczyźnie. Przyjrzyj się następnym razem".

Jedenastoletnia czy dwunastoletnia Desdemona dawała wiarę każdemu słowu i teraz, jako młoda, dwudziestojednoletnia kobieta, nadal jeszcze trochę wierzyła w moralizatorskie powiastki swojej matki i bacznie przyglądała się konstelacji kokonów, szukając na nich oznak swojej nieczystości (te jej sny!). Szukała również innych znaków, ponieważ jej matka utrzymywała, że jedwabniki reagowały na zdarzenia historyczne. Po każdej masakrze, choćby wydarzyła się w wiosce oddalonej o pięćdziesiąt mil, włókna gąsienic zmieniały barwę na kolor krwi. „Widziałam je,

krwawiące jak stopy samego Christosa" – to znowu słowa Euphrosyne, a pamiętająca o nich Desdemona wiele lat później mruży oczy w słabym świetle, aby zobaczyć, czy kokony zmieniają barwę na czerwoną. Wyciągnęła tacę i potrząsnęła nią, wyciągnęła następną i właśnie wtedy poczuła, że jej serce przestaje bić, zwija się w kulkę, a po chwili zaczyna uderzać ją od środka. Upuściła tacę, zobaczyła, jak jej tunika trzepocze od jakiejś siły wewnętrznej, i zrozumiała, że jej serce funkcjonuje zgodnie z jemu tylko znaną instrukcją, że ona sama nie panuje ani nad nim, ani tak naprawdę nad niczym innym.

I tak moja *yia yia*, cierpiąca na pierwszą ze swoich urojonych chorób, stała, patrząc w dół, na Bursę, jakby w oczekiwaniu na pojawienie się widocznego potwierdzenia swoich niewidzialnych obaw. I wówczas nadeszło potwierdzenie w postaci dźwięków dochodzących z wnętrza domu – to zaczął śpiewać jej brat, Eleutherios (Lefty) Stephanides. Śpiewał po angielsku, źle wymawiając i tak niewiele znaczące słowa:

– *Ev'ry morning, ev'ry evening, ain't we got fun* – nucił Lefty. Stał przed lustrem w sypialni, jak miał to w zwyczaju robić codziennie mniej więcej o tej porze, i przypinał nowy celuloidowy kołnierzyk do nowej białej koszuli, wyciskał (pachnącą cytryną) brylantynę na dłoń i wcierał ją w swoje świeżo ostrzyżone na Rudolfa Valentino włosy. I ciągnął:

– *In the meantime, in-between time, ain't we got fun*.

On również nie rozumiał tekstu, wystarczała mu sama melodia. Ta muzyka kojarzyła się Lefty'emu z frywolnością ery jazzu, koktajlami na ginie, dziewczynami roznoszącymi papierosy na tacach, to ona powodowała, że energicznie pomadował włosy… Natomiast stojąca na podwórzu i słysząca ten śpiew Desdemona reagowała zupełnie inaczej. Piosenka przywodziła jej na myśl tylko cieszące się złą sławą knajpy w mieście, w których upijał się jej brat, te haszyszowe speluny, gdzie grali rebetiko i muzykę amerykańską, i gdzie śpiewały rozwiązłe kobiety… A w tym czasie Lefty wkładał swój nowy prążkowany garnitur, składał czerwoną chusteczkę dopasowaną do czerwonego krawata… I zrobiło jej się dziwnie, czuła to zwłaszcza w brzuchu, w którym przewalało się od skomplikowanych emocji, smutku, złości i jeszcze czegoś innego, czego nie potrafiła nazwać, a co bolało najbardziej.

– *The rent's unpaid, we haven't a car* – Lefty zawodził słodkim tenorem, jaki miałem później odziedziczyć, a wśród tej muzyki Desdemona znów

usłyszała głos swojej matki, ostatnie słowa Euphrosyne Stephanides wypowiedziane na chwilę przed śmiercią od rany postrzałowej: „Zajmij się Leftym. Obiecaj. Znajdź mu żonę!" – i Desdemona odpowiadająca przez łzy: „Obiecuję. Obiecuję!"... Te wszystkie głosy pojawiające się jednocześnie w głowie Desdemony idącej przez podwórze do domu. Przeszła przez małą kuchnię, w której gotował się obiad (dla jednej osoby), i wkroczyła prosto do dzielonej z bratem sypialni. Wciąż śpiewał:

– *Not much money, oh! but honey* – zakładał spinki do mankietów, robił przedziałek, ale w tym momencie podniósł wzrok i zobaczył swoją siostrę: – *Ain't we got...* – i pianissimo: – *...fun*. – I ucichł.

Przez chwilę widać było w lustrze twarze obojga. W wieku dwudziestu jeden lat, na długo przed założeniem źle dopasowanej sztucznej szczęki i przybraniem narzuconego samej sobie inwalidztwa, moja babka bez wątpienia była piękną osobą. Czarne włosy nosiła zaplecione w długie warkocze upięte pod chustką. Jednak nie były to warkocze delikatne jak u małej dziewczynki, ale ciężkie i kobiece, obdarzone naturalną mocą, przypominające ogon bobra. Te warkocze nosiły w sobie historię kolejnych lat, pór roku i zmiennej pogody, a kiedy je rozpuszczała w nocy, opadały jej do pasa. W tej chwili były dodatkowo przewiązane czarnymi jedwabnymi wstążkami, przez co stały się jeszcze bardziej imponujące, jeśli tylko można je było zobaczyć, a to udawało się niewielu. Zazwyczaj oglądać można było tylko twarz Desdemony – jej duże smutne oczy i jej bladą, jak oświetloną świecami cerę. Muszę również wspomnieć z nutką zazdrości trapiącej dziewczynkę płaską jak deska, jaką kiedyś byłem, o zmysłowej figurze Desdemony. Jej ciało było dla niej powodem ciągłego zakłopotania. Dawało znać o sobie w zupełnie nieprzewidywalny sposób. W kościele, gdy klękała, na podwórzu, gdy trzepała dywany, pod brzoskwinią, gdy zrywała owoce – kobiecość Desdemony wymykała się więzom jej burych, ograniczających ją ubrań. Kiedy więc całe jej ciało podrygiwało, jej zawinięta w chustkę twarz sprawiała wrażenie odizolowanej i zgorszonej tym, co wyczyniały jej piersi i biodra.

Eleutherios był wyższy i szczuplejszy. Na fotografiach z tego okresu przypominał podziwiane przez niego postaci z półświatka – złodziei i hazardzistów z cienkimi wąsikami, przesiadujących w nadmorskich knajpach Aten i Konstantynopola. Jego jastrzębi nos, takież oczy i rysy powodowały, że cała twarz przypominała wyglądem tego ptaka. Gdy się

jednak uśmiechnął, z jego oczu biła łagodność i od razu było widać, że Lefty w rzeczywistości nie był gangsterem, ale rozpieszczonym, wiecznie pogrążonym w książkach synem dostatnio żyjących rodziców.

Tego letniego popołudnia w 1922 roku Desdemona nie patrzyła na twarz brata. Spojrzała natomiast na marynarkę, błyszczące włosy, prążkowane spodnie i próbowała zrozumieć, co się z nim stało przez tych kilka ostatnich miesięcy.

Lefty był rok młodszy od Desdemony i nieraz się zastanawiała, jak mogła te dwanaście miesięcy przeżyć bez niego. Odkąd tylko sięgała pamięcią, zawsze był po drugiej stronie koca z koziego futra, który rozdzielał ich łóżka. Zza tego *kelimi* wystawiał teatrzyk kukiełkowy, wykręcając swoje dłonie w postać bystrego garbatego Karaghiozis, który zawsze przechytrzał Turków. W ciemności układał wiersze lub śpiewał piosenki i jednym z powodów, dla których nienawidziła nowej amerykańskiej muzyki, było to, że śpiewał ją wyłącznie dla siebie. Desdemona zawsze kochała swojego brata, tak jak potrafi kochać brata tylko dorastająca na zboczu góry siostra – był jej całą rozrywką, jej najlepszym przyjacielem i powiernikiem, wspólnie odkrywali drogi na skróty i utajone cele mnichów. Od samego początku bardzo dobrze rozumieli się z Leftym i czasami zapominała nawet, że byli odrębnymi osobami. Jako dzieci tarzali się po tarasowo ukształtowanym zboczu góry jak czworonożne i dwugłowe stworzenie. Do tego stopnia przyzwyczaiła się do cienia syjamskiego rodzeństwa, jaki rzucali wieczorem na bielone ściany domu, że gdy tylko widziała swoją samotną sylwetkę, wydawało jej się, że jest przecięta na pół.

Wszystko się zmieniło, gdy nastały czasy pokoju. Lefty zaczął korzystać z nowej wolności. W ostatnich miesiącach schodził do Bursy łącznie siedemnaście razy. Trzy razy zatrzymał się na noc w Cocoon Inn, naprzeciw meczetu sułtana Ouhana. Pewnego ranka wyszedł z domu ubrany w wysokie buty, kolanówki, bryczesy, *doulamas* i kamizelkę, a następnego dnia wieczorem wrócił w garniturze w prążki, z jedwabnym szalem wsuniętym za kołnierzyk, jak jakiś śpiewak operowy, i w czarnym meloniku na głowie. Można było zauważyć również inne zmiany. Zaczął się uczyć języka francuskiego z małego, fioletowego podręcznika do rozmówek. Nabrał też pretensjonalnych gestów, na przykład wkładania rąk do kieszeni i dzwonienia bilonem lub uchylania kapelusza. Gdy Desdemona robiła pranie, w kieszeniach Lefty'ego znalazła pokryte

symbolami matematycznymi karteczki. Jego ubranie pachniało piżmem, dymem, czasami wydzielało również słodkawy zapach.

Nawet to, że odbicia ich twarzy były w lustrze połączone, nie było w stanie ukryć faktu, że coraz bardziej się od siebie oddalali. I gdy moja wiecznie przygnębiona babka, w której sercu rozpętała się teraz burza, spojrzała na swojego brata, powrócił do niej obraz jej samotnego cienia i poczuła jakąś wewnętrzną pustkę.

– I dokąd to idziesz tak wystrojony?

– A jak sądzisz? Do Koza Han. Sprzedać kokony.

– Byłeś tam wczoraj.

– Teraz jest sezon.

Szylkretowym grzebieniem Lefty zrobił przedziałek po prawej stronie, nakładając brylantynę na niesforny kosmyk, który nie chciał się ułożyć.

Desdemona podeszła do brata. Wzięła do ręki brylantynę i powąchała ją. Zapach był inny niż ten na jego ubraniu.

– Co tam jeszcze robisz?

– Nic.

– Czasami zostajesz na całą noc.

– To kawał drogi. Zanim tam dojdę, jest już późno.

– Co ty palisz w tych knajpach?

– To, co jest w fajce. Niegrzecznie tak wypytywać.

– Gdyby tylko matka i ojciec wiedzieli, że tyle palisz i pijesz… – zamilkła.

– Ale nie wiedzą, prawda? – powiedział Lefty. – Więc nic mi nie grozi.

Jego niefrasobliwy ton nie brzmiał przekonująco. Lefty zachowywał się tak, jakby już otrząsnął się po śmierci rodziców, ale Desdemona umiała go przejrzeć. Uśmiechnęła się smutno do brata i, nie mówiąc nic, wyciągnęła rękę zaciśniętą w pięść. Odruchowo, wciąż jeszcze przeglądając się w lustrze, Lefty również zacisnął dłoń w pięść. Policzyli:

– Raz, dwa, trzy… Teraz!

– Nożyczki łamią się na kamieniu, ja wygrałam – rzekła Desdemona. – Zatem powiedz mi.

– Co mam ci powiedzieć?

– Powiedz, co jest tak interesującego w Bursie.

Lefty ponownie zaczesał włosy do przodu i zrobił przedziałek po lewej stronie. Kręcił głową przed lustrem w lewo i w prawo.

– Jak jest lepiej? Po lewej czy po prawej?

– Niech się przyjrzę – Desdemona delikatnie podniosła rękę do włosów Lefty'ego… i zmierzwiła je.

– Hej!

– Czego szukasz w Bursie?

– Daj mi spokój.

– Powiedz!

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – spytał Lefty zirytowany zachowaniem siostry. – Jak myślisz, czego ja mogę szukać? – mówił z tłumioną siłą. – Szukam kobiety.

Desdemona chwyciła się za brzuch, przyłożyła drugą rękę do serca. Zrobiła dwa kroki do tyłu i z tego miejsca jeszcze raz spojrzała na brata. Pomysł, że Lefty, który miał te same oczy i brwi co ona, który spał w łóżku obok niej, mógłby odczuwać tego rodzaju pożądanie, nigdy jeszcze nie przyszedł Desdemonie do głowy. Ciało Desdemony, aczkolwiek dojrzałe pod względem fizycznym, wciąż było czymś obcym dla jego właścicielki. W nocy w ich sypialni widziała, jak jej brat przyciska się do materaca plecionego ze sznurków, jakby wyładowywał na nim swoją złość. Gdy byli dziećmi, spotkała go w wylęgarni jedwabników ocierającego się niewinnie o drewniany palik. Ale to wszystko nie robiło na niej żadnego wrażenia.

– Co robisz? – spytała Lefty'ego, wówczas ośmio- lub dziewięcioletniego, trzymającego mocno palik i ruszającego kolanami w górę i w dół. Spokojnym, zdecydowanym głosem odpowiedział:

– Chcę to poczuć.

– Co poczuć?

– No, wiesz – stękając, dysząc, ruszając miarowo kolanami, odpowiadał – to uczucie.

Ale ona nie wiedziała. Miało upłynąć jeszcze kilka lat, zanim Desdemona, siekając ogórki, oprze się o róg stołu kuchennego i nie zdając sobie z tego sprawy, po chwili oprze się nieco mocniej, a później będzie przyjmować tę pozycję codziennie, z rogiem stołu wciśniętym między swoimi nogami. Teraz, przygotowując posiłki bratu, czasami powracała do swojej starej znajomości ze stołem, ale czyniła to nieświadomie. Odpowiedzialne za to było jej ciało, potajemnie działające z typową dla wszystkich ciał przebiegłością.

Inaczej było w wypadku wypraw jej brata do miasta. Najwidoczniej wiedział, czego szukał, w pełni porozumiewał się ze swoim ciałem. Jego

umysł i ciało stanowiły jedną istotę, rządzoną jedną myślą, ogarniętą jedną namiętnością, a Desdemona pierwszy raz w życiu nie była w stanie odczytać tej myśli. Wiedziała tylko, że nie miała z nią żadnego związku.

Doprowadzało ją to do szału. Podejrzewam również, że czuła pewną zazdrość. Czyż nie była jego najlepszą przyjaciółką? Czyż nie mówili sobie zawsze o wszystkim? Czyż nie robiła dla niego wszystkiego – gotowała, szyła i zajmowała się domem jak ich matka? Czyż to nie ona samodzielnie zajmowała się hodowlą jedwabników, dzięki czemu on, jej bystry mały braciszek, mógł się uczyć u księdza klasycznej greki? Czyż to nie ona powiedziała: „Ty zajmuj się książkami, a ja zajmę się hodowlą jedwabników. Wystarczy tylko, że będziesz sprzedawał kokony na rynku". A kiedy zaczął zostawać dłużej w mieście, czy narzekała? Czy wspominała o znalezionych karteczkach albo o jego czerwonych oczach, czy też o piżmowo-słodkim zapachu jego ubrań? Desdemona podejrzewała, że jej marzycielski braciszek zaczął palić haszysz. Tam, gdzie była muzyka rebetiko, zawsze był haszysz. Lefty radził sobie ze stratą rodziców w jedyny sposób, jaki znał, znikając w chmurze dymu haszyszowego, jednocześnie słuchając niewątpliwie najsmutniejszej muzyki na świecie. Desdemona wszystko to rozumiała i dlatego też nic nie mówiła. Ale widziała, że jej brat próbuje teraz uciec przed żalem w sposób, jakiego się nie spodziewała, i już nie chciała siedzieć cicho.

– Chcesz kobiety? – zapytała z niedowierzaniem w głosie. – Jakiej kobiety? Turczynki?

Lefty nic nie powiedział. Po swoim wybuchu ponownie zajął się czesaniem włosów.

– A może potrzebujesz jakiejś panienki z haremu. Mam rację? Myślisz, że nic nie wiem o tych rozwiązłych dziewczynach, tych *poutanes*? Wiem dobrze, nie jestem taka głupia. Podoba ci się, jak grube dziewczyny trzęsą przed tobą brzuchami? Z brylantem w samym środku tłustego brzucha? Chcesz jedną z nich? Powiem ci coś. Wiesz, dlaczego te tureckie dziewczyny skrywają twarz? Myślisz, że to z powodu religii? Nie. To dlatego, że w przeciwnym razie nikt nie zniósłby ich widoku! – teraz już krzyczała. – Wstydziłbyś się, Eleutheriosie! Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie znajdziesz sobie dziewczyny w naszej wiosce?

W tym momencie Lefty, który właśnie otrzepywał marynarkę, zwrócił siostrze uwagę na przeoczony przez nią fakt.

– Może tego nie zauważyłaś – rzekł – ale w naszej wiosce nie ma żadnych dziewczyn.

I rzeczywiście nie bardzo odbiegało to od prawdy. Bithynios nigdy nie było dużą wioską, ale w 1922 roku było mniejsze niż kiedykolwiek. Ludzie zaczęli wyjeżdżać w 1913 roku, gdy plaga filoksery zniszczyła porzeczki. Exodus trwał podczas wojen bałkańskich. Kuzynka Lefty'ego i Desdemony, Sourmelina, wyjechała do Ameryki i mieszkała w miejscu zwanym Detroit. Zbudowane na łagodnym zboczu góry Bithynios odbiegało charakterem od wiosek niebezpiecznie położonych na skałach. Stanowiło eleganckie czy też przynajmniej harmonijne skupisko otynkowanych na żółto domów z czerwonymi dachami. Najwspanialsze domy, a były takie dwa, miały *çikma* – wykuszowe okna wiszące nad ulicą. Najbiedniejsze, a tych było wiele, stanowiły zazwyczaj jednoizbowe pomieszczenia z kuchnią. Były też takie jak Desdemony i Lefty'ego, z zapchanym meblami salonem, dwiema sypialniami, kuchnią i wygódką w podwórzu, z europejską toaletą. W Bithynios nie było żadnych sklepów ani poczty czy banku, tylko kościół i tawerna. Na zakupy trzeba się było wybierać do Bursy, najpierw pieszo, a później jadąc konnym tramwajem.

W 1922 roku w wiosce żyło zaledwie sto osób. Mniej niż połowę stanowiły kobiety. Z czterdziestu siedmiu kobiet dwadzieścia jeden było starych, a dwadzieścia było mężatkami w średnim wieku. Trzy były młodymi matkami, każda z córeczką w pieluchach. Jedna była jego siostrą. Pozostawały dwie dziewczyny na wydaniu i Desdemona pospiesznie wysunęła ich kandydatury.

– Co to ma znaczyć, że nie ma żadnych dziewcząt? A Lucille Kafkalis? To bardzo miła dziewczyna. Albo Victoria Pappas?

– Lucille cuchnie – trzeźwo odpowiedział Lefty. – Kąpie się może raz do roku. Na imieniny. A Victoria? – przesunął palcem nad górną wargą. – Victoria ma większe wąsy niż ja. Nie chcę, żeby moja żona używała mojej brzytwy – mówiąc to, odłożył szczotkę do ubrań i włożył marynarkę.

– Nie czekaj na mnie – rzekł i wyszedł z pokoju.

– Idź! – zawołała za nim Desdemona. – Nic mnie to nie obchodzi! Tylko pamiętaj: kiedy twoja turecka żona zdejmie swoją maskę, nie wracaj biegiem do wioski!

Ale Lefty już poszedł. Jego kroki ucichły w oddali. Desdemona znowu poczuła, jak w jej krwi podnosi się poziom tajemniczej trucizny. Nie

zwróciła na to uwagi.

– Nie lubię jeść w samotności! – krzyknęła w otaczającą ją pustkę.

Wiatr z doliny wzmógł się, jak każdego popołudnia. Wiał przez otwarte okna domu. Zadzwonił zasuwką jej skrzyni na wyprawę i leżącym na niej starym sznurem koralików, które jej ojciec przesuwał palcami, gdy musiał się uspokoić. Desdemona wzięła do ręki ten sznur. Zaczęła po kolei przesuwać koraliki w palcach, tak jak robił to jej ojciec, a także jej dziadek i pradziadek, dokonując w ten sposób przekazywanego z pokolenia na pokolenie ustalonego rytuału dokładnego i gruntownego zamartwiania się. W miarę jak koraliki stukały jeden o drugi, Desdemona poddawała się ich działaniu. Jakie były zamiary Boga? Dlaczego zabrał jej rodziców i zostawił ją, aby martwiła się o swojego brata? Co miała z nim zrobić? „Palenie, picie, a teraz jeszcze gorzej! I skąd on bierze pieniądze na te wszystkie głupoty? Z moich kokonów, to jasne!" Każdy przechodzący przez jej palce koralik odpowiadał kolejnej przykrości, o jakiej sobie przypominała i którą starała się puścić w niepamięć. Desdemona, ze swoimi smutnymi oczami i twarzą dziewczynki zmuszonej przedwcześnie dorosnąć, siedziała ze zmartwieniami nad sznurem koralików, podobnie jak wszyscy mężczyźni w rodzinie Stephanides przed nią i po niej (aż do mnie, jeśli mogę się tu liczyć).

Podeszła do okna i wysunęła głowę na zewnątrz, usłyszała szelest wiatru w sosnach i białych brzozach. Nadal odliczała koraliki, które powoli zaczynały spełniać swoje zadanie. Poczuła się lepiej. Postanowiła zająć się swoim życiem. Lefty nie wróci dziś w nocy. Jakie to ma znaczenie? Poza tym, komu on jest potrzebny? Byłoby jej łatwiej, gdyby nigdy nie wrócił. Ale była to winna swojej matce, musi przypilnować, żeby nie zachorował na jakąś wstydliwą chorobę albo, co gorsza, nie uciekł z jakąś Turczynką. Koraliki nadal opadały, jeden po drugim, przez ręce Desdemony. Ale ona już nie liczyła swoich uraz. Koraliki przywoływały jej na myśl obrazy z magazynu mody ukrytego w starym biurku ich ojca. Jeden koralik był fryzurą. Drugi był jedwabną halką. Następny był czarnym biustonoszem. Moja babcia zaczęła myśleć o swatach.

W tym czasie Lefty schodził zboczem góry, niosąc worek kokonów. Gdy dotarł do miasta, poszedł w dół Kapali Carsi Caddesi, skręcił przy Borsa Sokak i wkrótce przeszedł pod łukiem na dziedziniec Koza Han. W środku,

wokół niebieskawozielonej fontanny, stały setki sztywnych, wysokich do pasa worków, które pieniły się kokonami jedwabników. Wszędzie pełno było sprzedających lub kupujących mężczyzn. Krzyczeli od dziesiątej rano, kiedy to rozlegał się dzwon oznajmiający otwarcie, i teraz ich głosy były już ochrypłe.

– Dobra cena! Dobra jakość! – Lefty przeciskał się przez wąskie ścieżki między workami, mocno trzymając własny towar. Nigdy nie interesował go sposób, w jaki jego rodzina zdobywała środki do życia. Nie potrafił ocenić kokonów jedwabników przez ich dotykanie czy wąchanie, tak jak robiła to jego siostra. Przynosił je na targ tylko dlatego, że kobietom wstęp był tu wzbroniony. Denerwowało go przepychanie się, wpadanie na tragarzy i omijanie stojących wszędzie worków. Wyobrażał sobie, jak by to było przyjemnie, gdyby tak wszyscy na chwilę się zatrzymali, gdyby mogli stać nieruchomo i podziwiać świetlistość kokonów w wieczornym świetle, ale oczywiście było to niemożliwe. Ciągle wrzeszczeli i rzucali sobie nawzajem kokony w twarz, kłamiąc i targując się. Ojciec Lefty'ego uwielbiał porę targu w Koza Han, ale ta żyłka do handlu nie przeszła na jego syna.

Obok zadaszonego portyku Lefty zauważył znanego mu kupca. Pokazał mu zawartość swojego worka. Kupiec sięgnął głęboko do środka i wyciągnął kokon. Zanurzył go w misce z wodą i obejrzał. Następnie zanurzył go w miseczce z winem.

– Będę musiał z nich zrobić organdynę. Są zbyt słabe.

Lefty nie wierzył w słowa tego człowieka. Jedwab Desdemony był zawsze najwyższej jakości. Wiedział, że powinien zacząć krzyczeć, obrazić się i udawać, że zabiera swój towar gdzie indziej. Ale był już spóźniony, za chwilę miał odezwać się dźwięk dzwonu oznajmujący zamknięcie targu. Ojciec zawsze mu mówił, żeby nie przynosił kokonów pod koniec dnia, ponieważ wtedy trzeba sprzedawać za niższą cenę. Lefty poczuł, jak pod nowym ubraniem przebiega go dreszcz. Chciał mieć tę transakcję z głowy. Czuł się bardzo zażenowany – wstydził się za ludzi, za ich żądzę pieniędzy, za ich umiłowanie oszustwa. Bez słowa protestu zaakceptował podaną mu cenę. Gdy tylko transakcja została zawarta, pospiesznie opuścił Koza Han, aby zająć się prawdziwym celem swojej wizyty w mieście.

To nie było to, o czym myślała Desdemona. Przyjrzyjmy się dokładniej: Lefty w zawadiacko przekrzywionym meloniku kroczy schodzącymi w dół

ulicami Bursy. Nie wchodzi jednak do mijanych kawiarenek. Właściciele witają go, ale Lefty tylko macha do nich ręką. W następnej ulicy mija okno z zamkniętymi okiennicami, zza których słychać nawoływania kobiet, ale nie zwraca na to uwagi, podążając dalej wijącymi się uliczkami, idąc obok sprzedawców owoców i mijając restauracje, aż dociera do jeszcze innej ulicy, i tam wchodzi do kościoła. Mówiąc dokładniej – do dawnego meczetu, którego minaret zburzono, a widniejące na ścianach inskrypcje z Koranu pokryto świeżym tynkiem, i gdzie nawet teraz trwa malowanie chrześcijańskich świętych. Lefty daje monetę starszej kobiecie sprzedającej świece, zapala jedną świecę i ustawia ją pionowo w piasku. Zajmuje miejsce w tylnej ławce. W taki sam sposób będzie się modlić moja matka o pomoc przy moim poczęciu. Lefty Stephanides (między innymi mój cioteczny dziadek) patrzy w górę na niedokończonego Chrystusa Pantokratora na sklepieniu. Jego modlitwa zaczyna się od słów, których nauczył się jako dziecko:

– *Kyrie eleison, Kyrie eleison*. Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie – ale wkrótce zmienia się, stając się bardzo osobista. – Nie wiem, dlaczego w ten sposób czuję, wiem, że nie jest to naturalne – i następnie, przyjmując bardziej oskarżycielski ton, Lefty modli się – ty mnie takim stworzyłeś, nie prosiłem, abym myślał w taki sposób, jak… – jednak w końcu nabiera pokory. – Dodaj mi sił, Christos, nie pozwól, abym był taki. Gdyby tylko ona wiedziała… – Oczy mocno zamknięte, dłonie wykrzywiają rondo melonika, słowa unoszą się wraz z kadzidłem w górę, do niedokończonego Chrystusa na sklepieniu.

Modlił się przez pięć minut. Potem wyszedł, ponownie założył kapelusz na głowę i zadzwonił bilonem w kieszeni. Ruszył z powrotem w górę ulicy i tym razem (po zrzuceniu ciężaru z serca) zatrzymywał się we wszystkich miejscach, jakim opierał się, idąc w dół. Wstąpił do kawiarenki na kawę i papierosa. Poszedł do restauracji na lampkę ouzo. Gracze w tryktraka zawołali: „Hej, Valentino, może zagrasz?". Pozwolił, żeby pochlebstwami nakłonili go do gry, tylko na jedną partię, następnie przegrał i musiał albo zagrać o podwójną stawkę, albo zrezygnować (obliczenia, które Desdemona znalazła w kieszeniach spodni Lefty'ego, były długami hazardowymi). Noc mijała powoli. Ouzo lało się bez przerwy. Przybyli muzycy i zaczęło się rebetiko. Grali pieśni o pożądaniu, śmierci, więzieniu i życiu na ulicy.

– *Przy nadmorskiej spelunce, gdzie bywam każdego ranka* – Lefty śpiewał wraz z nimi – *by ukoić w haszu smutki rozżalonego kochanka, spotkałem dwie dziewczyny siedzące na piasku, obie zamroczone, ale pełne były blasku* – nargile została tymczasem napełniona. O północy Lefty lekkim krokiem wyszedł ponownie na ulicę.

Alejka opada w dół, skręca, kończy się. Otwierają się drzwi. Uśmiechnięta twarz zaprasza do środka. Następną rzeczą, jaką uświadamia sobie Lefty, jest to, że siedzi na sofie z trzema greckimi żołnierzami i patrzy na siedem pulchnych i wyperfumowanych kobiet dzielących dwie sofy naprzeciwko (z gramofonu płynie ten sam przebój, który słychać wszędzie: *Ev'ry morning, ev'ry morning*…). I w tym momencie jego niedawna modlitwa odchodzi w niepamięć, ponieważ gdy madame mówi: „Którą tylko chcesz, kochanie", wzrok Lefty'ego przechodzi od czerkieskiej niebieskookiej blondynki do ormiańskiej dziewczyny, w dwuznaczny sposób jedzącej brzoskwinię, następnie do Mongołki z równo obciętą grzywką, jego wzrok przesuwa się dalej i zatrzymuje się na cichej dziewczynie na końcu dalszej sofy, dziewczynie o smutnych oczach, idealnie gładkiej skórze i czarnych włosach splecionych w warkocze („Każda pochwa znajdzie swój sztylet" – mówi po turecku madame, na co dziwki wybuchają śmiechem). Nieświadomy, co kieruje jego pociągiem, Lefty podnosi się, wygładza marynarkę, wyciąga rękę w kierunku wybranki… I dopiero gdy dziewczyna prowadzi go po schodach, słyszy wewnętrzny głos uświadamiający mu, że ta dziewczyna jest dokładnie jak… I czy jej profil nie wygląda jak… Ale już doszli do pokoju z pobrudzoną pościelą, z lampką oliwną w kolorze krwi, zapachem wody różanej i brudnych nóg. Odurzenie młodych zmysłów powoduje, że Lefty nie zwraca uwagi na coraz większe podobieństwo, jakie ukazuje postać rozbierającej się dziewczyny, jego oczy chłoną duże piersi, wąską talię, włosy spadające kaskadą na bezbronną kość ogonową, ale u Lefty'ego nie wywołuje to żadnych skojarzeń. Dziewczyna nabija dla niego nargile. Lefty wkrótce odlatuje i nie słyszy już żadnych głosów w swojej głowie. W miękkim śnie haszyszowym upływających godzin traci świadomość tego, kim jest i z kim jest. Kończyny prostytutki stają się kończynami innej kobiety. Kilka razy wzywa jej imię, ale jest już wtedy tak zamroczony, że tego nie zauważa. Dopiero później, gdy idą w kierunku drzwi, dziewczyna sprowadza go na ziemię:

– Tak przy okazji, mam na imię Irini. U nas nie ma żadnej Desdemony.

Następnego ranka obudził się w Cocoon Inn pełen nękających wyrzutów sumienia. Opuścił miasto i wspiął się z powrotem na górę, do Bithynios. Jego kieszenie (puste) nie wydawały żadnego dźwięku. Skacowany i drżący jak w gorączce, Lefty powiedział sobie, że jego siostra miała rację – już najwyższy czas, aby się ożenił. Ożeni się z Lucille lub z Victorią. Będzie miał dzieci, przestanie chodzić na dół, do Bursy, i stopniowo się zmieni, zestarzeje się, wszystko, co teraz czuje, zatrze się w pamięci i zniknie zupełnie. Skinął głową, poprawił kapelusz.

W tym czasie w Bithynios Desdemona udzielała dwóm dyletantkom lekcji przygotowujących do życia w wielkim świecie. Podczas gdy Lefty nadal jeszcze odsypiał hulankę w Cocoon Inn, zaprosiła Lucille Kafkalis i Victorię Pappas do domu. Dziewczyny były młodsze niż Desdemona i nadal mieszkały z rodzicami. Patrzyły na Desdemonę jak na panią własnego domu. Zazdrościły jej urody, obserwowały ją z podziwem, pochlebiała im uwaga, jaką im poświęcała, ufały jej w pełni, a gdy zaczęła dawać im rady dotyczące ich wyglądu, posłusznie ich słuchały. Desdemona powiedziała Lucille, aby częściej się myła, i doradziła jej, że powinna używać pod pachami olejku jako środka przeciwpotnego. Victorię wysłała zaś do Turczynki specjalizującej się w usuwaniu zbędnego owłosienia. W ciągu następnego tygodnia Desdemona nauczyła dziewczyny wszystkiego, czego sama dowiedziała się z jedynego magazynu zajmującego się urodą, jaki widziała – postrzępionego katalogu zatytułowanego *Lingerie Parisienne*, który należał do jej ojca. Na trzydziestu dwu stronach znajdowały się fotografie przedstawiające modelki w biustonoszach, gorsetach, pasach i pończochach. W nocy, gdy wszyscy spali, ojciec wyjmował go z dolnej szuflady biurka. Teraz Desdemona potajemnie studiowała katalog, starając się zapamiętać ilustracje, aby móc je później odtworzyć.

Powiedziała Lucille i Victorii, aby zaglądały do niej każdego popołudnia. Wchodziły do domu, kołysząc biodrami, jak im kazała, i przechodziły przez altankę z winorośli, w której Lefty lubił czytać. Za każdym razem w innej sukni. Zmieniały również fryzury, sposób chodzenia, biżuterię i zwyczaje. Pod kierunkiem Desdemony te dwie bezbarwne dziewczyny rozmnożyły się w małe miasto kobiet, w którym każda miała specjalny uśmiech, własny kamień jubilerski, nuciła inną ulubioną piosenkę. Po dwóch tygodniach

przygotowań Desdemona weszła po południu do winogronowej altany i zapytała brata:

– Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w Bursie? Sądziłam, że znalazłeś sobie już miłą Turczynkę, z którą się ożenisz. A może wszystkie mają wąsy jak Victoria?

– Zabawne, że o tym wspomniałaś – odpowiedział Lefty. – Zauważyłaś? Vicky nie ma już wąsów. A wiesz, co jeszcze się stało? – wstał i się uśmiechnął. – Nawet Lucille zaczyna ładnie pachnieć. Zawsze, gdy tu przychodzi, czuję zapach kwiatów (oczywiście kłamał, żadna z dziewczyn nie wyglądała ani nie pachniała bardziej pociągająco niż przedtem; jego udawany entuzjazm świadczył tylko o tym, że poddał się nieuniknionemu: małżeństwo skojarzone przez osoby trzecie, zacisze domowe, dzieci – pełna katastrofa). Podszedł do Desdemony.

– Miałaś rację – rzekł. – Najpiękniejsze dziewczyny na świecie mieszkają tu, w naszej wiosce.

Spojrzała mu nieśmiało w oczy.

– Tak sądzisz?

– Czasami nie zdajemy sobie sprawy z tego, co mamy pod samym nosem.

Stali tak, patrząc na siebie, a w brzuchu Desdemony znowu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Aby wytłumaczyć to uczucie, muszę opowiedzieć jeszcze inną historię. Podczas przemówienia inaugurującego doroczny zjazd „Society for the Scientific Study of Sexuality" w 1968 roku (odbywający się wówczas w Mazatlán, wśród wielu *pińatas*) doktor Luce wprowadził koncepcję „peryfescencji". Samo słowo nie znaczyło nic, Luce wymyślił je, aby uniknąć jakichkolwiek skojarzeń etymologicznych. Jednak stan peryfescencji jest dobrze znany. Określa początkowy stan podniecenia występujący podczas tworzenia się więzi uczuciowych między dwojgiem ludzi. Powoduje zawroty głowy, stany uniesienia, uczucie łaskotania w piersiach, chęć wspinania się na balkon po linie uplecionej z włosów ukochanej. Peryfescencją określamy ten początkowy narkotyczny okres, gdy kładziemy się spać obok partnera i przez płynące godziny chłoniemy zapach kochanka jak pachnącego szczeniaka (trwa to, jak wyjaśniał Luce, najwyżej dwa lata). To, co czuła Desdemona, starożytni mogli tłumaczyć działaniem Erosa. Obecnie opinie specjalistów sprowadziłyby to do chemii mózgu i ewolucji. Niemniej jednak uparcie będę utrzymywał, że

Desdemona odczuwała peryfescencję jako jezioro ciepła napływające z dołu, z brzucha, i podchodzące do klatki piersiowej. Rozchodziło się jak ognista powódź dziewięćdziesięcioprocentowego jasnozielonego likieru z Finlandii. Pompowanie dwóch wydajnych węzłów chłonnych w jej szyi powodowało, że rozgrzewało jej twarz. Ale po chwili ciepło zmieniło kierunek działania i zaczęło rozchodzić się do miejsc, do których taka dziewczyna jak Desdemona nie mogła pozwolić mu dotrzeć, więc szybko odwróciła wzrok i odeszła. Podeszła do okna, peryfescencję pozostawiając za sobą, a lekki wiatr z doliny ochłodził ją.

– Porozmawiam z rodzicami dziewczyn – powiedziała, starając się mówić tonem matki. – A ty będziesz musiał iść w konkury.

Widniejący następnej nocy na niebie półksiężyc wyglądał jak na przyszłej fladze Turcji. W Bursie wojska greckie szukały jedzenia, hulały i wysadziły w powietrze kolejny meczet. W Angorze gazety podały, że Mustafa Kemal będzie jadł podwieczorek w Chankaya, gdy w rzeczywistości wyjechał do centrum dowodzenia w terenie i wraz ze swoimi ludźmi wypił ostatnią *raki* przed bitwą. Pod osłoną nocy wojska tureckie przesunęły się nie na północ, w kierunku Eskişehir, jak wszyscy oczekiwali, ale do mocno ufortyfikowanego miasta Afyon na południu. Pod Eskişehir wojska tureckie rozpaliły ogniska, aby stworzyć wrażenie większej liczebności. Mniejszy oddział wykonał manewr pozorujący marsz na północ, w kierunku Bursy. A pośród tych ruchów wojsk Lefty Stephanides, niosący dwa bukieciki, wyszedł ze swojego domu frontowymi drzwiami i zaczął iść w kierunku domu, w którym mieszkała Victoria Pappas.

To było wydarzenie o randze, jaką miały w wiosce czyjeś narodziny lub śmierć. Każdy z blisko stu mieszkańców Bithynios słyszał o nadchodzących wizytach Lefty'ego i stare wdowy, mężatki oraz młode matki, a także starcy, wszyscy czekali, aby się dowiedzieć, którą dziewczynę wybierze. Z powodu niewielkiej liczby mieszkańców prawie zanikły stare obrzędy zalotów. Ten brak romantycznych możliwości spowodował, że w wiosce bezwzględnie funkcjonowało błędne koło: nie ma kogo kochać – nie ma miłości, nie ma miłości – nie ma dzieci, nie ma dzieci – nie ma kogo kochać!

Figura Victorii Pappas była częściowo oświetlona, a częściowo ukryta w cieniu – linia cienia przebiegała przez jej ciało tak samo jak na fotografii

z ósmej strony *Lingerie Parisienne*. Desdemona (kostiumerka, inspicjentka i reżyser w jednej osobie) upięła włosy Victorii, pozwalając, aby pukle opadały swobodnie na jej czoło i ostrzegając, aby trzymała swój wydatny nos w cieniu. Wyperfumowana, wydepilowana, wilgotna od środków zmiękczających skórę, z nałożonym na powieki pudrem Kohla, Victoria stała nieruchomo, pozwalając Lefty'emu patrzeć na siebie. Czuła ciepło jego spojrzenia, łowiła uchem jego ciężki oddech, słyszała, jak dwa razy starał się coś powiedzieć (cienki pisk z suchego gardła), później usłyszała jego kroki zmierzające w jej kierunku i obróciła się, przybierając minę, jakiej nauczyła ją Desdemona, ale była tak przejęta tym, że musi odpowiednio wydąć wargi, które miały wyglądać jak u modelki prezentującej francuską bieliznę, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że kroki nie zbliżały się, ale oddalały. I gdy odwróciła się znowu, zobaczyła tylko, jak Lefty Stephanides, jedyny w okolicy kawaler do wzięcia, odchodzi...

...W tym samym czasie Desdemona otworzyła w domu swój kufer z wianem. Sięgnęła do środka i wyjęła własny gorset. Dała jej go matka wiele lat temu, w nadziei na jej noc poślubną, mówiąc: „Liczę na to, że kiedyś go wdziejesz". Teraz, przed lustrem w sypialni, Desdemona trzymała przed sobą tę dziwną i skomplikowaną część garderoby. Zrzuciła swoje kolanówki i szarą bieliznę. Pozbyła się spódnicy z podniesioną talią i tuniki z wysokim kołnierzykiem. Zerwała chustkę i rozplotła warkocze, tak że włosy spadły na jej obnażone ramiona. Gorset był zrobiony z białego jedwabiu. Wkładając go, Desdemona poczuła, jakby snuła własny kokon, czekając na metamorfozę.

Ale gdy ponownie spojrzała w lustro, oprzytomniała. To nie miało sensu. Nigdy nie wyjdzie za mąż. Lefty wróci dzisiejszej nocy po wybraniu narzeczonej, którą następnie sprowadzi do domu, aby mieszkała razem z nimi. Desdemona zostanie tam, gdzie była, przekładając swoje koraliki, i wkrótce będzie starą kobietą, dużo starszą niż czuła się obecnie. Pies zawył. Ktoś we wsi potknął się o stertę patyków i zaklął. A moja babka płakała po cichu, ponieważ resztę swoich dni miała spędzić na liczeniu kłopotów, które nigdy nie znikały...

...Tymczasem Lucille Kafkalis stała tak, jak jej przykazano, na poły w świetle i na poły w cieniu, ubrana w biały kapelusz udekorowany szklanymi wiśniami, w mantyli na nagich ramionach, w jasnozielonej

sukni z dekoltem i w butach na wysokim obcasie, w których nie mogła zrobić kroku z obawy, że może zaraz upaść. Do pokoju wtoczyła się jej gruba matka, śmiejąc się i krzycząc:

– Idzie! Nie wytrzymał z Victorią nawet jednej minuty!...

...Już z daleka poczuł zapach oliwki. Lefty właśnie wszedł przez niskie drzwi domu Kafkalisów. Ojciec Lucille powitał go i następnie powiedział: „Zostawimy was razem. Żebyście się mogli poznać". Rodzice wyszli. W pokoju panował półmrok. Lefty odwrócił się... i upuścił kolejny bukiecik.

Desdemona nie mogła przewidzieć, że jej brat również ślęczał nad stronami *Lingerie Parisienne*. Robił to od czasu, gdy skończył dwanaście lat, do osiągnięcia lat czternastu, kiedy znalazł prawdziwy skarb – dziesięć fotografii w formacie pocztówkowym, ukrytych w starej walizce, a prezentujących cykl pod tytułem „Sermin, dziewczyna ze Świątyni Przyjemności", w którym znudzona dwudziestopięciolatka o pełnych kształtach prezentuje różne pozy wśród poduszek z frędzlami w zaaranżowanym seraju. Znalezienie ich w przegródce na przybory toaletowe było jak potarcie lampy z uwięzionym wewnątrz dżinem. Wirująca w górę w smudze świetlistego pyłu, ubrana tylko w parę pantofelków z „Baśni z tysiąca i jednej nocy" i przepasana szarfą (pstryk); leżąca w rozleniwionej pozie na tygrysiej skórze i tuląca do siebie bułat (pstryk); a także kąpiąca się w marmurowej łaźni tureckiej, oświetlona światłem padającym przez kratę. Te dziesięć fotografii w kolorze sepii zapoczątkowało fascynację Lefty'ego miastem. Ale nigdy nie zapomniał całkowicie swoich pierwszych miłości z *Lingerie Parisienne*. Na zawołanie potrafił przywołać je w myślach. Gdy zobaczył Victorię Pappas, która wyglądała niczym strona ósma, najbardziej uderzyło Lefty'ego to, jak bardzo ten obraz odbiegał od ideału z jego dzieciństwa. Próbował wyobrazić sobie, że jest żonaty z Victorią, ich wspólne życie, ale każdy przychodzący mu na myśl obraz ział pustką w środku, brakowało osoby, którą kochał bardziej i znał lepiej niż każdą inną. Uciekł zatem od Victorii Pappas, aby wyjść na ulicę i spotkać Lucille Kafkalis, obraz równie rozczarowujący i odległy od wizerunku na stronie dwudziestej drugiej...

...A Desdemona, płacząc, zdejmuje gorset, składa go i umieszcza z powrotem w skrzyni z wianem. Rzuca się na łóżko, łóżko Lefty'ego, aby dalej płakać. Poduszka pachnie jego cytrynową pomadą, a ona wdycha ten zapach, szlochając...

…Aż, odurzona narkotykiem płaczu, zasypia. Śni ten sam sen, który miała ostatnio. We śnie wszystko jest tak, jak było. Ona i Lefty znowu są dziećmi (ale ich ciała są już dorosłe). Leżą w jednym łóżku (ale tym razem jest to łóżko ich rodziców). We śnie podnoszą ręce i nogi (i jest to ogromnie miłe, gdy tak je podnoszą, a łóżko jest wilgotne)… I w tym momencie Desdemona, jak zawsze, budzi się. Twarz jej płonie. Znowu to dziwne uczucie w brzuchu, tam nisko, w tym momencie już prawie może określić, co to jest…

A ja siedzę w luksusowym fotelu Aerona, snując myśli według teorii E. O. Wilsona. Czy to była miłość, czy rozmnażanie? Przypadek czy przeznaczenie? Przestępstwo czy działanie natury? Może ten gen był wyposażony w swoiste sterowanie ręczne, odpowiedzialne za to, że pojawi się w odpowiednim momencie, co tłumaczyłoby łzy Desdemony i pociąg Lefty'ego do prostytutek o określonym typie urody. Nie czułość, nie pełna harmonia uczuć, jedynie potrzeba, aby to nowe pojawiło się na świecie, co zaowocowało tą zafałszowaną grą uczuć. Ale nie jestem w stanie tego wytłumaczyć, podobnie jak nie mogliby tego zrobić Desdemona i Lefty, tak jak każdy z nas, zakochując się, nie może rozdzielić działania hormonów od tego, co odczuwamy jako boskie (być może tak kurczowo trzymam się spraw boskich ze względu na pewien altruizm, jaki mamy wbudowany w celu zachowania gatunku – trudno mi powiedzieć). Staram się cofnąć myślą do czasów przed narodzinami genetyki, zanim wszyscy zaczęli mówić, że to kwestia genów. Czasy przed naszą dzisiejszą wolnością, a o ile pełniejsze wolności! Desdemona nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Nie wyobrażała sobie swojego wnętrza w postaci ogromnego kodu komputerowego w całości złożonego z zer i jedynek, nieskończonej liczby ciągów, a w każdym z nich mógł się kryć błąd. Obecnie już wiemy, że nosimy z sobą tę mapę nas samych. Nawet gdy stoimy na rogu ulicy, ona rządzi naszym przeznaczeniem. Wywołuje na naszych twarzach takie same zmarszczki i plamy wątrobowe, jakie mieli nasi rodzice. Powoduje, że pociągamy nosem w rozpoznawalny, charakterystyczny dla naszej rodziny sposób. Geny osadzone tak głęboko, że sterują mięśniami naszych oczu, przez co dwie siostry mrugają jednakowo, a bliźniacy ślinią się w tym samym momencie. Czasami zauważam, że gdy jestem zatroskany, bawię się chrząstką mojego nosa tak samo, jak robi to mój brat. Nasze gardła i krtanie, utworzone zgodnie z tą samą instrukcją, tłoczą powietrze na

zewnątrz w podobnych tonach i na podobnym poziomie decybeli. Mechanizmy tych powiązań da się przenosić w przeszłość, można zatem założyć, że kiedy ja mówię, mówi również Desdemona. To ona teraz pisze te słowa. Desdemona, która nie zdawała sobie sprawy ani z istniejącej wewnątrz niej armii wypełniającej swoje miliony rozkazów, ani z tego, że istnieje jeden dezerter, który nie wypełniał rozkazów, samowolnie się oddalając…

…tak jak biegł Lefty, uciekając od Lucille Kafkalis do swojej siostry. Słyszała odgłos jego kroków, gdy z powrotem zapinała spódnicę. Wytarła oczy chustką i kiedy wchodził przez drzwi, udała, że się uśmiecha.

– Powiedz, którą wybrałeś?

Lefty nic nie powiedział, tylko patrzył badawczo na siostrę. Nie po to całe życie dzielił z nią łóżko, aby nie być w stanie zauważyć, kiedy płakała. Włosy miała rozpuszczone, zakrywały większą część jej twarzy, ale patrzące na niego oczy były przepełnione uczuciem.

– Żadną – rzucił.

Na te słowa Desdemonę ogarnęło olbrzymie szczęście. Ale krzyknęła:

– Co się z tobą dzieje? Musisz wybrać!

– Te dziewczyny wyglądają jak dziwki.

– Lefty!

– To prawda.

– Nie chcesz się ożenić z żadną z nich?

– Nie.

– Musisz – podniosła pięść. – Jeśli ja wygram, ożenisz się z Lucille.

Lefty, który nigdy nie potrafił oprzeć się zakładom, również wyciągnął pięść:

– Raz, dwa, trzy… Teraz!

– Nożyce tną papier – powiedział Lefty. – Ja wygrałem.

– Jeszcze raz – odrzekła Desdemona. – Jeśli tym razem wygram, ożenisz się z Vicky. Raz, dwa, trzy…

– Nożyce łamią się na kamieniu. Znowu wygrałem! Żegnaj, Vicky!

– W takim razie z kim się ożenisz?

– Nie wiem – odparł, biorąc jej dłonie i patrząc na nią z góry. – Może z tobą?

– Wielka szkoda, ale jestem twoją siostrą.

– Jesteś nie tylko moją siostrą. Jesteś również moją daleką kuzynką. Dalecy kuzyni mogą się pobierać.

– Zwariowałeś, Lefty.

– Tak będzie łatwiej. Nie będziemy musieli przemeblowywać domu.

Trochę żartując, ale trochę na poważnie, Desdemona i Lefty objęli się. Na początku obejmowali się w normalny sposób, ale po dziesięciu sekundach ich uścisk zaczął się zmieniać, układ rąk i głaskanie palców przestały być zwyczajnym objawem uczucia między rodzeństwem, zaczęły natomiast stanowić ich własny język, który w cichym pokoju oznajmiał całkiem nową wiadomość. Lefty zaczął prowadzić Desdemonę w walcu, po europejsku; tańcząc walca, wyprowadził ją na zewnątrz, przez podwórze, aż do hodowli jedwabników, i z powrotem do altany z winogron, a ona śmiała się i zakrywała usta dłonią.

– Dobrze tańczysz, kuzynie – powiedziała, a jej serce znowu zakołatało i pomyślała, że może umrzeć tu i teraz w ramionach Lefty'ego. Ale oczywiście nie umarła, tańczyli dalej. I nie zapominajmy, gdzie tak tańczyli – w Bithynios, w tej górskiej wiosce, w której się zdarzało, że kuzyni pobierali się z kuzynkami w dalszym stopniu pokrewieństwa i gdzie wszyscy byli w pewien sposób spokrewnieni. I gdy tak tańczyli, zaczęli obejmować się mocniej, przestali żartować i już tańczyli razem, jak czasami mogą robić to mężczyzna i kobieta, gdy są samotni i gdy skłonią ich do tego okoliczności.

I właśnie w tym momencie, zanim jeszcze coś zostało wyraźnie powiedziane czy zanim jakakolwiek decyzja została podjęta (zanim tę decyzję podjął za nich ogień), właśnie wtedy, tańcząc walca, usłyszeli eksplozję w oddali, spojrzeli w dół i zobaczyli w blasku ognia grecką armię w odwrocie.

Nieskromna propozycja

Potomek Greków z Azji Mniejszej, urodzony w Ameryce, mieszka obecnie w Europie. Dokładnie w dzielnicy Schöneberg w Berlinie. Służba dyplomatyczna składa się z dwóch formacji – korpusu dyplomatycznego i personelu do spraw kultury. Ambasador i jego pomocnicy prowadzą politykę zagraniczną z nowo otwartego, przesadnie zabarykadowanego budynku ambasady na Neustädtische Kirchstrasse. Siedzibą naszego wydziału (odpowiedzialnego za przygotowywanie wieczorów literackich, wykładów i koncertów) jest kolorowa kostka betonowego budynku Amerika Haus.

Tego ranka pojechałem do pracy jak zwykle pociągiem. Kolej *U-bahn* powiozła mnie łagodnie na zachód, z Kleistpark na Berliner Strasse, a następnie, po przesiadce, na północ, w kierunku Zoologischer Garten. Stacje dawnego Berlina Zachodniego pojawiały się jedna po drugiej. Większość z nich odnawiano ostatnio w latach siedemdziesiątych i były w kolorach kuchni z domów na przedmieściach, które pamiętam z dzieciństwa: awokado, cynamon, żółć słonecznikowa. Na Spichernstrasse pociąg się zatrzymał, aby wyrzucić z siebie tłum pasażerów i wpuścić nowych. Na peronie uliczny grajek zawodził na akordeonie łzawą słowiańską melodię. W błyszczących półbutach, z mokrymi jeszcze włosami, przerzucałem właśnie strony *Frankfurter Allgemeine,* kiedy wtoczyła do pociągu swój nieprawdopodobny rower.

Kiedyś mogliśmy określić narodowość ludzi po ich twarzach. Kres temu położyła imigracja. Później można było rozróżnić narodowość po obuwiu. Kres temu położyła globalizacja. Te fińskie foki, te niemieckie flądry – już się ich nie widuje. Tylko adidasy na baskijskich, holenderskich czy syberyjskich stopach.

Rowerzystka była Azjatką, przynajmniej pod względem genetycznym. Miała czarne włosy z przyciętą grzywką. Ubrana była w krótką oliwkową

kurtkę, szerokie czarne spodnie narciarskie i parę rdzawoczerwonych camperów, przypominających buty do gry w kręgle. W koszyku na jej rowerze leżała torba na aparat fotograficzny.

Podejrzewałem, że była Amerykanką. To przez ten rower w stylu retro. Cały w chromie i turkusie, miał błotniki szerokie jak w chevrolecie, opony grube jak w taczce i wyglądało, że waży przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów. Na taki kaprys jak ten rower mogła sobie pozwolić tylko osoba żyjąca na obczyźnie. Już miałem wykorzystać go jako pretekst do nawiązania rozmowy, gdy pociąg znowu się zatrzymał. Rowerzystka spojrzała w górę. Włosy spadły z jej pięknej, osłoniętej kapturem twarzy i przez chwilę nasze oczy się spotkały. Łagodność oblicza w połączeniu z gładkością skóry powodowały, że jej twarz wyglądała jak maska, zza której wyzierały żywe, ludzkie oczy. Te oczy szybko spojrzały jednak w inną stronę, a dziewczyna chwyciła kierownicę roweru i wypchnęła swój wielki dwukołowiec z pociągu w kierunku wind. Kolejka *U-bahn* ruszyła w dalszą drogę, ale ja już nie byłem w stanie kontynuować lektury. Siedziałem na swoim miejscu w stanie zmysłowego pobudzenia lub pobudzonej zmysłowości, aż do stacji, na której, lekko słaniając się na nogach, wysiadłem.

Rozpiąłem marynarkę i z wewnętrznej kieszeni wyjąłem cygaro. Z mniejszej kieszonki wydobyłem gilotynkę do cygar i zapałki. Chociaż nie była to pora poobiednia, zapaliłem cygaro – Grand Cru No. 3 Davidoffa – i tak stałem, paląc cygaro i starając się uspokoić. Cygara, dwurzędowe garnitury – to lekka przesada. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale są mi potrzebne. Dzięki nim czuję się lepiej. Po tym wszystkim, co przeszedłem, należy mi się pewna rekompensata za moje poczucie niższości. W garniturze na miarę i kraciastej koszuli paliłem cygaro średniej grubości, aż ogień w moich żyłach nieco przygasł.

Jest coś, co powinniście zrozumieć – wcale nie mam cech obojnaczych. Syndrom niedoboru 5-alfareduktazy pozwala na normalną biosyntezę i obwodowe działanie testosteronu zarówno w macicy, u noworodka, jak i w okresie dojrzewania. Innymi słowy – funkcjonuję w społeczeństwie jako mężczyzna. Chodzę do męskiej toalety. Nigdy nie używam pisuarów, zawsze kabiny. W szatni przy siłowni biorę nawet prysznic, co prawda dyskretnie. Posiadam wszystkie drugorzędowe męskie cechy płciowe, z wyjątkiem jednej – moja niezdolność do syntezy dihydrotestosteronu

spowodowała, że jestem odporny na łysienie. Ponad połowę życia spędziłem jako mężczyzna i obecnie wszystko przychodzi mi w sposób naturalny. Jeśli czasami istnienie Calliope wychodzi na światło dzienne, to pojawia się niespodziewanie, jak wada wymowy w dzieciństwie. Nagle znowu jest, odrzucając włosy lub sprawdzając paznokcie. To trochę jak być opętanym. Callie pojawia się we mnie, ubrana w moją skórę jak w luźną szatę. Wsadza drobne rączki w obszerne rękawy moich ramion. Wkłada swoje małpie stópki w nogawki moich nóg. Czuję, jak na chodniku zaczyna dominować jej dziewczęcy chód, a w tych ruchach odnajduję pewne uczucie samotnej i plotkarskiej solidarności ze spotykanymi dziewczętami wracającymi ze szkoły. To wrażenie trwa jeszcze przez kilka kroków. Włosy Calliope łaskoczą mnie w gardło. Czuję, jak przyciska się niepewnie do mojej piersi – to jej stare, nerwowe przyzwyczajenie – aby sprawdzić, czy coś się tam dzieje. Rozpacz okresu dojrzewania, płynąca w jej żyłach jak skażony płyn, przenika ponownie do moich żył. Ale w tym momencie, równie nagle, ona odchodzi, kurcząc się i rozmywając we mnie, i kiedy się odwracam, aby zobaczyć swoje odbicie w lustrze, widzę czterdziestojednoletniego mężczyznę z długimi, falującymi włosami, cienkim wąsem i kozią bródką. Coś w rodzaju współczesnego muszkietera.

Ale na razie o mnie wystarczy. Muszę podjąć opowieść w miejscu, w którym przerwały mi wczorajsze wybuchy. Przecież bez tego, co nastąpiło później, ani Cal, ani Calliope nie przyszliby na świat.

– Mówiłam ci! – krzyczała Desdemona na cały głos. – Mówiłam ci, że to całe szczęście źle się skończy! To tak nas uwolnili? Tylko Grecy mogą być tak głupi!

Złe przeczucia Desdemony potwierdziły się następnego ranka po tym, jak tańczyli walca. Skończyła się *Megale Idea*. Turcy zdobyli Afyon. Grecka armia, pobita, uciekała w kierunku morza. W odwrocie podpalała wszystko na swojej drodze. Desdemona i Lefty stali w świetle poranka na zboczu góry i przyglądali się spustoszeniom. Czarny dym unosił się nad doliną na przestrzeni wielu kilometrów. Płonęły wszystkie wioski, pola i drzewa.

– Nie możemy tu zostać – powiedział Lefty. – Turcy będą się mścić.

– Od kiedy to muszą mieć jakiś powód?

– Wyjedziemy do Ameryki. Możemy zamieszkać z Sourmeliną.

– W Ameryce nie będzie nam dobrze – uporczywie powtarzała Desdemona, kręcąc głową. – Nie można wierzyć w listy Liny. Ona przesadza.

– Dopóki będziemy razem, wszystko będzie dobrze.

Popatrzył na nią tak jak ubiegłej nocy i Desdemona spąsowiała. Chciał ją objąć, ale go powstrzymała.

– Spójrz.

Chwilami dym w dole się rozwiewał i mogli zobaczyć drogi zablokowane przez uciekinierów, rzekę wozów, fur, bawołów, mułów i ludzi uciekających z miasta.

– Gdzie wsiądziemy na statek? W Konstantynopolu?

– Pójdziemy do Smyrny – zdecydował Lefty. – Wszyscy mówią, że to najbezpieczniejsza droga.

Desdemona przez chwilę nic nie mówiła, starając się zrozumieć nową rzeczywistość. W sąsiednich domach słychać było złorzeczenia, ludzie przeklinali Greków, Turków i zaczynali się pakować. Nagle powiedziała stanowczo:

– Wezmę moją skrzynkę z jedwabnikami. I trochę jajeczek. Żebyśmy mogli zarobić pieniądze.

Lefty ujął ją delikatnie za łokieć i żartobliwie potrząsnął jej ręką.

– W Ameryce nie hodują jedwabników.

– Ale noszą ubrania, tak? A może chodzą na golasa? Jeśli noszą ubrania, to potrzebują jedwabiu. I mogą go ode mnie kupować.

– Dobrze, jak chcesz. Tylko się pospiesz.

Eleutherios i Desdemona Stephanides opuścili Bithynios 31 sierpnia 1922 roku. Wyruszyli pieszo, niosąc dwie walizki wypakowane ubraniami i przyborami toaletowymi, sennikiem i sznurem koralików Desdemony oraz dwoma tekstami Lefty'ego w klasycznej grece. Oprócz tego Desdemona niosła pod pachą skrzynkę z jedwabnikami – kilkaset jajeczek jedwabników zawiniętych w biały materiał. Karteczki w kieszeniach Lefty'ego nie były już pokryte zapisem hazardowych długów, ale zawierały adresy firm spedycyjnych w Atenach i Astorii. W ciągu tygodnia blisko stu pozostałych mieszkańców Bithynios spakowało się i wyruszyło do Grecji kontynentalnej, a większość z nich wybierała się w dalszą drogę do Ameryki (diaspora, która powinna zapobiec mojemu istnieniu, ale tego nie dokonała).

Przed odejściem Desdemona wyszła na podwórze i przeżegnała się w sposób prawosławny, kciukiem robiąc znak krzyża. Pożegnała się z gnijącym zapachem pudru, jaki panował w hodowli jedwabników, z drzewami morwowymi stojącymi wzdłuż ściany, ze schodami, na które już nigdy nie będzie się wspinać, jak również z uczuciem życia ponad światem. Weszła do chatki, aby po raz ostatni spojrzeć na swoje jedwabniki. Wszystkie przestały prząść kokony. Wyciągnęła dłoń, zerwała kokon z gałązki morwy i schowała do kieszeni tuniki.

Dnia 6 września 1922 roku generał Hajienestis, głównodowodzący wojskami greckimi w Azji Mniejszej, obudził się z wrażeniem, że jego nogi są zrobione ze szkła. Bojąc się wyjść z łóżka, zrezygnował z porannego golenia i odesłał fryzjera. Po południu postanowił nie wybierać się na stały ląd, gdzie zazwyczaj jadł lody cytrynowe na smyrneńskim nabrzeżu. Leżał natomiast na plecach, nieruchomy i czujny, nakazując swoim adiutantom, którzy wchodzili i wychodzili z komunikatami z linii frontu, aby nie trzaskali drzwiami i nie tupali. Był to jeden z tych dni, kiedy dowódca był bardziej przytomny i pracował wydajniej. Gdy dwa tygodnie wcześniej turecka armia zaatakowała Afyon, Hajienestis sądził, że jest martwy i że refleksy światła na ścianach jego kajuty to niebiański pokaz sztucznych ogni.

O godzinie drugiej do kabiny generała wszedł jego zastępca i wyszeptał:

– Oczekuję rozkazu podjęcia kontrataku, panie generale.

– Czy słyszysz, jak one zgrzytają?

– Proszę?

– Moje nogi. Moje cieniutkie, szklane nogi.

– Panie generale, zdaję sobie sprawę, że ma pan problemy z nogami, ale, z całym szacunkiem, panie generale, proszę wziąć pod uwagę – głos adiutanta był już trochę podniesiony – że nie ma czasu na zajmowanie się takimi sprawami.

– Myślicie, poruczniku, że to jakiś żart, prawda? Ale zrozumiałby pan, gdyby to pana nogi były zrobione ze szkła. Nie mogę wyjść na brzeg. Na to właśnie liczy Kemal. Że wstanę i moje nogi rozlecą się na kawałki.

– Tu są ostatnie meldunki, panie generale – zastępca podsunął mu przed oczy kartkę.

– „Zauważono turecką kawalerię w odległości stu mil na wschód od Smyrny” – czytał. – „Liczba uciekinierów osiągnęła już 180 tysięcy”, czyli wzrosła od wczoraj o 30 tysięcy. Nie wiedziałem, że śmierć będzie wyglądać właśnie tak, poruczniku. Czuję się podobnie jak pan. Odszedłem. Wyruszyłem już w podróż do Hadesu, ale nadal pana widzę. Proszę mnie posłuchać – śmierć niczego nie kończy. Właśnie to odkryłem. My pozostajemy, nadal trwamy. Martwi widzą, że jestem jednym z nich. Otaczają mnie. Pan ich nie widzi, ale oni tu są. Matki z dziećmi, stare kobiety, wszyscy są tutaj. Niech pan powie kucharzowi, żeby przyniósł mi lunch.

Znajdujący się na zewnątrz słynny port był wypełniony statkami. Jednostki handlowe cumowały wzdłuż długiego nabrzeża obok barek i drewnianych kaików. W pewnej odległości stały na kotwicach okręty aliantów. Sam ich widok podnosił na duchu greckich i ormiańskich mieszkańców Smyrny (oraz wiele tysięcy greckich uciekinierów), a gdy tylko pojawiała się jakaś plotka – wczoraj ormiańska gazeta podała, że alianci, którym zależało na poprawieniu swojego wizerunku po wsparciu, jakiego udzielili greckiej inwazji, planowali oddać miasto w ręce zwycięskich Turków – mieszkańcy patrzyli na francuskie niszczyciele i brytyjskie okręty wojenne, nadal stojące w gotowości, by bronić europejskich interesów w Smyrnie, i ich obawy się rozwiewały.

Doktor Nishan Philoboshian wybrał się tego popołudnia do portu, poszukując takiej właśnie otuchy. Ucałował na pożegnanie żonę Toukhie oraz córki Rose i Anitę, klepnął w plecy swoich synów Karekina i Stepana, a wskazując na szachownicę, powiedział z udawaną powagą: „Nie ruszajcie figur”. Zamknął za sobą drzwi frontowe, pchnął je barkiem, by sprawdzić, czy są dobrze zamknięte, i ruszył ulicą Suyane przez ormiańską dzielnicę, mijając zamknięte sklepy i okna z zamkniętymi okiennicami. Zatrzymał się przy piekarni Berberiana, zastanawiając się, czy Charles Berberian zabrał swoją rodzinę z miasta, czy też skrywali się na piętrze jak rodzina Philoboshiana. Już od pięciu dni z własnej woli przebywali w tym więzieniu – doktor Philoboshian i jego synowie rozgrywający niekończące się partie szachów, Rose i Anita przeglądające egzemplarz *Photoplay*, który przyniósł im z ostatniej wizyty na amerykańskim przedmieściu Paradise, Toukhie gotująca dzień i noc, ponieważ jedzenie było jedyną czynnością, która chociaż trochę rozładowywała napięcie. Na drzwiach piekarni

znajdował się tylko napis CHWILOWO NIECZYNNE oraz portret (na jego widok Philoboshian aż się skrzywił) tureckiego przywódcy Kemala, ze stanowczą miną, w karakułowej czapie i futrzanym kołnierzu, o przenikliwych niebieskich oczach, umieszczonych pod skrzyżowanymi szablami brwi. Doktor Philoboshian odwrócił się od tej twarzy i poszedł dalej, wyliczając w duchu wszystkie argumenty przeciw umieszczeniu w tym miejscu portretu Kemala. Po pierwsze, co powtarzał swojej żonie już od tygodnia, siły europejskie nigdy nie pozwolą Turkom na wejście do miasta. Po drugie, nawet gdyby tak się stało, obecność okrętów wojennych w porcie powstrzyma Turków przed plądrowaniem miasta (wszak nawet podczas masakry w 1915 roku Ormianie w Smyrnie byli bezpieczni). I po trzecie, przynajmniej jeśli chodzi o jego rodzinę, był przecież jeszcze ten list, po który właśnie szedł do swojego gabinetu. Tak rozmyślając, kroczył dalej w dół wzgórza, dochodząc do dzielnicy europejskiej. Tutaj widać już było bogatsze domy. Z każdej strony ulicy wznosiły się dwupiętrowe wille z balkonami w kwiatach i wysokimi, wzmocnionymi ścianami. Doktor Philoboshian nigdy nie był zapraszany na towarzyskie spotkania do tych willi, ale często składał tu wizyty domowe, aby badać mieszkające tam lewantyńskie dziewczyny – osiemnastoletnie lub dziewiętnastoletnie, oczekujące go w „wodnych pałacach" na dziedzińcach, leżące leniwie na sofach wśród obfitości drzew owocowych. Dziewczyny, które w związku z rozpaczliwą potrzebą znalezienia europejskiego męża były wprost skandalicznie wyzwolone, co powodowało, że Smyrna cieszyła się reputacją miasta wyjątkowo życzliwie nastawionego do oficerów i było przyczyną gorączkowych rumieńców zdradzających pacjentki podczas porannych wizyt doktora Philoboshiana, a także decydowało o charakterze ich dolegliwości, zaczynających się od skręconej na parkiecie tanecznym kostki i sięgających ku bardziej intymnym zadrapaniom powyżej. Tego wszystkiego akurat wcale się nie wstydziły, odrzucając jedwabne peniuary i mówiąc: „To jest całe czerwone, doktorze. Niech pan coś zrobi. O jedenastej muszę być w Casin". Te dziewczyny były już daleko, zabrane z miasta przez rodziców po pierwszych walkach kilka tygodni temu, wyjechały do Paryża i Londynu, gdzie zaczynał się sezon, w mijanych przez doktora Philoboshiana domach panowała więc cisza. Nieco odprężył się na myśl o tych wszystkich luźnych szatach, ale wtedy właśnie skręcił za róg, dochodząc do nabrzeża, i poczuł, jak powraca do niego uczucie zagrożenia.

Greccy żołnierze – wyczerpani, wynędzniali, brudni – maszerowali, utykając, z jednego końca portu do drugiego, zmierzając do punktu wejścia na pokład w Chesme, na południowy zachód od miasta, gdzie mieli oczekiwać na ewakuację. Ich obszarpane mundury były czarne od sadzy ze spalonych podczas odwrotu wiosek. Jeszcze tydzień temu rozmieszczone na nabrzeżu eleganckie kawiarenki na świeżym powietrzu były wypełnione oficerami marynarki i dyplomatami, teraz nabrzeże stanowiło tymczasową kwaterę dla uchodźców. Pierwsi z nich przywieźli z sobą dywany i fotele, radia i gramofony, stojące lampy i komody, i rozstawili cały ten dobytek pod gołym niebem. Niedawno przybyli mieli z sobą tylko worek lub walizkę. Wśród tego zamieszania biegali we wszystkie strony tragarze, ładujący łodzie tytoniem, figami, żywicą olibanową, jedwabiem i moherem. Przed przybyciem Turków opróżniano pospiesznie magazyny.

Doktor Philoboshian zauważył uchodźcę grzebiącego w stosie śmieci wśród kości kurczaków i obierków z ziemniaków. Był to młody mężczyzna w dobrze skrojonym, ale brudnym ubraniu. Nawet z tak dużej odległości wprawne medyczne oko doktora zauważyło ranę na ręce młodego człowieka i bladość świadczącą o niedożywieniu. Lecz kiedy mężczyzna spojrzał w górę, doktor zamiast twarzy zobaczył tylko pustkę, człowiek był nie do odróżnienia od innych, rojących się na nabrzeżu uchodźców. Nie zważając na to, doktor popatrzył w tę pozbawioną wyrazu twarz i zapytał:

– Czy pan się źle czuje?

– Nie jadłem od trzech dni – odpowiedział młodzieniec.

Doktor westchnął.

– Proszę pójść ze mną.

Poprowadził uchodźcę wąskimi uliczkami do swojego gabinetu. Wprowadził go do środka, z szafki z lekami wyciągnął gazę, środek antyseptyczny oraz plaster i zbadał jego rękę.

Rana była na pozbawionym paznokcia kciuku.

– Jak to się stało?

– Najpierw była inwazja Greków – powiedział mężczyzna. – Potem była inwazja Turków. A moja ręka znalazła się między nimi.

Doktor Philoboshian w milczeniu czyścił ranę.

– Muszę zapłacić czekiem, panie doktorze – powiedział uchodźca. – Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza. Nie mam w tej chwili przy sobie zbyt dużo pieniędzy.

Doktor Philoboshian sięgnął do kieszeni.

– Ja trochę mam, proszę, niech pan weźmie.

Mężczyzna wahał się tylko przez chwilę.

– Dziękuję, panie doktorze. Zwrócę, jak tylko dotrę do Stanów Zjednoczonych. Proszę, niech pan mi da swój adres.

– Proszę uważać, co pan pije – Philoboshian zignorował prośbę. – Jeśli to tylko możliwe, niech to będzie woda przegotowana. Jak Bóg da, być może wkrótce przypłyną jakieś statki.

Człowiek skinął głową.

– Pan jest Ormianinem, doktorze?

– Tak.

– I nie wyjeżdża pan?

– Smyrna jest moim domem.

– W takim razie powodzenia. I niech Bóg pana błogosławi.

– Pana też – z tymi słowami doktor Philoboshian wyprowadził pacjenta. Patrzył za odchodzącym uchodźcą. To przypadek beznadziejny. Umrze w ciągu tygodnia. Jeśli nie na tyfus, to na coś innego. Ale to nie był jego kłopot. Sięgnął do maszyny do pisania i spod taśmy wyciągnął gruby plik banknotów. Przetrząsnął szuflady, aż znalazł włożony do dyplomu medycznego, wyblakły, napisany na maszynie list: „Niniejszym zaświadcza się, że 3 kwietnia 1919 roku doktor nauk medycznych Nishan Philoboshian leczył Mustafę Kemala Paszę na zapalenie uchyłka. Kemal Pasza prosi o potraktowanie okaziciela tego listu z szacunkiem i zaufaniem, i otoczenie go opieką". Właściciel listu złożył dokument i wsunął do kieszeni.

W tym samym czasie uchodźca kupował już chleb w piekarni na nabrzeżu. Ale gdy teraz się odwraca, ukrywając gorący bochenek chleba pod kapiącym od brudu garniturem, odbite od wody światło słoneczne rozjaśnia jego twarz, którą znów zaczyna wypełniać dawna tożsamość: orli nos, rysy jastrzębia. W jego piwnych oczach pojawia się łagodność.

Lefty Stephanides uśmiechał się po raz pierwszy od przybycia do Smyrny. Z poprzednich wypadów przyniósł tylko jedną zgniłą brzoskwinię i sześć oliwek, i musiał nakłaniać Desdemonę do ich przełknięcia, łącznie z pestkami, aby zapełniła pusty żołądek. Zabrał swoje *chureki* z sezamkami i ponownie wcisnął się w tłum. Obchodził przydomowe ogródki, pełniące rolę salonów na świeżym powietrzu (siedziały w nich rodziny słuchające

niemego radia), przekraczał ciała śpiących, taką przynajmniej miał nadzieję, osób. Odczuwał radość z jeszcze jednego powodu. Właśnie dzisiejszego ranka pojawiła się pogłoska, że Grecy wysyłali flotę statków, która miała ewakuować uchodźców. Lefty spojrzał na Morze Egejskie. Żyjąc na zboczu góry przez dwadzieścia lat, nigdy wcześniej nie widział morza. Gdzieś tam, za wodą, była Ameryka i ich kuzynka Sourmelina. Wdychał zapach morskiego powietrza, ciepłego chleba, antyseptyku z zabandażowanego kciuka i po chwili zobaczył ją – Desdemonę, siedzącą na walizce tam, gdzie ją zostawił, i poczuł się jeszcze szczęśliwszy.

Lefty nie potrafił wskazać momentu, w którym zaczął myśleć o swojej siostrze w ten szczególny sposób. Na początku po prostu ciekawiło go, jak wyglądają prawdziwe kobiece piersi. To, że były to piersi jego siostry, nie miało żadnego znaczenia. Starał się zapomnieć, że to były piersi siostry. Zza wiszącego kelimi, które rozdzielało ich łóżka, widział sylwetkę rozbierającej się Desdemony. To było po prostu ciało, które mogło należeć do kogokolwiek, a przynajmniej tak Lefty wolał o tym myśleć.

– Co tam robisz? – pytała Desdemona, rozbierając się. – Dlaczego jesteś tak cicho?

– Czytam.

– Co czytasz?

– Biblię.

– Akurat, nigdy nie czytasz Biblii.

Wkrótce po zgaszeniu światła uzmysłowił sobie, że jego myśli wędrują do leżącej obok siostry. Nawiedzała go w jego fantazjach, ale Lefty starał się opanować. Chodził natomiast do miasta, poszukując nagich kobiet, z którymi nie był spokrewniony.

Ale od tej nocy, gdy tańczyli walca, przestał się opierać. Ponieważ palce Desdemony przekazywały mu wiadomość, ponieważ ich rodzice nie żyli, a ich wioska została zniszczona, ponieważ nikt w Smyrnie nie wiedział, kim są, i ponieważ siedząca na walizce Desdemona wyglądała właśnie tak, a nie inaczej.

A Desdemona? Co ona czuła? Przede wszystkim strach i zmartwienie przerywane niesłychanymi wybuchami radości. Nigdy wcześniej nie złożyła głowy na męskim ramieniu, dopóki nie wyruszyli w podróż wozem zaprzężonym w woły. Nigdy jeszcze nie spała z mężczyzną wtulonym w jej plecy i otoczona jego ramionami, nigdy wcześniej nie czuła na swoich

plecach erekcji mężczyzny, który równocześnie starał się zachowywać, jakby nic się nie działo.

– Zostało jeszcze tylko pięćdziesiąt mil – powiedział Lefty pewnej nocy podczas ich wyczerpującej podróży do Smyrny. – Może się nam poszczęści i ktoś nas podwiezie. A jak już dotrzemy do Smyrny, znajdziemy statek, który nas zabierze do Aten – mówił ściśniętym głosem, dziwnie brzmiącym, kilka tonów wyżej niż normalnie. – A z Aten popłyniemy do Ameryki. Jak ci się to podoba? Bo mnie bardzo.

„Co ja robię?" – myślała Desdemona. – „On jest moim bratem!" Patrzyła na innych uchodźców na nabrzeżu, oczekując, że zaraz zaczną ją wytykać palcami i mówić: „Wstydziłabyś się!" – ale oni tylko wystawiali na widok swoje puste twarze i pozbawione wyrazu oczy. Nikt nie wiedział. Nikogo to nie obchodziło. Nagle usłyszała podniecony głos brata, który podsunął chleb przed jej oczy.

– Spójrz tylko. Manna z nieba.

Desdemona podniosła na niego wzrok. Ślina napłynęła jej do ust, gdy Lefty przełamał *chureki* na dwie części. Ale jej twarz pozostała smutna.

– Nie widać żadnych nadpływających statków – powiedziała.

– Są w drodze. Nie przejmuj się. Jedz. – Lefty usiadł obok niej na walizce. Dotykali się ramionami. Desdemona się odsunęła.

– O co chodzi?

– O nic.

– Zawsze, gdy siadam obok ciebie, ty się odsuwasz – spojrzał zdziwiony na Desdemonę, ale po chwili wyraz jego twarzy złagodniał i Lefty objął siostrę ramieniem. Zesztywniała.

– Dobra, niech będzie, jak chcesz – ponownie wstał.

– Dokąd idziesz?

– Znaleźć więcej jedzenia.

– Nie idź – błagała Desdemona. – Przepraszam. Nie chcę tu siedzieć sama.

Jednak Lefty już popędził. Opuścił nabrzeże i wałęsał się po ulicach miasta, mrucząc do siebie. Był zły na Desdemonę, że go odpychała, i był zły na siebie, że złościł się na nią, ponieważ wiedział, że ona ma rację. Ale nie trwało to długo. To nie leżało w jego naturze. Był zmęczony, bardzo głodny, bolało go gardło, miał zranioną rękę, ale mimo to Lefty nadal miał tylko

dwadzieścia lat, był w swojej pierwszej podróży poza domem i chłonął wszystkie nowe rzeczy, jakie widział. Po opuszczeniu nabrzeża można było zapomnieć, że w mieście panował kryzys. W okolicy znajdowały się modne sklepy i modne knajpy, które nadal były otwarte. Zszedł na Rue de France i znalazł się w klubie sportowym. Mimo panującego stanu zagrożenia dwóch zagranicznych konsulów grało w tenisa na znajdującym się w głębi trawiastym korcie. W słabnącym świetle przesuwali się do przodu i do tyłu, uderzając w piłkę, a stojący obok kortu, ubrany w białą marynarkę ciemnoskóry chłopiec trzymał tacę, na której stał gin z tonikiem. Lefty szedł dalej. Dotarł do placu z fontanną i przemył twarz. Nadeszła bryza, przynosząc zapach jaśminu z Bournabat. I gdy Lefty tak stoi, wdychając ten zapach, skorzystam z okazji, aby wskrzesić – wyłącznie z przyczyn elegijnych i tylko na jeden akapit – to miasto, które znikło raz na zawsze w 1922 roku.

Smyrna przetrwała w kilku piosenkach rebetiko i w jednej strofie z „Ziemi Jałowej" T. S. Eliota:

Pan Eugenides, handlowiec ze Smyrny,
Nie ogolony, z kieszeniami pełnymi rodzynek,
CIF na Londyn, oto dokumenty,
Zapraszał mnie w kulawej francuszczyźnie
Na śniadanie do Cannon Street Hotelu
I na weekend w Metropolu.

Zawarte jest tu wszystko, co trzeba wiedzieć o Smyrnie. Handlowiec jest bogaty, tak jak bogata była Smyrna. Jego propozycja była kusząca, podobnie jak Smyrna – najbardziej kosmopolityczne miasto na Bliskim Wschodzie. Wśród jej rzekomych założycieli były najpierw Amazonki (co ładnie komponuje się z moim tematem), a później sam Tantal. Urodził się tutaj Homer, a także Aristotelis Onasis. W Smyrnie Zachód i Wschód, opera i *politakia,* skrzypce i *zourna,* fortepian i *daouli* łączyły i mieszały się z sobą jak płatki róży i miód w miejscowych wyrobach cukierniczych.

Lefty ruszył dalej i wkrótce dotarł do Casin. Po obu stronach wspaniałego wejścia stały palmy w donicach, a drzwi były szeroko otwarte. Wszedł do środka. Nikt go nie zatrzymywał. W pobliżu nie było żywej duszy. Po czerwonym dywanie wszedł na pierwsze piętro, a następnie do

salonu gier. Przy stole do gry w kości nie było nikogo. Podobnie przy ruletce. Jednak w kącie po drugiej stronie pomieszczenia grupa mężczyzn grała w karty. Spojrzeli na Lefty'ego, ale po chwili powrócili do gry, nie zwracając uwagi na jego brudne ubranie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że gracze nie byli stałymi członkami klubu, ale uchodźcami jak on sam. Każdy z nich wchodził przez otwarte drzwi z nadzieją wygrania pieniędzy na wyjazd ze Smyrny. Lefty zbliżył się do stolika. Jeden z karciarzy zapytał:

– Grasz?

– Gram.

Nie rozumiał zasad gry. Nigdy wcześniej nie grał w pokera, tylko w tryktraka, i przez pierwsze pół godziny przegrywał raz za razem. W końcu jednak Lefty zaczął odróżniać pięciokartowe rozdanie od siedmiokartowego pokera otwartego i stopniowo bilans płatności wokół stolika zaczął się zmieniać.

– Trójka – powiedział Lefty, pokazując trzy asy, na co mężczyźni zaczęli mruczeć pod nosem i spoglądać na niego wściekłym wzrokiem. Baczniej się przyglądali, jak rozdaje karty, niesłusznie biorąc jego niezdarność za szulerskie sztuczki. Lefty'emu zaczęło się to podobać i po wygraniu dużej puli zawołał:

– Ouzo dla wszystkich! – ale kiedy nic się nie wydarzyło, podniósł wzrok i zobaczył, jak bardzo opustoszałe było Casin. I na ten widok przypomniał sobie, jak wysoka była stawka w tej grze. Życie. Grali o życie i dopiero teraz, gdy popatrzył na swoich towarzyszy przy stoliku, zobaczył krople potu na ich brwiach i poczuł ich kwaśny oddech. Lefty Stephanides, okazując dużo większą powściągliwość niż cztery dekady później, gdy grał na loterii w Detroit, wstał i powiedział:

– Kończę.

Chcieli go zabić. Kieszenie Lefty'ego były wypchane banknotami i grający upierali się, że nie może wyjść, nie dając im szansy na odegranie się. Schylił się, aby podrapać się w nogę, powtarzając:

– Mogę wyjść, kiedy tylko będę chciał.

Jeden z mężczyzn chwycił go za wybrudzone klapy marynarki i Lefty dodał:

– Ale jeszcze nie chcę – usiadł, drapiąc się w drugą nogę, i od tego czasu zaczął przegrywać. Kiedy stracił już wszystkie pieniądze, wstał i zapytał głosem pełnym oburzenia i złości:

– Czy już mogę iść? – mężczyźni powiedzieli, że jasne, może sobie pójść, i, śmiejąc się, zaczęli kolejne rozdanie. Lefty wyszedł sztywno z Casin. Przy wejściu, między palmami w donicach, schylił się, żeby wyjąć pieniądze, które ukrył w śmierdzących skarpetkach.

Na nabrzeżu odszukał Desdemonę.

– Spójrz, co znalazłem – powiedział, wymachując pieniędzmi. – Ktoś musiał je zgubić. Będziemy mogli dostać się na statek.

Desdemona krzyknęła i uścisnęła go. Ucałowała go prosto w usta. Zaraz potem cofnęła się, spłonęła rumieńcem i odwróciła twarz w stronę wody.

– Posłuchaj – powiedziała. – Ci Brytyjczycy znów słuchają muzyki.

Mówiła o wojskowym zespole grającym na *Iron Duke*. Każdego wieczoru podczas kolacji oficerskiej zespół rozpoczynał koncert na pokładzie statku. Nad wodą unosiły się dźwięki utworów Vivaldiego i Brahmsa. Siedząc przy kieliszku brandy, major Arthur Maxwell z wojsk piechoty morskiej Jego Królewskiej Mości oraz jego podwładni podawali sobie z rąk do rąk lornetki i obserwowali sytuację na brzegu.

– Niezły tłumek, prawda?

– Wygląda jak Victoria Station w Wigilię.

– Spójrz na te biedaczyska. Zostawiono ich i muszą sami sobie dawać radę. Jak się dowiedzą, że grecki komisarz wyjeżdża, to rozpęta się tu istne piekło.

– Czy będziemy ewakuować uchodźców, sir?

– Mamy rozkaz chronić brytyjską własność i obywateli.

– Ale, sir, jeśli przybędą Turcy i będzie tu masakra…

– Nic na to nie możemy poradzić, Phillips. Wiele lat spędziłem na Bliskim Wschodzie i nauczyłem się jednego, z tymi ludźmi nic nie da się zrobić. Zupełnie nic! Już najlepsi z nich są Turcy. Ormian porównałbym do Żydów. Niedorozwinięty charakter moralny i intelektualny. A jeśli chodzi o Greków, wystarczy tylko na nich popatrzeć. Najpierw spalili cały kraj, a teraz tłoczą się tu, wołając o pomoc. Dobre cygara, nieprawdaż?

– Doskonałe, sir.

– Tytoń ze Smyrny. Najlepszy na świecie. Płakać mi się chce na samą myśl o tym całym tytoniu leżącym w magazynach.

– Może powinniśmy wydać rozkaz, żeby ratować tytoń?

– Cóż to, czy słyszę nutkę sarkazmu, Phillips?

– Delikatną, sir, bardzo delikatną.

– Na Boga, Phillips. Nie jestem człowiekiem bez serca. Chciałbym móc udzielić pomocy tym ludziom. Ale nie możemy. To nie jest nasza wojna.

– Czy jest pan tego pewien, sir?

– Co masz na myśli?

– Mogliśmy wesprzeć siły greckie. Skoro sami ich wysłaliśmy.

– Oni się do tego wprost palili! Venizelos i ta jego banda. Chyba nie pojmujesz w pełni złożoności całej sytuacji. W Turcji mamy swoje interesy i musimy postępować z największą ostrożnością. Nie możemy dać się wciągnąć w te bizantyjskie rozruchy.

– Rozumiem, sir. Może jeszcze koniaku?

– Tak, dziękuję.

– Ale trzeba przyznać, że to piękne miasto, nieprawdaż?

– Jak najbardziej. Wiesz, co Strabon powiedział o Smyrnie? Nazwał ją najpiękniejszym miastem w Azji. To było jeszcze w czasach Augusta. Przetrwało tak długo. Przyjrzyj się dobrze, Phillips. Przyjrzyj się bardzo dobrze.

Dnia 7 września 1922 roku wszyscy Grecy w Smyrnie, łącznie z Leftym Stephanidesem, noszą fezy, aby uchodzić za Turków. Ewakuacja greckich żołnierzy odbywa się w Chesme. Armia turecka znajduje się w odległości tylko trzydziestu mil, a z Aten nie przybywają żadne statki z misją ewakuacji uchodźców.

Lefty, z pieniędzmi w kieszeni i w fezie na głowie, przepycha się przez ubrany w rdzawoczerwone czapki tłum na nabrzeżu. Przechodzi przez szyny tramwajowe i kieruje się na wzgórze. Znajduje biuro okrętowe. W środku urzędnik siedzi nad listą pasażerów. Lefty wyjmuje swoją wygraną i mówi:

– Dwa bilety do Aten!

Głowa się nie podnosi.

– Pokład czy kabina?

– Pokład.

– Tysiąc pięćset drachm.

– Nie, nie kabina – powtarza Lefty – wystarczy pokład.

– To jest za pokład.

– Tysiąc pięćset? Nie mam tyle. Wczoraj było pięćset.

– To było wczoraj.

Dnia 8 września 1922 roku generał Hajienestis siada na łóżku w swojej kajucie i zaczyna rozcierać nogi, najpierw prawą, a następnie lewą, stuka w nie kłykciami i wstaje. Wychodzi na pokład, krocząc z wielką godnością, tak jak będzie później szedł na spotkanie śmierci w Atenach, gdzie zostanie stracony za przegranie wojny.

Na nabrzeżu grecki gubernator, Aristedes Sterghiades, wchodzi na pokład szalupy, która ma zabrać go z miasta. Z tłumu dochodzą gwizdy i okrzyki, widać wygrażające pięści. Generał Hajienestis patrzy na tę scenę ze spokojem. Tłum zasłania nabrzeże, jego ulubioną kawiarnię. Może zobaczyć jedynie markizy kina, w którym dziesięć dni temu oglądał *Le Tango de la Mort*. Przez chwilę – i być może jest to kolejna halucynacja – czuje zapach świeżego jaśminu z Bournabat. Wdycha go. Szalupa dobija do statku i na pokład wspina się, z poszarzałą twarzą, Sterghiades.

W tym momencie generał Hajienestis wydaje jedyny w ciągu kilku ostatnich tygodni rozkaz:

– Podnieść kotwicę. Maszyny wstecz. Cała naprzód.

Stojąc na brzegu, Lefty i Desdemona obserwowali, jak odpływa grecka flota. Tłum rzucił się w kierunku wody, podniósł swoje czterysta tysięcy rąk i krzyczał. A następnie ucichł. Żadne usta nie wydały dźwięku, gdy do ludzi dotarło, że własny kraj ich opuścił, że Smyrna nie ma już rządu, że nic już nie stało na drodze między nimi a nadciągającymi Turkami.

(A czy już wspomniałem, że latem wzdłuż ulic Smyrny stały kosze z płatkami róż? I jak wszyscy w mieście potrafili mówić po francusku, włosku, grecku, turecku, angielsku i holendersku? I czy mówiłem już o słynnych figach przywożonych przez karawany wielbłądów i zrzucanych na ziemię, ogromnych stosach mięsistych owoców leżących w kurzu; brudne kobiety rozmiękczały je słoną wodą, a dzieci kucały za tymi stosami, żeby zrobić kupkę? I czy wspominałem, jak opary tych figowych kobiet mieszały się z przyjemnym aromatem drzew migdałowych, mimozy, lauru i brzoskwini, i jak wszyscy zakładali maski na Mardi Gras i jadali wykwintne obiady na pokładach fregat? Chciałbym o tym wspomnieć, ponieważ wszystko to zdarzyło się w tym mieście, które tak naprawdę nie było żadnym konkretnym miejscem, które tak naprawdę nie stanowiło części jakiegoś kraju, ponieważ należało do wszystkich krajów, i ponieważ dziś, jeśli tam się wybierzesz, zobaczysz współczesne

wieżowce, marne bulwary, zatłoczone cukiernie, dowództwo NATO i tablicę z napisem „Izmir”…)

Pięć przyozdobionych gałązkami oliwnymi samochodów wpadło przez bramy miasta. Kawaleryjski galop, zderzak przy zderzaku. Samochody z rykiem przejeżdżają obok zadaszonego bazaru, przez wiwatującą ciżbę w dzielnicy tureckiej, gdzie na wszystkich latarniach, drzwiach i oknach powiewają czerwone kawałki materiału. Zgodnie z prawem osmańskim Turcy muszą zajmować tereny najwyżej położone w mieście, dlatego też konwój dotarł tak wysoko nad miasto i teraz kieruje się w dół. Wkrótce pięć samochodów przejeżdża przez opustoszałe dzielnice, w których domy albo zostały opuszczone, albo służą za kryjówkę dla całych rodzin. Anita Philoboshian zerka zza okna i widzi nadjeżdżający piękny, pokryty liśćmi pojazd, widok tak frapujący, że zaczyna odmykać okiennice, ale matka zaraz ją odciąga od okna… Pojawiają się także inne twarze przyciśnięte do listewek, ormiańskie, bułgarskie i greckie oczy wyglądające z kryjówek i strychów, aby zobaczyć zdobywcę i odgadnąć jego zamiary, ale samochody poruszają się zbyt szybko, a blask odbitego od wzniesionych szabli kawalerzystów słońca oślepia oczy. I już samochody znikły, docierając do nadbrzeża, gdzie konie szarżują na tłum, a uchodźcy krzyczą i rozbiegają się we wszystkie strony.

Na tylnym siedzeniu ostatniego samochodu siedzi Mustafa Kemal. Jest wychudły od walki. Jego niebieskie oczy błyszczą. Od dwóch tygodni nie wypił kropli alkoholu (zapalenie uchyłka, na które leczył paszę doktor Philoboshian, było tylko próbą zatuszowania rzeczywistości – Kemal, zwolennik kultury Zachodu i tworzenia świeckiego państwa tureckiego, pozostanie wierny swoim zasadom do samego końca i umrze w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat na marskość wątroby).

Przejeżdżając, odwraca się i patrzy na tłum w chwili, gdy młoda kobieta wstaje z walizki. Spojrzenie niebieskich oczu przeszywa oczy piwne. Dwie sekundy. Nawet nie dwie. Następnie Kemal odwraca wzrok, konwój odjeżdża.

Teraz to już tylko kwestia wiatru. Pierwsza po południu, środa, 13 września 1922 roku. Lefty i Desdemona są w mieście już od siedmiu dni. Zapach jaśminu ustąpił miejsca zapachowi benzyny. Wokół dzielnicy ormiańskiej

wzniesiono barykady. Wojska tureckie blokują wyjścia z nabrzeża. Ale wiatr nadal wieje ze złego kierunku. Jednak koło północy zaczyna się zmieniać i wiać w kierunku południowo-zachodnim, czyli od strony tureckich wzgórz, w stronę portu.

W ciemnościach zbierają się pochodnie. Trzech tureckich żołnierzy stoi w zakładzie krawieckim. Trzymane przez nich pochodnie oświetlają bele materiału i wiszące na wieszakach ubrania. Po chwili, gdy światło staje się jaśniejsze, z ciemności wyłania się postać krawca. Siedzi przy maszynie do szycia, prawa stopa nieruchomo na pedale. Światło staje się jeszcze jaśniejsze i ukazuje jego twarz, puste oczodoły, broda powyrywana w krwawych strzępach.

Płomienie szaleją w całej dzielnicy ormiańskiej. Iskry przelatują przez ciemne miasto jak miliony robaczków świętojańskich, zapładniając nasieniem ognia każde nowe miejsce, na które spadną. W swoim domu przy ulicy Suyane doktor Philoboshian rozwiesza na balkonie wilgotny dywan, szybko wraca do ciemnego wnętrza i zamyka okiennice. Ale blask wciska się do pokoju, rozświetlając go w jasnociemne pasy: przerażone oczy Toukhie, czoło Anity przewiązane srebrną wstążką jak u Clary Bow w *Photoplay*, nagą szyję Rose, ciemne, opuszczone głowy Stepana i Karekina.

Przy blasku ognia doktor Philoboshian po raz piąty tej nocy czyta: „… prosi o potraktowanie okaziciela tego listu z szacunkiem, zaufaniem i otoczenie go opieką". Słyszeliście? „Opieką".

Po drugiej stronie ulicy pani Bidzikian śpiewa trzy kulminacyjne nuty arii Królowej Nocy z opery „Czarodziejski flet". Ta muzyka brzmi tak dziwnie wśród innych hałasów – wyłamywanych drzwi, krzyczących ludzi, wołających dziewcząt – że wszyscy spoglądają w górę. Pani Bidzikian powtarza nuty b, d i f jeszcze dwa razy, jakby ćwicząc arię, i nagle jej głos uderza w nutę, jakiej nikt z nich nigdy jeszcze nie słyszał, i uświadamiają sobie, że pani Bidzikian wcale nie śpiewa arii.

– Rose, podaj mi moją torbę.

– Nishan, nie! – protestuje jego żona. – Jeśli zobaczą, że wychodzisz, będą wiedzieć, że się ukrywamy.

– Nikt nie zauważy.

Pierwsze płomienie Desdemona zauważyła jako błyski światła na kadłubach statków. Pomarańczowe pociągnięcia pędzlem migotały nad linią wodną USS *Litchfield* i francuskiego parowca *Pierre Loti*. Później rozjaśniła się woda, jakby do portu wpłynęła ławica fosforyzujących ryb.

Głowa Lefty'ego spoczywała na jej ramieniu. Sprawdziła, czy śpi: „Lefty, Lefty?" Kiedy nie odpowiedział, ucałowała czubek jego głowy. W tym momencie rozległy się syreny.

Widzi nie jeden ogień, ale wiele ogni. Na górującym nad nią wzgórzu widać dwadzieścia pomarańczowych punktów. Te ognie są wyjątkowo uparte. Gdy tylko strażacy ugaszą jeden pożar, już w innym miejscu wybucha następny. Wybuchają w wozach z sianem i w koszach na śmieci; biegną środkiem ulic za śladami benzyny, zakręcają na rogach, wchodzą przez wyłamane drzwi. Ogień wdarł się do piekarni Berberiana i szybko rozprawił się z półkami na chleb i wózkami do wystawiania ciasteczek. Płonie w części mieszkalnej i wspina się po frontowych schodach, na których, w połowie drogi, spotyka się z samym Charlesem Berberianem, starającym się stłumić płomienie kocem. Ale ogień mu się wymyka, omija go bokiem i biegnie na górę, do mieszkania. Stąd przemyka po orientalnym dywanie, wychodzi na tylny ganek, zgrabnie przeskakuje na sznur na bieliznę i jak linoskoczek przechodzi do domu znajdującego się z tyłu. Wspina się do okna i na chwilę zatrzymuje się, jakby zdumiony swoim szczęściem – wszystko w tym domu jest po prostu stworzone do spalenia: adamaszkowa sofa z długimi frędzlami, mahoniowe stoliki i perkalowe abażury. Od gorąca tapety odchodzą całymi płatami, a tak jest nie tylko w tym mieszkaniu, ale w dziesięciu czy piętnastu innych, następnie w dwudziestu czy dwudziestu pięciu, każdy kolejny dom zapala dom sąsiedni, aż cały kwartał stoi w ogniu. W mieście unosi się smród płonących rzeczy, takich rzeczy, które nigdy nie powinny się były palić: pasty do butów, trutki na szczury, pasty do zębów, strun fortepianu, pasów przepuklinowych, dziecinnych łóżeczek, maczug do gimnastyki. I włosów, i skóry. Teraz już włosów i skóry. Lefty i Desdemona stoją na nabrzeżu wraz ze wszystkimi innymi, z ludźmi zbyt oszołomionymi, aby zareagować, albo wciąż na poły śpiącymi, albo chorymi na tyfus i cholerę, albo tak wyczerpanymi, że nic już ich nie obchodzi. I wtedy, nagle, wszystkie widoczne na wzgórzu płomienie formują się w jedną wielką

ścianę ognia, rozciągającą się przez miasto, która – to już nieuniknione – rusza w dół, w ich kierunku.

(Przypominam sobie również coś innego: mój ojciec, Milton Stephanides, ubrany w szlafrok i pantofle, schyla się, aby zapalić ogień w bożonarodzeniowy poranek. Tylko raz w roku potrzeba pozbycia się góry papieru pakunkowego i tekturowych opakowań przeważała nad sprzeciwem Desdemony wobec używania naszego kominka.

– Mamo – ostrzegał ją Milton. – Spalę trochę tych śmieci.

Na co Desdemona wykrzykiwała:

– *Mana!* – i chwytała swoją laskę. Przy palenisku mój ojciec wyciągał długą zapałkę z sześciokątnego pudełka. Ale Desdemona już się oddalała w stronę bezpiecznej kuchni, gdzie był elektryczny piec.

– Wasza *yia yia* nie lubi płomieni – tłumaczył nam ojciec. Zapalał zapałkę i trzymał ją przy papierze pokrytym krasnoludkami oraz Mikołajami, po którym zaczęły skakać płomienie, a my, pełne ignorancji amerykańskie dzieci, szaleliśmy, wrzucając do ognia papier, pudełka i wstążki.)

Doktor Philoboshian wyszedł na ulicę, spojrzał w lewo i w prawo, i szybko wbiegł w znajdujące się po drugiej stronie, otwarte drzwi. Wspiął się na podest schodów, z którego mógł zobaczyć tył głowy siedzącej w saloniku pani Bidzikian. Podbiegł powiedzieć sąsiadce, żeby się nie obawiała, że to tylko on, doktor Philoboshian z drugiej strony ulicy. Wydawało się, że pani Bidzikian skinęła głową, ale jej głowa już się z powrotem nie podniosła. Doktor Philoboshian przykląkł. Dotknął jej szyi i wyczuł słaby puls. Delikatnie wyciągnął ją z fotela i ułożył na podłodze. W chwili, gdy to robił, usłyszał na schodach kroki. Przebiegł na drugą stronę pokoju i schował się za zasłonami w tym samym momencie, w którym do pokoju wpadli żołnierze.

Przez piętnaście minut plądrowali apartament, zabierając wszystko, co zostawiła pierwsza banda. Wyrzucali zawartość szuflad, rozpruwali sofy i ubrania, szukając ukrytych kosztowności i pieniędzy. Po ich wyjściu doktor Philoboshian odczekał jeszcze pełne pięć minut, zanim wyszedł zza zasłony. Puls pani Bidzikian się zatrzymał. Rozłożył na jej twarzy swoją chusteczkę i zrobił nad ciałem znak krzyża. Następnie podniósł torbę lekarską i z powrotem zbiegł po schodach.

Nadciąga ogień poprzedzony falą gorącego powietrza. Leżące w stosach na nabrzeżu figi, niezaładowane na czas, zaczynają się piec, wydzielając pęcherzyki i puszczając sok. Słodka woń miesza się z zapachem dymu. Desdemona i Lefty stoją nad samą wodą, wraz z innymi. Nie ma dokąd uciekać. Tureccy żołnierze pozostają na barykadach. Ludzie modlą się, wznosząc do góry ramiona i kierując błagania w stronę stojących w porcie statków. Reflektory omiatają wodę, oświetlając ludzi płynących, tonących.

– Umrzemy, Lefty.

– Nie, nie umrzemy. Wydostaniemy się stąd – ale Lefty sam w to nie wierzy. Patrząc na płomienie, również jest przekonany, że czeka ich śmierć. I właśnie to przekonanie stanowi impuls do powiedzenia czegoś, czego w innej sytuacji nigdy by nie powiedział, czegoś, co nigdy by mu nawet nie przyszło na myśl.

– Wydostaniemy się stąd. A później się pobierzemy.

– Nie powinniśmy w ogóle wyjeżdżać. Trzeba było zostać w Bithynios.

Gdy płomienie zbliżyły się już na bardzo niewielką odległość, otworzyły się drzwi francuskiego konsulatu. Garnizon piechoty morskiej formuje dwie linie ciągnące się przez nabrzeże do portu. Francuska flaga opada w dół. Przez drzwi konsulatu wychodzą ludzie, mężczyźni w kremowych garniturach i kobiety w słomkowych kapeluszach, idą ramię w ramię do oczekującej łodzi motorowej. Ponad skrzyżowanymi karabinami piechoty morskiej Lefty widzi świeży puder na twarzach kobiet, zapalone cygara w ustach mężczyzn. Jedna z kobiet trzyma pod pachą pudla. Inna potyka się i łamie obcas, pociesza ją mąż. Po odpłynięciu motorówki urzędnik zwraca się do tłumu:

– Ewakuowani będą tylko obywatele francuscy. Natychmiast zaczynamy wydawanie wiz.

Aż podskakują na dźwięk pukania. Stepan podchodzi do okna i patrzy w dół.

– To chyba ojciec.

– Idź. Wpuść go! Szybko! – mówi Toukhie.

Karekin biegnie w dół schodów, przeskakując co drugi stopień. Przy drzwiach zwalnia, opanowuje się i cicho otwiera zamek. W pierwszej chwili, gdy otwiera drzwi, nie widzi nic. W następnym momencie słychać cichy syk, a po nim dźwięk rozdzieranego materiału. Nie zauważa żadnego

związku tego hałasu ze swoją osobą do chwili, gdy nagle odpada guzik z jego koszuli i ze stukotem uderza w drzwi. Karekin spogląda w dół, a jego usta wypełniają się ciepłym płynem. Czuje, że jakaś siła podnosi go do góry, przez moment powraca wspomnienie z dzieciństwa, gdy był podrzucany przez ojca, jeszcze zdąży powiedzieć: „Tato, mój guzik", ale już jest na tyle wysoko, że widzi stalowy bagnet przekłuwający jego mostek. Blask odbitych płomieni biegnie wzdłuż lufy karabinu, ponad muszką i szczerbinką, do ekstatycznie rozpromienionej twarzy żołnierza.

Ogień zbliżył się niebezpiecznie do tłumu na nabrzeżu. Zajął się dach amerykańskiego konsulatu. Płomienie wspinały się po gmachu kina, przypalały markizy. Tłum cofał się stopniowo przed gorącem. Ale Lefty, czując swoją szansę, nie zniechęcał się.

– Nikt się nie dowie – powiedział. – Kto może wiedzieć? Zostaliśmy tylko my.

– Tak nie można.

Dachy się zapadały, ludzie krzyczeli, a Lefty przyłożył usta do ucha siostry.

– Obiecałaś mi znaleźć miłą Greczynkę. Ty nią jesteś.

Z jednej strony mężczyzna rzucił się do wody, starając się utopić, z drugiej kobieta właśnie rodziła, a jej mąż osłaniał ją płaszczem.

– *Kaymaste! Kaymaste!* – krzyczeli ludzie. – Płoniemy! Płoniemy!

Desdemona wskazała na ogień, na wszystko, co się wokół nich działo.

– Już za późno, Lefty. Teraz to już nie ma znaczenia.

– Ale jeślibyśmy przeżyli? Wyszłabyś wtedy za mnie?

Skinienie głowy. To było wszystko. I Lefty zniknął, pobiegł w kierunku płomieni.

Na czarnym ekranie przesuwa się obraz widziany przez lornetkę, prezentujący znajdujących się w oddali uchodźców. Ich krzyk jest bezgłośny. Wyciągają błagalnie ręce.

– Ci biedacy spalą się żywcem.

– Proszę o pozwolenie na wzięcie na pokład tonącego, sir.

– Nie zgadzam się, Phillips. Jak tylko weźmiemy jednego, będziemy musieli zabrać ich wszystkich.

– To dziewczynka, sir.

– Ile może mieć lat?

– Wygląda na dziesięć lub jedenaście.

Major Arthur Maxwell opuszcza lornetkę. Trójkątny guzek w jego szczęce napina się i znika.

– Niech pan na nią spojrzy, sir.

– Nie wolno nam poddawać się emocjom, Phillips. Gra idzie o wyższą stawkę.

– Niech pan na nią spojrzy, sir.

Nozdrza majora Maxwella rozchylają się, gdy patrzy na kapitana Phillipsa. Następnie, klepiąc się w udo, przechodzi na drugą burtę statku.

Reflektory przeczesują wodę, a ich światło tworzy osobne pole widzenia w kształcie okręgu. W tym promieniu jasności woda prezentuje się niesamowicie, jak bezbarwny bulion zaśmiecony różnymi przedmiotami: jasną pomarańczą, męskim filcowym kapeluszem ze śladami ekskrementów, kawałkami papieru wyglądającymi jak podarte listy. I nagle wśród tej nieruchomej materii wyłania się ona, trzymająca się liny statku, dziewczynka w różowej sukience, sprawiającej w wodzie wrażenie ciemniejszej, czerwonej; włosy dziewczynki przylepione do jej małej czaszki. W oczach nie widać prośby, po prostu patrzą w górę. Jej drobne stopy poruszają się od czasu do czasu jak płetwy.

Ogień karabinowy z brzegu rozbryzguje wodę wokół niej. Dziewczynka w ogóle nie zwraca na to uwagi.

– Wyłączyć reflektor!

Światło gaśnie i strzelanina zamiera. Major Maxwell patrzy na zegarek.

– Mamy dwudziestą pierwszą piętnaście. Idę do mojej kajuty, Phillips. Zostanę tam do siódmej. Jeśli w tym czasie na pokładzie pojawi się jakiś uchodźca, nie zauważę tego. Czy to jest jasne?

– Tak jest, sir.

Doktorowi Philoboshianowi nie przyszło na myśl, że poskręcane zwłoki, które przekroczył na ulicy, były ciałem jego młodszego syna. Zauważył tylko, że frontowe drzwi są otwarte. W korytarzu zatrzymał się, nasłuchując. Tylko cisza. Powoli, wciąż trzymając torbę lekarską, wspiął się po schodach. Włączone były wszystkie światła. Salon był jasno oświetlony. Toukhie siedziała na sofie, czekając na niego. Głowę miała przechyloną do tyłu, jakby w rozbawieniu, a kąt odchylenia spowodował, że otwarta rana aż lśniła odsłoniętą częścią tchawicy. Stepan siedział pochylony przy stole jadalnym, jego prawa ręka, w której trzymał mający ich ochronić list, była

przybita do stołu nożem kuchennym. Doktor Philoboshian zrobił krok i poślizgnął się – w tym momencie zauważył ślad krwi biegnący w dół korytarza. Poszedł za tym śladem do głównej sypialni, gdzie znalazł swoje dwie córki. Obie były nagie, leżały na plecach. Trzy z ich czterech piersi były odcięte. Ręka Rose była wyciągnięta w kierunku leżącej obok siostry, jakby chciała poprawić srebrną wstążkę na jej czole.

Kolejka była długa i poruszała się powoli. Lefty miał czas na to, aby powtórzyć słownictwo. Starał się przypomnieć sobie zasady gramatyczne, zerkając od czasu do czasu do rozmówek. Powtarzał: „Lekcja pierwsza. Powitanie" i gdy doszedł do urzędnika przy stoliku, był już przygotowany.

– Nazwisko?

– Eleutherios Stephanides.

– Miejsce urodzenia?

– Paryż.

Urzędnik podniósł wzrok.

– Paszport.

– Wszystko zniszczone w pożarze! Straciłem moje dokumenty! – Lefty ściągnął wargi i wypuścił powietrze; widział, że tak robią Francuzi.

– Proszę zobaczyć, w co ja jestem ubrany. Straciłem moje dobre ubrania.

Urzędnik uśmiechnął się cierpko i przybił pieczęć na papierach.

– Przechodzić.

– Jest ze mną moja żona.

– Jak sądzę, ona też urodziła się w Paryżu?

– Oczywiście.

– Imię?

– Desdemona.

– Desdemona Stephanides?

– Zgadza się, tak jak ja.

Kiedy wrócił z wizami, Desdemona nie była sama. Na walizce obok niej siedział mężczyzna.

– Próbował rzucić się do wody. Złapałam go w ostatniej chwili.

Oszołomiony, zakrwawiony, z jedną ręką zawiniętą błyszczącym bandażem, mężczyzna powtarzał:

– Nie umieli czytać. Byli analfabetami!

Lefty poszukał źródła krwawienia, ale nie mógł znaleźć rany. Odwinął bandaż i srebrną wstążkę, a następnie wyrzucił opatrunek.

– Nie potrafili przeczytać mojego listu – powiedział mężczyzna, patrząc na Lefty'ego, który już rozpoznał jego twarz.

– To znowu ty? – zapytał francuski urzędnik.

– To mój kuzyn – powiedział Lefty w obrzydliwej francuszczyźnie. Mężczyzna podbił wizę i wręczył ją Lefty'emu.

Motorówka zawiozła ich na statek. Lefty trzymał doktora Philoboshiana, który wciąż groził, że rzuci się do wody. Desdemona otworzyła skrzyneczkę na jedwabniki i odwinęła biały materiał, aby sprawdzić, jak wyglądają jajeczka. Wokół nich w cuchnącej wodzie przepływały ludzkie ciała. Niektóre jeszcze żywe, wołające. W świetle reflektora ukazała się postać chłopca, który wspiął się do połowy wysokości łańcucha kotwicznego okrętu wojennego. Marynarze wylali na niego olej i chłopiec ześlizgnął się z powrotem do wody.

Na pokładzie okrętu *Jean Bart* trzech nowych obywateli Francji spoglądało w tył na płonące miasto, całe stojące w płomieniach. Pożar miał trwać jeszcze przez następne trzy dni, płomienie było widać z odległości pięćdziesięciu mil. Na morzu marynarze brali podnoszący się dym za gigantyczny łańcuch górski. W kraju, do którego zmierzali, w Ameryce, spalenie Smyrny zajmowało pierwsze strony gazet przez dzień czy dwa, zanim zostało wyparte przez sprawę morderstwa Halla i Mills (ciało Halla, protestanckiego pastora, znaleziono wraz z ciałem panny Mills, atrakcyjnej chórzystki) i otwarcie mistrzostw w baseballu. Admirał Mark Bristol z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, obawiając się, że mogą ucierpieć amerykańsko-tureckie stosunki, przesłał telegraficznie komunikat prasowy, w którym podał, że „nie można oszacować liczby zmarłych w wyniku zabójstw, płomieni i egzekucji, ale prawdopodobnie nie przekracza ona łącznie dwóch tysięcy osób". Amerykański konsul, George Horton, był mniej powściągliwy w szacunkach. Z 400 tysięcy osmańskich chrześcijan, którzy żyli w Smyrnie przed pożarem, 1 października nieznany był los 190 tysięcy. Horton podzielił tę liczbę przez dwa i oszacował liczbę zgonów na około 100 tysięcy.

Kotwice z hurkotem wyskoczyły z wody. Pokład zadrżał pod stopami, gdy silniki niszczyciela zaczęły pracować, wycofując statek z portu. Desdemona i Lefty patrzyli na oddalający się brzeg Azji Mniejszej.

Gdy przepływali obok okrętu *Iron Duke*, brytyjska orkiestra wojskowa właśnie zaczynała grać walca.

Jedwabny szlak

Jak głosi pradawna chińska legenda, gdy pewnego dnia w 2640 roku przed Chrystusem księżniczka Si Ling-chi siedziała, pijąc herbatę, pod drzewem morwowym, do jej filiżanki wpadł kokon jedwabnika. Kiedy chciała go wyjąć, zauważyła, że w gorącym płynie kokon zaczął się rozwijać. Koniec nici z kokonu podała służącej i poleciła jej iść przed siebie. Ciągnąc nić, służąca obeszła dziedziniec pałacowy, przeszła przez bramę pałacu i wyszła z Zakazanego Miasta, a nić kokonu skończyła się dopiero kilometr dalej. (Na Zachodzie legenda ta przez trzy tysiąclecia przekształciła się w opowieść o fizyku i jabłku. Tak czy owak, znaczenie obu opowieści jest takie samo – wielkie odkrycia, i te dotyczące jedwabiu, i te dotyczące siły grawitacji, zawsze przychodzą nieoczekiwanie. I trafiają się osobom, które leniuchują pod drzewami).

Czuję się trochę jak ta chińska księżniczka dokonująca odkrycia, które zapewniło Desdemonie środki do życia. Podobnie jak ona rozwijam swoją opowieść, a im dłuższa jest nić, tym mniej zostaje do opowiedzenia. Spróbujmy zatem odtworzyć tę drogę i powrócimy do miejsca w kokonie, gdzie zaczyna się delikatna nić, pierwszy zawiązek, pierwsza nieśmiała pętla. Podążając za włókienkiem mojej opowieści z powrotem do chwili, w której ją przerwałem, widzę dok w Atenach i cumujący w nim statek *Jean Bart*. Widzę moich dziadków, znowu stojących na stałym lądzie i przygotowujących się do kolejnej podróży. Paszporty w dłoniach, na ramionach ślad po szczepieniu. W porcie materializuje się inny statek – *Giulia*. Słychać buczenie syreny mgłowej.

Ale spójrzmy – z pokładu *Giulii* rozwija się coś innego. Coś wielobarwnego, co rozpościera się nad wodami Pireusu.

W tamtych czasach był zwyczaj, zgodnie z którym pasażerowie odpływający do Ameryki wnosili na pokład kłębki przędzy, a ich krewni, stojąc na nabrzeżu, trzymali w dłoniach końce tych kłębków. Gdy

zabuczała syrena *Giulii* i statek zaczął wypływać z portu, nad wodą rozciągało się kilkaset nici. Ludzie wykrzykiwali ostatnie słowa pożegnania, machali rękami jak szaleni, unosili dzieci wysoko, aby po raz ostatni spojrzały na obraz, którego nigdy nie miały pamiętać. Śruby napędowe statku zakręciły się w miejscu, chusteczki trzepotały, a kłębki na pokładzie zaczęły się rozwijać. Czerwone, żółte, niebieskie, zielone nitki odwijały się w kierunku nabrzeża, najpierw powoli, jeden obrót na dziesięć sekund, później coraz szybciej, w miarę jak statek nabierał prędkości. Pasażerowie trzymali kłębki tak długo, jak to tylko było możliwe, starając się w ten sposób utrzymać łączność ze znikającymi na brzegu twarzami. Ale w końcu, jeden po drugim, kłębki się kończyły. Przędza, unoszona wiatrem, powiewała swobodnie.

Z dwóch różnych miejsc na pokładzie *Giulii* Lefty i Desdemona – mogę to już powiedzieć: moi dziadkowie – obserwowali ulatujący zwiewny kobierzec. Desdemona stała między dwoma wywietrznikami klimatyzacji, które wyglądały jak gigantyczne tuby. Lefty kręcił się wśród kawalerów na śródokręciu. Nie widzieli się przez ostatnie trzy godziny. Tego poranka wypili razem kawę w kawiarence niedaleko portu, a następnie, jak zawodowi szpiedzy, zabrali walizki, każde swoją – Desdemona nadal miała skrzyneczkę z jedwabnikami – i rozeszli się w różnych kierunkach. Moja babka miała sfałszowane dokumenty. W jej paszporcie, wydanym przez grecki rząd pod warunkiem, że natychmiast opuści kraj, widniało panieńskie nazwisko jej matki: Aristos, a nie Stephanides. Wchodząc na trap *Giulii,* pokazała ten paszport wraz z kartą pokładową. Później, zgodnie z planem, poszła na rufę, skąd miała oglądać ceremonię pożegnania.

W kanale żeglugowym syrena zabuczała ponownie, gdy statek skierował się na zachód i zaczął nabierać prędkości. Na wietrze trzepotały chustki, marynarki i suto marszczone spódnice. Przy wtórze śmiechów i okrzyków kilka kapeluszy odfrunęło z głów. Przędza tworzyła siateczkę na niebie, teraz ledwo już widoczną. Ludzie patrzyli tak długo, jak długo mogli coś zobaczyć. Desdemona jako jedna z pierwszych zeszła pod pokład. Lefty wałęsał się po pokładzie jeszcze przez pół godziny. To również stanowiło część planu.

Pierwszego dnia na morzu w ogóle z sobą nie rozmawiali. Wychodzili na pokład o określonych porach posiłków i stali w osobnych kolejkach. Po

posiłku Lefty dołączał do mężczyzn palących przy relingu, podczas gdy Desdemona stała skulona na pokładzie z kobietami i dziećmi, próbując schować się przed wiatrem.

– Czy ktoś będzie na ciebie czekał? – spytała ją jedna z kobiet. – Narzeczony?

– Nie, tylko kuzynka z Detroit.

– Sam podróżujesz? – pytali mężczyźni Lefty'ego.

– Zgadza się. Wolny jak ptak.

W nocy schodzili do swoich pomieszczeń. W osobnych kojach z wodorostów zawiniętych w grube płótno, z kamizelkami ratunkowymi służącymi za poduszki, próbowali spać, przyzwyczaić się do kołysania statku i znosić różne zapachy. Pasażerowie przynieśli na statek wszelkiego rodzaju przyprawy i słodkie przysmaki, sardynki w puszce, ośmiornice w sosie winnym, nogi jagnięce zakonserwowane ząbkami czosnku. W tamtych czasach narodowość człowieka można było rozpoznać po jego zapachu. Leżąc na plecach z zamkniętymi oczami, Desdemona mogła wyczuć charakterystyczny cebulowy zapach śpiącej po prawej Węgierki oraz zapach surowego mięsa, jaki zalatywał od Ormianki po lewej (a one z kolei potrafiły rozpoznać, że Desdemona jest Greczynką, pachniała bowiem czosnkiem i jogurtem). Wrażenia, które musiał znosić Lefty, były zarówno natury dźwiękowej, jak i węchowej. Po jednej stronie jego koi spał mężczyzna, zwany Callas, który chrapał jak niedźwiedź, a po drugiej doktor Philoboshian, który płakał przez sen. Od momentu opuszczenia Smyrny doktor był nieutulony w swoim żalu. Dręczony wspomnieniami, zdruzgotany, leżał zawinięty w swój płaszcz, a jego oczy były stale podkrążone. Prawie nic nie jadł. Nie chciał też wychodzić na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Podczas tych kilku chwil, które zdecydował się spędzić na górze, groził, że wyskoczy za burtę.

W Atenach doktor Philoboshian prosił ich, żeby zostawili go samego. Nie chciał rozmawiać o przyszłości i mówił, że nie ma już nigdzie żadnej rodziny.

– Moja rodzina zginęła. Zamordowali ich.

– Biedak – powiedziała Desdemona. – Nie chce żyć.

– Musimy mu pomóc – nalegał Lefty. – Dał mi pieniądze. Opatrzył moją rękę. Nikt inny wtedy nie zatroszczył się o nas. Zabierzemy go z sobą.

W oczekiwaniu na pieniądze, które miała im przesłać kuzynka, Lefty starał się pocieszyć doktora i w końcu udało mu się go przekonać, aby pojechał z nimi do Detroit.

– Obojętnie dokąd, byle daleko – zgodził się Philoboshian. Ale teraz na statku mówił tylko o śmierci. Podróż miała trwać od dwunastu do czternastu dni. Lefty i Desdemona dokładnie opracowali cały plan. Drugiego dnia na morzu, zaraz po obiedzie, Lefty wybrał się na wycieczkę po statku. Ostrożnie wybierał drogę między ciałami pasażerów porozkładanych na pokładzie czwartej klasy. Minął schody prowadzące do sterówki, przecisnął się obok dodatkowych ładunków, skrzyń z oliwkami Kalamata i oliwą z oliwek, a także z pianką morską z Kos. Szedł dalej, sunąc dłonią po zielonym brezencie szalup ratunkowych, aż doszedł do łańcucha oddzielającego klasę czwartą od trzeciej. W latach swojej świetności *Giulia* była statkiem linii austro-węgierskich. Szczycąc się nowoczesnymi udogodnieniami (*lumina electrica, ventilatie et comfortu cel mai mare*), pływała raz w miesiącu między Triestem a Nowym Jorkiem. Teraz światło elektryczne działało jedynie w pierwszej klasie i też tylko od czasu do czasu. Żelazne relingi były przerdzewiałe. Dym z komina osmolił grecką flagę. Statek cuchnął starymi szmatami i skutkami choroby morskiej pasażerów. Lefty nie nabrał jeszcze wprawy w chodzeniu po pokładzie. Raz po raz upadał na reling. Postał stosowną chwilę przy łańcuchu, później przeszedł na bakburtę i wrócił na rufę. Desdemona, zgodnie z umową, stała samotnie przy relingu. Gdy Lefty przechodził, uśmiechnął się i skinął jej głową. Odkłoniła się chłodno i ponownie skierowała wzrok na morze.

Trzeciego dnia po obiedzie Lefty wybrał się na przechadzkę w innym kierunku. Poszedł w stronę dziobu, przeszedł na bakburtę i skierował się na rufę. Uśmiechnął się do Desdemony i ukłonił się. Tym razem Desdemona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Po powrocie do swoich towarzyszy, palących przy relingu, Lefty rozpytywał, czy któryś z nich przypadkiem nie znał imienia tej samotnie podróżującej kobiety.

Czwartego dnia Lefty zatrzymał się i przedstawił.

– Jak na razie mamy dobrą pogodę.

– Mam nadzieję, że się nie zmieni.

– Pani podróżuje sama?

– Tak.

– Ja również. Do jakiego miasta pani się udaje?

– Do Detroit.

– Cóż za zbieg okoliczności! Ja także jadę do Detroit.

Stali tak, gawędząc, jeszcze przez kilka minut. Następnie Desdemona przeprosiła go i zeszła pod pokład.

Pogłoski o rozkwitającym romansie szybko rozeszły się po statku. Dla zabicia czasu wszyscy wkrótce rozprawiali o tym, jak to młody i elegancki Grek zakochał się w czarnowłosej piękności, która nigdzie nie ruszała się bez swojej rzeźbionej skrzyneczki z drewna oliwnego.

– Oboje podróżują samotnie – mówili ludzie. – I oboje mają krewnych w Detroit.

– Nie uważam, żeby do siebie pasowali.

– Dlaczego nie?

– On jest z wyższych sfer niż ona. Z tego nic nie będzie.

– Ale ona chyba mu się podoba.

– Znajduje się na statku na środku oceanu! Co innego może robić?

Piątego dnia Lefty i Desdemona wybrali się na wspólny spacer po pokładzie. Szóstego dnia podał jej ramię, a ona je przyjęła.

– To ja ich sobie przedstawiłem! – chwalił się jeden z mężczyzn. Dziewczyny z miasta kręciły nosem.

– Ona nosi warkocze. Wygląda jak jakaś chłopka.

Mojego dziadka potraktowano lepiej. Mówiono, że jest smyrneńskim handlarzem jedwabiu, który stracił swoją fortunę w płomieniach, synem króla Konstantyna I i francuskiej kochanki, podczas wojny światowej miał szpiegować dla cesarza niemieckiego. Lefty nigdy nie zaprzeczał żadnym spekulacjom. Skorzystał z szansy podróży transatlantyckiej, aby na nowo stworzyć własną osobowość. Owinął się w wytarty koc jak w operową pelerynę. Świadom, że to, co się teraz wydarzy, może stać się rzeczywistością, że pozornie był tym kimś, kim naprawdę mógł się stać – innymi słowy, już Amerykaninem – czekał, aż Desdemona wyjdzie na pokład. Kiedy wyszła, poprawił swoją pelerynę, skinął głową współtowarzyszom podróży i wolnym krokiem przeszedł przez pokład, aby złożyć jej wyrazy uszanowania.

– On jest zadurzony!

– Nie sądzę. Tego typu faceci szukają tylko przygody. Ta dziewczyna niech lepiej uważa, bo może będzie nosić coś więcej niż tylko swoją szkatułkę.

Moim dziadkom bardzo podobały się te udawane zaloty. Gdy w pobliżu znajdowali się inni ludzie, wdawali się w rozmowy typowe dla pierwszej czy drugiej randki, wymyślając dla siebie własną przeszłość.

– Zatem – pytał Lefty – czy ma pani jakieś rodzeństwo?

– Miałam brata – smutno odpowiadała Desdemona. – Uciekł z Turczynką. Ojciec go wydziedziczył.

– To bezwzględne. Uważam, że miłość przełamuje wszelkie bariery. A pani?

Gdy byli sami, mówili sobie: „To chyba działa. Nikt niczego nie podejrzewa".

Za każdym razem, gdy Lefty spotykał na pokładzie Desdemonę, udawał, że znają się od niedawna. Podchodził, zagajał rozmowę, czynił uwagi na temat piękna zachodzącego słońca, a następnie, ze zręczną galanterią, od razu przechodził do piękna jej twarzy. Desdemona również grała swoją rolę. Na początku była pełna rezerwy. Cofała swoje ramię, gdy tylko żartował w niestosowny sposób. Mówiła mu, że matka ostrzegała ją przed takimi mężczyznami jak on. Podróż mijała im na udawaniu tego wyimaginowanego flirtu i z czasem powoli sami zaczęli weń wierzyć. Zmyślali wspomnienia, na poczekaniu stwarzali swój nowy los. (Dlaczego to robili? Dlaczego zadawali sobie tyle trudu? Czy nie mogli od razu powiedzieć, że byli zaręczeni? Albo że ich małżeństwo zostało już ustalone przed laty? Oczywiście, że mogli. Ale tu nie chodziło o oszukiwanie innych pasażerów, oni chcieli oszukać samych siebie).

Podróż bardzo to ułatwiła. Żeglowanie przez ocean wśród kilkuset zupełnie obcych ludzi dostarczyło anonimowości, w której moi dziadkowie mogli stworzyć siebie na nowo. Siłą napędową na pokładzie *Giulii* było dążenie jej pasażerów do samoprzekształcenia. Patrząc na ocean, farmerzy tytoniowi wyobrażali sobie, że są kierowcami samochodów wyścigowych, farbiarze jedwabiu – magnatami z Wall Street, a dziewczyny pracujące przy produkcji kapeluszy – tancerkami rewiowymi w *Ziegfeld Follies*. Szary ocean rozciągał się we wszystkich kierunkach. Europa i Azja Mniejsza zostały za nimi. Przed nimi leżała Ameryka i nowe perspektywy.

Ósmego dnia podróży Lefty Stephanides, wytwornie klęknąwszy na jedno kolano, w obecności sześciuset sześćdziesięciu trzech pasażerów czwartej klasy oświadczył się siedzącej na knadze Desdemonie Aristos.

Młode kobiety wstrzymały oddech. Żonaci mężczyźni szturchali kawalerów.

– Patrz uważnie, a czegoś się nauczysz.

Moja babka, prezentując talent aktorski, jaki objawiała również podczas ataków hipochondrii, dała pokaz złożonych uczuć: zaskoczenia, początkowej radości, wahania się, niemal pruderyjnej odmowy, a następnie, wśród rodzącego się już aplauzu, beztroskiej zgody.

Ceremonia odbyła się na pokładzie. Desdemona nie miała sukni ślubnej i musiał jej wystarczyć pożyczony jedwabny szal założony na głowę. Kapitan Kontoulis pożyczył Lefty'emu krawat poplamiony tłuszczem.

– Zapnij marynarkę, a nikt nie zauważy – powiedział. Jako *stephana* posłużyły moim dziadkom korony weselne zaplecione ze zwiniętej liny. Na morzu trudno o kwiaty, więc *koumbaros*, mężczyzna o imieniu Pelos, który pełnił funkcję drużby, przełożył tylko konopną koronę króla na głowę królowej, a koronę królowej na głowę króla i z powrotem.

Narzeczeni odtańczyli Taniec Izajasza. Biodro przy biodrze, ręce splecione tak, że trzymali się za dłonie, Desdemona i Lefty uroczyście obeszli kapitana wkoło raz, drugi i jeszcze raz, snując wspólnie kokon swego życia. Nie ma tu mowy o żadnej patriarchalnej linearności. My, Grecy, pobieramy się w kręgach, aby tym silniej wyrazić podstawowe prawdy małżeńskie, mówiące, że aby być szczęśliwym, trzeba odnaleźć różnorodność w powtarzaniu, a aby pójść do przodu, należy wrócić do początku.

Lub też, jak to miało miejsce w przypadku moich dziadków, ich taniec wkoło działał w następujący sposób: gdy po raz pierwszy okrążali pokład, Lefty i Desdemona byli jeszcze bratem i siostrą. Przy drugim okrążeniu byli narzeczonym i narzeczoną. A przy trzecim – mężem i żoną.

Noc poślubna moich dziadków, słońce zachodzi dokładnie przed dziobem statku, wskazując drogę do Nowego Jorku. Wzeszedł księżyc, rzucając srebrną smugę na oceanie. Podczas nocnego obchodu statku kapitan Kontoulis zszedł z mostka i ruszył w stronę dziobu. Wiatr zaczął się wzmagać. *Giulia* kołysała się na wysokiej fali. Chociaż pokład przechylał się do przodu i do tyłu, kapitan Kontoulis ani razu się nie potknął, potrafił nawet zapalić ulubionego indonezyjskiego papierosa, pochylając obszyte

rondo czapki, aby osłonić się od wiatru. W swoim niezbyt czystym mundurze, ubrany w skórzane kreteńskie buty do kolan, kapitan Kontoulis zlustrował światła pozycyjne, ułożone w sterty leżaki, szalupy ratunkowe. *Giulia* była samotna na bezkresnym Atlantyku, klapy jej luków uszczelniono, zabezpieczając je przed przelewającym się przez burtę wzburzonym morzem. Pokłady były puste, jeśli nie liczyć dwóch pasażerów pierwszej klasy, amerykańskich biznesmenów, którzy siedzieli zawinięci w koce i popijali drinka przed udaniem się na spoczynek.

– Jak słyszałem, Tilden ze swoimi protegowanymi nie tylko gra w tenisa, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– Chyba żartujesz?

– Dzieli się z nimi pucharem miłości. – Kapitan Kontoulis, nie rozumiejąc nic, skinął im głową, przechodząc obok…

Wewnątrz jednej z szalup Desdemona powiedziała: „Nie patrz". Leżała na plecach. Nie rozdzielał ich już koc z koziej sierści, więc Lefty zakrył oczy rękami, zerkając przez palce. Przez dziurkę w brezencie sączyło się światło księżyca, powoli wypełniając wnętrze szalupy. Lefty wiele razy widział, jak Desdemona się rozbiera, ale zazwyczaj był to tylko jej cień i nigdy w świetle księżyca. Nigdy też nie układała się w ten sposób – na plecach, robiąc kołyskę i podnosząc stopy, aby zdjąć buty. Patrzył na nią, gdy opuszczała spódnicę i podnosiła tunikę. Był zdumiony, jak inaczej wyglądała jego siostra w tej szalupie, w świetle księżyca. Ona jarzyła się, promieniowała białym światłem. Zamrugał za swoją zasłoną z palców. Światło księżyca sięgało coraz wyżej, obejmowało jego szyję, sięgało do oczu, aż zrozumiał – Desdemona miała na sobie gorset. To była ta druga rzecz, jaką z sobą zabrała, ten biały materiał, w który zawinęła jajeczka jedwabników, nie był niczym innym, jak ślubnym gorsetem Desdemony. Sądziła, że nigdy go nie założy, ale oto miała go na sobie. Miseczki biustonosza skierowane ku górze, wycelowane w płócienny dach. Jej talię ściskały fiszbiny z wielorybiej kości. Z gorsetu zwisały podwiązki, które do niczego nie były zamocowane, ponieważ moja babka nie miała pończoch. W szalupie ratunkowej gorset pochłaniał całe docierające tam światło księżyca, co powodowało, że twarz, głowa i ramiona Desdemony zupełnie znikły. Wyglądała jak uskrzydlona bogini zwycięstwa, jak Nike z Samotraki, przewrócona na plecy i odwożona do muzeum zdobywcy. Brakowało jej tylko skrzydeł.

Lefty zdjął buty i skarpety, z których posypał się piasek. Gdy zdejmował bieliznę, szalupę wypełnił zapach stęchlizny. Przez chwilę zawstydził się, ale wyglądało na to, że Desdemona nie zwraca na to uwagi.

Targały nią sprzeczne uczucia. Gorset oczywiście przypomniał Desdemonie o jej matce i nagle zaczęła się dręczyć tym, że ich postępowanie było bardzo niewłaściwe. Dotychczas udawało się jej nie dopuszczać do siebie myśli o tym. W chaosie ostatnich dni nie miała czasu na rozmyślania.

Lefty również czuł wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony dręczyły go myśli o Desdemonie, ale z drugiej był zadowolony, że w szalupie było ciemno, a zwłaszcza z tego, że nie mógł zobaczyć jej twarzy. Przez wiele miesięcy Lefty sypiał z dziwkami przypominającymi Desdemonę, ale teraz okazało się, że łatwiej jest mu udawać, że leży z obcą osobą.

Gorset zdawał się mieć własne ręce. Jedna z nich delikatnie pocierała ją między nogami, dwie kolejne podtrzymywały jej piersi. Jedna, dwie, trzy ręce przyciskały ją i pieściły. W tej bieliźnie Desdemona patrzyła na siebie z innej, nowej perspektywy – jej wąska talia, jej pulchne uda… Czuła się piękną, godną pożądania, a przede wszystkim – nie sobą. Podniosła stopy i oparła łydki na dulkach od wioseł. Rozłożyła nogi. Wyciągnęła ramiona do Lefty'ego, który odwrócił się i zdzierając skórę na kolanach i łokciach, przewracając wiosła i niemal wypuszczając racę sygnalizacyjną, opadł w końcu z uniesieniem w miękkość jej ciała. Po raz pierwszy Desdemona posmakowała jego ust i w trakcie miłosnego uniesienia, jakie ich ogarnęło, jedynym siostrzanym odruchem z jej strony było to, że kiedy wychyliła się, aby zaczerpnąć powietrza, powiedziała:

– Niegrzeczny chłopczyk, robiłeś to już wcześniej.

Ale Lefty powtarzał tylko:

– Nigdy tak, nigdy tak…

Myliłem się jednak wcześniej, odwołuję to. Pod Desdemoną, wybijające rytm na deskach i unoszące ją ku górze – skrzydła.

– Lefty! – wyszeptała Desdemona bez tchu. – Chyba to poczułam.

– Co poczułaś?

– Wiesz. To uczucie.

– Nowożeńcy – mruknął do siebie kapitan Kontoulis, patrząc na kołyszącą się szalupę. – Ach, być znowu młodym.

Wróćmy do księżniczki Si Ling-chi (wyobrażam ją sobie jako imperialny odpowiednik rowerzystki spotkanej tamtego dnia w kolejce *U-bahn* w Berlinie, nie mogę z jakiegoś powodu przestać o niej myśleć i szukam jej każdego ranka). Po tym, jak księżniczka Si Ling-chi odkryła jedwab, Chińczycy utrzymywali tajemnicę jego powstawania przez trzy tysiące sto dziewięćdziesiąt lat. Każdemu, kto spróbowałby przemycić jajeczka jedwabników z Chin, groziła kara śmierci. Być może moja rodzina nigdy nie zajęłaby się hodowlą jedwabników, gdyby nie cesarz Justynian, który, według relacji Prokopiusza z Cezarei, namówił dwóch misjonarzy, aby podjęli się tego ryzyka. W 550 roku naszej ery misjonarze ukradli z Chin jajeczka jedwabników w sposób, będący ówczesnym odpowiednikiem dzisiejszego przemytu w prezerwatywy – w wydrążonej lasce. Przywieźli również nasiona morwy. Dzięki temu Bizancjum stało się centrum hodowli jedwabników. Morwy bujnie rozwinęły się na tureckich wzgórzach. Gąsienice jadły liście. Tysiąc czterysta lat później potomkowie tych pierwszych, tych ze skradzionych jajeczek, wypełniali skrzynkę na jedwabniki mojej babki płynącej na statku *Giulia*.

Ja również jestem dzieckiem swego rodzaju operacji przemytniczej. Nie zdając sobie z tego sprawy, w drodze do Ameryki moi dziadkowie przewozili po zmutowanym genie na piątym chromosomie. Nie była to świeża mutacja. Zdaniem doktora Luce'a, gen ten po raz pierwszy pojawił się w mojej rodzinie około 1750 roku w ciele niejakiej Penelopy Evangelatos, mojej praprababki dziewięć pokoleń wstecz. Przekazała go swojemu synowi Petrasowi, z którego przeszedł na jego dwie córki, a one przekazały go trojgu ze swoich pięciorga dzieci i tak dalej, i tak dalej. Ponieważ gen miał charakter recesywny, ujawniał się w sposób przypadkowy. Genetycy określają to terminem „sporadycznego dziedziczenia". Cecha, która schodzi do podziemi na całe dekady, aby pojawić się ponownie, gdy wszyscy dawno już zdążyli o niej zapomnieć. Tak właśnie było w Bithynios. Co jakiś czas rodził się hermafrodyta, z pozoru dziewczynka, a w trakcie dorastania okazywało się, że jest zupełnie inaczej.

Przez sześć kolejnych nocy, w różnych warunkach pogodowych, moi dziadkowie wyznaczali sobie spotkania w szalupie ratunkowej. Poczucie winy targało Desdemoną w dzień, gdy siadywała na pokładzie,

zastanawiając się, czy wszystkiemu winni są ona i Lefty, ale w nocy czuła się samotna i pragnęła uciec z kajuty, dlatego też zakradała się z powrotem do szalupy i do świeżo poślubionego męża.

Ich miesiąc miodowy przebiegał na opak. Zamiast poznawać się coraz lepiej, zaznajamiać się z tym, co lubili i czego nie lubili, odkrywać swoje wrażliwe miejsca i dowiadywać się, co ich szczególnie mierzi, Desdemona i Lefty zaczęli robić coś wprost przeciwnego. Nadal prowadzili na statku swoją grę pozorów, snuli swoje fałszywe historie, wymyślali braci i siostry o prawdopodobnie brzmiących imionach, kuzynów o wątpliwej moralności i powinowatych z tikiem kurczącym mięśnie twarzy. Na zmianę recytowali homeryckie drzewa genealogiczne, pełne fałszywych historii i zapożyczeń ze świata rzeczywistego, a czasami spierali się o jednego czy drugiego ulubionego rzeczywistego wujka czy ciotkę, i musieli targować się, jak kierownicy obsady w filmie. Stopniowo, wraz z upływem kolejnych nocy, ich fikcyjni krewni zaczęli krystalizować się w ich umysłach. Przepytywali się z nie do końca oczywistych więzi rodzinnych. Lefty pytał:

– Jak nazywa się żona Yiannisa, twojego kuzyna w drugim stopniu pokrewieństwa?

A Desdemona odpowiadała:

– To przecież łatwe. Atena. Ta kulawa.

(I czy popełniam błąd, sądząc, że moja obsesja na punkcie powiązań rodzinnych zaczęła się właśnie tam, w szalupie? Czyż moja matka nie przepytywała mnie ze wszystkich wujków, cioć i kuzynów? Nigdy nie przepytywała mojego brata, bo on miał zajmować się łopatą do śniegu i ciągnikami, a moim zadaniem było dostarczanie tego kobiecego kleju spajającego rodzinę, pisanie listów z podziękowaniami i pamiętanie o wszystkich urodzinach i imieninach. Posłuchajcie, z ust mojej matki usłyszałem kiedyś następujący opis genealogiczny: „To jest twoja kuzynka Melia. Jest córką Stathisa, szwagra Lucille, siostry wuja Mike'a. Znasz tego powolnego listonosza Stathisa? Melia jest jego trzecim dzieckiem, po chłopakach Mike'u i Johnnym. Powinnaś ją znać. Melia! Ona jest twoją kuzynką ze strony matki").

I oto jestem tu, szkicując ten obraz przed wami, sumiennie wydzielając to kobiece spoiwo, ale jednocześnie czuję tępy ból w piersiach, ponieważ zdaję sobie sprawę, że genealogia nic wam nie powie. Tessie wiedziała, kto jest z kim i jak spokrewniony, ale nie miała pojęcia, kim był jej mąż ani kim

dla siebie byli jej powinowaci, to wszystko było fikcją stworzoną w szalupie ratunkowej, w której moi dziadkowie wymyślili swoje nowe życie.

Pod względem seksualnym sprawy były dla nich proste. Doktor Peter Luce, wybitny seksuolog, może przytoczyć zdumiewające dane statystyczne, z których wynika, że przed 1950 rokiem wśród par małżeńskich nie istniał seks oralny. Moi dziadkowie kochali się w sposób dający im dużo przyjemności, ale równocześnie niezmienny. Co noc Desdemona rozbierała się do gorsetu, a Lefty manipulował przy wszystkich sprzączkach i haftkach, szukając tajnego szyfru, który powodował otwarcie tej zamkniętej części garderoby. Gorset był jedynym afrodyzjakiem, jakiego potrzebowali, i dla mojego dziadka do końca życia pozostał jedynym erotycznym symbolem. Gorset spowodował, że Desdemona stała się nową osobą. Jak wspomniałem, Lefty już wcześniej widział swoją siostrę rozebraną, ale gorset miał dziwną moc, powodującą, że w jakiś niezwykły sposób stawała się bardziej naga, przekształcał ją w nieprzystępną, opancerzoną istotę z miękkim wnętrzem będącym przedmiotem jego poszukiwań. Gdy szczęknęły zapadki, gorset otwierał się z lekkim trzaskiem – Lefty wczołgiwał się na Desdemonę i oboje prawie się nie ruszali, całą pracę wykonywały za nich fale oceanu.

Ich peryfescencja przebiegała równolegle z nieco mniej namiętną fazą wiązania się par. Seks mógł w każdej chwili ustąpić miejsca nastrojowi intymności. I tak, po akcie miłosnym leżeli, patrząc przez odsunięty brezent na przesuwające się nad nimi nocne niebo, i przechodzili do spraw przyziemnych.

– Może mąż Liny mógłby dać mi pracę – zastanawiał się Lefty. – Prowadzi własny interes, prawda?

– Nie wiem, co on robi. Lina nigdy jasno o tym nie wspominała.

– Jak zaoszczędzimy trochę pieniędzy, mógłbym otworzyć kasyno. Jakieś gry hazardowe, bar, może program rozrywkowy. I wszędzie palmy w donicach.

– Powinieneś pójść na studia. Zostać profesorem, jak chcieli mama i tato. I pamiętaj, że mamy założyć hodowlę jedwabników.

– Daj spokój z tymi jedwabnikami. Ja myślę o ruletce, rebetiko, piciu, tańcach. Może na boku będę sprzedawał haszysz.

– W Ameryce nie będziesz mógł palić haszyszu.

– A kto tak powiedział?

Na co Desdemona oznajmiła z pewnością w głosie:
– To zupełnie inny kraj.

Pozostałą część miesiąca miodowego spędzili na pokładzie, ucząc się, jak prześlizgnąć się przez Ellis Island. Nie było to już tak łatwe jak niegdyś. W 1894 roku została utworzona Liga Ograniczeń Imigracyjnych. W gmachu amerykańskiego Senatu Henry Cabot Lodge uderzał w egzemplarz „O pochodzeniu gatunków", ostrzegając, że napływ ludzi gorszej kategorii z południowej i wschodniej Europy stanowi zagrożenie dla „żywej tkanki naszej rasy". Akt Imigracyjny z 1917 roku wprowadził trzydzieści trzy rodzaje niepożądanych elementów objętych zakazem wjazdu do Stanów Zjednoczonych, a pasażerowie płynący w 1922 roku na pokładzie *Giulii* dyskutowali, co zrobić, aby uniknąć zakwalifikowania do jednej z tych kategorii. Podczas nerwowych sesji wkuwania analfabeci uczyli się, jak udawać, że potrafią czytać, bigamiści przyznawać się do posiadania tylko jednej żony, anarchiści zaprzeczać, że czytali Proudhona, osoby chore na serce – udawać wigor, epileptycy ukrywać ataki choroby, a osoby obciążone chorobami dziedzicznymi, jak o nich nie wspominać. Moi dziadkowie, nieświadomi własnych mutacji genetycznych, skupiali się na bardziej ewidentnych przypadkach dyskwalifikacji. Kolejna kategoria objęta zakazem: „osoby skazane za przestępstwo lub wykroczenie związane z obrazą moralności" i podkategoria: „związki kazirodcze".

Unikali pasażerów, którzy wyglądali na chorych na jaglicę czy grzybicę. Uciekali przed wszystkimi, którzy zanosili się suchym kaszlem. Od czasu do czasu, dla dodania sobie otuchy, Lefty wyciągał zaświadczenie, na którym było napisane:

ELEUTHERIOS STEPHANIDES
ZOSTAŁ ZASZCZEPIONY I ODWSZAWIONY
I Z DNIEM 23 WRZEŚNIA 1922 ROKU UZNANY ZA ODROBACZONEGO
MORSKI WYDZIAŁ DEZYNFEKCJI, PIREUS

Umiejący czytać i pisać, poślubieni tylko z jedną osobą (aczkolwiek będąc rodzeństwem), o przekonaniach demokratycznych, bez zaburzeń umysłowych i urzędowo odwszawieni, moi dziadkowie nie widzieli powodu, dla którego miałyby spotkać ich problemy z dostaniem się do

kraju. Każde z nich miało swoje wymagane dwadzieścia pięć dolarów. Mieli również sponsora – ich kuzynkę Sourmelinę. Właśnie rok wcześniej obniżono dopuszczalną liczbę imigrantów z Europy Południowej i Wschodniej z 783 tysięcy do 155 tysięcy rocznie. Obecnie nie było praktycznie możliwości wjechać do kraju, jeśli nie miało się sponsora albo fantastycznych rekomendacji zawodowych. Aby zwiększyć swoje szanse, Lefty odłożył rozmówki francuskie i zaczął uczyć się na pamięć czterech wersów z Biblii króla Jakuba. Na *Giulii* aż roiło się od bezpośrednich źródeł w pełni zaznajomionych z zasadami przeprowadzania testów ze znajomości języka angielskiego. Obywatele różnych narodowości mieli za zadanie przetłumaczyć różne fragmenty Pisma Świętego. Fragment wybrany dla Greków pochodził z Ewangelii według św. Mateusza (19,12): „Albowiem są rzezańcy, którzy z żywota matki tak się narodzili, i są rzezańcy, którzy od ludzi są uczynieni, i są rzezańcy, którzy się sami otrzebili dla królestwa niebieskiego. Kto może pojąć, niechaj pojmuje".

– Rzezańcy? – Desdemona struchlała. – Kto ci to powiedział?

– To jest cytat z Biblii.

– Z jakiej Biblii? Na pewno nie z greckiej. Idź spytać kogoś innego, co jest na tym teście.

Jednak Lefty pokazał jej u góry kartki napis po grecku, a poniżej po angielsku. Powtarzał ten fragment słowo po słowie, aby go zapamiętała, niezależnie od tego, czy rozumiała, czy nie.

– Mało nam było eunuchów w Turcji? Teraz mamy opowiadać o nich na Ellis Island?

– Amerykanie wszystkich wpuszczają – zażartował Lefty. – Nawet eunuchów.

– Jeżeli są tacy tolerancyjni, to powinni pozwolić nam mówić po grecku – burknęła Desdemona.

Lato odchodziło z oceanu. Jednej nocy zrobiło się w szalupie tak zimno, że nie można było złamać szyfru otwierającego gorset. Skulili się więc pod kocem i rozmawiali.

– Czy Sourmelina spotka się z nami w Nowym Jorku? – zapytała Desdemona.

– Nie. Musimy pojechać pociągiem do Detroit.

– Dlaczego nie może po nas wyjechać?

– Bo to za daleko.

– Niech będzie. I tak by się spóźniła.

Nieustający morski wiatr targał krawędziami brezentu. Na nadburciu szalupy pojawiły się kryształki lodu. Widzieli czubek komina *Giulii*, a dym odznaczał się tylko jako bezgwiezdny fragment nocnego nieba. (Chociaż tego nie wiedzieli, ten pomalowany w paski, nachylony komin zwiastował już ich nowy dom, szeptał o fabryce River Rouge i zakładach Uniroyal, o siedmiu kominach elektrowni Seven Sisters i wzniesionych później Two Brothers, ale oni nie słuchali – zawinęli się po czubek nosa i dali nurka w głąb szalupy, chowając się przed dymem).

I gdyby ta woń przemysłu tak usilnie nie starała się już w tym momencie wkroczyć do mojej opowieści, a Desdemona i Lefty, którzy wychowali się na pachnącym sosnami zboczu góry i nigdy nie przyzwyczaili się do zanieczyszczonego powietrza Detroit, nie zanurzyli się w głąb szalupy, mogliby wyczuć nowy zapach napływający wraz z rześkim morskim powietrzem – wilgotną woń błota i mokrego drewna. Ziemia. Nowy Jork. Ameryka.

– Co powiemy o nas Sourmelinie?

– Ona nas zrozumie.

– Czy będzie siedzieć cicho?

– Jest kilka spraw, których nie chciałaby ujawnić mężowi.

– Masz na myśli Helen?

– Ja nic nie mówiłem – powiedział Lefty.

Później zasnęli, a kiedy się obudzili, zobaczyli światło słoneczne i patrzącą na nich z góry twarz.

– Jak się spało? – zapytał kapitan Kontoulis. – Może przynieść wam koc?

– Przepraszam – powiedział Lefty. – Już więcej tego nie zrobimy.

– Nie będziecie mieli okazji – powiedział kapitan i na potwierdzenie swoich słów całkowicie odciągnął brezent z szalupy. Desdemona i Lefty podnieśli się. W oddali, oświetlona wschodzącym słońcem, rysowała się na tle nieba linia zabudowań Nowego Jorku. To nie był odpowiedni kształt dla miasta – żadnych kopuł ani minaretów – i pełną minutę zajęło im analizowanie tych wysokich form geometrycznych. Z zatoki wypełzały kłęby mgły. Skrzyły się miliony różowych szyb w oknach. Bliżej, ukoronowana własnymi promieniami słońca i ubrana jak klasyczna Greczynka, witała ich Statua Wolności.

– Jak wam się podoba? – zapytał kapitan Kontoulis.

– Widziałem już tyle pochodni, że wystarczy mi do końca życia – odpowiedział Lefty.

Ale Desdemona chociaż raz wykazała więcej optymizmu.

– Przynajmniej jest to kobieta – stwierdziła. – Może więc ludzie tutaj nie będą się codziennie zabijać.

Księga Druga

Tygiel narodów Henry'ego Forda

„Każdy, kto buduje fabrykę, stawia świątynię".
Calvin Coolidge

Detroit zawsze składało się z kół. Na długo przed Wielką Trójką i przydomkiem „Motor City", przed fabrykami samochodów, frachtowcami i nocami naznaczonymi różowym kolorem chemikaliów; zanim ktokolwiek zaczął całować się w fordzie Thunderbird czy kochać się w modelu T, jeszcze przed tym, gdy młody Henry Ford musiał zburzyć ścianę warsztatu, ponieważ projektując swój „kwadrycykl" pomyślał o wszystkim, tylko nie o tym, jak to cholerstwo wyprowadzić na zewnątrz; i prawie sto lat przed zimną marcową nocą w 1896 roku, kiedy Charles King, sterując rumplem, prowadził swój bezkonny pojazd ulicą St. Antoine, wzdłuż Jefferson i w górę Woodward Avenue (gdzie dwusuwowy silnik szybko odmówił posłuszeństwa); dawno, dawno temu, gdy to miasto było tylko zrabowanym Indianom skrawkiem ziemi leżącym nad rzeką, od której wzięło swoją nazwę, fortem, o który walczyli Brytyjczycy i Francuzi aż do momentu, gdy siły obu stron wyczerpały się i wpadł w ręce Amerykanów; zatem nawet wtedy – przed samochodami i przed skrzyżowaniami bezkolizyjnymi – Detroit składało się z kół.

Mam dziewięć lat i trzymam miękką, spoconą dłoń ojca. Stoimy przy oknie na najwyższym piętrze hotelu Pontchartrain. Przyszliśmy na lunch do śródmieścia, na naszą doroczną randkę. Mam na sobie krótką spódniczkę i czerwone rajstopy. Z mojego ramienia zwisa na długim paseczku biała torebka z lakierowanej skóry.

Na zamglonym oknie widać plamy. Jesteśmy bardzo wysoko. Już za chwilę zamówię krewetki.

Przyczyną nadmiernego pocenia się rąk mojego ojca jest jego lęk wysokości. Dwa dni temu, gdy powiedział, że zabierze mnie, dokąd tylko zechcę, w odpowiedzi usłyszał mój piskliwy głos: „Na samą górę Pontch!". Moim pragnieniem było znaleźć się wysoko nad miastem, wśród jedzących lunch biznesmenów i innych wpływowych osób. I Milton spełnił swoją obietnicę. Mimo przyspieszonego pulsu pozwolił kelnerowi zaprowadzić nas do stolika przy oknie i stąd nasza obecność w tym miejscu – ubrany w smoking kelner podsuwa mi krzesło, a mój ojciec, zbyt przerażony, żeby usiąść, zaczyna lekcję historii.

Po co uczyć się historii? Aby zrozumieć teraźniejszość czy jej unikać? Milton, którego oliwkowa cera nieco pobladła, mówi tylko:

– Spójrz. Widzisz koła?

Patrzę, mrużąc oczy. Lekceważąc w wieku dziewięciu lat perspektywę zmarszczek, jakie pojawią się kiedyś w kącikach oczu, patrzę na śródmieście, w dół – na ulice, tam, gdzie wskazuje ojciec (ale sam nie patrzy). I widzę miejski plac w kształcie połówki felgi, z której promieniście odchodzą szprychy ulic: Bagley, Washington, Woodward, Broadway i Madison.

Tylko tyle zostało ze słynnego planu Woodwarda, nakreślonego w 1807 roku przez nadużywającego alkoholu sędziego o tym właśnie nazwisku. (Dwa lata wcześniej, w 1805 roku, miasto doszczętnie spłonęło – w ciągu trzech godzin poszły z dymem drewniane domy i farmy stanowiące część osady założonej przez Cadillaca w 1701 roku. A w 1969 roku moje bystre oko pozwala mi odczytać ślady tego pożaru na fladze miejskiej wiszącej pół mili stąd w parku Grand Circus: *Speramus meliora; resurget cineribus* – Żywimy nadzieję na lepsze jutro, powstanie z popiołów).

Sędzia Woodward miał wizję nowego Detroit jako miejskiej Arkadii, składającej się ze splecionych sześciokątów. Każde z kół miało być odrębne, ale równocześnie połączone z innymi, zgodnie z federalistycznymi dążeniami młodego narodu, jak również klasycznie symetryczne, zgodnie z estetyką prezydenta Jeffersona. To marzenie nie miało się nigdy ziścić w pełni. Planować można układ wielkich miast, jak Paryż, Londyn czy Rzym, czyli metropolii, które przynajmniej częściowo spełniają funkcję centrów kultury. Natomiast Detroit było miastem amerykańskim i w związku z tym głównym celem jego istnienia były pieniądze, projekt musiał więc ustąpić miejsca względom praktycznym. Od 1818 roku miasto

rozrastało się wzdłuż rzeki, magazyny za magazynami, fabryka za fabryką. Koła sędziego Woodwarda były zgniatane, dzielone i ściskane w typowe prostokąty.

Można na to również spojrzeć z innej perspektywy (z restauracji na dachu): koła wcale nie znikły, ale tylko zmieniły postać. W 1900 roku Detroit było głównym producentem wagonów i wozów. W roku 1922, gdy przybyli tu moi dziadkowie, w mieście produkowano również inne wirujące rzeczy: silniki okrętowe, rowery, ręcznie zwijane cygara. I, oczywiście, w końcu samochody.

Wszystko to można było zobaczyć z pociągu. Jadąc wzdłuż brzegu rzeki Detroit, Lefty i Desdemona patrzyli, jak ich nowy dom nabiera kształtów. Widzieli, jak tereny rolnicze ustępują miejsca ogrodzonym parcelom i brukowanym ulicom. Niebo pociemniało od dymu. Przemykały budynki, ceglane magazyny, na których białe napisy głosiły praktyczną czcionką Bookman: WRIGHT AND KAY CO., J. H. BLACK & SONS, DETROIT STOVE WORKS. Rzeką ciągnęły pękate, wysmołowane barki, po ulicach krążyli ludzie – robotnicy w brudnych kombinezonach, urzędnicy zakładający kciuki za szelki; zaczęły też pojawiać się szyldy jadłodajni i pensjonatów: *U nas bezalkoholowe piwo Stroh; Obiady domowe za 15 centów*.

…Wszystkie te nowe obrazy napływające do umysłów moich dziadków nakładały się na wspomnienia z poprzedniego dnia. Ellis Island wznosząca się na wodzie jak pałac dożów. Wypełniona po sufit przechowalnia bagażu. Stoją stłoczeni na schodach do rejestracji. Oznakowani numerkami z okrętowej listy pasażerów *Giulii* przechodzą pojedynczo wzdłuż szeregu inspektorów zdrowia, którzy zaglądają im do oczu i uszu, trą skórę na ich głowach i za pomocą haczyków do zapinania guzików wywracają im powieki na drugą stronę. Jeden z lekarzy, który pod powiekami doktora Philoboshiana zauważył oznaki stanu zapalnego, przerwał badanie i na płaszczu doktora kredą zrobił znak X. Doktor Phil został wyprowadzony z kolejki. Moi dziadkowie już go później nie widzieli.

– Musiał złapać coś na statku – powiedziała Desdemona. – Albo miał oczy czerwone od płaczu.

Tymczasem kreda dalej wykonywała swoje zadania, stawiając angielskie znaki na pasażerach. Brzuchy kobiet ciężarnych oznaczała literami Pg. Nad słabym sercem staruszka pisała literę H. Stawiała diagnozę w postaci litery C dla zapalenia spojówek, F dla grzybicy i T dla trachomy. Ale nawet

najlepiej wyszkolone oczy medyków nie były w stanie wykryć recesywnej mutacji skrywającej się na piątym chromosomie. Nie mogły wyczuć jej palce, haczyki nie potrafiły jej wydobyć na światło dzienne…

W pociągu moi dziadkowie nie nosili już numeru z listy pasażerów, mieli natomiast kartkę z informacją o celu podróży: „Do konduktora: Uprasza się o pokazanie okazicielowi, gdzie ma się przesiąść i gdzie wysiąść, ponieważ osoba ta nie zna języka angielskiego. Okaziciel jedzie do stacji Grand Trunk w Detroit". Usiedli obok siebie na wolnych miejscach. Lefty, siedząc naprzeciw okna, szeroko otwartymi oczami chłonął przesuwający się za nim obraz. Desdemona spoglądała w dół, na swoją skrzynkę na jedwabniki, a jej policzki były pąsowe od wstydu i wściekłości, uczuć, które ogarniały ją przez ostatnie trzydzieści sześć godzin.

– Nikt więcej nie będzie ścinał moich włosów – powiedziała.

– Dobrze wyglądasz – pocieszał Lefty, nie patrząc na nią. – Jak *Amerikanidha*.

– Nie chcę wyglądać jak jakaś *Amerikanidha*.

W strefie usługowej na Ellis Island Lefty namówił Desdemonę, aby weszła do namiotu prowadzonego przez kobiety z organizacji YWCA. Weszła w szalu i chustce, a piętnaście minut później wyszła w sukni z obniżoną talią i w przypominającym nocnik kapeluszu z opadającym rondem. Spod świeżo nałożonego na jej twarzy pudru przebijała wściekłość. W ramach jej przemiany kobiety z YWCA ścięły imigracyjne warkocze Desdemony.

Obsesyjnie, jak człowiek martwiący się rozdarciem w kieszeni, po raz trzydziesty czy czterdziesty sięgnęła pod oklapły kapelusz, aby pomacać swoją ogołoconą skórę na głowie.

– To ostatnie postrzyżyny – powtórzyła. (Dotrzymała przyrzeczenia. Od tego dnia zapuszczała włosy jak Lady Godiva, chowając ich ogromną masę w siatce i myjąc je co piątek. Ścięła włosy dopiero po śmierci Lefty'ego i oddała Sophie Sassoon, która sprzedała je perukarzowi za dwieście pięćdziesiąt dolarów, a on zrobił z nich pięć peruk, przy czym jedna z nich, jak utrzymywała, została później zakupiona przez Betty Ford, byłą lokatorkę Białego Domu, po kuracji odwykowej, i mogliśmy zobaczyć je raz w telewizji podczas pogrzebu Richarda Nixona – włosy mojej babki spoczywające na głowie żony eksprezydenta).

Jednak był również inny powód nieszczęścia mojej babki. Otworzyła trzymaną w rękach skrzynkę na jedwabniki. Wewnątrz były jej dwa warkocze, nadal przewiązane żałobnymi wstążkami, ale poza tym skrzynka była pusta. Po przewiezieniu jajeczek jedwabników aż z Bithynios, Desdemona została zmuszona do wyrzucenia ich na Ellis Island – jajeczka jedwabników widniały na liście szkodników.

Lefty nadal siedział wpatrzony w obraz za szybą. Przez całą drogę z Hoboken patrzył przez okno na wspaniałe widoki – elektryczne tramwaje wywożące różowe twarze na wzgórza Albany, fabryki w Buffalo, które jarzyły się jak wulkany nocą. Raz się obudził, gdy pociąg przejeżdżał o świcie przez jakieś miasto, i omyłkowo wziął kolumnowy budynek banku za Partenon, w związku z czym pomyślał, że znowu jest w Atenach.

Minęli już rzekę Detroit i wyłoniło się miasto. Lefty wpatrywał się w zaparkowane przy krawężnikach samochody, wyglądające jak wielkie żuki. Wszędzie wznosiły się kominy, bombardujące atmosferę jak działa. Widać było kominy z czerwonej cegły i wyższe od nich srebrne, kominy stojące rzędem lub samotne, w zamyśleniu wypuszczające dym, cały las kominów, których dym tłumił światło słoneczne i po chwili, zupełnie nagle, całkowicie je zasłonił. Wszystko zrobiło się czarne – wjechali na dworzec kolejowy.

Dworzec Grand Trunk, obecnie wyjątkowych rozmiarów ruina, w tamtych czasach świadczył o rywalizacji Detroit z Nowym Jorkiem. Jego podstawę stanowiło gigantyczne marmurowe muzeum w stylu neoklasycznym, z kolumnami w stylu korynckim i rzeźbionym belkowaniem. Nad tą świątynią wyrastał trzynastokondygnacyjny biurowiec. Lefty, który miał okazję obserwować wszystkie etapy przekazywania greckiej spuścizny Ameryce, dotarł teraz do etapu ostatniego, kończącego ten proces. Mówiąc inaczej – do przyszłości. Wysiadł z pociągu, krocząc tej przyszłości na spotkanie. Desdemona, nie mając innego wyjścia, podążyła za nim.

Ale wyobraźmy sobie, jak to wyglądało w tamtych czasach! Stacja Grand Trunk! Telefony dzwoniące w stu agencjach spedycyjnych, wciąż jeszcze dosyć nowy dźwięk; towary wysyłane na wschód i na zachód; pasażerowie przyjeżdżający i odjeżdżający, pijący kawę w Palm Court lub stojący przy pucybucie czyszczącym im buty, półbuty bankierów – z wzorkiem na podbiciu, obuwie dostawców części – ze wzmocnionymi czubkami,

dwukolorowe półbuty przemytników alkoholu. Grand Trunk ze sklepieniem z płytek Guastavino, żyrandolami, posadzką z kamienia sprowadzanego z walijskich kamieniołomów. Znajdował się tam zakład fryzjerski z sześcioma fotelami, w którym miejscowi liderzy siedzieli zmumifikowani w gorących ręcznikach, a także wanny do wynajęcia oraz windy oświetlone przez półprzejrzyste jajkowate lampy z marmuru.

Lefty zostawił Desdemonę za filarem i w znajdującym się na stacji tłumie zaczął szukać kuzynki, która miała wyjść im na spotkanie. Sourmelina Zizmo, z domu Papadiamandopoulos, była kuzynką moich dziadków, czyli moją krewną szóstego stopnia. Znałem ją jako barwną osobowość, choć starszą już kobietę. Sourmelina z jej niebezpiecznym popiołem z papierosów. Sourmelina z jej kąpielą w kolorze indygo. Sourmelina z przedpołudniowymi spotkaniami Towarzystwa Teozoficznego. Nosiła atłasowe rękawiczki do łokci i matkowała długiej linii śmierdzących jamników, w których oczach zawsze było widać ślady łez. W jej domu pełno było podnóżków umożliwiających tym krótkonogim stworzeniom wchodzenie na sofy i szezlongi. Jednak w 1922 roku Sourmelina miała dopiero dwadzieścia osiem lat. Rozpoznanie jej w tłumie na Grand Trunk jest dla mnie równie trudne, jak rozpoznanie gości w albumie ze zdjęciami weselnymi moich rodziców, gdzie wszystkie twarze są ukryte za maską młodości. Lefty miał nieco inny problem. Kroczył przez halę, wypatrując kuzynki, z którą dorastał, dziewczyny ze spiczastym nosem i uśmiechem jak z komediowej maski. Słońce wpadało ukosem przez umieszczone u góry świetliki. Mrużył oczy, patrząc bacznie na przechodzące kobiety, aż w końcu to ona go zawołała:

– Tutaj, kuzynie. Nie poznajesz mnie? To ja, piękna jak zawsze.

– Lina, to ty?

– Przecież nie mieszkam już w wiosce.

W ciągu pięciu lat, jakie upłynęły od wyjazdu z Turcji, Sourmelinie udało się prawie całkowicie pozbyć wszystkiego, co mogło świadczyć o jej greckim pochodzeniu, począwszy od włosów, które ufarbowała na intensywny kasztanowy kolor i nosiła teraz równo podcięte i pofalowane za pomocą żelazka do karbowania, przez akcent, który wyemigrował na tyle daleko na zachód, że brzmiał mniej więcej po europejsku, po jej lektury (wydawnictw Collier i Harper), ulubione jedzenie (faszerowany homar, masło orzechowe) i noszone stroje. Miała na sobie krótką zieloną sukienkę

z frędzlami, jakie wówczas nosiły modnisie. Dobrze dopasowane kolorystycznie buciki z zielonego atłasu były ozdobione cekinami na czubku i miały delikatne paseczki na kostkach. Na ramionach miała zarzucone czarne boa z piór, a na głowie kapelusz w kształcie hełmu, ozdobiony onyksowymi wisiorkami zwisającymi nad jej wyskubanymi brwiami.

Przez kilka następnych sekund Lefty musiał podziwiać jej elegancką amerykańską pozę, ale ona w środku (pod kapeluszem) nadal była tą samą Liną i wkrótce zaczęła kipieć od greckiego entuzjazmu. Szeroko rozpostarła ramiona:

– Ucałuj mnie, kuzynie, na powitanie.

Objęli się. Lina przycisnęła pokryty różem policzek do jego szyi. Następnie odsunęła się od niego, aby dobrze mu się przyjrzeć, i, chichocząc, przyłożyła palec do jego nosa.

– To wciąż ty, ten sam. Wszędzie bym poznała ten nos – śmiała się całym ciałem tak, że podrygiwały jej ramiona, ale zaraz przeszła do kolejnej sprawy.

– Powiedz, gdzie ona jest? Gdzie jest twoja nowa narzeczona? W telegramie nie podałeś nawet jej imienia. Co? Chowa się?

– Ona jest… w toalecie.

– Na pewno jest piękna. Tak szybko się ożeniłeś. Co zrobiłeś najpierw, przedstawiłeś się czy oświadczyłeś?

– Chyba najpierw się oświadczyłem.

– Jak ona wygląda?

– Wygląda… jak ty.

– Ej, na pewno nie jest aż taka ładna.

Sourmelina przyłożyła lufkę z papierosem do ust i zaciągnęła się, lustrując twarze w tłumie.

– Biedna Desdemona. Jej brat zakochał się i zostawił ją w Nowym Jorku. Jak ona się ma?

– W porządku.

– Dlaczego nie przyjechała z tobą? A może jest zazdrosna o twoją nową żonę, co?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Chwyciła go za ramię.

– Czytaliśmy o pożarze. To okropne! Tak się martwiłam, uspokoiłam się dopiero, gdy otrzymałam wasz list. To wszystko zaczęli Turcy. Wiem. Oczywiście mój mąż nie zgadza się ze mną.

– Nie?

– Jedna sprawa, bo będziecie chyba u nas mieszkać? Nie rozmawiajcie z moim mężem o polityce.

– Dobrze.

– A co z wioską? – zapytała Sourmelina.

– Wszyscy wyjechali z *horeo*, Lino. Tam już nic nie ma.

– Gdybym nie nienawidziła tak tego miejsca, to może bym nawet uroniła łzę.

– Lino, jest coś, co muszę ci wyjaśnić…

Ale Sourmelina patrzyła w inną stronę, stukając obcasem.

– Może zniknęła z powierzchni ziemi?

– …coś na temat Desdemony i mnie…

– Tak?

– Moja żona… Desdemona…

– Miałam rację, co? Nie lubią się?

– Nie… Desdemona… Moja żona…

– Tak?

– To ta sama osoba – dał umówiony znak i Desdemona wyszła zza filaru.

– Cześć, Lino – powiedziała moja babka. – Jesteśmy małżeństwem. Proszę cię, nic nie mów.

I w ten właśnie sposób, po raz przedostatni, tajemnica została ujawniona. Zdradzona przez moją *yia yia*, pod rozbrzmiewającym echem dachem Grand Trunk, wypowiedziana w kierunku zakrytych kapeluszem uszu Sourmeliny. Wyznanie zawisło na chwilę w powietrzu, zanim zaczęło odpływać wraz z dymem unoszącym się z jej papierosa. Desdemona wzięła swojego męża za rękę.

Moi dziadkowie mieli podstawy przypuszczać, że Sourmelina dotrzyma ich tajemnicy. Przyjechała do Ameryki z własnym sekretem; sekretem, którego moja rodzina miała strzec aż do momentu śmierci Sourmeliny w 1979 roku, kiedy to, podobnie jak w wypadku sekretów innych osób, został pośmiertnie przeklasyfikowany i ludzie zaczęli mówić o „dziewczynach Sourmeliny". Mówiąc inaczej, tajemnica była zachowana w najluźniejszym tego słowa znaczeniu, w związku z czym teraz – gdy ja

sam przygotowuję się do ujawnienia tej informacji – czuję tylko niewielkie ukłucie poczucia winy, jaką może odczuwać wnuk.

Tajemnica Sourmeliny (jak ujęła to ciotka Zo):

– Lina była jedną z tych kobiet, na cześć których nazwano pewną wyspę.

Jako młoda dziewczyna w *horeo* Sourmelina została przyłapana w kompromitujących okolicznościach z kilkoma przyjaciółkami.

– Nie było ich dużo – powiedziała mi wiele lat później. – Z dwiema lub trzema. Ludzie sądzą, że jak lubisz dziewczyny, to podobają ci się wszystkie bez wyjątku. Zawsze byłam wybredna. A nie było specjalnie w czym wybierać.

Przez pewien czas próbowała walczyć ze swoimi skłonnościami.

– Poszłam do kościoła. To nic nie pomogło. W tym czasie było to najlepsze miejsce na spotkanie dziewczyny. Właśnie w kościele! Wszystkie się modliłyśmy, aby się zmienić.

Gdy Sourmelinę przyłapano już nie z kolejną dziewczyną, ale z dojrzałą kobietą, matką dwójki dzieci, zrobił się skandal. Rodzice Sourmeliny próbowali wydać ją za mąż, ale nie znaleźli chętnego. W Bithynios znalezienie męża i tak było wystarczająco trudną sprawą, bez dodatkowego obciążenia, jakim było niewykazywanie odpowiedniego zainteresowania przez wybrakowaną narzeczoną.

Wtedy jej ojciec zrobił to, co robili w tych czasach w Grecji ojcowie dziewczyn, których nie można było wydać za mąż – napisał do Ameryki. Stany Zjednoczone pełne były banknotów dolarowych, pałkarzy baseballowych, futer z szopów, diamentowej biżuterii, a także samotnych, przyjezdnych kawalerów. Używając fotografii przyszłej narzeczonej i pokaźnego posagu, jej ojciec w końcu trafił na chętnego.

Jimmy Zizmo (skrót od Zisimopoulos) przybył do Ameryki w 1907 roku jako trzydziestolatek. Nasza rodzina niewiele o nim wiedziała, oprócz tego, że potrafił się targować. W kolejnych listach do ojca Sourmeliny Zizmo negocjował wysokość posagu, używając oficjalnego języka adwokatów, posunął się nawet do tego, że zażądał wystawienia czeku bankowego przed dniem ślubu. Na otrzymanej przez Sourmelinę fotografii widać było wysokiego, przystojnego mężczyznę z wąsikiem, w jednej ręce trzymającego pistolet, a w drugiej butelkę z alkoholem. Gdy jednak dwa miesiące później wysiadła z pociągu na dworcu Grand Trunk, przywitał ją niski, gładko ogolony mężczyzna z kwaśną miną i ciemną cerą

robotnika. Taka różnica mogłaby rozczarować zwykłą narzeczoną, ale dla Sourmeliny, tak czy owak, nie miało to żadnego znaczenia.

Sourmelina pisała często o swoim nowym życiu w Ameryce, ale skupiała się głównie na aktualnej modzie lub swoim odbiorniku radiowym, Aeriola Jr., na którego słuchaniu spędzała codziennie całe godziny, przerywając co jakiś czas, aby wytrzeć gromadzący się na krysztale pył węglowy. Nigdy nie wspominała o niczym związanym z tym, co Desdemona określała jako „sprawy łóżkowe", i jej kuzyni zmuszeni byli czytać między wierszami tych lotniczych listów, próbując wyobrazić sobie na podstawie opisu niedzielnej przejażdżki przez Belle Isle, czy twarz jej męża za kółkiem była szczęśliwa czy niezadowolona, lub wywnioskować z fragmentu opisującego fryzurę Sourmeliny – ostatni krzyk mody ze słuchawkami z włosów na uszach – czy Zizmo mógł kiedykolwiek mierzwić te włosy.

I właśnie ta Sourmelina, która miała wiele własnych sekretów, przygarnęła teraz swoich nowych współspiskowców.

– Małżeństwem? Macie na myśli wspólne łoże małżeńskie?

– Tak – z trudem potwierdził Lefty.

Sourmelina nareszcie zauważyła popiół na trzymanym papierosie i szybko go strząsnęła.

– Ja to mam pecha. Jak tylko wyjechałam z wioski, zaraz zaczęło się dziać coś ciekawego.

Ale Desdemona nie mogła znieść takiej ironii. Chwyciła Sourmelinę za ręce i błagała:

– Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz. Będziemy żyć, umrzemy i wszystko się skończy.

– Nie powiem.

– Ludzie nie mogą się nawet dowiedzieć, że jestem twoją kuzynką.

– Nikomu nie powiem.

– A twój mąż?

– Myśli, że pojechałam po mojego kuzyna i jego świeżo zaślubioną żonę.

– Nic mu nie powiesz?

– To akurat będzie proste – zaśmiała się Lina. – Zupełnie nie słucha tego, co ja mówię.

Sourmelina uparła się, aby wzięli bagażowego, który miał zanieść ich bagaże do samochodu, czarno-brunatnego packarda. Dała mu napiwek

i usadowiła się za kierownicą, wzbudzając powszechne zainteresowanie. W 1922 roku kobieta za kierownicą stanowiła jeszcze skandaliczny widok. Położyła lufkę na desce rozdzielczej, wyciągnęła dławik, odczekała wymagane pięć sekund i nacisnęła przycisk zapłonu. Blaszana maska samochodu zadrżała, budząc się do życia. Skórzane siedzenia zaczęły wibrować, a Desdemona chwyciła swojego męża za ramię. Siedząca z przodu Sourmelina zdjęła swoje atłasowe buciki na wysokim obcasie, aby prowadzić na bosaka. Wrzuciła bieg i bez sprawdzania, czy ktoś nie nadjeżdża, ruszyła, a samochód szarpnął i potoczył się w dół Michigan Avenue, w kierunku Cadillac Square. Oczy moich dziadków zaszkliły się na widok zwykłego w tym czasie ruchu na ulicy, przetaczających się tramwajów, brzęczących dzwonków i bezbarwnej masy pojazdów i ludzi, przesuwającej się w lewo i w prawo. Śródmieście Detroit było wówczas wypełnione kupującymi i biznesmenami. Pod domem towarowym Hudson stał gęsty tłum, przepychający się, aby wejść przez świeżo zamontowane drzwi obrotowe. Lina wskazywała im ciekawsze miejsca – Café Frontenac, Family Theatre, a także ogromne podświetlone napisy – Ralston czy Łagodne Cygara Wait & Bond Blackstone po 10 centów. Powyżej dziesięciometrowy chłopiec smarował masłem Meadow Gold Butter trzymetrową kromkę chleba. Nad wejściem do jednego z budynków widać było rząd lamp oliwnych promujących wyprzedaż trwającą do 31 października. Wszędzie panował gwar i zamęt, Desdemona leżała na tylnym siedzeniu, już wtedy dręczona niepokojem, jaki w nadchodzących latach miały wzbudzać w niej różne udogodnienia, przede wszystkim samochody, ale również zraszacze do trawy i windy, natomiast Lefty uśmiechał się tylko i kręcił głową. Wszędzie wznosiły się drapacze chmur, kina i hotele. Prawie wszystkie wielkie budynki w Detroit powstały w latach dwudziestych: Penobscot, pomalowany jak pas indiański Buhl Building, New Union Trust, Cadillac Tower, Fisher ze złoconym dachem. Dla moich dziadków Detroit wyglądało jak Koza Han w sezonie handlu kokonami. Nie widzieli natomiast robotników śpiących na ulicach, ponieważ brakowało dla nich domów, ani getta położonego niedaleko na wschodzie miasta – trzydziestu kwartałów ograniczonych ulicami Leland, Macomb, Hastings i Brush, rojących się od licznych w tym mieście czarnoskórych Amerykanów, którym nie wolno było mieszkać nigdzie indziej. Mówiąc krótko: nie widzieli nasion destrukcji tego miasta – jego

drugiej destrukcji – ponieważ również stali się częścią tej machiny, wraz z przybywającymi ze wszystkich stron ludźmi, zwiedzionymi obiecanym przez Henry'ego Forda pięciodolarowym zarobkiem za każdy dzień pracy.

East Side w Detroit była spokojną dzielnicą domów jednorodzinnych, stojących w cieniu katedralnych wiązów. Dom przy Hurlbut Street, do którego zawiozła ich Lina, był skromnym dwukondygnacyjnym budynkiem z cegły w kolorze piwa korzennego. Moi dziadkowie przypatrywali mu się z samochodu, niezdolni zrobić ruchu, aż nagle otworzyły się główne drzwi i ktoś wyszedł.

O Jimmym Zizmo można było powiedzieć tak wiele, że sam nie wiem, od czego zacząć. Zielarz amator, antyfeminista, myśliwy polujący na grubego zwierza, były więzień, handlarz narkotyków, abstynent – do wyboru, do koloru. Miał czterdzieści pięć lat, prawie dwa razy więcej niż jego żona. Stał na ciemnej werandzie ubrany w niedrogi garnitur i koszulę z kołnierzykiem na stójce, która w znacznej mierze utraciła już swój krochmal. Jego mocno kręcone czarne włosy nadawały mu dziki wygląd kawalera, jakim był przez tak wiele lat, a to wrażenie potęgowała twarz pomarszczona niczym niepościelone łóżko. Jego brwi były jednak kusząco wygięte w łuk jak u bajadery, a grube rzęsy wyglądały na posmarowane tuszem. Ale moja babka nie zauważyła nic z tych rzeczy. Jej uwagę przykuło coś zupełnie innego.

– Arab? – zapytała Desdemona, gdy tylko znalazła się sam na sam z kuzynką w kuchni. – To dlatego nic nam o nim nie pisałaś w listach?

– Nie jest Arabem. Pochodzi znad Morza Czarnego.

– To jest *sala* – wyjaśniał tymczasem Lefty'emu Zizmo, oprowadzając go po domu.

– Z Pontu! – sapała z przerażenia Desdemona, jednocześnie oglądając lodówkę. – Nie jest chyba muzułmaninem?

– Nie wszyscy z Pontu zmienili wiarę – zadrwiła Lina. – Co ty myślisz, że jak Grek wykąpie się w Morzu Czarnym, to zmienia się w muzułmanina?

– Ale czy on ma w sobie turecką krew? – Desdemona zniżyła głos. – Czy to dlatego jest taki ciemny?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Możecie tu mieszkać, jak długo będziecie chcieli – Zizmo prowadził Lefty'ego na górę. – Ale w tym domu obowiązuje kilka zasad. Po pierwsze,

jestem wegetarianinem. Jeśli twoja żona chce gotować mięso, musi używać osobnych garnków i naczyń. Również żadnej whisky. Pijesz?

– Czasami.

– Żadnego picia. Jeśli chcesz się napić, idź do knajpy. Nie chcę żadnych kłopotów z policją. Przejdźmy do czynszu. Właśnie się pobraliście?

– Tak.

– Jaki posag dostałeś?

– Posag?

– Tak, ile?

– Ale czy wiedziałaś, że on jest aż tak stary? – szeptała na dole Desdemona, zaglądając do pieca.

– Przynajmniej nie jest moim bratem.

– Cicho! Nawet nie żartuj.

– Nie dostałem żadnego posagu – odpowiedział Lefty. - Spotkaliśmy się na statku.

– Bez posagu! – Zizmo zatrzymał się na schodach, aby popatrzeć w zdumieniu na Lefty'ego. – To dlaczego się ożeniłeś?

– Zakochaliśmy się – odparł Lefty. Jeszcze nigdy wcześniej nie powiedział tego obcej osobie i poczuł się równocześnie szczęśliwy i przerażony.

– Bez pieniędzy nie ma co się żenić – powiedział Zizmo. – To dlatego tak długo czekałem. Musiałem uzyskać dobrą cenę – mrugnął znacząco.

– Lina wspominała, że prowadzisz własny interes – powiedział Lefty z nagłym zainteresowaniem, podążając za Zizmo do łazienki. – Czym się zajmujesz?

– Ja? Jestem importerem.

– Nie wiem tylko czego – dorzuciła z kuchni Sourmelina. – Importer! Wiem tylko, że przynosi pieniądze.

– Ale jak można wyjść za mąż za kogoś, kogo w ogóle nie znasz?

– Aby wydostać się z kraju, Des, wyszłabym za kalekę.

– Mam pewne doświadczenie w imporcie – wtrącił Lefty, podczas gdy Zizmo demonstrował instalację wodno-kanalizacyjną. – Jeszcze z Bursy. W przemyśle jedwabniczym.

– Wasza część czynszu wynosi dwadzieścia dolarów. – Zizmo nie podjął tematu. Pociągnął za łańcuszek, spuszczając wodę.

– Jeśli mówimy o mężach – ciągnęła dalej Lina na parterze – to dla mnie im starszy, tym lepszy. – Otworzyła drzwi do spiżarni. – Młody mąż ciągle by się za mną uganiał. To byłoby zbyt stresujące.

– Wstydziłabyś się, Lino! – Desdemona śmiała się wbrew samej sobie. Wspaniale było widzieć znowu swoją starą kuzynkę, nienaruszoną niewielką cząstkę Bithynios. Ciemna, wypełniona figami, migdałami, orzechami, chałwą i suszonymi morelami spiżarnia jeszcze spotęgowała to uczucie.

– Ale skąd mam wziąć pieniądze na czynsz? – wyrwało się Lefty'emu, gdy zaczęli kierować się z powrotem na dół. – Nie mam już żadnych pieniędzy. Gdzie mogę pracować?

– To nie jest żaden problem – Zizmo machnął tylko ręką. – Porozmawiam z kilkoma osobami.

Znowu przeszli przez *sala*. Zizmo zatrzymał się i znacząco popatrzył w dół.

– Nie pochwaliłeś jeszcze mojej skóry z zebry.

– Jest bardzo ładna.

– Przywiozłem ją z Afryki. Sam ją ustrzeliłem.

– Byłeś w Afryce?

– Wszędzie byłem.

Podobnie jak wszyscy w mieście, cisnęli się razem w jednym domu. Desdemona i Lefty spali w sypialni położonej bezpośrednio nad sypialnią Zizmo i Liny, i przez kilka pierwszych nocy moja babka wychodziła z łóżka, aby przyłożyć ucho do podłogi.

– Nic – stwierdzała. – Mówiłam ci.

– Wracaj do łóżka – mruczał Lefty. – To ich sprawa.

– Jaka sprawa? Jest tak, jak ci mówiłam. Nie ma żadnej sprawy.

Tymczasem w pokoju piętro niżej Zizmo wyrażał swoją opinię o nowych lokatorach:

– Ależ to romantyczne! Spotyka dziewczynę na statku i się z nią żeni. Bez posagu.

– Są ludzie, którzy pobierają się z miłości.

– Małżeństwo jest po to, aby mieć gospodarstwo domowe i dzieci. Co mi o czymś przypomina.

– Proszę, Jimmy, nie dzisiaj.

– To kiedy? Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat i ciągle nie mamy dzieci. Wciąż źle się czujesz, jesteś zmęczona, to i tamto. Czy brałaś olej rycynowy?

– Tak.

– I magnez?

– Tak.

– To dobrze. Musimy obniżyć ci poziom żółci. Jeśli kobieta ma zbyt dużo żółci, dziecko jest pozbawione energii i nieposłuszne.

– Dobranoc, *kyrie*.

– Dobranoc, *kyria*.

W ciągu tygodnia moi dziadkowie uzyskali odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące małżeństwa Sourmeliny. Z powodu swojego wieku Jimmy Zizmo traktował młodą partnerkę bardziej jak córkę niż jak żonę. Zawsze mówił jej, co może robić a czego nie, biadolił nad cenami i dekoltami jej strojów, mówił jej, kiedy ma iść spać, wstać, mówić, siedzieć cicho. Nie chciał dawać jej kluczyków do samochodu i ustępował dopiero nakłoniony pocałunkami i pieszczotami. Jego obsesja na punkcie zdrowego żywienia doprowadziła go nawet do kontrolowania, jak lekarz, regularności jej procesów fizjologicznych, a największe awantury wybuchały, gdy zaczynał przepytywać Linę o jej stolce. Jeśli chodzi o stosunki seksualne, to zdarzały się, ale dość dawno temu. Przez ostatnie pięć miesięcy Lina skarżyła się na rzekome dolegliwości, ponieważ wolała być przez swojego męża leczona ziołami niż znosić jego umizgi. Z kolei Zizmo jak jakiś jogin żywił niejasne przekonanie o duchowych korzyściach płynących ze wstrzymania spermy i był gotów czekać, aż wrócą siły witalne jego żony. W domu panował podział według płci – jak w domach w *patridha*, w starym kraju, mężczyźni siedzieli w *sala*, a kobiety w kuchni. Dwie sfery o odrębnych zainteresowaniach, obowiązkach i nawet, jak mógłby to określić biolog ewolucjonista, sposobie myślenia. Lefty i Desdemona, przyzwyczajeni dotychczas do życia we własnym domu, zostali zmuszeni do przyjęcia zwyczajów swoich gospodarzy. Poza tym mój dziadek potrzebował pracy.

W tamtych czasach pracę można było znaleźć w wielu firmach samochodowych. Były to takie firmy jak: Chalmers, Metzger, Brush, Columbia i Flanders. Były też: Hupp, Paige, Hudson, Krit, Saxon, Liberty,

Rickenbacker i Dodge. Jednak Jimmy Zizmo miał akurat kontakty w Fordzie.

– Jestem dostawcą – powiedział.

– Czego?

– Różnych paliw.

Znowu siedzieli w packardzie wibrującym na cieniutkich oponach. Zapadała lekka mgiełka. Lefty zezował przez zamgloną boczną szybę. Gdy podjeżdżali wzdłuż Michigan Avenue, pomalutku zaczynał wyłaniać się górujący w oddali monolit, budynek przypominający gigantyczne organy kościelne, z piszczałkami wznoszącymi się w niebo.

Był również zapach – ten sam zapach, który wiele lat później miał się unosić w górę rzeki i docierać do mnie leżącego w łóżku lub stojącego w bramce na boisku do hokeja na trawie. I tak jak mój własny nos, podobnie zakrzywiony w tamtych czasach, również nos mojego dziadka stanął w pogotowiu. Nozdrza się rozszerzały. Wdychał powietrze. Z początku zapach był łatwy do rozpoznania, stanowił część świata organicznego – zepsute jajka i gnój. Ale po kilku sekundach chemiczne właściwości tej woni przysmaliły mu nozdrza i zakrył nos chusteczką.

Zizmo zaśmiał się:

– Nie przejmuj się. Przywykniesz.

– Nie, nie przywyknę.

– Chcesz poznać tajemnicę?

– Jaką?

– Nie oddychaj.

Gdy dotarli do fabryki, Zizmo zabrał go do działu kadr.

– Jak długo mieszka w Detroit? – zapytał kierownik.

– Sześć miesięcy.

– Czy możesz to udowodnić?

Na co Zizmo powiedział cicho:

– Mogę podrzucić niezbędne dokumenty do pana do domu.

Kierownik działu kadr rozejrzał się:

– Bourbon Old Log Cabin?

– Tylko najlepszy.

Kierownik wysunął dolną wargę, patrząc badawczo na mojego dziadka.

– Jak u niego z angielskim?

– Nie jest tak dobry jak ja, ale szybko się uczy.

– Będzie musiał pójść na kurs i zdać egzamin. Inaczej wylatuje.

– Jasna sprawa. Jeśli mógłby pan zapisać mi swój adres, to umówilibyśmy się na dostawę. Czy poniedziałek wieczorem, powiedzmy o wpół do dziewiątej, to odpowiednia pora?

– Proszę wejść przez tylne drzwi.

Krótki okres zatrudnienia mojego dziadka w Ford Motor Company był jedynym przepracowanym przez jakiegokolwiek Stephanidesa w przemyśle motoryzacyjnym. Zamiast produkować samochody, zostaliśmy producentami sałatek greckich i bułek do hamburgerów, wytwórcami *spanakopita* i zapiekanych kanapek z serem, technokratami puddingu ryżowego i bananowego ciasta z kremem. Naszą linię montażową stanowił ruszt, ciężkim sprzętem był saturator. Niemniej jednak te dwadzieścia pięć tygodni zapewniło nam osobisty stosunek do tego masywnego, ponurego, budzącego grozę kompleksu, jaki widzieliśmy z autostrady, a który sterował Wezuwiuszem kominów, rur, drabin, pomostów, płomieni i dymu, znanym, jak zaraza lub monarcha, tylko pod nazwą określającą różowy kolor: the Rouge.

Pierwszego dnia pracy Lefty wszedł do kuchni w swoim nowym kombinezonie. Rozłożył ręce we flanelowej koszuli, pstryknął palcami i zatańczył w butach roboczych, na co Desdemona zaczęła się śmiać i zamknęła drzwi do kuchni, aby nie obudzić Liny. Lefty zjadł na śniadanie suszone śliwki i jogurt, czytając grecką gazetę sprzed kilku dni. Desdemona zapakowała mu greckie drugie śniadanie, składające się z fety, oliwek i pieczywa, do nowego amerykańskiego pojemnika – brązowej papierowej torby. Gdy odwrócił się w drzwiach, aby ją pocałować na pożegnanie, cofnęła się, przestraszona, że ktoś może ich zobaczyć. W tym momencie przypomniała sobie, że są przecież małżeństwem. Mieszkali w miejscu zwanym Michigan, w miejscu, w którym można było odnieść wrażenie, że wszystkie ptaki mają tylko jeden kolor, i gdzie nikt nie znał ani jej, ani Lefty'ego. Desdemona postąpiła krok do przodu, aby dotknąć warg swojego męża. Ich pierwszy pocałunek na amerykańskiej otwartej przestrzeni, na tylnej werandzie domu, obok tracącej liście wiśni. Poczuła, jak w jej wnętrzu wybucha raca szczęścia i przez chwilę obsypuje ją iskrami, aż Lefty zniknął za domem.

Dobry humor towarzyszył mojemu dziadkowi do przystanku tramwajowego. Tam czekali już inni robotnicy, stojąc w grupkach, paląc

papierosy i żartując. Lefty zauważył ich metalowe pojemniki na drugie śniadanie i ze wstydem schował swoją torebkę za plecy. Pierwszą oznaką zbliżającego się tramwaju było drganie w podeszwach jego butów. Potem pojawił się na tle wschodzącego słońca rydwan samego Apollina, ale elektryczny. Wewnątrz stali mężczyźni podzieleni na grupki mówiące tym samym językiem. Twarze wyszorowane przed pracą, jednak w uszach wciąż widać było ślady sadzy. Tramwaj ponownie ruszył. Wkrótce radosny nastrój prysł i głosy ucichły. W pobliżu śródmieścia wsiadło kilku Murzynów, którzy jechali, wisząc na zewnątrz i trzymając się dachu.

I wtedy na tle nieba pojawiła się fabryka Rouge, wznosząca się nad emitowane przez siebie opary. Najpierw można było zobaczyć tylko szczyty ośmiu głównych kominów. Każdy z nich wypluwał własną czarną chmurę. Chmury pęczniały, unosząc się w górę, i łączyły się w wielki całun wiszący nad okolicą, który rzucał cień rozpościerający się wzdłuż torów tramwajowych, a Lefty zrozumiał, że przyczyną panującej wśród mężczyzn ciszy był właśnie ten cień, jego nieuniknione pojawianie się każdego ranka. Wraz z jego nadejściem mężczyźni odwrócili się i Lefty mógł widzieć tylko światło znikające z nieba, gdy cień zaczął obejmować tramwaj, twarze mężczyzn zszarzały, a jeden z *mavros* splunął krwią na ulicę. Następnie do wnętrza przesączył się zapach, najpierw możliwa do wytrzymania woń jajek i gnoju, a chwilę później nieznośnie duszący smród chemikaliów. Gdy Lefty spojrzał na innych, aby zobaczyć, czy i oni go poczuli, okazało się, że nie, chociaż nadal oddychali. Drzwi się otworzyły i wszyscy kolejno wyszli. Przez wiszący dym Lefty widział, jak z innych tramwajów wysiadają inni robotnicy, setki szarych postaci posuwających się ciężkim krokiem przez wybrukowany dziedziniec do bram fabryki. Obok przejeżdżały ciężarówki i Lefty dał się porwać prądowi następnej zmiany, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy ludzi wypalających w pośpiechu ostatniego papierosa lub rzucających ostatnie słowa – ponieważ wraz ze zbliżaniem się do fabryki zaczęli ponownie mówić, nie dlatego, że mieli coś do powiedzenia, ale dlatego, że za tymi drzwiami nie wolno było używać języka. Główny budynek, forteca z ciemnej cegły, miał siedem pięter wysokości, a kominy siedemnaście. Od budynku prowadziły dwie pochylnie, z wieżami ciśnień na górze, zmierzające do pomostów obserwacyjnych i do przylegających rafinerii, usianych mniejszymi kominami. Całość wyglądała jak gaj, jakby wiatr rozsiał nasiona z ośmiu

głównych kominów fabryki Rouge i teraz dziesięć, dwadzieścia lub trzydzieści mniejszych pni wystrzeliwało w górę z otaczającej zakład nieurodzajnej gleby. Lefty mógł zobaczyć szyny kolejowe, ogromne silosy stojące nad rzeką, gigantyczne paki węgla, koksu i rudy żelaza, a także pomosty rozpięte wysoko na kształt gigantycznych pająków. Zanim wessały go drzwi, zdążył jeszcze rzucić okiem na frachtowiec i odcinek rzeki, która otrzymała od Francuzów nazwę odpowiadającą jej czerwonemu kolorowi na długo przed tym, zanim woda zmieniła barwę na pomarańczową od ścieków czy też zapaliła się pierwszy raz.

Fakt historyczny – w 1913 roku człowiek przestał być istotą ludzką. W tym właśnie roku Henry Ford ustawił swoje samochody na pasach przesuwanych przez wałki, a jego pracownicy zaczęli przystosowywać się do prędkości funkcjonowania linii montażowej. Początkowo robotnicy sprzeciwiali się, rezygnując z pracy całymi grupami, gdyż nie byli w stanie dostosować rytmu swoich ciał do nowego tempa epoki. Jednak od tamtego czasu adaptacja do nowych warunków przechodziła z pokolenia na pokolenie. Wszyscy ją do pewnego stopnia odziedziczyliśmy, dzięki czemu bez problemów podłączamy się do joysticków i pilotów zdalnego sterowania, wykonując setki różnych powtarzalnych ruchów.

Ale w 1922 roku bycie maszyną nadal jeszcze było czymś nowym.

Przeszkolenie mojego dziadka do pracy w hali zajęło siedemnaście minut. Częścią nowej, genialnej metody produkcji był podział pracy na zadania niewymagające wykwalifikowanych pracowników. Dzięki temu można było zatrudnić każdego. I zwolnić każdego. Brygadzista pokazał Lefty'emu, jak pobierać panewkę z taśmy przenośnika, szlifować ją na tokarce i odkładać z powrotem na taśmę. Ze stoperem w ręce sprawdził czas, w jakim nowy pracownik starał się wykonać swoje zadanie. Następnie, kiwnąwszy głową, zaprowadził Lefty'ego na jego miejsce przy taśmie. Po lewej stał mężczyzna o nazwisku Wierzbicki, a po prawej niejaki O'Malley. Przez chwilę byli trójką czekających wspólnie mężczyzn. I wtedy rozległ się gwizdek.

Co czternaście sekund Wierzbicki nawierca panewkę, Stephanides szlifuje panewkę, a O'Malley mocuje panewkę do wału rozrządu. Gotowy wał odjeżdża na taśmie przenośnika, krążąc po fabryce przez chmury pyłów metalu i kwaśne mgły, aż jakieś pięćdziesiąt metrów dalej inny robotnik sięga, zdejmuje wał i zakłada go na blok silnika (dwadzieścia

sekund). W tym samym czasie inni pracownicy zdejmują części z sąsiednich przenośników – gaźnik, rozdzielacz, przewód wlotowy rozgałęziony – i mocują je do bloku silnika. Nad ich pochylonymi głowami ogromne, napędzane parą wrzeciona uderzają mocarnymi pięściami. Nie pada żadne słowo. Wierzbicki nawierca panewkę, Stephanides szlifuje panewkę, a O'Malley mocuje panewkę do wału rozrządu. Wał krąży po hali, aż inna ręka sięgnie, aby go zdjąć i zamocować do bloku silnika, który staje się teraz coraz bardziej cudaczny ze swoją spiralą rur i piórami łopatek wentylatora. Wierzbicki nawierca panewkę, Stephanides szlifuje panewkę, a O'Malley mocuje panewkę do wału rozrządu. Tymczasem inni robotnicy przykręcają filtr powietrza (siedemnaście sekund), mocują silnik rozruchowy (dwadzieścia sześć sekund) i zakładają koło zamachowe. W tym momencie silnik jest już ukończony i ostatni pracownik wysyła go dalej…

Tylko że to nie jest ostatni pracownik. Poniżej są inni mężczyźni, którzy wciągają silnik, a na jego spotkanie wtacza się już podwozie. Ci mężczyźni mocują silnik do przekładni (dwadzieścia pięć sekund). Wierzbicki nawierca panewkę, Stephanides szlifuje panewkę, a O'Malley mocuje panewkę do wału rozrządu. Mój dziadek widzi przed sobą tylko panewkę, jego ręce zdejmują ją, szlifują i odkładają na taśmę w chwili, gdy pojawia się następna. Znajdujący się nad nim przenośnik ciągnie do tyłu, do mężczyzn, którzy wytłaczają panewki i wkładają wlewki do pieców, z powrotem do odlewni, gdzie pracują Murzyni ubrani w okulary osłaniające przed piekielnym światłem i gorącem. Wprowadzają rudę żelaza do wielkiego pieca i wlewają do form roztopioną stal z kadzi. Wlewają z dokładnie dobraną szybkością – zbyt szybko i forma rozerwie się na kawałki, zbyt wolno i stal stwardnieje. Nie mogą nawet zatrzymać się, aby strząsnąć płonące drobiny metalu z ramion. Czasem robi to brygadzista, a czasem nie. Odlewnia jest najdalej położonym, jeśli sięgnąć wstecz, elementem Rouge, jej roztopionym jądrem, ale linia cofa się jeszcze dalej. Biegnie na zewnątrz, za góry węgla i koksu, zmierza ku rzece, gdzie cumują frachtowce rozładowujące rudę, i w tym miejscu linia ta staje się samą rzeką, wije się w górę do lasów północy aż dociera do swojego źródła, którym jest sama ziemia, znajdujące się w niej wapień i piaskowiec; i następnie linia biegnie z powrotem, z podłoża do rzeki, do frachtowców i w końcu do dźwigów, łopat i pieców, gdzie jest

przetwarzana w roztopioną stal i wlewana do form, stygnąc i twardniejąc w części samochodowe – koła zębate, półosie napędowe i zbiorniki paliwa modelu T z roku 1922. Wierzbicki nawierca panewkę, Stephanides szlifuje panewkę, a O'Malley mocuje panewkę do wału rozrządu. Na górze i z tyłu, pod różnymi kątami, robotnicy wsypują piasek do form, wbijają młotami wkładki do wlewnic lub wkładają odlewarki do żeliwiaków. Linia nie stanowi pojedynczej nitki, ale składa się z wielu odgałęzień biegnących w różnych kierunkach i przecinających się. Kolejni robotnicy wytłaczają części nadwozia (pięćdziesiąt sekund), rozklepują je (czterdzieści dwie sekundy) i spawają (minuta i dziesięć sekund). Wierzbicki nawierca panewkę, Stephanides szlifuje panewkę, a O'Malley mocuje panewkę do wału rozrządu. Wał leci przez fabrykę, aż zdejmie go jakiś mężczyzna i przymocuje do bloku silnika, który teraz staje się coraz bardziej cudaczny z łopatkami wentylatora, rurami i świecami zapłonowymi. I już silnik jest gotowy. Jakiś człowiek posyła go w dół, na podjeżdżające na jego spotkanie podwozie, a trzech robotników wyciąga nadwozie samochodu z pieca, połyskujące wypieczonym czarnym wykończeniem, w którym mogą zobaczyć swoje twarze. Przez chwilę rozpoznają się, zanim opuszczą nadwozie na podjeżdżające na jego spotkanie podwozie. Mężczyzna wskakuje za kierownicę (trzy sekundy), włącza zapłon (dwie sekundy) i wyjeżdża automobilem na zewnątrz.

W dzień – ani słowa, w nocy – tysiące. Co wieczór, po fajrancie, mój wyczerpany dziadek wychodzi z fabryki i ciężkim krokiem przechodzi do budynku, w którym mieści się Szkoła Języka Angielskiego Henry'ego Forda. Siada w ławce, przed otwartym zeszytem ćwiczeń. Można odnieść wrażenie, że ławka wibruje razem z podłogą, z szybkością przemieszczania się linii, 1,2 mili na godzinę. Patrzy w górę na angielski alfabet, wypisany na fryzie biegnącym wokół klasy. Obok niego, rzędami, nad takimi samymi zeszytami siedzą inni mężczyźni. Mają włosy sztywne od zaschniętego potu, oczy zaczerwienione od metalowego pyłu, szorstkie ręce i z posłuszeństwem chłopców z chóru kościelnego wyliczają:

– Pracownicy powinni w domu używać dużej ilości mydła i wody.
– Czystość jest głównym czynnikiem podnoszącym poziom życia.
– W domu nie plujemy na podłogę.
– Nie tolerujemy żadnych much w domu.

– Czystość świadczy o poziomie ucywilizowania.

Czasami lekcje angielskiego miały swoją kontynuację w pracy. Tydzień po wykładzie brygadzisty na temat wzrostu wydajności Lefty przyspieszył tempo pracy, szlifując panewkę w dwanaście sekund, zamiast w czternaście. Gdy później wrócił z toalety, zobaczył na tokarce napis SZCZUR. Pas był przecięty. Zanim znalazł zapasowy pas w skrzynce na narzędzia, zabrzmiała syrena. Linia się zatrzymała.

– Co jest z tobą, do diabła?! – wrzeszczał na niego brygadzista. – Za każdym razem, gdy wyłączamy linię, tracimy pieniądze. Jeśli to się powtórzy, wylatujesz z roboty. Jasne?!

– Tak, proszę pana.

– W porządku! Uruchomić linię!

I linia ruszyła ponownie. Gdy brygadzista już odszedł, O'Malley rozejrzał się na boki i pochylił się, szepcząc:

– Nie próbuj tu bić rekordów. Rozumiesz? W ten sposób wszyscy będziemy musieli pracować szybciej.

Desdemona została w domu i zajmowała się gotowaniem. Bez jedwabników, którymi się opiekowała, i bez morw, które pielęgnowała, bez sąsiadek, z którymi mogła poplotkować, czy kóz, które doiła, moja babka wypełniała czas przygotowywaniem jedzenia. Gdy Lefty w fabryce nieustannie szlifował panewki, Desdemona tworzyła greckie potrawy: pastitsio, musakę i deser galactoboureko. Posypywała stół kuchenny mąką i, używając wybielonego kija do miotły, wałkowała cienkie jak papier płachty ciasta. Płachty schodziły z jej linii montażowej jedna po drugiej. Wypełniały kuchnię. Pokrywały salonik, w którym na meblach porozkładała pościel. Desdemona chodziła wzdłuż linii tam i z powrotem, dodając orzechy włoskie, masło, miód, szpinak, ser, nakładając kolejne warstwy ciasta, później jeszcze więcej masła, zanim odlała zmontowaną mieszankę w piecu. W fabryce Rouge robotnicy padali z gorąca i ze zmęczenia, a przy Hurlbut Street moja babka pracowała na drugą zmianę. Wstawała rano, aby zrobić śniadanie mężowi i przygotować mu drugie śniadanie do pracy, następnie marynowała udziec jagnięcy w winie i czosnku. Po południu robiła kiełbasy, przyprawiane koprem, i wieszała je na rurach grzewczych w piwnicy. O trzeciej zabierała się za przyrządzanie obiadu i dopiero, gdy zaczął się gotować, robiła sobie przerwę i siadała

przy stole kuchennym, sprawdzając w senniku znaczenie snów, jakie miała minionej nocy. Na piecyku przez cały czas na wolnym ogniu gotowały się przynajmniej trzy garnki. Czasami Jimmy Zizmo przyprowadzał do domu kilku ze swoich wspólników, mężczyzn ogromnej postury z głowami tłustymi jak baleron, wciśniętymi w filcowe kapelusze. Desdemona podawała im jedzenie o różnych porach dnia. Potem wychodzili do miasta. Desdemona sprzątała.

Jedyną rzeczą, której nie robiła, były zakupy. W amerykańskich sklepach czuła się zagubiona. Uważała, że warzywa i owoce wyglądały wprost przygnębiająco. Nawet wiele lat później, gdy w naszej podmiejskiej kuchni zobaczyła mekintosza ze sklepu Krogera, wzięła go do ręki i powiedziała z kpiną: „To jest nic niewarte. Takie dawaliśmy kozom". Wyjście na miejscowy ryneczek oznaczało, że trzeba zapomnieć o aromacie brzoskwiń, fig i zimowych kasztanów Bursy. Już wtedy, w pierwszych miesiącach pobytu w Ameryce, Desdemona cierpiała na „nieuleczalną tęsknotę za domem". Dlatego to Lefty po pracy w fabryce i po lekcjach angielskiego kupował baraninę i warzywa, przyprawy i miód.

I tak żyli… przez jeden miesiąc… trzy… pięć… Przetrzymali pierwszą zimę w Michigan. Styczniowa noc, właśnie minęła pierwsza po północy. Desdemona Stephanides śpi ubrana w swój znienawidzony kapelusz z YWCA, który chroni ją od wiatru wiejącego przez cienkie ściany. Grzejnik stęka i pobrzękuje. Przy świetle świecy Lefty kończy zadanie domowe – oparty na kolanie zeszyt, w ręku ołówek. A ze ściany dochodzi chrobotanie. Podnosi wzrok znad zeszytu i widzi parę czerwonych oczu świecących z dziury w listwie przypodłogowej. Pisze SZCZUR, a potem rzuca ołówkiem w szkodnika. Desdemona dalej śpi. Gładzi jej włosy. Mówi po angielsku: „Hello, kochanie". Ten nowy kraj i nowy język pozwoliły trochę dalej odsunąć przeszłość. Śpiąca obok niego postać z każdą nocą jest już coraz mniej jego siostrą i coraz bardziej jego żoną. Dzień po dniu nabierały mocy przepisy o przedawnieniu, powodując, że wszystkie wspomnienia popełnionej zbrodni powoli znikają z pamięci. (Ale to, co człowiek zapomina, komórki pamiętają. Ciało, ta pamiętliwa istota…)

Nadeszła wiosna 1923 roku. Mój dziadek, przyzwyczajony do skomplikowanych koniugacji czasowników klasycznej greki, postrzegał angielski, wraz z jego całą niespójnością, jako język względnie łatwy do opanowania. Gdy już wchłonął dużą porcję słownictwa, zaczął delektować

się znanymi mu składnikami, greckimi przyprawami w rdzeniach, przedrostkach i końcówkach wyrazów. W celu uświetnienia zakończenia zajęć w Szkole Języka Angielskiego Henry'ego Forda planowane było przedstawienie. Do udziału w nim zaproszono jednego z najlepszych uczniów, jakim był Lefty Stephanides.

– Co to za przedstawienie? – zapytała Desdemona.

– Nie mogę ci powiedzieć. To niespodzianka. Ale będziesz musiała uszyć mi strój.

– Jaki?

– Taki jak z *patridha*.

Była środa wieczór. Lefty i Zizmo siedzieli w *sala*, do której nagle weszła Lina, aby posłuchać „Godziny z Ronnie Ronnette". Zizmo spojrzał na nią z dezaprobatą, ale ona ukryła się w swoich słuchawkach.

– Ona sądzi, że jest jedną z tych *Amerikanidhes* – powiedział Zizmo do Lefty'ego. – Spójrz. Widzisz? Nawet zakłada nogę na nogę.

– Ale tu jest Ameryka – powiedział Lefty. – Tutaj wszyscy jesteśmy *Amerikanidhes*.

– Tu nie jest żadna Ameryka – odparował Zizmo. – Tu jest mój dom. Tutaj nie mieszkamy jak *Amerikanidhes*. Twoja żona to rozumie. Czy widziałeś ją kiedyś w *sala* słuchającą radia i pokazującą nogi?

Ktoś zapukał do drzwi. Zizmo, który żywił niewytłumaczalną niechęć do niezapowiedzianych gości, aż podskoczył i natychmiast sięgnął pod marynarkę. Dał znak Lefty'emu, aby ten się nie ruszał. Lina, która coś zauważyła, zdjęła słuchawki. Ponownie dało się słyszeć pukanie.

– *Kyrie* – powiedziała Lina. – Czy gdyby ktoś chciał cię zabić, to by pukał?

– Kto chce zabić?! – zapytała Desdemona, wypadając z kuchni.

– Tak się tylko mówi – powiedziała Lina, która lepiej orientowała się w kwestiach importowych męża niż o tym mówiła. Prześlizgnęła się do drzwi i otworzyła je.

Na wycieraczce stało dwóch mężczyzn. Mieli na sobie szare garnitury, krawaty w paski, czarne półbuty z dziurkami na przyszwie. Twarze okalały krótkie bokobrody. W rękach trzymali takie same teczki. Kiedy zdjęli kapelusze, okazało się, że mają identyczne kasztanowe włosy, równo rozdzielone na środku głowy. Zizmo wyjął rękę z marynarki.

– Jesteśmy z działu socjalnego fabryki Forda – powiedział wysoki. – Czy pan Stephanides jest w domu?

– Tak? – odezwał się Lefty.

– Panie Stephanides, pozwoli pan, że wyjaśnię powód naszej wizyty.

– Zarząd przewidział – gładko wszedł mu w słowo ten niski – że pięć dolarów dziennie w rękach niektórych ludzi może stanowić ogromne wsparcie na drodze prawości i uczciwego życia, ale może również spowodować, że taka osoba stanie się zagrożeniem dla całego społeczeństwa.

– I dlatego zostało postanowione przez pana Forda – ponownie przejął ten wyższy, – że tych pieniędzy nie mogą otrzymywać ludzie, którzy nie potrafią z nich korzystać roztropnie i ostrożnie.

– Ponadto – znowu ten niski – gdy się okaże, że człowiek, który początkowo spełnia wszystkie warunki, zawiedzie oczekiwania pracodawcy, w zakresie kompetencji firmy leży odebranie jego udziału w zyskach do czasu, gdy uda mu się zrehabilitować. Czy możemy wejść?

Gdy przekroczyli próg, rozdzielili się. Wysoki wyjął z teczki blok papieru.

– Jeśli można, zadam panu kilka pytań, panie Stephanides. Czy pan pije?

– Nie – odpowiedział za niego Zizmo.

– A kim pan jest, jeśli można spytać?

– Nazywam się Zizmo.

– Czy pan jest tu właścicielem?

– To jest mój dom.

– Zatem pan i pani Stephanides są tu lokatorami?

– Zgadza się.

– To niedobrze. To niedobrze – powiedział wysoki. – Zachęcamy naszych pracowników do zaciągania kredytu hipotecznego.

– On teraz na to pracuje – wyjaśnił Zizmo.

Tymczasem niski wszedł do kuchni. Podnosił pokrywki z garnków, otworzył drzwiczki do piecyka, zajrzał do kosza na śmieci. Desdemona chciała zaprotestować, ale Lina powstrzymała ją wzrokiem. (Nos Desdemony zaczął zauważalnie drgać. Już od dwóch dni jej zmysł węchu był bardzo wyostrzony. Jedzenie zaczęło dziwnie pachnieć, ser feta – jak brudne skarpetki, oliwki – jak kozie łajno.)

– Jak często się pan kąpie, panie Stephanides? – zapytał wysoki.

– Codziennie, proszę pana.

– Jak często myje pan zęby?

– Codziennie, proszę pana.

– Czego pan używa?

– Sody oczyszczonej.

Niski wspinał się już po schodach. Wszedł do sypialni moich dziadków, jak do swojej, i zbadał pościel. Wszedł do łazienki i skontrolował deskę sedesową.

– Od dziś proszę używać tego – powiedział wysoki. – To jest proszek do czyszczenia zębów. A tu jest nowa szczoteczka do zębów.

Z zażenowaniem dziadek wziął podane mu przedmioty.

– Pochodzimy z Bursy – usiłował wyjaśnić. – To duże miasto.

– Proszę szczotkować wzdłuż linii dziąseł. Na dole do góry i u góry na dół. Przez dwie minuty, rano i wieczorem. Zobaczmy. Niech pan spróbuje.

– Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

– Czy mam rozumieć, że pan odmawia wykonania ćwiczenia z zakresu higieny?

– Proszę posłuchać – powiedział Zizmo. – Grecy zbudowali Partenon, a Egipcjanie piramidy jeszcze w czasach, gdy Anglosasi chodzili w zwierzęcych skórach.

Wysoki spojrzał przeciągle na Zizmo i zanotował coś w swoim bloczku.

– W ten sposób? – zapytał mój dziadek. Z koszmarnym uśmiechem poruszał szczoteczką w swoich suchych ustach, w górę i w dół.

– Tak jest dobrze. W porządku.

Niski ponownie pojawił się na schodach. Otworzył swój bloczek i zaczął:

– Pozycja pierwsza: kosz na śmieci w kuchni nie ma przykrywki. Pozycja druga: mucha na stole kuchennym. Pozycja trzecia: zbyt dużo czosnku w jedzeniu. Powoduje niestrawności.

(W tym momencie Desdemona zlokalizowała przyczynę nudności – włosy niskiego. To zapach brylantyny powodował mdłości).

– To bardzo troskliwe z waszej strony tak przychodzić i interesować się zdrowiem pracowników – powiedział Zizmo. – Nie chcielibyśmy, aby ktoś nam zachorował, prawda? To mogłoby spowodować spadek produkcji.

– Udam, że tego nie słyszałem – powiedział wysoki – w związku z tym, że nie jest pan formalnie pracownikiem Ford Motor Company. Niemniej jednak – tu zwrócił się ponownie do mojego dziadka – chciałbym pana poinformować, panie Stephanides, że zamierzam w moim sprawozdaniu odnotować pana stosunki społeczne. Chciałbym zalecić, aby pan i pani

Stephanides przeprowadzili się do własnego domu, gdy tylko to będzie finansowo możliwe.

– Czy mogę zapytać, czym się pan zajmuje? – dopytywał się niski.

– Pracuję w spedycji – odparł Zizmo.

– Miło, że panowie do nas zajrzeli – wtrąciła Lina. – Ale jeśli panowie nam wybaczą, właśnie mieliśmy siadać do kolacji. Musimy jeszcze dziś wieczorem iść do kościoła. I, oczywiście, Lefty musi być w łóżku o dziewiątej, aby się dobrze wyspać. Lubi rano być wypoczęty.

– W porządku. Dobra.

Równocześnie założyli kapelusze i wyszli.

I tak dotarliśmy do tygodni poprzedzających przedstawienie na zakończenie zajęć w szkole. Do Desdemony szyjącej kamizelkę *palikari*, wyszywającej ją nitką czerwoną, białą i niebieską. Do Lefty'ego wychodzącego z pracy pewnego piątkowego wieczoru i przechodzącego przez Miller Road, aby otrzymać pieniądze z opancerzonej ciężarówki. Ponownie do Lefty'ego w wieczór przedstawienia, jadącego tramwajem na Cadillac Square i wchodzącego do sklepu Gold's Clothes. Spotyka się tam z Jimmym Zizmo, który ma mu pomóc wybrać garnitur.

– Już prawie lato. Może coś w kolorze kremowym? Z żółtym krawatem z jedwabiu.

– Nie. Nauczyciel angielskiego powiedział nam, co mamy mieć. Tylko niebieski albo szary.

– Chcą zrobić z ciebie protestanta. Nie daj się.

– Poproszę ten niebieski garnitur, dziękuję – mówi Lefty po angielsku najlepiej, jak potrafi.

(Właściciel sklepu chyba również jest coś winien Jimmy'emu Zizmo. Daje im dwudziestoprocentowy upust).

Tymczasem na Hurlbut Street ojciec Stylianopoulos, duchowny zarządzający greckim kościołem prawosławnym Wniebowzięcia, przyszedł w końcu pobłogosławić ich dom. Desdemona nerwowo patrzy na księdza pijącego podaną mu lampkę metaksy. Kiedy ona i Lefty przystępowali do zgromadzenia, stary ksiądz zapytał ich, dla formalności, czy brali prawosławny ślub. Desdemona odpowiedziała, że tak. Od dziecka wierzyła, że księża potrafią rozpoznać, czy ktoś mówi prawdę, czy nie, ale ojciec Stylianopoulos tylko skinął głową i zapisał ich nazwiska w rejestrze

kościelnym. Duchowny odstawia swój kieliszek. Wstaje i odmawia błogosławieństwo, skrapiając próg wodą święconą. Jednak jeszcze zanim kończy błogosławieństwo, znowu odzywa się nos Desdemony. Może wyczuć, co ksiądz jadł na lunch. Może wykryć zapach unoszący się spod jego pach, gdy robi znak krzyża. W drzwiach, przepuszczając go, wstrzymuje oddech.

– Dziękuję, ojcze. Bardzo dziękuję.

Stylianopoulos wychodzi. Ale nic to nie zmienia. Gdy tylko Desdemona zaczyna ponownie oddychać, czuje zapach nawożonych rabat, zapach kapusty gotowanej przez sąsiadkę, panią Czeslawski, i jeszcze zapach czegoś, co, mogłaby przysiąc, musi być otwartym słoikiem z musztardą, te wszystkie wonie nadciągają do niej, a ona kładzie rękę na brzuchu.

W tym momencie otwierają się drzwi do sypialni. Wychodzi Sourmelina. Jedną część twarzy ma pokrytą pudrem i różem, ale druga jest naga i zielonkawa.

– Czy czujesz ten zapach? – pyta.

– Tak. Czuję wszystko.

– O, Boże.

– Co to jest?

– Nie sądziłam, że mi się coś takiego przytrafi. Może tobie, ale nie mnie.

Jesteśmy już w budynku Light Guard Armory w Detroit, tego samego dnia o siódmej wieczorem. Zebrana dwutysięczna publiczność zasiada przy gasnących światłach. Prominentni biznesmeni witają się, podając sobie ręce. Jimmy Zizmo w nowym, kremowym garniturze z żółtym krawatem, zakłada nogę na nogę i kołysze białym butem z czarnym zdobieniem na przyszwie. Lina i Desdemona trzymają się za ręce, zjednoczone wspólną tajemnicą.

Kurtyna się rozsuwa, gdzieniegdzie dają się słyszeć westchnienia i oklaski. Malowana dekoracja przedstawia parowiec z dwoma ogromnymi kominami oraz fragment pokładu z relingiem. Trap prowadzi do drugiego centralnego punktu sceny – do ogromnego szarego kotła, ozdobionego napisem TYGIEL NARODÓW SZKOŁY JĘZYKA ANGIELSKIEGO HENRY'EGO FORDA. Słychać europejską melodię ludową. Nagle na trap wstępuje samotna postać. Imigrant ubrany w bałkański strój, składający się z kamizelki, luźnych spodni i wysokich skórzanych butów, niesie swój

dobytek w węzełku na długim kiju. Rozgląda się z niepokojem i schodzi do kotła.

– Co za propaganda – mruczy Zizmo ze swojego miejsca.

Lina ucisza go.

Następnie do kotła schodzi SYRIA. Po niej WŁOCHY, POLSKA, NORWEGIA, PALESTYNA. I w końcu: GRECJA.

– Spójrz, to Lefty!

Ubrany w wyszywaną kamizelkę *palikari*, *poukamiso* z bufiastymi rękawami i w plisowanej spódniczce *foustanella*, mój dziadek przekracza trap. Zatrzymuje się na moment, aby spojrzeć na publiczność, ale oślepiają go jasne światła. Nie widzi patrzącej na niego żony, która nie może się doczekać chwili, gdy będzie mogła wyjawić swoją tajemnicę. NIEMCY stukają go w plecy.

– *Macht schnell*. Przepraszam. Szybciej.

Siedzący w pierwszym rzędzie Henry Ford kiwa z zadowoleniem głową, podoba mu się przedstawienie. Pani Ford chce mu coś szepnąć do ucha, ale on odsuwa ją ruchem ręki. Jego niebieskie mewie oczy przeskakują z twarzy na twarz, a tymczasem na scenę wchodzą nauczyciele angielskiego. Niosą długie łyżki, które wkładają do kotła. Światła zmieniają kolor na czerwony i migoczą, a oni mieszają łyżkami w kotle. Nad sceną unosi się para wodna.

Ciasno upakowani wewnątrz kotła ludzie wyrzucają ubrania imigrantów i wkładają garnitury. Kończyny plączą się między sobą, stopy depczą po cudzych stopach. Lefty powtarza:

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć – czuje się w pełni Amerykaninem, wkładając swoje niebieskie spodnie z wełny i marynarkę. W ustach trzydzieści dwa wyczyszczone po amerykańsku zęby. Miejsca pod pachami obficie spryskane amerykańskim dezodorantem. Łyżki opadają z góry, mężczyźni zaczynają wirować w koło…

…w tym czasie za kulisami stoi dwóch mężczyzn, niski i wysoki, z kartką papieru…

…na widowni moja babka wygląda na oszołomioną…

…a w kotle kipi. Czerwone światła rozjaśniają się. Orkiestra zaczyna grać Yankee Doodle. Jeden po drugim podnoszą się absolwenci Szkoły Języka Angielskiego Henry'ego Forda. Ubrani w niebieskie i szare garnitury

wychodzą na zewnątrz kotła, machają amerykańską flagą, a publiczność wita ich gromkimi oklaskami.

Jeszcze kurtyna dobrze nie opadła, gdy podeszli mężczyźni z działu socjalnego.

– Zdałem egzamin końcowy – powiedział im Lefty. – Dziewięćdziesiąt trzy procent! A dzisiaj otwieram rachunek oszczędnościowy.

– Miło to słyszeć – powiedział wysoki.

– Ale, niestety, jest już za późno – dodał niski. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru w dobrze znanym w Detroit kolorze różowym.

– Sprawdziliśmy pana gospodarza. Tego, jak mu tam, Jimmy'ego Zizmo. Był notowany przez policję.

– Nic o tym nie wiem – zaprotestował mój dziadek. – To musi być jakaś pomyłka. To bardzo miły człowiek. I ciężko pracuje.

– Przykro mi, panie Stephanides. Ale musi pan zrozumieć, że u pana Forda nie mogą pracować osoby utrzymujące takie stosunki towarzyskie. Nie musi pan przychodzić do fabryki w poniedziałek.

Gdy mój dziadek starał się przyswoić tę wiadomość, niski nachylił się:

– Mam nadzieję, że będzie to dla pana nauczka. Nieodpowiednie towarzystwo może pana pogrążyć. Wygląda pan na miłego faceta, panie Stephanides. Naprawdę. Życzymy panu dużo szczęścia w przyszłości.

Kilka minut później Lefty wyszedł na spotkanie z żoną. Był zaskoczony, gdy nagle, na oczach wszystkich, objęła go i nie chciała puścić.

– Podobało ci się przedstawienie?

– To nie o to chodzi.

– A o co?

Desdemona spojrzała mężowi w oczy. Ale dopiero Sourmelina wszystko wytłumaczyła.

– O twoją żonę i mnie – powiedziała wprost. – Obie jesteśmy w ciąży.

Minotaury

Ale z tym właśnie nigdy nie będę miał zbyt wiele wspólnego – podobnie jak większość hermafrodytów, aczkolwiek nie wszyscy, nie mogę mieć dzieci. To jeden z powodów, dla których się nie ożeniłem. Jest to również jedna z przyczyn – oprócz wstydu – mojej decyzji o wstąpieniu do służby dyplomatycznej. Nigdy nie chciałem pozostawać długo w jednym miejscu. Od momentu, gdy zacząłem prowadzić życie mężczyzny, wyprowadziliśmy się z matką z Michigan i od tego czasu stale się przenoszę. Za rok lub dwa wyjadę z Berlina, aby objąć stanowisko w innym miejscu. Smutno mi będzie wyjeżdżać. To miasto, w przeszłości podzielone, przypomina mi moją własną osobę i moją własną walkę o zjednoczenie, o *Einheit*. Pochodząc z miasta, które nadal jest rozdzierane nienawiścią rasową, większą nadzieję czuję tu, w Berlinie.

Słowo o moim wstydzie. Nie akceptuję go. Ze wszystkich sił staram się go zwalczyć. Ruch interseksualny walczy o zaprzestanie przeprowadzania zabiegów chirurgicznych, które mają na celu zmianę konfiguracji genitaliów u dzieci. Pierwszym krokiem w tej walce jest przekonanie świata – a zwłaszcza pediatrów endokrynologów – że genitalia hermafrodytów nie są chore. Jedno na dwa tysiące dzieci rodzi się z nieokreślonymi genitaliami. Oznacza to, że w samych Stanach Zjednoczonych, w których mieszka dwieście siedemdziesiąt pięć milionów ludzi, żyje dzisiaj sto trzydzieści siedem tysięcy osobników interseksualnych.

Ale my, hermafrodyci, jesteśmy takimi samymi ludźmi jak inni. Tak się złożyło, że mnie akurat nie interesuje polityka. Nie czuję się dobrze w grupie. Jestem co prawda członkiem stowarzyszenia Intersex Society of North America, ale nigdy nie uczestniczyłem w organizowanych przez nie demonstracjach. Wiodę swoje życie i leczę swoje rany. Być może nie jest to najlepszy sposób na życie, ale taki właśnie jestem.

Najsłynniejszy hermafrodyta w historii? Ja? Miło było napisać coś takiego, ale czeka mnie jeszcze bardzo długa droga. W pracy jestem człowiekiem zamkniętym i otwieram się tylko przed najbliższymi przyjaciółmi. Na przyjęciach, gdy zdarzy mi się stanąć obok byłego ambasadora (również pochodzącego z Detroit), rozmawiamy o drużynie Tygrysów. Tu, w Berlinie, mój sekret zna tylko kilka osób. Teraz częściej opowiadam o sobie niż kiedyś, ale trudno byłoby odnaleźć w moim postępowaniu jakąś konsekwencję. Są wieczory, kiedy otwieram się przed dopiero co spotkanymi osobami. W innych wypadkach pozostaję zamknięty na zawsze.

Tak jest zwłaszcza w przypadku kobiet, które mnie pociągają. Gdy spotykam kobietę, która mi się podoba i która sprawia wrażenie, że ja jej się podobam, wycofuję się. Często nocą w Berlinie zdarza mi się, że ośmielony po wypiciu lampki dobrej jakości rioja zapominam o moich fizycznych kłopotach i pozwalam sobie żywić jakieś nadzieje. Precz idzie szyty na miarę garnitur. Podobnie koszula z kolekcji Thomas Pink. Mój wygląd fizyczny powinien zrobić korzystne wrażenie na osobach, z którymi idę na randkę. (Pod zbroją moich dwurzędowych garniturów jest druga, zbudowana z mięśni wypracowanych na siłowni). Ale nigdy nie zdejmuję mojego ostatecznego zabezpieczenia – moich obszernych, dyskretnych bokserek. Przenigdy. Zamiast tego odchodzę, przepraszając. Odchodzę i już nigdy nie dzwonię do tych kobiet. Jak typowy facet.

Nie mija wiele czasu, a ja ponownie się w to pakuję. Jeszcze raz ulegam nakazom i próbuję. Dziś rano znowu widziałem moją rowerzystkę. Tym razem dowiedziałem się, jak się nazywa – Julie. Julie Kikuchi. Dorastała w północnej Kalifornii, ukończyła szkołę projektowania Rhode Island School of Design, a obecnie przebywa w Berlinie na stypendium z Künstlerhaus Bethanien. W tej chwili jest jednak coś ważniejszego – w piątkowy wieczór mam randkę.

To tylko pierwsza randka. Do niczego nie dojdzie. Nie ma potrzeby wspominać o mojej odmienności, moim włóczeniu się po labiryncie przez tak wiele lat, w ukryciu się przed wszystkimi. I przed miłością.

Równoczesne zapłodnienie nastąpiło we wczesnych godzinach rannych 24 marca 1923 roku w sypialniach położonych jedna nad drugą, po wieczorze spędzonym w teatrze. Mój dziadek, nie zdając sobie sprawy, że wkrótce

zostanie zwolniony, wykosztował się na cztery bilety na przedstawienie „Minotaur", wystawiane w teatrze Family. Początkowo Desdemona nie chciała iść. Była przeciwniczką teatru w ogóle, a zwłaszcza wodewilu, ale w końcu, skuszona helleńską tematyką, założyła nową parę pończoch, czarną sukienkę oraz płaszcz i wraz z resztą ruszyła chodnikiem do straszliwego packarda.

Gdy podnoszono kurtynę w teatrze Family, moja rodzina spodziewała się zobaczyć całą znaną im opowieść. O tym, jak Minos, król Krety, nie złożył Posejdonowi ofiary z białego byka. Jak rozwścieczony Posejdon spowodował, że żona Minosa, Pasifae, zakochała się w byku. Jak dziecko z tego związku, Asterius, urodziło się z ciałem człowieka i głową byka. A później o Dedalu, labiryncie itd. Gdy jednak tylko zapaliły się reflektory, od razu można było zauważyć, że główne akcenty spektaklu wyraźnie odbiegały od tego, co przedstawiała tradycja. Na scenę wbiegły w podskokach tancerki rewiowe. Ubrane w srebrne bluzki z odkrytymi plecami i w prześwitujące koszulki, tańczyły, deklamując strofy zupełnie nie w rytm niesamowicie popiskujących fletów. Pojawił się Minotaur – aktor ubrany w głowę byka zrobioną z papier mâché. Bez jakiegokolwiek wyczucia klasycznej psychologii, aktor grał swoją rolę półczłowieka, jakby miał to być typowy filmowy potwór. Ryczał, bębny waliły, tancerki piszczały i uciekały. Minotaur gonił je i oczywiście łapał, każdą po kolei, a następnie wśród rozlewu krwi pożerał i wciągał ich blade, bezbronne ciała w głąb labiryntu. Kurtyna opadła.

Siedząca w osiemnastym rzędzie Desdemona wyraziła swoje krytyczne zdanie:

– To jak obrazy w muzeum – powiedziała. – To tylko pretekst, by pokazać rozebranych ludzi.

Nalegała też, żeby wyszli przed drugim aktem. W domu, przygotowując się do spania, czwórka miłośników teatru zajęła się codziennymi wieczornymi sprawami. Desdemona wyprała pończochy i zapaliła wieczną lampkę w przedpokoju. Zizmo wypił szklankę soku z papai, który, jak twierdził, miał zbawienny wpływ na trawienie. Lefty starannie powiesił swoje ubranie, wygładzając każdą zmarszczkę na spodniach, natomiast Sourmelina usunęła makijaż za pomocą kremu i poszła spać. Cała czwórka, krążąca po własnych orbitach, udawała, że przedstawienie nie wywarło na nich żadnego wrażenia. Ale gdy Zizmo wyłączył nocną lampkę

i położył się do swojego jednoosobowego łóżka, okazało się, że jest ono zajęte! Sourmelina, śniąc o tancerkach, przeszła we śnie przez zasłonę. Mrucząc strofy, wgramoliła się na swojego podstawionego męża. („A widzisz?" – powiedział Zizmo w ciemnościach. – „Nie ma już żółci. To dzięki olejowi rycynowemu"). Desdemona na górze zapewne coś by usłyszała, gdyby nie udawała, że śpi. Choć się przed tym wzbraniała, przedstawienie jednak podnieciło ją. Dzikie i muskularne uda Minotaura, sugestywnie rozłożone ciała jego ofiar. Wstydząc się swojego podniecenia, starała się nie okazywać tego na zewnątrz. Wyłączyła lampkę. Życzyła mężowi dobrej nocy. Ziewnęła (również teatralnie) i odwróciła się plecami. A Lefty zakradł się od tyłu.

Zatrzymajmy akcję. Bardzo ważna noc dla wszystkich zainteresowanych (między innymi dla mnie). Chciałbym więc odnotować: pozycje (Lefty leżał na plecach, Lina w pozycji leżącej na brzuchu, z podniesioną głową), okoliczności (amnestia nocy) i bezpośrednią przyczynę (przedstawienie o hybrydowym potworze). Podobno rodzice przekazują swoim dzieciom cechy fizyczne, ale ja wierzę, że przekazywanych jest również wiele innych rzeczy – motywy, scenariusze, a nawet przeznaczenie. Czyż nie podkradłem się również do dziewczyny udającej, że śpi? I czy w moim życiu także nie pojawiło się przedstawienie i ktoś umierający na scenie?

Pozostawmy kwestie genealogiczne na boku i powróćmy do faktów biologicznych. Podobnie jak dziewczyny mieszkające w tym samym pokoju w akademiku, Desdemona i Lina miały zsynchronizowany cykl miesiączkowy. Tego dnia był dzień czternasty. Nie zostało to potwierdzone za pomocą termometru, ale kilka tygodni później dowiodły tego objawy – mdłości i nadwrażliwość nosów.

– Ten, kto nazwał to porannymi nudnościami, musiał być mężczyzną – oświadczyła Lina. – Zauważył je, gdy akurat rano wrócił do domu.

Nudności pojawiały się o różnych godzinach, nie zważając na porę dnia. Kobiety czuły się źle po południu i w środku nocy. Ciąża była łódką na wzburzonym morzu, a one nie mogły z niej wysiąść. Przywiązały się zatem do masztów swoich łóżek i walczyły ze szkwałem. Działało na nie wszystko, z czym miały kontakt: pościel, poduszki, nawet samo powietrze. Oddech własnego męża był nie do zniesienia i kiedy czuły się na tyle dobrze, że mogły się poruszać, machały rękami, gestem pokazując mężczyznom, żeby się nie zbliżali.

Ciąża spowodowała, że mężczyźni spokornieli. Po pierwszym przypływie męskiej dumy szybko zorientowali się, jak niewielką rólkę przydzieliła im natura w dramacie reprodukcji, i cicho wycofali się, sfrustrowani – katalizatory eksplozji, której nie potrafili wytłumaczyć. W czasie, gdy ich żony dumnie cierpiały w swoich sypialniach, Zizmo i Lefty siedzieli w *sala*, słuchając muzyki, lub jechali do kawiarni w dzielnicy greckiej, gdzie nikomu nie przeszkadzał ich zapach. Grali w tryktraka lub dyskutowali o polityce i nikt nie poruszał tematu kobiet, ponieważ w kawiarni każdy był kawalerem, niezależnie od tego, ile miał lat i ile dzieci dał żonie, która wolała teraz ich towarzystwo. Tematy rozmów zawsze były takie same: Turcy i ich okrucieństwo, Venizelos i jego błędy, król Konstantyn i jego powrót oraz niepomszczona zbrodnia spalenia Smyrny.

– A czy to kogokolwiek obchodzi? Nie!

– To tak, jak powiedział Bérenger do Clemenceau: „Kto ma ropę, ten ma władzę nad światem".

– Ci przeklęci Turcy! Mordercy i gwałciciele!

– Najpierw zbezcześcili kościół Hagia Sophia, a teraz zniszczyli Smyrnę!

Ale tu odezwał się Zizmo:

– Przestańcie się żołądkować. Ta wojna to wina Greków.

– Co?!

– Kto na kogo napadł? – zapytał Zizmo.

– Turcy napadli. W tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim.

– Grecy nie potrafią rządzić nawet własnym krajem. Po co im jeszcze inny?

W tym momencie mężczyźni wstali, krzesła poleciały na boki.

– A kim ty jesteś, do cholery, Zizmo? Pontyjskim szczurem! Sympatykiem Turków!

– Jestem po stronie prawdy – wykrzyknął Zizmo. – Nie ma żadnego dowodu, że Turcy wzniecili ogień. Zrobili to Grecy, żeby zwalić winę na Turków.

Lefty wkroczył między mężczyzn, żeby zapobiec bójce. Po tym wydarzeniu Zizmo zachowywał swoje polityczne opinie dla siebie. Usiadł posępny, popijając kawę i czytając stare magazyny lub broszury traktujące o podróżach w kosmosie albo o starożytnych cywilizacjach. Żuł skórki cytrynowe i poradził Lefty'emu, aby robił to samo. Wspólnie zajęli miejsce

w przypadkowym towarzystwie mężczyzn oczekujących na narodziny. Podobnie jak wszyscy inni przyszli ojcowie, także i oni zaczęli myśleć głównie o pieniądzach.

Mój dziadek nigdy nie wyjawił Jimmy'emu prawdziwego powodu zwolnienia z fabryki Forda, ale Zizmo był świadom tego, co się mogło zdarzyć. Dlatego też kilka tygodni później postanowił na swój sposób wynagrodzić mu straty.

– Zachowuj się tak, jakbyśmy wybrali się na przejażdżkę.

– Dobrze.

– Jeśli nas zatrzymają, nic nie mów.

– W porządku.

– To lepsza robota niż w Rouge. Możesz mi wierzyć. Pięć dolarów za dzień to tyle co nic. A tu możesz jeść czosnku do woli.

Siedzą w packardzie i mijają wesołe miasteczko Electric Park. Jest mglisto i późno – właśnie minęła trzecia rano. Prawdę mówiąc, o tej porze wesołe miasteczko powinno być zamknięte, ale dla własnych celów pozwolę sobie spowodować, że dziś Electric Park jest otwarte przez całą noc, mgła nagle się podnosi, tak aby mój dziadek mógł wyjrzeć przez okno i zobaczyć kolejkę górską mknącą po szynach w dół. To tylko krótka chwila taniej symboliki i już wracamy do twardych zasad realizmu, co oznacza, że tak naprawdę nic nie widać. Wiosenne mgły pienią się znad przyczółków nowo otwartego mostu Belle Isle. Jarzą się żółte kule lamp ulicznych otoczonych aureolą mgły.

– Duży ruch, jak na tę porę – dziwi się Lefty.

– Tak – odpowiada Zizmo. – To miejsce cieszy się sporą popularnością w nocy.

Przejeżdżają łagodnie przez most nad rzeką i lądują na drugim brzegu. Belle Isle, owalna wyspa w kształcie pantofelka, leży na środku rzeki Detroit w odległości zaledwie pół mili od kanadyjskiego brzegu. Za dnia park na wyspie pełen jest wycieczek i spacerujących. Na błotnistych brzegach ustawiają się wędkarze, a w namiotach zbierają się grupy kościelne. Jednak z nastaniem ciemności wyspa nabiera swoistej, przybrzeżnej atmosfery, zdominowanej przez dosyć swobodną moralność. Kochankowie parkują swoje wozy w odludnych punktach widokowych. Samochody przetaczają się przez most, zdążając gdzieś w podejrzanych zamiarach. Zizmo prowadzi packarda w ciemnościach, przejeżdżając obok

ośmiokątnych altan i pomnika Bohatera Wojny Secesyjnej, do lasu, gdzie kiedyś plemię Ottawa miało swój letni obóz. Mgła przesuwa się po przedniej szybie. Brzozy rozpościerają pergamin kory pod niebem czarnym jak atrament.

W latach dwudziestych w większości samochodów brakowało wstecznego lusterka. „Kieruj" – powtarzał co chwilę Zizmo i oglądał się do tyłu, aby sprawdzić, czy ktoś za nimi nie podąża. Jadąc w ten sposób – kieruje to jeden, to znów drugi – kluczą wzdłuż Central Avenue i ulicy Strand, trzy razy okrążając wyspę, aż Zizmo stwierdza, że już wystarczy. Na północno-wschodnim krańcu zjeżdża z drogi i zatrzymuje samochód ustawiony przodem do kanadyjskiego brzegu.

– Dlaczego stoimy?

– Poczekaj, to zobaczysz.

Zizmo trzykrotnie włącza i wyłącza światła. Wysiada z samochodu. Lefty robi to samo. Stoją w ciemnościach wśród dźwięków dochodzących od strony rzeki, chlupotu fal, syren mgłowych na frachtowcach. Po chwili pojawia się jeszcze jeden dźwięk – docierający z oddali warkot.

– Masz jakieś biuro? – pyta mój dziadek. – Albo magazyn?

– To jest moje biuro. – Zizmo zatacza ręką łuk wokół siebie. Pokazuje na packarda. – A to jest mój magazyn.

Warkot jest już bardzo blisko, Lefty wpatruje się w mgłę.

– Pracowałem kiedyś na kolei. – Zizmo wyjmuje z kieszeni suszoną morelę i zaczyna ją jeść. – Na Zachodzie, w Utah. Uszkodziłem sobie kręgosłup. Wtedy zmądrzałem.

Warkot dotarł już do nich, Zizmo otwiera bagażnik. Z mgły wyłania się elegancka motorówka z dwoma mężczyznami na pokładzie. Wyłączają silnik, a łódź siłą rozpędu wbija się w trzciny. Zizmo wręcza jednemu z mężczyzn kopertę. Drugi zrywa brezent na rufie łodzi. W świetle księżyca widać dwanaście błyszczących, równo poukładanych drewnianych pak.

– Teraz prowadzę własną linię kolejową – mówi Zizmo. – Bierz się za rozładunek.

W ten właśnie sposób został ujawniony charakter importu, jakim zajmował się Zizmo. Nie handlował suszonymi morelami z Syrii, chałwą z Turcji czy miodem z Libanu. Importował whisky Hiram Walker's z Ontario, piwo z Quebecu i rum z Barbados, sprowadzane Rzeką Świętego

Wawrzyńca. Chociaż sam był abstynentem, zarabiał na życie, kupując i sprzedając alkohol.

– To nie moja wina, że ci wszyscy *Amerikani* to pijacy – tłumaczył w drodze powrotnej kilka minut później.

– Trzeba było mi powiedzieć wcześniej! – krzyczał wzburzony Lefty. – Gdyby nas złapano, nie otrzymałbym obywatelstwa. Odesłaliby mnie z powrotem do Grecji.

– A masz jakiś wybór? Masz lepszą pracę? I nie zapominaj, że wkrótce obaj będziemy ojcami.

W ten sposób zaczęło się przestępcze życie mojego dziadka. Przez osiem następnych miesięcy zajmował się szmuglowaniem alkoholu, pracując o dziwnych porach, wstając w środku nocy i jedząc kolację o świcie. Poznał gwarę używaną w świecie nielegalnego handlu, czterokrotnie powiększając swój zasób słownictwa. Nauczył się nazywać alkohol „gorzałą", „siwuchą", „okowitą", „berbeluchą". Lokale, w których podawano alkohol, określał jako „meliny", „speluny", „bazy", „mety". Dowiedział się, gdzie w całym mieście znajdują się różne punkty nielegalnej sprzedaży alkoholu, zakłady pogrzebowe, w których ciała nie były wypełniane płynem balsamującym, ale ginem, kościoły, w których oferowano coś więcej niż tylko samo wino mszalne, i zakłady fryzjerskie, w których w słoikach ze środkiem dezynfekującym można było znaleźć tani gin. Lefty poznał też dokładnie linię brzegową rzeki Detroit, jej osłonięte zatoczki i sekretne przystanie. Potrafił z odległości ćwierć mili rozpoznać policyjne motorówki. Szmuglowanie alkoholu było niebezpiecznym zajęciem. Większa część przemytu była kontrolowana przez Fioletowy Gang i mafię. W swojej łaskawości zezwalali amatorom na handel na niewielką skalę – codzienne wycieczki do Kanady, nocne wyprawy wędkarzy. Kobiety płynęły promem do Windsoru, przewożąc pod sukniami kilkulitrowe butelki. Gangi pozwalały na prowadzenie takiej działalności, dopóki nie przeszkadzała w ich interesach. Ale Zizmo wyraźnie przekraczał granice.

Wyruszali pięć lub sześć razy w tygodniu. W bagażniku packarda można było zmieścić cztery skrzynki alkoholu, a na obszernym, zakrytym zasłonką tylnym siedzeniu – dodatkowo osiem. Zizmo nie zważał na żadne zasady czy granice.

– Zaraz po wprowadzeniu prohibicji poszedłem do biblioteki i sprawdziłem mapę – opowiadał, wyjaśniając, w jaki sposób zajął się tym

interesem. – Zobaczyłem, że w tym miejscu Kanada i Michigan stykają się, jak w pocałunku. Kupiłem więc bilet do Detroit. Gdy tu przyjechałem, nie miałem grosza przy duszy. Poszedłem do biura matrymonialnego w dzielnicy greckiej. Dlaczego pozwalam Linie prowadzić samochód? Zapłaciła za niego. – Uśmiechnął się z zadowoleniem, ale po chwili zaczął myśleć o czymś innym i jego twarz spochmurniała. – Nie pochwalam tego, że kobiety prowadzą samochody. A teraz chcą głosować! – Mruczał pod nosem. – Pamiętasz to przedstawienie? Wszystkie kobiety są takie same. Jak tylko nadarzy się okazja, pójdą do łóżka z bykiem.

– To tylko legendy, Jimmy – zaprzeczył Lefty. – Nie możesz brać tego dosłownie.

– A dlaczego nie? – ciągnął Zizmo. – Kobiety są inne niż my. Mają cielesną naturę. Najlepiej zamknąć je w labiryncie.

– O czym ty mówisz?

Zizmo się uśmiechnął.

– O ciąży.

To rzeczywiście był labirynt. Desdemona odwracała się w jedną i drugą stronę, na lewy bok, na prawy, starając się znaleźć wygodną pozycję. Nie opuszczając łóżka, wędrowała ciemnymi korytarzami ciąży, potykając się o kości kobiet, które przed nią szły tą drogą. Na początek jej matka, Euphrosyne (do której nagle zaczyna się upodabniać), jej babcie, jej babcie cioteczne i stryjeczne, i wszystkie kobiety przed nimi, ciągnące się wstecz, w prehistorię, aż do samej Ewy, na której łono padła klątwa. Desdemona nieomal fizycznie poznała te kobiety, dzieliła z nimi bóle i westchnienia, ich obawy i instynkt opiekuńczy, ich oburzenie, ich oczekiwania. Podobnie jak one, kładła dłoń na brzuchu, podtrzymując cały świat, czuła się wszechmocna i dumna – i wtedy poczuła skurcz mięśnia w plecach.

Przedstawię pokrótce przebieg całej ciąży. Desdemona, w ósmym tygodniu, leży na plecach, pościel podciągnięta pod same pachy. Przez okno widać migające światło kolejno mijających dni i nocy. Jej ciało drży, przyszła matka kładzie się na boku, na brzuchu, kołdra zmienia kształt. Wełniany koc pojawia się i znika. Tace z jedzeniem wjeżdżają na nocny stolik, potem odlatują, aby po chwili pojawić się ponownie. Ale podczas tego całego szalonego tańca martwych przedmiotów w centrum obrazu pozostaje stale poruszające się ciało Desdemony. Jej piersi się wypełniają, sutki ciemnieją. W czternastym tygodniu jej twarz zaczyna robić się

pulchna i po raz pierwszy zaczynam rozpoznawać w niej *yia yia* z czasów mojego dzieciństwa. W dwudziestym tygodniu pojawia się tajemnicza linia prowadząca od jej pępka w dół. Brzuch rośnie jak prażona kukurydza. W trzydziestym tygodniu skóra staje się cieńsza, a włosy grubsze. Cera, początkowo blada z nudności, teraz traci to zabarwienie, tak że w końcu pojawiają się rumieńce. Im jest większa, tym większy kłopot sprawia jej każdy ruch. Już nie leży na brzuchu. Nieruchoma pęcznieje przed kamerą. Nadal widać stroboskopowe efekty docierające z okna. W trzydziestym szóstym tygodniu zawija się w pościel jak w kokon. Pościel podnosi się i opada, ukazując jej twarz, wyczerpaną, euforyczną, zrezygnowaną, zniecierpliwioną. Jej oczy otwierają się. Głośno krzyczy.

Lina zawinęła nogi owijaczami, aby uchronić się przed żylakami. Obawiając się, że może mieć nieświeży oddech, przy łóżku trzymała puszkę miętówek. Ważyła się co rano, zagryzając dolną wargę. Podobała się jej nowa piersiasta figura, ale niepokoiła się ewentualnymi konsekwencjami.

– Moje piersi już nigdy nie będą takie same. Wiem. Po tym po prostu będą obwisłe. Jak w *National Geographic*. – Ciąża spowodowała, że czuła się podobna do zwierzęcia. Krępował ją ten stan. Twarz jej płonęła od napływających hormonów. Pociła się, makijaż spływał. Cały ten proces był reliktem pozostałym po bardziej prymitywnych etapach ewolucji. Zrównywał ją z niższymi formami życia. Myślała o królowych matkach wypluwających jajka. Myślała o owczarku collie z sąsiedztwa, który zeszłej wiosny kopał dziurę na podwórzu.

Jedynym ratunkiem było radio. Zakładała na głowę słuchawki w łóżku, na kanapie, w wannie. W lecie wynosiła swój odbiornik Aeriola Jr. na zewnątrz i siadywała pod wiśnią. Wypełniając głowę muzyką, uciekała przed swoim ciałem.

Pewnego październikowego ranka, w trzecim trymestrze ciąży kobiet, na Hurlbut Street 3467 zajechała taksówka, z której wyłoniła się wysoka, szczupła postać. Mężczyzna sprawdził adres na karteczce, pozbierał swoje rzeczy – parasol i walizkę – i zapłacił kierowcy. Zdjął kapelusz i przez chwilę patrzył do jego wnętrza, jakby czytając umieszczoną na podszewce instrukcję. Następnie ponownie założył kapelusz i wkroczył na ganek.

Pukanie usłyszała zarówno Desdemona, jak i Lina. Spotkały się przy drzwiach.

Kiedy je otworzyły, mężczyzna popatrzył najpierw na jeden brzuch, potem na drugi.

– Zdążyłem na czas – powiedział.

Był to doktor Philoboshian. Gładko ogolony, o jasnym spojrzeniu, widać było, że doszedł już do siebie po tragedii.

– Zachowałem wasz adres.

Zaprosiły go do środka, a on opowiedział, co się z nim działo. Rzeczywiście, na *Giulii* zaraził się grzybicą oczu. Ale przed deportacją do Grecji uratowała go jego lekarska licencja – Ameryka potrzebowała lekarzy. Doktor Philoboshian pozostał przez miesiąc w szpitalu na Ellis Island, a następnie, dzięki wsparciu ze strony Ormiańskiej Agencji Pomocowej, został wpuszczony do kraju. Przez jedenaście ostatnich miesięcy mieszkał i pracował w Nowym Jorku, na Lower East Side.

– Szlifując soczewki u optyka.

Niedawno udało mu się odzyskać nieco majątku z Turcji i przeniósł się na Środkowy Zachód.

– Mam zamiar otworzyć tu praktykę. W Nowym Jorku jest już za dużo lekarzy.

Został na kolacji. Choć osłabione, kobiety nie uchylały się od swoich domowych obowiązków. Mimo spuchniętych nóg nosiły talerze z baraniną i ryżem, okrę w sosie pomidorowym, sałatkę grecką, pudding ryżowy. Później Desdemona zaparzyła grecką kawę i podała ją w małych filiżankach wykończonych u góry brązową pianką, lakia. Doktor Philoboshian zwrócił się do siedzących przy stole mężów:

– Szansa jak jeden do stu. Jesteście pewni, że zdarzyło się to tej samej nocy?

– Tak – odpowiedziała Sourmelina, paląc papierosa przy stole. – To musiała być pełnia.

– Zazwyczaj kobieta zachodzi w ciążę po pięciu lub sześciu miesiącach starań – ciągnął doktor. – A to, że obie panie zaszły w ciążę tej samej nocy, to szansa jak jeden do stu!

– Jeden do stu? – Zizmo spojrzał nad stołem na Sourmelinę, która odwróciła wzrok.

– Co najmniej jak jeden do stu – zapewniał doktor.

– To wszystko wina Minotaura – zażartował Lefty.

– Nawet nie mów o tym przedstawieniu! – skarciła go Desdemona.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała Lina.

– A co, nie mogę na ciebie patrzeć? – odparł jej mąż.

Sourmelina westchnęła zirytowana i wytarła usta chusteczką. W powietrzu zawisła pełna napięcia cisza. Przerwał ją doktor Philoboshian, nalewający sobie kolejną lampkę wina.

– Narodziny to fascynujący temat. Na przykład takie deformacje. Kiedyś ludzie sądzili, że na ich postać wpływ miała matczyna wyobraźnia. To, na co patrzyła lub co sobie wyobrażała matka podczas stosunku, mogło wpłynąć na dziecko. W Damaszku opowiadano historię o kobiecie, u której nad łóżkiem wisiał obraz Jana Chrzciciela, ubranego w tradycyjną włosiennicę. W wirze namiętności biedna kobieta spojrzała na ten portret. Dziewięć miesięcy później urodziła dziecko – owłosione jak niedźwiedź! – Doktor zaśmiał się, zadowolony, i dalej sączył wino.

– Tylko że to się nie może zdarzyć, prawda? – chciała się dowiedzieć, nagle zaniepokojona, Desdemona.

Ale Philoboshian już się rozkręcił:

– Jest jeszcze inna historia, o kobiecie, która podczas stosunku dotknęła ropuchę. Urodziło się jej dziecko z wyłupiastymi oczami i całe pokryte brodawkami.

– Czy przeczytał pan to w jakiejś mądrej książce? – zapytała Desdemona ściśniętym głosem.

– Większość tych informacji można znaleźć w „O potworach i cudach" Pare'a. Zajął się tym również Kościół. W *Embryological Sacra* Cangiamilla zalecał chrzest wewnątrzmaciczny. Załóżmy, że obawiasz się, że nosisz dziecko, które urodzi się jako potwór. Wymyślono na to lekarstwo. Po prostu napełniało się strzykawkę wodą święconą i chrzciło dziecko jeszcze przed narodzeniem.

– Nie przejmuj się, Desdemono – powiedział Lefty, widząc, jak bardzo była zaniepokojona. – Lekarze już tak nie myślą.

– Oczywiście, że nie – potwierdził doktor. – Te wszystkie bzdury pochodzą jeszcze z wczesnego średniowiecza. Teraz już wiemy, że większość deformacji występujących przy narodzinach wynika z endogamii.

– Z czego? – zapytała Desdemona.

– Z zawierania małżeństw między członkami tej samej rodziny.

Desdemona pobladła.

– Powoduje to wiele różnych problemów – ciągnął doktor Philoboshian. – Niedorozwój umysłowy. Hemofilia. Wystarczy spojrzeć na Romanowów albo dowolną rodzinę królewską. To same mutanty.

– Nie pamiętam, o czym myślałam tamtej nocy – stwierdziła później Desdemona, gdy poszły pozmywać naczynia.

– Ja pamiętam – odparła Lina. – Trzecia z prawej. Rudowłosa.

– Oczy miałam zamknięte.

– Nie masz się więc czym martwić.

Desdemona odkręciła wodę, aby zagłuszyć ich rozmowę.

– A co z tą drugą rzeczą? Z tą endo..., endo...

– Endogamią?

– Tak. Jak można się dowiedzieć, czy dziecko będzie zdrowe?

– Wiadomo to dopiero po narodzinach.

– *Mana*!

– A jak myślisz, dlaczego Kościół nie zezwala na małżeństwa braci i sióstr? Nawet bliscy kuzyni muszą uzyskać zezwolenie biskupa.

– Myślałam, że to dlatego, że... – i umilkła, nie znajdując odpowiedzi.

– Nie martw się – powiedziała Lina. – Ci lekarze przesadzają. Jeśli małżeństwa w rodzinie byłyby takie straszne, wszyscy mielibyśmy po sześć rąk i nie mielibyśmy nóg.

Jednak Desdemona naprawdę się martwiła. Wracała myślą do Bithynios i starała się przypomnieć sobie, ile dzieci urodziło się z jakąś wadą. Melia Salakas miała córkę, której brakowało kawałka twarzy. Jej brat, Yiorgos, przez całe życie miał osiem lat. Czy były jakieś dzieci z włosiennicami? Albo dzieci-żaby? Desdemona przypominała sobie, co jej matka opowiadała o dziwnych dzieciach rodzących się w wiosce. Pojawiały się co kilka pokoleń, dzieci ułomne „w pewien sposób". Desdemona nie pamiętała jednak, w jaki – matka nigdy nie podawała konkretów. Takie dzieci rodziły się raz na jakiś czas i zawsze kończyły tragicznie – zabijały się albo uciekały i później występowały w cyrku, widziano je po latach w Bursie, jak żebrały albo prostytuowały się. Leżąc nocą samotnie w łóżku, gdy Lefty pracował, Desdemona próbowała przypomnieć sobie szczegóły tych opowieści, ale to było tak dawno, a Euphrosyne Stephanides już nie żyła i nie było kogo spytać. Wracała myślami do nocy, w której zaszła w ciążę, i starała się zrekonstruować przebieg wydarzeń. Obróciła się na bok. Ułożyła poduszkę

tak, aby udawała Lefty'ego, i oparła się o nią plecami. Spojrzała po pokoju. Na ścianach nie było żadnych obrazów. Nie dotykała żadnych ropuch. „Co ja mogłam widzieć?" – pytała samą siebie. „Tylko ściany".

Jednak nie tylko moją babką targał wówczas niepokój. Może lekkomyślnie, ale oficjalnie zrzekając się odpowiedzialności za zgodność z prawdą tego, co teraz powiem – ponieważ ze wszystkich aktorów w moim Epidauros na Środkowym Zachodzie najbardziej tajemniczą postacią jest Jimmy Zizmo – spróbuję choć trochę wyjaśnić uczucia, które nim owładnęły podczas ostatniego trymestru ciąży jego żony. Czy denerwował się tym, że będzie ojcem? Nie, nie był zdenerwowany. Czy przynosił do domu pożywne korzonki i zaparzał homeopatyczne herbatki? Niczego takiego też nie robił. Po tym, jak owego wieczoru na kolację do domu przyszedł doktor Philoboshian, Zizmo zaczął się zmieniać. Być może przyczyną było to, co doktor powiedział o równoczesnym poczęciu. Szansa jedna na sto. Może właśnie ta pojedyncza informacja była odpowiedzialna za zmienne nastroje Jimmy'ego, za podejrzliwe spojrzenia rzucane na ciężarną żonę. Może wątpił w prawdopodobieństwo tego, że jedyny stosunek na pięć miesięcy mógł zakończyć się zajściem w ciążę. Może Zizmo dopiero teraz przyglądał się dokładnie swojej żonie i czuł się stary? Oszukany?

Późną jesienią 1923 roku moją rodzinę prześladowały minotaury. Desdemonie pojawiały się pod postacią dzieci, które nie mogły powstrzymać krwawienia lub były pokryte futrem. Potwór Zizmo był dobrze znany, zielonooki. Wlepiał w niego wzrok z ciemności rzeki, gdy Jimmy czekał na brzegu na dostawę alkoholu. Wyskakiwał z pobocza drogi na maskę i patrzył na niego przez szybę packarda. Przewracał się w łóżku, gdy Jimmy wracał do domu przed świtem – zielonooki potwór leżący obok jego młodej, nieprzeniknionej żony, ale wystarczyło, że Zizmo mrugnął, a potwór znikał.

Gdy kobiety były w ósmym miesiącu ciąży, spadł śnieg. Lefty i Zizmo czekali na brzegu Belle Isle ubrani w rękawiczki i szaliki. Jednak mimo tej warstwy izolacyjnej mój dziadek trząsł się. W ostatnim miesiącu już dwa razy niemalże zostali przyłapani przez policję. Chory z podejrzliwej zazdrości Zizmo popełniał błędy, zapominał umówić się na spotkanie, bez należytej staranności wybierał punkty przerzutowe. Co gorsza, Fioletowy

Gang zabrał się za umacnianie swojej pozycji w mieście. Było tylko kwestią czasu, gdy mu się narażą.

Tymczasem w domu przy Hurlbut Street kołysała się łyżeczka. Sourmelina z zabandażowanymi nogami leżała na plecach w swoim buduarze, a Desdemona czyniła pierwszą ze swoich przepowiedni, które miały zakończyć się na mojej osobie.

– Powiedz, że to dziewczynka.

– Nie chcesz mieć dziewczynki. Z dziewczynkami jest tylko kłopot. Trzeba się martwić, że się włóczą z chłopakami. Musisz przygotować posag i znaleźć jej męża.

– Desdemono, w Ameryce nie trzeba posagu.

Łyżeczka zaczęła się poruszać.

– Zabiję cię, jeśli to chłopak.

– Z dziewczynką będziesz musiała toczyć walki.

– Z dziewczynką będę mogła rozmawiać.

– Chłopca będziesz kochać.

Zataczany przez łyżeczkę łuk powiększył się.

– To jest… To jest…

– Co?

– Zacznij zbierać pieniądze.

– Tak?

– Pozamykaj okna.

– Tak jest? Naprawdę?

– Przygotuj się do walki.

– Mówisz, że to jest…

– Tak. Dziewczynka. Nie ma wątpliwości.

– Och, dzięki Bogu.

…Posprzątano garderobę, ściany pomalowano na biało, aby służyła za pokój dla dzieci. Ze sklepu Hudsona przywieziono dwa identyczne łóżeczka. Moja babka ustawia je w pokoju dziecinnym, później wiesza między nimi koc – na wypadek, gdyby jej dziecko było chłopcem. W korytarzu zatrzymuje się przed wieczną lampką i modli się do Przenajświętszej: „Proszę, niech moje dziecko nie będzie chore na hemofilię. Lefty i ja nie wiedzieliśmy, co robimy. Proszę, obiecuję, że już nigdy nie będę miała dzieci. Tylko to jedno”.

Trzydziesty trzeci tydzień. Trzydziesty czwarty. W basenach kąpielowych macic dzieci wykonują przewroty, głową w przód. Ale ciąże Sourmeliny i Desdemony, na początku tak doskonale zsynchronizowane, pod koniec zaczęły się rozchodzić. Podczas słuchowiska radiowego 17. grudnia Sourmelina zdjęła słuchawki z uszu i oświadczyła, że zaczęły się jej bóle. Trzy godziny później doktor Philoboshian odebrał dziewczynkę, zgodnie z przepowiednią Desdemony. Dziecko ważyło tylko kilogram dziewięćdziesiąt i przez tydzień musiało przebywać w inkubatorze.

– Widzisz? – powiedziała Lina do Desdemony, patrząc na dziecko przez szybę. – Doktor Phil się mylił. Spójrz. Ma włosy czarne, a nie rude.

Następnie do inkubatora podszedł Jimmy Zizmo. Zdjął kapelusz i schylił się, aby się dobrze przyjrzeć. I czy drgnęła mu powieka? Czy blada cera dziecka potwierdziła jego wątpliwości? Lub udzieliła odpowiedzi na pytanie, dlaczego żona może uskarżać się na bóle? Lub dlaczego nagle została wyleczona, akurat w odpowiednim momencie, pozwalającym potwierdzić jego ojcostwo? (Niezależnie od wątpliwości – dziecko było jego. Po prostu przeważyła cera Sourmeliny. Genetyka, prawdziwy hazard, tylko i wyłącznie).

Wiem tylko jedno – wkrótce po tym, jak Zizmo zobaczył córeczkę, postanowił zrealizować swój ostateczny plan. Tydzień później powiedział do Lefty'ego:

– Przygotuj się. Dzisiejszej nocy musimy załatwić pewną sprawę.

Rezydencje wzdłuż jeziora toną w świetle bożonarodzeniowych lampek. Na wielkim, pokrytym śniegiem trawniku Rose Terrace, części rezydencji Dodge'a, pyszni się dwunastometrowa choinka przywieziona z cypla Upper Peninsula. Wokół sosny ścigają się elfy w miniaturowych sedanach firmy Dodge. Kierowcą Świętego Mikołaja jest renifer w czapce (Rudolfa jeszcze nie wymyślono, więc renifer ma czarny nos). Czarno-brunatny packard przejeżdża obok bramy rezydencji. Kierowca patrzy prosto przed siebie. Pasażer wpatruje się w ogromny dom.

Jimmy Zizmo jedzie powoli ze względu na łańcuchy na kołach. Przyjechali wzdłuż E. Jefferson Avenue, obok Electric Park i przez most Belle Isle. Jechali przez East Side, podążając dalej Jefferson Avenue. (To tutaj właśnie są moje strony – Grosse Pointe. Tu jest dom Starków, w którym Clementine Stark i ja będziemy „ćwiczyć" całowanie się na

wakacjach przed trzecią klasą. A obok szkoła dla dziewcząt Baker and Inglis, wysoko na wzgórzu nad jeziorem). Mój dziadek doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Zizmo nie przyjechał tutaj, by podziwiać okazałe domy. Z niecierpliwością czeka, aby się dowiedzieć, o co Jimmy'emu chodzi. Niedaleko Rose Terrace otwiera się widok na jezioro, czarne, puste i mocno zamarznięte. Przy brzegu widać spiętrzone bryły lodu. Zizmo prowadzi wzdłuż brzegu, aż dojeżdża do miejsca, w którym latem cumują łodzie. Wjeżdża tam i zatrzymuje samochód.

– Pojedziemy po lodzie? – pyta mój dziadek.

– W tej chwili to najłatwiejsza droga do Kanady.

– Jesteś pewien, że wytrzyma?

W odpowiedzi na pytanie mojego dziadka, Zizmo tylko otwiera swoje drzwi – aby ułatwić sobie ewentualną ucieczkę. Lefty robi to samo. Przednie koła packarda opadają na lód. Wydaje się, jakby podniosło się całe zamarznięte jezioro. Słychać przenikliwy dźwięk, przypominający zgrzyt zębów wgryzających się w kostki lodu. Po kilku sekundach cichnie. Opadają tylne koła. Lód się uspokaja.

Mój dziadek, który nie modlił się od czasu wizyty w Bursie, czuje, że teraz stanowczo powinien to zrobić. Jezioro St. Clair jest kontrolowane przez Fioletowy Gang. Nie ma tu żadnych drzew, za którymi można by się schować, żadnych bocznych dróg, którymi można by się wymknąć. Gryzie swój kciuk, ten bez paznokcia.

W ciemnościach, bez światła księżyca, widzą tylko to, co oświetlają owadzie reflektory samochodu – pięć metrów chropowatej, bladoniebieskiej powierzchni, pociętej śladami opon. Przed nimi wirują tumany śniegu. Zizmo przeciera przednią szybę rękawem koszuli.

– Patrz za ciemnym lodem.

– Dlaczego?

– Bo to oznacza, że jest cienki.

Już po chwili pojawia się pierwsza plama. W miejscach, w których są mielizny, chlupocząca woda osłabia warstwę lodu. Zizmo objeżdża pułapkę. Jednak zaraz pojawia się druga i musi zjechać w przeciwną stronę. W prawo. W lewo. W prawo. Packard kluczy, podążając za śladami opon innych szmuglerów. Czasami na drodze staje im bryła lodu i muszą się cofnąć, powracając raz już przebytą trasą. Raz w prawo, raz w lewo, raz do tyłu, teraz do przodu, jadą w ciemnościach pokrywających lód gładki jak

marmur. Zizmo nachyla się nad kierownicą, wpatruje się w miejsce, gdzie zanika światło reflektorów. Mój dziadek trzyma drzwi otwarte i nasłuchuje, czy lód nie zacznie stękać…

…Ale w tym momencie ponad dźwięk silnika zaczyna przebijać się inny hałas. Tej samej nocy po drugiej stronie miasta moja babka ma koszmar senny. Znajduje się w szalupie na pokładzie *Giulii*. Między jej nogami klęczy kapitan Kontoulis i zdejmuje jej weselny gorset. Rozwiązuje tasiemki, rozsuwa go, jednocześnie paląc aromatyzowanego papierosa. Desdemona, zakłopotana swoją niespodziewaną nagością, spogląda w dół, na obiekt fascynacji kapitana – w jej wnętrzu znika gruba lina okrętowa. „Hej-ho!" – woła kapitan Kontoulis, a obok pojawia się Lefty z wyrazem zatroskania na twarzy. Chwyta koniec liny i zaczyna ciągnąć. I w tym momencie…

Ból. Ból we śnie, prawdziwy, ale nie rzeczywisty, po prostu wyładowanie neuronów. Głęboko wewnątrz Desdemony eksploduje balon z wodą. Ciepło rozpływa się po jej udach, a krew wypełnia szalupę. Lefty ciągnie za linę, potem jeszcze raz. Krew bryzga na twarz kapitana, ale on tylko obniża rondo swojego kapelusza i nie zważa na przeciwności. Desdemona krzyczy, szalupa kołysze się, po chwili słychać dźwięk otwieranej butelki i moja babka czuje, jakby ją rozrywano na dwoje, a tam, na końcu tej liny, jest jej dziecko, mały kłębek mięśni w sinym kolorze, ona patrzy w poszukiwaniu rączek i ich nie widzi, patrzy w poszukiwaniu nóżek i ich nie widzi, i w tym momencie podnosi się drobna główka, a ona patrzy w twarz swojego dziecka i widzi jedynie półksiężyc zębów, otwierający się i zamykający, bez oczu, bez ust, tylko kłapiące zęby…

Desdemona zrywa się ze snu. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że jej prawdziwe, rzeczywiste łóżko jest zupełnie przemoczone. Odeszły jej wody…

…Tymczasem na lodzie reflektory packarda świecą mocniej, gdy tylko auto przyspiesza, w miarę jak więcej energii elektrycznej wypływa z akumulatora. Znajdują się teraz na szlaku żeglugowym, w połowie drogi między dwoma brzegami. Niebo nad nimi jak ogromna czarna misa przebita ogniami niebieskimi. Nie pamiętają drogi, którą tu przybyli, ile zrobili zakrętów, gdzie znajdował się niebezpieczny lód. Zamarznięty teren jest pobazgrany śladami opon prowadzącymi we wszystkich możliwych kierunkach. Mijają wraki starych gruchotów, z przodami

zapadniętymi w lód, drzwiami podziurawionymi pociskami jak sito. Wokół leżą rozrzucone osie, kołpaki i kilka kół zapasowych. W ciemnościach i wirującym śniegu Lefty zaczyna mieć zwidy. Dwa razy wydaje mu się, że z przodu nadciąga kawalkada samochodów. Samochody te bawią się z nimi w kotka i myszkę, pojawiając się raz z przodu, raz z boku, a raz za nimi, nadjeżdżając i znikając tak szybko, że nie wie, czy w ogóle je widział. Wnętrze packarda wypełnia teraz dodatkowy zapach, wznoszący się ponad woń skóry i whisky, surowy, metaliczny zapach silniejszy od dezodorantu mojego dziadka – strach. I właśnie w tym momencie Zizmo spokojnym tonem mówi:

– Jest coś, nad czym zawsze się zastanawiałem. Dlaczego nikomu nie mówisz, że Lina jest twoją kuzynką?

Tak nieoczekiwane pytanie zupełnie zaskoczyło Lefty'ego.

– Nie trzymamy tego w tajemnicy.

– Nie? – mówi Zizmo. – Nigdy nie słyszałem, żebyś o tym mówił.

– Tam, skąd pochodzimy, wszyscy są kuzynami – próbuje zażartować Lefty. I po chwili dodaje: – Jak daleko jeszcze musimy jechać?

– Na drugą stronę szlaku żeglugowego. Ciągle jeszcze jesteśmy po stronie amerykańskiej.

– Jak ich tam znajdziesz?

– Znajdziemy. Chcesz, żebym przyspieszył? – Nie czekając na odpowiedź, Zizmo naciska pedał gazu.

– Dobra, dobra. Jedź powoli.

– Jest jeszcze coś, czego zawsze chciałem się dowiedzieć – mówi Zizmo, przyspieszając.

– Jimmy, jedź ostrożnie.

– Dlaczego Lina musiała wyjechać z wioski, żeby wyjść za mąż?

– Jedziesz za szybko. Nie nadążam ze sprawdzaniem lodu.

– Odpowiedz.

– Dlaczego wyjechała? Nie miała za kogo wyjść. Chciała pojechać do Ameryki.

– Na pewno tego chciała? – znowu przyspiesza.

– Jimmy. Zwolnij!

Ale Zizmo naciska pedał gazu do końca. I krzyczy:

– To ty!

– O czym ty mówisz?

– To ty! – znowu ryczy Zizmo, silnik już wyje, a lód świszcze pod pędzącym po nim samochodem.

– Kto to? – domaga się odpowiedzi. – Powiedz, kto?

…Ale zanim mój dziadek będzie mógł udzielić odpowiedzi, powraca do mnie, ślizgając się po lodzie, jeszcze jedno wspomnienie z dzieciństwa. Jest niedzielny wieczór i mój ojciec zabiera mnie do kina w jachtklubie. Wchodzimy po schodach pokrytych czerwonym dywanem, mijamy srebrne nagrody zdobyte w zawodach żeglarskich i olejny portret motorowodniaka Gara Wooda. Na drugim piętrze wchodzimy do sali kinowej. Przed ekranem ustawione są drewniane składane krzesła. Już wyłączono światła i pobrzękujący projektor rzuca promień światła, oświetlając miliony pyłków kurzu w powietrzu.

Jedyny pomysł, na jaki wpadł mój ojciec, aby wpoić mi poczucie mojego dziedzictwa, polegał na zabieraniu mnie na włoskie filmowe wersje starożytnych mitów greckich. I tak co tydzień oglądaliśmy, jak Herkules zabija lwa nemejskiego, kradnie pas Amazonek („To taki rodzaj pasa, wiesz, Callie?") albo zostaje wrzucony do studni z wężami, co z kolei nie miało żadnego związku z tekstem mitów. Ale naszym ulubieńcem był Minotaur…

…Na ekranie pojawia się aktor ze źle dopasowaną peruką.

– To Tezeusz – wyjaśnia Milton. – Widzisz, ma kłębek nici, który dała mu jego dziewczyna. I korzysta z niego, aby znaleźć wyjście z labiryntu.

Tezeusz wchodzi do labiryntu. Pochodnia oświetla kamienne ściany wykonane z tektury. Na jego drodze leżą kości i czaszki. Plamy krwi zaciemniają imitację skały. Nie odrywając oczu od ekranu, wyciągam rękę. Mój ojciec sięga do kieszeni marynarki i wyciąga mleczny cukierek. Podając go, szepcze mi do ucha:

– Nadchodzi Minotaur! – a ja aż drżę ze strachu i podniecenia.

Wówczas smutny los tego stworzenia stanowił dla mnie problem czysto akademicki. Nie było winą Asteriusa, że urodził się jako potwór. Zatruty owoc zdrady, kwestia ukrytego wstydu – takich rzeczy nie mogę rozumieć w wieku ośmiu lat. Tylko trzymam kciuki za Tezeusza…

…A moja babka w 1923 roku przygotowuje się na spotkanie z ukrytą w jej łonie istotą. Trzymając się za brzuch, siedzi na tylnym fotelu taksówki, podczas gdy z przodu Lina pogania kierowcę. Desdemona dyszy, jak biegacz dyktujący sobie tempo, a Lina mówi:

– Nawet nie jestem zła, że mnie obudziłaś. I tak wybierałam się rano do szpitala. Pozwalają mi zabrać dziecko do domu.

Ale Desdemona nie słucha. Otwiera wcześniej zapakowaną torbę i odnajduje, obok koszuli nocnej i pantofli, swój sznurek z koralikami. Bursztynowe jak zastygły miód, popękane od gorąca, przeprowadziły ją przez masakrę, marsz uchodźców i płonące miasto, zaczyna stukać nimi w rytm klekoczącej po ciemnych ulicach taksówki, starającej się prześcignąć jej skurcze…

…A Zizmo gna packardem po lodzie. Wskazówka szybkościomierza się podnosi, silnik ryczy, łańcuchy na kołach wzbijają pióropusze śniegu. Packard pędzi w ciemność, ślizga się i zarzuca na plamach.

– Czy zaplanowaliście to wszystko we dwójkę? – krzyczy. – Żeby Lina poślubiła obywatela amerykańskiego, dzięki czemu mogła cię sponsorować?

– O czym ty mówisz? – stara się zrozumieć mój dziadek. – Kiedy braliście ślub z Liną, ja nawet nie wiedziałem, że przyjadę do Ameryki. Proszę, zwolnij.

– Taki był plan? Znaleźć męża, a potem wprowadzić się do jego domu!

Niezawodny chwyt z filmów z Minotaurem. Potwór zawsze nadchodzi z najmniej oczekiwanej strony. Podobnie na jeziorze St. Clair, mój dziadek wypatrywał Fioletowego Gangu, a w rzeczywistości potwór siedział tuż obok niego, za kierownicą samochodu. Wiatr wiejący przez otwarte okno rozwiewa kędzierzawe włosy Zizmo jak grzywę. Głowę ma opuszczoną, nozdrza rozdęte. Oczy błyszczą wściekłością.

– Kto to jest?!

– Jimmy! Zawróć! Lód! Nie patrzysz na lód.

– Nie zatrzymam się, dopóki mi nie powiesz.

– Tu nie ma nic do opowiadania. Lina jest porządną dziewczyną. Twoją dobrą żoną. Przysięgam!

Ale packard pędzi dalej. Mój dziadek rozpłaszczył się na siedzeniu.

– A co z dzieckiem, Jimmy? Pomyśl o swojej córeczce.

– A kto powiedział, że jest moja?

– Oczywiście, że jest twoja.

– Nigdy nie powinienem był żenić się z tą dziewczyną.

Lefty nie ma już czasu dyskutować. Nie odpowiada na żadne pytania, tylko wyskakuje przez otwarte drzwi, wytaczając się z samochodu. Czuje

silne uderzenie wiatru, które odrzuca go na tylny zderzak. Widzi jak jego szalik, w zwolnionym tempie, zawija się wokół tylnego koła packarda. Już czuje zaciskający się stryczek, ale w tym momencie szalik odwija się z jego szyi i czas znowu pędzi, a Lefty upada daleko od samochodu. Uderzając w lód, zakrywa twarz, ślizgając się, pokonuje dużą odległość. Gdy ponownie podnosi wzrok, widzi packarda, który jedzie dalej. Nie widać, czy Zizmo chce skręcić, czy hamuje. Lefty wstaje, cały i zdrowy, i patrzy za Jimmym, który pędzi jak szalony w ciemność… Pięćdziesiąt metrów… Siedemdziesiąt… Dziewięćdziesiąt… I nagle słychać inny dźwięk. Przez huk silnika przedziera się głośny trzask, pod stopami rozchodzi się iskrzenie, gdy packard uderza w plamę ciemnego lodu na zamarzniętym jeziorze.

Tak jak lód, żyje również pęknięcie. Osobowości. Tożsamości. Jimmy Zizmo, pochylony nad kierownicą packarda, zmienił się już nie do poznania. W tym miejscu ślad się urywa. Mogę was poprowadzić tylko dotąd, ale nie dalej. Być może była to wściekłość spowodowana zazdrością. A może tylko rozważał możliwości, jakie przed nim stały. Zestawiając posag z kosztami utrzymywania rodziny. Odgadując, że to się kiedyś musi skończyć, ta dobra koniunktura okresu prohibicji.

Jest jeszcze jedna ewentualność – mógł przez cały czas udawać.

Ale nie jest to dobry moment na takie przemyślenia. Przecież lód krzyczy. Przednie koła samochodu zapadają się w lodową pokrywę. Packard, z gracją słonia unoszącego się na tylnych nogach, nurkuje kratownicą naprzód. Przez chwilę światła oświetlają lód i znajdującą się pod nim wodę, jak w basenie kąpielowym, ale zaraz potem pod lód wpada maska i przy fontannie iskier wszystko ogarnia ciemność.

Poród w szpitalu położniczym trwał sześć godzin. Doktor Philoboshian odebrał dziecko, którego płeć została określona w standardowy sposób – przez rozchylenie nóg i spojrzenie w odpowiednie miejsce.

– Gratulacje. Syn.

Desdemona krzyknęła z wielką ulgą:

– Włosy ma tylko na głowie.

Wkrótce potem do szpitala przybył Lefty. Dotarł do brzegu i złapał okazję, zabrał się do domu z mleczarzem. Stał przy oknie sali dla noworodków, jego pachy nadal jeszcze cuchnęły od strachu, miał prawy

policzek otarty po upadku na lód i spuchniętą dolną wargę. Tak się szczęśliwie złożyło, że tego ranka dziecko Liny na tyle przybrało na wadze, że mogło opuścić inkubator. Pielęgniarki trzymały w górze dwójkę dzieci. Chłopczyk otrzymał imię Miltiades, na cześć wybitnego ateńskiego wodza, ale wszyscy będą na niego mówić Milton – na cześć wybitnego angielskiego poety. Dziewczynka, która będzie dorastać bez ojca, otrzymała imię Theodora, na cześć podziwianej przez Sourmelinę skandalizującej cesarzowej Bizancjum. W przyszłości ona również miała uzyskać amerykański przydomek.

Było jednak jeszcze coś, o czym chciałbym wspomnieć, mówiąc o tych dzieciach. Coś, czego nie można było zobaczyć gołym okiem. Spójrzmy bliżej. Tam. Zgadza się.

Jedna mutacja na osobę.

Małżeństwo w odstawce

Za zgodą biskupa Chicago pogrzeb Jimmy'ego Zizmo odbył się trzynaście dni później. Rodzina przez prawie dwa tygodnie nie wychodziła ze skażonego śmiercią domu, witając przypadkowych gości, którzy przychodzili pożegnać zmarłego. Lustra były zasłonięte czarnym kirem. Nad drzwiami wisiały udrapowane czarne wstęgi. Ponieważ człowiek nie powinien okazywać próżności w obecności śmierci, Lefty przestał się golić i do dnia pogrzebu wyrosła mu już spora broda.

Przyczyną opóźnienia pogrzebu było to, że policji nie udało się wydobyć zwłok. Dzień po zdarzeniu na miejsce wypadku udało się dwóch detektywów. W nocy woda ponownie zamarzła i spadło już kilka centymetrów świeżego śniegu. Detektywi brodzili w nim tam i z powrotem w poszukiwaniu śladów opon, ale po trzydziestu minutach dali sobie spokój. Przyjęli historię opowiedzianą przez Lefty'ego, że Zizmo wybrał się łowić ryby w przerębli i że być może coś wypił. Jeden z detektywów zapewniał Lefty'ego, że ciała często wypływały na wiosnę, świetnie zakonserwowane w marznącej wodzie.

Rodzina pogrążyła się w żałobie. Ojciec Stylianopoulos przedstawił sprawę biskupowi, który wyraził zgodę na sprawienie Zizmo pochówku w obrządku prawosławnym, ale pod warunkiem, że gdy ciało zostanie odnalezione, wówczas przy grobie odbędzie się ceremonia pogrzebania zwłok. Przygotowaniami do pogrzebu zajął się Lefty. Wybrał trumnę i miejsce, zamówił nagrobek i zapłacił za nekrologi w gazetach. W owych czasach Grecy zaczynali już korzystać z usług domów pogrzebowych, ale Sourmelina nalegała, aby czuwanie odbyło się w domu. Przez ponad tydzień żałobnicy wchodzili do zaciemnionej *sala*, w której opuszczono rolety i gdzie wisiał w powietrzu ciężki zapach kwiatów. Wizyty składali podejrzani wspólnicy prowadzący z Jimmym Zizmo interesy, właściciele nielegalnych barów, którym dostarczał towar, a także kilku znajomych

Liny. Po złożeniu wdowie kondolencji przechodzili przez salon i zatrzymywali się przed otwartą trumną. Wewnątrz, na poduszce, spoczywała fotografia Jimmy'ego Zizmo. Przedstawiała go z profilu w ujęciu trzy czwarte, spoglądającego w górę, w kierunku niebiańskiego światła w atelier. Sourmelina przecięła wstążkę łączącą ich weselne korony i koronę męża umieściła w trumnie.

Ból po stracie męża wyraźnie przewyższał miłość, jaką Sourmelina okazywała mu, gdy jeszcze żył. Przez dziesięć godzin w ciągu dwóch dni lamentowała nad pustą trumną zmarłego, recytując *mirologhia*. Demonstrując wyjątkowe zdolności teatralne, Sourmelina zaczęła zawodzić swoje arie, w których opłakiwała odejście męża i ganiła go za śmierć. Kiedy już skończyła z Zizmo, zaczęła pomstować na Boga za to, że tak wcześnie zabrał jej męża, i lamentowała nad losem nowo narodzonej córeczki.

– Ty jesteś winny! To twoja wina! – wykrzykiwała. – Dlaczego odszedłeś? Opuściłeś mnie i teraz jestem wdową! Zostawiłeś swoje dziecko na ulicy!

Tuliła do siebie córeczkę, lamentując, i co jakiś czas podnosiła ją, aby Zizmo i Bóg mogli zobaczyć, co narobili. Starsi imigranci, słysząc, z jaką furią Sourmelina opłakiwała męża, przypominali sobie dzieciństwo w Grecji, powracali wspomnieniami do pogrzebów własnych dziadków lub rodziców i wszyscy się zgadzali, że takie publiczne okazywanie żalu z pewnością zagwarantuje duszy Zizmo wieczny spokój.

Zgodnie z prawem kościelnym pogrzeb odbył się w dzień powszedni. Ojciec Stylianopoulos, z wysokim *kalimafkionem* na głowie i z wielkim pektorałem, przyszedł do domu o dziesiątej rano. Po odmówieniu modlitwy Sourmelina przyniosła księdzu na tacy płonącą świecę. Zdmuchnęła ją, dym podniósł się i rozwiał, a ojciec Stylianopoulos przełamał świecę na dwie części. Następnie wszyscy wyszli na zewnątrz, aby ruszyć w kondukcie do kościoła. Lefty wynajął na ten dzień limuzynę i teraz otworzył drzwi przed swoją żoną i kuzynką. Kiedy już sam wsiadł, skinął ręką do mężczyzny, który został wybrany, aby stać w drzwiach i nie wpuścić ducha Zizmo z powrotem do domu. Tym mężczyzną był Peter Tatakis, przyszły kręgarz. Postępując zgodnie z tradycją, wuj Pete pilnował drzwi ponad dwie godziny, aż skończyło się nabożeństwo w kościele.

Ceremonia obejmowała pełne nabożeństwo żałobne, jedynie z pominięciem ostatniej części, podczas której zgromadzeni składają

ostatni pocałunek zmarłemu. Zamiast tego Sourmelina przeszła obok trumny i ucałowała koronę weselną, po czym to samo zrobili Desdemona i Lefty. Kościół Wniebowzięcia, który w tym czasie znajdował się w małym pomieszczeniu na parterze budynku handlowego przy Hart Street, był wypełniony najwyżej w jednej czwartej. Jimmy i Lina nie chodzili regularnie do kościoła. Większość żałobników stanowiły stare wdowy, dla których pogrzeb był formą rozrywki. Na koniec wyniesiono trumnę na zewnątrz, by utrwalić wydarzenie na fotografii pogrzebowej. Uczestnicy stanęli wkoło, w tle widniał prosty kościół przy Hart Street. Ojciec Stylianopoulos zajął miejsce u wezgłowia trumny. Ponownie ją otwarto, aby widać było spoczywające na plisowanym atłasie zdjęcie Zizmo. Nad trumną powiewały flagi – z jednej strony grecka, a z drugiej amerykańska. Nikt się nie uśmiechał podczas robienia zdjęcia. Później kondukt pogrzebowy przeszedł na cmentarz Forest Lawn przy Van Dyke, gdzie trumnę złożono na przechowanie do wiosny. Wciąż istniała możliwość zmaterializowania się ciała wraz z wiosenną odwilżą.

Choć dopełniono wszystkich wymaganych obrzędów, rodzina zdawała sobie sprawę, że dusza Jimmy'ego Zizmo nie spoczywa w spokoju. Dusze wyznawców prawosławia po śmierci nie ulatują wprost do nieba. Wolą kręcić się po ziemi i denerwować żyjących. Przez czterdzieści następnych dni, gdy tylko zdarzyło się mojej babce zawieruszyć sennik lub sznur z koralikami, obwiniała za to ducha Zizmo. Nawiedzał dom i powodował, że zsiadało się świeże mleko i ginęło mydło w łazience. Pod koniec żałoby Desdemona i Sourmelina przygotowały *kolyvo*. Wyglądało jak tort weselny i składało się z trzech oślepiająco białych warstw. Górną warstwę, z którego wyrastały jodły zrobione z zielonej żelatyny, otaczało ogrodzenie. Był tam staw z niebieskiej galaretki i imię Zizmo wypisane drażetkami w srebrnej polewie. Czterdziestego dnia po pogrzebie odbyła się w kościele następna ceremonia, po której wszyscy wrócili na Hurlbut Street. Zebrali się wokół *kolyvo* obsypanego cukrem pudrem, symbolizującym słodycz życia pozagrobowego i zmieszanego z nieśmiertelnymi nasionami granatu. Gdy tylko zjedli ciasto, od razu wszyscy poczuli, że dusza Jimmy'ego Zizmo opuszcza ziemski padół i wstępuje do nieba, skąd już nigdy nie będzie ich nękać. W samym środku uroczystości Sourmelina wywołała skandal, gdyż wyszła ze swojego pokoju ubrana w jasnopomarańczową sukienkę.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła Desdemona. – Wdowa chodzi w czerni do końca życia.

– Czterdzieści dni wystarczy – powiedziała Lina i zabrała się do jedzenia.

Dopiero teraz można było ochrzcić dzieci. W następną sobotę miotana sprzecznymi uczuciami Desdemona patrzyła, jak ojcowie chrzestni trzymają dzieci nad chrzcielnicą w kościele Wniebowzięcia. Gdy moja babka wkraczała do świątyni, odczuwała wyraźną dumę. Ludzie tłoczyli się wokół niej, starając się zobaczyć jej maleństwo dysponujące magiczną mocą zmieniania nawet najstarszych kobiet ponownie w młode matki. Podczas obrzędu ojciec Stylianopoulos odciął lok włosów z głowy Miltona i wrzucił do wody. Krzyżmem zrobił na czole niemowlęcia znak krzyża. Zanurzył maleństwo w wodzie. Ale gdy Milton został oczyszczony ze swojego grzechu pierworodnego, Desdemony nie opuszczała świadomość jej własnego grzechu. Po cichu powtarzała swoją przysięgę: nigdy więcej nie mieć dzieci.

– Lina – zaczęła kilka dni później, rumieniąc się.

– Co?

– Nic.

– Jak to nic? O coś ci chodzi. Co?

– Tak sobie myślałam. Jak ty… Jeśli nie chcesz…

Aż w końcu nie wytrzymała i zapytała:

– Co robisz, żeby nie zajść w ciążę?

Lina zaśmiała się cicho:

– Tym to ja już nie muszę się martwić.

– Ale wiesz jak? Jest jakiś sposób?

– Moja matka zawsze mówiła, że dopóki karmisz piersią, nie zajdziesz w ciążę. Nie wiem, czy to prawda, ale tak mówiła.

– Ale później, co później?

– To proste, nie sypiaj z mężem.

Na razie było to możliwe. Moi dziadkowie nie kochali się z sobą od narodzin dziecka. Desdemona przez pół nocy nie spała, karmiąc dziecko. Zawsze była wyczerpana. Ponadto podczas porodu pękło jej krocze i nadal się jeszcze goiło. Lefty grzecznie nie zaczynał żadnych amorów, ale gdy minęły już dwa miesiące, zaczął się do niej przysuwać w łóżku. Desdemona trzymała go na dystans, jak długo mogła.

– Jeszcze za wcześnie – powiedziała. – Nie chcemy następnego dziecka.

– Dlaczego nie? Miltonowi przyda się braciszek.
– To boli.
– Będę delikatny. Chodź.
– Nie, proszę, dziś nie.
– Co? Czy zmieniasz się w Sourmelinę? Raz do roku wystarczy?
– Cicho. Obudzisz dziecko.
– Nie obchodzi mnie, czy obudzę dziecko.
– Nie krzycz. Dobrze. Proszę bardzo. Jestem gotowa.
Ale pięć minut później:
– O co chodzi?
– O nic.
– Nie mów, że o nic. Jakbym leżał z posągiem.
– Och, Lefty! – i zaczęła szlochać.

Lefty pocieszył ją i przeprosił, ale gdy tylko odwrócił się na bok, poczuł się zamknięty w samotni ojcostwa. Po narodzinach syna Eleutherios Stephanides zobaczył w oczach żony swoją przyszłość i to, że na stałe utracił dotychczasowe znaczenie, a gdy wtulił twarz w poduszkę, zrozumiał skargi innych ojców, którzy czuli się we własnych domach jak lokatorzy. Poczuł ogromną zazdrość o syna, ponieważ to jego płacz był jedynym dźwiękiem, jaki Desdemona wydawała się słyszeć, ponieważ to jego małe ciałko było przedmiotem nieustannej troski i pieszczot, i ponieważ to on odsunął własnego ojca na bok w uczuciach Desdemony, wykorzystując pozornie niewinny podstęp – bóg przyjmujący postać prosiaczka, aby móc ssać kobiecą pierś. Przez następne tygodnie i miesiące Lefty tylko obserwował ze swego wygnania na Syberii drugiego krańca łóżka, jak rozkwitał romans matki i dziecka. Widział, jak jego żona pociera swoją twarzą o twarz dziecka, aby zaczęło gaworzyć, dziwił się jej zupełnemu brakowi obrzydzenia wobec fizjologicznych procesów niemowlęcia, czułości, z jaką czyściła i pudrowała jego pupcię, przecierając ją kolistym ruchem, a nawet raz, ku wielkiemu zdumieniu Lefty'ego, rozszerzając drobne pośladki, aby rozmazać galaretkę olejową na znajdującym się między nimi pączku róży.

Od tego czasu stosunki między moimi dziadkami zaczęły ulegać zmianie. Do narodzin Miltona Lefty i Desdemona żyli z sobą bardzo blisko, a w ich małżeństwie panowało wyjątkowe, jak na tamte czasy, równouprawnienie. Ale gdy Lefty poczuł, że poszedł w odstawkę, zaczął

rewanżować się zgodnie z tradycją. Przestał nazywać swoją żonę *kukla*, co oznaczało „laleczka", a zaczął do niej mówić *kyria*, czyli „pani". Na powrót wprowadził w domu podziały i przywileje pod względem płci, rezerwując *sala* dla swojego męskiego towarzystwa i wyganiając Desdemonę do kuchni. Zaczął wydawać polecenia.

– *Kyria*, mój obiad! – Albo: – *Kyria*, przynieś napoje!

Pod tym względem zachowywał się jak jemu współcześni i nikt, za wyjątkiem Sourmeliny, nie zauważał w tym nic szczególnego. Ale nawet ona nie potrafiła całkowicie zrzucić pęt, jakie wynieśli ze swojej wioski, i gdy do Lefty'ego przychodzili mężczyźni, aby palić cygara i śpiewać pieśni kleftów, wycofywała się do swojego pokoju.

Zamknięty w izolacji ojcostwa, Lefty Stephanides skoncentrował się na poszukiwaniu bezpieczniejszego sposobu zarabiania na życie. Napisał do wydawnictwa Atlantis Publishing Company w Nowym Jorku, oferując swoje usługi w charakterze tłumacza, ale w odpowiedzi otrzymał tylko list z podziękowaniami i katalog. Katalog dał Desdemonie, a ona zamówiła sobie nowy sennik. Lefty ubrał się w swój niebieski protestancki garnitur i osobiście odwiedzał miejscowe uniwersytety i szkoły, starając się znaleźć posadę nauczyciela greki. Ale stanowisk było niewiele i wszystkie były zajęte. Mój dziadek nie miał wymaganego stopnia naukowego z filologii klasycznej, nawet nie ukończył uniwersytetu. Nauczył się co prawda płynnie mówić w nieco ekscentrycznym języku angielskim, ale jego znajomość angielskiego w piśmie była najwyżej średnia. Mając na utrzymaniu żonę i dziecko, nie mógł brać pod uwagę powrotu do szkoły. Mimo tych przeszkód, a może właśnie z ich powodu, podczas czterdziestodniowego okresu żałoby Lefty urządził sobie w salonie gabinet i powrócił do swoich zajęć naukowych. Zawzięcie i dla czystej przyjemności całymi godzinami tłumaczył Homera i Mimnermosa na angielski. Używał pięknego, zdecydowanie zbyt drogiego mediolańskiego notatnika i pisał wiecznym piórem wypełnionym szmaragdowym atramentem. Wieczorami przychodzili do niego inni młodzi imigranci, przynosząc butelki whisky, które potem wspólnie wypijali, grając w tryktraka. Czasami Desdemona wyczuwała znajomą piżmowo-słodką woń dochodzącą spod drzwi.

Za dnia, gdy zdarzało mu się czuć w domu jak więzień, Lefty wciskał na czoło nowy filcowy kapelusz i wychodził, aby pomyśleć. Szedł do

Waterworks Park, gdzie zawsze zdumiewał go widok pałacu, jaki Amerykanie zbudowali w celu pomieszczenia filtrów wodnych i zaworów. Schodził nad rzekę i stał wśród wyciągniętych na brzeg łodzi. Na białych od lodu podwórzach warczały na niego uwiązane na łańcuchach owczarki niemieckie. Zaglądał w okna zamkniętych w zimie sklepów wędkarskich. Podczas jednego z tych spacerów przechodził obok częściowo rozebranej kamienicy. Fasada była zburzona i widać było pomieszczenia znajdujące się wewnątrz, jak w domku dla lalek. Lefty widział zawieszone w powietrzu kuchnie i łazienki wykafelkowane na jasne kolory, na wpół zamknięte przestrzenie, których bogactwo kolorów przypomniało mu o grobach sułtanów, a to nasunęło mu pewien pomysł.

Następnego ranka zszedł do piwnicy przy Hurlbut Street i zabrał się do pracy. Zdjął przyprawione kiełbaski Desdemony z rur grzewczych. Zmiótł pajęczyny i położył dywanik na ziemi. Przyniósł z góry skórę zebry Jimmy'ego Zizmo i przybił ją do ściany. Z kawałków drewna skonstruował przed zlewem niewielki bar i wyłożył go wygrzebanymi wśród ruin kafelkami – w biało-niebieskie arabeski, w neapolitańskie szachownice, w czerwone smoki heraldyczne, oraz miejscowymi, ziemistej barwy, z wytwórni Pewabic. Stoliki zrobił z postawionych pionowo szpul po kablach, które następnie przykrył kawałkami materiału. Pod sufitem rozpiął prześcieradła, aby zakryć podwieszone tam rury. Korzystając ze starych kontaktów z czasów szmuglowania alkoholu, wynajął automat wrzutowy i zamówił dostawę piwa i whisky na tydzień. W zimny piątkowy wieczór w lutym 1924 roku otworzył swój interes.

Bar „Zebra" był lokalem przeznaczonym dla okolicznych mieszkańców i nie miał stałych godzin otwarcia. Zawsze, gdy Lefty otwierał, stawiał ikonę świętego Jerzego w wychodzącym na ulicę oknie salonu. Klienci przychodzili od tyłu, pukając w umówiony sposób – długi sygnał, dwa krótkie i znowu dwa długie – w drzwi do piwnicy. W tym momencie opuszczali świat Ameryki, z jego pracą w fabryce i tyranią brygadzisty, i wkraczali do arkadyjskiej groty zapomnienia. Mój dziadek umieścił w kącie gramofon Victrola. Na barze wystawił plecione sezamowe ciasteczka *koulouria*. Witał ludzi z wylewnością, jakiej mogli oczekiwać od obcokrajowca, i flirtował z paniami. Za barem jarzył się kolorowy witraż butelek z alkoholem: niebieskie odcienie angielskiego ginu, głęboka czerwień klaretu i madery, brunatne barwy szkockiej i burbona. Na

łańcuszku kręciła się wisząca lampa, rzucając cętki na skórę zebry, które powodowały, że klienci czuli się bardziej pijani niż byli w rzeczywistości. Czasami ktoś wstawał z krzesła i zaczynał poruszać się niezgrabnie, pstrykając palcami w rytm obcej muzyki, a wtórował temu śmiech jego towarzyszy.

W tej piwnicznej knajpie mój dziadek nabierał cech barmana, którym miał pozostać do końca życia. Cały swój potencjał intelektualny skoncentrował na nauce mieszania drinków. Nauczył się, jak w wieczorne godziny szczytu obsługiwać klientów w sposób przypominający człowieka orkiestrę, nalewając whisky prawą ręką, równocześnie lewą napełniając kufle piwem, popychając łokciem barek na kółkach i pompując beczkę stopą. Przez czternaście lub szesnaście godzin dziennie pracował w swojej udekorowanej z przepychem norze w ziemi i przez cały ten czas nie przestawał się ruszać. Jeśli nie nalewał drinków, dokładał *koulouria* na tacę. Jeśli nie wytaczał nowej beczki piwa, wkładał gotowane na twardo jajka do drucianego koszyczka. Jego ciało stale było czymś zajęte, dzięki czemu jego umysł nie miał kiedy myśleć o rosnącej oziębłości jego żony czy o tym, jak ciągnęła się za nimi ich zbrodnia. Lefty marzył o otwarciu kasyna, a bar „Zebra" przynajmniej częściowo przypominał jego marzenie. Nie było tu gier hazardowych ani palm w donicach, ale była rebetika i, często w nocy, haszysz. Dopiero w 1958 roku, kiedy wyszedł zza kontuaru już zupełnie innego baru „Zebra", mój dziadek znalazł czas, aby przypomnieć sobie młodzieńcze marzenia o ruletce. Wtedy, starając się nadrobić stracony czas, doprowadził się do ruiny i ostatecznie na zawsze zamilkł jego głos w mojej historii.

Desdemona i Sourmelina pozostawały na górze i zajmowały się dziećmi. W praktyce oznaczało to, że Desdemona wyjmowała je rano z łóżeczek, karmiła, myła im buzie, zmieniała pieluchy, a dopiero później przynosiła je do Sourmeliny, która wtedy przyjmowała swoich gości, wciąż jeszcze pachnąc plastrami ogórka, które nakładała na noc na powieki. Na widok Theodory Sourmelina szeroko rozpościerała ramiona i wołała:

– *Chryso fili!* – porywając swoją złotą dziewczynkę z rąk Desdemony i pokrywając jej twarz pocałunkami. Przez pozostałą część poranka Lina popijała kawę i zabawiała się, czerniąc powieki malutkiej Theodory. Kiedy pojawiały się przykre zapachy, oddawała dziecko, mówiąc:

– Coś się stało.

Sourmelina wierzyła, że dusza wchodzi do ciała dziecka dopiero w momencie, gdy to dziecko zaczyna mówić. Pozostawiała Desdemonie martwienie się o odparzenia od pieluszek i koklusz, o bóle ucha i krwawienie z nosa. Jednak gdy w niedzielę przychodzili na obiad goście, Sourmelina witała ich z przypiętym do jej ramienia przesadnie wystrojonym dzieckiem, idealnym dodatkiem do ubrania. Sourmelina nie potrafiła zajmować się niemowlętami, ale doskonale radziła sobie z nastolatkami. Zawsze była gotowa pomóc przy pierwszych miłościach i zawodach miłosnych, w doborze stroju na przyjęcie, a także w tak skomplikowanych stanach jak anomia. Dlatego też przez pierwsze lata Milton i Theodora dorastali wspólnie, w tradycyjny sposób rodziny Stephanides. Tak jak kiedyś *kelimi* oddzielało brata i siostrę, tak teraz wełniany koc oddzielał kuzynów. Jak kiedyś na zboczu góry pojawiał się podwójny cień, tak teraz podobnie połączony cień poruszał się po tylnej werandzie domu przy Hurlbut Street.

Dorastali. Gdy mieli roczek, kąpali się w tej samej wodzie. Gdy mieli dwa lata, korzystali z tych samych kredek. Gdy mieli trzy, Milton wsiadał do samolotu-zabawki, a Theodora kręciła śmigłem. Ale East Side w Detroit nie było małą wioską w górach. Tu można się było bawić z wieloma dziećmi. Dlatego też po ukończeniu czterech lat Milton zrezygnował z towarzystwa kuzynki na rzecz zabaw z chłopcami z sąsiedztwa. Theodorze to nie przeszkadzało. Wtedy miała już do zabawy inną kuzynkę.

Desdemona robiła wszystko, co mogła, aby dotrzymać swojej obietnicy i nigdy już nie mieć dzieci. Karmiła Miltona do trzeciego roku. Wciąż odrzucała zaloty Lefty'ego. Ale nie była w stanie robić tego co noc. Chwilami wina, jaką odczuwała z powodu poślubienia Lefty'ego, kolidowała z winą, że nie spełnia swoich małżeńskich obowiązków. Niekiedy zdawało się jej, że Lefty pragnie jej tak rozpaczliwie, tak żałośnie, że nie mogła dłużej się opierać i poddawała się. A i ona czasami potrzebowała fizycznej pociechy i ulgi. Zdarzało się to tylko kilka razy w roku, aczkolwiek częściej w miesiącach letnich. Czasem też Desdemona wypiła zbyt wiele wina na czyichś imieninach i wtedy również to się zdarzało. A z pewnością doszło do tego w gorącą czerwcową noc w 1927 roku, a efektem była córeczka: Zoë Helen Stephanides, moja ciotka Zo.

Z chwilą gdy Desdemona dowiedziała się o nowej ciąży, powróciły do niej obawy, że dziecko urodzi się z jakąś okropną wadą. W kościele

prawosławnym obowiązywał zakaz zawierania małżeństw przez dzieci blisko spokrewnionych rodziców chrzestnych, ponieważ stanowiło to duchowe kazirodztwo. A przecież nawet nie można było porównać tego z tym, co oni zrobili. Dopuścili się czegoś o wiele gorszego! Desdemona cierpiała katusze, nie mogła w nocy spać, a tymczasem w jej wnętrzu rosło dziecko. To, że obiecała Panagii, Przenajświętszej Dziewicy, że już nigdy nie będzie miała dzieci, jeszcze bardziej upewniało Desdemonę, że teraz na pewno dosięgnie ją ręka sprawiedliwości. Ale i tym razem jej obawy były niepotrzebne. Następnej wiosny, 27 kwietnia 1928 roku, urodziła się Zoë Stephanides – duża zdrowa dziewczynka o lekko kwadratowej głowie, po babce, silnym krzyku i bez żadnych oznak jakichkolwiek problemów.

Milton niezbyt interesował się nową siostrzyczką. Wolał strzelać z procy z kolegami. Theodora wprost przeciwnie – była oczarowana małą Zoë. Nosiła dzidziusia jak nową laleczkę na rękach. Ich trwająca całe życie przyjaźń, w której zdarzały się jednak ciężkie chwile, zaczęła się już pierwszego dnia, kiedy Theodora zaczęła udawać matkę Zoë.

Pojawienie się kolejnego dziecka spowodowało, że w domu przy Hurlbut Street zrobiło się tłoczno. Sourmelina postanowiła się wyprowadzić, pozostawiając Lefty'emu i Desdemonie troskę o hipotekę domu. Znalazła pracę w kwiaciarni. Jesienią tego samego roku Sourmelina i Theodora zamieszkały w pobliskim pensjonacie O'Toole, na tyłach domu przy Hurlbut Street, przy Cadillac Boulevard. Ogródki domów były połączone, w związku z tym Lina z Theodorą były na tyle blisko, że nadal można było odwiedzać się prawie codziennie.

W czwartek 24 października 1929 roku na Wall Street w Nowym Jorku mężczyźni w doskonale skrojonych garniturach zaczęli wyskakiwać z okien słynnych drapaczy chmur. Ich rozpacz, przypominająca zachowanie lemingów, pozornie nie dotyczyła mieszkańców domu przy Hurlbut Street, ale pomału ciemne chmury zaczęły nadciągać nad cały kraj, przesuwając się w kierunku przeciwnym do rytmów pogody, aż dotarły na Środkowy Zachód. Dla Lefty'ego pierwszymi oznakami kryzysu była rosnąca liczba wolnych stołków przy barze. Po prawie sześciu latach działalności na pełnych obrotach zaczęły się okresy słabsze, wieczory, gdy lokal był wypełniony tylko w dwóch trzecich lub tylko w połowie. Zawsze można było liczyć na zatwardziałych alkoholików, których nic nie mogło

powstrzymać przed ich powołaniem. Mimo międzynarodowego spisku bankierów (zdemaskowanego w radiu przez ojca Coughlina) ci oddani wyznawcy meldowali się na posterunku, gdy tylko święty Jerzy wskakiwał na okno. Ale osoby pijące tylko w towarzystwie i porządni ojcowie rodzin przestali przychodzić. W marcu 1930 roku już tylko połowa z dawnych bywalców wystukiwała tajny daktyliczno-spondeiczny sygnał na drzwiach piwnicy. Interes zaczął się trochę lepiej kręcić z nastaniem lata.

– Nie martw się – powiedział Lefty do Desdemony. – Prezydent Herbert Hoover wszystkim się zajmie. Najgorsze już za nami. – Udało im się jakoś przetrzymać półtora roku, ale w 1932 do lokalu Lefty'ego przychodziło już tylko kilku klientów dziennie. Lefty dawał na krechę, obniżał cenę drinków, ale to nie pomagało. Wkrótce nie był w stanie zapłacić za dostawę alkoholu. Pewnego dnia przyszło dwóch mężczyzn i zabrali automat wrzutowy.

– To było okropne. Okropne! – jeszcze pięćdziesiąt lat później Desdemona płakała, opowiadając o tamtych latach. W czasie mojego dzieciństwa wystarczyło wspomnieć przy Desdemonie o okresie depresji, aby *yia yia* zaczynała zawodzić i zaraz chwytała się za piersi. (Zrobiła to nawet raz, gdy tematem rozmowy była depresja maniakalna.) Opadała bezwładnie na krzesło, ściskając twarz jak postać na obrazie Muncha „Krzyk", i zaczynała:

– *Mana*! Depresja! Tak straszne, że aż nie do uwierzenia! Wszystkie nie mieli pracy. Pamiętam marsze za głodem, wszystkie ludzie idą ulicami, milion ludzi, jeden po jednym, jeden po jednym, żeby pójść do pana Henry'ego Forda, żeby otworzyć fabrykę. Potem raz w nocy my mieli w alei hałas okropny. Ludzie zabijały szczury, pac, pac, pac, kijami, coby jeść te szczury. Och, Boże! A Lefty, wtedy on nie pracował w fabryce. On miał, wiecie, knajpę, gdzie ludzie przychodzili pić. Ale to środek depresji, zły czas, gospodarka bardzo źle i nikt nie miał pieniędzy na picie. Oni nie mieli na jedzenie, a jak mieć na picie? I szybko *papou* i *yia yia* nie mieli pieniędzy. A potem – ręka wędruje na serce – potem oni kazali mi pracować dla tych *mavros*. Czarnych ludzi! Och, Boże!

A odbyło się to w następujący sposób – pewnej nocy Lefty, kładąc się do łóżka obok żony, zauważył, że nie była sama. Do jej boku leżał przytulony Milton, już ośmioletni. Z drugiej strony była Zoë, mająca tylko cztery latka. Lefty, wykończony pracą, spoglądał z góry na tę menażerię. Uwielbiał

widok swoich śpiących dzieci. Mimo małżeńskich problemów nigdy nie przyszłoby mu do głowy winić za to syna czy córkę. Jednak prawdą było, że rzadko je widywał. Aby zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, knajpa musiała być czynna szesnaście, a czasami nawet osiemnaście godzin na dobę. Pracował przez siedem dni w tygodniu. Chcąc utrzymać rodzinę, musiał się od niej oddalić. W te poranki gdy był w domu, dzieci traktowały go jak dobrze znanego krewnego, może jak wujka, ale nie jak ojca.

Był też problem kobiet przy barze. Podając drinki w dzień i noc w mrocznym lokalu, miał wiele sposobności spotkania kobiet, które przychodziły do baru ze swoimi przyjaciółmi lub nawet samotnie. W 1932 roku mój dziadek miał trzydzieści lat. Przybrał nieco na wadze, zmężniał, był czarujący, przyjacielski, zawsze szykowny – i wciąż bardzo przystojny. Żona na górze była zbyt przerażona, aby się kochać, ale na dole, w barze „Zebra", kobiety rzucały Lefty'emu śmiałe i wyzywające spojrzenia. Gdy mój dziadek tak patrzył na trzy śpiące w łóżku ciała, w jego głowie kłębiło się wszystko naraz: miłość do dzieci, miłość do żony wraz z rozczarowaniem z powodu jego małżeństwa oraz chłopięce, kawalerskie uczucie podniecenia wywołane obecnością kobiet przy barze. Pochylił twarz nad Zoë. Jej włosy były jeszcze wilgotne po kąpieli i bardzo aromatyczne. Odczuwał ojcowską radość, ale równocześnie pozostawał zupełnie innym mężczyzną. Lefty zdawał sobie sprawę z tego, że to wszystko w jego głowie nie trzyma się kupy. Przez chwilę przyglądał się pięknym twarzom śpiących dzieci, po czym przeniósł pociechy z powrotem do ich pokoju. Wrócił i położył się do łóżka obok śpiącej żony. Delikatnie zaczął ją głaskać, wsuwając rękę pod jej koszulę nocną. Oczy Desdemony nagle się otworzyły.

– Co ty wyprawiasz!

– A jak myślisz?

– Śpię.

– A ja cię budzę.

– Wstydziłbyś się – moja babka odsunęła go. Lefty ustąpił. Odwrócił się ze złością na drugi bok. Nastąpiła długa cisza, po której zaczął mówić:

– Nic mi nie dajesz. Cały czas pracuję i niczego nie dostaję.

– Uważasz, że ja nie pracuję? Wychowuję dwójkę dzieci.

– Gdybyś była normalną żoną, może uważałbym, że warto pracować przez cały dzień.

– Gdybyś był normalnym mężem, pomagałbyś przy dzieciach.

– Jak mogę ci pomagać? Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak trudno w tym kraju zarobić pieniądze. Myślisz, że ja się świetnie bawię tam, na dole?

– Słuchasz muzyki, popijasz sobie. W kuchni słychać muzykę.

– To moja praca. Po to przychodzą ludzie. A jeśli nie będą przychodzić, nie będziemy mieli czym zapłacić rachunków. Wszystko jest na moich barkach. Tego właśnie nie rozumiesz. Pracuję dzień i noc i później, kiedy kładę się do łóżka, nie mogę nawet spać. Nie ma miejsca.

– Milton miał koszmary.

– Ja codziennie mam koszmary.

Włączył lampę i w jej świetle Desdemona zobaczyła twarz męża wykrzywioną złością, jakiej jeszcze nigdy nie widziała. To już nie była twarz Lefty'ego, już nie twarz jej brata czy męża. Była to twarz kogoś zupełnie nowego, obcej osoby, z jaką mieszkała.

I właśnie ta okropna twarz przedstawiła jej ultimatum:

– Jutro rano – Lefty wyrzucił z siebie – pójdziesz poszukać pracy.

Następnego dnia, gdy Lina przyszła na lunch, Desdemona poprosiła ją, aby przeczytała jej gazetę:

– Jak ja mogę pracować, skoro nawet nie znam angielskiego?

– Trochę znasz.

– Trzeba było jechać do Grecji. W Grecji mąż nie zmuszałby swojej żony, żeby szła szukać pracy.

– Nie martw się – powiedziała Lina, trzymając papier gazetowy. – Nie ma żadnych ofert.

W 1932 roku w *Detroit Times*, kierowanym do czterech milionów mieszkańców, rubryka ogłoszeń zajmowała tylko jedną kolumnę. Sourmelina zmrużyła oczy, próbując znaleźć coś odpowiedniego.

– Kelnerka – przeczytała Lina.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Mężczyźni będą mnie podrywać.

– Nie lubisz flirtować?

– Czytaj – powiedziała Desdemona.

– Konfekcjonowanie.

Moja babka zmarszczyła brwi.

– A co to takiego?

– Nie wiem.

– Może coś z ubraniami?

– Może.

– Czytaj dalej – powiedziała Desdemona.

– Zwijanie cygar – ciągnęła dalej Lina.

– Nie lubię dymu.

– Gospodyni domowa.

– Lina, proszę. Nie mogę być czyjąś gosposią.

– Praca przy jedwabnikach.

– Co?

– Praca przy jedwabnikach. Tylko tyle jest tu napisane. I adres.

– Praca przy jedwabnikach? Ja potrafię pracować przy jedwabnikach. Wiem o nich wszystko.

– Zatem gratuluję, masz pracę. Jeśli tylko ktoś cię nie ubiegnie.

Godzinę później, ubrana na poszukiwanie pracy, moja babka niechętnie wyszła z domu. Sourmelina starała się przekonać ją, żeby pożyczyła od niej sukienkę z dużym dekoltem.

– Jak ją włożysz, nikt nie będzie zwracał uwagi na twój angielski – powiedziała.

Ale Desdemona poszła na tramwaj w jednej ze swoich prostych sukienek, szarej w brązowe kropki. Jej buty, kapelusz i torebka również były w kolorze brązowym, co tworzyło prawie dopasowaną całość.

Desdemona wolała jeździć tramwajem niż samochodem, jednak za tramwajami również nie przepadała. Miała problemy z rozróżnieniem linii. Kapryśne, napędzane jakąś magiczną siłą tramwaje zawsze zakręcały w nieoczekiwanych miejscach, wywożąc ją w nieznane części miasta. Kiedy zatrzymał się pierwszy tramwaj, krzyknęła do konduktora:

– Do centrum?

Skinął głową. Wsiadła, opadła na krzesło i z torebki wyjęła adres, jaki jej zapisała Lina. Kiedy przechodził konduktor, pokazała mu świstek.

– Hastings Street? Tam chce pani jechać?

– Tak. Hastings Street.

– Pojedzie pani tym tramwajem do Gratiot. Potem z Gratiot do centrum. Wysiądzie pani przy Hastings.

Na wspomnienie Gratiot Desdemona poczuła ulgę. Jechała z Leftym linią Gratiot do dzielnicy greckiej. W tym momencie wszystko zaczynało nabierać sensu. „I co, nie robią jedwabiu w Detroit?" – triumfalnie zapytała nieobecnego męża. „Tyle właśnie wiesz". Tramwaj nabierał prędkości. Minęli sklepy przy Mack Avenue, wiele z nich było zamkniętych, a ich witryny były wysmarowane mydłem. Desdemona przycisnęła twarz do szyby, ale ponieważ była sama, miała jeszcze kilka słów do powiedzenia Lefty'emu: „Gdyby ci policjanci na Ellis Island nie zabrali mi moich jedwabników, mogłabym założyć hodowlę w ogródku za domem. Nie musiałabym szukać pracy. Moglibyśmy zarobić dużo pieniędzy. Mówiłam ci przecież". Ubrania pasażerów, choć wciąż jeszcze szykowne, nosiły już na sobie ślady zużycia: kapelusze od miesięcy zdeformowane, postrzępione lamówki i mankiety, poplamione krawaty i klapy marynarek. Na krawężniku stał mężczyzna trzymający tabliczkę z odręcznym napisem: POTRZEBUJĘ-PRACY-A-NIE-JAŁMUŻNY-KTO-MI-POMOŻE-ZNALEŹĆ-PRACĘ.-OD-7-LAT-W-DETROIT.-BEZ-PIENIĘDZY.-ODSYŁANY.-MAM-NAJLEPSZE-REFERENCJE. „Cóż za biedny człowiek. *Mana*! Wygląda jak uchodźca. Równie dobrze może być ze Smyrny. Jaka to różnica?". Tramwaj posuwał się powoli naprzód, zostawiając za sobą znane jej punkty orientacyjne: zieleniak, kino, hydranty pożarowe i okoliczne stoiska z gazetami. Jej wiejskie oczy, które potrafiły z miejsca rozpoznawać drzewa i krzewy, patrzyły na znaki wzdłuż drogi, na nic nieznaczące rzymskie litery wkręcające się jedna w drugą i na obdarte billboardy, prezentujące amerykańskie twarze z łuszczącą się skórą, twarze pozbawione oczu lub bez ust albo z których pozostał tylko nos. Kiedy rozpoznała przebiegający po przekątnej pas Gratiot, wstała i zawołała dźwięcznym głosem:

– Kuwarać!

Nie miała pojęcia, co oznacza to słowo. Słyszała tylko, jak używa go Sourmelina, gdy tylko zdarzy się jej przegapić przystanek. I jak zawsze zadziałało. Motorniczy zatrzymał tramwaj, a pasażerowie szybko rozsunęli się na boki, aby ją przepuścić. Wyglądali na zaskoczonych, gdy dziękowała im z uśmiechem.

W tramwaju z Gratiot powiedziała konduktorowi:

– Proszę, ja chcę Hastings Street.

– Hastings? Jest pani pewna?

Pokazała mu adres i powtórzyła głośniej:

– Hastings Street.

– W porządku. Dam pani znać.

Tramwaj ruszył w kierunku dzielnicy greckiej. Desdemona sprawdziła swoje odbicie w szybie i poprawiła kapelusz. Po przebytych ciążach przybrała na wadze, przytyła w pasie, ale jej skóra i włosy nadal były piękne i wciąż była atrakcyjną kobietą. Po przyjrzeniu się własnemu odbiciu ponownie zwróciła uwagę na mijaną okolicę. Cóż moja babka mogła zobaczyć na ulicach Detroit w 1932 roku? Mogła zobaczyć mężczyzn w oklapniętych kapeluszach, sprzedających jabłka na rogu. Mogła zobaczyć robotników zajmujących się zwijaniem cygar, wychodzących na zewnątrz pozbawionej okien fabryki, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, z twarzami pokrytymi niezmywalnymi brunatnymi plamami od pyłu tytoniowego. Mogła zobaczyć działaczy robotniczych rozdających związkowe ulotki, podczas gdy detektywi z agencji Pinkertona deptali im po piętach. W bocznych uliczkach mogłaby zobaczyć osiłków wynajętych do zwalczania związków zawodowych, rozprawiających się z autorami tych ulotek. Mogła zobaczyć policjantów, pieszych lub konnych, z których 60 procent było tajnymi członkami białego protestanckiego zakonu Czarnego Legionu, stosującego własne metody pozbywania się czarnych, komunistów i katolików.

– Ależ daj spokój, Cal – słyszę głos mojej matki. – Nie masz nic przyjemniejszego do opowiedzenia?

Dobrze, w porządku. W 1932 roku Detroit było znane jako miasto drzew. Było tu więcej drzew na kilometr kwadratowy niż we wszystkich innych miastach kraju. Można było iść na zakupy do sklepów Kerna i Hudsona. Na Woodward Avenue potentaci motoryzacyjni zbudowali przepiękny Instytut Sztuki, w którym – dokładnie w tym samym czasie gdy Desdemona jechała na rozmowę o pracy – meksykański artysta Diego Rivera pracował nad nowym zamówieniem: malowidłem ściennym obrazującym nową mitologię przemysłu samochodowego. Siedział na rusztowaniu na składanym krześle i szkicował swoje wielkie dzieło – na górnych panelach czterech obojnaczych przedstawicieli różnych ras ludzkich patrzących w dół na linię montażową w River Rouge, gdzie pracowali robotnicy samochodowi, ich ciała zharmonizowane z wysiłkiem. Mniejsze panele przedstawiały „komórkę zarodkową” dziecka zwiniętego

w bulwie rośliny, cud i zagrożenie medycyny, miejscowe owoce i zboża stanu Michigan, a dalej, w narożu, samego Henry'ego Forda, sztywniaka z poszarzałą twarzą, przeglądającego księgi.

Tramwaj przejechał przez McDougal, Jos. Campau oraz przez Chene i z lekkim drżeniem przetoczył się przez Hastings Street. W tym momencie wszyscy pasażerowie, a byli to wyłącznie biali, wykonali magiczne gesty. Mężczyźni sprawdzili, czy mają portfele, kobiety poprawiły torebki. Motorniczy pociągnął za dźwignię zamykającą tylne drzwi. Desdemona, widząc to wszystko, wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła, że tramwaj wjechał do getta Black Bottom, Czarne Dno.

Na drodze nie było żadnej blokady czy ogrodzenia. Tramwaj nawet nie przystanął na moment, przejeżdżając przez tę niewidzialną barierę, ale równocześnie, na tym odcinku między dwiema przecznicami, świat się odmienił. Zdawać się mogło, że zmieniło się światło, poszarzało filtrowane przez sznury z praniem. Na ulice sączył się mrok werand i mieszkań pozbawionych elektryczności, a wisząca nad okolicą burzowa chmura ubóstwa powodowała, że uwaga kierowała się w dół, w kierunku jasno rysujących się osamotnionych obiektów, które nie rzucały cienia: czerwonych cegieł odpadających z werand, stosów śmieci i kości, starych opon, pozostałych po zeszłorocznym jarmarku zmiażdżonych sztucznych ogni w kształcie kół ognistych, czyjegoś starego zgubionego buta. Ta bezpańska cisza zrujnowanego miejsca trwała bardzo krótko, bo już po chwili ze wszystkich zaułków i bocznych uliczek Czarne Dno wybuchło swoim życiem: „Patrzcie na te wszystkie dzieci! Tak dużo!". Nagle obok tramwaju zaczęły biec dzieci, machając rękami i krzycząc. Bawiły się w kto pierwszy stchórzy, wskakując na tory tuż przed tramwajem. Inne wspinały się na tył pojazdu. Desdemona podniosła rękę do szyi: „Dlaczego mają tak dużo dzieci? Co się dzieje z tymi ludźmi? Te kobiety *mavro* powinny dłużej karmić piersią swoje dzieci. Ktoś im powinien o tym powiedzieć". W tej chwili zobaczyła w bocznych uliczkach mężczyzn myjących się przy ulicznych kranach. Na pół ubrane kobiety wystawiały biodra z werand na drugim piętrze. Desdemona patrzyła w zdumieniu i przerażeniu na te wszystkie twarze wypełniające okna, wszystkie te ciała wypełniające ulice, prawie pół miliona ludzi ściśniętych na powierzchni dwudziestu pięciu kwartałów. Już podczas I wojny światowej, gdy E. I. Weiss, dyrektor Packard Motor Company, sprowadził, jak napisał w swoim sprawozdaniu,

pierwszy „ładunek czarnuchów" do miasta, to właśnie tutaj, w Czarnym Dnie, zdecydował się ich umieścić establishment. Obecnie tłoczyli się tu wspólnie przedstawiciele wszystkich profesji, odlewnicy i prawnicy, gosposie i stolarze, lekarze i chuligani, ale większość z tych ludzi, jako że był rok 1932, nie miała zatrudnienia. Jednak każdego roku, każdego miesiąca nadciągało ich coraz więcej w poszukiwaniu pracy na Północy. Spali na każdym łóżku w każdym domu. Stawiali budy w podwórzach. Obozowali na dachach. (Taki stan rzeczy nie mógł oczywiście trwać wiecznie. Przez następne lata Czarne Dno, mimo wszystkich prób białych, aby pohamować jego wzrost – i z powodu nieubłaganych praw ubóstwa i rasizmu – powoli się rozrastało, ulica po ulicy, dzielnica po dzielnicy, aż to tak zwane getto objęło całe miasto i w latach siedemdziesiątych, przy zerowej podstawie opodatkowania, ucieczce białych do dzielnic o niższym wskaźniku przestępczości i w sytuacji, gdy Detroit za administracji Colemana Younga stało się stolicą zabójstw, czarni ludzie mogli w końcu mieszkać, gdzie tylko chcieli…)

Ale wtedy, jeszcze w 1932 roku, działo się tu coś dziwnego. Tramwaj zwalniał. Na środku Czarnego Dna zatrzymywał się i – rzecz niesłychana! – otwierał drzwi. Pasażerowie zaczęli się nerwowo kręcić. Konduktor dotknął ramienia Desdemony.

– Proszę pani, to tutaj. Hastings.

– Hastings Street? – Nie wierzyła mu. Jeszcze raz pokazała mu adres. Wskazał na drzwi.

– Tu fabryka jedwabiu? – zapytała konduktora.

– Nie mam pojęcia, co tu jest. To nie moja dzielnica.

I tak moja babka wyszła z tramwaju na Hastings Street. Tramwaj odjechał, tylko w oknach widać było białe twarze patrzące na wyrzuconą za burtę kobietę. Zaczęła iść. Kurczowo trzymając swoją torebkę, pospiesznie ruszyła w dół Hastings, jakby wiedziała, dokąd ma iść. Wzrok miała utkwiony wprost przed siebie. Na chodniku dzieci skakały przez skakankę. W oknie na trzecim piętrze mężczyzna darł kartkę papieru na strzępy i krzyczał:

– Możesz przekazać moją pocztę do Paryża, listonoszu.

Na gankach pełno było mebli salonowych, starych sof i foteli, ludzi grających w warcaby, kłócących się, kiwających palcami i wybuchających głośnym śmiechem. „Ci *mavros*, oni ciągle się śmieją. Śmieją się i śmieją,

jakby wszystko było zabawne. Co jest takie śmieszne, co? I co jest – och, Boże – mężczyzna załatwia się na ulicy! Nie patrzę". Przeszła przez podwórze artysty tworzącego dzieła z rupieci – siedem cudów świata zrobionych z kapsli od butelek. W zwolnionym tempie przesunął się przed nią wiekowy pijak w kolorowym sombrero, ssąc swoje bezzębne usta i wyciągając rękę po jakieś drobne. „Ale cóż oni mogą zrobić? Nie mają tu instalacji wodno-kanalizacyjnej. Żadnej kanalizacji, to okropne, okropne". Przeszła obok zakładu fryzjerskiego, w którym mężczyźni prostowali sobie włosy, ubrani w czepki pod prysznic, jak kobiety. Jacyś młodzieńcy wołali do niej z drugiej strony ulicy:

– Laleczko, masz tyle zakrętów, że samochód by się rozbił!

– Jesteś taka słodziutka, że od razu bym cię schrupał!

Głośny śmiech rozlegał się za jej plecami, a ona szybko podążała dalej. Dalej i dalej, mijając ulice, których nazw nie znała. W powietrzu unosił się zapach nieznanego jej jedzenia, ryb złapanych w pobliskiej rzece, wieprzowej golonki, mamałygi, smażonej mortadeli, grochu czarne oczko. Ale było również wiele domów, w których nic nie gotowano, gdzie nikt się nie śmiał ani nie rozmawiał, ciemne pokoje pełne zmęczonych twarzy i zmizerowanych psów. Właśnie z ganku jednego z takich domów ktoś się w końcu odezwał. Dzięki Bogu, była to kobieta.

– Zgubiłaś się?

Desdemona zauważyła łagodną i kształtną twarz.

– Szukam fabryki. Fabryki jedwabiu.

– Żadnych fabryk tu nie ma. Jakby była, toby zamknęli.

Desdemona podała jej kartkę z adresem. Kobieta wskazała na drugą stronę ulicy.

– Idź tam.

I cóż zobaczyła Desdemona, gdy się odwróciła? Czy zobaczyła budynek z brunatnej cegły, jeszcze niedawno znany jako McPherson Hall? Miejsce wynajmowane na zebrania polityczne, wesela lub na występy wędrownych jasnowidzów? Czy zauważyła ozdobne ornamenty wokół wejścia, rzymskie urny, z których wysypywały się granitowe owoce, różnokolorowy marmur? Czy może jej wzrok skupił się na dwóch młodych czarnych mężczyznach stojących na baczność przy głównych drzwiach? Czy zauważyła ich nieskazitelne garnitury, jeden jasnoniebieski w kolorze wodnej części planety, a drugi niebieskofioletowy w odcieniu lawendy? Z pewnością

musiała zauważyć ich wojskową postawę, błyszczące buty, ich jaskrawe krawaty. Musiała wyczuć kontrast między pewnością siebie tych młodych ludzi, a atmosferą panującą w tej sponiewieranej dzielnicy, ale niezależnie od tego, co czuła w tym momencie, jej złożone reakcje sprowadziły się do tego, że zszokowana uświadomiła sobie tylko jedno.

Fezy. Na głowach mieli fezy. Miękkie, rdzawoczerwone nakrycia głowy w kształcie spłaszczonego stożka, noszone przez uprzednich dręczycieli moich dziadków. Czapki, których nazwa wywodzi się z miasta w Maroku, skąd pochodził ten krwistoczerwony barwnik, i które (na głowach żołnierzy) wypędziły z Turcji moich dziadków, znacząc ziemię ciemnym rdzawoczerwonym kolorem. A teraz znowu były tu, w Detroit, na głowach dwóch przystojnych młodych Murzynów. (Fezy pojawią się w mojej opowieści jeszcze raz, w dniu pogrzebu, ponieważ jednak wyniknie to z tak ciekawego zbiegu okoliczności, jaki może wydarzyć się tylko w rzeczywistym życiu, na razie zachowam to w tajemnicy).

Desdemona niepewnie przeszła przez ulicę. Powiedziała mężczyznom, że przyszła w związku z ogłoszeniem. Jeden z nich skinął głową.

– Musi pani iść na tyły – powiedział. Grzecznie powiódł ją aleją i wprowadził na pozamiatane podwórze. W tym momencie, jakby na jakiś dyskretny znak, otworzyły się tylne drzwi i Desdemona przeżyła kolejny szok. Pojawiły się dwie kobiety ubrane w czadory. Wyglądały, zdaniem mojej babki, jak pobożne muzułmanki z Bursy, jedyną różnicą był kolor ich strojów. Nie był czarny. Był biały. Czador zaczynał się pod podbródkiem i wisiał aż do samych kostek. Włosy miały zakryte białymi chustkami. Nie nosiły woalek, a gdy podeszły bliżej, Desdemona zauważyła, że na nogach miały brązowe sznurowane półbuciki.

Fezy, czadory i wreszcie to – meczet. Wnętrze dawnego McPherson Hall zostało odnowione zgodnie z mauretańskimi kanonami. Strażniczki poprowadziły Desdemonę przez geometryczną posadzkę z kafelków. Zaprowadziły ją za grube, obszyte frędzlami zasłony, które odcinały dopływ światła. Wokół panowała absolutna cisza, słychać było tylko szelest kobiecych szat i dochodzący z daleka głos, jakby przemawiający czy modlący się. W końcu wprowadziły ją do biura, w którym jakaś kobieta wieszała obraz.

– Jestem siostra Wanda – powiedziała kobieta, nie odwracając się. – Naczelny Kapitan. Świątynia Numer 1.

Była ubrana w zupełnie inny czador, z lamówką i epoletami. Wieszany przez nią obraz przedstawiał latający spodek zastygły nad linią dachów Nowego Jorku. Ze statku wystrzeliwały promienie.

– Przyszłaś w sprawie pracy?

– Tak. Pracowałam przy jedwabnikach. Mam duże doświadczenie. Produkcja jedwabiu, budowanie hodowli, tkanie…

Siostra Wanda odwróciła się na pięcie. Przyjrzała się twarzy Desdemony.

– Mamy kłopot. Co ty jesteś?

– Jestem Greczynką.

– Greczynka, aha. To rodzaj białych, tak? Urodzona w Grecji?

– Nie. Z Turcji. Pochodzimy z Turcji. Mój mąż i ja.

– Turcja! Trzeba było od razu tak mówić. Turcja to kraj muzułmański. Ty muzułmanka?

– Nie. Grecki. Grecki kościół.

– Ale urodzona w Turcji?

– *Ne*.

– Co?

– Tak.

– I twoi ludzie pochodzą z Turcji?

– Tak.

– Czyli możecie być trochę pomieszani, nie? Ty nie całkiem biała.

Desdemona zawahała się przez chwilę.

– Widzisz, staram się znaleźć jakiś sposób – kontynuowała siostra Wanda. – Pastor Fard, który przybywa do nas z Mekki, świętego miasta, zawsze wpajał nam znaczenie samowystarczalności. Na białych nie można już polegać. Trzeba robić samemu, rozumiesz? – zniżyła głos. – Problem, że z ogłoszenia nie przyszedł nikt taki jak trzeba. Ludzie przychodzą, mówią, że znają jedwab, a w ogóle nic nie wiedzą. Tylko chcą, żeby ich zatrudnić i zwolnić. Dostać dniówkę – zmrużyła oczy. – Ty też tak planujesz?

– Nie. Ja chcę tylko zatrudnić. Nie zwolnić.

– Ale co ty jesteś? Grek, Turek czy co?

Desdemona ponownie zawahała się. Pomyślała o dzieciach. Pomyślała, że może do nich wrócić bez jedzenia. Przełknęła ślinę.

– Wszyscy pomieszani. Turcy, Grecy, wszystko to samo.

– To właśnie chciałam usłyszeć – siostra Wanda uśmiechnęła się szeroko. – Pastor Fard, on też pomieszany. Chodź, pokażę ci, co nam trzeba.

Poprowadziła ją długim, wyłożonym boazerią korytarzem przez biuro centrali telefonicznej do następnego, ciemniejszego korytarza. Na samym końcu wisiały ciężkie zasłony, zasłaniające wejście do głównego holu. Na straży stało dwóch młodych wartowników.

– Będziesz u nas pracować, to musisz wiedzieć kilka rzeczy. Nigdy, przenigdy, nie wchodź za te zasłony. Tam jest główna świątynia, gdzie pastor Fard wygłasza kazania. Ty zostajesz tutaj, w części kobiecej. Najlepiej zakryj również włosy. Ten kapelusz odsłania twoje uszy, a to pokusa.

Desdemona instynktownie dotknęła swoich uszu, patrząc równocześnie na strażników. Oni jednak zachowali kamienny wyraz twarzy. Odwróciła się, podążając za Naczelnym Kapitanem.

– Pokażę ci, co teraz robimy – powiedziała siostra Wanda. – Wszystko mamy. Brakuje nam tylko trochę, wiesz, wiedzy fachowej.

Ruszyła schodami w górę, a Desdemona za nią.

(To długa klatka schodowa, biegnie przez trzy kondygnacje, a siostra Wanda ma chore kolana, dlatego też zanim dojdą na górę, upłynie trochę czasu. Zostawmy je, wspinające się po schodach, a ja tymczasem wytłumaczę, w co wpakowała się moja babka).

„Mniej więcej w lecie 1930 roku w murzyńskim getcie w Detroit pojawił się uprzejmy, ale nieco tajemniczy domokrążca (cytuję za opracowaniem C. Erica Lincolna *The Black Muslims of America*). Sądzono, że jest Arabem, choć wciąż brak dokumentów potwierdzających jego rasę i tożsamość narodową. Został dobrze przyjęty w domach żądnych kultury czarnoskórych Amerykanów, chętnie kupujących jego wyroby z jedwabiu i różne przedmioty, które, jak utrzymywał, były dokładnie takie, jakie nosili czarni ludzie w ich rodzinnym kraju za morzem… Jego klienci byli tak spragnieni wiedzy o swojej przeszłości i o kraju, z którego pochodzili, że wkrótce domokrążca zaczął organizować zebrania w kolejnych domach.

Początkowo »prorok«, jak z czasem został nazwany, ograniczał nauki do opowiadania o swoich doświadczeniach w obcych krajach, do ostrzegania przed określonymi potrawami oraz do udzielania rad, jak jego słuchacze

mogą poprawić swoje zdrowie fizyczne. Był miły, przyjacielski, skromny i cierpliwy".

„Po wzbudzeniu zainteresowania słuchaczy (przechodzimy do publikacji *An Original Man* Claude'a Andrew Clegga II) [domokrążca] przeszedł do wygłaszania oracji na temat historii i przyszłości czarnoskórych Amerykanów. Przyjęta przez niego taktyka odniosła sukces i ostatecznie udoskonalił ją do tego stopnia, że zebrania zaciekawionych Murzynów odbywały się w prywatnych domach. Później na jego mowy wynajmowano sale publiczne, a w samym środku dotkniętego biedą Detroit struktura organizacyjna jego »Narodu Islamu« zaczęła nabierać kształtów".

Handlarz był znany pod wieloma nazwiskami. Czasami nazywał się Mr Farrad Mohammad lub Mr F. Mohammad Ali. Kiedy indziej mówił o sobie Fred Dodd, Profesor Ford, Wallace Ford, W. D. Ford, Wali Farrad, Wardell Fard czy W. D. Fard. Równie wiele było miejsc jego pochodzenia. Utrzymywano, że był czarnym Jamajczykiem, a jego ojcem był muzułmanin z Syrii. Jedna pogłoska głosiła, że był palestyńskim Arabem, który przed przeniesieniem się do Detroit podżegał do zamieszek na tle rasowym w Indiach, Afryce Południowej i Londynie. Zgodnie z inną historią był synem bogatych rodziców z plemienia Kurajszytów, plemienia samego proroka Mahometa, a w aktach FBI znaleźć można informację, że Fard urodził się albo w Nowej Zelandii, albo w Portland, w stanie Oregon, a jego rodzice pochodzili z Hawajów albo z Wielkiej Brytanii i Polinezji.

Jedno jest pewne – w 1932 roku Fard założył Świątynię Numer 1 w Detroit. Po tylnych schodach tej świątyni właśnie wspinała się Desdemona.

– Jedwab sprzedajemy prosto ze świątyni – wyjaśniała na górze siostra Wanda. – Sami robimy ubrania, zgodnie z projektem pastora Farda. Na wzór ubrań, jakie nosili nasi przodkowie w Afryce. Przedtem po prostu zamawialiśmy materiał i sami zszywaliśmy. Ale przy tej depresji coraz trudniej kupić materiał. I pastor Fard miał jedno ze swoich objawień. Przyszedł do mnie pewnego ranka i powiedział: „Musimy posiadać własny potencjał w zakresie hodowli jedwabników". Tak właśnie mówi. Elokwentny? Ten człowiek każdego by przegadał.

Idąc po schodach, Desdemona zaczęła łączyć z sobą fakty w logiczną całość. Dziwaczne ubrania mężczyzn na zewnątrz. Odnowione wnętrza.

Siostra Wanda dotarła na podest.

– Tutaj jest nasza klasa – i otworzyła drzwi. Desdemona zrobiła krok do góry i zobaczyła je.

Dwadzieścia trzy nastolatki w jasnych czadorach i chustkach na głowach szyły ubrania. Tylko na chwilę podniosły głowy, aby zerknąć na przyprowadzoną przez Kapitana obcą osobę. Głowy pochylone, w ustach wachlarzyk szpilek, pokryte kawałkami lamówki sznurowane półbuciki poruszające niewidocznymi pedałami maszyn do szycia, dziewczęta dalej pracowały.

– To nasza Klasa Szkolenia i Ogólnego Wychowania dla Dziewcząt Muzułmańskich. Widzisz, jakie są dobre i poprawne? Nic nie mów, dopóki nie zrobisz. „Islam" oznacza poddanie się. Wiesz o tym? Ale wracając do tego, dlaczego dałam ogłoszenie. Brakuje nam materiału. Wygląda na to, że wszyscy zwinęli interes.

Poprowadziła Desdemonę na drugi koniec pokoju. Stała tam otwarta drewniana skrzynia pełna kurzu.

– Dlatego zamówiliśmy te jedwabniki z pewnej firmy. Zamówienie pocztowe, wiesz, o czym mówię? Więcej jest w drodze. Ale problem polega na tym, że im się chyba nie podoba tu, w Detroit. Myślę, że to nie ich wina. Umierają nam, a co się dzieje, kiedy to robią? Fuj, jaki smród! Dobry Jez… – pohamowała się. – To tylko takie wyrażenie. Byłam wychowywana na świętą. Słuchaj, jak powiedziałaś masz na imię?

– Desdemona.

– Słuchaj Des, zanim zostałam Kapitanem, zajmowałam się włosami i paznokciami. Nie żadna córka rolnika, rozumiesz? Czy wyglądam na osobę, która ma dobrą rękę do roślin? Pomóż mi. Co lubią te nasze jedwabniki? Jak je zmusić do, wiesz, jedwabowania?

– To ciężka praca.

– Tego się nie boimy.

– Potrzeba pieniędzy.

– Dużo.

Desdemona wzięła jedną wysuszoną gąsienicę, ledwo żywą. Przemówiła do niej pieszczotliwie po grecku.

– Posłuchajcie, moje siostrzyczki – powiedziała siostra Wanda i wszystkie dziewczęta jak jedna przestały szyć, skrzyżowały ręce na piersiach i patrzyły z uwagą. – Ta nowa pani nauczy nas, jak robić jedwab.

Jest Mulatką, jak pastor Fard, i przywróci nam wiedzę o utraconej sztuce naszego ludu. Żebyśmy mogły same to robić.

Dwadzieścia trzy pary oczu skupiły się na Desdemonie. Zebrała w sobie odwagę. Przetłumaczyła na angielski to, co chciała powiedzieć, a następnie powtórzyła to sobie dwa razy, zanim zaczęła mówić:

– Żeby robić dobry jedwab – oznajmiła, zaczynając swoje lekcje w Klasie Szkolenia i Ogólnego Wychowania dla Dziewcząt Muzułmańskich – musicie być czyste.

– Staramy się, Des. Chwała Allachowi. Staramy się.

Trikologia

W ten właśnie sposób moja babka zaczęła pracować dla Narodu Islamu. Jak sprzątaczka zatrudniona na Grosse Pointe, wchodziła i wychodziła tylnymi drzwiami. Zamiast kapelusza nosiła chustkę zakrywającą jej kuszące uszy. Nigdy nie mówiła głośniej niż szeptem. Nigdy nie zadawała pytań ani się nie skarżyła. Ponieważ dorastała w kraju rządzonym przez obcych, nie miała problemów z przystosowaniem się do zaistniałej sytuacji. Fezy, dywaniki modlitewne, półksiężyce – to było trochę jak powrót do domu.

Z kolei dla mieszkańców Czarnego Dna była to podróż na inną planetę. Główne drzwi świątyni stały otworem dla czarnych, a zamknięte były dla białych, co stanowiło miły kontrast w stosunku do większości wejść w Ameryce. Obrazy wiszące wcześniej w holu – pejzaże promieniejące deklaracją Objawionego Przeznaczenia lub scenami rzezi Indian – zniesiono do piwnicy. Na ich miejscu pojawiły się ilustracje historii Afryki – książę i księżniczka przechadzający się nad kryształową rzeką, tajne zebranie czarnych uczonych dyskutujących na wolnym powietrzu.

Ludzie przychodzili do Świątyni Numer 1, aby słuchać kazań Farda. Przychodzili również do sklepu. W starej szatni siostra Wanda wystawiła ubrania, które, według słów Proroka, były „takie same jak te, które czarni ludzie nosili w swoim domu na Wschodzie". Marszczyła w palcach mieniący się światłem materiał, a nawróceni podchodzili, aby za niego zapłacić. Kobiety zamieniały służalcze fartuszki pokojówek na białe czadory emancypacji. Mężczyźni zamieniali robocze ubrania ucisku na jedwabne garnitury godności. Kasa świątyni pękała w szwach. W tych chudych latach Fard nie cierpiał na brak pieniędzy. Ford zamykał fabryki, a przy Hastings Street 3408 meczet pracował pełną parą.

Desdemona niewiele z tego widziała, siedząc w pomieszczeniu na trzecim piętrze. Do południa uczyła swoją klasę, a popołudnia spędzała

w Jedwabnym Pokoju, gdzie przechowywano materiał. Pewnego ranka przyniosła ze sobą swoją skrzyneczkę na jedwabniki, aby ją zaprezentować uczennicom. Puściła skrzyneczkę po klasie, opowiadając historię jej podróży – o tym, jak jej dziadek wyrzeźbił ją z drewna oliwnego i jak ocalała w pożarze – i udało się jej to opowiedzieć bez wyrażania się obraźliwie o współwyznawcach swoich uczennic. W rzeczywistości dziewczęta były tak słodkie i miłe, że Desdemonie przypomniały się czasy, gdy Grecy i Turcy żyli obok siebie w zgodzie.

Mimo to czarni ludzie nadal stanowili nowość dla mojej *yia yia*. Co rusz wstrząsały nią nowe odkrycia:

– Wewnętrzna strona dłoni tych *mavros* – informowała męża – jest biała jak u nas.

Albo:

– Ci *mavros* nie mają zadrapań, tylko siniaki.

Albo:

– Czy ty wiesz, jak ci *mavros* się golą? Używają do tego proszku! Widziałam przez okno.

Desdemona była zbulwersowana warunkami życia tych ludzi, które obserwowała chodząc ulicami Czarnego Dna.

– Nikt nie zamiata. Śmieci leżą na werandach i nikt tego nie zamiata. Okropne.

Ale w świątyni sprawy wyglądały inaczej. Mężczyźni ciężko pracowali i nie pili alkoholu. Dziewczęta były czyste i skromne.

– Ten pan Fard robi coś dobrego – powiedziała przy niedzielnym obiedzie.

– Daj spokój – zbyła ją Sourmelina. – Ze zwyczajem zasłaniania pożegnaliśmy się, wyjeżdżając z Turcji.

Ale Desdemona pokręciła głową.

– Tym amerykańskim dziewczynom przydałaby się woalka albo nawet dwie.

Sam Prorok pozostawał zawoalowany dla Desdemony. Fard był niczym bóg – wszechobecny i niewidzialny. W oczach osób wychodzących po kazaniu widniał jeszcze jego blask. Wypowiadał się na temat zasad żywienia, zgodnie z którymi za lepsze uznawane były rdzenne potrawy afrykańskie, na przykład bataty czy maniok, a konsumpcja wieprzowiny była zakazana. Co jakiś czas Desdemona widziała samochód Farda –

nowiutkiego chryslera coupe – zaparkowany przed świątynią. Zawsze był świeżo umyty i nawoskowany, z wypolerowaną chromową kratownicą wlotu powietrza. Nigdy natomiast nie widziała za kierownicą samego Farda.

– Jak ty chciałabyś go zobaczyć, skoro jest Bogiem? – zapytał rozbawiony Lefty pewnego wieczoru, gdy kładli się spać. Desdemona leżała uśmiechnięta, jakby miło połechtana swoją ukrytą pod materacem wypłatą za pierwszy tydzień pracy.

– Będę musiała mieć wizję – powiedziała.

Jej pierwsze zadanie w Świątyni Numer 1 polegało na przekształceniu wychodka w hodowlę jedwabników. Po wezwaniu Owoców Islamu, jak określano zbrojne skrzydło Narodu Islamu, stała z boku, a młodzi mężczyźni wyciągali drewnianą toaletę z chwiejącej się budy. Zasypali dół kloaczny i zdjęli ze ścian stare kalendarze z gołymi panienkami, a gdy wyrzucali te bluźniercze resztki do śmieci, odwracali wzrok. Zamontowali półki i zrobili małe otwory w stropie dla zapewnienia odpowiedniej wentylacji. Mimo ich wysiłków w pomieszczeniu pozostał smród.

– Tylko poczekajcie – powiedziała im Desdemona. – To nic w porównaniu z jedwabnikami.

Na górze Klasa Szkolenia i Ogólnego Wychowania dla Dziewcząt Muzułmańskich zajmowała się tkaniem tac do karmienia. Desdemona próbowała ocalić pierwszą partię jedwabników. Trzymała je w cieple żarówki elektrycznej i śpiewała im greckie pieśni, ale gąsienice nie dały się oszukać. Po wykluciu z czarnych jajeczek natychmiast wyczuwały suche powietrze pomieszczenia oraz fałszywe słońce żarówki i zaczynały wysychać.

– Więcej jest w drodze – mówiła siostra Wanda, przechodząc do porządku dziennego nad tym niepowodzeniem. – Niedługo tu będą.

Mijały kolejne dni. Desdemona przyzwyczaiła się już do jasnych wewnętrznych części dłoni Murzynów, do korzystania z tylnych drzwi i do odzywania się dopiero wtedy, gdy ktoś ją o coś zapytał. Kiedy nie uczyła dziewcząt, czekała na górze w Jedwabnym Pokoju.

Jedwabny Pokój – przyszedł czas na jego opis. (Tak wiele się wydarzyło w tym pomieszczeniu o wymiarach sześć metrów na cztery i pół: Bóg przemówił, moja babka wyrzekła się swojej rasy, wyjaśniono kwestię

stworzenia świata – a to dopiero początek.) Było to małe, niskie pomieszczenie, ze stołem do krojenia materiału w jednym z kątów. Oparte o ściany stały bele jedwabiu. Plusz zakrywał ściany od podłogi po sufit, jak we wnętrzu szkatułki na kosztowności. Coraz trudniej było zdobyć materiał, ale siostrze Wandzie udało się zgromadzić spory zapas.

Czasami można było odnieść wrażenie, że jedwab tańczy. Pobudzony prądami powietrza tajemniczego pochodzenia, materiał łopotał i unosił się w całym pokoju. Desdemona musiała go łapać i zwijać ponownie.

I pewnego dnia, w samym środku takiego upiornego *pas de deux* – zielony jedwab prowadził, a Desdemona starała się za nim nadążyć – usłyszała głos:

„URODZIŁEM SIĘ W ŚWIĘTYM MIEŚCIE, W MEKCE, 17 LUTEGO 1877 ROKU".

W pierwszej chwili myślała, że ktoś wszedł do pomieszczenia. Ale gdy się odwróciła, nikogo nie zobaczyła.

„MOIM OJCEM BYŁ ALPHONSO, MĘŻCZYZNA O SKÓRZE CZARNEJ JAK HEBAN, Z PLEMIENIA SHABAZZ. MOJA MATKA NAZYWAŁA SIĘ BABY GEE. BYŁA KOBIETĄ RASY BIAŁEJ, DIABŁEM".

Kim? Desdemona nie słyszała zbyt dokładnie. Nie mogła również zlokalizować źródła głosu. Zdawało się jej, że dochodzi z podłogi.

„MÓJ OJCIEC SPOTKAŁ JĄ NA WZGÓRZACH WSCHODNIEJ AZJI. ZOBACZYŁ DRZEMIĄCY W NIEJ POTENCJAŁ. POPROWADZIŁ JĄ ŚCIEŻKĄ CNOTY, AŻ STAŁA SIĘ ŚWIĘTĄ MUZUŁMANKĄ".

Desdemony nie intrygowało to, co ten głos mówił – nie rozumiała tego. Fascynowało ją brzmienie głosu, głęboki bas wywołujący brzęczenie w jej mostku. Przerwała swój taniec z jedwabiem. Schyliła głowę w chustce, aby lepiej słyszeć. I gdy głos zabrzmiał ponownie, zaczęła szukać jego źródła wśród bel jedwabiu.

„DLACZEGO MÓJ OJCIEC OŻENIŁ SIĘ Z BIAŁYM DIABŁEM? PONIEWAŻ WIEDZIAŁ, ŻE PRZEZNACZENIEM JEGO SYNA MIAŁO BYĆ SZERZENIE SŁOWA WŚRÓD ZAGUBIONYCH CZŁONKÓW PLEMIENIA SHABAZZ".

Trzy, cztery… pięć bel materiału i w końcu znalazła – kratka systemu ogrzewania. A głos stał się teraz donośniejszy.

„PONIEWAŻ CZUŁ, ŻE JA, JEGO SYN, POWINIENEM MIEĆ SKÓRĘ W TAKIM KOLORZE, ABY MÓC RÓWNIE SPRAWIEDLIWIE I SŁUSZNIE

TRAKTOWAĆ ZARÓWNO CZARNYCH, JAK I BIAŁYCH LUDZI. ZATEM JESTEM TU, MULAT, PODOBNIE JAK PRZEDE MNĄ MUSA, KTÓRY PRZYNIÓSŁ ŻYDOM PRZYKAZANIA".

Głos Proroka dochodził z głębi budynku. Jego źródło znajdowało się w sali trzy piętra niżej. Przesączał się w dół, przez zapadnię w scenie, przez którą podczas dawnych zjazdów właścicieli sklepów tytoniowych wyskakiwała dziewczyna Rondega, odziana tylko we wstążkę do cygar. Głos odbijał się w niskiej przestrzeni pod podłogą, rozchodził się do skrzydeł, skąd wchodził do szybu grzewczego i krążył po całym budynku, zniekształcany i odbijający się echem, aż wypływał gorący z kratki, nad którą kucała Desdemona.

„MOJE WYKSZTAŁCENIE, JAK RÓWNIEŻ PŁYNĄCA W MOICH ŻYŁACH KRÓLEWSKA KREW, MOGŁY MNIE SKŁONIĆ DO POSZUKIWANIA POZYCJI DAJĄCEJ MI WŁADZĘ, ALE USŁYSZAŁEM PŁACZ MOJEGO WUJA. BRACIA! USŁYSZAŁEM PŁACZ MOJEGO WUJA W AMERYCE".

Mogła dosłyszeć słaby akcent. Czekała na dalszy ciąg, ale nastała cisza. W twarz uderzył ją zapach z pieca. Nachyliła się niżej, nasłuchując. Ale następnym głosem, jaki usłyszała, był głos siostry Wandy na podeście:

– Hej tam! Des? Czekamy na ciebie!

Szybko odskoczyła od kratki.

Moja babka była jedyną białą osobą, która kiedykolwiek słyszała kazania W. D. Farda, a rozumiała mniej niż połowę tego, co mówił. Wynikało to ze słabej akustyki w szybie grzewczym, z niedostatecznej znajomości języka angielskiego oraz z tego, że co chwilę podnosiła głowę, aby sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi. Desdemona wiedziała, że nie wolno jej słuchać słów Farda. Przede wszystkim zależało jej na tym, aby nie stracić pracy. Ale nie było innego pomieszczenia, do którego mogłaby pójść.

Codziennie o pierwszej po południu kratka wentylacyjna zaczynała dudnić. Najpierw słyszała hałas osób wchodzących do sali zebrań. Następnie słychać było śpiewy. Przytoczyła dodatkowe bele jedwabiu do otworu, aby stłumić dźwięk. Przestawiła swoje krzesło do najdalszego kąta Jedwabnego Pokoju. Ale to nic nie pomagało.

„BYĆ MOŻE PAMIĘTACIE Z OSTATNIEGO KAZANIA, JAK WAM OPOWIADAŁEM O DEPORTACJI KSIĘŻYCA?"

– Nie, nie pamiętam – odpowiedziała Desdemona.

„SZEŚĆDZIESIĄT TRYLIONÓW LAT TEMU BÓG-UCZONY PRZEKOPAŁ TUNEL PRZEZ ZIEMIĘ, WYPEŁNIŁ GO DYNAMITEM I SPOWODOWAŁ WYBUCH, W WYNIKU KTÓREGO ZIEMIA ROZPADŁA SIĘ NA DWIE CZĘŚCI. MNIEJSZA Z TYCH CZĘŚCI STAŁA SIĘ KSIĘŻYCEM. CZY PAMIĘTACIE?”

Moja babka zasłoniła uszy dłońmi, widać było na jej twarzy, że nie chce tego słuchać. Ale przez jej wargi prześlizgnęło się pytanie:

– Ktoś wysadził Ziemię? Kto?

„DZIŚ CHCĘ WAM OPOWIEDZIEĆ O INNYM BOGU-UCZONYM. O ZŁYM UCZONYM, KTÓRY MIAŁ NA IMIĘ YACUB”.

Jej palce rozsuwają się, zezwalając, aby ten głos docierał do jej uszu…

„YACUB ŻYŁ OSIEM TYSIĘCY CZTERYSTA LAT TEMU W OBECNYM, TRWAJĄCYM DWADZIEŚCIA PIĘĆ TYSIĘCY LAT, CYKLU HISTORII. YACUB BYŁ OBDARZONY WYJĄTKOWO WIELKĄ CZASZKĄ. BYŁ MĄDRYM CZŁOWIEKIEM. WSPANIAŁYM CZŁOWIEKIEM. JEDNYM Z NAJWYBITNIEJSZYCH UCZONYCH NARODU ISLAMU. TO BYŁ CZŁOWIEK, KTÓRY ODKRYŁ TAJEMNICE MAGNETYZMU. GDY MIAŁ ZALEDWIE SZEŚĆ LAT, BAWIŁ SIĘ DWOMA KAWAŁKAMI STALI, TRZYMAŁ JE RAZEM I ODKRYŁ NAUKOWE PRAWO: MAGNETYZM”.

Dochodzący głos przyciągał Desdemonę właśnie jak magnes. Ciągnął jej dłonie w dół, wzdłuż jej boków. Powodował, że wychylała się na krześle do przodu…

„ALE YACUBOWI NIE WYSTARCZYŁO ODKRYCIE MAGNETYZMU. MAJĄC TAK DUŻĄ CZASZKĘ, MIAŁ RÓWNIEŻ WIELE INNYCH WSPANIAŁYCH POMYSŁÓW. I PEWNEGO DNIA YACUB POMYŚLAŁ SOBIE, ŻE JEŚLI UDAŁOBY MU SIĘ STWORZYĆ RASĘ LUDZI ZUPEŁNIE ODMIENNYCH OD PRAWDZIWYCH LUDZI – ODMIENNYCH POD WZGLĘDEM GENETYCZNYM – TA RASA MOGŁABY ZDOMINOWAĆ CZARNY NARÓD PRZEZ TRIKOLOGIĘ”.

…A gdy samo pochylanie się nie wystarczało, przybliżyła się. Przeszła przez pokój, odsunęła bele jedwabiu i uklękła przy kratce, słuchając dalszych wyjaśnień Farda:

„WSZYSCY CZARNI LUDZIE SĄ TWORZENI Z DWÓCH ZARODKÓW – Z CZARNEGO ZARODKA I Z BRĄZOWEGO ZARODKA. I YACUB PRZEKONAŁ PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ TYSIĘCY DZIEWIĘĆSET

DZIEWIĘĆDZIESIĘCIU DZIEWIĘCIU MUZUŁMANÓW, ABY WYEMIGROWALI NA WYSPĘ PELAN. WYSPA PELAN ZNAJDUJE SIĘ NA MORZU EGEJSKIM. MOŻNA JĄ ZNALEŹĆ NA EUROPEJSKICH MAPACH POD INNĄ NAZWĄ. NA TĘ WYSPĘ PRZYWIÓZŁ YACUB PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ TYSIĘCY DZIEWIĘĆSET DZIEWIĘĆDZIESIĘCIU DZIEWIĘCIU MUZUŁMANÓW. I TAM ZACZĄŁ PRZEPROWADZAĆ SWOJE SZCZEPIENIE".

Słyszała również inne dźwięki. Kroki Farda chodzącego po scenie. Trzeszczenie krzesełek pod słuchaczami nachylającymi się do przodu, aby nie uronić ani jednego słowa.

„W SWOICH LABORATORIACH NA WYSPIE PELAN YACUB UNIEMOŻLIWIŁ PRAWDZIWYM CZARNYM LUDZIOM ROZMNAŻANIE SIĘ. JEŚLI CZARNA KOBIETA RODZIŁA DZIECKO, ZABIJANO JE. YACUB POZWALAŁ ŻYĆ TYLKO BRĄZOWYM DZIECIOM. ZEZWALAŁ ŁĄCZYĆ SIĘ W ZWIĄZKI TYLKO LUDZIOM O BRĄZOWEJ SKÓRZE".

– Okropność – skomentowała Desdemona na trzecim piętrze. – To okropny człowiek, ten Yacub.

„SŁYSZELIŚCIE O TEORII NATURALNEJ SELEKCJI DARWINA? TO BYŁA NIENATURALNA SELEKCJA. PRZEZ TAKIE NAUKOWE SZCZEPIENIE YACUB WYPRODUKOWAŁ PIERWSZYCH ŻÓŁTYCH I CZERWONYCH LUDZI. ALE NIE POPRZESTAŁ NA TYM. DALEJ DOPROWADZAŁ DO ŁĄCZENIA SIĘ DZIECI LUDZI O JASNEJ SKÓRZE. PRZEZ WIELE, WIELE LAT GENETYCZNIE ZMIENIAŁ CZARNEGO CZŁOWIEKA, JEDNĄ GENERACJĘ NARAZ, DOPROWADZAJĄC DO TEGO, ŻE CZARNY CZŁOWIEK BYŁ BLEDSZY I SŁABSZY, ROZPUSZCZAJĄC JEGO PRAWOŚĆ I MORALNOŚĆ, SPROWADZAJĄC GO NA ŚCIEŻKI ZŁA. I WTEDY, MOI BRACIA, PEWNEGO DNIA YACUB OSIĄGNĄŁ SWÓJ CEL. PEWNEGO DNIA YACUB ZAKOŃCZYŁ SWOJĄ PRACĘ. I CO STWORZYŁA JEGO NIEGODZIWOŚĆ? JAK JUŻ WAM WCZEŚNIEJ MÓWIŁEM – NIEDALEKO PADA JABŁKO OD JABŁONI. YACUB STWORZYŁ BIAŁEGO CZŁOWIEKA! URODZONEGO NA KŁAMSTWIE. URODZONEGO NA ZABÓJSTWIE. RASĘ NIEBIESKOOKICH DIABŁÓW".

W innym pomieszczeniu Klasa Szkolenia i Ogólnego Wychowania dla Dziewcząt Muzułmańskich zajmowała się przygotowywaniem tac na jedwabniki. Dziewczęta pracowały w milczeniu, snując swoje rozmaite sny

na jawie. Ruby James myślała o tym, jak przystojny dziś rano był John 2X i zastanawiała się, czy pewnego dnia mogliby się pobrać. Darlene Wood czuła się urażona, ponieważ wszyscy bracia już pozbyli się swoich niewolniczych imion, ale pastor Fard nie zajął się jeszcze imionami dziewcząt i nadal nazywała się Darlene Wood. Lily Hale myślała wyłącznie o swojej nowej, ukrytej pod chustką, fryzurze z zakręconym na czole loczkiem i o tym, jak dziś wieczorem wystawi głowę przez okno sypialni, udając że sprawdza pogodę, aby mógł ją zobaczyć mieszkający obok Lubbock T. Hass. Betty Smith myślała: „Chwała Allachowi… Chwała Allachowi… Chwała Allachowi". Millie Little marzyła o gumie do żucia.

Tymczasem na górze, z twarzą rozpaloną od uderzającego z szybu gorącego powietrza, Desdemona zmagała się z nowym zwrotem akcji.

– Diabły? Wszyscy biali ludzie? – żachnęła się. Wstała z podłogi i otrzepała ubranie z kurzu. – Wystarczy. Nie mam zamiaru więcej słuchać tego szaleńca. Pracuję. Płacą mi. To wystarczy.

Ale następnego ranka ponownie była w świątyni. O pierwszej odezwał się głos i moja babka znowu zaczęła się przysłuchiwać:

„PORÓWNAJMY BIAŁĄ RASĘ I PRAWDZIWYCH LUDZI POD WZGLĘDEM FIZJOLOGICZNYM. KOŚCI BIAŁYCH, Z PUNKTU WIDZENIA ANATOMII, SĄ BARDZIEJ KRUCHE. KREW BIAŁYCH JEST RZADSZA. FIZYCZNIE BIALI SĄ MNIEJ WIĘCEJ TRZY RAZY SŁABSI OD CZARNYCH. CZY KTOŚ MOŻE TEMU ZAPRZECZYĆ? CZY MOŻECIE ZAPRZECZYĆ ŚWIADECTWU, JAKIE WIDZICIE NA WŁASNE OCZY?"

Desdemona spierała się z głosem. Wyśmiewała wypowiedzi Farda. Ale też każdego dnia posłusznie rozkładała jedwab przed kratką systemu ogrzewania, aby nie bolały ją kolana. Klękała i nachylała się nad samą kratką, przykładając do niej ucho, a jej czoło prawie dotykało podłogi.

– To po prostu szarlatan – powtarzała sobie. – Wszystkim zabiera pieniądze.

Ale nie poruszała się. Już po chwili system grzewczy zaczął dudnić najnowszymi rewelacjami.

Co się działo z Desdemoną? Czy ona, zawsze tak uległa wobec głębokiego głosu kapłanów, poddawała się wpływowi głosu bezcielesnego Farda? A może po prostu, po dziesięciu latach spędzonych w tym mieście, w końcu stała się obywatelką Detroit, a to oznaczało widzieć wszystko w kategoriach czerni i bieli?

Być może istnieje jeszcze inna ewentualność. Czy to poczucie winy, które dręczyło moją babkę, ten przesiąknięty malaryczną wilgocią lęk, jaki zalewał jej wnętrze – czy ten nieuleczalny wirus mógł spowodować, że otwarła się na wezwanie Farda? Dręczona poczuciem grzechu, być może odczuwała, że oskarżenia Farda mają swoją wagę? Czy brała do siebie jego potępienie rasowe?

Pewnego wieczoru zapytała Lefty'ego:

– Czy nie uważasz, że z dziećmi jest coś nie w porządku?

– Nie. Wszystko jest jak trzeba.

– Skąd wiesz?

– Wystarczy na nie spojrzeć.

– Co się z nami stało? Jak mogliśmy zrobić coś takiego?

– Nic nam się nie stało, przecież wszystko jest w porządku.

– Nie, Lefty. My – zaczęła płakać – nie jesteśmy dobrymi ludźmi.

– Dzieci są zdrowe. Jesteśmy szczęśliwi. To wszystko to już przeszłość.

Ale Desdemona rzuciła się na łóżko.

– Dlaczego ja cię posłuchałam? – łkała. – Dlaczego nie skoczyłam do wody, jak wszyscy inni!

Mój dziadek chciał ją objąć, ale go odtrąciła.

– Nie dotykaj mnie!

– Des, proszę…

– Szkoda, że nie zginęłam w pożarze! O, Boże! Dlaczego nie zginęłam w Smyrnie!

Zaczęła baczniej przyglądać się swoim dzieciom. Jak na razie, jeśli nie liczyć jednego drobnego przypadku – w wieku pięciu lat Milton nieomal nie umarł z powodu infekcji wyrostka sutkowego – oboje byli okazami zdrowia. Kiedy się skaleczyli, ich krew krzepła. Milton przynosił ze szkoły dobre oceny, Zoë powyżej średniej. Ale to nie uspokajało Desdemony. Nadal czekała, aż coś się wydarzy, jakaś choroba, jakaś anomalia. Obawiała się, że kara za jej zbrodnię zostanie wymierzona w najbardziej okrutny sposób – nie na jej własnej duszy, ale na ciałach jej dzieci.

Czuję zmiany, jakie zaszły w tym domu w miesiącach poprzedzających rok 1933. Chłód przenikający przez jego cegły w kolorze piwa korzennego, wdzierający się do pokojów i zdmuchujący wieczną lampkę w korytarzu. Zimny wiatr, jaki targał stronami sennika Desdemony, w którym

wyszukiwała wyjaśnienia swoich coraz bardziej koszmarnych snów. Snów o zarodkach dzieci pokrywających się pęcherzykami, dzielących się. O szkaradnych istotach powstających z sinej piany. Zupełnie unikała kochania się, nawet w lecie, nawet po trzech kieliszkach wina wypitych na czyjeś imieniny. Po pewnym czasie Lefty przestał nalegać. Moi dziadkowie, kiedyś tak nierozłączni, odsunęli się od siebie. Kiedy Desdemona szła rano do Świątyni Numer 1, Lefty spał po całonocnej pracy w barze. Znikał w piwnicy przed jej powrotem do domu.

Podążając za tym zimnym wiatrem wiejącym w porze babiego lata 1932 roku, żegluję po schodach do piwnicy, w której znajduję rankiem mojego dziadka przeliczającego pieniądze. Odcięty od ciepła uczuć żony, Lefty Stephanides zajął się pracą. Nastąpiły jednak pewne zmiany w prowadzonych przez niego interesach. W związku ze spadkiem liczby klientów w barze dziadek rozszerzył zakres swojej działalności.

Mamy wtorek, właśnie minęła ósma rano. Desdemona wyszła do pracy. W oknie od ulicy znika figurka świętego Jerzego. Do chodnika podjeżdża stary daimler. Lefty pospiesznie wychodzi z domu i siada na tylnym siedzeniu samochodu.

Oto nowi współpracownicy mojego dziadka. Na przednim siedzeniu dwudziestosześcioletnia Mabel Reese z Kentucky, z upudrowanymi policzkami. Z jej fryzury dolatuje lekki zapach spalenizny po porannym karbowaniu włosów na żelazku.

– W Paducah – opowiada kierowcy – jest taki głuchy facet, który ma aparat fotograficzny. On tylko chodzi tam i z powrotem nad rzeką i robi zdjęcia. Robi same niebywałe rzeczy.

– To tak jak ja – odpowiada kierowca. – Tylko że ja mam z tego pieniądze.

Maurice Plantagenet uśmiecha się do Mabel i rusza Jefferson Avenue. Na tylnym siedzeniu leży jego skrzynkowy aparat fotograficzny Kodaka. Zdaniem Plantageneta, lata przed powołaniem agencji WPA nie sprzyjały jego artystycznym inklinacjom. Jadąc w kierunku Belle Isle, wygłasza im rozprawę o historii fotografii, o tym, jak została wynaleziona przez Nicéphore'a Niepce'a, i jak cała zasługa przypadła Daguerre'owi. Opisuje pierwszą fotografię człowieka, scenę paryskiej ulicy wykonaną przy tak długim czasie naświetlania, że na fotografii nie widać było żadnego

z szybko poruszających się przechodniów oprócz jednej samotnej postaci, która zatrzymała się, aby wypolerować buty.

– Ja też chcę się znaleźć w podręczniku historii. Ale nie sądzę, żeby to był właściwy sposób.

Po wjeździe na Belle Isle Plantagenet kieruje daimlera wzdłuż Central Avenue. Jednak nie zmierza w stronę Strand, ale skręca w niewielki zjazd prowadzący do gruntowej drogi kończącej się w polu. Zatrzymuje samochód i wszyscy wysiadają. Plantagenet ustawia aparat w odpowiednim świetle, a Lefty zajmuje się automobilem. Za pomocą swojej chusteczki poleruje szprychy kołpaków i reflektory, kopniakiem zrzuca błoto ze stopnia nadwozia, czyści wszystkie szyby. Plantagenet oznajmia:

– Maestro jest gotowy.

Mabel Reese zdejmuje płaszcz. Pod spodem ma tylko gorset i pas do pończoch.

– Gdzie mam stanąć?

– Ułóż się na masce.

– W ten sposób?

– Tak. Dobrze. Przytul twarz do maski. Rozchyl nieco nogi.

– Czy tak?

– Tak. Odwróć głowę i patrz w aparat. Dobrze, uśmiechnij się. Jakbyś patrzyła na swojego chłopaka.

Tak było co tydzień. Plantagenet robił zdjęcia. Mój dziadek załatwiał modelki. Nie było problemów ze znalezieniem dziewcząt. Co wieczór przychodziły do baru. Podobnie jak wszyscy, potrzebowały pieniędzy. Plantagenet sprzedawał fotografie dystrybutorowi w śródmieściu i przekazywał Lefty'emu procent od sprzedaży. Pomysł był prosty: kobiety w bieliźnie, w różnych pozach w samochodzie. Skąpo odziane dziewczyny zwinięte w kłębek na tylnym siedzeniu lub siedzące z obnażonymi piersiami na przednim albo zgięte wpół przy naprawianiu pękniętej opony. Zazwyczaj na zdjęciu była jedna dziewczyna, ale zdarzało się, że były dwie. Plantagenet wydobywał harmonię krzywizny pośladków i zderzaka, wzoru gorsetu i tapicerki, pasa do pończoch i pasa w wentylatorze. Pomysł wyszedł od mojego dziadka. Pamiętając o ukrytym skarbie swojego ojca, o Sermin, Dziewczynie ze Świątyni Przyjemności, wpadł na pomysł przeniesienia starego ideału w nowe realia. Czasy

haremów dawno odeszły już w przeszłość. Nadeszła epoka samochodu! Samochody były dzisiejszymi świątyniami przyjemności. Dzięki nim przeciętny człowiek przeobrażał się w sułtana szerokiej szosy. Fotografie Plantageneta przywodziły na myśl pikniki w odludnych miejscach. Dziewczyny drzemiące na stopniach nadwozia lub schylone i wyciągające z bagażnika łyżkę do opon. W samym środku kryzysu, gdy ludzie nie mieli pieniędzy na jedzenie, mężczyźni potrafili znaleźć pieniądze na auto mobilową erotykę Plantageneta. Fotografie przynosiły Lefty'emu stały dodatkowy dochód. Zaczął oszczędzać pieniądze, które później otworzyły przed nim nowe możliwości.

Od czasu do czasu na pchlim targu lub w albumach z fotografiami napotykam jakieś stare zdjęcia Plantageneta, zazwyczaj błędnie opisywane jako pochodzące z lat dwudziestych, w związku z pojawiającym się na nich daimlerem. Sprzedawane w czasach kryzysu za pięć centów, dziś o wartości przekraczającej sześćset dolarów. „Artystyczna" działalność Plantageneta zupełnie już została zapomniana, ale jego erotyczne studia kobiet i samochodów nadal cieszą się popularnością. Do podręczników historii weszły jego prace nie z okresu, gdy tworzył, ale z czasów, kiedy sądził, że się kompromituje. Przeglądając zawartość koszyków na targu, patrzę na te kobiety, na ich zgrabnie dobrane pończoszki, ich krzywe uśmiechy. Patrzę w twarze, w które przed laty patrzył mój dziadek, i zadaję sobie pytanie: dlaczego Lefty przestał szukać dziewczyn o twarzach swojej siostry i zaczął poszukiwać innych, blondynek o wąskich wargach, gangsterskich dziewczyn z wyzywającymi tyłeczkami? Czy te modelki interesowały go wyłącznie ze względów finansowych? Czy wiejący przez jego dom chłodny wiatr spowodował, że zaczął szukać ciepła w innych miejscach? A może również jego zaczęło dręczyć poczucie winy i aby oderwać się od tego, co zrobił, zajął się tymi różnymi dziewczętami o imionach Mabel, Lucy czy Dolores?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na te pytania, powrócę zatem do Świątyni Numer 1, w której neofici sprawdzają wskazania kompasów. Kompasy mają kształt łezki, są białe z czarnymi znakami, a w środku mieszczą rysunek kamienia z Kaaba. Wciąż jeszcze niezbyt dobrze rozumiejąc, na czym polegają obowiązki nakładane na nich przez ich nową wiarę, mężczyźni modlą się o różnych porach dnia. Ale mają przynajmniej te kompasy, kupione od tej samej dobrej siostry, która sprzedawała

ubrania. Mężczyźni kręcą się w kółko, krok po kroczku, aż igły kompasów wskażą 34, numer zakodowany dla Detroit. Sprawdzają strzałkę na obrzeżu, aby określić kierunek do Mekki.

„PRZEJDŹMY TERAZ DO KRANIOMETRII. CZYM JEST KRANIOMETRIA? JEST TO NAUKOWY POMIAR MÓZGU, CZYLI TEGO, CO W ŚWIECIE MEDYCZNYM OKREŚLA SIĘ TERMINEM »SUBSTANCJI SZAREJ«. MÓZG PRZECIĘTNEGO BIAŁEGO CZŁOWIEKA WAŻY 180 GRAMÓW. MÓZG PRZECIĘTNEGO CZARNEGO CZŁOWIEKA WAŻY 225 GRAMÓW".

Fard nie przemawia z ogniem, jak kaznodzieja baptystyczny, jego oracje nie wydobywają się z samego wnętrza, ale dla zrażonych chrześcijan (i jednej wyznawczyni prawosławia), którzy byli jego słuchaczami, jest to zaletą. Mają już dość świętych kazań, wykrzykiwania i ocierania potu z brwi, zachrypłego oddechu. Mają już dosyć religii niewolników, za pomocą której biały człowiek przekonuje czarnych o tym, że służalczość prowadzi do świętości.

„ALE JEST JEDNA RZECZ, W KTÓREJ BIAŁA RASA PRZEWYŻSZA PRAWDZIWYCH LUDZI. MOCĄ PRZEZNACZENIA I PRZEZ JEJ GENETYCZNE PROGRAMOWANIE BIAŁA RASA GÓRUJE W TRIKOLOGII. CZY MAM WAM O TYM MÓWIĆ? TO JUŻ PRZECIEŻ WIECIE SAMI. DZIĘKI TRIKOLOGII EUROPEJCZYCY PRZYWIEŹLI PRAWDZIWYCH LUDZI Z MEKKI I Z INNYCH CZĘŚCI WSCHODNIEJ AZJI. W 1555 ROKU HANDLARZ NIEWOLNIKÓW JOHN HAWKINS PRZYWIÓZŁ PIERWSZYCH CZŁONKÓW PLEMIENIA SHABAZZ NA BRZEG TEGO KRAJU. 1555. NAZWA STATKU? JEZUS. TO JEST OPISANE W PODRĘCZNIKACH HISTORII. MOŻECIE PÓJŚĆ DO BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W DETROIT I TO SPRAWDZIĆ.

CO SIĘ STAŁO Z PIERWSZYM POKOLENIEM PRAWDZIWYCH LUDZI PRZYWIEZIONYCH DO AMERYKI? BIAŁY CZŁOWIEK WYMORDOWAŁ ICH. PRZY UŻYCIU TRIKOLOGII. ZAMORDOWAŁ ICH W TAKI SPOSÓB, ŻE ICH DZIECI DORASTAŁY, NIE ZNAJĄC SWOJEGO NARODU, NIE ZNAJĄC SWOJEJ PRZESZŁOŚCI I NIE WIEDZĄC, SKĄD POCHODZĄ. JESTEŚCIE POTOMKAMI TYCH DZIECI, POTOMKAMI TYCH BIEDNYCH SIEROT. TYM WŁAŚNIE JESTEŚCIE WY, STOJĄCY W TYM POMIESZCZENIU. I WSZYSCY TAK ZWANI MURZYNI W GETTACH CAŁEJ AMERYKI. PRZYBYŁEM, ABY POWIEDZIEĆ WAM, KIM

JESTEŚCIE. JESTEŚCIE ZAGUBIONYMI CZŁONKAMI PLEMIENIA SHABAZZ".

Nie pomagała jazda przez Czarne Dno. Desdemona uświadomiła sobie, dlaczego na ulicach było tyle śmieci – miasto ich nie zbierało. Biali właściciele domów, nie dbając o popadające w ruinę kamienice, ciągle podnosili czynsze. Pewnego dnia Desdemona zobaczyła, jak biała sprzedawczyni nie chciała wziąć drobnych z ręki Murzynki.

– Połóż na ladzie – powiedziała.

„Nie chciała dotknąć ręki tej kobiety!" I w tych dniach, w których tak bardzo poczuwała się do swojej winy, a jej umysł wypełniały teorie Farda, moja babka zaczęła odnajdywać w tym jakiś sens. Całe miasto aż roiło się od niebieskookich diabłów. Stare greckie porzekadło mówiło: „Ruda broda i niebieskie oczy zwiastują diabła". Moja babka miała oczy piwne, ale wcale przez to nie czuła się lepiej. Jeśli ktoś miał być diabłem, to właśnie ona. Nic nie mogła zrobić, aby zmienić istniejącą sytuację. Ale mogła uczynić coś, co zapewni, że taka sytuacja się już nie powtórzy. Poszła do doktora Philoboshiana.

– To bardzo drastyczne rozwiązanie, Desdemono – powiedział jej doktor.

– Chcę mieć pewność.

– Ale jesteś jeszcze młodą kobietą.

– Nie, doktorze, już nie – powiedziała moja babka słabym głosem. – Mam osiem tysięcy czterysta lat.

Dnia 21 listopada 1932 roku w *Detroit Times* pojawił się następujący nagłówek: „Ofiara z człowieka złożona na ołtarzu". Poniżej zamieszczono artykuł: „Setka zwolenników murzyńskiego przywódcy kultowego, który został aresztowany pod zarzutem składania ofiar z ludzi na prymitywnym ołtarzu w swoim domu, została dzisiaj zatrzymana w celu złożenia zeznań. Samozwańczym królem Zakonu Islamu jest Robert Harris, wiek 44 lata, zamieszkały przy Dubois Ave. 1429. Jak sam przyznał, swoją ofiarę bił ośką samochodową, a następnie wbił w jej serce srebrny nóż. Ofiarą brutalnego mordu był James J. Smith, lat 40, czarny lokator domu Harrisa". Ten Harris, znany później jako „zabójca voodoo", kręcił się wokół Świątyni Numer 1. Być może przeczytał wykład Farda pod tytułem „Zagubiony-Odnaleziony Muzułmanin, Lekcja Numer 1 i 2", w którym znajdował się

taki oto fragment: „WSZYSCY MUZUŁMANIE BĘDĄ MORDOWAĆ DIABŁA, GDYŻ WIEDZĄ, ŻE JEST ON WĘŻEM I JEŚLI ZOSTAWIĄ GO PRZY ŻYCIU, MOŻE UKĄSIĆ KOGOŚ INNEGO". Wtedy Harris założył własny zakon. Zaczął poszukiwać (białego) diabła, ale że trudno było takiego znaleźć w okolicy, zabrał się za pierwszego lepszego diabła, jakiego miał pod ręką.

Trzy dni później został aresztowany Fard. Podczas przesłuchań uparcie twierdził, że nigdy nikogo nie namawiał do składania ofiar z ludzi. Utrzymywał, że sam jest „najwyższą istotą na ziemi". (Przynajmniej tak mówił na pierwszym przesłuchaniu. Gdy kilka miesięcy później został aresztowany po raz drugi, „przyznał", według raportu policyjnego, że Naród Islamu był tylko „jednym wielkim oszustwem". Sam wymyślił wszystkie proroctwa i całą kosmologię, „aby zebrać jak najwięcej pieniędzy"). Bez względu na to, jak wyglądała prawda, skończyło się na tym, że w zamian za odstąpienie od wszelkich oskarżeń, Fard zgodził się opuścić Detroit raz na zawsze.

Tak dotarliśmy do maja 1933 roku. I do Desdemony żegnającej się z Klasą Szkolenia i Ogólnego Wychowania dla Dziewcząt Muzułmańskich. Zapłakane twarze zawinięte w chustki. (Mojej babce będzie brakować tych dziewcząt. Bardzo je polubiła).

– Moja matka mówiła mi, że w złym czasie gąsienice nie przędą – mówi. – Robią zły jedwab. Robią złe kokony.

Dziewczęta wierzą w prawdziwość tego stwierdzenia i badawczo przyglądają się nowo wyklutym gąsienicom, szukając oznak rozpaczy.

W Jedwabnym Pokoju wszystkie półki są opróżnione. Fard Muhammad przekazał władzę nowemu przywódcy. Brat Karriem, uprzednio znany jako Elijah Poole, to teraz Elijah Muhammad, Główny Pastor Narodu Islamu. Elijah Muhammad ma odmienną wizję gospodarczej przyszłości Narodu. Od teraz będą zajmować się nieruchomościami, a nie ubraniami.

Desdemona schodzi po schodach, zbierając się do domu. Schodzi na parter i odwraca się, aby spojrzeć na hol. Pierwszy raz wejście do holu nie jest strzeżone przez Owoce Islamu. Zasłony są odsunięte. Desdemona wie, że powinna wyjść tylnymi drzwiami, ale w tej chwili nie ma już nic do stracenia i rusza w kierunku głównego wejścia. Podchodzi do podwójnych drzwi i rozsuwa je, wchodząc do *sanctum sanctorum*.

Przez pierwsze piętnaście sekund stoi nieruchomo, a w tym czasie rzeczywisty wygląd tego pomieszczenia powoli zastępuje jej wyobrażenie o nim. Spodziewała się niebotycznej kopuły, wielobarwnego tureckiego dywanu z Ezine, ale to pomieszczenie wygląda jak zwykła sala zebrań. Niewielka scena na jednym końcu, wzdłuż ścian składane krzesła. W ciszy chłonie ten widok. I nagle, jeszcze raz, słyszy ten sam głos:

– Witaj, Desdemono.

Na pustej scenie, za mównicą, stoi Prorok, Mahdi, Fard Muhammad. Widać tylko zarys jego sylwetki, wysmukłej i eleganckiej, w kapeluszu ocieniającym twarz.

– Nie powinnaś tu wchodzić – mówi. – Ale sądzę, że dziś to już nikomu nie przeszkadza.

Desdemona, której serce podeszło do gardła, z trudem zadaje pytanie:

– Skąd znasz moje imię?

– Nie słyszałaś? Ja wiem wszystko.

Gdy niski głos Farda Muhammada dochodził do niej przez szyb grzewczy, powodował, że czuła drżenie w splocie słonecznym. Teraz, gdy stoi tak blisko, penetruje całe jej ciało. Drżenie przechodzi po rękach, aż czuje mrowienie w czubkach palców.

– Jak się ma Lefty?

To pytanie zupełnie wytrąca Desdemonę z równowagi. Stoi oniemiała. W głowie tłoczy się jej wiele myśli naraz, ale przede wszystkim zastanawia się, skąd Fard zna imię jej męża, czy mówiła o nim kiedyś siostrze Wandzie?... I po drugie, jeśli to prawda, że on wie wszystko, to oznaczałoby, że cała reszta rzeczy, które mówił, też musi być prawdą – o niebieskookim diable, o złym uczonym i o Samolocie Matce, który nadleci z Japonii, aby zniszczyć świat i zabrać muzułmanów z sobą. Opanowuje ją uczucie przerażenia, ale jednocześnie zaczyna sobie coś przypominać, zdaje się jej, że już kiedyś wcześniej słyszała ten głos...

Fard Muhammad wychodzi zza mównicy, przechodzi przez scenę i z niej schodzi. Podchodzi do Desdemony, nie ustając w prezentacji swojej wszechwiedzy.

– Dalej prowadzi nielegalną knajpę? Ten interes już długo nie pociągnie. Lefty powinien rozglądnąć się za czymś innym. – W przekrzywionym kapeluszu, starannie pozapinanym garniturze i z twarzą ukrytą w cieniu,

Mahdi zbliża się do niej. Chciałaby czmychnąć stąd, ale nie potrafi wykonać ruchu.

– A jak się mają dzieci? – pyta Fard. – Milton ma już chyba osiem lat?

Jest już tylko trzy metry od niej. Serce Desdemony bije jak oszalałe, a Fard Muhammad zdejmuje kapelusz, ukazując swoje oblicze. Na twarzy Proroka widać uśmiech.

Z pewnością już odgadliście. Tak, to jest Jimmy Zizmo.

– *Mana!*

– Witaj, Desdemono.

– Ty?

– A któż by inny?

Patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

– Myśleliśmy, że zginąłeś! W samochodzie. W jeziorze.

– Jimmy zginął.

– Ale to ty jesteś Jimmy – mówiąc te słowa, Desdemona uświadamia sobie całą sytuację wraz z jej konsekwencjami, i zaczyna go ganić. – Dlaczego zostawiasz żonę i dziecko? Co się z tobą dzieje?

– Jestem odpowiedzialny jedynie za moich ludzi.

– Za jakich ludzi? Za *mavros*?

– Prawdziwych Ludzi – Desdemona nie wie, czy on mówi poważnie, czy też nie.

– Dlaczego nie lubisz białych ludzi? Dlaczego nazywasz ich diabłami?

– Spójrz tylko na dowody. To miasto. Ten kraj. Nie zgadzasz się ze mną?

– Wszędzie są jakieś diabły.

– Zwłaszcza w domu przy Hurlbut Street.

Chwila przerwy, po której Desdemona ostrożnie pyta:

– Co masz na myśli?

Fard (lub Zizmo) znowu się uśmiecha.

– Wiele rzeczy, które wcześniej były przede mną ukryte, zostało mi objawionych.

– Co było ukryte?

– Moja tak zwana żona, Sourmelina, jest kobietą o, powiedzmy, nieposkromionym apetycie. A ty i Lefty? Sądzicie, że udało się wam mnie oszukać?

– Jimmy, proszę.

– Nie nazywaj mnie tak. To nie jest moje imię.

– O co chodzi? Przecież jesteś moim szwagrem.

– Nie znasz mnie! – krzyknął. – Nigdy mnie nie znałaś! – Po chwili się uspokaja. – Nigdy nie wiedziałaś, kim jestem ani skąd pochodzę.

Mówiąc te słowa, Mahdi mija moją babkę, przechodzi przez hol i znika za podwójnymi drzwiami, a równocześnie z naszego życia.

Desdemona nie widziała ostatniego aktu tej historii. Jest on jednak dokładnie udokumentowany. Najpierw Fard ściskał ręce Owoców Islamu. Młodzi mężczyźni powstrzymywali łzy, żegnając się z nim. Następnie przeszedł przez tłum stojący przed Świątynią Numer 1 do swojego chryslera coupe zaparkowanego przy chodniku. Wszedł na stopień nadwozia. Wszyscy z obecnych twierdzili później, że Mahdi przez cały czas utrzymywał z nimi kontakt wzrokowy. Kobiety płakały rzewnymi łzami, błagając, aby nie odchodził. Fard Muhammad zdjął kapelusz i przycisnął go do piersi. Spojrzał na wszystkich z góry i powiedział:

– Nie martwcie się. Pozostaję z wami.

Podniósł kapelusz w geście, którym ogarniał całą dzielnicę, to getto z jego nędznymi werandami, niebrukowanymi ulicami i smętnie wiszącym praniem.

– Wkrótce do was wrócę, aby wyprowadzić was z tego piekła – następnie Fard Muhammad wsiadł do chryslera, włączył silnik i uspokajająco uśmiechając się na pożegnanie, odjechał.

Fard Muhammad już nigdy więcej nie pojawił się w Detroit. Przeszedł do historii jako dwunasty imam szyitów w Detroit. Zgodnie z pewnym raportem, znalazł się na liniowcu transoceanicznym, zmierzającym w 1934 roku do Londynu. Jak podały gazety w Chicago w 1959 roku, W. D. Fard był „nazistowskim agentem pochodzenia tureckiego" i skończył pracując dla Hitlera podczas drugiej wojny światowej. Według teorii spiskowej, w jego śmierć zamieszana była policja lub FBI. Każdy może snuć swoje teorie. Fard Muhammad, mój dziadek ze strony matki, powrócił w nicość, z której przybył.

Jeśli chodzi o Desdemonę, to jej spotkanie z Fardem wpłynęło na drastyczną decyzję, którą podjęła mniej więcej w tym samym czasie. Niedługo po zniknięciu Proroka moja babka przeszła zupełnie nowy, jak na owe czasy, zabieg medyczny. Chirurg wykonał dwa nacięcia poniżej jej pępka. Po rozsunięciu tkanki i mięśni odkrył jajowody, zawiązał je na kokardkę i nie było już więcej dzieci.

Serenada na klarnecie

Mieliśmy naszą randkę. Przyjechałem po Julie do jej atelier w Kreuzbergu. Chciałem zobaczyć jej prace, ale mi nie pozwoliła. Poszliśmy więc na kolację do restauracji o nazwie „Austria".

„Austria" wygląda jak domek myśliwski. Na wszystkich ścianach wiszą poroża jeleni – pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt par. Są śmiesznie małe, jakby należały do zwierząt, które można zabić gołymi rękami. W restauracji panuje półmrok, jest tu ciepło, czuje się klimat lasu i ogólnie jest w niej bardzo przyjemnie. Ktoś, komu nie podobałoby się takie miejsce, mnie też by się nie podobał. Julie się podobało.

– Jeśli nie chcesz pokazać mi swoich prac – powiedziałem, gdy usiedliśmy – to przynajmniej opowiedz mi, czym się zajmujesz.

– Fotografią.

– Pewnie nie powiesz mi, co fotografujesz?

– Najpierw się napijmy.

Julie Kikuchi ma trzydzieści sześć lat, a wygląda na dwadzieścia sześć. Jest niska, ale nie mała. Jest zuchwała, ale nie nieokrzesana. Chodziła kiedyś do terapeuty, ale przestała. Jej prawa ręka jest częściowo artretyczna, na skutek wypadku w windzie. Długotrwałe trzymanie aparatu fotograficznego powoduje ból.

– Potrzebuję asystenta – powiedziała mi. – Albo nowej ręki.

Ma niezbyt czyste paznokcie. Prawdę mówiąc, ma najbardziej zabrudzone paznokcie, jakie kiedykolwiek widziałem u tak pięknej, ślicznie pachnącej osoby.

Piersi działają na mnie tak, jak na wszystkich z moim poziomem testosteronu.

Przetłumaczyłem Julie menu i złożyliśmy zamówienie. Po chwili pojawiły się półmiski z gotowaną wołowiną, sosjerki z sosem pieczeniowym i salaterki z czerwoną kapustą, knedle wielkie jak piłki do

softballu. Rozmawialiśmy o Berlinie i o różnicach między europejskimi krajami. Julie opowiedziała mi historię z Barcelony, jak to po godzinach zwiedzania została zamknięta ze swoim chłopakiem w Parque Güell. „Tak" – pomyślałem. „Jak zwykle. Najpierw jeden jej chłopak, a zaraz potem kolejni. Wszyscy przewiną się przez nasz stolik, przedstawiając swoje wady, opowiadając o swoich nałogach, o zdradzonych uczuciach. Później przyjdzie czas na mnie, na zaprezentowanie mojej własnej mizernej galerii dziewczyn". I to jest właśnie słaby punkt moich pierwszych randek. Brak mi danych. Jak na mężczyznę w moim wieku, mam ich zdecydowanie za mało. Kobiety to wyczuwają i w ich oczach zaczyna pojawiać się dziwne, pytające spojrzenie. A ja w takim momencie zaczynam się wycofywać, jeszcze zanim podadzą deser…

Ale z Julie było inaczej. Chłopak pojawił się w Barcelonie, ale zaraz potem znikł. Nie pojawił się żaden inny. Z pewnością przyczyną nie było to, że nie było żadnych innych. Wynikało to stąd, że Julie nie polowała na męża i w związku z tym nie musiała przeprowadzać ze mną rozmowy kwalifikacyjnej.

Lubię Julie Kikuchi. Bardzo ją lubię.

Pojawiają się moje typowe pytania. Czego ona oczekuje? Jak by zareagowała, gdyby? Czy mam jej to powiedzieć? Nie. Jeszcze za wcześnie. Nawet się nie pocałowaliśmy. A w tej chwili muszę się skupić na innym romansie.

Zaczynamy w letni wieczór w 1944 roku. Theodora Zizmo, przez wszystkich nazywana Tessie, maluje sobie paznokcie u nóg. Siedzi na tapczaniku w pensjonacie O'Toole, ze stopami opartymi na poduszce i z wacikami włożonymi między palce u stóp. W pokoju pełno jest więdnących kwiatów oraz różnych drobiazgów jej matki: widać pootwierane kosmetyki, rzucone w kąt pończochy, książki teozoficzne, bombonierkę, również otwartą i pełną pustych papierków, a także kilka nadgryzionych i odłożonych czekoladek z nadzieniem. W pobliżu Tessie jest jednak schludniej. Pióra i ołówki równo ustawione w kubkach. Między mosiężnymi podpórkami na książki (w kształcie miniaturowych popiersi Szekspira) znajdują się powieści kupowane przez nią na wyprzedażach.

Stopy dwudziestoletniej Tessie Zizmo: rozmiar trzydzieści pięć, blade, ze śladami niebieskich żyłek, czerwone paznokcie rozpostarte jak oczka na

pawim ogonie. Przygląda się im surowym wzrokiem, sprawdzając jeden po drugim, i zauważa, że komar, zwabiony zapachem olejku na jej nogach, usiadł na paznokciu dużego palca i przykleił się tam.

– No, nie – mówi Tessie. – Przeklęty robal!

Znowu zabiera się do pracy, zdejmuje komara i ponownie nakłada lakier.

Właśnie tego wieczoru, podczas drugiej wojny światowej, ma się rozpocząć serenada. Już za kilka minut. Jeśli dobrze się wsłuchać, można usłyszeć, jak z lekkim skrzypieniem otwiera się okno, a do ustnika instrumentu dętego drewnianego wkładany jest nowy stroik. Nadciąga muzyka, która wszystko rozpocznie i od której, można powiedzieć, zależy moje istnienie. Ale zanim melodia rozbrzmi pełnym głosem, omówię pokrótce, co wydarzyło się przez te ostatnie jedenaście lat.

Przede wszystkim skończyła się prohibicja. W 1933 roku, po ratyfikacji przez wszystkie stany, weszła w życie dwudziesta pierwsza poprawka do konstytucji, jednocześnie znosząc poprawkę osiemnastą. Na odbywającym się w Detroit zjeździe organizacji American Legion, Julius Stroh usunął szpunt z pozłacanej beczki piwa Stroh's Bohemian. Zrobiono fotografię prezydenta Roosevelta popijającego koktajl w Białym Domu. A przy Hurlbut Street mój dziadek, Lefty Stephanides, zdjął skórę zebry, rozebrał swój podziemny nielegalny bar i ponownie wynurzył się na światło dzienne.

Z pieniędzy zaoszczędzonych z automobilowej erotyki wpłacił pierwszą ratę na budynek przy Pingree Street, zaraz obok West Grand Boulevard. Ten naziemny bar „Zebra" był zarazem barem i restauracją, w której sprzedawano mięso z rusztu, a znajdował się przy ruchliwej handlowej ulicy. Sąsiednie sklepy i zakłady istniały jeszcze za czasów mojego dzieciństwa. Pamiętam je jak przez mgłę: zakład optyczny A. A. Lauriego, z neonem w kształcie okularów, sklep odzieżowy New Yorker, na którego witrynie po raz pierwszy zobaczyłem nagie manekiny tańczące mordercze tango. Dalej był sklep mięsny Value Meats, sklep rybny Hagermosera i salon fryzjerski „Piękna Fryzura". Na samym rogu stał nasz wąski, jednopiętrowy budynek, z którego sterczała nad chodnikiem głowa zebry. W nocy migoczący czerwony neon podkreślał zarys jej pyska, karku i uszu.

Klientela składała się głównie z pracowników zakładów motoryzacyjnych. Przychodzili po pracy. Często przychodzili również

przed pracą. Lefty otwierał bar o ósmej rano, a o ósmej trzydzieści stołki barowe były zajęte przez mężczyzn, którzy przybywali, aby wprawić się w lepszy nastrój przed pójściem do pracy. Podając im piwo, Lefty dowiadywał się, co się dzieje w mieście. W 1935 roku jego klienci świętowali utworzenie związku zawodowego United Auto Workers. Dwa lata później przeklinali uzbrojonych strażników z zakładów Forda, którzy pobili ich przywódcę, Waltera Reuthera, podczas starcia na kładce prowadzącej do bramy fabryki River Rouge. W czasie tych dyskusji mój dziadek zachowywał bezstronność. Jego zadaniem było słuchać, kiwać głową, nalewać drinki i się uśmiechać. Nic nie powiedział w 1943 roku, gdy rozmowy przy barze zaczęły przybierać groźny ton. Pewnej sierpniowej niedzieli na Belle Isle doszło do starć między czarnymi i białymi.

– Jakiś czarnuch zgwałcił białą kobietę – powiedział jeden z klientów. – Teraz wszystkie czarnuchy za to zapłacą. Przekonasz się.

W poniedziałek rano trwały już zamieszki na tle rasowym. Ale kiedy do baru weszła grupa mężczyzn przechwalających się, że pobili Murzyna na śmierć, mój dziadek nie chciał ich obsłużyć.

– Wracaj lepiej do swojego kraju – krzyknął jeden z nich.

– Tu jest mój kraj – odpowiedział Lefty i na dowód tego wykonał bardzo amerykański gest: sięgnął pod kontuar i wyciągnął pistolet.

Te konflikty to już daleka przeszłość – przynajmniej dla malującej paznokcie Tessie. Przesłonił je dużo poważniejszy konflikt. W 1944 roku w Detroit przestawiono produkcję we wszystkich zakładach samochodowych. Z linii montażowej na Willow Run nie zjeżdżają już fordy sedany, ale bombowce B-24. W Chryslerze produkują czołgi. Przemysłowcy w końcu znaleźli lekarstwo na zastój w gospodarce – wojnę. Motor City, które jeszcze wtedy nie zyskało dodatkowego przydomku Motown, staje się na pewien czas „Arsenałem Demokracji". A w pensjonacie przy Cadillac Boulevard Tessie Zizmo maluje paznokcie u nóg i słyszy dochodzące dźwięki klarnetu.

W wilgotnym powietrzu rozbrzmiewa wielki przebój Artie Shawa *Begin the Beguine*. Powoduje, że wiewiórki zamierają na drutach telefonicznych, nastawiając uszu, aby lepiej słyszeć. Szeleści liśćmi jabłoni i zaczyna kręcić kurkiem na dachu. Niesiona szybkim rytmem i wirującą melodyką, *Begin the Beguine* wznosi się nad kuchennymi ogródkami warzywnymi założonymi podczas wojny z powodu ograniczeń żywnościowych, nad

meblami ogrodowymi, żywopłotami pełnymi jeżyn i huśtawkami na werandach; przeskakuje przez ogrodzenie na podwórze za pensjonatem O'Toole, wstępując na teren rekreacyjnych zajęć męskich mieszkańców pensjonatu – pas do gry w kręgle na trawie, jakieś zapomniane młotki krokietowe – a następnie melodia wspina się po strzępiastym bluszczu porastającym ceglaną fasadę, obok okien, za którymi kawalerowie drzemią, drapią się po brodzie lub, jak na przykład pan Danelikov, opracowują zagadki szachowe; wznosi się coraz wyżej – najlepsze i najbardziej ukochane nagranie Artie Shawa z 1939 roku, które wciąż jeszcze można usłyszeć przez radio w całym mieście, muzyka tak świeża i żywa, że zdaje się gwarantować czystość sprawy amerykańskiej oraz końcowy triumf aliantów, aż w końcu dociera również tutaj, wchodzi przez otwarte okno pokoju Theodory, podczas gdy ona rozkłada palce u stóp, aby paznokcie wyschły. Słysząc tę muzykę, moja matka odwraca się w kierunku okna i uśmiecha się.

Źródłem tej muzyki był nie kto inny jak Brylantowany Orfeusz, który mieszkał w budynku stojącym bezpośrednio za pensjonatem. Milton Stephanides, dwudziestoletni student college'u, stał w oknie swojej sypialni, zwinnie przebierając palcami po klarnecie. Ubrany był w mundur skautowski. Z podniesionym podbródkiem, rozstawionymi na zewnątrz łokciami, poruszając w rytm muzyki prawym kolanem, wyzwalał swoją pieśń miłosną w ten letni dzień, grając z żarem, który zupełnie się już wypalił, gdy dwadzieścia pięć lat później znalazłem ten aerofon pokryty kłakami kurzu na strychu. Milton grał jako trzeci klarnet w orkiestrze liceum Southeastern. Na szkolnych koncertach musiał grać Schuberta, Beethovena i Mozarta, ale po skończeniu szkoły mógł już grać, co tylko mu się podobało, a podobał mu się swing. Pozował na Artie Shawa. Stał jak on, odchylony do granic możliwości, grając w uniesieniu, jakby był zdmuchiwany przez siłę muzyki. Stojąc w oknie, wywijał klarnetem, zataczając nim precyzyjne koła i pochylając go w sposób podpatrzony u Shawa. Patrzył ponad błyszczącym czarnym instrumentem w kierunku domu stojącego dwa podwórza dalej, a zwłaszcza na bladą, nieśmiałą i zachwyconą twarz w oknie na trzecim piętrze. Widok przesłaniały gałęzie drzew i linie telefoniczne, ale i tak mógł rozróżnić długie czarne włosy błyszczące jak jego klarnet.

Nie pomachała do niego. Nie dała po sobie poznać – poza uśmiechem – że w ogóle go słyszała. W sąsiednich ogródkach ludzie zajmowali się nadal tym samym co wcześniej, obojętni na serenadę. Podlewali trawniki lub napełniali karmniki dla ptaków; dzieci biegały za motylami. Kiedy Milton dotarł do końca utworu, opuścił instrument i z uśmiechem wychylił się z okna. Po chwili zaczął od nowa.

Na dole Desdemona, zabawiająca gości, słyszała klarnet syna i jakby dla dopełnienia harmonii dźwięków westchnęła przeciągle. Od czterdziestu pięciu minut w salonie siedzieli Gus i Georgia Vasilakis wraz z córką Gaią. Było niedzielne popołudnie. Stojąca na stoliczku różowa galaretka odbijała światło z kieliszków wypełnionych winem musującym, które pili dorośli. Gaia trzymała w rękach szklankę letniego piwa imbirowego Vernor's. Na stole stała otwarta puszka maślanych ciasteczek.

– Jak ci się to podoba, Gaia? – droczył się z nią jej ojciec. – Milton ma płaskostopie. Czy to ci nie przeszkadza?

– Tato – powiedziała zakłopotana Gaia.

– Lepiej mieć płaskostopie niż kopnąć kopytami w kalendarz – podsumował Lefty.

– Zgadza się – przytaknęła Georgia Vasilakis. – Macie szczęście, że nie wzięli Miltona. Nie uważam tego wcale za dyshonor. Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdybym miała wysłać syna na wojnę.

W trakcie tej rozmowy Desdemona co jakiś czas klepała Gaię Vasilakis po kolanie i mówiła:

– Miltie zaraz do nas zejdzie.

Powtarzała to od momentu przyjścia gości. Powtarzała to co niedzielę przez ostatnie półtora miesiąca i to nie tylko Gai Vasilakis. Mówiła to do Jeanie Diamond, która przyszła z rodzicami w ostatnią niedzielę, jak również do Vicky Logathetis, która była z wizytą tydzień wcześniej.

Desdemona właśnie skończyła czterdzieści trzy lata i – podobnie jak większość jej rówieśniczek z tego pokolenia – praktycznie była już starą kobietą. Siwizna przyprószyła jej włosy. Zaczęła nosić złote okulary bez oprawek, które powiększały jej oczy, przez co wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną niż była. Jej skłonność do zamartwiania się (ostatnio nasilająca się w związku z dobiegającą z góry swingową muzyką) stała się przyczyną ponownych palpitacji serca. Obecnie zdarzały się one codziennie. Jednak mimo tego ciągłego zamartwiania się Desdemona nieustannie coś robiła,

stale gotowała, sprzątała, zajmowała się swoimi dziećmi i dziećmi innych, zawsze wrzeszcząc na całe gardło, hałaśliwa i pełna życia.

Choć nosiła szkła korekcyjne, nie potrafiła dostrzec aktualnych wydarzeń na świecie. Desdemona nie rozumiała, o co toczyły się walki. W Smyrnie jedynymi statkami, które przypłynęły, aby ratować uciekinierów, były statki japońskie. Moja babka zachowała za to dozgonną wdzięczność. Kiedy poruszono kwestię zdradzieckiego ataku na Pearl Harbor, powiedziała:

– Nie mówcie mi o jakiejś wysepce na środku oceanu. Czy ten kraj jest tak mały, że musi mieć wszystkie wyspy?

Płeć Statuy Wolności niczego nie zmieniła. Wszędzie było to samo – mężczyźni i ich wojny. Na szczęście armia nie powołała Miltona. Zamiast iść na wojnę, miał uczęszczać do szkoły wieczorowej i w ciągu dnia pomagać w barze. Jedynym mundurem, jaki nosił, był mundur skauta. Był zastępowym i co jakiś czas brał swoich skautów na biwaki na północy.

Po następnych pięciu minutach, gdy Milton wciąż się nie pojawiał, Desdemona przeprosiła gości i poszła na górę. Zatrzymała się przed drzwiami do sypialni Miltona, krzywiąc się na dochodzącą ze środka muzykę. Następnie weszła bez pukania.

Milton, niepomny na nic, stał przy oknie i grał na wzniesionym w górę klarnecie. Kręcił biodrami w nieprzyzwoity sposób, a jego wargi błyszczały tak jasno, jak jego włosy. Desdemona przemaszerowała przez pokój i zatrzasnęła okno.

– Chodź, Miltie – zarządziła. – Gaia jest na dole.

– Ćwiczę.

– Później poćwiczysz – spojrzała przez okno na pensjonat O'Toole. Zdawało się jej, że w oknie na trzecim piętrze zauważyła znikającą głowę, ale nie miała pewności.

– Dlaczego zawsze grasz przy otwartym oknie?

– Robi mi się gorąco.

Desdemona przestraszyła się:

– Co to znaczy „gorąco"?

– Od grania.

Desdemona prychnęła.

– Chodź, Gaia przyniosła ci ciasteczka.

Już od pewnego czasu Desdemona podejrzewała, że Miltona i Tessie zaczyna coś łączyć. Zauważyła, z jaką uwagą Milton patrzył na Tessie, gdy przychodziła z Sourmeliną na obiad. W dzieciństwie Zoë była najlepszą przyjaciółką i towarzyszką zabaw Tessie. Ale teraz to z Miltonem Tessie siadywała na huśtawce na werandzie. Desdemona zapytała Zoë:

– Dlaczego nie wychodzisz już z Tessie?

Na co Zoë odpowiedziała nieco gorzkim tonem:

– Ona jest zajęta.

Była to główna przyczyna nawrotu palpitacji serca mojej babki. Po tym wszystkim, co zrobiła, aby odpokutować swoją winę, po tym, jak przemieniła swoje małżeństwo w lodową pustynię i pozwoliła, aby chirurg podwiązał jej jajowody, okazało się, że to jeszcze nie koniec jej kłopotów z endogamią. Dlatego też moja przerażona babka ponownie wzięła się za działalność, którą (z wiadomymi przecież skutkami) próbowała uprawiać już wcześniej. Desdemona znowu zajęła się swataniem.

W każdą niedzielę, tak jak w ich domu w Bithynios, przez dom przy Hurlbut Street przewijała się galeria panien na wydaniu. Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem nie były to dwie te same, mnożące się w nieskończoność dziewczyny. W Detroit Desdemona miała dużo większy wybór. Były dziewczyny o piskliwym głosie i dziewczyny z miękkim altem, tłuściutkie i chude, dziecinne panienki noszące medaliki w kształcie serca i przedwcześnie dojrzałe panny pracujące jako sekretarki w agencjach ubezpieczeniowych. Była Sophie Georgopoulos, która od czasu, gdy na biwaku weszła na rozżarzone węgle, chodziła w dość śmieszny sposób, i była Mathilda Livanos, w najwyższym stopniu znudzona, jak potrafią to tylko piękne dziewczyny, która w ogóle nie zainteresowała się Miltonem i nawet nie umyła włosów przed wizytą. Tydzień po tygodniu, wspomagane lub przymuszane przez swoich rodziców, przychodziły dziewczyny, i tydzień po tygodniu Milton Stephanides przepraszał i szedł do swojego pokoju, gdzie grał na klarnecie przez otwarte okno.

Popędzany z tyłu przez Desdemonę, Milton zszedł na dół spotkać się z Gaią Vasilakis. Siedziała między rodzicami na wyścielanej sofie w kolorze zielonej pianki morskiej, wielka dziewczyna, ubrana w białą suknię z krynoliną, koronkami i bufiastymi rękawami. Jej krótkie, białe skarpetki

również były ozdobione koronką. Przypominały Miltonowi koronkowe nakrycie na koszu na śmieci w toalecie.

– Chłopie, ale masz dużo sprawności – powiedział Gus Vasilakis.

– Brakuje mu tylko jednej do kompletu dwudziestu jeden – wyjaśnił Lefty.

– Której nie ma?

– Za pływanie – odpowiedział Milton. – W ogóle nie umiem pływać.

– Ja też nie jestem zbyt dobrą pływaczką – stwierdziła Gaia z uśmiechem.

– Milton, poczęstuj się ciasteczkiem – naciskała Desdemona.

Milton spojrzał na puszkę i wziął ciastko.

– Gaia je zrobiła – powiedziała Desdemona. – Jak ci smakują?

Milton żuł w zamyśleniu. Po chwili podniósł rękę w skautowskim pozdrowieniu i powiedział:

– Skaut nie kłamie, to ciastko jest wstrętne.

Czy może być coś bardziej niewyobrażalnego niż historia miłosna własnych rodziców? Jak można pojąć, że ta dwójka zawodników w jesieni życia, stale na liście kontuzjowanych, wychodziła kiedyś w pierwszym składzie? Nie mogę sobie wyobrazić ojca, którego – z tego, co pamiętam – podniecały tylko obniżki stóp procentowych, targanego młodzieńczą namiętnością. Milton leżący w łóżku i marzący o mojej matce w taki sam sposób, w jaki ja będę później marzył o Mrocznym Przedmiocie. Milton piszący listy miłosne i – po przeczytaniu w szkole wieczorowej *To His Coy Mistress Marvella* – nawet wiersze miłosne. Milton mieszający elżbietańską metafizykę ze stylem rymowania brzuchomówcy Edgara Bergena:

Tessie Zizmo, jesteś tak zdumiewająca
jak mechaniczne cudeńko, zachwycająca,
pożądania jesteś godną osobą,
byłabyś Światowych Targów ozdobą.

Nawet patrząc okiem córki, pozbawionej krytycyzmu wobec swojego ojca, muszę przyznać – mój ojciec nigdy nie był przystojny. W wieku osiemnastu lat był wprost przerażająco chudy. Twarz miał upstrzoną krostami. Pod smętnymi oczami już wtedy rysowały się ciemne worki. Miał

cofnięty podbródek, nadmiernie rozwinięty nos, a jego wypomadowane włosy były zbite i błyszczące jak galaretka owocowa. Jednak Milton nie był świadom tych fizycznych braków. Cechowała go niezwykła pewność siebie, która ochraniała go jak skorupa przed atakami świata zewnętrznego.

Wdzięk Tessie bardziej rzucał się w oczy. Odziedziczyła urodę Sourmeliny, tyle że w pomniejszonej skali. Miała zaledwie sto pięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, wąską talię, niewielki biust, długą łabędzią szyję, zwieńczoną piękną buzią w kształcie serca. Jeśli o Sourmelinie można było powiedzieć, że była europejskim rodzajem Amerykanki, kimś w rodzaju Marleny Dietrich, to Tessie była w pełni zamerykanizowaną córką, jaką Dietrich mogła mieć. Jej typowo amerykański, a nawet nieco prowincjonalny wygląd uwzględniał również niewielką szparę między zębami i lekko zadarty nos. Cechy genetyczne często przeskakują jedno pokolenie. Po mnie bardziej widać moje greckie pochodzenie niż po mojej matce. W mowie i zachowaniu Tessie można było również zauważyć pewne wpływy Południa. Używała wielu południowych wyrażeń, jak „shucks" i „golly". Lina, pracująca przez cały dzień w kwiaciarni, pozostawiała Tessie pod opieką grupy starszych kobiet. Wiele z nich, irlandzko-szkockiego pochodzenia, przyjechało do Detroit z Kentucky, i pod ich wpływem Tessie zaczęła mówić trochę przez nos. W porównaniu z silnymi, męskimi rysami Zoë, Tessie miała tak zwany ogólnoamerykański wygląd, i to też z pewnością pociągało w niej mojego ojca.

Pensja Sourmeliny w kwiaciarni nie była za wysoka. Matka i córka zmuszone były żyć oszczędnie. W sklepach z używaną odzieżą Sourmelinę ciągnęło do strojów tancerek rewiowych z Las Vegas. Tessie wybierała ubrania praktyczne. W pensjonacie cerowała wełniane koszule i prała w rękach bluzki, usuwała włosy ze swetrów i polerowała używane trzewiki. Ale z jej ubrań nigdy nie znikał lekko wyczuwalny zapach sklepu z używaną odzieżą. (Miał mi towarzyszyć wiele lat później, gdy wyruszyłem w drogę). Ten zapach dobrze pasował do jej półsieroctwa i dorastania w ubóstwie.

Jimmy Zizmo – zostało z niego tylko tyle, ile pozostawił w ciele Tessie. Była delikatnej budowy, podobnie jak on, jej włosy, choć jedwabiste, też były czarne. Jeśli myła je zbyt rzadko, przetłuszczały się i wąchając poduszkę, myślała: „Może właśnie w ten sposób pachniał mój tato?". Zimą dostawała opryszczki (na którą Zizmo brał witaminę C). Jednak Tessie miała jasną karnację i musiała uważać, żeby nie spalić się na słońcu.

Od kiedy Milton tylko pamiętał, Tessie zawsze była w domu, ubrana w sztywne, świętoszkowate stroje, które tak bawiły jej matkę.

– Spójrzcie tylko na nas – mówiła Lina. – Jak chińskie menu. Słodkie i kwaśne.

Tessie nie lubiła, gdy Lina mówiła w ten sposób. Wcale nie uważała, że jest kwaśna, tylko przyzwoita. Chciała, aby jej matka również zachowywała się trochę bardziej przyzwoicie. Kiedy Lina wypiła za dużo, to Tessie prowadziła ją do domu, rozbierała i kładła do łóżka. Ponieważ Lina miała naturę ekshibicjonistki, Tessie stała się podglądaczką. Ponieważ Lina zachowywała się głośno, Tessie była cichutka. Ona również grała na instrumencie – na akordeonie. Leżał w futerale pod łóżkiem. Od czasu do czasu wyciągała go, zarzucała pasy na ramiona i podnosiła z ziemi ten ogromny, rzężący instrument z wieloma przyciskami. Akordeon był prawie tak wielki jak ona sama, a grała na nim sumiennie, słabo i zawsze z odcieniem karnawałowego smutku.

Jako małe dzieci, Milton i Tessie spali w tej samej sypialni i kąpali się w tej samej wanience, ale to było już wiele lat temu. Jeszcze niedawno Milton uważał Tessie jedynie za swoją pruderyjną kuzynkę. Gdy tylko któryś z jego kolegów zaczynał się nią interesować, Milton radził mu, żeby dał sobie spokój.

– To miodzik z lodówki – mówił w stylu Artie Shawa. – A zamrożony nie poleci na ciebie.

Ale któregoś dnia Milton przyszedł do domu z nowymi stroikami kupionymi w sklepie muzycznym. Powiesił płaszcz i kapelusz na kołkach w przedpokoju, wyjął stroiki i zwinął papierową torbę w kulkę. Wchodząc do salonu, rzucił ją w kierunku kosza. Papier przeleciał przez pokój, uderzył w krawędź kosza i odbił się. W tym momencie usłyszał głos:

– Lepiej zostań przy muzyce.

Milton rozejrzał się, aby zobaczyć, kto to był. I zobaczył – ale ta osoba nie była już tym kimś, kim była wcześniej.

Theodora leżała na tapczaniku z książką w dłoni. Miała na sobie wiosenną sukienkę z wzorem w czerwone kwiaty. Miała też gołe stopy. To właśnie wtedy Milton je zobaczył – czerwone paznokcie na palcach stóp. Milton nie podejrzewał nawet, że Theodora była jedną z tych dziewcząt, które malują paznokcie u stóp. Te czerwone paznokcie spowodowały, że

zaczęła wyglądać jak kobieta, podczas gdy cała reszta – wiotkie blade ramiona, delikatna szyja – pozostawały, jak zawsze, dziewczęce.

– Pilnuję pieczeni – wyjaśniła.

– Gdzie moja mama?

– Wyszła.

– Wyszła? Nigdy nie wychodzi.

– Ale dzisiaj wyszła.

– A gdzie moja siostra?

– Na spotkaniu młodzieżowego ruchu „4-H". – Tessie spojrzała na trzymany przez Miltona czarny futerał. – To twój klarnet?

– Tak.

– Zagraj mi coś.

Milton położył futerał na sofie. Przez cały czas, gdy go otwierał i wyjmował instrument, był świadom nagości nóg Tessie. Włożył ustnik i zaczął rozgrzewać palce, przebiegając nimi po klawiszach. I w tym momencie, pchnięty przemożnym impulsem, schylił się, przyłożył rozszerzający się koniec instrumentu do gołego kolana Tessie i zagrał długą nutę.

Pisnęła, cofając kolano.

– To było des – powiedział Milton. – Chcesz usłyszeć dis?

Tessie wciąż jeszcze trzymała rękę na dzwoniącym kolanie. Wibracje z klarnetu spowodowały, że dreszcz przebiegł całe jej udo. Czuła się dziwnie, jakby zaraz miała się roześmiać, ale się nie śmiała. Patrzyła na kuzyna i myślała: „Będziesz tak tylko gapić się na niego z uśmiechem? Ciągle jeszcze ma pryszcze, ale myśli, że jest Bóg wie kim. Skąd się to u niego bierze?"

– Dobra – odpowiedziała w końcu.

– W porządku – rzekł Milton. – Dis. Proszę bardzo.

Pierwszego dnia było kolano Tessie. W następną niedzielę Milton podszedł od tyłu i zagrał na klarnecie w kark Tessie. Dźwięk był stłumiony. Kosmyki jej włosów pofrunęły. Tessie krzyknęła, ale tylko przez chwilę.

– Dobra – powiedział stojący za nią Milton.

I tak to się zaczęło. Grał *Begin the Beguine* w jej obojczyk. Grał *Moonface* w jej gładkie policzki. Przyciskając klarnet bezpośrednio do czerwonych paznokci, które tak na niego podziałały, grał *It Goes to Your Feet*. W tajemnicy, do której się sami przed sobą nie przyznawali, Milton i Tessie

dryfowali do zacisznych miejsc domu, a tam Tessie unosiła nieco spódniczkę, zdejmowała skarpetkę lub raz, gdy nikogo nie było w domu, podciągnęła bluzkę, aby odsłonić kawałek dolnej części pleców, a Milton przykładał klarnet do jej skóry i wypełniał jej ciało muzyką. W pierwszym momencie tylko ją to łaskotało. Ale po chwili dźwięki przenikały głębiej w jej ciało. Czuła, jak wibracje rozchodzą się po jej mięśniach, pulsując falami, aż powodują grzechotanie kości i brzęczenie wewnętrznych organów.

Milton grał na swoim instrumencie za pomocą tych samych palców, których używał do salutowania w sposób skautowski, ale jego myśli na pewno nie były tak przyzwoite, jak by nakazywał duch skauta. Ciężko oddychając i trzęsąc się od skupienia, nachylał się nad Tessie i poruszał klarnetem w kółko, jak zaklinacz węży. A Tessie była kobrą, zahipnotyzowaną, obłaskawioną, oczarowaną dźwiękiem. W końcu, pewnego popołudnia, gdy byli sami, Tessie, ta jego przyzwoita kuzynka, ułożyła się na plecach. Jedną rękę położyła na swojej twarzy.

– Gdzie mam grać? – wyszeptał Milton, który w ustach czuł zbyt dużą suchość, żeby grać cokolwiek. Tessie rozpięła guzik bluzki i stłumionym głosem powiedziała:

– Mój brzuch.

– Nie znam żadnej piosenki o brzuchu – odważył się powiedzieć Milton.

– No, to o żebrach.

– Nie znam piosenek o żebrach.

– O mostku?

– Tess, nikt nigdy nie napisał piosenki o mostku.

Z zamkniętymi oczami rozpięła więcej guzików. I ledwo słyszalnym szeptem zapytała:

– A o tym?

– A, o tym, to znam – powiedział Milton.

Gdy nie mógł grać na skórze Tessie, Milton otwierał okno w swojej sypialni i grał jej serenadę na odległość. Czasami dzwonił do pensjonatu i prosił panią O'Toole o zawołanie Theodory do telefonu.

– Chwileczkę – mówiła pani O'Toole i wołała w stronę schodów:

– Telefon do Zizmo!

Milton słyszał tupot stóp zbiegających po schodach i głos Tessie, mówiącej: „Halo?”. Wtedy zaczynał grać na klarnecie do telefonu.

(Wiele lat później moja matka wspominała te klarnetowe zaloty:

– Twój ojciec nie grał zbyt dobrze. Dwie lub trzy piosenki. To wszystko.

– Co ty opowiadasz? – protestował Milton. – Opanowałem cały repertuar.

I zaczynał gwizdać *Begin the Beguine*, starając się nadać tej melodii vibrato klarnetu i jednocześnie przebierając palcami w powietrzu.

– Dlaczego już nie grasz mi serenad? – pytała Tessie.

Ale Milton już myślał o czymś innym:

– Co się stało z tym moim starym klarnetem?

A Tessie na to:

– Skąd mam wiedzieć? Czy muszę pilnować wszystkich rzeczy?

– Czy jest w piwnicy?

– Może go wyrzuciłam!

– Wyrzuciłaś go! Po jakie licho to zrobiłaś?

– A co ty masz zamiar z nim robić, Milt, może ćwiczyć? Już wtedy nie potrafiłeś grać na tej swojej fujarce!).

Każda miłosna serenada musi się kiedyś skończyć. Ale w 1944 roku muzyce nie było końca. W lipcu, gdy w pensjonacie O’Toole dzwonił telefon, w słuchawce czasami można było usłyszeć inny rodzaj pieśni miłosnej:

– *Kyrie eleison, Kyrie eleison*.

Cichy głos, prawie tak kobiecy jak samej Tessie, gruchający kilka ulic dalej do słuchawki. Taki śpiew trwał przynajmniej przez minutę. A potem Michael Antoniou pytał:

– Jak było?

– Było pierwszorzędnie.

– Naprawdę?

– Jak w kościele. O mało mnie nie zmyliłeś.

Dochodzę w ten sposób do ostatniego wątku komplikującego ten nad wyraz bogaty w fabuły rok. Moja babka tak bardzo martwiła się relacją między Miltonem a Tessie, że nie tylko starała się ożenić Miltona z kimś innym, ale tego samego lata wybrała również męża dla Tessie.

Michael Antoniou – ojciec Mike, jak miał być później znany w naszej rodzinie – w owym czasie uczył się w Świętym Krzyżu, szkole teologicznej greckiego kościoła prawosławnego, w Pomfret w stanie Connecticut. Po

przyjeździe do domu na lato wiele uwagi poświęcał Tessie Zizmo. W 1933 roku kościół Wniebowzięcia wyprowadził się z pomieszczeń na parterze przy Hart Street. Teraz wierni mieli prawdziwy kościół – przy Vernor Highway, zaraz obok Beniteau Street. Kościół był zbudowany z żółtej cegły, przykryty trzema niebieskoszarymi kopułami, jak kapeluszami, a w podziemiach było miejsce na zebrania towarzyskie. Siedząc przy kawie, Michael Antoniou opisywał Tessie, jak jest w Świętym Krzyżu, i zapoznawał ją z mniej znanymi aspektami greckiego prawosławia. Opowiadał jej o mnichach z Athos, którzy, gorliwie przestrzegając nakazu czystości, zabronili wstępu do swojego klasztoru na wyspie nie tylko kobietom, ale również wszystkim osobnikom płci żeńskiej każdego innego gatunku. W Athos nie było ani ptaków rodzaju żeńskiego, ani węży, psów czy kotów.

– Moim zdaniem jest to nieco zbyt radykalne – powiedział Michael Antoniou, uśmiechając się znacząco do Tessie. – Ja chciałbym mieć swoją parafię. Mieć żonę i dzieci.

Mojej matki nie dziwiło zainteresowanie, jakim darzył jej osobę. Sama była niska i już zdążyła się przyzwyczaić do tego, że do tańca prosili ją niscy chłopcy. Niezbyt podobało się jej, gdy ktoś wybierał ją ze względu na jej wzrost, ale Michael Antoniou nie ustępował. Być może jego zainteresowanie nie wynikało tylko z tego, że Tessie była jedyną dziewczyną niższą od niego, ale może reagował również na widoczną w jej oczach potrzebę, na jej rozpaczliwe pragnienie uwierzenia, że coś jednak było, nie tylko pustka.

Desdemona skorzystała z okazji:

– Mike jest dobrym greckim chłopcem, miłym chłopcem – powiedziała do Tessie. – I będzie księdzem!

A do Michaela Antoniou:

– Tessie jest malutka, ale bardzo silna. Zgadnij, ojcze, ile talerzy potrafi unieść?

– Jeszcze nie jestem ojcem, pani Stephanides.

–No, proszę, ile?

– Sześć?

– Tak myślisz? Tylko sześć?

I podnosząc w górę obie ręce:

– Dziesięć! Tessie może nieść dziesięć talerzy. I nigdy nic nie zbije.

Zaczęła zapraszać Michaela Antoniou na niedzielne obiady. Obecność seminarzysty krępowała Tessie, dlatego przestała już chodzić na górę na prywatne sesje swingu. Milton, któremu nie w smak była ta nowa sytuacja, robił przy stole zgryźliwe przytyki:

– Chyba dużo trudniej jest być duchownym w Ameryce, prawda?

– Co masz na myśli? – zapytał Michael Antoniou.

– Chciałem powiedzieć, że w starym kraju ludzie nie są zbyt wykształceni – odparł Milton. – Uwierzą w każdą historię, jaką im ksiądz opowie. Tutaj jest inaczej. Można iść do college'u i nauczyć się samodzielnie myśleć.

– Kościół nie chce, żeby ludzie nie myśleli – odrzekł Michael niezrażony. – Kościół uważa, że myślenie jest w stanie doprowadzić człowieka tylko do określonego punktu. Tam, gdzie kończy się myślenie, zaczyna się objawienie.

– *Chrysostomos*! – wykrzyknęła Desdemona. – Ojciec Mike jest naprawdę złotousty!

Ale Milton nie ustępował:

– Powiedziałbym raczej, że tam, gdzie kończy się myślenie, zaczyna się głupota.

– Tak właśnie żyją ludzie, Milt – powiedział Michael Antoniou, nadal grzecznie i spokojnie. – Ciągle opowiadając historie. O co prosi dziecko, gdy tylko nauczy się mówić? „Opowiedz mi bajkę". W ten sposób dowiadujemy się, kim jesteśmy, skąd pochodzimy. Opowieści są wszystkim. A jaką opowieść ma do przekazania Kościół? To proste. Najwspanialszą opowieść na świecie.

Moja matka, przysłuchująca się tej wymianie zdań, nie mogła nie zauważyć wyraźnych przeciwieństw między jej dwoma zalotnikami. Z jednej strony wiara, z drugiej sceptycyzm. Z jednej strony uprzejmość, a z drugiej wrogość. Chociaż niski, to jednak miło wyglądający młodzieniec naprzeciw kościstego, pryszczatego, zwolnionego ze służby ze względu na zły stan zdrowia chłopaka z przeraźliwie podkrążonymi oczami. Michael Antoniou nawet nie spróbował pocałować Tessie, podczas gdy Milton sprowadzał ją na manowce za pomocą swojego aerofonu. Desy i aisy lizały ją jak języki ognia, tutaj pod kolanem, tam na górze na szyi, bezpośrednio pod pępkiem… Płonęła ze wstydu na samą myśl o tej liście. Później tego popołudnia Milton przyparł ją do muru:

– Mam dla ciebie nową piosenkę, Tess. Właśnie dziś się jej nauczyłem.

Ale Tessie odpowiedziała:

– Odejdź.

– Dlaczego? O co ci chodzi?

– To nie jest… To nie jest… – starała się wymyślić jak najbardziej potępiające określenie. – To nie jest miłe!

– W zeszłym tygodniu mówiłaś coś zupełnie innego.

Milton pomachał klarnetem, poprawiając stroik i mrugając znacząco, na co Tessie w końcu powiedziała:

– Nie chcę już tego robić! Rozumiesz? Zostaw mnie!

Przez pozostałą część lata Michael Antoniou przychodził co sobotę po Tessie do pensjonatu O'Toole. Na spacerach nosił jej torebkę, wymachując nią jak kadzielnicą.

– Trzeba to robić w odpowiedni sposób – wyjaśniał jej. – Jeśli machniesz zbyt słabo, łańcuch się poplącze i węgle wypadną.

Gdy tak szli ulicą, moja matka starała się nie zwracać uwagi na to, że idzie z mężczyzną machającym torebką. Czasami szli na lody i wtedy patrzyła, jak wkłada chusteczkę za swoją koloratkę, a dopiero później zaczyna jeść swój deser lodowy. Zamiast wsuwać wisienkę do ust, jak zrobiłby to Milton, Michael Antoniou zawsze proponował ją Tessie. Później, gdy odprowadzał ją do domu, ściskał jej rękę i patrzył szczerze w jej oczy.

– Dziękuję za jeszcze jedno wspaniałe popołudnie. Do zobaczenia jutro w kościele.

Potem odchodził, zakładając ręce na plecach. Ćwiczył również właściwy duchownym sposób chodzenia.

Po jego odejściu Tessie wchodziła do pensjonatu i wspinała się po schodach do swojego pokoju. Kładła się na łóżku, aby poczytać. Pewnego popołudnia, nie mogąc się skoncentrować, przestała czytać i położyła książkę na twarzy. Właśnie w tym momencie zza okna zaczął dobiegać dźwięk klarnetu. Tessie słuchała przez chwilę, leżąc bez ruchu. W końcu podniosła rękę, aby zdjąć książkę z twarzy. Jednak nie uczyniła tego. Ręka zaczęła się poruszać w powietrzu, jakby dyrygując muzyką, a następnie, z rozsądkiem, z rezygnacją, z desperacją, z trzaskiem zamknęła okno.

– Brawo! – wykrzyknęła Desdemona do słuchawki telefonu kilka dni później. I zaraz potem, trzymając słuchawkę przy piersiach: – Michael

Antoniou właśnie oświadczył się Tessie! Są zaręczeni! Pobiorą się, jak tylko Mikey skończy seminarium.

– Nie oburzaj się tak – powiedziała Zoë do brata.

– Zamknij się.

– Nie złość się na mnie – odparła, ślepa na czekającą ją przyszłość. – To nie ja za niego wychodzę. Musiałbyś najpierw mnie zabić.

– Jeśli chce wyjść za księdza – powiedział Milton – to niech wychodzi. Czort z nią.

Twarz mu poczerwieniała, zerwał się od stołu i pognał po schodach na górę.

Ale dlaczego moja matka przyjęła oświadczyny? Nigdy nie potrafiła tego wyjaśnić. Przyczyny, dla których ludzie pobierają się z określonymi osobami, bardzo często nie są jasne dla samych zainteresowanych. Mogę zatem tylko snuć przypuszczenia. Może moja matka, która dorastała bez ojca, próbowała poślubić kogoś, kto jej go zastąpi. Możliwe również, że powodowały nią względy praktyczne. Pewnego razu zapytała Miltona, co chciałby robić w życiu.

– Myślałem, że może przejmę bar po ojcu.

Oprócz wszystkich innych przeciwieństw istniało to ostatnie – barman i ksiądz.

Trudno wyobrazić sobie mojego ojca płaczącego z powodu zawodu miłosnego. Trudno wyobrazić sobie, jak odmawia jedzenia. Równie trudno wyobrazić sobie, jak dzwoni do pensjonatu raz za razem, aż w końcu pani O'Toole musi powiedzieć mu to wprost:

– Posłuchaj, kochany. Ona nie chce z tobą rozmawiać. Kapujesz?

– Tak – odpowiada Milton, z trudem przełykając ślinę. – Kapuję.

– Na niej świat się nie kończy. Możesz sobie złowić inną rybkę.

Trudno wyobrazić sobie jakąkolwiek z tych rzeczy, ale tak się w rzeczywistości wydarzyło.

Być może właśnie ta morska metafora pani O'Toole podsunęła mu pomysł. Tydzień po zaręczynach Tessie, w parny wtorkowy poranek, Milton na dobre odłożył swój klarnet i poszedł na Cadillac Square, aby zamienić swój mundur skauta na inny.

– Słuchajcie, zdecydowałem się – powiedział rodzinie przy kolacji. – Zaciągnąłem się.

– Do armii! – wykrzyknęła przerażona Desdemona.

– Po co to zrobiłeś? – zapytała Zoë. – Wojna już prawie skończona. Hitler jest pokonany.

– Nie interesuje mnie Hitler. Dla mnie ważny jest Hirohito. Zaciągnąłem się do marynarki, a nie do armii.

– A co z twoim płaskostopiem? – strapiła się Desdemona.

– Nie pytali o moje stopy.

Mój dziadek, który, podobnie jak przetrwał wszystko, cierpliwie zniósł i klarnetowe serenady, świadom ich znaczenia, ale nie do końca przekonany o potrzebie angażowania się, spojrzał gniewnie na syna:

– Jesteś bardzo głupi, młodzieńcze. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Sądzisz, że to jakaś gra?

– Nie, ojcze.

– To jest wojna. Myślisz, że wojna to zabawa? Wspaniały żart, który można zrobić rodzicom?

– Nie, ojcze.

– Zobaczysz, co to za żarty.

– Marynarka! – tymczasem Desdemona zawodziła dalej. – A co będzie, jak twój statek utonie?

– Widzisz, do czego doprowadzasz? – Lefty potrząsnął głową. – Twoja matka rozchoruje się od zmartwień nad tobą.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Milton.

Obserwując postępowanie syna, Lefty ujrzał bolesny widok – siebie samego dwadzieścia lat wcześniej, przesadnie ufnego we własne siły i pełnego nierozsądnego optymizmu. Czuł przeszywający go strach i jedyne, co mógł zrobić, to wybuchnąć gniewem:

– W porządku. Idź do marynarki – stwierdził. – Ale wiesz, o czym zapomniałeś, mój zdobywco prawie wszystkich sprawności? – wskazał na pierś Miltona. – Że nigdy nie zdobyłeś sprawności za pływanie.

Wiadomości ze świata

Odczekałem trzy dni, zanim ponownie zadzwoniłem do Julie. Była dziesiąta wieczorem, a ona wciąż jeszcze pracowała w swoim atelier. Ponieważ nie jadła kolacji, zaproponowałem jej wspólny posiłek. Powiedziałem, że po nią przyjadę. Tym razem wpuściła mnie do środka. W atelier panował bałagan, przerażający wręcz chaos, ale już po kilku krokach zupełnie o tym zapomniałem. Moją uwagę przykuło to, co zobaczyłem na ścianach. Było tam pięć czy sześć próbnych odbitek przedstawiających przemysłowy pejzaż zakładu chemicznego. Julie robiła zdjęcia z dźwigu, dzięki czemu widz mógł odnieść wrażenie, że szybuje nad kominami i wijącymi się rurami.

– Dobra, tyle wystarczy – powiedziała i zaczęła mnie popychać w kierunku drzwi.

– Poczekaj – odpowiedziałem. – Uwielbiam fabryki. Pochodzę z Detroit. To dla mnie jak fotografie Ansela Adamsa.

– No, to już widziałeś – powiedziała, przeganiając mnie z domu, zadowolona, nieswoja, uśmiechnięta, uparta.

– Mam w salonie pracę Bernda i Hilli Becherów – pochwaliłem się.

– Masz fotografię Bernda i Hilli Becherów? – przestała mnie popychać.

– Zdjęcie starej cementowni.

– Dobra, dobra – przyznała Julie, ustępując. – Fotografuję fabryki. Tym się właśnie zajmuję. Fotografie fabryk. Te są z zakładów I. G. Farben – skrzywiła się. – Trochę mnie martwi, że to takie typowe zajęcie dla Amerykanki przebywającej w tym kraju.

– Masz na myśli „Przedsiębiorstwo Holocaust”?

– Nie czytałam tej książki, ale tak.

– Jeśli zawsze robiłaś zdjęcia fabryk, to uważam, że sytuacja jest zupełnie inna – stwierdziłem. – To przecież wcale nie oznacza, że idziesz

na łatwiznę. Skoro stałym obiektem twoich fotografii są fabryki, nie mogłaś nie sfotografować I. G. Farben.

– Sądzisz więc, że to w porządku?

Wskazałem na próbne odbitki:

– Te są wspaniałe.

Umilkliśmy, patrząc na siebie, i bez zastanowienia nachyliłem się i pocałowałem Julie delikatnie w usta.

Gdy pocałunek się skończył, Julie szeroko otworzyła oczy.

– Gdy się spotkaliśmy, sądziłam, że jesteś gejem.

– To chyba ze względu na garnitur.

– Mój czujnik wykrywania gejów zupełnie nawalił! – Julie kręciła głową. – Zawsze jestem bardzo podejrzliwa, tym bardziej że służę za ostatnią przystań.

– Jaką przystań?

– Nie słyszałeś o tym? Azjatki są ostatnią przystanią. Jeśli facet jest przyciśnięty, szuka Azjatek, ponieważ ich ciała są podobne do chłopięcych.

– Ale twoje nie przypomina chłopięcego – powiedziałem.

To zakłopotało Julie. Odwróciła wzrok.

– Dużo przyciśniętych gejów uganiało się za tobą? – zapytałem.

– Dwóch na uniwersytecie, trzech na studiach doktoranckich – odpowiedziała Julie.

Nie było na to innej odpowiedzi, jak znowu ją pocałować.

Aby powrócić do historii moich rodziców, muszę przywołać bardzo kłopotliwe dla Amerykanów greckiego pochodzenia wspomnienie – Michael Dukakis na czołgu. Pamiętacie? Ten jeden obraz, który pogrzebał nasze nadzieje na Greka w Białym Domu: Dukakis w za dużym hełmie wojskowym, podskakujący na czołgu M41 Walker Bulldog. Chciał wyglądać jak prezydent, ale zamiast tego wyglądał jak mały chłopczyk w wesołym miasteczku. (Zawsze, gdy jakiś Grek zbliży się do Owalnego Gabinetu, coś się psuje. Najpierw był Agnew z omijaniem przepisów podatkowych, a później Dukakis ze swoim czołgiem). Zanim Dukakis wlazł na ten opancerzony pojazd, zanim zdjął swój garnitur z kolekcji J. Press i założył mundur polowy, wszystkich nas – mam tu na myśli moich rodaków, Amerykanów pochodzenia greckiego, czy tego chcą czy nie – ogarnęło uczucie triumfu. Ten człowiek był kandydatem demokratów na fotel

prezydenta Stanów Zjednoczonych! Pochodził z Massachusetts, jak rodzina Kennedych! Był wyznawcą jeszcze dziwniejszej religii niż katolicyzm, ale nikomu to nie przeszkadzało. Był rok 1988. Może nadszedł już czas, kiedy każda osoba – lub przynajmniej nie tylko ludzie z tej samej grupy osób wybranych – może zostać prezydentem. Spójrzcie na transparenty podczas konwencji wyborczej Partii Demokratów! Popatrzcie na nalepki na zderzakach wszystkich samochodów marki Volvo. „Dukakis". O prezydenturę stara się osoba z nazwiskiem zawierającym więcej niż dwie samogłoski! Ostatni raz zdarzyło się to, gdy o fotel prezydenta ubiegał się Eisenhower (który akurat dobrze się prezentował na czołgu). Ogólnie rzecz biorąc, Amerykanie wolą, gdy ich prezydenci mają w nazwiskach nie więcej niż dwie samogłoski. Truman. Johnson. Nixon. Clinton. Jeśli już nazwisko ma więcej niż dwie samogłoski (Reagan), nie może mieć więcej niż dwie sylaby. Najlepiej jest, gdy jest tylko jedna samogłoska i jedna sylaba – Bush. Przerabialiśmy to dwa razy. Dlaczego Mario Cuomo zdecydował się nie kandydować na prezydenta? Do jakich wniosków doszedł, gdy przeanalizował swoją sytuację? W przeciwieństwie do Dukakisa, który pochodził z akademickiego Massachusetts, Mario Cuomo był z Nowego Jorku i dobrze wiedział, co jest grane. Cuomo zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma szans na wygraną. Z pewnością był zbyt liberalny, jak na te czasy. Ale również – za dużo samogłosek.

Michael Dukakis jechał na czołgu w kierunku grupy fotoreporterów i jednocześnie w stronę zmierzchu swojej kariery politycznej. I choć jest to obraz przywołujący bolesne wspomnienia, mam jednak powód, aby go tu przywołać. Tak właśnie wyglądał mój świeżo zwerbowany ojciec, starszy marynarz Milton Stephanides, gdy podskakiwał w łodzi desantowej u wybrzeży Kalifornii jesienią 1944 roku. Podobnie jak Dukakis, Milton składał się głównie z hełmu. I Dukakis, i Milton mieli tak założone paski pod brodą, jakby zapięły je ich matki. Podobnie jak w przypadku Dukakisa, także wyraz twarzy Miltona świadczył o tym, że z przerażeniem uświadamiał sobie błąd, jaki popełniał. Również Milton nie mógł wysiąść w biegu ze swojego pojazdu. I też zmierzał ku zagładzie. Jedyna różnica polegała na tym, że nie było fotoreporterów, i był to środek nocy.

Miesiąc po wstąpieniu do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Milton znalazł się w San Diego, w bazie marynarki Coronado. Był

żołnierzem sił wodno-lądowych, których zadaniem było przetransportowanie wojsk na Daleki Wschód i wspomaganie ich w ataku na wybrzeże. Zadanie Miltona – na szczęście na razie tylko podczas manewrów – polegało na opuszczaniu łodzi desantowej ze statku transportowego. Już od miesiąca przez sześć dni w tygodniu, dziesięć godzin dziennie, nie robił nic innego, tylko opuszczał wypełnione żołnierzami łodzie przy różnym stanie morza.

Gdy nie opuszczał łodzi desantowej, sam siedział w jednej z nich. Przez trzy lub cztery noce w tygodniu musieli ćwiczyć nocny desant. A była to nie lada sztuka. Brzeg w okolicy Coronado był zdradziecki. Niedoświadczeni piloci mieli trudności ze sterowaniem w kierunku zmieniających się świateł oznaczających plaże i często wprowadzali łodzie na skały.

Chociaż hełm wojskowy ograniczył pole widzenia Miltona, jednak dawał mu bardzo dobry obraz przyszłości. Hełm ważył tyle, co kula do gry w kręgle. Był gruby jak maska samochodu. Nakładało się go na głowę jak kapelusz, ale w niczym nie przypominał kapelusza. W kontakcie z czaszką hełm przekazywał obrazy bezpośrednio do mózgu. Obrazy przedmiotów, przed którymi hełm miał chronić. Na przykład pociski. I szrapnele. Hełm zamykał umysł na kontemplację tych zasadniczych elementów rzeczywistości.

W podobnych sytuacjach osoby pokroju mojego ojca zaczynają myśleć, jak uciec przed taką rzeczywistością. Już po pierwszym tygodniu ćwiczeń Milton uświadomił sobie, że popełnił straszny błąd, decydując się na wstąpienie do marynarki. Sama bitwa mogła być tylko nieco bardziej niebezpieczna od przygotowań do niej. Każdej nocy ktoś odnosił obrażenia. Fale rzucały rekrutami o burtę łodzi. Chłopcy wypadali z łodzi i byli wciągani pod jej spód. Tydzień temu utonął jeden dzieciak z Omaha.

Za dnia trenowali, grając w butach wojskowych w piłkę na plaży, aby wytrenować nogi, a w nocy były ćwiczenia. Wyczerpany, cierpiący na chorobę morską Milton stał wraz z innymi, ściśnięty jak sardynka w puszce, z ciężkim plecakiem na plecach. Zawsze chciał być Amerykaninem i teraz mógł się przekonać, jacy naprawdę są jego amerykańscy koledzy. Z bliska mógł poznać ich prowincjonalną lubieżność i głupawą gadaninę. Całe godziny spędzali razem w łodzi, obijając się o siebie i moknąc. Spać szli o trzeciej lub czwartej nad ranem. Wkrótce

potem wstawało słońce i znowu trzeba było wszystko zaczynać od początku.

Dlaczego zaciągnął się do marynarki? Z zemsty i z chęci ucieczki. Chciał wrócić do Tessie i chciał o niej zapomnieć. Nie udało się ani jedno, ani drugie. Monotonia wojskowego życia, niekończące się powtarzanie obowiązków, stanie w kolejce po jedzenie, do toalety, do golenia, wcale nie pomagały mu oderwać się od trapiących go problemów. Stanie w kolejce przez cały dzień przywoływało te myśli, których Milton chciał za wszelką cenę uniknąć: o piętnie klarnetu, jak ognistym pierścieniu, na poczerwieniałym udzie Tessie. Lub o Vandenbrocku, chłopaku z Omaha, który utonął – jego posiniaczona twarz, morska woda wyciekająca przez połamane zęby.

Chłopcy wokół Miltona już mieli nudności. Po dziesięciu minutach na wzburzonym morzu marynarze pochylali się i zwracali gulasz wołowy oraz purée ziemniaczane z dzisiejszej kolacji na pofałdowany metalowy pokład. Nikt tego nie komentował. Wymiociny, które w świetle księżyca nabierały niesamowitego, niebieskiego koloru, falowały własnym rytmem, przelewając się tam i z powrotem po butach wszystkich żołnierzy. Milton podniósł głowę, starając się odetchnąć świeżym powietrzem.

Łódź kołysała się we wszystkich kierunkach. Z hukiem spadała z fal, aż cały kadłub się trząsł. Dopływali do brzegu, gdzie fale się spiętrzały. Mężczyźni poprawiali plecaki i przygotowywali się do pozorowanego ataku, marynarz Stephanides porzucił więc samotność swojego hełmu.

– Widziałem w bibliotece test – powiedział siedzący obok niego żołnierz do swojego kolegi. – Na tablicy ogłoszeń.

– Jaki test?

– Coś w rodzaju egzaminu wstępnego. Do Annapolis.

– Tak, akurat wezmą kilku takich gości jak my do Annapolis.

– Nieważne, czy wezmą, czy nie. Chodzi o to, że osoby biorące udział w testach są zwolnione z ćwiczeń.

– Co mówiłeś o teście? – zapytał Milton, wtrącając się do rozmowy.

Marynarz rozejrzał się wokół, czy nikt inny nie słyszał.

– Nie mów o tym nikomu. Jeśli wszyscy się zapiszemy, to nic z tego nie wyjdzie.

– Kiedy to jest?

Ale zanim marynarz zdążył odpowiedzieć, usłyszeli głośny zgrzyt – znowu uderzyli o skały. Łódź zatrzymała się gwałtownie i wszyscy polecieli do przodu. Hełmy zadzwoniły o hełmy, połamały się nosy. Marynarze upadli jeden na drugiego, odpadł przedni luk. Do łodzi gwałtownie napływała woda, porucznik zaczął wykrzykiwać rozkazy. Milton wraz z całą resztą znalazł się w środku piekielnej kotłowaniny – czarne skały, wciągający prąd powrotny, butelki po meksykańskim piwie, przestraszone kraby.

W Detroit moja matka, również pogrążona w ciemnościach, siedziała w kinie. Jej narzeczony, Michael Antoniou, powrócił do Świętego Krzyża i soboty miała teraz wolne. Na ekranie kina Esquire migały cyfry:...5...4...3... i zaczęła się kronika filmowa. Rozległ się dźwięk trąbki z tłumikiem. Spiker zaczął podawać wiadomości z wojny. Przez całą wojnę wiadomości czytał ten sam spiker i Tessie uważała go już za dobrego znajomego, był prawie członkiem rodziny. Co tydzień informował ją o działaniach Montgomery'ego i Brytyjczyków, którzy wypierali czołgi Rommla z Północnej Afryki, o amerykańskich wojskach wyzwalających Algierię i lądujących na Sycylii. Żując prażoną kukurydzę, śledziła mijające miesiące i lata. Kronika pokonywała z góry określoną marszrutę. Najpierw uwaga koncentrowała się na Europie. Widać było czołgi przejeżdżające przez małe wioski, witane przez francuskie dziewczęta, machające z balkonów chusteczkami. Francuzki nie sprawiały wrażenia, jakby przeszły wojnę – były ubrane w piękne spódnice z koronkami, białe skarpetki i jedwabne chusty. Żaden mężczyzna nie nosił beretu, co bardzo zaskoczyło Tessie. Zawsze chciała pojechać do Europy, nawet nie tak bardzo do Grecji, jak do Francji czy Włoch. Oglądając te kroniki filmowe, nie zwracała uwagi na zbombardowane budynki, ale raczej na kawiarenki na ulicach, fontanny, na grzeczne, dobrze ułożone małe pieski.

Dwa tygodnie wcześniej oglądała wyzwolenie przez wojska alianckie Antwerpii i Brukseli. Teraz na ekranie akcja przeniosła się do Japonii, w związku z tym zmieniła się również sceneria. W kronice ukazały się palmy i wyspy tropikalne. Tego popołudnia na ekranie widniała data „październik 1944" i spiker ogłaszał:

– Generał Douglas MacArthur, przyrzekający, że dotrzyma swojej obietnicy „powrócimy", dokonuje przeglądu amerykańskich wojsk

przygotowujących się do ostatecznej inwazji na Pacyfiku.

Materiał przedstawiał marynarzy stojących na baczność na pokładzie, wkładających pociski artyleryjskie do dział lub jeżdżących konno po plaży i machających do rodziców w domu. A moja siedząca na widowni matka uświadomiła sobie, że robi coś szalonego. Szukała twarzy Miltona.

Przecież był jej kuzynem, czyż nie? To było zupełnie naturalne, że się o niego martwiła. Ponadto łączyło ich przecież, no, może nie uczucie miłości, ale coś nieco mniej dojrzałego, coś na kształt zauroczenia czy zaślepienia. Coś zupełnie innego od jej związku z Michaelem. Tessie wyprostowała się w fotelu. Poprawiła torebkę na kolanach. Usiadła, jak przystało na zaręczoną młodą damę. Ale gdy skończyła się kronika i zaczął się film, zapomniała o zachowaniu osoby dorosłej. Zanurzyła się w fotelu i położyła nogi na fotelu z przodu.

Być może film tego dnia nie był najlepszy, a może ostatnio oglądała ich zbyt wiele – chodziła do kina przez osiem ostatnich dni z rzędu – bez względu na przyczynę, Tessie nie potrafiła się skupić. Ciągle myślała, że gdyby coś się przytrafiło Miltonowi, gdyby został ranny lub gdyby, uchowaj Boże, nie wrócił, byłaby temu w pewnym sensie winna. To nie ona kazała mu zaciągnąć się do marynarki. Gdyby ją o to zapytał, odradziłaby mu. Ale i tak wiedziała, że zrobił to z jej powodu. To jak w „W stronę piasków" z Claudem Barronem, filmie, który widziała kilka tygodni temu. Claude Barron zaciąga się w nim do Legii Cudzoziemskiej, ponieważ Rita Carrol wychodzi za innego mężczyznę. Okazuje się, że ten drugi facet jest oszustem i pijakiem, więc Rita Carrol odchodzi od niego i wyrusza na pustynię, gdzie Claude Barron walczy z Arabami. Jednak zanim Rita tam dotrze, on już leży ranny w szpitalu, a właściwie nie w szpitalu, tylko w namiocie, i ona wyznaje mu swoją miłość, na co Claude Barron mówi:

– Wyjechałem na pustynię, aby o tobie zapomnieć. Ale piasek miał kolor twoich włosów. Pustynne niebo miało kolor twoich oczu. Gdziekolwiek poszedłem, wszędzie byłaś ty.

A potem umiera. Tessie zalewała się łzami. Tusz do rzęs spłynął na kołnierzyk jej bluzki, plamiąc go przeokropnie.

Ćwiczenia w nocy i chodzenie na sobotnie seanse popołudniowe, wskakiwanie do morza i zsuwanie się w fotelu w kinie, zamartwianie się i żałowanie, żywienie nadziei i próby zapomnienia… jednak zajęciem, któremu w czasie wojny ludzie oddawali się najczęściej, było pisanie

listów. Jakby na potwierdzenie mojego osobistego przekonania, że życie opisywane jest ciekawsze od przeżywanego, owego roku członkowie mojej rodziny większość czasu spędzili właśnie na pisaniu listów. Michael Antoniou dwa razy w tygodniu pisał ze Świętego Krzyża do swojej narzeczonej. Jego listy przychodziły w jasnoniebieskich kopertach z wytłoczoną w lewym górnym rogu podobizną patriarchy Beniamina, a jego charakter pisma na papierze listowym był, podobnie jak jego głos, niewieści i schludny: „Najprawdopodobniej po święceniach zostanę wysłany najpierw gdzieś do Grecji. Po odejściu nazistów będzie tam bardzo dużo do odbudowania".

Przy swoim biurku pod szekspirowskimi podpórkami na książki Tessie odpisywała skrupulatnie, choć może nie do końca zgodnie z prawdą. Większość jej codziennych zajęć nie była na tyle cnotliwa, aby opowiadać o nich narzeczonemu seminarzyście. W związku z tym zaczęła wymyślać bardziej stosowne życie: „Dziś rano poszłyśmy z Zoë pracować jako ochotniczki dla Czerwonego Krzyża – pisała moja matka, która cały dzień spędziła w kinie Fox Theatre, zajadając czekoladki. – Musiałyśmy ciąć stare prześcieradła na bandaże. Szkoda, że nie możesz zobaczyć pęcherza na moim kciuku. Jest ogromny".

Nie od razu zaczęła myśleć, że jej codzienne aktywności nie są odpowiednie. Najpierw Tessie szczerze pisała o swoich zajęciach. Ale w jednym z listów Michael Antoniou napisał: „Filmy stanowią dobrą rozrywkę, jednak nie sądzę, aby w czasie wojny były najlepszą formą spędzania wolnego czasu".

Po tym liście Tessie zaczęła konfabulować. Tłumaczyła sobie te kłamstwa tym, że jest to ostatni rok jej wolności. Następnego lata będzie już żoną księdza i będzie mieszkać gdzieś w Grecji. Aby nieco złagodzić brak szczerości, wszystkie zasługi przypisywała Zoë: „Ona pracuje sześć dni w tygodniu, ale nawet w niedzielę zrywa się wcześnie, aby zabrać panią Tsontakis do kościoła – ta biedaczka ma już dziewięćdziesiąt trzy lata i ledwo powłóczy nogami. Taka jest Zoë. Zawsze myśli o innych".

W tamtym okresie również Desdemona i Milton pisali do siebie. Przed wyjazdem na wojnę mój ojciec obiecał swojej matce, że w końcu nauczy się pisać po grecku. W Kalifornii, leżąc wieczorami na swojej koi, zbyt obolały, żeby się poruszać, Milton, korzystając ze słownika grecko-angielskiego, próbował relacjonować swoje życie w marynarce. Jednak mimo jego

usilnych starań, zanim listy docierały na Hurlbut Street, wiele słów z nich znikało.

– Cóż to za papier? – pytała Desdemona swojego męża, trzymając w ręku list, który wyglądał jak ser szwajcarski. Wojskowi cenzorzy, jak myszy, obgryzali i dziurawili listy Miltona, zanim Desdemona mogła je przetrawić. Odgryzali każdą wzmiankę o inwazji, każde miejsce, w którym pojawiały się słowa „San Diego" czy „Coronado". Wygryzione były całe akapity opisujące bazę marynarki, stojące w porcie niszczyciele i okręty podwodne. A ponieważ cenzorzy jeszcze słabiej znali grekę niż Milton, często popełniali błędy, wycinając czułe słowa, wszystkie krzyżyki oznaczające pocałunki i kółeczka oznaczające uściski.

Mimo tych wszystkich luk (o charakterze składniowym lub fizycznym) w listach Miltona, moja babka potrafiła dostrzec niebezpieczeństwo, w jakim znajdowało się jej dziecko. W jego koślawo pisanych sigmach i deltach domyślała się drżenia ręki ogarniętego trwogą syna. Ponad błędami gramatycznymi wyczuwała nutę strachu w jego głosie. Już sam papier listowy napawał ją przerażeniem, ponieważ wyglądał jak rozerwany na strzępy.

Jednak sam starszy marynarz Stephanides ze wszystkich sił starał się uniknąć obrażeń. W środę rano zameldował się w bibliotece bazy w celu przystąpienia do egzaminów na Akademię Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Przez pięć następnych godzin, gdy tylko podniósł głowę znad papierów egzaminacyjnych, widział swoich kolegów w gorącym słońcu wykonujących ćwiczenia ogólnorozwojowe. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Gdy oni się tam prażyli, Milton siedział pod wentylatorem i pracował nad dowodem matematycznym. Gdy oni musieli biegać tam i z powrotem po piaszczystym boisku, Milton czytał fragment tekstu autorstwa niejakiego Carlyle'a i odpowiadał na pytania sprawdzające umiejętność czytania ze zrozumieniem. A w nocy, gdy oni będą rozbijać się o skały, on będzie leżał wygodnie w swojej koi, mocno śpiąc.

Z nastaniem 1945 roku wszyscy zaczęli się wykręcać od swoich obowiązków. Moja matka ukrywała się przed pracą dobroczynną, siedząc w kinie. Mój ojciec unikał manewrów, uczestnicząc w egzaminach. Ale prawdziwe zwolnienia moja babka załatwiała w samym niebie.

Pewnej marcowej niedzieli przyszła do kościoła Wniebowzięcia jeszcze przed nabożeństwem. Weszła do niszy, stanęła przed ikoną świętego Krzysztofa i zaproponowała mu układ:

– Proszę, święty Krzysztofie – Desdemona ucałowała koniuszki swoich palców i przyłożyła je do czoła świętego. – Jeśli ocalisz Miltona w czasie wojny, nakłonię go, żeby obiecał, że wróci do Bithynios i naprawi kościół.

Podniosła wzrok na świętego Krzysztofa, męczennika Azji Mniejszej.

– Jeśli Turcy go zniszczyli, Milton go odbuduje. Jeśli trzeba tylko go pomalować, on pomaluje.

Święty Krzysztof był olbrzymem. Dzierżył w dłoni laskę i przekraczał wzburzoną rzekę. Na plecach niósł Dzieciątko Jezus, najcięższe dziecko w historii, ponieważ trzymało w dłoniach cały świat. Czy był jakiś lepszy święty, który mógłby ochronić jej syna przed niebezpieczeństwami czyhającymi na morzu? W tym zacienionym, oświetlonym światłem lampki miejscu Desdemona modliła się. Poruszała ustami, przedstawiając warunki umowy.

– Zależałoby mi również, jeśli to możliwe, święty Krzysztofie, na tym, żeby zwolniono Miltiego z ćwiczeń. Mówi, że to bardzo niebezpieczne. Pisze do mnie po grecku, święty Krzysztofie. Niezbyt poprawnie, ale nieźle. Nakłonię go również, aby obiecał wstawić do kościoła nowe ławki i, jeśli ci się to spodoba, jakieś dywany.

Ucichła i zamknęła powieki. Przeżegnała się kilka razy w oczekiwaniu na odpowiedź. Wtem jej kręgosłup się wyprostował. Otworzyła oczy, skinęła głową i uśmiechnęła się. Ucałowała koniuszki swoich palców, przyłożyła je do obrazu świętego i pospieszyła do domu, aby przekazać Miltonowi dobre nowiny.

– Tak, jasne – powiedział mój ojciec, gdy otrzymał list od swojej matki. – Święty Krzysztof na ratunek.

Wsunął list do słownika grecko-angielskiego i zaniósł go do spalenia w piecu za półkolistym barakiem z blachy. (Na tym mój ojciec zakończył naukę greki. I choć nadal mówił do swoich rodziców po grecku, nigdy nie nauczył się pisać w tym języku, a w miarę upływu czasu zapominał nawet znaczenia najprostszych słów. W końcu potrafił powiedzieć niewiele więcej niż Jonasz lub ja, czyli praktycznie nic).

Sarkazm Miltona był w pełni zrozumiały, biorąc pod uwagę okoliczności.

Właśnie dzień wcześniej dowódca przydzielił Miltonowi nowe zadanie na nadchodzącą inwazję. Wiadomości, jak to zwykle bywa w przypadku tych złych, nie od razu trafiły do odbiorcy. Jakby słowa dowódcy kierowane do Miltona zostały poprzekreślane przez chłopców z sekcji wywiadu. Milton zasalutował i odmaszerował. Szedł dalej w kierunku plaży, a usłyszane słowa nadal nie robiły na nim żadnego wrażenia, złe wieści działały dyskretnie, pozwalając mu na te kilka ostatnich, spokojnych chwil ułudy. Patrzył na zachód słońca. Podziwiał foki leżące na skałach tak neutralnych jak Szwajcaria. Zdjął buty, aby poczuć piasek pod stopami, jakby świat był miejscem, na którym miał dopiero rozpocząć życie, a nie z którym miał wkrótce się pożegnać. Jednak po chwili zaczęły się pojawiać pęknięcia. Szczelina na czubku głowy, przez którą zaczęły sączyć się z sykiem złe wiadomości; rysy w kolanach, uginających się pod nim, i nagle Milton nie potrafił już się przed tym obronić.

Trzydzieści osiem sekund. Tyle trwała wiadomość.

– Stephanides, przenosimy was na sygnalistę. Jutro o siódmej rano meldujecie się w budynku B. Spocznij! – To właśnie powiedział dowódca. Tylko tyle. Tak naprawdę nie było to żadnym zaskoczeniem. Wraz ze zbliżającą się inwazją wystąpił nagły wzrost obrażeń wśród sygnalistów. Sygnaliści odcinali sobie palce podczas służby w kuchni. Sygnaliści strzelali w swoje stopy podczas czyszczenia broni. W czasie nocnych ćwiczeń sygnaliści rzucali się na skały.

Trzydzieści osiem sekund – tyle wynosiła średnia długość życia sygnalisty. Podczas desantu starszy marynarz Stephanides będzie stał na dziobie łodzi. Będzie obsługiwał lampę, wysyłając sygnały w alfabecie Morse'a. Ta lampa będzie świeciła jasno i będzie doskonale widoczna ze znajdujących się na brzegu pozycji wroga. O tym właśnie myślał, stojąc boso na plaży. Myślał, że już nigdy nie przejmie baru ojca. Myślał, że już nigdy nie zobaczy Tessie. Zamiast tego już za kilka tygodni będzie stał na dziobie łodzi, wystawiony na ogień przeciwnika, trzymając jasne światło. Przynajmniej przez krótką chwilę.

Nieprzedstawione w wiadomościach ze świata – scena wyjścia statku transportowego z bazy marynarki Coronado, kurs na zachód. W kinie

Esquire, podnosząc nogi znad klejącej się podłogi, Tessie Zizmo patrzy na białe strzałki przemierzające Pacyfik.

– Dwunasta Flota Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych posuwa się naprzód, kontynuując inwazję na Pacyfiku – mówi spiker. – Punkt docelowy: Japonia.

Jedna strzałka zaczyna się w Australii i przechodzi przez Nową Gwineę w kierunku Filipin. Druga strzałka wystrzeliwuje z Wysp Salomona, a następna z Wysp Mariańskich. Tessie nigdy wcześniej nie słyszała o tych miejscach. Ale strzałki biegną dalej, kierując się w stronę innych wysp, o których również nigdy nie słyszała – Iwo Jima, Okinawa – oznaczonych flagami ze wschodzącym słońcem. Strzałki zbiegają się z trzech kierunków i skupiają się na Japonii, samej będącej zbiorowiskiem wysp. Gdy już Tessie zapoznaje się z geografią, zaczyna się prezentacja materiału filmowego. Ręka uderza w dzwon alarmowy, marynarze wyskakują z koi, w przyspieszonym tempie biegną po schodkach, zajmują pozycje bojowe. I nagle widzi go – Miltona – biegnącego po pokładzie okrętu! Tessie rozpoznaje jego chudą klatkę piersiową, jego oczy szopa. Zapomina o podłodze i stawia na niej stopy. Na ekranie widać bezgłośne wystrzały z dział niszczyciela, a na drugim końcu świata, w eleganckim kinie w starym stylu, Tessie Zizmo czuje siłę odrzutu. Kino jest wypełnione do połowy, głównie przez młode kobiety, takie jak ona. One również z emocji pogryzają cukierki, one również śledzą ziarnisty obraz kroniki filmowej w poszukiwaniu twarzy swoich narzeczonych. W powietrzu unosi się woń prażonej kukurydzy i perfum, a także papierosa palonego przez woźnego w holu. Przez większość czasu wojna jest czymś abstrakcyjnym, czymś, co dzieje się gdzieś daleko. Ale tu, przez te cztery czy pięć minut, wciśnięta między kreskówkę a film fabularny, staje się realna. Może to ta anonimowość, to uczucie współuczestnictwa w tłumie tak wpływają na Tessie, wywołując ten rodzaj uniesienia, jaki wzbudza Sinatra. Bez względu na powód, Tessie Zizmo w świetle rzucanym przez ekran kinowy jak przy lampce nocnej pozwala sobie wrócić wspomnieniami do tego, o czym dotychczas starała się zapomnieć: klarnet sunący w górę jej gołej nogi, podążający jak oddziały inwazyjne za strzałką do jej własnego imperium na wyspie, które, jak to sobie w tym momencie uświadamia, oddaje w ręce nie tego mężczyzny co trzeba. Projektor filmowy rzuca nad jej głową skośny migoczący promień, a Tessie przyznaje przed samą sobą,

że nie chce wyjść za Michaela Antoniou. Nie chce być żoną księdza i wyjechać do Grecji. Gdy patrzy na Miltona w kronice filmowej, jej oczy wypełniają się łzami i mówi na głos:

– Dokądkolwiek nie poszłam, wszędzie byłeś ty.

Siedzący obok ludzie uciszają ją, a w tym samym momencie na ekranie do kamery zbliża się ten marynarz – i Tessie uświadamia sobie, że to nie jest Milton. Ale to już nie ma żadnego znaczenia. Zobaczyła, co miała zobaczyć. Wstaje i wychodzi.

Tego samego popołudnia na Hurlbut Street Desdemona leżała w łóżku. Nie wstawała już od trzech dni, od czasu, gdy listonosz przyniósł kolejny list od Miltona. List nie był napisany po grecku, ale po angielsku, i Lefty musiał go przetłumaczyć:

Kochani,
to ostatni list, jaki będę mógł wam wysłać (mamo, przepraszam, że nie piszę w ojczystym języku, ale nie mam zbyt dużo czasu). Dowództwo nie pozwala mi rozpisywać się o tym, co tu się dzieje, ale chciałem tylko przesłać wam tę informację, żebyście się o mnie nie martwili. Wysyłają mnie w bezpieczne miejsce. Tato, dbaj o bar. Pewnego dnia wojna się skończy i będę chciał zająć się rodzinnym interesem. Niech Zo trzyma się z daleka od mojego pokoju.

Pozdrawiam i całuję,
Milt

W przeciwieństwie do poprzednich listów, ten nadszedł w stanie nienaruszonym. Ani jednej dziurki. Desdemona najpierw bardzo się z tego ucieszyła, ale później zrozumiała, co to oznaczało. Już nie trzeba było dochowywać tajemnicy. Inwazja właśnie się zaczęła.

Po przeczytaniu listu Desdemona wstała od stołu i z wyrazem triumfującego przygnębienia złożyła poważne oświadczenie:

– Bóg wymierzył nam karę, na jaką zasłużyliśmy – rzekła.

Poszła do salonu, w którym poprawiła poduszkę na sofie, i weszła po schodach do sypialni. Tam rozebrała się i włożyła koszulę nocną, chociaż była dopiero dziesiąta rano. A potem, po raz pierwszy od czasu, gdy była w ciąży z Zoë, i po raz ostatni przed tym, jak dwadzieścia pięć lat później na zawsze zamknęła się na górze, moja babka położyła się do łóżka.

Leżała tam trzy dni, wstając tylko do toalety. Mój dziadek daremnie starał się poprawić jej nastrój. Kiedy trzeciego dnia poszedł do pracy, przyniósł trochę jedzenia, talerz fasoli w sosie pomidorowym i chleb.

Posiłek nadal stał nietknięty na stoliczku przy łóżku, gdy ktoś zapukał do drzwi frontowych. Desdemona nie wstała, aby otworzyć, tylko naciągnęła sobie poduszkę na głowę. Jednak mimo tego wytłumienia słyszała, że pukanie nie ustaje. Po chwili drzwi się otworzyły i usłyszała na schodach odgłos kroków osoby kierującej się do jej pokoju.

– Ciociu Des? – zapytała Tessie.

Desdemona nie poruszyła się.

– Muszę ci coś powiedzieć – ciągnęła Tessie. – Chciałam, żebyś pierwsza wiedziała.

Postać w łóżku nadal się nie poruszała. Jednak czujność, jaka ogarnęła ciało Desdemony, zasygnalizowała Tessie, że ciotka nie spała i słuchała. Tessie wzięła oddech i ogłosiła:

– Mam zamiar odwołać ślub.

Nastała cisza. Desdemona powoli zsunęła poduszkę z twarzy. Sięgnęła po leżące na nocnym stoliczku okulary, założyła je i usiadła na łóżku.

– Nie chcesz wyjść za Michaela?

– Nie.

– Mikey to dobry grecki chłopiec.

– Wiem. Ale ja go nie kocham. Kocham Miltona.

Tessie oczekiwała, że Desdemona będzie zgorszona lub oburzona, ale ku jej zaskoczeniu ledwo można było zauważyć, że moja babka usłyszała to wyznanie.

– Pewnie o tym nie wiesz, ale kiedyś Milton prosił mnie, żebym za niego wyszła. Odmówiłam. Teraz do niego napiszę i wyrażę zgodę.

Desdemona tylko lekko wzruszyła ramionami.

– Możesz pisać, co chcesz, słodka *mou*. Miltie niczego nie dostanie.

– To nie jest nielegalne. Nawet kuzyni w pierwszym stopniu pokrewieństwa mogą się pobierać, a my jesteśmy przecież spokrewnieni przez rodzeństwo naszych dziadków. Milton poszedł sprawdzić wszystkie przepisy i regulaminy.

Desdemona jeszcze raz wzruszyła ramionami. Wyczerpana ze zmartwienia, opuszczona przez świętego Krzysztofa, już nie przeciwstawiała się temu, do czego na początku starała się nie dopuścić.

– Jeśli chcecie się pobrać z Miltonem, macie moje błogosławieństwo – powiedziała. Następnie, po udzieleniu błogosławieństwa, opadła ponownie na poduszki i zamknęła oczy na udręki życia. – I niech Bóg da, żebyś nigdy nie miała dziecka, które zginie na oceanie.

W mojej rodzinie na stołach weselnych zawsze pojawiały się potrawy pogrzebowe. Moja babka zgodziła się wyjść za mojego dziadka, ponieważ nie wierzyła, że dożyje dnia ślubu. I moja babka pobłogosławiła małżeństwo moich rodziców po tym, jak bardzo intensywnie spiskowała przeciwko niemu, ponieważ nie wierzyła, że Milton doczeka końca tygodnia.

Milton na morzu również w to nie wierzył. Stojąc na dziobie okrętu transportowego, wypatrywał nad wodą swojego szybko zbliżającego się końca. Nie czuł potrzeby modlenia się czy też wyrównywania rachunków z Bogiem, widział tylko znajdującą się przed nim nieskończoność, ale nie ogrzewał jej ludzkimi pragnieniami. Nieskończoność była tak rozległa i zimna, jak rozciągający się wokół okrętu ocean, i w tej całej pustce Milton najdotkliwiej odczuwał rzeczywistość swojego brzęczącego mózgu. Gdzieś tam, za wodą, była kula, która miała zakończyć jego życie. Może już była załadowana do japońskiego karabinu, z którego ma zostać wystrzelona, może tkwiła w taśmie z nabojami. Miał dwadzieścia jeden lat, przetłuszczającą się skórę, wydatne jabłko Adama. Przyszło mu na myśl, że głupotą było uciekać na wojnę przez dziewczynę, ale zaraz odrzucił tę myśl, ponieważ to nie była jakaś tam dziewczyna, to była Theodora. Stanęła mu przed oczami i w tym momencie jakiś marynarz klepnął go w plecy.

– Kogo ty znasz w Waszyngtonie?

Wręczył mojemu ojcu rozkaz przeniesienia, obowiązujący od zaraz. Miał się zameldować w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Podczas egzaminów wstępnych Milton uzyskał dziewięćdziesiąt osiem punktów.

W każdym greckim dramacie występuje *deus ex machina*. W moim pojawia się w postaci krzesełka bosmańskiego, które zabrało mojego dziadka z pokładu okrętu transportowego i uniosło go w powietrzu, aby przenieść go na pokład niszczyciela zdążającego z powrotem na kontynent amerykański. Z San Francisco pojechał eleganckim wagonem pulmanowskim do Annapolis, gdzie został zapisany jako kadet.

– Mówię ci, to święty Krzysztof wyciągnął cię z tej wojny – Desdemona nie posiadała się z radości, gdy zadzwonił do domu z wiadomością.

– Tak, na pewno.

– Teraz musisz naprawić kościół.

– Co?

– Kościół. Musisz go naprawić.

– Jasne, jasne – odpowiedział kadet marynarki wojennej Stephanides i być może nawet miał taki zamiar. Był wdzięczny, że żyje i że znowu istniała przyszłość. Ale z różnych przyczyn Milton odkładał swoją podróż do Bithynios. Po roku był żonaty, następnie został ojcem. Wojna się skończyła. Ukończył akademię i służył podczas wojny koreańskiej. Wreszcie wrócił do Detroit i zajął się prowadzeniem rodzinnego interesu. Od czasu do czasu Desdemona przypominała mu o niespełnionym zobowiązaniu względem świętego Krzysztofa, ale mój ojciec zawsze znajdował wymówkę, aby go nie wypełnić. Jego opieszałość mogła przynieść katastrofalne skutki, jeśli wierzyć w takie rzeczy, co mnie czasami się zdarza, zwłaszcza gdy wzbiera we mnie grecka krew.

Moi rodzice pobrali się w czerwcu 1946 roku. Okazując swoją wyrozumiałość, w ślubie uczestniczył Michael Antoniou. Wówczas już wyświęcony ksiądz, przedstawiał swoją osobą postać pełną godności i życzliwości, ale już w drugiej godzinie przyjęcia weselnego wyraźnie było widać, że jest załamany. Przy kolacji wypił zbyt dużo szampana i gdy zaczęła grać kapela, szybko odszukał drugą po pannie młodej najlepszą dziewczynę na weselu – druhnę Zoë Stephanides.

Zoë patrzyła na niego z góry – była wyższa o około trzydzieści centymetrów. Poprosił ją do tańca. Zanim zdążyła zareagować, już wirowali na parkiecie sali balowej.

– Tessie dużo mi o tobie pisała w swoich listach – powiedział Michael Antoniou.

– Mam nadzieję, że nie całkiem źle.

– Wprost przeciwnie. Pisała mi, jaką jesteś dobrą chrześcijanką.

Długie szaty zakrywały jego małe stopy i Zoë miała kłopoty nadążyć za nim w tańcu. W pobliżu tańczyła Tessie z Miltonem ubranym w biały mundur marynarski. Gdy te dwie pary się mijały, Zoë z komicznym wyrazem twarzy spojrzała na Tessie i powiedziała bezgłośnie:

– Zabiję cię! – ale w tym momencie Milton zakręcił Tessie i dwóch rywali stanęło twarzą w twarz.

– Witaj, Mike – powiedział serdecznie Milton.

– Teraz już ojciec Mike – odpowiedział pokonany zalotnik.

– Awansowałeś, tak? Gratulacje. Mam nadzieję, że mogę ci powierzyć moją siostrę.

Tańcząc, odsunął się z Tessie, która tylko wzrokiem wyraziła przeprosiny. Zoë, która dobrze wiedziała, jak bardzo denerwujący może być jej brat, zrobiło się żal ojca Mike'a. Zaproponowała, żeby spróbowali tortu weselnego.

Ex Ovo Omnia

Podsumujmy: Sourmelina Zizmo (z domu Papadiamandopoulos) nie tylko była moją krewną szóstego stopnia. Była również moją babką. Mój ojciec był równocześnie bratankiem swojej matki i siostrzeńcem swojego ojca. Moi dziadkowie, Desdemona i Lefty, byli ponadto, odpowiednio, moją babcią stryjeczną i dziadkiem ciotecznym. Moi rodzice byli zarazem moimi krewnymi siódmego stopnia, a Jonasz moim krewnym szóstego stopnia oraz moim bratem. Drzewo genealogiczne rodziny Stephanides, narysowane w książce doktora Luce'a zatytułowanej „Autosomalna transmisja cech recesywnych", zawiera dużo więcej szczegółów i nie sądzę, aby wszystkie interesowały czytelnika. Skupiłem się tylko na kilku ostatnich transmisjach genu. Już prawie dotarliśmy do celu. Na cześć panny Barrie, która w ósmej klasie uczyła mnie łaciny, chciałbym zwrócić uwagę na powyższy cytat: *ex ovo omnia*. Podnosząc się z ławki (jak robiliśmy to zawsze, gdy panna Barrie wchodziła do klasy), słyszę jej pytanie:

– Dzieci, czy ktoś może przetłumaczyć ten fragmencik i podać, skąd pochodzi?

Podnoszę rękę.

– Proszę, rozpocznie Calliope, nasza muza.

– To jest cytat z Owidiusza. Z „Metamorfoz". Opowieści o stworzeniu.

– Wspaniale. A czy możesz przetłumaczyć to na język angielski?

– Wszystko pochodzi z jaja.

– Słyszałyście, dzieci? Ta klasa, wasze rozpromienione twarze, a nawet ten stary Cyceron na moim biurku – to wszystko powstało z jaja!

Wśród różnych tajemnic, jakimi podzielił się z moją rodziną przy stole w jadalni przez te wszystkie lata doktor Philoboshian (oprócz niesamowitych skutków działania matczynej wyobraźni), była siedemnastowieczna teoria preformacji. Zwolennicy preformacji – Spallazani, Swammerdam, Leeuwenhoek (od samego czytania tych

nazwisk może się człowiekowi zakręcić w głowie, jak na kolejce górskiej) – uważali, że cała ludzkość istniała w miniaturze już od samego stworzenia: albo w nasieniu Adama, albo w jajniku Ewy, a każda osoba była wciśnięta w kolejną, jak matrioszki. Wszystko się zaczęło, gdy Jan Swammerdam użył skalpela w celu odsłonięcia zewnętrznych warstw pewnego owada. Jakiego? No… należącego do typu stawonogów. Nazwa łacińska? Dobrze: *Bombyx mori*. Owadem, którego użył w 1669 roku do swoich badań Swammerdam, był ni mniej, ni więcej tylko jedwabnik morwowy. Przed publicznością złożoną z intelektualistów Swammerdam przeciął skórę jedwabnika i ujawnił coś, co wyglądało na umieszczony w środku drobny model przyszłej ćmy, od trąbki, przez czułki, po złożone skrzydła. Narodziła się teoria preformacji.

W podobny sposób wyobrażam sobie mojego brata i mnie, jak unosimy się wspólnie od samego początku świata na naszej furze jaj. Każdy otoczony przezroczystą membraną, każdy naznaczony określoną dla niego lub dla niej (w moim wypadku dla obojga) godziną narodzin. Tam jest Jonasz, zawsze blady i już w wieku dwudziestu trzech lat łysy, dzięki czemu można go uznać za idealnego homunkulusa. Wydatna czaszka wskazuje na jego przyszłe uzdolnienia matematyczne i techniczne. Jego niezdrowa bladość świadczy o nadchodzącej chorobie Crohna-Leśniowskiego. Tuż obok jestem ja, jego była siostra, o już wtedy zagadkowej twarzy, zmieniającej się jak soczewkowata kalkomania, od wizerunku ciemnookiej, ślicznej dziewczynki, jaką kiedyś byłem, do obrazu postaci jak z rzymskiej monety, o surowym obliczu z orlim nosem, jaką jestem obecnie. I tak dryfowaliśmy, nasza dwójka, od początku świata, czekając na wezwanie i obserwując toczące się przedstawienie.

Na przykład: Milton Stephanides w 1949 roku kończy studia w Annapolis. Jego biała czapka leci wysoko w górę. On i Tessie stacjonowali w Pearl Harbour, gdzie mieszkali w skromnym małżeńskim domostwie i gdzie moja matka, w wieku dwudziestu pięciu lat, oparzyła się na słońcu i od tego czasu nikt już jej nie widział w kostiumie kąpielowym. W 1951 roku zostali przeniesieni do Norfolku w stanie Wirginia i wtedy zaczął drżeć znajdujący się obok mnie pęcherzyk z Jonaszem. Musiał jednak pozostać na swoim miejscu i oglądać konflikt koreański, podczas którego chorąży Stephanides służył na ścigaczu okrętów podwodnych. Przez te lata śledziliśmy formowanie się dorosłego charakteru Miltona, nabierającego

rzeczowości, jaka miała cechować później naszego ojca. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych była odpowiedzialna za dokładność, z jaką Milton Stephanides zawsze robił przedziałek na głowie, za jego zwyczaj polerowania sprzączki pasa rękawem koszuli, jego „tak jest" i „wszystko na tip-top" oraz jego domaganie się od nas, abyśmy zawsze synchronizowali zegarki w centrum handlowym. Pod mosiężnym orłem i rózgami liktorskimi na swojej czapce chorążego Milton Stephanides zupełnie pożegnał się z okresem skautowskim. W marynarce nabrał miłości do żeglowania i niechęci do stania w kolejkach. Wtedy też ukształtowały się jego opinie polityczne, jego antykomunizm, nieufność wobec Rosjan. Pobyty w portach pośrednich w Afryce i w Azji Południowo-Wschodniej wpływały na jego opinię o ilorazie inteligencji różnych ras. Aroganckie zachowanie się dowódców było przyczyną jego nienawiści do liberałów ze Wschodu i do wyższych sfer. Jednocześnie zaczął lubować się w strojach ze sklepów Brooks Brothers i gustować w mokasynach z frędzlami i lekkich, bawełnianych szortach w paski. Poznaliśmy upodobania naszego ojca, zanim jeszcze pojawiliśmy się na świecie, ale później zapomnieliśmy o tym i musieliśmy się uczyć wszystkiego od nowa. Gdy w 1953 roku skończyła się wojna koreańska, Milton ponownie został przeniesiony do Norfolku. A w marcu 1954 roku, kiedy mój ojciec zastanawiał się nad tym, co robić w przyszłości, Jonasz pomachał mi na pożegnanie, podniósł ręce i popłynął zjeżdżalnią w dół na świat.

A ja zostałem sam.

Wydarzenia w latach poprzedzających moje narodziny: po tym, jak tańczył z Zoë na weselu moich rodziców, ojciec Mike łaził za nią uporczywie przez następne dwa i pół roku. Zoë nie podobał się pomysł poślubienia ani kogoś tak religijnego, ani tak drobnego. Ojciec Mike oświadczał się jej trzykrotnie i za każdym razem odmawiała, czekając na kogoś lepszego. Ale nikt się nie pojawił. W końcu, czując, że nie ma innego wyboru (i do tego stale nakłaniana przez Desdemonę, która nadal uważała, że poślubienie osoby duchownej to wspaniała sprawa), Zoë uległa. W 1949 roku wyszła za ojca Mike'a i wkrótce wyjechali do Grecji. Tam urodziła czwórkę dzieci, moich kuzynów, i mieszkała przez następne osiem lat.

W 1950 roku getto Czarne Dno w Detroit zostało zrównane z ziemią, aby można było poprowadzić tam autostradę. Naród Islamu, którego religijna siedziba mieściła się obecnie w Świątyni Numer 2 w Chicago, miał nowego

pastora o imieniu Malcolm X. W zimie 1954 roku Desdemona po raz pierwszy zaczęła mówić o emeryturze na Florydzie.

– Na Florydzie jest takie miasto, które wiecie jak się nazywa? New Smyrna Beach!

W 1956 roku ostatni tramwaj przejechał ulicami Detroit i zamknięto zakłady Packarda. W tym samym roku Milton Stephanides, zmęczony wojskowym życiem, opuścił marynarkę wojenną i wrócił do domu, aby zrealizować swoje dawne marzenia.

– Weź się za coś innego – powiedział synowi Lefty Stephanides. Siedzieli w barze „Zebra", pijąc kawę. – Po to poszedłeś do Akademii Marynarki Wojennej, żeby zostać barmanem?

– Nie chcę być barmanem. Chcę prowadzić restaurację. Całą sieć restauracji. A tu jest dobre miejsce, żeby zacząć.

Lefty pokręcił głową. Odchylił się do tyłu i rozpostarł ręce, obejmując cały bar.

– Tu nie ma czego zaczynać – stwierdził.

Miał dużo racji. Mimo że mój dziadek wytrwale mieszał drinki i ciągle wycierał kontuar, bar przy Pingree Street utracił dawną świetność. Wciąż jeszcze wisząca na ścianie stara skóra zebry wyschła i popękała. Dym z papierosów przybrudził romboidalne kształty blaszanego sufitu. Przez lata bar „Zebra" wchłaniał wyziewy i opary wznoszące się znad jego klienteli, składającej się z pracowników przemysłu motoryzacyjnego. Miejsce było przesycone zapachem wypijanego przez nich piwa, ich płynu do włosów, ich niedoli odbijania karty zegarowej przy wejściu do pracy, ich starganych nerwów, ich działalności związkowej. Zmieniała się również cała dzielnica. Gdy mój dziadek otwierał bar w 1933 roku, zamieszkiwali tu biali przedstawiciele klasy średniej. Teraz okolica zubożała i mieszkali tu głównie Murzyni. Nieunikniony łańcuch przyczynowo-skutkowy – gdy tylko w okolicy wprowadziła się pierwsza murzyńska rodzina, biali sąsiedzi natychmiast wystawiali swoje domy na sprzedaż. Nadmierna podaż domów powodowała spadek cen nieruchomości, dzięki czemu mogli wprowadzać się coraz biedniejsi, z ubóstwem przyszła przestępczość, a ze wzrostem przestępczości – więcej przeprowadzek.

– Interesy nie idą już tak dobrze, jak kiedyś – twierdził Lefty. – Jeśli chcesz otworzyć knajpę, spróbuj w dzielnicy greckiej lub w Birmingham.

Mój ojciec zbył te argumenty machnięciem ręki.

– Być może bar nie prosperuje zbyt dobrze – powiedział. – Ale to dlatego, że w okolicy jest już ich zbyt wiele. Za duża konkurencja. W tej dzielnicy potrzebna jest dobra tania restauracja.

Można powiedzieć, że sieć Hercules Hot Dogs™, która w okresie swojej świetności mogła poszczycić się sześćdziesięcioma sześcioma punktami w całym Michigan, Ohio i południowo-wschodniej Florydzie (a każda restauracja była rozpoznawalna po stojących z przodu, charakterystycznych słupach Heraklesa), powstała w śnieżny lutowy poranek 1956 roku, kiedy to mój ojciec przybył do baru „Zebra", aby rozpocząć przebudowę. Zaczął od tego, że usunął obwisłe żaluzje z okien od ulicy, aby wpuścić do środka nieco więcej światła. Pomalował wnętrze na śnieżnobiały kolor. Zaciągnął kredyt dla byłych wojskowych i przekształcił bar w restauracyjny kontuar, zamontował także niewielką kuchnię. Robotnicy ustawili wzdłuż ścian czerwone winylowe boksy i obili stare stołki barowe skórą z zebry Jimmy'ego Zizmo. Pewnego ranka dwóch dostawców wniosło przez główne drzwi szafę grającą. W restauracji stukały młotki, w powietrzu unosiły się trociny, a Milton zapoznawał się z papierami i dokumentami, które Lefty niefrasobliwie trzymał pod kasą w pudełku po cygarach.

– Co jest, do diabła? – pytał ojca. – Masz na ten lokal trzy polisy ubezpieczeniowe?

– Nigdy za dużo ubezpieczenia – odpowiedział Lefty. – Czasami towarzystwa nie wypłacają odszkodowań. Lepiej mieć pewność.

– Pewność? Każda z nich opiewa na wyższą sumę niż to miejsce jest warte. Za wszystkie płacimy? To jest wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Dotychczas Lefty pozwalał synowi na wprowadzanie dowolnych zmian. Ale tu się uparł.

– Posłuchaj, Milton. Ty nie przeżyłeś pożaru. Nie wiesz, co się może jeszcze wydarzyć. Czasami w pożarze idzie z dymem również towarzystwo ubezpieczeniowe. I co wtedy możesz zrobić?

– Ale żeby trzy...

– Potrzebujemy trzech – uparcie twierdził Lefty.

– Musisz mu ustąpić – powiedziała Tessie do Miltona wieczorem. – Twoi rodzice wiele przeszli.

– Oczywiście, że dużo przeszli. Ale to my będziemy musieli płacić te wszystkie składki.

Zrobił jednak, jak poradziła mu żona, i zachował trzy polisy.

Bar „Zebra", jaki pamiętam z dzieciństwa: pełen sztucznych kwiatów, żółtych tulipanów, czerwonych róż, karłowatych drzew rodzących różane jabłka. Z dzbanków do herbaty wyrastały plastikowe stokrotki, żonkile rozkwitały w ceramicznych krowach. Ściany zdobiły fotografie Artie Shawa i Binga Crosby'ego, a obok nich widniały odręczne napisy, głoszące: „ZAPRASZAMY NA CYTRYNOWY KOKTAJL RICKEY!" i „NAJLEPSZE W MIEŚCIE GRZANKI FRANCUSKIE!". Były zdjęcia Miltona, który nakłada wisienkę na właśnie przygotowany koktajl mleczny albo całuje czyjeś dziecko, jak jakiś burmistrz. Wisiały również zdjęcia rzeczywistych burmistrzów – Mirianiego i Cavanaugha. Wspaniały, grający na prawym skrzydle w ataku Al Kaine, który wpadł tu po drodze na trening na stadionie Tiger, złożył autograf na własnym zdjęciu: „Dla mojego kumpla Milta, najlepsze jajka!". Kiedy spalił się grecki prawosławny kościół we Flint, Milton pojechał tam samochodem i wyniósł z popiołów jeden z ocalałych witraży. Powiesił go na ścianie nad boksami. Puszki oliwy z oliwek Athena stały rzędem obok popiersia Donizettiego na oknie od ulicy. Panował tu jeden wielki groch z kapustą: babcine lampy stały obok reprodukcji El Greca, z szyi statuetki Afrodyty zwisały bycze rogi. Na półce nad ekspresem do kawy pyszniła cała galeria figurek: Paul Bunyan i jego przyjaciel – niebieski wół Babe the Blue Ox, Myszka Miki, Zeus i kot Felix.

Mój dziadek starał się być pomocny, więc pewnego razu wziął samochód i przywiózł stos pięćdziesięciu talerzy.

– Już zamówiłem talerze – powiedział Milton. – Z punktu zaopatrzenia restauracji. Kosztuje nas to dziesięć procent mniej.

– Nie chcesz tych? – Lefty wyglądał na rozczarowanego. – W porządku. Oddam je.

– Hej, tato! – zawołał za nim syn. – Może zrób sobie dzień przerwy. Ja sobie poradzę.

– Nie potrzebujesz pomocy?

– Idź do domu. Niech mama zrobi ci obiad.

Lefty zrobił, jak mu powiedziano. Ale gdy jechał West Grand Boulevard, czując się zupełnie niepotrzebny, minął sklep zaopatrzenia medycznego Rubsamen – z brudnymi oknami i neonem, który migał nawet w dzień – i poczuł, że powraca stara pokusa.

W następny poniedziałek Milton otworzył nową restaurację. Otwarcie odbyło się o szóstej rano i uczestniczył w nim świeżo zatrudniony personel – Eleni Papanikolas, w kupionym za własne pieniądze stroju kelnerki, oraz jej mąż Jimmy, kucharz baru szybkiej obsługi.

– Pamiętaj, Eleni, twoja pensja składa się głównie z napiwków – zachęcał ją Milton. – Uśmiechaj się.

– Do kogo? – spytała Eleni. Bo mimo czerwonych goździków we flakonikach dekorujących każdy boks, mimo menu, pudełek zapałek i serwetek ozdobionych paskami zebry, sam bar „Zebra" był pusty.

– Mądrala – powiedział Milton, szczerząc zęby. Nie przejmował się żartami Eleni. Wszystko było dopracowane. Znalazł lukę na rynku i ją zagospodarował.

Aby zaoszczędzić czas, przedstawię krótki fotomontaż prezentujący narodziny kapitału. Widzimy Miltona, jak wita pierwszych klientów. Eleni podaje im jajecznicę. Widzimy Miltona i Eleni, jak stoją z tyłu, zagryzając wargi. Ale klienci już się uśmiechają i kiwają głowami! Eleni podbiega, aby dolać kawy. Następnie Milton, w innym ubraniu, wita już większą grupę gości. Kucharz Jimmy rozbija jajka jedną ręką, a Lefty wygląda na odstawionego na boczny tor.

– Dwa smażone z żytnim! – krzyczy Milton, prezentując swój nowy żargon. – Z białym, bez smarowania i bez lodu!

Zbliżenie na kasę, otwieraną i zamykaną przy dźwięku dzwonka, dłonie Miltona przeliczające pieniądze, Lefty'ego, który wkłada kapelusz i wychodzi niezauważony. I coraz więcej jaj: rozbijanych, smażonych, odwracanych i mieszanych, jaj wjeżdżających w kartonach przez tylne drzwi i wyjeżdżających na talerzach przez okienko z przodu, puszyste stosy jajecznicy w jaśniejącym żółtym technikolorze, i znowu kasa, otwierająca się z trzaskiem, i rosnący stos pieniędzy. I na koniec widzimy Miltona i Tessie, wystrojonych, kroczących za pracownikiem agencji handlu nieruchomościami przez wielki dom.

Dzielnica Indian Village leżała tylko dwanaście przecznic dalej na zachód od Hurlbut Street, ale wyglądała jak z innego świata. Na czterech wspaniałych ulicach Burns, Iroquois, Seminole i Adams (nawet w wiosce indiańskiej połowa nazw musiała pochodzić od białych ludzi) stały rzędem okazałe posiadłości w stylu eklektycznym. Georgiańskie budowle

z czerwonej cegły wznosiły się obok elżbietańskich, które ustępowały miejsca domom w stylu francuskiej prowincji. Domy w Indian Village miały duże ogrody z pięknymi ścieżkami, malowniczo mieniące się światłem kopuły, figurki murzyńskiego dżokeja na trawniku (których dni były już policzone) oraz alarmy antywłamaniowe (których popularność dopiero się zaczynała). Mój dziadek nic jednak nie mówił, zwiedzając nowy, imponujący dom swojego syna.

– Jak ci się podobają rozmiary tego salonu? – pytał go Milton. – Proszę, usiądź. Rozgość się. Tessie i ja chcemy, żebyście z mamą czuli się tu jak we własnym domu. Teraz, gdy przeszedłeś na emeryturę…

– Co to ma znaczyć „na emeryturę”?

– Dobrze, na częściową emeryturę. Możesz już sobie trochę odpuścić i nie przemęczać się, dzięki czemu będziesz mógł zająć się rzeczami, które zawsze chciałeś robić. Spójrz, tu jest biblioteka. Jeśli będziesz chciał pracować nad tłumaczeniem, możesz robić to tutaj. Jak ci się podoba stół? Wystarczający? A półki są wbudowane bezpośrednio w ścianę.

Odsunięty od swoich codziennych zajęć w barze „Zebra”, mój dziadek zaczął spędzać dni na przejażdżkach po mieście. Jeździł do centrum, do biblioteki publicznej, w której czytał zagraniczne gazety. Później zatrzymywał się w kawiarni w dzielnicy greckiej, gdzie grał w tryktraka. W wieku pięćdziesięciu czterech lat Lefty Stephanides nadal był w niezłej formie. Codziennie chodził na pięciokilometrowe spacery dla zdrowia. Jadł z umiarem i miał mniejszy brzuch niż jego syn. Jednak czas czynił już nieuniknione spustoszenie. Lefty musiał nosić okulary dwuogniskowe. W barku odzywało się zapalenie kaletki. Noszone przez niego ubrania wyszły już z mody i wyglądał jak statysta w filmie gangsterskim. Pewnego dnia, patrząc krytycznie w łazience na swoje odbicie w lustrze, Lefty uświadomił sobie, że stał się jednym z tych starszych gości, którzy, dochowując wierności dawno już zapomnianej epoce, zaczesywali włosy do tyłu. Przygnębiony pozbierał swoje książki. Pojechał na Seminole Avenue, z zamiarem skorzystania z biblioteki, ale kiedy dojechał do domu syna, nie zatrzymał się tam. Tocząc błędnym wzrokiem, skierował się natomiast do sklepu zaopatrzenia medycznego Rubsamen.

Gdy raz trafi się do krainy cieni, nigdy nie zapomina się drogi tam prowadzącej. Odtąd już zawsze jesteś w stanie zauważyć czerwone światło w oknie na piętrze lub kieliszek do szampana w drzwiach otwieranych

dopiero po północy. Przez całe lata, przejeżdżając obok sklepu zaopatrzenia medycznego Rubsamen, mój dziadek widział wciąż taką samą witrynę z pasami przepuklinowymi, stabilizatorami szyjnymi i kulami. Widział wchodzących tam i wychodzących Murzynów i Murzynki o twarzach rozpalonych nadzieją i oczach pełnych desperacji, którzy nigdy nic nie kupowali. Mój dziadek rozpoznał ten rodzaj desperacji i uznał, że skoro już znalazł się na swojej przymusowej emeryturze, to właśnie tu było jego miejsce. W oczach Lefty'ego, spieszącego na West Side, wirowały koła ruletki. Naciskał pedał gazu, a w uszach słyszał stukot kości do gry w tryktraka. Krew się w nim burzyła z podniecenia, czuł przyspieszony puls, o którym zapomniał od czasów, gdy schodził z gór, aby zanurzyć się w uliczki Bursy. Zaparkował samochód i pospiesznie wszedł do środka. Minął zdumionych klientów (nieprzywykłych do widoku białych ludzi), przeszedł obok rekwizytów – buteleczek z aspiryną, plastrów na odciski i środków przeczyszczających, i podszedł do znajdującego się z tyłu okienka.

– W czym mogę pomóc? – zapytał aptekarz.

– Dwadzieścia dwa – powiedział Lefty.

– Załatwione.

Mój dziadek, chcąc powrócić do pełnych dramatyzmu czasów, gdy rządziła nim skłonność do hazardu, zaczął grać na loterii. Zaczął od niskich stawek. Małe zakłady o dwa czy trzy dolary. Po kilku tygodniach, aby zrekompensować sobie straty, podniósł stawkę do dziesięciu dolców. Codziennie stawiał część nowych zysków z restauracji. Pewnego dnia wygrał i następnym razem podwoił stawkę, ale wszystko przegrał. Robił zakłady wśród termoforów i gruszek do lewatywy. W otoczeniu lekarstw na kaszel i maści na opryszczki zaczął obstawiać trzy numery naraz. Podobnie jak w Bursie, kieszenie jego spodni wypełniały małe karteczki. Stworzył listę obstawianych przez siebie numerów, z datami, aby się nie powtarzać. Stawiał na dzień urodzin Miltona, dzień urodzin Desdemony, datę Święta Niepodległości Grecji pomniejszoną o ostatnią cyfrę, rok spalenia Smyrny. Gdy Desdemona znalazła te papierki w praniu, pomyślała, że mają związek z nową restauracją. „Mój mąż milionerem", powiedziała do siebie, marząc o emeryturze na Florydzie.

Po raz pierwszy w życiu Lefty zaczął zaglądać do sennika Desdemony w nadziei na obliczenie odpowiedniego numeru na liczydle swojej

podświadomości. Zaczął zwracać uwagę na pojawiające się w jego snach liczby całkowite. Odwiedzający sklep zaopatrzenia medycznego Rubsamen Murzyni zauważyli zainteresowanie, jakim mój dziadek darzył sennik, i gdy w pewnym momencie wygrywał przez dwa tygodnie z rzędu, zaczęto plotkować. Zaowocowało to jedynym wkładem, jaki mieli wnieść Grecy do kultury czarnoskórych Amerykanów (poza noszeniem złotych medalionów), polegającym na tym, że czarni mieszkańcy Detroit zaczęli kupować senniki. Wydawnictwo Atlantis przełożyło te książki na język angielski i rozesłało je do głównych miast w całej Ameryce. Przez krótki czas starsze kolorowe kobiety wierzyły w te same zabobony co moja babka, uważając na przykład, że biegnący królik oznacza przypływ dużych pieniędzy, a czarny ptak na linii telefonicznej zwiastuje czyjąś śmierć.

– Bierzesz pieniądze do banku? – pytał Milton, widząc, że ojciec opróżnia kasę.

– Tak, do banku – i rzeczywiście jechał do banku. Tylko że jechał wypłacić pieniądze z rachunku oszczędnościowego, aby kontynuować ciągłe próby rozpracowania wszystkich dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu możliwych permutacji liczby trzycyfrowej. Zawsze gdy przegrywał, czuł się okropnie. Chciał z tym skończyć. Chciał wrócić do domu i wszystko wyznać Desdemonie. Jednak jedynym antidotum na jego przygnębienie była perspektywa wygranej w dniu następnym. Być może za takie postępowanie mojego dziadka częściowo odpowiedzialna była odrobina autodestrukcji. Pełen poczucia winy, dręczącej osobę ocalałą od śmierci, poddawał się przypadkowym siłom kosmosu, starając się ukarać za to, że wciąż żyje. Ale to hazard w większości wypełniał pustkę jego dni.

Tylko ja, z loży mojego pierwotnego jaja, widziałem, co się działo. Milton był zbyt zajęty prowadzeniem restauracji, aby cokolwiek zauważyć. Tessie była zbyt zajęta opieką nad Jonaszem, aby cokolwiek zauważyć. Być może zauważyłaby coś Sourmelina, ale przez te lata nie pojawiała się w naszym domu. W 1953 roku na spotkaniu Towarzystwa Teozoficznego ciotka Lina poznała niejaką panią Evelyn Watson. Pani Watson zainteresowała się Towarzystwem Teozoficznym w nadziei na nawiązanie kontaktu ze swoim zmarłym mężem, ale wkrótce straciła zainteresowanie komunikacją ze światem duchowym na rzecz plotkowania z żywą Sourmeliną. Ze zdumiewającą szybkością ciotka Lina porzuciła pracę w kwiaciarni i wraz z panią Watson przeniosła się na Południowy Zachód. Od tego czasu

w każde Boże Narodzenie posyłała moim rodzicom paczkę z prezentami, zawierającą ostre przyprawy, kwitnący kaktus oraz fotografię pani Watson i swojej osoby przed jakimś narodowym pomnikiem. (Na jednej z ocalałych fotografii widać je w grocie obrzędowej Anasazi w Bandelier, pani Watson ustawiona do zdjęcia jak artystka Georgia O'Keeffe, a Lina, w ogromnym kapeluszu słonecznym, schodzi po drabinie do pomieszczenia zwanego *kiva*).

Natomiast jeśli chodzi o Desdemonę, to w drugiej połowie lat pięćdziesiątych przechodziła krótki i zupełnie nietypowy dla niej okres zadowolenia z losu. Jej syn wrócił cało z kolejnej wojny. (Święty Krzysztof dotrzymał słowa i w trakcie „działań policyjnych" w Korei Milton nawet nie został ostrzelany). Ciąża synowej stanowiła oczywiście powód do zmartwień, ale Jonasz urodził się zdrowy. Restauracja dobrze prosperowała. Co tydzień w nowym domu Miltona w Indian Village na niedzielne obiady zbierała się rodzina i przyjaciele. Pewnego dnia Desdemona otrzymała zamówiony wcześniej prospekt z Izby Gospodarczej New Smyrna Beach. Miejscowość w niczym nie przypominała Smyrny, ale przynajmniej było tam słonecznie i stały stragany z owocami.

Tymczasem mój dziadek czuł się szczęśliwy. Obstawiając przynajmniej jeden numer dziennie przez ponad dwa lata, obstawił już wszystkie numery od 1 do 740. Pozostało mu tylko 259 numerów, aby dojść do 999! I co wtedy? A cóż innego – rozpocząć od nowa. Kasjerzy w banku wręczali mu zwinięte banknoty, a on je przekazywał aptekarzowi w okienku. Obstawił 741, 742 i 743. Obstawił 744, 745 i 746. Ale pewnego ranka kasjer w banku powiedział Lefty'emu, że na jego koncie jest zbyt mało pieniędzy, aby dokonać wypłaty. Kasjer pokazał mu aktualny stan konta: 13 dolarów i 26 centów. Mój dziadek podziękował kasjerowi. Przeszedł przez hol banku, poprawiając po drodze krawat. Poczuł mętlik w głowie. Gorączka hazardu, jaka opanowała go na dwadzieścia sześć miesięcy, skończyła się i poczuł, jak po jego skórze przelewa się ostatnia fala gorąca, powodująca, że nagle oblał się potem od stóp do głów. Ocierając pot z brwi, Lefty wyszedł z banku, aby wkroczyć w okres ubogiej starości.

Nie jestem w stanie oddać na papierze przeraźliwego krzyku, jaki wydała moja babka, gdy dowiedziała się o katastrofie. Jej krzyk ciągnął się

w nieskończoność, a ona wyrywała sobie włosy z głowy, rozdzierała na sobie ubranie i padła na podłogę.

– CO BĘDZIEMY JEŚĆ?! – zawodziła Desdemona, miotając się po kuchni. – GDZIE BĘDZIEMY MIESZKAĆ?!

Rozpostarła ramiona, zwracając się do Boga, i zaczęła bić się w piersi, aż w końcu chwyciła lewy rękaw sukni i oderwała go.

– CO Z CIEBIE ZA MĄŻ, ŻE MOGŁEŚ ZROBIĆ COŚ TAKIEGO SWOJEJ ŻONIE, KTÓRA CI GOTOWAŁA I SPRZĄTAŁA, I URODZIŁA CI DZIECI, I NIGDY NIE SŁYSZAŁEŚ SŁOWA SKARGI! – w tym momencie oderwała również prawy rękaw. – A NIE MÓWIŁAM CI, ŻEBYŚ SKOŃCZYŁ Z HAZARDEM? NIE MÓWIŁAM?! – Zaczęła skrupulatnie rozdzierać swoje ubranie. Chwyciła w rękę rąbek sukni, a z jej gardła zaczęło wydobywać się bliskowschodnie zawodzenie:

–

OULOULOULO

Lefty'ego, do sprzedania których, za karę, zmusiła go moja babka. Desdemona schowała włosy bezpiecznie pod siatką i patrzyła gniewnie po podwórzu, pogrążona w rozpaczy zbyt głębokiej, aby płakać. Dokładnie badała każdy przedmiot, głośno wzdychając przed zawieszeniem kolejnej ceny, i beształa męża za próby noszenia rzeczy dla niego zbyt ciężkich.

– Co ty myślisz, że jesteś młody? Niech Milton to weźmie. Ty już jesteś stary – pod pachą trzymała skrzyneczkę na jedwabniki, która nie była na sprzedaż. Gdy zobaczyła portret patriarchy, aż sapnęła z przerażenia. – Mało nam było pecha, że jeszcze chcecie sprzedać patriarchę?

Porwała go i wniosła do środka. Przez pozostałą część dnia nie wychodziła z kuchni, ponieważ nie mogła znieść widoku hordy różnorodnych padlinożerców chodzących po wyprzedażach rzeczy używanych, buszujących wśród jej osobistych rzeczy. Pojawili się weekendowi handlarze antyków z przedmieść, którzy przyjeżdżali ze swoimi psami, całe zubożałe rodziny, które przywiązywały krzesła do dachów porozbijanych samochodów, a także wybredne pary mężczyzn, którzy odwracali wszystko do góry dnem, aby na spodzie sprawdzić znak firmowy. Dla Desdemony był to taki wstyd, jakby sama była wystawiona na sprzedaż i siedziała naga na sofie z ceną wiszącą u nogi. Gdy już wszystko sprzedano lub rozdano, Milton przewiózł pozostały dobytek wynajętą ciężarówką dwanaście ulic dalej, na Seminole Avenue.

Aby zapewnić moim dziadkom prywatność, zaproponowano im pokój na poddaszu. Z narażeniem zdrowia mój ojciec i Jimmy Papanikolas wnieśli wszystko po tajnych schodach za wytapetowanymi drzwiami. Do pomieszczenia ze ściętym dachem wtaszczyli rozłożone na części łóżko dziadków, ich skórzaną otomanę, mosiężny stoliczek i płyty Lefty'ego z piosenkami rebetiko. Starając się pogodzić ze swoją żoną, mój dziadek przyniósł do domu pierwszą z wielu papużek, jakie przez następne lata mieli hodować, i stopniowo, mieszkając nad nami wszystkimi, Desdemona i Lefty urządzili się wspólnie w swoim przedostatnim domu. Przez kolejne dziewięć lat Desdemona skarżyła się na ciasnotę i na ból w nogach, jaki odczuwała podczas pokonywania schodów, ale za każdym razem, gdy mój ojciec proponował jej przeprowadzkę na dół, odmawiała. Moim zdaniem podobało się jej życie na poddaszu, ponieważ związane z tym zawroty głowy przypominały jej o życiu na Olimpie. Z mansardowego okienka rozciągał się ładny widok (co prawda nie na groby sułtanów, ale na fabrykę

Edisona), a gdy zostawiała je otwarte, do pokoju wiał wiatr, jak niegdyś w Bithynios. Tam, na poddaszu, Desdemona i Lefty powrócili do miejsca, z którego zaczynali.

Podobnie jak moja opowieść.

Bo właśnie w tym momencie Jonasz, mój pięcioletni braciszek, i Jimmy Papanikolas trzymają w dłoniach czerwone jajka. Jajka ufarbowane na kolor krwi Chrystusa wypełniają miskę na stole w jadalni. Czerwone jajka stoją rzędem na kominku. Wiszą w woreczkach nad drzwiami.

Zeus uwolnił z jaja wszystko, co żyje. *Ex ovo omnia*. Białko uleciało w górę, aby utworzyć niebo, a żółtko zstąpiło w ziemię. W grecką Wielkanoc wciąż jeszcze bawimy się w rozbijanie jajek. Jimmy Papanikolas podnosi jajko, a Jonasz uderza w nie swoim. Zawsze pęka tylko jedno jajko.

– Wygrałem! – krzyczy Jonasz.

Teraz Milton wybiera jajko z miski.

– To wygląda na odpowiednie. Zbudowane jak wóz pancerny – podnosi je do góry. Jonasz przygotowuje się do uderzenia. Ale w tym momencie moja matka stuka męża w plecy. W ustach trzyma termometr.

Gdy na dole ze stołu sprzątane są naczynia po obiedzie, moi rodzice, trzymając się za ręce, idą na górę, do swojej sypialni. Kiedy Desdemona i Lefty rozbijają swoje jajka, moi rodzice zrzucają z siebie tylko niezbędną część odzieży. Gdy Sourmelina, która przyjechała na święta z Nowego Meksyku, rozbija jajka z panią Watson, mój ojciec cicho stęka, stacza się z mojej matki na bok i oświadcza:

– Powinno wystarczyć.

W sypialni zapada cisza. Wewnątrz mojej matki miliard plemników płynie pod prąd, a na czele męskie. Niosą z sobą nie tylko informacje o kolorze oczu, wzroście, kształcie nosa, produkcji enzymów, odporności mikrofagów, ale również historię. Płyną na czarnym tle, jak rozwijająca się, długa, biała jedwabna nić. Ta nić zaczęła się pewnego dnia dwieście pięćdziesiąt lat temu, gdy bogowie biologii, dla własnej zabawy, zaczęli manipulować przy genie na piątym chromosomie dziecka. To dziecko przekazało mutację swojemu synowi, który z kolei przekazał ją dwóm córkom, a one trójce ze swoich dzieci (moim pra-pra-pra itd.), aż w końcu dotarła do ciał moich dziadków. Ten gen złapał okazję, zjechał z góry i wyniósł się z wioski. Został uwięziony w płonącym mieście, ale z niego uciekł, posługując się łamaną francuszczyzną. Przeprawiając się przez

ocean, udał romans, okrążył pokład statku i kochał się w szalupie. Odcięto mu warkocze. Pojechał pociągiem do Detroit i wprowadził się do domu przy Hurlbut Street, sprawdzał znaczenie snów w senniku i otworzył nielegalny bar w podziemiu; znalazł pracę w Świątyni Numer 1… A potem gen przeszedł dalej, do kolejnych ciał… Wstąpił do skautów i malował na czerwono paznokcie u nóg, przez okno grał *Begin the Beguine*, poszedł na wojnę i został w domu, oglądając kroniki filmowe, przystąpił do egzaminu wstępnego, ustawiał się do zdjęć w pozach jak z magazynów filmowych; został skazany na śmierć i wszedł w układ ze świętym Krzysztofem; chodził na randki z przyszłym księdzem i zerwał zaręczyny, został uratowany przez bosmańskie krzesełko… Zawsze podążając do przodu, pędząc, a na jego drodze zostało jeszcze tylko kilka zakrętów – Annapolis i ścigacz okrętów podwodnych… Aż bogowie biologii stwierdzili, że nadszedł ich czas, to było to, na co czekali, i gdy łyżeczka kołysała się, a moja *yia yia* zamartwiała się, miało się spełnić moje przeznaczenie… 20 marca 1954 roku przyszedł na świat Jonasz, ale bogowie biologii pokręcili głowami: „Nie, nie, przepraszamy”… Ale jeszcze był czas, wszystko było na miejscu, wagonik kolejki górskiej spadał swobodnie i nic już nie mogło go zatrzymać, mój ojciec miał wizje małych dziewczynek, a moja matka modliła się do Chrystusa Pantokratora, w którego nie do końca wierzyła, aż w końcu – dokładnie w tym momencie! – w grecką Wielkanoc 1959 roku, to ma się stać. Ten gen ma spotkać się ze swoim bratem bliźniakiem.

Gdy nasienie dociera do jajeczka, czuję wstrząs. Słychać głośny hałas, uderzenie dźwiękowe towarzyszące pęknięciu mojego świata. Wznoszę się, od razu tracąc fragmenty mojej prenatalnej wszechwiedzy, rzucany na czystą kartę osobowości. (Dysponując jeszcze resztkami wszechwiedzy, widzę, jak mój dziadek, Lefty Stephanides, dziewięć miesięcy później, w noc moich narodzin, odwraca na spodeczku malutką filiżankę do góry dnem. Widzę znak utworzony przez fusy, ale w tym samym czasie eksplozja bólu w skroniach mojego dziadka powoduje, że on pada na podłogę). Nasienie ponownie uderza w moją kapsułę, a ja uświadamiam sobie, że już dłużej nie można tego odwlekać. Skończył się okres najmu mojego wspaniałego małego mieszkanka i jestem eksmitowany. Podnoszę zatem pięść (w typowo męskim geście) i zaczynam walić w ściany skorupki jaja, aż zaczyna pękać. Następnie, śliski jak żółtko, nurkuję głową w dół, na świat.

– Przepraszam, dziewczynko – powiedziała moja matka w łóżku, dotykając swojego brzucha i już wtedy mówiąc do mnie. – Chciałam, żeby to było bardziej romantyczne.

– Chcesz, żeby było romantycznie? – zapytał Milton. – Gdzie jest mój klarnet?

Księga Trzecia

Domowa filmoteka

Moje oczy – w końcu włączone – ujrzały, co następuje: pielęgniarkę odbierającą mnie z rąk lekarza, triumfującą twarz mojej matki, wielką niczym skała prezydentów na Mount Rushmore, patrzącą, jak zmierzam do swojej pierwszej kąpieli. (Zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe, ale jednak to pamiętam). Pamiętam również wiele innych rzeczy – materialnych i niematerialnych: bezlitosny blask światła sali operacyjnej, białe buty piszczące na białej podłodze, muchę zanieczyszczającą gazę oraz prywatne dramaty, które toczyły się wokół mnie po obu stronach korytarzy w szpitalu położniczym. Czułem szczęście par trzymających pierwsze dziecko oraz hart ducha katolików odbierających dziewiąte. Wyczuwałem rozczarowanie młodej matki, gdy na twarzy właśnie urodzonej dziewczynki rozpoznała charakterystyczny podbródek swojego męża, oraz przerażenie świeżo upieczonego ojca, który obliczył, ile będzie kosztować wykształcenie trojaczków. Na kondygnacjach znajdujących się nad salą porodową, w pomieszczeniach bez kwiatów, leżały kobiety wracające do zdrowia po histerotomii lub mastektomii. Nastoletnie dziewczyny z pękniętymi torbielami jajników drzemały pod wpływem morfiny. Od samego początku byłem tym otoczony – ciężarem kobiecego cierpienia, z jego biblijnym uzasadnieniem i nagłymi zniknięciami.

Siostra, która mnie obmywała, miała na imię Rosalee. Pochodziła z gór w stanie Tennessee i była piękną kobietą o pociągłej twarzy. Po wyssaniu śluzu z mojego nosa dała mi zastrzyk z witaminy K, aby zapobiec chorobie krwotocznej. Wsobność często występuje w Appalachach, podobnie zresztą jak deformacje genetyczne, ale siostra Rosalee nie zauważyła niczego dziwnego w moim wyglądzie. Skupiła się na fioletowej plamie na moim policzku, podejrzewając, że może to być znamię naczyniowe. Okazało się jednak, że był to fragment łożyska, który dał się łatwo zmyć. Siostra Rosalee zaniosła mnie z powrotem do doktora Philoboshiana, aby dokonał

oględzin. Położyła mnie na stole, ale nadal podtrzymywała jedną ręką ze względu na moje bezpieczeństwo. Zauważyła drżenie ręki doktora podczas odbierania porodu.

W 1960 roku doktor Nishan Philoboshian miał siedemdziesiąt cztery lata. Jego wielbłądzia głowa ciężko zwisała z szyi, a policzki poruszały się w sposób charakterystyczny dla tego zwierzęcia. Siwe włosy otaczały aureolą jego łysą głowę i zatykały uszy jak bawełna. Okulary chirurgiczne doktora wyposażone były w małe, prostokątne szkiełka powiększające.

Zaczął od zbadania mojej szyi, wyszukując oznak kretynizmu. Policzył palce u moich rąk i nóg. Zbadał moje podniebienie. Za normalne uznał występowanie u mnie odruchu Moro. Sprawdził moje plecy, czy nie ma ogona krzyżowego. Następnie, ponownie kładąc mnie na plecach, chwycił moje skrzywione nóżki i je rozłożył.

Cóż zobaczył? Czyściutką muszelkę żeńskich genitaliów. Obszar w stanie zapalnym i obrzmiały hormonami. To drobne podobieństwo do pawiana, jakie cechuje wszystkie niemowlaki. Doktor Philoboshian musiałby bardziej rozsunąć fałdy, aby zobaczyć coś więcej, ale tego nie zrobił. Ponieważ właśnie w tym momencie siostra Rosalee (której ta chwila również była przeznaczona) przypadkowo dotknęła jego ramienia. Doktor Phil spojrzał na nią. Starczowzroczne ormiańskie oczy napotkały spojrzenie dojrzałych oczu z Appalachów. Spojrzenie zatrzymało się na chwilę, a później uciekło. Byłem na świecie tylko pięć minut, a już dały o sobie znać motywy przewodnie mojego życia – przypadek i seks. Siostra Rosalee spłonęła rumieńcem.

– Śliczna – powiedział doktor Philoboshian, myśląc o mnie, ale patrząc na swoją asystentkę. – Śliczna, zdrowa dziewczynka.

Świętowanie moich narodzin na Seminole zostało zmącone przez widmo śmierci.

Desdemona znalazła Lefty'ego leżącego w kuchni obok przewróconej filiżanki. Uklękła przy nim i przyłożyła ucho do jego piersi. Gdy nie usłyszała bicia serca, głośno wykrzyknęła imię swojego męża. Jej lament odbił się echem od twardych powierzchni w kuchni: od tostera, kuchenki, lodówki. W końcu Des padła na jego pierś. Jednak w ciszy, która nastąpiła, Desdemona poczuła, że wzbiera w niej dziwne uczucie. Coś między paniką a żalem. Wypełniało ją jak jakiś gaz. Po chwili jej oczy otwarły się

i rozpoznała to uczucie – to było szczęście. Po twarzy spływały jej łzy, już zaczynała wymyślać Bogu za zabranie jej męża, ale obok stosownych w tym momencie uczuć doświadczała również niestosownej teraz ulgi. Stało się najgorsze. To właśnie była najgorsza rzecz. Po raz pierwszy w życiu moja babka nie miała się o co martwić.

Moim zdaniem emocji nie należy określać jednym słowem. Nie wierzę w „smutek", „radość" czy „żal". Być może najlepszym dowodem na patriarchalny charakter języka jest to, że nadmiernie upraszcza uczucia. Żałuję, że nie mogę dysponować skomplikowanymi hybrydowymi nazwami emocji, takimi jak tworzone przez tasiemcowe niemieckie konstrukcje: na przykład „radość towarzysząca nieszczęściu" albo „rozczarowanie wynikające ze spania z własnymi fantazjami". Pragnę pokazać, jaki jest związek między „uzmysłowieniem sobie faktu śmiertelności spowodowanym starzeniem się członków rodziny" a „nienawiścią do luster, zaczynającą się w wieku średnim". Albo dysponować słowem określającym „smutek z powodu bankrutujących restauracji", a także określeniem na „podniecenie towarzyszące zakwaterowaniu w pokoju z minibarem". Dobranie odpowiednich słów do opisania mojego życia zawsze sprawiało mi trudności, ale obecnie, gdy już osobiście wkroczyłem do mojej opowieści, są mi one bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Już nie mogę siedzieć z boku i patrzeć spokojnie na wydarzenia. Począwszy od tej chwili cała opowieść będzie naznaczona subiektywizmem wynikającym z uczestnictwa w wydarzeniach. Tu moja historia zaczyna się rozdwajać, dzielić, przechodzić mejozę. Ledwo stałem się częścią świata, a już odczuwam jego zwiększony ciężar. Mam tu na myśli bandaże i rozmoczoną bawełnę, zapach pleśni w kinach i te wszystkie zawszone koty i ich śmierdzące kuwety, deszcz na ulicach, gdy podnosi się kurz, a starzy Włosi wnoszą do środka swoje składane krzesełka. Do dziś to nie był mój świat. To nie była moja Ameryka. Ale w końcu dotarliśmy do tego miejsca.

Ta radość towarzysząca nieszczęściu nie trwała zbyt długo. Kilka sekund później Desdemona ponownie przyłożyła głowę do piersi męża – i usłyszała bicie jego serca! Lefty'ego przewieziono do szpitala. Po dwóch dniach odzyskał świadomość. Miał jasny umysł i nienaruszoną pamięć. Ale gdy chciał zapytać, czy urodziła się dziewczynka, czy chłopak, okazało się, że nie jest w stanie mówić.

Julie Kikuchi twierdzi, że piękno zawsze jest nieco wynaturzone. Wczoraj, siedząc przy strudlu i kawie w Café Einstein, starała się mi to udowodnić:

– Spójrz na tę modelkę – powiedziała, trzymając w rękach magazyn mody. – Popatrz na jej uszy. Jak u jakiegoś Marsjanina! – Zaczęła przerzucać strony. – Albo zobacz usta tej drugiej. Mógłbyś w nie włożyć całą głowę.

Próbowałem zamówić jeszcze jedno cappuccino. Kelnerzy w austriackich mundurkach jakby mnie nie widzieli (traktują tak zresztą wszystkie inne osoby), a na zewnątrz było widać żółte lipy, ociekające i płaczące.

– Albo taka Jackie Onasis – dalej argumentowała Julie. – Miała tak szeroko rozstawione oczy, że praktycznie znajdowały się po bokach jej głowy. Wyglądała jak ryba młot.

Powyższy wstęp ma być wprowadzeniem do fizycznego opisu mojej osoby. Na zdjęciach malutkiej Calliope widać wiele cech z rodzaju tych osobliwych. Uwagę moich rodziców, zaglądających z miłością do mojego łóżeczka, przykuwały wszystkie po kolei. (Czasami myślę, że to te uderzające, nieco niepokojące rysy mojej twarzy odciągały uwagę wszystkich od znajdujących się poniżej komplikacji). Wyobraźmy sobie moje łóżeczko jako dioramę w muzeum. Po naciśnięciu pierwszego przycisku rozświetlają się moje uszy, świecą jak dwie złote trąbki. Po naciśnięciu innego zaczyna świecić mój wyraźnie zarysowany podbródek. Jeszcze inny – i z ciemności wyłaniają się wydatne i eteryczne kości policzkowe. Jak na razie efekt jest mało obiecujący. Na podstawie budowy uszu, brody i kości policzkowych można by stwierdzić, że wyglądam jak mały Kafka. Ale naciśnięcie następnego przycisku powoduje oświetlenie moich ust i obraz zaczyna wyglądać nieco lepiej. Usta są małe, ale o ładnym kształcie, zachęcające do całowania, muzyczne. Następnie, na samym środku mapy, mamy nos. Zupełnie nie przypomina nosów, jakie można zobaczyć na antycznych rzeźbach greckich. To jest nos, który do Azji Mniejszej przybył, podobnie jak jedwab, ze Wschodu. W tym przypadku ze Środkowego Wschodu. Jeśli się dobrze przyjrzeć, widać, że nos noworodka w dioramie już formuje się w kształt arabeski. Uszy, nos, usta, broda – teraz oczy. Są nie tylko szeroko rozstawione (jak u Jackie O.), ale również ogromne. Zbyt duże, jak na buzię niemowlęcia. Oczy jak u mojej babki. Oczy tak duże i tak smutne, jak oczy na obrazie Keane'a. Oczy w oprawie

z rzęs tak długich i ciemnych, że moja matka nie była w stanie uwierzyć, jak mogły uformować się w jej własnym ciele. Jak jej ciało mogło wszystko dopracować z taką dokładnością? Cera wokół tych oczu: bladozielonkawa. Włosy: kruczoczarne. Teraz można nacisnąć wszystkie przyciski naraz. Czy już mnie widzicie? W całości? Prawdopodobnie nie. Tak naprawdę to nikt nigdy mnie nie widział.

Jako niemowlę, a nawet jako mała dziewczynka, charakteryzowałem się dość nietypową urodą, którą można uznać za nieco ekscentryczną. Żadna cecha z osobna nie była taka jak należy, ale po zebraniu wszystkiego w całość powstawało coś ujmującego. Jakaś niezamierzona harmonia. Także jakaś potencjalna skłonność do zmian, jakby pod moją widoczną twarzą była druga, myśląca.

Desdemonę nie interesował mój wygląd. Ważny był dla niej tylko stan mojej duszy.

– Dzidzia ma już dwa miesiące – powiedziała w marcu do mojego ojca. – Dlaczego jeszcze jej nie ochrzciliście?

– Nie mam zamiaru jej chrzcić – odpowiedział Milton. – To jedno wielkie oszukaństwo.

– Oszukaństwo, powiadasz? – Desdemona zaczęła grozić mu palcem wskazującym. – Uważasz, że święta tradycja, którą Kościół podtrzymuje od dwóch tysiecy lat, to oszukaństwo?

I zaczęła wzywać Panagię, używając wszystkich jej imion:

– Przenajświętsza, niepokalana, błogosławiona i wysławiona, Matko Boska zawsze dziewico, czy słyszysz, co mówi mój syn, Milton?

Gdy mój ojciec nadal nieustępliwie odmawiał, Desdemona sięgnęła po swoją tajną broń. Zaczęła się wachlować.

Jeżeli ktoś nigdy tego nie widział, trudno będzie mu wyobrazić sobie złowieszczy jak burza gradowa, sposób wachlowania się mojej babki. Zdecydowana nie dyskutować już z moim ojcem, poszła na swoich opuchniętych nogach na oszkloną werandę. Usiadła w trzcinowym fotelu przy oknie. Padające z boku zimowe światło zabarwiło na czerwono przeświecające skrzydełko jej nosa. Wzięła do ręki tekturowy wachlarz. Na jego przedniej stronie widniał napis „Tureckie okropności". Poniżej, mniejszą czcionką, wypisane były szczegóły: rok 1955 pogrom w Stambule, podczas którego zginęło 15 Greków, zgwałcono 200 Greczynek, splądrowano 4348 sklepów, zniszczono 59 kościołów prawosławnych

i nawet zbezczeszczono groby patriarchów. Desdemona miała sześć wachlarzy z okropnościami. Stanowiły zestaw kolekcjonerski. Co roku wysyłała do patriarchatu w Konstantynopolu datek i kilka tygodni później nadchodził nowy wachlarz z oskarżeniami o ludobójstwo, na jednym nawet znajdowała się fotografia patriarchy Atenagorasa stojącego w ruinach splądrowanej katedry. Na trzymanym tego dnia przez Desdemonę wachlarzu nie widniała co prawda ostatnia zasługująca na ostateczne potępienie zbrodnia, której tym razem nie popełnili Turcy, ale jej własny grecki syn, odmówiwszy swojej córce należnego prawosławnego chrztu. Wachlowanie się Desdemony nie było tylko kwestią poruszania nadgarstkiem tam i z powrotem, ruch pochodził z samego jej wnętrza. Zaczynał się w miejscu położonym między żołądkiem i wątrobą, gdzie, jak mi kiedyś powiedziała, zamieszkiwał Duch Święty. Wydobywał się z miejsca leżącego jeszcze głębiej niż jej własna, ukryta zbrodnia. Milton próbował schować się za zasłoną gazety, ale poruszane wachlarzem powietrze szeleściło papierem. Siłę wachlowania Desdemony można było odczuć w całym domu, obracało kurzem na schodach, poruszało żaluzjami w oknach i – ponieważ była zima – powodowało, że wszyscy mieszkańcy drżeli. Po chwili można było odnieść wrażenie, że cały dom podlega hiperwentylacji. To wachlowanie docierało do Miltona nawet w jego oldsmobilu, którego chłodnica zaczęła cichutko syczeć.

Moja babka nie poprzestała na samym wachlowaniu, odwołała się również do uczuć rodzinnych. Ojciec Mike, jej zięć i równocześnie mój wujek, wrócił już po latach spędzonych w Grecji i obecnie służył – w charakterze duchownego pomocniczego – w prawosławnym greckim kościele Wniebowzięcia.

– Miltie, proszę – powiedziała Desdemona. – Pomyśl o ojcu Mike'u. Nigdy nie dadzą mu wysokiego stanowiska w kościele. Myślisz, że to będzie dobrze wyglądać, gdy jego siostrzenica nie będzie ochrzczona? Pomyśl o swojej siostrze. Biedna Zoë! U nich nie ma za dużo pieniędzy.

W końcu, na znak, że słabnie w swoim postanowieniu, ojciec zapytał moją matkę:

– Ile kosztuje chrzest?

– Jest za darmo.

Milton podniósł brwi. Ale po chwili zastanowienia skinął głową, utwierdzony w swoich podejrzeniach.

– Cyfry. Wpuszczają za darmo. A potem już do końca życia musisz płacić.

W 1960 roku wierni greckiego kościoła prawosławnego na East Side w Detroit mogli już modlić się w innym, nowym budynku. Kościół Wniebowzięcia przeniósł się z Vernor Highway do nowego miejsca na Charlevoix. Wzniesienie świątyni na Charlevoix wzbudzało ogromne emocje. Po skromnych początkach w pomieszczeniu na parterze budynku handlowego przy Hart Street i po zacnym, ale bynajmniej nie wystawnym miejscu obok Beniteau, kościół Wniebowzięcia miał nareszcie dysponować wspaniałym gmachem. Wiele przedsiębiorstw budowlanych starało się uzyskać zlecenie na budowę, ale ostatecznie zdecydowano się na oddanie go „komuś ze społeczności", a tym kimś był Bart Skiotis.

Powody, dla których budowano nową świątynię, były dwojakie – zamanifestowanie odrodzenia starożytnego splendoru Bizancjum i pokazanie światu finansowego statusu dobrze prosperującej społeczności Amerykanów greckiego pochodzenia. Nie szczędzono nakładów. Aż z Krety ściągnięto malarza ikon, aby zajął się ikonografią. Został na rok, spał na materacu w niedokończonej budowli. Jako tradycjonalista powstrzymywał się od spożywania mięsa, alkoholu i słodyczy w celu oczyszczenia duszy i uzyskania boskiego natchnienia. Nawet jego pędzel był jak z książki, wykonany z końcówki ogona wiewiórki. Powoli, przez dwa lata, rosła nasza Hagia Sophia na East Side, niedaleko autostrady Forda. Był tylko jeden problem – w przeciwieństwie do twórcy ikon Bart Skiotis nie pracował ze szlachetnych pobudek. Okazało się, że używał materiałów podłej jakości i umieszczał pozostałe pieniądze na swoim osobistym koncie w banku. Źle położył fundamenty i już wkrótce na ścianach zaczęły rysować się pęknięcia, tworząc blizny na ikonografii. W dodatku przeciekał strop.

I właśnie w tym lichym budynku kościoła Charlevoix, dosłownie na jego chwiejnych fundamentach, ochrzczono mnie zgodnie z obrządkiem prawosławnym, w wierze, która istniała na długo przed tym, zanim protestanci mieli przed czym protestować, a katolicyzm nazywał się katolicyzmem; wierze, która początkami sięgała narodzin chrześcijaństwa, kiedy to była grecka, a nie łacińska, i która, bez materializującego ją Akwinaty, pozostała owiana mgłą tradycji i tajemnicy tak dokładnie, jak było na początku. Mój ojciec chrzestny, Jimmy Papanikolas, wziął mnie

z ramion mojego ojca. Przekazał mnie ojcu Mike'owi. Uśmiechnięty, zadowolony z tego, że przynajmniej raz jest w centrum zainteresowania, ojciec Mike odciął lok włosów z mojej główki i wrzucił go do chrzcielnicy. (Jak później podejrzewałem, to była ta część obrzędu, która była odpowiedzialna za kłaczkowatą powierzchnię wnętrza naszych chrzcielnic. Przez całe lata włosy dzieci, pobudzane przez życiodajną wodę, zapuściły korzenie i wzrosły). Ojciec Mike był już gotów do zanurzenia:

– Calliope Helen, służebnico Boża, jesteś chrzczona w imię Ojca… – i po raz pierwszy wepchnął mnie pod wodę. Wyznawcy prawosławia nie bawią się w częściowe zanurzenie, żadne tam kropienie czy pocieranie czoła. Aby mógł się odrodzić, najpierw trzeba człowieka pogrzebać, zatem poszedłem pod wodę. Moja rodzina przyglądała się, moja matka z niepokojem (a co będzie, jeśli zachłysnę się wodą?), mój braciszek, gdy nikt nie patrzył, wrzucił centa do wody, moja babka po raz pierwszy od tygodni przestała się wachlować. Ojciec Mike wyciągnął mnie na powietrze:

– …I Syna… – i ponownie mnie zanurzył. Tym razem otworzyłem oczy. W mroku widać było centa wrzuconego przez Jonasza, jak migocze, opadając na dno. Osiadł tam, gdzie, jak zauważyłem, nazbierało się wiele różnych przedmiotów: monety, szpilki do włosów, jakiś stary plaster. W tej zielonej, mętnej wodzie święconej odczuwałem spokój. Wokół panowała absolutna cisza. Po obu stronach mojej szyi, w miejscu, gdzie ludzie kiedyś mieli skrzela, pojawiło się lekkie swędzenie. Jak przez mgłę uświadomiłem sobie, że ten początek miał w jakiś sposób wskazywać na charakter reszty mojego życia. Wokół mnie znajdowała się moja rodzina, byłem w rękach Boga. Ale również we własnym, oddzielnym żywiole, zanurzony w wyjątkowych doznaniach, stając się czymś nowym na drodze ewolucji. Ta wiedza przemknęła przez mój umysł, a wtedy ojciec Mike znowu wyciągnął mnie na powierzchnię:

– …I Ducha Świętego. Amen – i jeszcze jedno zanurzenie. Pod wodę i znowu na powietrze, do światła. Te trzy kolejne zanurzenia zajęły dobrą chwilę. Woda nie tylko była mętna, ale również ciepła. Gdy już po raz trzeci wychynąłem na powierzchnię, rzeczywiście byłem odrodzony – jak fontanna. Spomiędzy moich cherubinkowych nóżek trysnął strumień krystalicznej cieczy. W padającym spod kopuły świetle mienił się żółtym kolorem, przykuwając uwagę wszystkich. Strumień podnosił się łukiem. Pchany ciśnieniem pełnego pęcherza przeszedł ponad krawędzią

chrzcielnicy. I zanim mój *nouno* zdążył zareagować, trafił ojca Mike'a w sam środek twarzy.

Powstrzymywany śmiech z ławek, kilka starych kobiet aż zatkało z przerażenia, a potem cisza. Zhańbiony swoim częściowym zanurzeniem i pocierający się jak protestant, ojciec Mike dokończył ceremonię. Wziął na palce krzyżmo i namaścił mnie, robiąc znak krzyża w wymaganych miejscach: najpierw na moim czole, potem na oczach, nozdrzach, ustach, uszach, piersiach, dłoniach i stopach. Dotykając kolejnych miejsc, mówił:

– Pieczęć daru Ducha Świętego.

Na koniec udzielił mi mojej pierwszej komunii (z jednym zastrzeżeniem – ojciec Mike nie wybaczył mi mojego grzechu).

– Moja krew – triumfował Milton w drodze do domu. – Nasikała na księdza.

– To był wypadek – uparcie powtarzała Tessie, jeszcze czerwona ze wstydu. – Biedny ojciec Mike! On sobie z tym nigdy nie poradzi.

– To było naprawdę niezłe – Jonasz nie mógł wyjść z podziwu.

W całym zamieszaniu nikt się nie zastanawiał nad funkcjonującym tu mechanizmem.

Desdemona przyjęła chrzest swojego zięcia, który wykonałem w odpowiedzi na własny, jako zły znak. Nie dość, że już byłem potencjalnie odpowiedzialny za udar mojego dziadka, to teraz dopuściłem się świętokradztwa przy pierwszej liturgicznej okazji. Dodatkowo jeszcze upokorzyłem ją, rodząc się jako dziewczynka.

– Może zajęłabyś się przepowiadaniem pogody – podśmiewała się z niej Sourmelina. Mój ojciec jeszcze dolewał oliwy do ognia:

– Mamo, to chyba koniec twojej łyżeczki. Chyba ma cię w nosie.

Nie da się ukryć, że w tym czasie Desdemona opierała się naciskom asymilacyjnym, którym nie była w stanie sprostać. Chociaż mieszkała w Ameryce jako wieczny wygnaniec, gość, który zatrzymał się na czterdzieści lat, pewne fragmenty przybranego kraju przesączały się przez zamknięte drzwi jej dezaprobaty. Po powrocie Lefty'ego ze szpitala, mój ojciec zaniósł na poddasze telewizor, aby zapewnić rodzicom trochę rozrywki. To był mały, czarno-biały zenith, podatny na zakłócenia synchronizacji poziomej. Milton postawił go na nocnym stoliku i zszedł na dół. Telewizor został na górze, mrucząc i mrugając. Lefty poprawił sobie

poduszki, aby wygodniej oglądać program. Desdemona starała się zajmować gospodarstwem, ale wkrótce okazało się, że coraz częściej zerka na ekran. Nadal nie lubiła samochodów. Zakrywała uszy, gdy tylko ktoś włączył odkurzacz. Ale z telewizorem było inaczej. Telewizor od razu przypadł mojej babce do gustu. To była pierwsza i jedyna rzecz w Ameryce, którą uznawała. Czasami zapominała wyłączyć odbiornik i budziła się o drugiej w nocy, słysząc „Gwiaździsty Sztandar" emitowany na zakończenie programu.

Telewizor zastąpił dźwięk rozmów, które zaczęły znikać z życia moich dziadków. Desdemona oglądała telewizję przez cały dzień, zgorszona romansami w serialu *As the World Turns*. Najbardziej lubiła reklamy środków czyszczących, wszystkie, w których pojawiały się animowane bąbelki lub mściwe mydliny zawzięcie usuwające brud.

Życie na Seminole wnosiło swój wkład w jej imperialistyczną kulturę. W niedzielę, zamiast podawać metaksę, Milton przygotowywał dla swoich gości koktajle.

– Drinki z nazwiskami ludzi – skarżyła się na poddaszu niememu mężowi Desdemona. – Tom Collins, Harvey Wall Bang. To jest drink! I słuchają muzyki na, jak to się mówi, sprzęcie hi-fi. Nasz Milton włącza muzykę i piją Toma Collinsa, a czasami, no wiesz, tańczą, jeden na jednego, mężczyźni razem z kobietami. Jak w zapasach.

Czym mogłem być dla Desdemony, jeśli nie kolejnym znakiem końca ważnych dla niej rzeczy? Starała się nie patrzeć na mnie. Ukrywała się za swoimi wachlarzami. Ale pewnego dnia Tessie musiała wyjść z domu i Desdemona była zmuszona zająć się dzieckiem. Ostrożnie weszła do mojego pokoju. Na palcach podeszła do mojego łóżeczka. Spowita w czerń sześćdziesięciolatka nachyliła się, aby przyjrzeć się zawiniętemu w różowe powijaki niemowlęciu. Być może zaniepokoiło ją coś w wyrazie mojej twarzy. Może już wtedy zaczęła doszukiwać się związków, jak to czyniła później, między dziećmi w wiosce a tym dzieckiem z miasta, między babskim gadaniem a współczesną endokrynologią... A może jednak nie. Bo gdy tak patrzyła nieufnie znad poręczy mojego łóżeczka, zobaczyła moją buzię – i odezwały się więzy krwi. Zmartwiona twarz Desdemony zawisła nad moją (podobnie) zdumioną. Jej pełne smutku oczy spoglądały z góry w moje (równie) wielkie, czarne oczy. Wszystko mieliśmy podobne. Gdy mnie podniosła, zrobiłem to, co powinny robić wszystkie wnuki na świecie

– wymazałem dzielące nas lata. Przywróciłem Desdemonie jej własną, pierwotną skórę.

Od tego momentu byłem jej ulubienicą. Przed południem odciążała moją matkę, zabierając mnie na górę, na poddasze. Do tego czasu Lefty odzyskał już sporą część sił. Mimo swojej niemoty, mój dziadek nadal był bardzo energiczną osobą. Wstawał wcześnie, kąpał się, golił i zakładał krawat, i jeszcze przed śniadaniem siadał na dwie godziny do tłumaczenia klasycznej greki. Nie miał już ambicji na wydanie swojego tłumaczenia, ale zajmował się tym, bo to lubił i pomagało mu to ćwiczyć umysł. Zawsze nosił z sobą małą tabliczkę, aby móc komunikować się z rodziną. Pisał wiadomości, używając słów i własnych hieroglifów. Lefty zdawał sobie sprawę z tego, że on i Desdemona byli ciężarem dla swoich dzieci, w związku z czym pomagał w domu, jak tylko mógł – dokonując napraw, asystując przy sprzątaniu, załatwiając sprawunki. Każdego popołudnia, niezależnie od pogody, wychodził na pięciokilometrowy spacer i wracał pogodny, szczerząc w uśmiechu rząd złotych plomb. Wieczorami słuchał na poddaszu płyt rebetiko i palił nargile. Gdy Jonasz pytał go, co było w fajce, Lefty pisał: „tureckie błoto". Moi rodzice zawsze wierzyli, że był to aromatyzowany tytoń fajkowy. Można tylko zgadywać, gdzie Lefty zdobywał haszysz. Prawdopodobnie podczas swoich spacerów. Nadal miał dużo kontaktów wśród mieszkających w mieście Greków i Libańczyków.

Dziadkowie zajmowali się mną codziennie od dziesiątej do południa. Desdemona karmiła mnie z butelki i zmieniała mi pieluchy. Palcami czesała mi włosy. Kiedy grymasiłem, Lefty nosił mnie na rękach po pokoju. Ponieważ nie mógł do mnie mówić, często mnie podrzucał, mruczał do mnie i swoim wielkim zakrzywionym nosem dotykał mojego, jeszcze wtedy małego noska. Mój dziadek wyglądał jak dostojny mim bez makijażu i dopiero gdy miałem pięć lat, zorientowałem się, że coś jest z nim nie w porządku. Kiedy męczył się robieniem min, niósł mnie do mansardowego okna, gdzie razem, z dwóch krańców życia, spoglądaliśmy w dół na naszą zieloną okolicę.

Wkrótce zacząłem chodzić. Ożywiony blaskiem jaskrawo zapakowanych prezentów, wskakiwałem na plan kręconych przez ojca filmów amatorskich. Na pierwszych celuloidowych świętach Bożego Narodzenia jestem wystrojony jak infantka. Tessie tak bardzo pragnęła mieć córeczkę,

że przesadzała w doborze moich strojów. Różowe spódniczki, koroneczki, bożonarodzeniowe kokardy we włosach. Nie podobały mi się moje ubranka ani kłująca choinka, i na filmach zazwyczaj widać, jak wybucham dramatycznym płaczem…

Być może przyczyną mojego zachowania była technika filmowa, z której korzystał mój ojciec. Do kamery Miltona dołączony był zestaw bezlitosnych reflektorów. Filmy są tak jaskrawe, że przypominają przesłuchania na gestapo. Trzymamy nasze prezenty i kulimy się, jakbyśmy zostali przyłapani na przemycie. Oprócz oślepiającej jasności filmy Miltona charakteryzowała jeszcze jedna nietypowa cecha – podobnie jak u Hitchcocka, zawsze pojawiał się w nich ich autor. Jedyną metodą sprawdzenia, ile filmu zostało w kamerze, było odczytanie umieszczonego w obiektywie licznika. W samym środku scen przedstawiających Boże Narodzenie czy urodziny zawsze przychodził moment, gdy ekran wypełniało oko Miltona. I nawet teraz, gdy na szybko staram się naszkicować moje pierwsze lata, obrazem, który widzę najwyraźniej, jest widok brązowego, sennego, niedźwiedziowatego oka mojego ojca. Swoisty postmodernistyczny akcent w naszych domowych filmach, wskazujący na sztuczność, zwracający uwagę na mechanikę. (I przekazujący mi w spadku moją estetykę). Oko Miltona patrzyło na nas. Mrugało. Oko tak wielkie jak Chrystus Pantokrator w kościele, było lepsze od najlepszej mozaiki. To było żywe oko, o lekko przekrwionej rogówce, gęstych rzęsach, pod którymi było widać workowatą skórę ze zmianami barwnikowymi. Czasami to oko obserwowało nas nawet przez dziesięć sekund. W końcu kamera odsuwała się, wciąż rejestrując. Widzieliśmy sufit, reflektory, podłogę i ponownie nas samych – rodzinę Stephanides.

Jako pierwszy: Lefty. Nadal wytworny, mimo przebytego udaru, ubrany w wykrochmaloną białą koszulę i w spodnie w kratkę, pisze coś na swojej tabliczce, a następnie pokazuje ją do kamery: *Christos Anesti*. Desdemona siedzi naprzeciwko niego, jej sztuczna szczęka nadaje jej wygląd żółwia kłapiącego zębami. Gdy kręcono ten film, oznaczony jako „Wielkanoc ’62”, moja matka za dwa lata miała skończyć czterdziestkę. Ona również zasłania twarz, a powodem tego są (oprócz światła reflektorów) zmarszczki w kącikach jej oczu. Ten jej gest przypomina mi o wspólnocie emocjonalnej, jaką zawsze odczuwałem z Tessie – obydwoje najlepiej się czuliśmy, gdy nikt nas nie widział, a sami mogliśmy patrzeć na innych. Na

jej przesłoniętej ręką twarzy widzę ślady nocy spędzonej na czytaniu książki. W jej zmęczonej głowie tłoczą się wszystkie uczone słowa, których znaczenie musiała sprawdzać w słowniku, czekające na ujawnienie się w listach, jakie dziś do mnie pisze. Jej podniesiona ręka jest ponadto znakiem odmowy, jej jedyną formą rewanżu na mężu, który zaczął jej znikać. (Milton wracał do domu co wieczór, nie upijał się i nie latał za spódniczkami, ale, zajęty problemami w pracy, codziennie więcej z siebie zostawiał w restauracji, i powracający do nas mężczyzna stawał się coraz bardziej nieobecny, zachowywał się jak jakiś robot, który kroił indyki i filmował święta, ale tak naprawdę wcale go tam nie było). I na koniec, oczywiście, podniesiona ręka mojej matki jest również swoistym ostrzeżeniem, zapowiedzią czarnego prostokąta.

Jonasz leży rozłożony na dywanie i wcina cukierki. Wnuk dwójki dawnych hodowców jedwabników (z tabliczką i sznurem koralików), sam nigdy nie musiał pomagać przy jedwabnikach. Nigdy nie był w Koza Han. Widać istniało już piętno, jakie odcisnęło na nim środowisko. Miał wygląd typowy dla amerykańskich dzieci – bezwzględny i egocentryczny…

Na scenę wbiegają susami dwa psy. Rufus i Willis, nasze dwa boksery. Rufus obwąchuje moją pieluchę i, wykazując zdumiewający talent komiczny, wybiera odpowiedni moment i siada na mnie. Później kogoś ugryzie i oba psy zostaną oddane. Widać moją matkę, która odgania Rufusa… I znowu pojawia się moja osoba. Wstaję i niepewnym krokiem idę w kierunku kamery, uśmiechając się i próbując pomachać…

Dobrze znam ten film. Doktor Luce namówił moich rodziców, aby podarowali mu właśnie „Wielkanoc ’62”. Wyświetlał go co roku swoim studentom w Cornell University Medical School. To był trzydziestopięciosekundowy fragment, który, jak twierdził Luce, dowodził jego teorii, że tożsamość płciowa kształtuje się we wczesnym dzieciństwie. To ten film pokazywał mi doktor Luce, aby wyjaśnić mi, kim jestem. A kogo mieliśmy na filmie? Popatrzmy na ekran. Moja matka daje mi lalkę-dzidziusia. Biorę ją i przytulam. Przystawiam buteleczkę do ust laleczki, karmię ją mlekiem.

Minęło moje wczesne dzieciństwo, na filmie i w rzeczywistości. Wychowywano mnie jako dziewczynkę, nie miałem więc wątpliwości, że nią jestem. Moja matka kąpała mnie i nauczyła, jak się myć. Z późniejszych

doświadczeń mam prawo wnioskować, że ten instruktaż w zakresie żeńskiej higieny był najwyżej podstawowy. Nie pamiętam żadnych bezpośrednich aluzji do mojego aparatu płciowego. Ten cały obszar był ukryty w sferze prywatności i delikatności, a moja matka nigdy nie tarła mnie tam zbyt mocno. (Aparat Jonasza był nazywany „pisiak". Ale na to, co ja miałem, w ogóle nie było określenia). Mój ojciec był jeszcze bardziej przeczulony. W tych rzadkich chwilach, gdy zmieniał mi pieluchę lub mnie kąpał, Milton umyślnie odwracał wzrok.

– Umyłeś ją całą? – pytała moja matka, jak zawsze używając ogólników.

– Nie całą. Tam jest twoja strefa.

To i tak nie miało specjalnego znaczenia. Syndrom braku 5-alfa-reduktazy jest zręcznym oszustem. Aż do okresu dojrzewania płciowego, gdy w moim układzie krwionośnym zaczęły działać androgeny, trudno było wykryć cechy odróżniające mnie od innych dziewczynek. Mój pediatra nigdy nie zauważył nic nadzwyczajnego. A gdy miałem pięć lat, Tessie zaczęła zabierać mnie do doktora Phila – doktora Phila z jego słabnącym wzrokiem i pobieżnymi badaniami.

Dnia 8 stycznia 1967 roku skończyłem siedem lat. Rok 1967 oznaczał koniec wielu rzeczy w Detroit, a między nimi amatorskich filmów mojego ojca. „Siódme urodziny Callie" był ostatnim filmem nakręconym przez Miltona na jego kamerze Super 8. Akcja odbywała się w naszej jadalni udekorowanej balonami. Na mojej głowie obowiązkowa stożkowa czapeczka. Jonasz, wtedy dwunastoletni, nie przyłącza się do chłopców i dziewczynek przy stole, stoi natomiast oparty o ścianę i popija poncz. Różnica wieku spowodowała, że dorastaliśmy z bratem w pewnym oddaleniu od siebie. Gdy ja byłem niemowlakiem, Jonasz był dzieckiem, kiedy ja byłem dzieckiem, on był nastolatkiem, a zanim ja stałem się nastolatkiem, on był już dorosły. Ulubionym zajęciem mojego dwunastoletniego brata było przecinanie piłek golfowych i sprawdzanie, co jest w środku. Zazwyczaj jego wiwisekcje wilsonów czy spaldingów ujawniały rdzenie składające się z niesamowicie ciasno upakowanych gumowych pasków. Ale czasami kryła się tam niespodzianka. Jeśli się dokładnie przyjrzeć mojemu bratu na tym filmie, można zauważyć coś dziwnego – jego twarz, ramiona, koszula i spodenki są pokryte tysiącami drobnych, białych kropek.

Otóż na chwilę przed rozpoczęciem przyjęcia urodzinowego Jonasz był w piwnicznej pracowni i za pomocą piłki do metalu pracował nad świeżo wprowadzoną na rynek piłeczką Titleist, reklamowaną jako piłeczka o „płynnym środku". Piłeczka była zamocowana w imadle, a Jonasz piłował. Kiedy dotarł do środka, usłyszał głośny wystrzał, po którym pojawiła się chmura dymu. Piłeczka w środku była pusta. Jonasz był zaskoczony. Ale gdy wyszedł z piwnicy, wszyscy ujrzeliśmy te kropki…

Wracamy na przyjęcie. Pojawia się tort urodzinowy z siedmioma świeczkami. Nieme usta matki polecają mi, abym pomyślał sobie jakieś życzenie. Czego mogłem sobie życzyć w wieku siedmiu lat? Nie pamiętam. Na filmie widać, że nachylam się nad tortem i jak Eol zdmuchuję świeczki. Już po chwili zapalają się ponownie. Znowu je zdmuchuję. Powtarza się ta sama sytuacja. Jonasz śmieje się, w końcu rozbawiony. Tak właśnie kończyły się nasze domowe filmy, z psikusem na moje urodziny. Ze świeczkami obdarzonymi zdolnością zmartwychwstania.

Pozostaje pytanie: dlaczego Milton nie nakręcił już więcej filmów? Czy można to wytłumaczyć zwyczajnym spadkiem zainteresowania rodziców dokumentowaniem dorastania swoich dzieci na taśmie filmowej? I dlaczego Milton zrobił setki zdjęć małemu Jonaszowi, a mnie zaledwie około dwudziestu? Aby udzielić odpowiedzi na te pytania, muszę przenieść się na drugą stronę kamery i spojrzeć na to wszystko oczami mojego ojca.

Oto powód, dla którego Milton odsuwał się od naszej rodziny – po dziesięciu latach działania restauracja przestała przynosić zyski. Przez okno od ulicy (ponad puszkami z oliwą Athena) mój ojciec dzień po dniu obserwował zmiany zachodzące na Pingree Street. Mieszkająca z drugiej strony ulicy biała rodzina, niegdyś dobrzy klienci, wyprowadziła się. Obecnie właścicielem tego domu był kolorowy o nazwisku Morrison. Przychodził do restauracji kupować papierosy. Zamawiał kawę, prosił o milion dolewek i palił. Nigdy nie zamawiał żadnego jedzenia. Wyglądało na to, że nie ma pracy. Czasami do jego domu wprowadzali się inni ludzie, młoda kobieta, być może córka Morrisona, z dziećmi. Po jakimś czasie wyprowadzali się i znowu był tylko Morrison. Na dachu jego domu leżał kawał brezentu przyłożony cegłami, który zakrywał dziurę.

Niedaleko otwarto knajpę działającą po obowiązujących godzinach zamknięcia. Klienci tego baru, wracając do domu, oddawali mocz w bramie naszej restauracji. Na Dwunastej Ulicy zaczęły pracować

prostytutki. Dokonano napadu na pralnię chemiczną na ulicy obok, a jej biały właściciel został ciężko pobity. A. A. Laurie, który prowadził obok nas zakład optyczny, zdjął ze ściany tablicę do badania wzroku, a robotnicy usunęli znad wejścia neonowe okulary. Przenosił się do nowego sklepu w Southfield.

Mój ojciec rozważał zrobienie tego samego.

– Ta cała dzielnica schodzi na psy – komentował Jimmy Fioretos pewnej niedzieli po obiedzie. – Wynieś się, póki jeszcze jest czas.

Doradzał to również Gus Panos, który przeszedł tracheotomię i mówił przez dziurkę w szyi, sycząc jak miech kowalski:

– Jimmy ma rację… ssss… Powinieneś się wynieść na… ssss… Bloomfield Hills.

Nie zgadzał się z tym wuj Pete, który, jak zwykle, podnosił kwestię integracji i poparcia dla propagowanej przez prezydenta Johnsona strategii wojny z ubóstwem.

Kilka tygodni później Milton zrobił wycenę swojego lokalu i przeżył wstrząs – okazało się, że bar „Zebra" jest teraz mniej wart niż w 1933 roku, gdy kupił go Lefty. Milton zbyt długo czekał ze sprzedażą. Minął już odpowiedni czas na przeprowadzkę.

Tak więc bar „Zebra" pozostał na rogu Pingree i Dexter, swingowa muzyka z szafy grającej stawała się coraz bardziej staromodna, a znane osobistości i gwiazdy sportu na ścianach coraz trudniejsze do rozpoznania. W soboty dziadek często zabierał mnie na przejażdżkę samochodem. Jechaliśmy na Belle Isle szukać jeleni, a potem zatrzymywaliśmy się na lunch w rodzinnej restauracji. Siadaliśmy w boksie, udając klientów, a Milton obsługiwał nas jak kelner. Przyjmował zamówienie Lefty'ego i mrugał:

– A co dla panienki?

– Nie jestem panienką!

– Nie jesteś?

Zamawiałem zwykle cheesburgera, koktajl mleczny i na deser cytrynowe ciasto merenga. Milton otwierał kasę i dawał mi stertę ćwierćdolarówek, które wrzucałem do szafy grającej. Wybierając piosenki, wypatrywałem przez okno mojego kolegi z sąsiedztwa. W sobotę zazwyczaj wystawał na rogu, w otoczeniu innych młodych mężczyzn. Czasami stał na połamanym krześle albo na kawałku gruzu i wygłaszał przemówienie. Zawsze miał ręce

wzniesione w górę, wymachiwał nimi i gestykulował. Ale gdy mnie zauważał, jego podniesiona pięść otwierała się i machała do mnie.

Nazywał się Marius Wyxzewixard Challouehliczilczese Grimes. Nie wolno mi było z nim rozmawiać. Milton uważał Mariusa za podżegacza, a z tym poglądem zgadzało się wielu klientów baru „Zebra", zarówno białych, jak i czarnych. Ja jednak go lubiłem. Nazywał mnie „Małą Królową Nilu". Mówił, że wyglądam jak Kleopatra.

– Kleopatra była Greczynką – powiedział kiedyś. – Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Tak, była. Pochodziła z rodziny Ptolomeuszy. To była wtedy bardzo ważna rodzina. Byli Egipcjanami pochodzenia greckiego. W moich żyłach też płynie trochę egipskiej krwi. Ty i ja prawdopodobnie jesteśmy spokrewnieni.

Gdy nie stał na swoim połamanym krześle, czekając aż zbierze się tłumek, rozmawiał ze mną. Ale jeśli byli tam inni ludzie, był na to zbyt zajęty.

Marius Wyxzewixard Challouehliczilczese Grimes był tak nazwany na cześć etiopskiego nacjonalisty żyjącego w czasach Farda Muhammada, jeszcze w latach trzydziestych. Marius jako dziecko był astmatykiem. Większość dzieciństwa spędził w domu, czytając eklektyczne książki z biblioteczki swojej matki. Jako nastolatek często był bity przez kolegów (musiał nosić okulary i oddychał przez usta). Ale gdy go poznałem, Marius W. C. Grimes wchodził już w wiek męski. Pracował w sklepie z płytami, a wieczorami uczył się na wydziale prawa Uniwersytetu Detroit. W kraju coś się działo, zwłaszcza w dzielnicach zamieszkanych przez Murzynów, co zachęcało takich braci jak Marius do wchodzenia na podwyższenia na rogu ulicy. Nagle dobrze było orientować się, co ma miejsce wokół, rozwodzić się na temat przyczyn wojny domowej w Hiszpanii. Ché Guevara też cierpiał na astmę. A Marius nosił beret jak ten rewolucjonista. Czarny beret w stylu wojskowym, czarne okulary i małą bródkę hiszpańską. W swoim berecie i okularach Marius stał na rogu i nawoływał ludzi do przebudzenia się.

– Bar „Zebra" – pokazywał kościstym palcem – w rękach białych.

Następnie palec wędrował w kierunku kolejnych budynków:

– Sklep ze sprzętem telewizyjnym – białych. Sklep spożywczy – białych. Bank...

Bracia rozglądali się wokoło…

– Widzicie? Nie ma banku. Czarnym nie dają pożyczek.

Marius zamierzał zostać rzecznikiem praw mieszkańców. Zaraz po skończeniu studiów chciał zaskarżyć miasto Dearborn za dyskryminację rasową w zakresie mieszkań. Obecnie był numerem trzy w swojej grupie na wydziale prawa. Ale dziś była duża wilgotność powietrza i odzywała się jego astma z dzieciństwa, i gdy podjechałem do niego na wrotkach, Marius czuł się nieszczęśliwy i chory.

– Cześć, Marius.

Nie odezwał się, co oznaczało, że był w złym humorze. Skinął jednak głową, co zachęciło mnie do kontynuowania rozmowy.

– Dlaczego nie znajdziesz sobie lepszego krzesła?

– Nie podoba ci się moje krzesło?

– Jest całe połamane.

– To krzesło jest staroświeckie. Musi więc być połamane.

– Ale nie aż tak.

Mariusz zerkał przez ulicę na bar „Zebra”.

– Cleo, chciałbym cię o coś zapytać.

– O co?

– Jak to jest, że u twojego taty przy barze zawsze siedzi tych trzech grubych stróżów tak zwanego porządku?

– Tato daje im kawę za darmo.

– A jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? To ja ci powiem. W ten sposób opłaca sobie ochronę. Twój stary chce mieć gliniarzy pod ręką, bo boi się nas, czarnych.

– Nie, nie boi się – powiedziałem, przechodząc nagle do obrony.

– Nie zgadzasz się?

– Nie.

– Dobra, królewno. Ty wiesz lepiej.

Ale oskarżenia Mariusa nurtowały mnie. Po tej rozmowie zacząłem baczniej przyglądać się mojemu ojcu. Zauważyłem, że zawsze, gdy przejeżdżaliśmy przez murzyńską dzielnicę, dokładnie zamykał drzwi samochodu. Słyszałem, jak mówi w niedzielę w salonie:

– Wcale nie dbają o swoją własność. Oni wszystko by zniszczyli.

W następnym tygodniu, gdy Lefty zabrał mnie do restauracji, wyraźniej niż zwykle rzuciły mi się w oczy szerokie plecy policjantów przy barze. Słyszałem, jak żartują z moim ojcem:

– Słuchaj, Milt, powinieneś wprowadzić do jadłospisu jakieś jedzenie dla Murzynów.

– Tak sądzisz? – odpowiedział jowialnie mój ojciec. – Może jakąś kapustę?

Wymknąłem się na poszukiwanie Mariusa. Był na swoim zwykłym miejscu, ale tym razem nie stał, tylko siedział i czytał książkę.

– Jutro mam sprawdzian – odezwał się. – Muszę się uczyć.

– Ja jestem w drugiej klasie – powiedziałem.

– Dopiero w drugiej! Myślałem, że przynajmniej w liceum.

Obdarzyłem go moim najbardziej ujmującym uśmiechem.

– To musi być ta krew Ptolomeuszy. Tylko uważaj na przedstawicieli cywilizacji romańskiej.

– Co?

– Nic, królewno. Tylko żartowałem – śmiał się, co rzadko mu się zdarzało. Jego twarz była teraz otwarta, jasna.

Nagle usłyszałem, że woła mnie mój ojciec.

– Callie!

– Co?

– Chodź tu natychmiast!

Marius wstał niezdarnie z krzesła.

– Tylko rozmawialiśmy – powiedział. – Ma pan bardzo mądrą córeczkę.

– Trzymaj się od niej z daleka, słyszysz?

– Tato! – zaprotestowałem, przerażony i zawstydzony przed moim przyjacielem.

Ale głos Mariusa był łagodny:

– W porządku, malutka. I tak muszę się zająć tym sprawdzianem. Wracaj do taty.

Przez resztę dnia Milton nie odstępował mnie na krok.

– Nigdy, przenigdy nie wolno ci rozmawiać z takimi obcymi. Co się z tobą dzieje?

– On nie jest obcy. Nazywa się Marius Wyxzewixard Challouehliczilczese Grimes.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Trzymaj się z daleka od takich ludzi.

Później Milton powiedział mojemu dziadkowi, żeby więcej nie przywoził mnie do restauracji na lunch. Ale wróciłem tam już po kilku miesiącach, tym razem o własnych siłach.

Opa!

One zawsze sądzą, że to wynika z pewnej dżentelmeńskiej rutyny wyniesionej ze starej szkoły. Powolność moich zalotów. Moje niespieszne wchodzenie w sprawy prywatne. (Nauczyłem się już wykonywać pierwszy krok, ale drugiego jeszcze nie). Zaprosiłem Julie Kikuchi na wspólny weekendowy wyjazd. Na Pomeranię. Mieliśmy pojechać na wyspę Uznam na Bałtyku i zatrzymać się w starym kurorcie, niegdyś ulubionym miejscu Wilhelma II. Podkreśliłem, że będziemy mieli oddzielne pokoje.

Ponieważ był to weekend, spróbowałem ubrać się na luzie. W moim przypadku nie jest to łatwe. Noszę golf z wielbłądziej wełny, tweedową marynarkę i dżinsy. I parę ręcznie szytych butów z kurdybanu, firmy Edward Green. Wybrany przeze mnie model nazywa się Dundee. Wyglądają szykownie, dopóki nie zauważy się podeszwy z wibramu. Są wykonane ze skóry podwójnej grubości. Dundee to taki rodzaj buta, jakiego używa się do przechadzek po posiadłościach, do wędrowania po błocie, gdy równocześnie nosi się krawat, a z tyłu biegną spaniele. Cztery miesiące musiałem czekać na te buty. Na pudełku było napisane: „Edward Green – kunszt szewstwa dla wybranych". To właśnie ja. Wybrany.

Pojechałem po Julie wynajętym mercedesem, dość głośnym dieslem. Na podróż przygotowała masę taśm i wzięła prasę do czytania: *The Guardian* i dwa ostatnie numery *Parkett*. Pojechaliśmy wąskimi, wysadzanymi drzewami drogami na północny wschód. Mijaliśmy wsie z domami krytymi strzechą. Teren stawał się coraz bardziej bagnisty, zaczęły pojawiać się zatoczki i wkrótce przejechaliśmy przez most na wyspę.

Czy mam od razu przejść do rzeczy? Nie. Powoli, bez pośpiechu – tak jest lepiej. Najpierw wspomnę, że w Niemczech mamy październik. Chociaż jest chłodno, to jednak na plaży w Herringsdorfie mogliśmy zobaczyć całkiem sporą grupkę zatwardziałych nudystów. Głównie

mężczyźni, leżeli na ręcznikach jak morsy albo, hałasując, gromadzili się w małych *Strandkörbe*, pasiastych domkach na plaży.

Z eleganckiej nadmorskiej promenady wysadzanej sosnami i brzozami patrzyłem na tych naturystów i zastanawiałem się nad tym, co zawsze – jak to jest, gdy człowiek czuje się tak wolny jak oni? Myślę tu o tym, że przecież moje ciało jest znacznie lepiej zbudowane. To ja mam dobrze uformowane bicepsy, mocne mięśnie piersiowe, gładkie i lśniące mięśnie pośladków. Ale nigdy nie zdecydowałbym się w ten sposób publicznie obnażać.

– Trochę inaczej niż na okładce *Sunshine and Health* – powiedziała Julie.

– W pewnym wieku ludzie nie powinni się już rozbierać – odpowiedziałem, albo coś w podobnym stylu. Kiedy czuję się trochę niepewnie, uciekam się do wypowiedzi dosyć konserwatywnych lub typowo angielskich. Nie zastanawiałem się nad tym, co mówię. Nagle zupełnie zapomniałem o nudystach. Patrzyłem na Julie. Założyła na włosy swoje srebrne, enerdowskie okulary słoneczne, aby móc robić zdjęcia opalających się w oddali osób. Wiatr wiejący od Bałtyku rozwiewał jej włosy.

– Twoje brwi wyglądają jak czarne gąsieniczki – powiedziałem.

– Pochlebca – odparła Julie, nie przerywając fotografowania. Nie powiedziałem już nic więcej. Jak przy powrocie słońca po zimie, stałem nieruchomo i chłonąłem ciepły blask potencjalnych możliwości, radość z przebywania w towarzystwie tej drobnej, dość wybuchowej osoby z atramentowymi włosami i o pięknej, subtelnej figurze.

Niemniej jednak i tej, i następnej nocy spaliśmy w osobnych pokojach.

Mój ojciec zakazał mi rozmawiać z Mariusem Grimesem w kwietniu, kiedy w Michigan jest wilgotno i ciągnie chłodem. W maju zrobiło się cieplej, czerwiec był gorący, a lipiec jeszcze gorętszy. W ogródku za naszym domem przy Seminole Avenue ubrany w dwuczęściowy kostium kąpielowy skakałem przez zraszacz do trawy, a Jonasz zbierał mlecze na słoneczne wino.

Tego lata, cieplejszego z miesiąca na miesiąc, Milton starał się poradzić sobie z kłopotliwym położeniem, w jakim się znalazł. Chciał otworzyć nie jedną restaurację, ale całą ich sieć. Zdał sobie jednak sprawę, że pierwsze ogniwo, bar „Zebra", było słabe i zaczęły go opadać wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu Milton Stephanides stanął przed możliwością, jakiej

nigdy wcześniej nie brał pod uwagę – przed widmem porażki. Co miał zrobić z restauracją? Czy sprzedać ją za grosze? A co później? (Na razie postanowił zamknąć restaurację w poniedziałki i wtorki, aby obniżyć koszty zatrudnienia personelu.)

Ojciec i matka nie omawiali przy nas zaistniałej sytuacji, a gdy rozmawiali o tym ze swoimi rodzicami, przechodzili na język grecki. Jonasz i ja, z tonu nic nam niemówiących rozmów, sami musieliśmy się domyślać, co się dzieje, i, szczerze mówiąc, nie zwracaliśmy na to specjalnej uwagi. Wiedzieliśmy tylko, że ni z tego, ni z owego Milton spędzał całe dnie w domu. Milton, którego rzadko można było zobaczyć w domu za dnia, nagle przesiadywał w ogródku i czytał gazetę. Odkryliśmy, jak wyglądają nogi naszego ojca w krótkich spodenkach. Odkryliśmy, jak wygląda, gdy się nie goli. Przez pierwsze dwa dni jego twarz robiła się jak papier ścierny, tak jak zawsze w weekendy. Ale Milton nie brał już mojej rączki i nie pocierał nią o szorstkie bokobrody, tak że aż piszczałem, nie miał już tak świetnego humoru, żeby mnie męczyć. Siedział tylko w patio, a jego broda, jak plama czy grzyb, rozprzestrzeniała się na twarzy.

Podświadomie Milton przestrzegał greckiego zwyczaju, zgodnie z którym mężczyźni nie golili brody po śmierci kogoś z rodziny. Tylko że w tym wypadku skończyło się nie życie, ale środki do życia. Broda jeszcze bardziej pogrubiła jego, i tak już tłustą, twarz. Nie przycinał jej i niezbyt dbał o jej czystość. A ponieważ ani słowem nie mówił o swoich kłopotach, jego broda zaczęła po cichu wyrażać wszystko to, czego on sam nie miał śmiałości wypowiedzieć. Splątane włosy i zwoje tej brody świadczyły o coraz bardziej pokrętnych myślach Miltona. Jej kwaśny zapach uwalniał ketony stresu. Lato zadomowiło się już na dobre, a broda stawała się coraz bardziej kudłata, nieskoszona, i jasne było, że Milton myśli o Pingree Street – podobnie jak Pingree Street, zmierzał do ruiny.

Lefty starał się pocieszyć syna.

– Bądź silny – pisał.

Z uśmiechem przepisywał epitafium wojowników spod Termopil:

– Przechodniu, powiedz Sparcie, że leżymy tutaj, posłuszni jej prawom.

Ale Milton ledwo przeczytał cytat. Udar mózgu, który przeszedł jego ojciec, tylko utwierdził go w przekonaniu, że Lefty nie był już u szczytu formy. Niemy, ze swoją nieodłączną tabliczką, zatopiony w swoim

rekonstruowaniu Safony, w oczach syna był już stary. Milton zauważył, że coraz częściej nie miał dla niego cierpliwości lub że nie zwracał na niego uwagi. „Uzmysłowienie sobie faktu śmiertelności spowodowane starzeniem się członków rodziny", to właśnie odczuwał Milton, widząc swojego ojca pochylonego w świetle lampki biurowej, wysuwającego wilgotną dolną wargę i badającego martwy język.

Mimo zimnowojennej tajemniczości strzępy informacji docierały do nas, dzieci. Rosnące zagrożenie naszych finansów ujawniało się w postaci nierównej zmarszczki pojawiającej się jak błyskawica nad nosem mojej matki, gdy tylko prosiłem ją o coś drogiego w sklepie z zabawkami. Na naszym stole coraz rzadziej gościło mięso. Milton ograniczał zużycie elektryczności. Jeśli Jonaszowi zdarzyło się zostawić włączone światło na dłużej niż minutę i wyjść, po powrocie zastawał całkowitą ciemność. I w tych ciemnościach słyszał głos:

– Ile razy mówiłem ci o kilowatach!

Przez pewien czas używaliśmy tylko jednej żarówki, którą Milton nosił z jednego pomieszczenia do drugiego.

– W ten sposób jestem w stanie kontrolować nasze zużycie energii – powiedział, wkręcając żarówkę w oprawkę w jadalni, abyśmy mogli zasiąść do kolacji.

– Nie widzę, co jem – poskarżyła się Tessie.

– O co ci chodzi? – powiedział Milton. – To się nazywa tworzenie odpowiedniej atmosfery.

Po deserze Milton wyciągnął z tylnej kieszeni chusteczkę, odkręcił gorącą żarówkę i, podrzucając ją jak początkujący żongler, zaniósł do salonu. Czekaliśmy w ciemnościach, podczas gdy on szukał po omacku drogi, wpadając na meble. W końcu w oddali pojawiało się niewyraźne światło i Milton radośnie wołał:

– Gotowe!

Starał się nie tracić pewności siebie. Wodą z węża spłukiwał chodnik przed restauracją i utrzymywał okna w idealnej czystości. Nadal witał klientów serdecznym:

– Jak tam u was? – Albo: *Yahsou, patriote*!

Ale grająca w barze „Zebra" muzyka swingowa i dawni baseballiści nie mogli zatrzymać czasu. To już nie był rok 1940, ale 1967. A dokładnie

niedzielna noc 23 lipca 1967 roku. A pod poduszką mojego ojca leżała jakaś bliżej nieokreślona bryła.

Przyjrzyjmy się sypialni moich rodziców: w całości umeblowana replikami mebli z czasów kolonialnych, zapewnia im związek (po obniżonej cenie) z legendą o powstaniu Ameryki. Zauważmy na przykład fornirowane wezgłowie łóżka, wykonane, jak to lubi podkreślać Milton, z „czystej wiśni", z takiego samego drzewka, jakie ścinał Jerzy Waszyngton. Skierujmy uwagę na tapetę z motywem amerykańskiej wojny o niepodległość. Widać na niej powtarzający się wzór prezentujący słynną trójkę: małego dobosza, człowieka grającego na fujarce i kulawego starca. Przez moje pierwsze lata na tym świecie te skrwawione postaci maszerowały wokół sypialni moich rodziców, tu znikając za kredensem „Monticello", tam wychodząc zza lustra „Mount Vernon" lub czasami, nie mając zupełnie dokąd iść, były przecinane na pół przez szafkę.

Tej historycznej nocy moi rodzice, obecnie już czterdziestotrzyletni, leżą pogrążeni we śnie. Milton chrapie tak, że całe łóżko się trzęsie; drży także ściana oddzielająca mój pokój, gdzie ja śpię w łóżku dla dorosłych. Pod poduszką Miltona trzęsie się jeszcze jedna rzecz, a może to stanowić potencjalne zagrożenie, zważywszy na charakter tego przedmiotu. Pod poduszką mojego ojca znajduje się bowiem pistolet automatyczny kaliber 45, przywieziony jeszcze z wojny.

Podstawowa zasada dramaturgii Czechowa brzmi mniej więcej tak: „Jeśli w pierwszej scenie pierwszego aktu na ścianie wisi strzelba, musi ona wystrzelić nie później niż w scenie drugiej aktu trzeciego". Przypominając sobie pistolet leżący pod poduszką mojego ojca, nie potrafię pozbyć się myśli o tym nakazie sztuki scenicznej. Pistolet już tam jest. Nie mogę go stamtąd zabrać, skoro już pojawił się w mojej opowieści. (Rzeczywiście, był tam owej nocy). W magazynku pistoletu są naboje, a broń jest odbezpieczona…

Detroit dusznego lata 1967 roku przygotowuje się do zamieszek na tle rasowym. Dwa lata wcześniej wybuchły zamieszki w Watts. Ostatnio w Newark. W odpowiedzi na wrzenie w kraju białe siły policyjne miasta Detroit rozpoczęły obławy na działające po godzinach knajpy w murzyńskich dzielnicach miasta. Chodziło o przeprowadzenie prewencyjnych uderzeń na potencjalne punkty zapalne. Zazwyczaj policja parkuje furgonetki w tylnych uliczkach i zwija klientelę do samochodów,

gdy nikt tego nie widzi. Ale dzisiejszej nocy, z przyczyn, które nigdy nie zostaną wyjaśnione, trzy policyjne wozy zajeżdżają pod Economy Printing Co. przy Dwunastej Ulicy 9125 – trzy ulice od Pingree – i parkują przy krawężniku. Można by sądzić, że o piątej rano nie ma to żadnego znaczenia, ale w rzeczywistości jest inaczej. Ponieważ w 1967 roku Dwunasta Ulica w Detroit funkcjonuje i żyje przez całą noc.

I tak na przykład: w chwili, gdy nadjeżdżają auta policyjne, wzdłuż ulicy stoją panienki, dziewczyny w minispódniczkach, pończochach i bluzkach bez pleców. (Wśród morskich wraków, które Milton zmywa codziennie wężem z chodnika, można znaleźć martwe meduzy prezerwatyw i przypadkowego kraba samotnika w postaci zgubionego obcasa). Dziewczyny stoją na chodniku, a obok nich przejeżdżają samochody. Żółtawozielone cadillaki, ognistoczerwone toronados, krążące ulicami lincolny o szerokich pyskach, wszystkie w idealnym stanie. Błyszczą chromy. Świecą kołpaki. Ani śladu rdzy. (To zawsze zdumiewało Miltona w Murzynach – ta sprzeczność między idealnym stanem ich samochodów a ruiną ich domów)… Błyszczące samochody zwalniają. Szyby zjeżdżają w dół, a dziewczyny nachylają się, aby porozmawiać z kierowcami. Panienki przechadzają się tam i z powrotem, podnoszą już i tak króciutkie spódniczki, czasami błyska obnażona pierś lub widać obsceniczny gest, dziewczyny jakoś sobie radzą, śmieją się, o piątej rano są już tak odurzone, że nie zwracają uwagi na szorstką skórę między nogami i na pozostałości po mężczyznach, jakich usunąć nie jest w stanie żadna ilość perfum. Trudno być stale czystą na ulicy, a o tej porze woń wydzielana przez newralgiczne miejsca tych młodych kobiet przypomina bardzo dojrzały, miękki francuski ser… Są również głuche na myśl o pozostawionych w domu dzieciach, sześciomiesięcznych, poważnie przeziębionych, leżących w starych łóżeczkach, ssących smoczki i z trudem oddychających… Niewrażliwe na pozostający w ich ustach smak nasienia, zmieszany ze smakiem gumy miętowej, a większość z tych dziewczyn ma najwyżej osiemnaście lat, ten chodnik przy Dwunastej Ulicy jest ich pierwszym miejscem pracy, to właśnie tyle kraj może im zaoferować w zakresie zatrudnienia. Dokąd mogą się stąd wyrwać? Na tę kwestię również są obojętne, za wyjątkiem może kilku, które marzą o śpiewaniu w chórkach lub otwarciu zakładu fryzjerskiego… Ale to wszystko ma związek z tym, co ma się wydarzyć właśnie tej nocy (w tym momencie

policjanci wysiadają z samochodów, wyłamują drzwi meliny)… Otwiera się okno i ktoś krzyczy: „To gliny! Spadamy tylnymi drzwiami!”. Stojące na chodniku dziewczyny rozpoznają policjantów, znają tych stróżów prawa, ponieważ muszą ich obsługiwać za darmo. Ale tej nocy jest inaczej, dzieje się coś niezwykłego… Dziewczyny nie znikają na widok gliniarzy, jak zazwyczaj. Stoją i patrzą na klientów wyprowadzanych w kajdankach z meliny, a kilka z nich zaczyna nawet coś wykrzykiwać… Teraz otwierają się również inne drzwi, samochody się zatrzymują i nagle wszyscy wychodzą na ulicę… Ludzie wybiegają z innych melin, z domów, zza rogów ulicy i już można to wyczuć w powietrzu, bo właśnie coś nadciąga i wisi w powietrzu, w tym momencie, w czerwcu 1967 roku, rejestr zniewag osiągnął taki punkt, że Dwunasta Ulica w Detroit musi już odpowiedzieć na sygnał płynący z Watts i Newark, a jedna dziewczyna wrzeszczy: „Precz od nich z łapami, pierdolone świnie!”… A potem są inne okrzyki, popychanie i rzucona butelka, która o mały włos nie trafia policjanta, roztrzaskuje szybę w znajdującym się za nim samochodzie policyjnym… I z powrotem na Seminole, gdzie mój ojciec śpi na pistolecie, właśnie przywróconym do gotowości bojowej w związku z wybuchem zamieszek…

O 6.23 rano w mojej sypialni zadzwonił różowy telefon Princess. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Jimmy Fioretos, który w panice wziął mój głos za głos mojej matki.

– Tessie, powiedz Miltonowi, żeby zjawił się w restauracji. Kolorowi wzniecili zamieszki!

– Rezydencja rodziny Stephanides – ciągnąłem grzecznie, jak mnie nauczono. – Callie przy telefonie.

– Callie? Boże. Kochanie, chciałbym rozmawiać z twoim ojcem.

– Chwileczkę – odłożyłem słuchawkę, poszedłem do sypialni rodziców i potrząsnąłem moim ojcem, aż się obudził.

– Dzwoni pan Fioretos.

– Jimmy? Chryste, czego on może chcieć? – podniósł policzek, na którym można było zauważyć odcisk lufy pistoletu.

– Mówi coś o zamieszkach.

W tym momencie mój ojciec wyskoczył z łóżka. Jakby wciąż ważył siedemdziesiąt kilogramów, a nie sto, Milton ze zręcznością gimnastyka zrobił przewrót w powietrzu i wylądował na nogach, zupełnie nieświadom

zarówno swojej nagości, jak również pełnej jeszcze snów porannej erekcji. (To dlatego zamieszki w Detroit zawsze już będą mi się kojarzyć z sytuacją, gdy po raz pierwszy ujrzałem pobudzone męskie genitalia. Co gorsza, to były genitalia mojego ojca, a co najgorsze, sięgał on po pistolet. Czasami cygaro jest nie tylko cygarem). Tessie również już wstała, krzycząc do Miltona, aby nigdzie nie szedł, a Milton podskakiwał na jednej nodze, starając się włożyć spodnie; i nie minęła chwila, a wszyscy już byli na nogach.

– Powiem ci, co się dzieje! – krzyczała Desdemona do zbiegającego po schodach Miltona. – Wyremontowałeś kościół dla świętego Krzysztofa? Nie!

– Milt, zostaw to policji – błagała Tessie.

I Jonasz:

– Tatusiu, kiedy wrócisz? Obiecałeś zabrać mnie dzisiaj do sklepu elektronicznego.

I ja, wciąż mocno zaciskając oczy, aby wymazać to, co widziałem:

– Ja chyba pójdę do łóżeczka.

Jedyną osobą, która nic nie powiedziała, był Lefty, ponieważ w tym całym zamieszaniu nie mógł znaleźć swojej tabliczki.

Na wpół ubrany – w butach, ale bez skarpetek, w spodniach, ale bez majtek – Milton Stephanides gnał swoim delta 88 wczesnym rankiem przez ulice miasta. Przez całą drogę do Woodward wszystko wyglądało jak zawsze. Ulice były puste. Wszyscy jeszcze spali. Jednak gdy skręcił w West Grand Boulevard, zobaczył wznoszący się w powietrze słup dymu. W przeciwieństwie do innych słupów dymu unoszących się z kominów w mieście, ten nie rozpraszał się w spowijającym miasto ogólnym smogu. Wisiał nisko nad ziemią, jak mściwe tornado. Wirował i utrzymywał złowieszczy kształt, karmiąc się tym, co pożerał. Oldsmobil zmierzał prosto w jego kierunku. Nagle pojawili się ludzie. Ludzie biegnący. Ludzie niosący różne rzeczy. Ludzie śmiejący się i spoglądający przez ramię, gdy inni machali do nich rękami, prosząc, aby się zatrzymali. Syreny wyły. Przemknął samochód policyjny. Siedzący za kierownicą policjant machnął do Miltona, aby ten zawrócił, ale Milton nie posłuchał go.

To wszystko wyglądało dziwnie, ponieważ to były jego ulice. Milton znał je od urodzenia. Tutaj, na Lincoln, był kiedyś stragan z owocami. Lefty

zatrzymywał się tu z Miltonem, aby kupić kantalupy, i uczył Miltona, jak wybierać słodkie, szukając drobnych nakłuć zrobionych przez pszczoły. Tam, przy Trumbull, mieszkała pani Tsatsarakis. „Zawsze prosiła mnie, żebym przyniósł jej z piwnicy piwo imbirowe Vernors" – pomyślał w duchu Milton. – „Nie mogła już wchodzić po schodach". Na rogu Sterling i Commonwealth znajdowała się stara świątynia wolnomularska, w której pewnego sobotniego popołudnia, trzydzieści pięć lat wcześniej, Milton zajął drugie miejsce w konkursie ortograficznym. Konkurs ortograficzny! Dwa tuziny dzieciaków ubranych w najlepsze ubrania i z całych sił koncentrujących się na tym, jak rozłożyć na litery słowo „prestidigitator". Takie rzeczy działy się kiedyś w tej dzielnicy! Konkursy ortograficzne! A teraz po ulicach biegają dziesięciolatki z cegłami. Rzucają tymi cegłami w witryny sklepowe, śmiejąc się i podskakując, sądząc, że to jest jakaś zabawa albo święto.

Milton odwrócił wzrok od roztańczonych dzieci i zobaczył, że słup dymu znajduje się bezpośrednio przed nim, blokując ulicę. Miał jeszcze sekundę lub dwie na zawrócenie. Ale tego nie zrobił. Wjechał dokładnie w sam środek. Najpierw zniknął znaczek na masce oldsmobila, później przedni zderzak i dach. Przez chwilę jeszcze błyszczały na czerwono tylne światła, a potem mrugnęły i znikły.

We wszystkich filmowych scenach ucieczki bohaterowie zawsze wspinają się na dach. Jako rodzina zdeklarowanych realistów zawsze protestowaliśmy:

– Dlaczego oni za każdym razem idą na górę? Spójrzcie. Będzie się wspinał na wieżę. Widzicie? A nie mówiłem!

Jednak w Hollywood lepiej znali ludzką naturę, niż nam się zdawało. W obliczu zagrożenia Tessie zabrała Jonasza i mnie na poddasze. Może to był spadek po naszych przodkach żyjących na drzewach; pragnęliśmy wspiąć się na górę i uciec przed niebezpieczeństwem. A może moja matka czuła się bezpieczniej za drzwiami, które wtapiały się w otaczającą tapetę? Jakikolwiek był tego powód, zabraliśmy na poddasze walizkę pełną jedzenia i siedzieliśmy tam przez trzy dni, oglądając płonące miasto w małym, czarno-białym telewizorku moich dziadków. Ubrana w podomkę i sandały Desdemona trzymała swój tekturowy wachlarz przy piersiach, osłaniając się przed spektaklem jej powtarzającego się życia.

– Och, Boże! To tak jak w Smyrnie! Patrzcie na *mavros*! Jak Turcy, wszystko palą!

Trudno było dyskutować z tym porównaniem. W Smyrnie ludzie brali z sobą meble na nabrzeże, w telewizji było widać, że i tu ludzie nieśli meble. Mężczyźni wyciągali nowiutkie sofy ze sklepów. Wzdłuż alei żeglowały lodówki, a także kuchenki i zmywarki do naczyń. I tak jak w Smyrnie, można było odnieść wrażenie, że ludzie zabrali z sobą wszystkie ubrania. Mimo lipcowego upału kobiety miały na sobie futra z norek. Mężczyźni w biegu przymierzali nowe garnitury. „Smyrna! Smyrna! Smyrna!" – zawodziła Desdemona, a ja, który w ciągu siedmiu lat swojego życia tyle już słyszałem o Smyrnie, z bliska gapiłem się w ekran, chcąc zobaczyć, jak to wyglądało. Ale nic nie rozumiałem. Budynki płonęły, to fakt, na ulicach leżały ludzkie ciała, ale panujący w dzielnicy nastrój wcale nie przypominał rozpaczy. W życiu nie widziałem tak szczęśliwych ludzi. Mężczyźni grali na instrumentach wyniesionych ze sklepu muzycznego. Inni podawali butelki whisky przez rozbitą witrynę i przekazywali je osobom stojącym wokół. To bardziej wyglądało na uliczną imprezę niż na zamieszki.

Aż do tej nocy stosunek naszych sąsiadów do czarnych współmieszkańców można by podsumować zdaniem, które wypowiedziała Tessie po obejrzeniu Sidneya Poitiera w „Nauczycielu z przedmieścia", filmie, który wszedł na ekrany miesiąc przed zamieszkami. Powiedziała:

– Widzisz, jeśli tylko chcą, to potrafią mówić zupełnie normalnie.

Takie właśnie były nasze odczucia. (Wtedy również i ja tak myślałem, nie zaprzeczam temu, bo w końcu wszyscy jesteśmy dziećmi naszych rodziców). Byliśmy gotowi zaakceptować Murzynów. Nie mieliśmy wobec nich uprzedzeń. Chcieliśmy włączyć ich do naszego społeczeństwa, „jeśli tylko będą się normalnie zachowywali".

W ramach poparcia dla programu Lyndona Johnsona „Wspaniałe społeczeństwo" i po aplauzie, z jakim został przyjęty „Nauczyciel z przedmieścia", nasi sąsiedzi i krewni wyrazili swoje przekonanie, że Murzyni są w stanie być tacy sami jak biali ludzie. „Ale w takim razie, co to miało znaczyć?" – zadawali sobie pytanie, patrząc na wydarzenia pokazywane w telewizji. Co robili ci młodzi ludzie z sofą na ulicy? Czy Sidney Poitier mógłby kiedykolwiek wziąć sofę lub jakieś duże urządzenie

kuchenne ze sklepu i nie zapłacić? Czy mógłby tańczyć w ten sposób przed płonącym budynkiem?

– Zupełny brak szacunku dla własności prywatnej – krzyczał nasz sąsiad, pan Benz. A jego żona, Phyllis, dodawała:

– Gdzie oni będą mieszkać, jak spalą swoją dzielnicę?

Tylko ciotka Zo wydawała się rozumieć ich zachowanie:

– Sama nie wiem… Gdybym szła ulicą i zobaczyłabym leżące futro z norek, być może zabrałabym je.

– Zoë! – ojciec Mike był wstrząśnięty. – Przecież to jest kradzież!

– Och, a tak naprawdę, co nie jest kradzieżą? Ten cały kraj jest skradziony.

Przez trzy dni i dwie noce czekaliśmy na poddaszu na wiadomość od Miltona. Pożar uszkodził linie telefoniczne i gdy moja matka zadzwoniła do restauracji, usłyszała tylko nagraną wiadomość z głosem telefonistki.

Przez trzy dni nikt nie opuszczał poddasza, oprócz Tessie, która schodziła na dół, aby przynieść jedzenie z naszego pustoszejącego kredensu. Patrzyliśmy na rosnącą liczbę poszkodowanych.

Dzień 1: zgony – 15, ranni – 500, splądrowane sklepy – 1000, pożary – 800.

Dzień 2: zgony – 27, ranni – 700, splądrowane sklepy – 1500, pożary – 1000.

Dzień 3: zgony – 36, ranni – 1000, splądrowane sklepy – 1700, pożary – 1163.

Przez trzy dni bacznie przyglądaliśmy się fotografiom ofiar, które pokazywano w telewizji. Pani Sharon Stone, trafiona kulą przez snajpera, gdy jej samochód zatrzymał się na światłach. Carl E. Smith, strażak, zastrzelony przez snajpera podczas walki z pożarem.

Przez trzy dni widzieliśmy wahania i kłótnie polityków. Republikański gubernator, George Romney, zwracający się do prezydenta Johnsona z prośbą o wysłanie wojsk federalnych, i Johnson, demokrata, odpowiadający, że brak mu „zdolności” do zrobienia czegoś takiego. (Jesienią miały odbyć się wybory. Im gorzej wyglądały zamieszki, tym gorzej miał się zachowywać Romney. I zanim prezydent Johnson zdecydował się wysłać spadochroniarzy, najpierw posłał Cyrusa Vance’a,

aby ocenił sytuację. Upłynęły jeszcze prawie dwadzieścia cztery godziny, zanim wkroczyły wojska federalne. Tymczasem w mieście strzelała niedoświadczona Gwardia Narodowa).

Przez trzy dni nie kąpaliśmy się ani nie myliśmy zębów. Przez trzy dni zawieszone były wszystkie nasze normalne domowe obrzędy, powróciliśmy natomiast do obrzędów na poły zapomnianych, jak modlenie się. Desdemona odmawiała modlitwy po grecku, my staliśmy zgromadzeni wokół jej łóżka, a Tessie, jak zawsze, starała się rozwiać swoje wątpliwości i szczerze wierzyć. W wiecznej lampce nie było już oleju, była za to żarówka elektryczna.

Przez trzy dni nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości od Miltona. Gdy Tessie wracała ze swoich wypraw na dół, wyczuwałem, obok śladów łez na jej twarzy, ledwo widoczne smugi poczucia winy. Śmierć zawsze powoduje, że ludzie zaczynają myśleć bardziej praktycznie. Dlatego też Tessie, która przetrząsała pierwsze piętro w poszukiwaniu jedzenia, przeszukiwała również biurko Miltona, próbując odnaleźć polisy ubezpieczenia na życie. Sprawdzała saldo na ich koncie emerytalnym. Przeglądała się w lustrze w łazience, zastanawiając się, czy w jej wieku mogłaby znaleźć sobie innego męża.

– Miałam dzieci, o które musiałam się zatroszczyć – wyznała mi po latach. – Myślałam, co moglibyśmy zrobić, gdyby twój ojciec nie wrócił.

Jeszcze niedawno życie w Ameryce oznaczało życie z dala od wojny. Wojny toczyły się w dżungli południowo-wschodniej Azji. Zdarzały się na pustyniach Bliskiego Wschodu. Jak w starej piosence, wydarzały się gdzieś tam, daleko. Dlaczego zatem rankiem, po drugiej nocy spędzonej na poddaszu, wyglądając przez mansardowe okno, zobaczyłem czołg przejeżdżający przez trawnik pod naszym domem? Zielony czołg wojskowy, zupełnie samiutki w długich cieniach poranka, jego ogromne gąsienice stukotały na asfalcie. Opancerzony pojazd wojskowy, który nie napotykał na swojej drodze poważniejszej przeszkody niż zgubiona wrotka. Czołg przetoczył się obok zamożnych domów, obok dachów ze szczytami i wieżyczkami, obok bram wjazdowych. Zatrzymał się na chwilę przed znakiem stopu. Wieżyczka odwróciła się w lewo i w prawo, jak głowa uczestnika kursu na prawo jazdy, i czołg ruszył w dalszą drogę.

A oto, co się wydarzyło – w poniedziałek w nocy prezydent Johnson, ulegając w końcu żądaniom gubernatora Romneya, zdecydował się wysłać

wojska federalne. Generał John L. Throckmorton ustanowił dowództwo 101. dywizji desantowej na Southeastern High, tam gdzie moi rodzice chodzili do szkoły. I choć najbardziej zaciekłe walki trwały w dzielnicy West Side, generał Throckmorton postanowił wysłać swoich spadochroniarzy na East Side, tłumacząc tę decyzję „względami operacyjnymi". We wtorek wczesnym rankiem spadochroniarze przemieszczali się, aby zająć pozycje i stłumić zamieszki.

Wszyscy jeszcze spali i nikt oprócz mnie nie widział przejeżdżającego czołgu. Moi dziadkowie drzemali w łóżku. Tessie i Jonasz leżeli zwinięci na materacach na podłodze. Nawet papużki były cicho. Pamiętam, że spojrzałem na wystającą ze śpiwora twarz mojego brata. Na flanelowej podszewce widniały postaci myśliwych polujących na kaczki. To typowo męskie tło jeszcze bardziej podkreślało brak bohaterskich rysów w twarzy Jonasza. Któż miał przyjść mojemu ojcu z pomocą? Na kim mógł polegać? Na Jonaszu z jego okularami ze szkłami jak musztardówki? Na Leftym z jego tabliczką i przekroczoną sześćdziesiątką? To, co następnie zrobiłem, nie miało, jak sądzę, żadnego związku z moim stanem chromosomów. To nie wynikało z wysokiego poziomu testosteronu w mojej krwi. Zrobiłem to, co zrobiłaby każda kochająca córka wychowana na filmach o Heraklesie. W tym momencie postanowiłem znaleźć mojego ojca, aby go uratować, jeśli byłaby taka potrzeba, albo przynajmniej powiedzieć mu, żeby wracał do domu.

Przeżegnałem się na sposób prawosławny i wymknąłem się po schodach z poddasza, zamykając za sobą drzwi. W moim pokoju założyłem tenisówki i pilotkę. Nie budząc nikogo, wyszedłem przez główne drzwi, pobiegłem do swojego roweru stojącego obok domu i odjechałem. Po minięciu dwóch przecznic dojrzałem czołg – zatrzymał się na czerwonym świetle. Siedzący w środku żołnierze zajęci byli przeglądaniem map, starając się odnaleźć jak najlepszą drogę na miejsce zamieszek. Nie zauważyli małej dziewczynki w pilotce przemykającej się na rowerku z długim siodełkiem. Na dworze nadal było jeszcze ciemno. Ptaki dopiero zaczynały śpiewać. Powietrze wypełniał letni zapach trawnika i mierzwy, a ja nagle straciłem całą pewność siebie. Im bardziej zbliżałem się do czołgu, tym większy się wydawał. Byłem przestraszony i chciałem uciec z powrotem do domu. Ale światła zmieniły się i czołg ruszył do przodu. Stając na pedałach, popędziłem za nim.

Po drugiej stronie miasta mój ojciec starał się nie zasnąć w pozbawionym światła barze „Zebra". Zabarykadowany za kasą, trzymając w jednej ręce rewolwer, a w drugiej kanapkę z szynką, Milton patrzył przez witrynę na toczące się na ulicy wydarzenia. Przez ostatnie dwie bezsenne noce worki pod oczami Miltona robiły się coraz ciemniejsze, w miarę jak wypijał kolejne filiżanki kawy. Powieki ciążyły mu z przemęczenia, ale jego brwi były mokre od potu, ze strachu i wytężania uwagi. Bolał go brzuch. Okropnie chciało mu się iść do toalety, ale nie śmiał tego zrobić.

Na zewnątrz znowu pojawili się oni – snajperzy. Była już prawie piąta rano. Każdego wieczoru zachodzące słońce, jak kółeczko na rolecie okiennej, opuszczało na okolicę zasłonę nocy. W ciągu gorącego dnia snajperzy gdzieś znikali, ale teraz powracali. Zajmowali swoje pozycje. Z okien zrujnowanych hoteli, ze schodów pożarowych i balkonów, zza samochodów stojących na lewarkach na podwórzach wystawiali lufy różnych karabinów. Jeśli ktoś był na tyle odważny albo nieostrożny, aby o tej porze wychylić głowę przez okno, mógł zobaczyć przy świetle księżyca – tego drugiego kółeczka do rolet, sunącego do góry – setki błyszczących luf skierowanych na ulicę, którą maszerowali żołnierze.

Restauracja była oświetlona jedynie słabym, czerwonym blaskiem z szafy grającej. Szafa, model Disco-Matic, wykonana z chromu, plastiku i kolorowego szkła, stała obok głównych drzwi. Miała małe okienko, przez które było widać mechanizm zmieniający płyty. W biegnącym wokół szafy układzie krążenia unosiły się ciemnoniebieskie bąbelki. Bąbelki reprezentujące musowanie amerykańskiego życia, naszego powojennego optymizmu, naszych gazowanych, imperialnych, nasyconych tlenkiem węgla napojów. Bąbelki pełne pustosłowia amerykańskiej demokracji, ulatującego ze stosu winylowych płyt w środku. Takich jak *Mama Don't Allow It* Bunny'ego Berigana albo *Stardust* Tommy'ego Dorseya i jego orkiestry. Ale nie dzisiejszej nocy. Dzisiejszej nocy Milton wyłączył szafę, aby słyszeć, czy ktoś się nie włamuje.

Postaci na przepełnionych ścianach restauracji nie zważały na mające miejsce na zewnątrz zamieszki. Z ramek nadal promieniał Al Kaline. Paul Bunyan i jego niebieski wół dalej maszerowali pod napisem reklamującym danie dnia. Menu wciąż oferowało jajka, tarte ziemniaki smażone z cebulą, siedem rodzajów ciast. Jak dotąd nic się nie wydarzyło. To graniczyło z cudem. Wczoraj, siedząc w kucki przy witrynie, Milton widział

szabrowników włamujących się do wszystkich sklepów w okolicy. Splądrowali żydowski rynek, zabierając wszystko oprócz macy i świeczek na rocznice śmierci Yahrzeit. Wykazując dobry gust, ogołocili sklep obuwniczy Joela Moskowitza z najdroższych i najmodniejszych modeli, pozostawiając tylko obuwie ortopedyczne i kilka par mokasynów. Jeśli Milton dobrze widział, ze sklepu z artykułami gospodarstwa domowego pozostały tylko worki do odkurzacza. Co mogli zabrać, gdyby chcieli splądrować restaurację? Czy wzięliby witraż, który Milton również kiedyś ukradł? Czy zainteresowaliby się zdjęciem Ty Cobba, uśmiechniętego, wślizgiem wpadającego na drugą bazę? Może zerwaliby skórę zebry ze stołków barowych. Przecież lubili afrykańskie rzeczy, prawda? Czy to była nowa moda, czy też stara, która znowu była nową? Do diabła, mogli zabrać tę pieprzoną skórę zebry. Mógłby im ją wystawić na zewnątrz, na znak pokoju.

Ale w tym momencie Milton coś usłyszał. To chyba klamka. Słuchał uważnie. Przez kilka ostatnich godzin zdawało mu się, że słyszy różne dźwięki. Wzrok również zaczynał go zawodzić. Przycupnął za ladą, mrużąc oczy i patrząc w ciemność. W uszach mu szumiało, jakby przyłożył do nich muszle. Słyszał odległy ostrzał karabinowy i wycie syren. Słyszał mruczenie lodówki i tykanie zegara. Oprócz tego był szum krwi przewalającej się z hukiem przez kanały w jego głowie. Ale od strony drzwi nie dochodził żaden dźwięk.

Milton odprężył się. Ugryzł kanapkę. Delikatnie, na próbę, położył głowę na ladzie: „Tylko na minutkę". Gdy zamknął oczy, od razu poczuł ulgę. Ale w tym momencie ponownie zgrzytnęła klamka i Milton aż podskoczył. Potrząsnął głową, starając się przebudzić. Odłożył kanapkę i na palcach wyszedł zza lady, trzymając broń w pogotowiu.

Nie zamierzał jej używać. Chciał tylko wystraszyć włamywaczy. Jeśliby mu się to nie udało, Milton był przygotowany do ucieczki. Oldsmobil był zaparkowany z tyłu restauracji. Mógłby być w domu w ciągu dziesięciu minut. Klamka jeszcze raz szczęknęła. Nie namyślając się długo, Milton podszedł do szklanych drzwi i zawołał:

– Mam broń!

Tylko, że to nie była broń. To była kanapka z szynką! Milton groził szabrownikowi dwoma kawałkami chleba tostowego, plasterkiem mięsa

i ostrą musztardą. Ponieważ jednak było ciemno, jego groźba podziałała. Włamywacz za drzwiami podniósł ręce.

To był Morrison z drugiej strony ulicy.

Milton patrzył na Morrisona. Morrison patrzył na niego. I w tym momencie mój ojciec powiedział coś, co biali ludzie zazwyczaj mówią w takich sytuacjach:

– Czym mogę służyć?

Morrison spojrzał na niego zdumiony.

– Co ty tu robisz, człowieku? Oszalałeś? Tu niebezpiecznie dla białych ludzi.

Usłyszeli strzał. Morrison przycisnął się do szyby.

– Tu niebezpiecznie dla wszystkich.

– Muszę chronić moją własność.

– A twoje życie to nie twoja własność? – Morrison podniósł brwi, aby podkreślić niepodważalność swojego stwierdzenia. Następnie porzucił wyraz wyższości i zakaszlał.

– Posłuchaj, szefie, jak już tu jesteś, może jednak możesz mi posłużyć – wyciągnął kilka drobnych. – Przyszedłem po papierosy.

Milton aż usta otworzył z wrażenia i w niedowierzaniu zmarszczył brwi. Oschłym głosem powiedział:

– To dobry moment, żeby rzucić nałóg.

Rozbrzmiał kolejny strzał, tym razem bliżej. Morrison podskoczył, a potem się uśmiechnął.

– Pewnie, że to niezdrowe. I coraz bardziej niebezpieczne.

Uśmiechnął się szeroko.

– To będzie moja ostatnia paczka – powiedział. – Przysięgam.

Wrzucił drobniaki przez szczelinę na listy.

– Parlamenty. – Milton popatrzył przez chwilę na monety i poszedł po papierosy.

– Masz zapałki? – zapytał Morrison.

Milton wsunął przez szczelinę również zapałki. Gdy to zrobił, nagle poczuł, że tego wszystkiego jest już za dużo, że nie jest w stanie tego wytrzymać, tych zamieszek, zszarganych nerwów, zapachu ognia w powietrzu i zuchwałości tego Morrisona, który, uciekając przed ogniem snajperów, przyszedł tu po papierosy. Zaczął wymachiwać rękami na wszystkie strony i krzyczał przez drzwi:

– O co wam chodzi, ludzie?

Morrison odpowiedział bardzo krótko:

– Nam o nic nie chodzi – rzekł. – To wy stwarzacie problemy.

I zniknął.

„To wy stwarzacie problemy" – ileż razy słyszałem to zdanie w latach mojej młodości? Wymawiane przez Miltona z jego, tak zwanym, murzyńskim akcentem, powtarzane za każdym razem, gdy jakiś liberalny mądrala opowiadał o „pozbawionych dziedzictwa kulturowego" lub „podklasie" czy „strefach uprzywilejowanych", wypowiadane w przekonaniu, że to jedno stwierdzenie, które usłyszał, gdy czarni palili znaczną część naszego ukochanego miasta, samo dowodziło swojej absurdalności. Z biegiem lat Milton używał go jak tarczy przed wszelkimi opiniami, z którymi się nie zgadzał, aż w końcu przerodziło się w rodzaj mantry, wyjaśnienia, dlaczego świat zmierzał do piekła, zdania mającego zastosowanie nie tylko do czarnoskórych Amerykanów, ale również do feministek i homoseksualistów; lubił używać go również w stosunku do nas, gdy tylko spóźniliśmy się na obiad albo nosiliśmy ubrania, których Tessie nie akceptowała.

„To wy stwarzacie problemy!" – słowa Morrisona odbijały się echem po ulicy, ale Milton nie miał czasu, aby się nad nimi zastanawiać, ponieważ właśnie w tym momencie z hurkotem wtoczył się pierwszy czołg, skrzypiący jak Godzilla w japońskim filmie. Z obu jego stron stali żołnierze, już nie policjanci, ale Gwardia Narodowa, zamaskowani, w hełmach, nerwowo trzymając karabiny z nałożonymi bagnetami. Kierowali broń w górę, w stronę innych karabinów, wymierzonych w dół. Przez chwilę nastała względna cisza, w której Milton usłyszał, jak po drugiej stronie ulicy Morrison zatrzaskuje za sobą drzwi z siatką przeciw owadom. Potem usłyszał puknięcie, jakby wystrzał z zabawkowego pistoletu, i nagle cała ulica rozświetliła się tysiącami błysków ognia…

Ja również słyszałem tę kanonadę, będąc ćwierć mili dalej. Podążając w bezpiecznej odległości za wolno jadącym czołgiem, przejechałem na moim rowerku od Indian Village przez East Side aż na West Side. Starałem się jak najlepiej orientować w swoim położeniu, ale miałem dopiero siedem i pół roku, i nie znałem jeszcze wielu ulic. Przejeżdżając przez centrum, rozpoznałem pomnik marszałka Fredericksa The Spirit of Detroit stojący przed budynkiem rady miejskiej. Kilka lat wcześniej jakiś

dowcipniś namalował czerwoną farbą ślady wielkości stóp pomnika, prowadzące przez Woodward na randkę z pomnikiem nagiej kobiety wzniesionym przed Bankiem Narodowym w Detroit. Te ślady stóp były jeszcze widoczne, gdy tamtędy pedałowałem. Czołg skręcił w Bush Street, a ja pojechałem za nim, mijając Monroe i światła dzielnicy greckiej. W zwykły dzień starsi Grecy z pokolenia mojego dziadka wybieraliby się właśnie do kawiarni, aby spędzić dzień na grze w tryktraka, ale tego poranka, 25 lipca 1967 roku, ulica była pusta. W pewnym miejscu mój czołg spotkał się z innymi i teraz jeden za drugim zmierzały w kierunku północno-zachodnim. Wkrótce centrum znikło z oczu i już nie wiedziałem, gdzie jestem. Starając się utrzymać aerodynamiczną pozycję nad kierownicą, pedałowałem jak oszalały za gęstym, oleistym dymem, wydobywającym się z rur wydechowych poruszającej się kolumny…

…Tymczasem na Pingree Street Milton kuca za murem zwieńczonym blankami z puszek po oliwie z oliwek. Kule wylatują z każdego zaciemnionego okna na ulicy, z sali bilardowej Frank's, z baru „Pod Wroną", z dzwonnicy afrykańskiego kościoła episkopalnego, grad kul przecina powietrze jak deszcz, powodując, że jedyna świecąca latarnia uliczna zaczyna migotać, jakby zaraz miała zgasnąć. Kule uderzające w pancerz i rykoszetem odbijające się od cegieł, tworzące tatuaże na zaparkowanych samochodach. Kule wyrywające nóżki spod skrzynki pocztowej U.S. Postal Service, która przewraca się jak pijana. Kule rozbijające w drobny mak okno u weterynarza, przechodzące dalej przez ściany i docierające do stojących z tyłu klatek ze zwierzętami. Owczarek niemiecki, który szczekał nieustannie przez ostatnie trzy dni i dwie noce, nagle milknie. Kot wykręca się w powietrzu, miaucząc przeraźliwie, jego błyszczące zielone oczy nagle gasną, jak wyłączone światło. Toczy się regularna bitwa, wymiana ognia, fragment Wietnamu przeniesiony do naszego kraju. Ale w tym przypadku żołnierze Wietkongu leżą na wygodnych materacach łóżkowych. Siedzą na składanych krzesełkach i popijają piwo słodowe, armia ochotników walczących na ulicach przeciw zwerbowanym żołnierzom.

Nie da się ustalić, kim byli snajperzy. Ale łatwo zrozumieć, dlaczego policja określiła ich tym mianem. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak ich określił burmistrz Jerome Cavanaugh, a także gubernator George Romney. Snajper, z definicji, działa samotnie. Snajper jest tchórzliwy, przebiegły,

zabija na odległość, pozostaje niewidoczny. Wygodnie było nazwać ich snajperami, bo jeśli nie byliby snajperami, to kim mieli być? Gubernator tego nie powiedział, gazety też nie, nie można znaleźć tego również w książkach historycznych, ale ja, oglądając to wszystko z mojego rowerku, widziałem wyraźnie: w Detroit w lipcu 1967 roku to, co się wydarzyło, nie było niczym innym, jak partyzanckim powstaniem.

Drugą amerykańską wojną o niepodległość.

Gwardziści przechodzą do kontrataku. Na samym początku rozruchów policja zachowywała się dość powściągliwie. Wycofywała się, starając się zapobiec rozprzestrzenianiu się zamieszek. Podobnie wojska federalne – spadochroniarze z 82. i 101. dywizji powietrzno-desantowej to zaprawieni w bojach weterani, którzy wiedzą, jakich sił można i należy użyć. Ale Gwardia Narodowa to zupełnie inne towarzystwo. Niedzielni wojownicy, prosto z domu wezwani na front. Są niedoświadczeni i przerażeni. Poruszają się po ulicach, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Czasami wjeżdżają czołgami wprost na trawniki przed domami. Tarasują werandy i burzą ściany domów. Czołg zatrzymuje się na chwilę przed barem „Zebra". Otacza go mniej więcej dziesiątka żołnierzy celujących w snajpera na czwartym piętrze hotelu Beaumont. Snajper strzela, gwardziści odpowiadają ogniem i mężczyzna spada, jego nogi wplątują się między szczeble drabinki wyjścia pożarowego. Zaraz potem po drugiej stronie ulicy pojawia się następny ogień. Milton spogląda w górę i widzi, że to Morrison zapala papierosa w swoim salonie. Zapala parlamenta za pomocą zapałek w paski zebry.

– Nie! – krzyczy Milton. – Nie!

A Morrison, nawet jeśli go słyszy, myśli, że to kolejna diatryba przeciw paleniu, ale bądźmy szczerzy, on tego nie słyszy. On tylko zapala papierosa i… dwie sekundy później kula przechodzi przez środek jego czaszki, a on pada jak kłoda. Żołnierze posuwają się dalej.

Ulica znowu jest opustoszała i cicha. Karabiny maszynowe i czołgi zaczynają ostrzał następnej ulicy albo jeszcze następnej. Milton stoi w drzwiach, patrząc w puste okno, w którym widział Morrisona. Zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że restauracja jest w końcu bezpieczna. Żołnierze przyszli i odeszli. Zamieszki się skończyły…

Tylko że teraz ulicą nadciąga ktoś inny. Gdy czołg znika za rogiem Pingree, z przeciwnej strony zaczyna zbliżać się nowa postać. Ktoś, kto

mieszka w sąsiedztwie, wyłania się zza rogu i zmierza w kierunku baru „Zebra”...

...Podążając za rzędem czołgów, już nie myślałem o zrobieniu wstydu mojemu bratu. Byłem zupełnie zaskoczony tą nagłą i gwałtowną strzelaniną. Wielokrotnie przeglądałem album mojego ojca z wycinkami prasowymi z okresu drugiej wojny światowej, w telewizji widziałem Wietnam, przyswoiłem niezliczoną liczbę filmów o starożytnym Rzymie i średniowiecznych bitwach. Ale to wszystko nie przygotowało mnie do działań wojennych w rodzinnym mieście. Jadę ulicą wysadzaną liściastymi wiązami. Przy krawężnikach stoją samochody. Przejeżdżam obok trawników i mebli ogrodowych, karmników i poideł dla ptaków. Patrzę na baldachim wiązów i widzę, że niebo dopiero zaczyna się rozjaśniać. Wśród gałęzi poruszają się ptaki i wiewiórki. Na jednym drzewie utknął latawiec. Z konaru innego zwisają tenisówki z zawiązanymi sznurowadłami. Bezpośrednio pod tymi tenisówkami widzę tabliczkę z nazwą ulicy. Jest cała podziurawiona kulami, ale udaje mi się ją odczytać: Pingree. Nagle poznaję miejsce, w którym jestem. Tu jest sklep mięsny Value Meat! A tu New Yorker Clothes. Tak się cieszę na ten widok, że w pierwszej chwili nawet nie zauważam pożaru, jaki ogarnął te dwa sklepy. Pozwalam czołgom odjechać, a sam wjeżdżam na podjazd i zatrzymuję się za drzewem. Schodzę z roweru i patrzę w kierunku naszej restauracji. Szyld z głową zebry jest nienaruszony. Restauracja nie płonie. Ale w tym momencie w polu mojego widzenia pojawia się postać kierująca się do baru „Zebra”. Z odległości trzydziestu metrów widzę, jak podnosi rękę z butelką. Zapala szmatę zwisającą z szyjki butelki i niezbyt zręcznie wrzuca koktajl Mołotowa przez witrynę baru „Zebra”. W chwili, gdy wewnątrz wybuchają płomienie, podpalacz wydaje okrzyk szczęścia:

– *Opa*, skurwysynu!

Widziałem go tylko od tyłu. Na dworze była jeszcze szarówka. Z sąsiednich płonących budynków podnosił się dym. Jednak zanim ta postać uciekła, przy świetle płomieni udało mi się rozpoznać czarny beret mojego kolegi, Mariusa Wyxzewixarda Challouehliczilczese'a Grimesa.

– *Opa!* – w restauracji mój ojciec usłyszał ten dobrze znany okrzyk greckich kelnerów i zanim się zorientował, co się dzieje, cały lokal palił się jak płonąca przystawka. Bar „Zebra” przemienił się w *saganaki*! Płomienie pojawiały się w kolejnych boksach, a Milton pobiegł za ladę po gaśnicę. Gdy

powrócił, skierował dyszę gaśnicy, jak kawałek cytryny zawinięty w płótno, na płomienie i już był gotowy ją uruchomić…

…gdy nagle się powstrzymał. Rozpoznaję znajomy wyraz twarzy mojego ojca, wyraz, który tak często pojawiał się na jego obliczu przy stole jadalnym, nieprzytomne spojrzenie człowieka, który nigdy nie przestaje myśleć o interesach. Podstawą sukcesu jest umiejętność odnalezienia się w nowej sytuacji. A czy można sobie wyobrazić sytuację bardziej nową? Po ścianach pięły się płomienie, od gorąca zwijało się zdjęcie Jimmy'ego Dorseya. A Milton zadawał sobie kilka istotnych w tej chwili pytań. Na przykład, czy może jeszcze prowadzić restaurację w tej dzielnicy, i jak mogą jutro wyglądać i tak już bardzo niskie ceny nieruchomości. I najważniejsze ze wszystkich: czy to może być przestępstwo? Czy to on wzniecił zamieszki? Czy on rzucił koktajlem Mołotowa? Podobnie jak to robiła Tessie, umysł Miltona przeszukiwał w tym momencie dolną szufladę biurka, a zwłaszcza grubą kopertę zawierającą trzy różne polisy ubezpieczenia od pożaru. Widział je oczami duszy, czytał wysokości odszkodowań i je sumował. Całkowita suma, 500 000 dolarów, spowodowała, że zapomniał o pozostałych sprawach. Pół miliona dolców! Milton zatoczył błędnym, przejętym wzrokiem w koło. Płonął napis reklamujący francuskie grzanki. Obite skórą zebry stołki barowe wyglądały jak rząd pochodni. Jak szalony odwrócił się i wybiegł do zaparkowanego z tyłu oldsmobila…

A tam spotkał mnie.

– Callie! Co ty tu, u diabła, robisz?

– Przyszłam pomóc.

– Co się z tobą dzieje! – krzyknął Milton. Ale mimo wyczuwalnej w jego głosie złości, już był na kolanach i mnie obejmował. Objąłem go za szyję.

– Tatusiu, restauracja się pali.

– Wiem.

Zacząłem płakać.

– Już dobrze – powiedział ojciec, prowadząc mnie do samochodu. – Wracajmy do domu. Już po wszystkim.

A zatem – czy to były zamieszki, czy powstanie partyzanckie? Spróbujmy odpowiedzieć pytaniem na pytanie. Czy po stłumieniu zamieszek znaleziono w całej okolicy tajne składy broni, czy też nie? A czy ta broń to nie były karabiny maszynowe i kałasznikowy? I dlaczego generał

Throckmorton zdecydował się rozlokować swoje czołgi na East Side, kilka kilometrów od miejsca rozruchów? Czy tak się zwykle postępuje, aby poskromić niezorganizowaną bandę snajperów? Czy może jednak miało to związek z zastosowaniem wojskowej taktyki? Czy to nie przypominało ustanowienia linii frontu na wojnie? Możecie sobie wierzyć, w co chcecie. Miałem siedem lat i podążyłem za czołgiem na pole bitwy, a co widziałem, to widziałem. Okazało się, że gdy w końcu wydarzyła się rewolucja, nie została zarejestrowana przez telewizję. W telewizji nazwano ją zamieszkami.

Następnego dnia rano, gdy rozwiały się już dymy, znowu można było zobaczyć flagę miasta. Pamiętacie, jaki na niej widniał symbol? Feniks powstający z popiołów. A jakie słowa znajdowały się poniżej? *Speramus meliora, resurget cineribus* – żywimy nadzieję na lepsze jutro, powstanie z popiołów.

Middlesex

Wstyd się do tego przyznać, ale zamieszki to była najlepsza rzecz, jaka się nam kiedykolwiek przydarzyła – w ciągu jednej nocy z rodziny rozpaczliwie starającej się pozostać w klasie średniej, przeobraziliśmy się w rodzinę aspirującą do klasy wyższej lub przynajmniej do wyższej klasy średniej. Pieniądze z ubezpieczenia nie były aż tak duże, jak Milton się spodziewał. Dwa z trzech towarzystw odmówiły wypłacenia pełnej kwoty, powołując się na klauzulę nadmiernego ubezpieczenia. Wypłaciły tylko jedną czwartą sumy ubezpieczenia. Mimo to uzyskana kwota po zsumowaniu zdecydowanie przekraczała wartość baru „Zebra", co pozwoliło moim rodzicom dokonać pewnych zmian w naszym życiu.

Ze wszystkich moich wspomnień z dzieciństwa żadne nie ma tej magii, tej nierzeczywistości jak ze snu, jak ta noc, gdy usłyszeliśmy dźwięk klaksonu przed naszym domem, wyjrzeliśmy przez okno i zobaczyliśmy, że na podjeździe domu wylądował statek kosmiczny.

Osiadł bezszelestnie obok kombi mojej mamy. Przednie reflektory błyskały, tylne światła rzucały czerwoną poświatę. Przez trzydzieści następnych sekund nie wydarzyło się nic więcej. W końcu powoli szyba statku kosmicznego zjechała w dół i pokazała się twarz, ale nie Marsjanina, tylko Miltona. Zgolił brodę.

– Zawołaj mamę! – krzyknął z uśmiechem na ustach. – Jedziemy na przejażdżkę!

Nie statek kosmiczny zatem, ale coś bardzo podobnego – cadillac fleetwood z 1967 roku, najbardziej międzygalaktyczny samochód, jaki kiedykolwiek powstał w Detroit (lot na księżyc miał się odbyć już za rok). Był czarny jak sam kosmos i wyglądał niczym leżąca na boku rakieta. Długi przód był zakończony szpicem jak stożek kadłuba, a sylwetka pojazdu ciągnęła się na podjeździe w długim, pięknym, złowieszczo idealnym kształcie. Srebrna wielokomorowa kratownica wlotu powietrza wyglądała

tak, jakby miała filtrować pył gwiezdny. Chromowane rury przypominające obudowę zespołu obwodów elektrycznych biegły od stożkowych żółtych kierunkowskazów wzdłuż zaokrąglonych boków samochodu, aż do jego tylnej części, rozszerzającej się w aerodynamiczne stateczniki odrzutowca i silniki rakietowe.

Wewnątrz cadillaca były pluszowe dywany i delikatne oświetlenie jak w barze u Ritza. W podłokietnikach umieszczono popielniczki i zapalniczki. Całe wnętrze było wykończone czarną skórą, która wydzielała bardzo intensywny zapach. Człowiek czuł się tam jak w jakimś portfelu.

Nie ruszyliśmy od razu. Siedzieliśmy w zaparkowanym samochodzie, jakby wystarczało nam samo przebywanie w nim, jakbyśmy teraz, gdy już go posiadaliśmy, mogli zapomnieć o naszym salonie i każdą noc spędzać na podjeździe. Milton uruchomił silnik. Jeszcze nie ruszając z miejsca, zaczął nam pokazywać różne cudeńka. Naciśnięciem guzika opuszczał i podnosił szyby. Naciskając inny, blokował drzwi. Fotel kierowcy przechylił się z buczeniem do przodu, a potem do tyłu, aż mogłem zobaczyć łupież na ramionach ojca. Zanim wrzucił bieg, wszyscy już czuliśmy lekki zawrót głowy. Pojechaliśmy Seminole Avenue, obok domów naszych sąsiadów, już wtedy żegnając się z Indian Village. Na rogu Milton włączył migacz, a ten zaczął tykać, odliczając sekundy do naszej ostatecznej wyprowadzki.

Fleetwood model 1967 był pierwszym cadillakiem mojego ojca, ale po nim miało pojawić się wiele innych. Przez siedem kolejnych lat Milton prawie co rok zmieniał samochód, dzięki czemu mogę przedstawić przebieg mojego życia na podstawie zmian w sylwetce jego wielu cadillaców. Gdy znikły stateczniki, miałem dziewięć lat, kiedy pojawiły się elektrycznie wysuwane anteny – jedenaście. Również moje życie emocjonalne odpowiadało zmianom w linii samochodów. W latach sześćdziesiątych, gdy cadillaki miały futurystyczny, pewny siebie wygląd, ja również byłem ufny we własne siły i odważnie patrzyłem w przyszłość. W latach siedemdziesiątych, gdy rozpoczął się kryzys paliwowy, a producent wypuścił niefortunny model seville – który od razu wyglądał tak, jakby ktoś go stuknął od tyłu – ja również czułem się jak po nieszczęśliwym wypadku. Możecie wybrać dowolny rok, a ja wam powiem, jaki mieliśmy samochód. Rok 1970: eldorado w kolorze coca-coli. Rok 1971:

czerwony sedan deville. Rok 1972: złoty fleetwood z osłoną przeciwsłoneczną nad fotelem pasażera, która po otwarciu zmieniała się w lustro prosto z garderoby gwiazdki filmowej (w którym Tessie poprawiała swój makijaż, a ja oglądałem pierwsze pryszcze). Rok 1973: długi czarny fleetwood z imponującą kopułą dachu, na którego widok zatrzymywały się inne samochody, bo ich kierowcy sądzili, że przejeżdża karawan. Rok 1974: dwudrzwiowy florida special w kanarkowożółtym kolorze, z białym winylowym dachem, szyberdachem i jasnobrązowymi skórzanymi siedzeniami, którym nadal jeszcze jeździ moja matka, niemal trzydzieści lat później.

Ale w 1967 był fleetwood z ery kosmicznej. Kiedy osiągnęliśmy odpowiednią prędkość, Milton oznajmił:

– Dobrze, teraz możemy zrzucić balast – nacisnął przełącznik umieszczony pod deską rozdzielczą. Dało się słyszeć świst, przypominający dźwięk nadmuchiwanego balonu. Powoli, niczym podnoszona na czarodziejskim dywanie, cała nasza czwórka wzniosła się pod dach samochodu.

– To właśnie nazywają „powietrzną jazdą". Nowiutka funkcja. Mięciutko, co?

– To jakiś rodzaj hydraulicznego zawieszenia? – dopytywał się Jonasz.

– Chyba tak.

– Może nie będę musiała podkładać sobie poduszki do prowadzenia samochodu – powiedziała Tessie.

Przez chwilę nikt z nas się nie odzywał. Kierowaliśmy się na wschód, wyjeżdżając z Detroit, nieomal szybując w powietrzu.

Przejdę teraz do drugiej części naszego przemieszczania się w górę. Wkrótce po ustaniu zamieszek moi rodzice, jak większość białych mieszkańców Detroit, zaczęli rozglądać się za domem na przedmieściu. Myśleli o określonym przedmieściu, znajdującym się w zamożnej, położonej nad jeziorem dzielnicy, w której mieszkali potentaci samochodowi: Grosse Pointe.

Okazało się, że jest to trudniejsze niż można się było spodziewać. W cadillacu przemierzyli wszystkie pięć dzielnic Grosse Pointe (Park, City, Farms, Woods i Shores) i na wielu trawnikach widzieli tabliczki z napisem NA SPRZEDAŻ. Ale gdy wstępowali do biura handlu nieruchomościami

i wypełniali formularze, nagle okazywało się, że wybrane domy znikały z oferty, były sprzedane albo ich cena wzrastała dwukrotnie.

Po dwóch miesiącach poszukiwań Miltonowi pozostała już tylko jedna agentka handlu nieruchomościami, panna Jane Marsh z firmy Great Lakes Realty. Towarzyszyła mu teraz – a wraz z nią rosnące podejrzenia.

– Ta posiadłość jest dosyć ekscentryczna – opowiada Miltonowi panna Marsh w pewne wrześniowe popołudnie, prowadząc go po podjeździe. – Nabywca musi być obdarzony wyobraźnią.

Otwiera główne drzwi i wprowadza go do środka.

– Ale ma ciekawy rodowód. Została zaprojektowana przez Hudsona Clarka – oczekuje reakcji świadczącej o tym, że Milton wie, o kim ona mówi. – Pamięta pan? To był styl prerii.

Milton niepewnie przytaknął. Obraca głową, rozglądając się po domu. Nie zwracał specjalnie uwagi na zdjęcie, które pokazała mu w biurze panna Marsh. Zbyt klockowaty. Zbyt nowoczesny.

– Nie jestem pewien, czy mojej żonie spodoba się coś takiego, panno Marsh.

– Obawiam się, że w tej chwili nie dysponujemy niczym w bardziej tradycyjnym stylu.

Prowadzi go ascetycznym białym korytarzem, a później w dół, krótką, otwartą klatką schodową. Po wejściu do położonego na niższym poziomie salonu głowa panny Marsh również zaczyna się obracać. Z grzecznym uśmiechem, w którym obnaża królicze górne dziąsło, zaczyna się baczniej przyglądać cerze Miltona, jego włosom, butom. Ponownie patrzy na jego wniosek z biura handlu nieruchomościami.

– Stephanides. Co to za nazwisko?

– Greckie.

– Greckie. Bardzo ciekawe.

Panna Marsh, nadal błyskając górnym dziąsłem, robi notatki w swoim zeszycie. Następnie powraca do oprowadzania:

– Salon na niższym poziomie. Oranżeria przy jadalni. I, jak pan być może zdążył już zauważyć, w domu jest bardzo dużo okien.

– Tak, to w zasadzie wygląda na okno, panno Marsh – Milton podchodzi do szyby i przygląda się ogrodowi na tyłach domu. Tymczasem stojąca kilka kroków za nim panna Marsh przygląda się Miltonowi.

– Czy mogę zapytać, czym się pan zajmuje, panie Stephanides?

– Prowadzę restaurację.

Kolejny znaczek w notatniku.

– Może interesuje pana, jakie są w okolicy kościoły? Jakiego jest pan wyznania?

– Nie zajmuję się takimi sprawami. Moja żona chodzi z dziećmi do kościoła greckiego.

– Ona również jest Greczynką?

– Ona jest z Detroit. Oboje pochodzimy z East Side.

– I potrzebuje pan miejsca dla dwójki dzieci, tak?

– Tak, proszę pani. Oprócz tego mieszkają z nami również rodzice.

– Ach, rozumiem.

Różowe dziąsła znikają i panna Marsh zabiera się do podliczania: „Zastanówmy się – południowy rejon Morza Śródziemnego. Jeden punkt. Nie pracuje w zalecanym zawodzie. Jeden punkt. Religia? Grecki kościół. To chyba jakiś rodzaj katolicyzmu? Zatem tu też jeden punkt. I mieszkają z nim jego rodzice! Jeszcze dwa punkty! Czyli razem – pięć! Nie ma szans. Na pewno nie ma szans".

Kilka słów na temat rachunków panny Marsh. W tamtych czasach agenci biur nieruchomości w Grosse Pointe oceniali potencjalnych klientów zgodnie z „systemem punktowym". (Nie tylko Milton martwił się, że dzielnica schodzi na psy). Nikt o tym otwarcie nie mówił. Pośrednicy tylko wspominali o „normach społecznych" i sprzedaży „odpowiednim ludziom". Gdy zaczęła się ucieczka białych mieszkańców w kierunku dzielnic o niższym współczynniku przestępczości, „system punktowy" był szczególnie ważny. Nie chciano, aby to, co wydarzyło się w Detroit, powtórzyło się również tutaj.

Panna Marsh dyskretnie pisze cyfrę „5" obok nazwiska Stephanides i obwodzi ją kółkiem. Jednak robiąc to, czuje coś w rodzaju żalu. W końcu „system punktowy" to nie jest jej pomysł. Był używany na długo przed tym, gdy przybyła na Grosse Pointe z Wichita, gdzie jej ojciec jest rzeźnikiem. Ale przecież ona nic nie może zrobić. Tak, pannie Marsh jest przykro: „Tak, naprawdę. Spójrzcie tylko na ten dom! Kto go kupi, jeśli nie jakiś Włoch czy Grek? Nigdy go nie sprzedam. Nigdy!"

Jej klient nadal stoi przy oknie i wygląda na zewnątrz.

– W pełni rozumiem pana upodobanie do czegoś bardziej w stylu Starego Świata, panie Stephanides. Od czasu do czasu otrzymujemy takie

oferty. Musi się pan tylko uzbroić w cierpliwość. Mamy pana numer telefonu. Poinformuję pana, gdy tylko coś się pojawi.

Milton jej nie słyszy. Jest pochłonięty widokiem. Na dachu domu jest taras, a z tyłu patio. A za domem są jeszcze dwa mniejsze budynki.

– Może mi pani coś powiedzieć o tym gościu, Hudsonie Clarku? – prosi.

– Clark? Szczerze mówiąc, to mało ważna postać.

– Styl prerii, tak?

– Hudson Clark to nie Frank Lloyd Wright, jeśli to pan ma na myśli.

– A co to za zabudowania gospodarcze tam widać?

– Nie nazywałabym ich zabudowaniami gospodarczymi, panie Stephanides. To lekka przesada. Jeden to łaźnia. Obawiam się, że chyba jest w ruinie. Nawet nie wiem, czy działa. A za nią jest domek gościnny. W niego też trzeba włożyć sporo pracy.

– Łaźnia? To niebanalne – Milton odwraca się od szyby. Zaczyna chodzić po domu, oglądając go w nieco innym świetle: ściany jak w Stonehenge, kafle ułożone w kompozycję w stylu Klimta, otwarte pomieszczenia. Wszystko w geometrycznym porządku, rozmieszczone w formie siatki. Promienie słońca wpadają przez wiele świetlików.

– Dopiero teraz, gdy tu już jestem – mówi Milton – zaczynam łapać, o co tu chodzi. Na fotografii, którą mi pani pokazała, dom nie wygląda zbyt korzystnie.

– W zasadzie, panie Stephanides, dla takiej rodziny jak pańska, z małymi dziećmi, nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy…

Ale zanim zdążyła skończyć, Milton podniósł ręce na znak kapitulacji:

– Już nic więcej nie musi mi pani pokazywać. Nie wiem, czy to są zabudowania gospodarcze, czy też nie, i w jakim są stanie, ale biorę to.

Chwila ciszy. Panna Marsh uśmiecha się, odsłaniając swoje dwie warstwy dziąseł.

– To wspaniale, panie Stephanides – odpowiada bez entuzjazmu. – Oczywiście wszystko zależy jeszcze od tego, czy bank przyzna kredyt.

Ale teraz przyszła kolej na uśmiech Miltona. Mimo oficjalnego zaprzeczania pogłoskom o istnieniu „systemu punktowego”, nie jest on dla nikogo żadną tajemnicą. Rok temu dom na Grosse Pointe chciał kupić Harry Karras, ale mu się nie udało. To samo przydarzyło się Pete’owi Savidisovi. Ale nikt nie będzie mówił Miltonowi Stephanidesowi, gdzie ma mieszkać. Ani panna Marsh, ani banda zarozumiałych pośredników

handlu nieruchomościami, spędzających czas w ekskluzywnych ośrodkach rekreacyjnych.

– Tym nie musi się pani martwić – powiedział mój ojciec, rozkoszując się tą chwilą. – Zapłacę gotówką.

Przeskakując barierę „systemu punktowego", mojemu ojcu udało się kupić nam dom na Grosse Pointe. Był to jedyny wypadek w jego życiu, gdy zapłacił za coś z góry. Ale co z innymi barierami? Co z faktem, że agenci handlu nieruchomościami pokazali mu tylko najmniej atrakcyjne domy w najbliższym otoczeniu Detroit? Domy, których nikt nie chciał? A co z faktem, że nie był w stanie widzieć nic poza swoim wielkopańskim gestem i tym, że kupił dom bez uprzedniego skonsultowania się z moją matką? Cóż, temu nie można było zaradzić.

W dzień przeprowadzki wyruszyliśmy dwoma samochodami. Tessie, powstrzymując łzy, zabrała do rodzinnego kombi Lefty'ego i Desdemonę. Jonasz i ja siedzieliśmy we fleetwoodzie prowadzonym przez Miltona. Z Jefferson nie znikły jeszcze ślady po zamieszkach, podobnie jak nie znikły moje pytania, nadal pozostawione bez odpowiedzi.

– A co z bostońskim „buntem herbacianym"? – zaatakowałem ojca z tylnego siedzenia. – Koloniści ukradli całą herbatę i wyrzucili ją do morza. To przecież to samo co zamieszki.

– To wcale nie było to samo – odparł Milton. – Czego was, do diabła, uczą w tych szkołach? Podczas bostońskiego „buntu herbacianego" Amerykanie przeciwstawili się ciemiężycielom z innego kraju.

– Ale to nie był inny kraj, tato. To był ten sam kraj. Wtedy jeszcze nie istniało coś takiego jak Stany Zjednoczone.

– Pozwól, że cię o coś zapytam. Gdzie był król Jerzy, gdy wrzucano tę całą herbatę do wielkiej wody? Czy był w Bostonie? Czy w ogóle był w Ameryce? Nie. Siedział sobie gdzieś daleko w Anglii i zajadał racuszki.

Nieprzejednany czarny cadillac jechał dalej, wywożąc mojego ojca, brata i mnie ze zniszczonego wojną miasta. Przejechaliśmy nad wąskim kanałem, który jak fosa oddzielał Detroit od Grosse Pointe. I nie minęła chwila, nie zdążyliśmy jeszcze zauważyć zmian, a już byliśmy w domu przy Middlesex Boulevard.

Najpierw zobaczyłem drzewa. Dwie ogromne wierzby płaczące, jak wełniste mamuty po obu stronach posiadłości. Ich długie pędy zwisały nad podjazdem, przypominając paski gąbki w myjni samochodowej. Powyżej

widać było jesienne słońce. Przechodzące przez liście wierzby światło nadawało im kolor fosforyzującej zieleni. Można było odnieść wrażenie, że w samym środku chłodnego cienia, jaki okrywał cały kwartał, włączono latarnię, a wrażenie to potęgował wygląd domu, przed którym się zatrzymaliśmy.

Middlesex! Czy ktoś mieszkał kiedykolwiek w tak dziwnym domu? W domu jak z filmu fantastycznonaukowego? Tak futurystycznym i równocześnie przestarzałym? W domu, który był jak komunizm, lepszy w teorii niż w rzeczywistości? Ściany miały bladożółty kolor i były zbudowane z ośmiokątnych kamiennych bloków, obramowanych wzdłuż linii dachu deskowaniem z sekwoi. Na frontowej ścianie znajdowały się okna ze szkła wysokiej jakości. Hudson Clark (którego nazwisko Milton miał przez następne lata wtrącać do rozmów, mimo że nikt go nie znał) tak zaprojektował Middlesex, aby pozostawał w harmonii z otaczającą go naturą. W tym przypadku oznaczało to dwie wierzby płaczące i morwę rosnące pod frontową ścianą domu. Zupełnie nie zważając na to, gdzie się znajdował (konserwatywne przedmieście), i co było za tymi wierzbami (domy Turnbullów i Pickettów), Clark trzymał się zasad wprowadzonych przez Franka Lloyda Wrighta, porzucając wiktoriański pion na rzecz poziomu Środkowego Zachodu, otwierając wewnętrzne przestrzenie i wprowadzając japońskie akcenty. Middlesex było świadectwem teorii niedopasowanej do względów praktycznych. I tak na przykład Clark nie uznawał drzwi. Idea drzwi, czyli czegoś, co otwiera się w jakiś sposób, była już przestarzała. Zatem w domu przy Middlesex nie było drzwi. Zamiast tego mieliśmy długie, harmonijkowe przegrody wykonane z sizalu i napędzane umieszczoną w piwnicy pompą pneumatyczną. Równie zbędna we współczesnym świecie miała być koncepcja schodów w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Reprezentowały one teleologiczny sposób pojmowania wszechświata, w którym jeden element prowadził do następnego, a przecież wszyscy już wiedzieli, że jeden fragment nie prowadził do żadnego kolejnego, ale bardzo często donikąd. I tak też było z naszymi schodami. Tak, w końcu biegły do góry. Prowadziły wytrwałego wspinacza na piętro, ale po drodze wiodły go również do wielu innych miejsc. Był więc i podest, nad którym wisiał mobil. W ścianach klatki schodowej powycinano otwory i półki. Wchodząc po schodach, można było

zobaczyć nogi osoby przechodzącej korytarzem powyżej albo szpiegować osoby siedzące w salonie na dole.

– Gdzie są szafy? – zapytała Tessie, gdy tylko weszliśmy do środka.

– Szafy?

– Milt, kuchnia jest sto kilometrów od salonu. Zawsze, gdy będziesz chciał coś przegryźć, będziesz musiał obejść cały dom.

– To nam zapewni trochę gimnastyki.

– A gdzie ja znajdę zasłony na takie okna? Nie robią tak wielkich. Każdy może zaglądnąć do środka!

– Pomyśl o tym inaczej. To my możemy wyglądać na zewnątrz.

Ale w tym momencie dało się słyszeć krzyk dochodzący z drugiego końca domu.

– *Mana*!

Desdemona nieopatrznie nacisnęła przycisk na ścianie.

– Cóż to za drzwi?! – krzyczała, gdy wszyscy nadbiegliśmy. – Same się ruszają!

– Spokojnie – powiedział Jonasz. – Cal, spróbuj. Włóż głowę między drzwi. Dobra, tak…

– Dzieci, nie bawcie się drzwiami.

– Ja tylko sprawdzam ciśnienie.

– Au!

– Co ci mówiłem, ptasi móżdżku? Teraz wyciągnij siostrę spomiędzy drzwi.

– Próbuję, ale ten przycisk nie działa.

– Co to znaczy, nie działa?

– Pięknie, Milt. Nie ma żadnych szaf, a teraz musimy wezwać straż pożarną, aby uwolnili Callie z drzwi.

– To nie było zaprojektowane na wsadzanie głowy.

– *Mana*!

– Kochanie, czy możesz oddychać?

– Tak, ale to boli.

– To tak jak z tym facetem w jaskiniach Carlsbad Caverns – powiedział Jonasz. – Utknął i musieli go karmić przez czterdzieści dni, aż w końcu umarł.

– Przestań się wiercić, Callie. Tylko komplikujesz sprawę.

– Ja się nie wiercę…

– Callie widać majtki! Callie widać majtki!
– Natychmiast przestań!
– Tessie, chwyć Callie za nogę. Dobra, ciągniemy na trzy. Raz, dwa i trzy.

I tak, nie bez pewnych obaw, zamieszkaliśmy w nowym domu. Po wypadku z pneumatycznymi drzwiami Desdemona zaczęła przeczuwać, że ten dom z nowoczesnymi udogodnieniami (który w rzeczywistości był prawie tak stary jak ona) będzie ostatnim, w którym zamieszka. Wszystko, co pozostało z dobytku jej i dziadka, wyniosła do domku gościnnego – mosiężny stolik do kawy, skrzyneczkę na jedwabniki, portret patriarchy Atenagorasa. Nigdy nie przyzwyczaiła się do świetlików, które dla niej były jak dziury w dachu, ani do kurka w toalecie uruchamianego naciśnięciem pedału czy też do gadającej skrzynki w ścianie. (W każdym pomieszczeniu Middlesex zainstalowano interkom. Gdy zakładano je w latach czterdziestych – ponad trzydzieści lat po zbudowaniu domu w roku 1909 – system interkomów prawdopodobnie działał poprawnie. Ale w 1967 roku, jeśli mówiło się do interkomu w kuchni, można to było usłyszeć tylko w głównej sypialni. Głośniki zniekształcały nasze głosy i musieliśmy słuchać bardzo uważnie, aby zrozumieć, co ktoś mówił, przypominało to odszyfrowywanie pierwszych niewyraźnych słów dziecka).

Jonasz majstrował przy systemie pneumatycznym w piwnicy i potrafił godzinami posyłać piłeczki pingpongowe po całym domu przez sieć rur odkurzacza. Tessie nigdy nie przestała narzekać na brak miejsca w szafach i niepraktyczny rozkład domu, ale stopniowo, z powodu swojej lekkiej klaustrofobii, zaczęła doceniać szklane ściany Middlesex.

Mył je Lefty. Starając się jak zawsze być przydatnym, wziął na siebie syzyfową pracę utrzymywania w idealnej czystości tych wszystkich modernistycznych powierzchni. Z koncentracją, jakiej nauczył się przy studiowaniu form aorystycznych czasowników klasycznej greki – form czasu niesamowicie nużącego, gdyż określał czynności, które mogą nigdy nie zostać zakończone – Lefty mył ogromne panoramiczne okna, zamglone szyby w oranżerii, przesuwane drzwi prowadzące na podwórze, a nawet świetliki. Podczas gdy dziadek zajmował się myciem naszego domu, Jonasz i ja zajmowaliśmy się jego penetracją. A raczej należałoby powiedzieć: penetracją budynków. W stojącej frontem do ulicy, kontemplacyjnej sześciennej bryle w żółtym, pastelowym kolorze mieściły

się główne pomieszczenia mieszkalne. Za nią znajdowało się podwórze z suchym basenem i nachylonym nad nim delikatnym dereniem, na próżno starającym się zobaczyć swoje odbicie. Wzdłuż zachodniej krawędzi podwórza, ciągnącej się od zaplecza kuchni, biegł biały, przezroczysty tunel, podobny do wyjścia, przez które piłkarze wchodzą na boisko. Ten tunel prowadził do niewielkiego kopulastego budynku – przypominającego duże igloo – otoczonego zadaszoną werandą. Wewnątrz znajdował się basen kąpielowy (właśnie się nagrzewa, przygotowując się do odegrania swojej roli w moim życiu). Za łaźnią było drugie podwórze, wyłożone gładkimi, czarnymi kamieniami. Wzdłuż jego wschodniej granicy, jakby dla zrównoważenia tunelu po przeciwnej stronie, biegła pergola z cienkich, brązowych żelaznych belek. Prowadziła ona do domku gościnnego, w którym nigdy nie było żadnych gości – tylko Desdemona, krótko mieszkająca tam ze swoim mężem, a później przez długi czas samotnie.

Ale co ważniejsze dla dziecka – w Middlesex było wiele krawędzi i występów szerokości stopy, po których można było chodzić i się wspinać. Były też głębokie, betonowe studzienki przy piwnicznych oknach, idealne do przekształcania w forty. Były tarasy i pomosty. Wspólnie z Jonaszem wspinaliśmy się po całym domu. Lefty mógł umyć okno, a już pięć minut później pojawialiśmy się tam z bratem, opieraliśmy się o szybę i zostawialiśmy odciski palców. Widząc je, nasz wysoki, niemy dziadek, który w innym życiu mógłby być profesorem, ale w tym trzymał mokrą szmatę i wiadro, tylko uśmiechał się i od początku mył całą szybę.

Chociaż nigdy słowem się do mnie nie odezwał, kochałem mojego *papou*, nieco przypominającego Chaplina. Jego niemota przydawała mu wytworności. Doskonale pasowała do jego eleganckich ubrań, jego butów z plecioną przyszwą, do połysku jego włosów. Mimo to wcale nie był sztywny, ale chętny do zabaw, a nawet figlarny. Gdy brał mnie na przejażdżkę po mieście, często udawał, że zasypia za kierownicą. Nagle zamykał oczy i obsuwał się na bok. Samochód jechał dalej, bez kierowcy, zjeżdżając w stronę krawężnika. A ja się śmiałem, krzyczałem, targałem moje włosy i machałem nogami. W ostatniej chwili Lefty budził się, chwytał za kierownicę i zapobiegał nieszczęściu.

Nie musieliśmy z sobą rozmawiać. Rozumieliśmy się bez słów. Ale pewnego dnia wydarzyło się coś okropnego.

Jest sobotni poranek, kilka tygodni po naszej przeprowadzce do Middlesex. Wychodzę z Leftym na spacer po nowej okolicy. Mamy zamiar zejść nad jezioro. Trzymając się za ręce, kroczymy po naszym nowym trawniku przed domem. W kieszeni jego spodni, tuż poniżej mojego ramienia, brzęczą drobniaki. Przesuwam palcem po jego kciuku, zafascynowany brakiem paznokcia, który, jak zawsze twierdził Lefty, odgryzła mu małpa w zoo.

Dochodzimy już do chodnika. Człowiek, który kładł chodniki na Grosse Pointe, zostawił odciśnięte w cemencie swoje nazwisko: J. P. Steiger. Widać również szparę, w której mrówki toczą swoją wojnę. Przechodzimy przez pas trawy oddzielający chodnik od ulicy. Już jesteśmy na krawężniku.

Schodzę z krawężnika na ulicę, natomiast Lefty, zamiast zejść tak jak ja, obsuwa się piętnaście centymetrów niżej na ulicę. Nadal trzymam jego dłoń i śmieję się z niego, że jest taki niezdarny. Lefty też się śmieje. Nie patrzy jednak na mnie. Patrzy prosto przed siebie. I gdy spoglądam w górę, nagle widzę, chociaż nie powinienem tego widzieć, bo jestem na to za młody, że z moim dziadkiem dzieją się dziwne rzeczy. W jego oczach widzę strach i zdumienie, a najbardziej zadziwiające jest to, że pojawia się w nich jakieś dorosłe zmartwienie, które jest ważniejsze od naszego wspólnego spaceru. Słońce oślepia go. Źrenice mu się kurczą. Nadal stoimy na chodniku, w otoczeniu kurzu i leżących liści. Pięć sekund. Dziesięć sekund. Wystarczająco długo, aby Lefty mógł zdać sobie sprawę ze swoich słabnących władz umysłowych i abym ja mógł poczuć, jak gwałtownie rozwijają się moje.

Coś, czego nikt nie wiedział – tydzień temu Lefty miał kolejny udar. Do niemoty doszły problemy z orientacją przestrzenną. Meble przybliżały się i oddalały od niego jak w wesołym miasteczku. Jak dowcipnisie, krzesła oferowały swoje usługi i w ostatnim momencie się odsuwały. Romby na planszy do tryktraka falowały niczym klawisze pianoli. Mój dziadek nic nikomu nie powiedział.

Lefty nie ufał już w swoje umiejętności prowadzenia samochodu, w związku z czym zaczął zabierać mnie na spacery. (W ten sposób dotarliśmy do tego krawężnika, krawężnika, przed którym nie potrafił się obudzić i zawrócić na czas). Poszliśmy ulicą Middlesex – cichy, stary, zagraniczny dżentelmen i jego chudziutka wnuczka, dziewczynka

mówiąca za dwoje, tak gadatliwa, że jej ojciec, sam grający kiedyś na klarnecie, często żartował z jej umiejętności oddychania w czasie mówienia. Przyzwyczajałem się już do Grosse Pointe, do nobliwych matek w szyfonowych chustach na głowach i do ciemnego, osłoniętego cyprysami domu, w którym mieszkała pewna żydowska rodzina (oni również zapłacili gotówką). A w tym czasie mój dziadek przyzwyczajał się do bardziej okrutnej rzeczywistości. Trzymając mnie za rękę, aby nie stracić równowagi, bo drzewa i krzewy zaczęły tańczyć mu przed oczami, Lefty musiał pogodzić się z myślą, że świadomość była tylko biologicznym zbiegiem okoliczności. Chociaż nigdy nie był osobą religijną, teraz zdał sobie sprawę z tego, że zawsze wierzył w istnienie duszy, w siłę osobowości, która mogła przetrwać śmierć. Ale gdy jego umysł wciąż jeszcze się wahał, powoli ulegając uszkodzeniu w wyniku zwarcia, Lefty w końcu popatrzył na wszystko chłodnym okiem i doszedł do wniosku, tak kontrastującego z jego młodzieńczą pogodą ducha, że mózg był takim samym organem jak wszystkie inne, i że gdy przestanie funkcjonować, on też przestanie istnieć.

Siedmioletnia dziewczynka może odbyć tylko ograniczoną liczbę spacerów ze swoim dziadkiem. Jako nowa lokatorka chciałem zapoznać się z innymi dziećmi w okolicy. Z naszego tarasu na dachu często widziałem dziewczynkę mniej więcej w moim wieku, która mieszkała w domu położonym za naszym. Wychodziła wieczorami na niewielki balkon i odrywała płatki kwiatów rosnących w skrzynce na oknie. Gdy była w lepszym humorze, wykonywała leniwe piruety, jakby tańcząc w rytm muzyki płynącej z mojej pozytywki, którą zawsze zabierałem z sobą na dach. Miała długie, niezwykle jasne włosy z przyciętą grzywką, a że nigdy nie widziałem jej w pełnym świetle dnia, sądziłem, że była albinoską.

Myliłem się jednak. Pewnego popołudnia zobaczyłem ją w blasku słońca, gdy przyszła na nasze podwórko po piłkę. Nazywała się Clementine Stark. Nie była albinoską, miała tylko bardzo bladą karnację i alergię na wszechobecne czynniki (trawa, kurz). Jej ojciec wkrótce miał mieć atak serca i moje wspomnienia o niej są osnute mgiełką nieszczęścia, jakie wisiało nad jej głową. Stała z gołymi nogami w chaszczach zarastających teren między naszymi domami. Jej skóra zaczęła już reagować na źdźbła

trawy przyczepione do piłki, mokrej od zabawy z przyciężkim labradorem, który właśnie znalazł się w polu widzenia.

W sypialni Clementine Stark stało łóżko z baldachimem, zacumowane jak monarsza barka na jednym z końców dywanu w niebieskim kolorze morza. Miała w gablotkach całą kolekcję owadów, które wyglądały na jadowite. Była o rok starsza ode mnie, a co za tym idzie, bardziej obyta w świecie – raz była w Polsce, w Krakowie. Z powodu swojej alergii rzadko wychodziła na świeże powietrze. Dlatego też większość czasu spędzaliśmy w domu, a Clementine uczyła mnie, jak się całować.

Gdy doktor Luce wysłuchiwał opowieści o moim życiu, zawsze najbardziej interesowały go kwestie związane z Clementine Stark. Nie dbał o kryminalną przeszłość dziadków czy skrzyneczki na jedwabniki ani też o klarnety grające serenady. Do pewnego stopnia to rozumiem, a nawet z tym się zgadzam.

Clementine Stark zaprosiła mnie do swojego domu. Nawet bez porównywania go do Middlesex wyglądał jak średniowieczne zamczysko, forteca z szarego kamienia, niezbyt piękny, za wyjątkiem jednego elementu – ustępstwo na rzecz księżniczki – pojedynczej, spiczastej wieżyczki, na której łopotała chorągiewka w kolorze lawendowym. Wewnątrz były gobeliny na ścianach, zbroja z francuskim napisem nad przyłbicą oraz szczupła matka Clementine, pani w czarnym trykocie. Wykonywała ćwiczenia nóg.

– To jest Callie – powiedziała Clementine. – Przyszła się pobawić.

Uśmiechnąłem się promiennie. Starałem się dygnąć (przecież było to moje pierwsze zetknięcie z kulturalnym towarzystwem). Ale matka Clementine nawet nie odwróciła głowy.

– Niedawno się wprowadziliśmy – powiedziałem. – Mieszkamy w domu za państwa posiadłością.

W tym momencie zmarszczyła brwi. Pomyślałem, że powiedziałem coś nieodpowiedniego – moja pierwsza gafa na Grosse Pointe. Pani Stark odezwała się:

– Dziewczynki, może byście poszły pobawić się na górę?

Dziewczynki zrobiły, jak im kazano. W swoim pokoju Clementine usiadła na koniu na biegunach. Przez następne trzy minuty kołysała się na nim bez słowa. Potem nagle zsiadła.

– Miałam kiedyś żółwia, ale uciekł – powiedziała.

– Naprawdę?

– Moja mama mówi, że jeśli wydostał się na zewnątrz, to może ocalał.

– Pewnie nie żyje.

Clementine zniosła to dzielnie. Podeszła do mnie i stanęła obok, ramię przy ramieniu.

– Spójrz, mam piegi jak Wielka Niedźwiedzica – oznajmiła. Stała obok mnie przed lustrem sięgającym do podłogi i zaczęła robić miny, a ja razem z nią. Wokół oczu Clementine widać było zaczerwienienie spowodowane stanem zapalnym. Ziewnęła. Potarła nos nasadą dłoni. A potem zapytała:

– Czy chcesz poćwiczyć całowanie się?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przecież już wiedziałem, jak się całować. Czy jeszcze czegoś trzeba się nauczyć? Ale gdy w mojej głowie jeszcze kołatały się te pytania, Clementine już przeszła do lekcji. Podeszła i stanęła przede mną. Z poważnym wyrazem twarzy objęła mnie za szyję.

Nie dysponuję odpowiednimi efektami specjalnymi, by właściwie opisać tę scenę, ale spróbuj, czytelniku, wyobrazić sobie białą twarz Clementine, która zbliża się do mojej, jej zamykające się senne oczy, jej słodkie od lekarstw usta składające się do pocałunku, a jednocześnie cichnące wszystkie pozostałe dźwięki świata: szelest naszych sukienek, odliczanie kolejnych ruchów nogami przez jej matkę na dole, samolot robiący wykrzyknik na niebie. Wszystko ucichło, gdy dobrze wyedukowane, ośmioletnie wargi Clementine zetknęły się z moimi.

I wtedy, tu gdzieś poniżej, reakcja mojego serca.

Nie mogę powiedzieć, że serce mi łomotało. To nawet nie było przyspieszone bicie. Ale coś w rodzaju szmeru, jaki słychać, gdy żaba skacze z błotnistego brzegu do wody. Moje serce, jak ów płaz przemieszczający się w tym momencie między dwoma środowiskami: jedno – podniecenie, drugie – lęk. Starałem się uważać i kontrolować, co się dzieje. Ale Clementine była już dużo dalej. Obracała głową do przodu i do tyłu, tak jak to czynią aktorki w filmach. Zacząłem robić tak samo, ale Clementine tylko burknęła: „Jesteś mężczyzną", więc przestałem. Stałem sztywno z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. W końcu Clementine przerwała nasz pocałunek. Przez chwilę patrzyła na mnie obojętnie i w końcu oznajmiła:

– Zupełnie nieźle jak na pierwszy raz.

– Mamoo! – krzyczałem, wracając tego wieczoru do domu. – Mam koleżankę!

Opowiedziałem Tessie o Clementine, o starych dywanach na ścianach, o pięknej matce wykonującej ćwiczenia, opuściłem tylko lekcję całowania. Od samego początku zdawałem sobie sprawę, że jest coś nieodpowiedniego w moim uczuciu do Clementine Stark, coś, o czym nie powinienem nic mówić mojej matce, ale nie byłem w stanie. Nie łączyłem tego uczucia z seksem. Nie wiedziałem, że seks istnieje.

– Czy mogę zaprosić ją do nas?

– Oczywiście – powiedziała Tessie, zadowolona, że skończyła się moja samotność.

– Mogę się założyć, że nigdy nie widziała takiego domu jak nasz.

Szary, chłodny, październikowy dzień, mniej więcej tydzień później. Przez tylne drzwi żółtego domu wychodzą dwie dziewczynki bawiące się w gejsze, z włosami upiętymi w koki i powtykanymi w nie bambusowymi pałeczkami. Mamy na sobie sandały i jedwabne szale. Niesiemy parasole, udając, że to są japońskie parasolki. Po drodze przez podwórze i na schodkach do budynku łaźni nucę znane mi fragmenty z musicalu *The Flower Drum Song*. Wchodzimy do środka, nie zauważając ciemnego cienia w kącie. W łaźni bulgocze jasnoturkusowa woda. Jedwabne szaty opadają na podłogę. Dwa chichoczące flamingi, jeden o zupełnie jasnej skórze, a drugi o jasnooliwkowej, palcami u stóp sprawdzają wodę.

– Jest za gorąca.

– Taka ma być.

– Ty pierwsza.

– Nie, ty.

– Dobrze.

A później – do środka. I ona, i ja. Zapach sekwoi i eukaliptusa. Zapach mydła z drzewa sandałowego. Włosy Clementine przylepione do jej czaszki. Jej stopa wychylająca się z wody jak płetwa rekina, to tu, to tam. Śmiejemy się, unosimy się na powierzchni wody, trwoniąc zapachowe kuleczki do kąpieli mojej matki. Unosząca się nad powierzchnią wody para jest tak gęsta, że zakrywa ściany, sufit i ciemny kształt w rogu. Sprawdzam podbicie moich stóp, próbując zrozumieć, co oznacza, że jest niskie, i w tym momencie widzę Clementine przedzierającą się przez wodę w moim kierunku. Jej twarz wyłania się z oparów. Myślę, że znowu

będziemy się całować, ale ona nagle zarzuca mi nogi wokół pasa. Śmieje się histerycznie, zakrywając usta. Otwiera szeroko oczy i mówi mi do ucha:

– Odpręż się.

Zaczyna pokrzykiwać jak małpa i ciągnie mnie na półeczkę w wannie. Upadam między jej nogi, upadam na nią, toniemy… i już wirujemy, kręcąc się w wodzie, raz ja na górze, raz ona, chichoczemy i krzyczymy jak ptaki. Spowija nas para wodna, na wzburzonej powierzchni wody widać rozbłyski światła, a my wciąż wirujemy tak, że w pewnym momencie nie mogę rozpoznać, które dłonie i które nogi należą do mnie. Nie całujemy się. Ta zabawa jest dużo mniej poważna, bardziej swawolna, swobodna, ale trzymamy się nawzajem, nie wypuszczając naszych śliskich ciał, zderzamy się kolanami, nasze brzuchy zderzają się, nasze biodra ocierają się tam i z powrotem. Zanurzone w wodzie miękkie części ciała Clementine przekazują mi kluczowe dla mnie informacje, informacje, które ja zachowuję, ale dopiero po latach będę w stanie odszyfrować. Jak długo wirujemy? Nie mam pojęcia. Ale w pewnym momencie zaczynamy mieć już dość. Clementine leży na półce jak na plaży, a ja na niej. Podnoszę się na kolanach, starając się pozbierać – i nagle zastygam w bezruchu. Bo tam, w kącie, siedzi mój dziadek! Widzę go przez sekundę, siedzi przechylony na bok – śmieje się? jest zły? – i znowu podnosi się para i zupełnie go przesłania.

Jestem zbyt oszołomiony, aby się ruszyć czy odezwać. Od jak dawna tam jest? Co widział?

– My tylko ćwiczymy balet na wodzie – mówi niezbyt przekonująco Clementine. Para ponownie się rozwiewa. Lefty pozostał na swoim miejscu. Siedzi dokładnie tak, jak przedtem, z głową przechyloną na bok. Jest blady jak Clementine. Przez chwilę świta mi w głowie szalona myśl, że on bawi się w naszą grę z przejażdżek samochodowych, udając, że śpi, ale po chwili rozumiem, że już nigdy w nic nie będzie się bawił…

Po chwili zaczynają wyć wszystkie interkomy w domu. Ja krzyczę do Tessie w kuchni, która krzyczy do Miltona w piwnicy, a on krzyczy do Desdemony w domku gościnnym:

– Szybko! Coś się stało *papou*!

A potem jeszcze więcej krzyków, karetka migająca światłami i moja matka, mówiąca do Clementine, że powinna już pójść do domu.

Później tej samej nocy: reflektor oświetla dwa pokoje w naszym nowym domu na Middlesex. W jednym kręgu światła stara kobieta robi znak krzyża i modli się, a w drugim siedmioletnia dziewczynka również się modli, modli się o przebaczenie, bo jasne dla mnie było, że to ja jestem wszystkiemu winien. To było to, co ja robiłem… To, co zobaczył Lefty… Obiecuję, że już nigdy czegoś takiego nie zrobię i błagam: „Proszę, nie pozwól *papou* umrzeć" – i zarzekam się: „To wina Clementine, to ona mnie namówiła".

(Przyszedł również czas na to, aby i serce pana Starka miało swoje pięć minut. Tętnice zatkały się czymś, co wyglądało jak pasztet z gęsiej wątróbki, i pewnego dnia serce przestało pracować. Ojciec Clementine przewrócił się pod prysznicem. Pani Stark, ćwicząca nogi piętro niżej, coś wyczuła i przerwaa swoje ćwiczenia, a trzy tygodnie później sprzedała dom i wyprowadziła się wraz z córką. Już nigdy nie widziałem Clementine…)

Lefty doszedł do siebie i wrócił ze szpitala do domu. Jednak była to tylko krótka przerwa w powolnym, ale nieuniknionym rozkładzie jego umysłu. Przez trzy kolejne lata twardy dysk jego pamięci powoli zaczynał tracić dane, na początku najnowsze informacje, a stopniowo z coraz wcześniejszych momentów jego życia. Najpierw Lefty zapominał o sprawach bieżących, na przykład gdzie położył wieczne pióro czy okulary, później zapominał, jaki jest dzień, jaki miesiąc, a w końcu – jaki rok. Po kolei odpadały fragmenty jego życia i gdy my poruszaliśmy się w czasie do przodu, on podążał w kierunku przeciwnym. W 1969 roku stało się już jasne, że żył w roku 1968, ponieważ ciągle kręcił głową nad śmiercią Martina Luthera Kinga i Roberta Kennedy'ego. Gdy my wkroczyliśmy w świat lat siedemdziesiątych, Lefty był już z powrotem w latach pięćdziesiątych. Ponownie przeżywał ukończenie Drogi Wodnej Świętego Wawrzyńca i zupełnie przestał się do mnie odzywać, bo jeszcze się nie narodziłem. Powróciły jego skłonności do hazardu, a także uczucie bezużyteczności, jakie trapiło go po przejściu na emeryturę, ale to wkrótce minęło, bo już były lata czterdzieste, a on znowu prowadził restaurację z barem. Codziennie wstawał rano, wybierając się do pracy. Desdemona musiała wymyślać skomplikowane fortele, aby sprostać jego wyobraźni, przekonując go, że nasza kuchnia była barem „Zebra", tylko odnowionym, i narzekając na niskie obroty. Czasami zapraszała znajome z kościoła,

które uczestniczyły w tej grze, zamawiając kawę i zostawiając pieniądze na kuchennym blacie.

W swoim umyśle Lefty Stephanides stawał się coraz młodszy, ale w rzeczywistości robił się coraz starszy i często próbował podnosić przedmioty dla niego za ciężkie albo wchodzić na schody, z którym jego nogi nie potrafiły już sobie poradzić. Zaczęły się upadki. Rozbijały się różne przedmioty. W takich chwilach Desdemona, schylona, aby mu pomóc, przez chwilę widziała jasne spojrzenie w oczach swojego męża, jakby on również grał, udając, że ponownie przeżywa swoje przeszłe życie, aby nie borykać się z teraźniejszością. Wtedy zaczynał płakać, a Desdemona kładła się obok niego i obejmowała go tak długo, aż się nie uspokoił.

Ale wkrótce był już w latach trzydziestych i przeszukiwał skalę radiową, chcąc posłuchać przemówień Franklina Delano Roosevelta. Naszego mleczarza brał za Jimmy'ego Zizmo i czasami właził na jego ciężarówkę, sądząc, że jadą szmuglować alkohol. Korzystając ze swojej tabliczki, starał się wciągnąć mleczarza w rozmowę o nielegalnie pędzonej whisky, ale nawet gdy miało to jakiś sens, mleczarz i tak nie był w stanie nic zrozumieć, ponieważ w tym okresie angielski Lefty'ego zaczął się wyraźnie pogarszać. Popełniał błędy gramatyczne i ortograficzne, jakich od lat już nie robił, i wkrótce zaczął posługiwać się łamaną angielszczyzną, a później zupełnie przestał używać tego języka. Zaczął pisać coś o Bursie, a to martwiło Desdemonę. Wiedziała, że to cofanie się umysłu jej męża może doprowadzić tylko w jedno miejsce, do dni, gdy nie był jej mężem, ale jej bratem, i leżąc w łóżku z trwogą oczekiwała tej chwili. Ona też, w pewnym sensie, żyła w przeszłości, ponieważ cierpiała na swoje młodzieńcze palpitacje serca. „Och, Boże – modliła się – pozwól mi umrzeć, zanim Lefty powróci na statek". I pewnego dnia, kiedy wstała z łóżka, zobaczyła, że Lefty siedzi przy stole, oczekując na śniadanie. Za pomocą wazeliny, którą znalazł w apteczce, wypomadował sobie włosy w stylu á la Valentino. Na szyi miał zawiązaną apaszkę ze ścierki do naczyń. Na stole leżała tabliczka, na której widniał grecki napis: „Dzień dobry, siostrzyczko".

Przez trzy dni droczył się z nią jak przed laty, ciągnął ją za włosy i pokazywał jej nieprzyzwoite przedstawienia kukiełkowe z Karaghiozisem. Desdemona schowała jego tabliczkę, ale nic to nie dało. Podczas niedzielnego obiadu wyjął z kieszeni koszuli wuja Pete'a wieczne

pióro i napisał na obrusie: „Powiedz mojej siostrze, że się robi gruba". Desdemona zbladła. Zasłoniła twarz dłońmi w oczekiwaniu na cios, którego nadejścia zawsze się obawiała. Ale Pete Tatakis tylko wyjął pióro z dłoni Lefty'ego i powiedział:

– Lefty chyba myśli, że jesteś jego siostrą.

Wszyscy się roześmiali. A co innego mogli zrobić? „Hej, siostrzyczko!" – powtarzali przez całe popołudnie, a ona co chwilę podskakiwała i w takich chwilach myślała, że jej serce się zatrzyma.

Ale ten etap nie trwał długo. Umysł mojego dziadka, zamknięty w swojej cmentarnej spirali, przyspieszał, pędząc ku zagładzie, i trzy dni później Lefty już gaworzył jak niemowlę, a potem zaczął robić pod siebie. W tym momencie, gdy już praktycznie nic z niego nie zostało, Bóg zezwolił Lefty'emu Stephanidesowi przebywać na ziemskim padole jeszcze trzy miesiące, do zimy 1970 roku. Pod koniec życia pozostały z niego tylko szczątki, jak z poematów Safony, których nigdy nie udało mu się odtworzyć, aż w końcu pewnego ranka spojrzał w twarz kobiety będącej największą miłością jego życia i jej nie rozpoznał. Wtedy w jego głowie doszło do jeszcze jednej katastrofy – krew po raz ostatni zebrała się w jego mózgu, wypłukując nawet te ostatnie fragmenty jego jestestwa.

Od samego początku między moim dziadkiem a mną istniał szczególny rodzaj równowagi. Gdy ja po raz pierwszy krzyknąłem, Lefty zamilkł, a kiedy on stopniowo tracił zdolność widzenia, smakowania, słyszenia, myślenia czy nawet pamiętania, ja zaczynałem widzieć, smakować i pamiętać wszystko, nawet rzeczy, których nie widziałem, ktorych nie posmakowałem czy nie zrobiłem. Już wtedy istniała wewnątrz mnie utajona umiejętność serwowania z prędkością 200 kilometrów na godzinę – jak u cudownego dziecka obdarzonego talentem tenisowym – potencjalna zdolność do komunikacji między płciami, nie jednoocznego widzenia tylko jednej płci, ale stereoskopowego oglądania obu. Dlatego też po pogrzebie, podczas *makaria* w restauracji „Greckie Ogrody", patrzyłem wkoło stołu i wiedziałem, co czują wszyscy zebrani. Miltonem targała burza uczuć, do której nie chciał się przyznać. Bał się cokolwiek powiedzieć, aby się nie rozpłakać, i w związku z tym nie odezwał się słowem podczas posiłku, a usta zatkał chlebem. Tessie ogarnęła rozpaczliwa miłość do Jonasza i do mnie, i przez cały czas przytulała nas

i głaskała po włosach, bo dzieci były jedynym ukojeniem wobec grozy śmierci. Sourmelina wspominała ten dzień na dworcu Grand Trunk, gdy powiedziała Lefty'emu, że wszędzie rozpozna go po jego nosie. Peter Tatakis rozpaczał nad tym, że jego śmierci nie będzie opłakiwać żadna wdowa. Ojciec Mike korzystnie oceniał mowę pogrzebową, którą wygłosił wcześniej tego ranka, a ciotka Zo żałowała, że nie poślubiła kogoś takiego jak jej ojciec.

Jedyną osobą, której uczuć nie potrafiłem zgłębić, była Desdemona. Siedziała cichutko u szczytu stołu, na swoim honorowym miejscu wdowy, jadła białe mięso ryby i popijała mavrodaphne, ale jej myśli pozostawały przede mną zakryte, podobnie jak jej twarz za czarnym welonem.

Ponieważ nie potrafię przeniknąć w stan umysłu mojej babki, opowiem tylko, co się wydarzyło później. Po *makaria* moi rodzice, babcia, brat i ja wsiedliśmy do ojcowskiego fleetwooda. Z powiewającą z anteny fioletową pogrzebową chorągiewką wyjechaliśmy z dzielnicy greckiej i pojechaliśmy Jefferson Avenue. Cadillac miał już trzy lata i był najstarszym, jaki kiedykolwiek posiadał Milton. Gdy przejeżdżaliśmy obok fabryki cementu Medusa, usłyszałem głośny syk i pomyślałem, że to siedząca obok mnie *yia yia* wzdycha nad swoim nieszczęściem. Ale w tym momencie zauważyłem, że siedzenie przechyla się do tyłu. Desdemona zapadała się. Ona, która zawsze obawiała się automobili, była pożerana przez samochodowe siedzenie.

Winna temu była „powietrzna jazda". Nie należało jej włączać, dopóki auto nie jechało z prędkością minimum pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Roztargniony z żalu Milton jechał tylko czterdzieści na godzinę. System hydrauliczny nie wytrzymał obciążenia i pękł. Tylna część samochodu opadła i tak już zostało. (A mój ojciec zaczął co roku zmieniać samochody).

Kuśtykającym, wlokącym się jak ślimak samochodem, powróciliśmy do domu. Matka pomogła Desdemonie wysiąść z pojazdu i poprowadziła ją do domku gościnnego. Zajęło to trochę czasu. Desdemona co chwilę odpoczywała, opierając się na swojej lasce. W końcu, stojąc przy drzwiach, oświadczyła:

– Tessie, ja teraz położę się do łóżka.

– Dobrze, *yia yia* – odpowiedziała moja matka. – Odpocznij sobie.

– Ja położę się do łóżka – powtórzyła Desdemona.

Odwróciła się i weszła do środka. Przy jej łóżku stała jeszcze otwarta skrzynka na jedwabniki. Tego ranka wyjęła koronę weselną Lefty'ego i odcięła ją od swojej, aby móc go pochować razem z nią. Zanim zamknęła skrzynkę, przez chwilę patrzyła do jej wnętrza. Później rozebrała się. Zdjęła czarną suknię i włożyła ją do wypełnionego naftaliną worka na odzież. Buty położyła z powrotem do oryginalnego pudełka firmy Penney. Założyła koszulę nocną, wypłukała swoje rajstopy w łazience i powiesiła je na pręcie od prysznica. Następnie, chociaż była dopiero trzecia po południu, położyła się do łóżka.

Przez dziesięć następnych lat, poza kąpielą w każdy piątek, już nigdy nie podniosła się z łóżka.

Dieta śródziemnomorska

Nie chciała pozostawać na ziemi. Nie chciała pozostawać w Ameryce. Była zmęczona życiem. Coraz trudniej przychodziło jej pokonywanie schodów. Życie kobiety kończyło się wraz ze śmiercią jej męża. Ktoś rzucił na nią urok.

Takie odpowiedzi przyniósł nam od niej ojciec Mike po tym, jak Desdemona przez trzy dni nie chciała podnieść się z łóżka. Moja matka poprosiła go, aby z nią porozmawiał, i właśnie powrócił z domku gościnnego, ze swoimi brwiami jak z obrazu Fra Angelico, podniesionymi w delikatnej irytacji.

– Nie martwcie się, to minie – powiedział. – Wdowy bardzo często reagują w ten sposób.

Uwierzyliśmy jego słowom. Ale wraz z upływem kolejnych tygodni Desdemona coraz bardziej pogrążała się w rozpaczy i zamykała w sobie. Wcześniej zawsze była na nogach od samego rana, teraz spała do późna. Gdy moja matka przynosiła jej tacę ze śniadaniem, Desdemona otwierała jedno oko i machała ręką, aby zostawiła śniadanie na stoliku. Jajka stygły. Kawa pokrywała się kożuchem. Rozbudzały ją jedynie codzienne telenowele. Uważnie, jak zawsze, śledziła niewierność mężów i intrygi żon, ale już ich nie karciła, jakby dała sobie spokój z naprawianiem tego świata. Oparta na wezgłowiu, z włosami opasującymi czoło niczym diadem, Desdemona wyglądała tak antycznie i niezłomnie jak podstarzała królowa Wiktoria. Królowa koronowanej wyspy składającej się tylko z sypialni pełnej ptaków. Królowa na wygnaniu, której pozostały tylko dwie służące – Tessie i ja.

– Módl się, żebym umarła – mówiła mi. – Módl się, żeby *yia yia* umarła i odeszła, i była z *papou*.

…Ale zanim będę kontynuować historię Desdemony, chciałbym przekazać najnowsze wiadomości na temat rozwoju sytuacji z Julie Kikuchi. Jeżeli chodzi o główną kwestię, to nie było żadnego rozwoju. Ostatniego dnia na Pomeranii Julie i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Pomerania należała kiedyś do Niemiec Wschodnich. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat nadmorskie wille w Herringsdorfie popadły w ruinę. Obecnie, po zjednoczeniu, można zaobserwować wyraźne ożywienie na rynku nieruchomości. Jako Amerykanie, Julie i ja musieliśmy zwrócić na to uwagę. Spacerując szeroką promenadą i trzymając się za ręce, rozważaliśmy możliwość kupienia tej czy tamtej rozpadającej się willi i jej wyremontowania.

– Moglibyśmy przyzwyczaić się do nudystów – powiedziała Julie.

– Moglibyśmy też mieć szpica pomorskiego – powiedziałem.

Nie wiem, co w nas wstąpiło. To „my". Szafowaliśmy tym zaimkiem na lewo i prawo, nie bacząc na implikacje. Artyści mają nosa do nieruchomości. A Herringsdorf wyraźnie pobudzał Julie do działania. Staraliśmy się rozeznać w kilku istniejących tu od niedawna spółdzielniach. Obeszliśmy dwie czy trzy posiadłości. To wszystko trąciło małżeństwem. Pod wpływem tego starego, arystokratycznego, dziewiętnastowiecznego letniego kurortu my z Julie zachowywaliśmy się równie staromodnie. Rozmawialiśmy o założeniu domu, a jeszcze nie spaliśmy z sobą. Ale oczywiście nie wspomnieliśmy nawet o miłości czy małżeństwie. Tylko o spłacaniu rat.

W drodze powrotnej do Berlina opadł mnie jednak znajomy strach. Nucąc po drodze, zacząłem patrzeć w przyszłość. Myślałem o następnym kroku i o tym, na co będę musiał się przygotować. Przygotowania, wyjaśnienia, bardzo duże prawdopodobieństwo wstrząsu, przerażenia, ucieczki, odrzucenia. Typowe reakcje.

– Co się dzieje? – zapytała Julie.

– Nic.

– Jesteś taki cichy.

– Po prostu zmęczony.

W Berlinie odwiozłem ją do domu. Uścisnąłem ją chłodno, jakby z obowiązku. Od tego czasu nie dzwoniłem do niej. Zostawiła mi wiadomość na sekretarce. Nie odpowiedziałem. Ona również przestała dzwonić. Zatem z Julie już się skończyło. Skończyło się, zanim się jeszcze

zaczęło. I zamiast dzielić z kimś przyszłość, znowu wracam do przeszłości, do Desdemony, która nie pragnęła żadnej przyszłości…

Przynosiłem jej kolacje, czasami również obiady. Nosiłem tace wzdłuż pergoli z brązowych metalowych słupków. Na górze był rzadko używany taras z gnijącymi belkami z sekwoi. Po prawej – łaźnia napełniona wodą. W konstrukcji domku gościnnego widoczne były te same proste linie, które tworzyły szkielet głównego budynku. Architektura Middlesex stanowiła pewną próbę powrotu do źródeł. W owym czasie zupełnie sobie z tego nie zdawałem sprawy. Ale gdy przeciskałem się przez drzwi do oświetlonego przez świetliki domku gościnnego, zauważałem istniejące różnice. Sześcienny pokój, pozbawiony jakichkolwiek ozdób czy zbędnych dekoracji, pokój, który miał być bezczasowy lub ahistoryczny, a w nim, na samym jego środku, moja głęboko historyczna, zniszczona zębem czasu babka. Wszystko wokół Middlesex niosło w sobie zapomnienie, a wszystko wokół Desdemony jasno wyrażało nieuchronność pamiętania. Leżała na stercie poduszek, wydzielając opary niedoli, ale w atmosferze pełnej życzliwości. To była charakterystyczna cecha mojej babki i innych Greczynek z jej pokolenia – życzliwość ich rozpaczy. Jakże one jęczały, oferując nam słodycze! Jak narzekały na dolegliwości fizyczne, równocześnie klepiąc nas po kolanach! Moje wizyty zawsze wprawiały ją w dobry humor.

– Witaj, słodka *mou* – mówiła z uśmiechem.

Siadałem na jej łóżku, a ona głaskała moje włosy, pieszczotliwie wypowiadając czułe słówka po grecku. Gdy przychodził do niej mój brat, Desdemona cały czas się uśmiechała. Ale po dziesięciu minutach mojego towarzystwa jej pełne życia oczy przygasały i wyznawała mi, jak naprawdę się czuje.

– Jestem już zbyt stara. Za stara, kochanie.

Jej trwająca całe życie hipochondria nigdy jeszcze nie miała lepszego gruntu do rozwoju. Gdy po raz pierwszy skazała się na mahoniową samotnię swojego łóżka z baldachimem, Desdemona narzekała tylko na typowe palpitacje serca. Ale już tydzień później zaczęła cierpieć na zmęczenie, zawroty głowy i problemy z krążeniem.

– Mam bóle w nodze. Krew mi się nie rusza.

– Wszystko jest z nią w porządku – powiedział po półgodzinnych badaniach doktor Philoboshian moim rodzicom. – Nie jest już młoda, ale

nic poważnego jej nie dolega.

– Nie mogę oddychać! – kłóciła się z nim Desdemona.

– W płucach wszystko w porządku.

– Czuję, że w nogach mam igły.

– Proszę rozcierać. Aby pobudzić krążenie.

– On też jest już za stary – zawyrokowała Desdemona po wyjściu doktora Phila. – Załatwcie mi innego lekarza, takiego, który sam jeszcze żyje.

Moi rodzice spełnili jej prośbę. Łamiąc zasady lojalności naszej rodziny względem doktora Phila, za jego plecami wezwali nowych lekarzy. Doktora Tuttleswortha. Doktora Katza. Doktora o niefortunnym nazwisku Zimny. Każdy z nich stawiał tę samą straszliwą diagnozę – z Desdemoną wszystko jest w porządku. Zaglądali w pomarszczone suszone śliwki jej oczu, oglądali wysuszone morele jej uszu, wsłuchiwali się w pracę niezniszczalnej pompy jej serca i oświadczali, że jest zdrowa.

Staraliśmy się więc nakłonić ją do wyjścia z łóżka. Zapraszaliśmy ją do oglądania programu „Nigdy w niedzielę" na dużym telewizorze. Dzwoniliśmy do ciotki Liny w Nowym Meksyku i przykładaliśmy słuchawkę do interkomu.

– Posłuchaj, Des, przyjechałabyś tutaj do mnie. Tu jest tak gorąco, że poczujesz się, jakbyś znowu była w *horeo*.

– Nie słyszę cię, Lina! – krzyczała Desdemona, mimo swoich kłopotów z płucami. – Ta maszyna źle działa!

W końcu, odwołując się do strachu Desdemony przed Bogiem, Tessie powiedziała jej, że grzechem jest opuszczać nabożeństwa, jeśli nie przeszkadza temu zdrowie. Ale Desdemona tylko poklepała materac.

– Następnym razem do kościoła zabiorą mnie już w trumnie.

Zaczęła ostatnie przygotowania. Z łóżka wydawała dyspozycje mojej matce, mówiąc jej, co ma zrobić z zawartością szaf:

– Ubrania *papou* możesz dać biednym. Moje ładne suknie również. Ja potrzebuję już tylko czegoś, w czym można będzie mnie pochować.

Konieczność zajmowania się mężem przez ostatnie lata jego życia powodowała, że ciągle coś robiła. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej przygotowywała mu papki do jedzenia, zmieniała pieluchy, czyściła pościel i piżamy, a także dręczyła jego ciało nawilżonymi ręcznikami i wacikami. Ale obecnie, w wieku siedemdziesięciu lat, dręcząca ją myśl, że nie ma już kim się opiekować, że została tylko ona, spowodowała, że zestarzała się

w ciągu jednej nocy. Jej czarno-białe włosy zupełnie posiwiały, a w jej zawsze mocnej sylwetce pojawiło się pęknięcie i można było odnieść wrażenie, jakby dzień po dniu uchodziło z niej powietrze. Była coraz bledsza. Uwidoczniły się żyły. Na jej klatce piersiowej wyskoczyły drobne, czerwone plamy. Przestała przeglądać się w lustrze. Z powodu źle dopasowanej sztucznej szczęki Desdemona już od lat praktycznie nie miała warg. Ale po śmierci Lefty'ego przestała nawet nakładać szminkę w miejscu, w którym kiedyś były wargi.

– Miltie – spytała pewnego dnia mojego ojca. – Wykupiłeś dla mnie miejsce obok *papou*?

– Nie martw się, mamo. To jest podwójne miejsce.

– Nikt go nie zajmie?

– Mamo, tam jest twoje nazwisko.

– Tam nie jest moje nazwisko, Miltie! To mnie martwi. Tam z boku jest tylko nazwisko *papou*. Z drugiej strony jest tylko trawa. Masz pójść i dać tam napis, że to jest miejsce dla *yia yia*. Może jakaś inna kobieta umrze i będzie próbowała położyć się obok mojego męża.

Ale na tym nie kończyły się jej przygotowania do pogrzebu. Desdemona nie tylko wybrała miejsce pochówku. Wybrała również zakład pogrzebowy. Georgie Pappas, brat Sophie Sassoon, który pracował w zakładzie pogrzebowym T. J. Thomas, przyjechał na Middlesex w kwietniu (gdy tak obiecująco zapowiadało się jej zapalenie płuc). Przyniósł do domku gościnnego katalogi z wyborem trumien, urn do kremacji oraz kompozycji kwiatowych i usiadł przy łóżku Desdemony, a ona w podnieceniu przeglądała zdjęcia, jak ktoś wertujący folder turystyczny. Zapytała Miltona, na co go stać.

– Nie chcę o tym rozmawiać, mamo. Jeszcze nie umierasz.

– Nie musi być Cesarski. Georgie mówi, że model Cesarski jest najlepszy. Ale dla *yia yia* wystarczy Prezydencki.

– Jak przyjdzie na to czas, będziesz mogła mieć, co zechcesz. Ale…

– I z atłasem w środku. Proszę. I z poduszeczką. Jak tutaj. Na ósmej stronie. Numer pięć. Zwróć uwagę! I powiedz Georgiemu, żeby zostawił moje okulary.

Dla Desdemony śmierć była jeszcze jedną formą emigracji. Zamiast płynąć z Turcji do Ameryki, tym razem będzie podróżować z ziemi do nieba, gdzie Lefty miał już obywatelstwo i trzymał dla niej miejsce.

Stopniowo przyzwyczailiśmy się do wycofania się Desdemony z kręgu rodzinnego. W tym okresie, wiosną 1971 roku, Milton zajęty był rozkręcaniem nowego interesu. Po katastrofie na Pingree Street przyrzekł sobie nigdy więcej nie popełnić tego samego błędu. Jak można ominąć panujące w handlu nieruchomościami prawo o częstej zmianie lokalizacji? Po prostu – być wszędzie naraz.

– Punkty sprzedaży hot dogów – oznajmił Milton pewnego wieczoru przy kolacji. – Zacząć od trzech czy czterech i wraz z rozwojem otwierać następne.

Za pozostałe z ubezpieczenia pieniądze Milton wynajął lokale w trzech centrach handlowych w śródmieściu Detroit. Na bloczku żółtego papieru przedstawił projekt restauracji.

– McDonald's ma złote łuki? – spytał. – A my mamy słupy Heraklesa.

Jeśli jechaliście kiedyś bocznymi drogami z Michigan na Florydę, gdzieś między 1971 a 1978 rokiem, mogliście zobaczyć jasne, białe neonowe słupy stojące przed restauracjami należącymi do sieci mojego ojca. Słupy łączyły greckie dziedzictwo z kolonialną architekturą jego ukochanego kraju rodzinnego. Słupy Miltona były Partenonem i budynkiem Sądu Najwyższego, były Heraklesem z mitologii i Herkulesem z hollywoodzkich filmów. Poza tym świetnie przyciągały uwagę ludzi.

Milton zaczął od trzech lokali sieci Hercules Hot Dogs™, ale gdy tylko pozwoliły na to zyski, szybko wprowadził franczyzę. Zaczął w Michigan, ale wkrótce rozszerzył działalność na Ohio, a stamtąd w dół, wzdłuż autostrady międzystanowej na głębokie Południe. Punkty bardziej przypominały sieć Dairy Queen niż McDonald's. Miejsc siedzących było albo niewiele, albo nie było ich wcale (najwyżej kilka stolików). Nie było placu zabaw, żadnych loterii czy zestawów „Happy Meal", nic nie rozdawano, nie było żadnych promocji. Były natomiast hot dogi w stylu Coney Island, jak to określano w Detroit, co oznaczało, że podawano je z ostrym sosem z chili i z cebulą. Budki Hercules Hot Dogs zawsze były ulokowane przy drogach, i to często przy drogach niezbyt pięknych. Przy kręgielniach, dworcach kolejowych, w małych miasteczkach przy szosach prowadzących do większych miast, wszędzie, gdzie ceny nieruchomości były niskie i gdzie przejeżdżało dużo samochodów albo przechodziło wielu ludzi.

Nie podobały mi się te budki. Uważałem je za oznakę gwałtownej degradacji w stosunku do romantycznych czasów baru „Zebra". Gdzie były bibeloty, szafa grająca, świecąca półka z ciastami, boksy w rdzawoczerwonym kolorze? Gdzie stała klientela? Nie byłem w stanie pojąć, jak zyski z tych budek z hot dogami mogły być aż o tyle wyższe od pieniędzy z naszej dawnej restauracji. Ale hot dogi faktycznie przynosiły spore zyski. Po pierwszym niepewnym roku sieć restauracji zaczęła robić z mojego ojca zamożnego człowieka. Oprócz wyboru dobrych miejsc do sukcesu przyczynił się jeszcze jeden czynnik. Chodziło o chwyt reklamowy albo, jak to się obecnie mówi, o rozpoznawalność marki. Parówki z hot dogów Ball Park puchły podczas gotowania, ale te z Hercules Hot Dogs robiły coś ciekawszego. Po wyjęciu z opakowania wyglądały jak normalne parówki, różowe jak wymię, lecz po rozgrzaniu przechodziły zdumiewającą metamorfozę. Skwiercząc na ruszcie, parówki wybrzuszały się w środku, robiły się grubsze i... tak, wyginały się.

To była zasługa Jonasza. Pewnego dnia późnym wieczorem mój wówczas siedemnastoletni brat zszedł do kuchni, aby coś przegryźć. W lodówce znalazł parówki. Nie chciało mu się czekać, aż woda się zagotuje, więc wyciągnął patelnię. Potem postanowił pokroić je na połówki.

– Chciałem zwiększyć powierzchnię grzania – tłumaczył mi później. Nie przeciął ich jednak wzdłuż, ale bawił się nimi, wypróbowując różne możliwości. Robił dziurki i nacięcia w różnych miejscach, a następnie położył wszystkie parówki na rozgrzanej patelni i patrzył, co się będzie działo.

Tej pierwszej nocy niewiele się wydarzyło. Ale kilka nacięć zrobionych przez mojego brata spowodowało, że parówki zaczęły przybierać ciekawe kształty. Potem zaczął to traktować jak pewną grę. Udało mu się opanować umiejętność kształtowania ich w żądany sposób i, dla zabawy, opracował całą serię fikuśnych parówek. Była taka, która podczas podgrzewania stała na jednym końcu, przypominając kształtem wieżę w Pizie. Na cześć lądowania na Księżycu opracował model Apollo 11, w którym skórka stopniowo się rozciągała i w końcu pękała, a parówka wyglądała, jakby miała zaraz wylecieć w kosmos. Jonasz robił parówki, które tańczyły w rytm „Bojangles" w interpretacji Sammy'ego Davisa, a także inne, tworzące kształt liter L i S, choć nigdy nie udało mu się zrobić porządnego

Z. (Dla kolegów wymyślał rodzaje robiące inne rzeczy. W nocy z kuchni dochodziły wybuchy śmiechu. Słychać było, jak Jonasz mówi:

– To jest Harry Reems, ten z pornosów.

Na co pozostali chłopcy krzyczeli:

– Daj spokój, Stephanides!

Skoro już przy tym jesteśmy, chciałbym zapytać, czy tylko mnie szokowały te stare reklamy hot dogów Ball Park, prezentujące ujęcia puchnących i wydłużających się czerwonych parówek? Gdzie była wtedy cenzura? Czy ktoś raczył zauważyć wyraz twarzy matek, gdy emitowano te reklamówki, albo też sposób, w jaki komentowały, które „kształty" bardziej im się podobały? Ja z pewnością zauważyłem, ponieważ wtedy byłem dziewczynką, a zadaniem tych reklamówek było przyciągnięcie mojej uwagi).

Jak już ktoś raz zjadł hot doga Herkules, nigdy tego nie zapominał. Bardzo szybko zyskały popularność na rynku. Duża firma branży spożywczej wystąpiła z propozycją zakupu praw i sprzedaży hot dogów w sklepach, ale Milton odmówił, błędnie sądząc, że popularność trwa wiecznie.

Oprócz wymyślenia parówek Herkules mój brat niezbyt interesował się rodzinnym interesem.

– Jestem wynalazcą – powiedział. – A nie sprzedawcą hot dogów.

W Grosse Pointe znalazł się w grupie chłopców, których łączył głównie ich brak popularności. Gorący sobotni wieczór polegał dla nich na siedzeniu w pokoju mojego brata i gapieniu się na grafiki Eschera. Godzinami wodzili wzrokiem za postaciami wchodzącymi po schodach, które równocześnie prowadziły w dół, albo patrzyli, jak gęś zmienia się w rybę, a potem znowu w gęś. Zajadali się ciasteczkami z masłem orzechowym, paćkając zęby mazią, jednocześnie zadając sobie pytania z układu okresowego pierwiastków. Steve Munger, najlepszy kumpel Jonasza, często doprowadzał mojego ojca do szału filozoficznymi dyskusjami. („Panie Stephanides, ale czy jest pan w stanie udowodnić swoje istnienie?") Zawsze, gdy podwoziliśmy mojego brata do szkoły, patrzyłem na niego, jak na kogoś zupełnie mi obcego. Jonasz wyglądał jak jakiś palant. Jego ciało przypominało łodygę podtrzymującą tulipan jego mózgu. Gdy zmierzał w kierunku samochodu, odchylał głowę do tyłu i obserwował różne zjawiska na drzewach. Nie zważał na mody czy trendy.

Ubrania ciągle jeszcze kupowała mu Tessie. Podziwiałem go, bo był moim starszym bratem, ale czułem też moją wyższość, ponieważ byłem dziewczynką. Przydzielając nam nasze talenty, Bóg mnie przyznał wszystkie istotne. Zdolności matematyczne przypadły Jonaszowi. Umiejętność wypowiadania się – mnie. Zdolności manualne – Jonaszowi. Wyobraźnia – mnie. Talent muzyczny – Jonaszowi. Wygląd – mnie.

Byłem ślicznym dzieckiem, a w miarę, jak stawałem się dziewczynką, moja uroda coraz bardziej rozkwitała. Nic dziwnego, że Clementine Stark chciała ćwiczyć ze mną całowanie się. Wszyscy chcieli. Starsze kelnerki nachylały się nade mną, aby przyjąć moje zamówienie. Przed moją ławką pojawiali się chłopcy o pąsowych twarzach i, jąkając się, mówili:

– U-u-u-padła ci gumka.

Nawet gdy Tessie była czymś rozzłoszczona, wystarczyło, że tylko spojrzała na mnie – w moje oczy Kleopatry – i zaraz zapominała, co ją zdenerwowało. Czyż w powietrzu nie wyczuwało się lekkiego zamieszania, gdy przynosiłem napoje uczestnikom naszych niedzielnych debat? Wuj Pete, Jimmy Fioretos, Gus Panos, mężczyźni pięćdziesięcioletni, sześćdziesięcioletni, siedemdziesięcioletni, patrzący znad swoich wielkich brzuchów i myślący o rzeczach, do których nigdy by się otwarcie nie przyznali. W Bithynios, gdzie wystarczyło, że kawaler samodzielnie oddychał, aby był dobrą partią, mężczyźni w ich wieku z powodzeniem mogli prosić o rękę takiej dziewczynki jak ja. Czyż wspominali tamte dni, siedząc na kanapach w naszym salonie? Może myśleli: „Gdybyśmy nie byli w Ameryce, mógłbym…”? Trudno mi powiedzieć. Kiedy patrzę w przeszłość, przypominam sobie tylko, że był taki okres, gdy zdawało mi się, że świat ma milion oczu, cicho się otwierających, gdziekolwiek się znalazłem. Przez większość czasu były zamaskowane, jak zamknięte oczy zielonych jaszczurek na zielonych drzewach. Ale nagle się otwierały – w autobusie, w aptece – i czułem na sobie natarczywość tych spojrzeń, pożądanie i desperację.

Potrafiłem całymi godzinami kontemplować swój wygląd, obracając się we wszystkie strony przed lustrem albo przyjmując niedbałą pozę, aby zobaczyć, jak w rzeczywistości wyglądam. Trzymając w dłoni lusterko, oglądałem swój profil, wtedy jeszcze zgrabny. Szczotkowałem moje długie włosy i czasami podkradałem matce tusz do rzęs, aby podkreślić piękno

swoich oczu. Ale moja narcystyczna rozkosz była coraz częściej studzona przez niezbyt piękne lustro wody, w którym się przeglądałem.

– On znowu wyciska pryszcze! – skarżyłem się matce.

– Nie bądź taka przeczulona, Callie. To tylko mały… Tutaj, zaraz to powycieram.

– Ohydne!

– Poczekaj, aż sama dostaniesz pryszczy! – Jonasz krzyczał z korytarza, zawstydzony i rozwścieczony.

– Ja nie dostanę!

– Dostaniesz, dostaniesz! U każdego gruczoły łojowe cierpią na nadprodukcję, gdy przechodzi przez okres dojrzewania płciowego.

– Uspokójcie się – wkraczała Tessie, ale zupełnie niepotrzebnie. Sam już ucichłem. Chodziło o to określenie: okres dojrzewania płciowego. Wówczas było dla mnie powodem wielu nerwowych spekulacji. Określenie, które czekało na mnie gdzieś w przyszłości, wyskakując od czasu do czasu i strasząc mnie, ponieważ nie wiedziałem, co dokładnie oznaczało. Ale w tym momencie wiedziałem przynajmniej jedno – w jakiś sposób był w to zamieszany Jonasz. Może to tłumaczyło nie tylko pryszcze, ale również dziwne zachowanie mojego brata.

Niedługo po tym, jak Desdemona kładła się do łóżka, zacząłem zauważać, wścibiając nos jak każda siostra w sprawy brata, nową formę spędzania wolnego czasu przez Jonasza.

Chodziło o ledwo słyszalne odgłosy dochodzące zza zamkniętych drzwi toalety. O pewne napięcie wyczuwalne w udzielanej odpowiedzi („Chwileczkę!”), gdy pukałem. Niemniej jednak byłem młodszy od niego i nie zdawałem sobie sprawy z potrzeb dorastających chłopców.

Cofnę się na chwilę w czasie. Trzy lata wcześniej, gdy Jonasz miał czternaście lat, a ja osiem, mój brat perfidnie mnie nabrał. Zdarzyło się to pewnego wieczoru, gdy nasi rodzice wyszli na kolację. Padał deszcz i grzmiało. Oglądałem telewizję, gdy nagle pojawił się Jonasz. W ręku trzymał ciasto cytrynowe.

– Popatrz, co mam! – zaśpiewał.

Wielkodusznie ukroił mi kawałek. Patrzył, jak go jem. A potem krzyknął:

– Wszystko powiem! To ciasto było na niedzielę.

– To niesprawiedliwe!

Rzuciłem się w jego stronę. Starałem się go uderzyć, ale chwycił mnie za rękę. Mocowaliśmy się na stojąco, aż w końcu Jonasz zaproponował pewien układ.

Przypomnę raz jeszcze – w tamtych czasach świat był pełen oczu. Tu było jeszcze dwoje. Należały do mojego brata, który w łazience dla gości, wśród wzorzystych ręczników, patrzył, jak ja opuszczałem majtki i podnosiłem spódniczkę. (Obiecał, że nic nie powie, jeśli mu pokażę). Był zafascynowany widokiem, ale stał w pewnej odległości. Grdyka poruszała mu się w górę i w dół. Wyglądał na zdumionego i przestraszonego. W jego wieku nie miał jeszcze okazji do porównań, ale to, co zobaczył, bynajmniej nie wprowadziło go w błąd – różowe fałdy, szpara. Przez dziesięć sekund, pod eksplodującymi chmurami, Jonasz studiował moje dokumenty tożsamości, nie dopatrując się w nich żadnego oszustwa, a ja nakłoniłem go, żeby mi dał jeszcze jeden kawałek ciasta.

Najwidoczniej ciekawość Jonasza nie została zaspokojona przez oglądanie ośmioletniej siostry. Podejrzewam, że oglądał zdjęcia w pełni rozwiniętych kobiet.

W 1971 roku z naszego życia odeszli wszyscy mężczyźni. Lefty zmarł. Milton zniknął w hot dogach Herkules, a Jonasz w samotności toalety. Pozostawili Tessie i mnie zajmowanie się Desdemoną.

Do naszych obowiązków należało obcinanie paznokci u jej stóp, polowanie na muchy, które trafiły do jej pokoju, przenoszenie po pokoju jej klatki z ptakami, w zależności od padającego światła, a także włączanie za dnia telewizora na opery mydlane i wyłączanie przed morderstwami w wieczornych wiadomościach. Jednak Desdemona starała się nie stracić swojej godności. Gdy czuła potrzebę fizjologiczną, wzywała nas przez interkom, aby ktoś z nas pomógł jej wyjść z łóżka i dojść do toalety.

Najprościej można by powiedzieć: mijały lata. Za oknami zmieniały się pory roku, wierzby płaczące zrzucały miliony swoich liści, na płaski dach padał śnieg, zmieniał się kąt padania promieni słonecznych, a Desdemona nie wstawała z łóżka. Była tam nadal, gdy śnieg topniał, a na wierzbach pojawiały się pączki. Była tam, gdy słońce wzniosło się wyżej i przez świetlik wpadł promień słoneczny, promień jak drabina do nieba, po której z wielką chęcią by się wspięła.

A oto, co się wydarzyło, gdy Desdemona leżała w łóżku:

Zmarła przyjaciółka ciotki Liny, pani Watson, i Sourmelina, wiedziona żalem, który zawsze jest złym doradcą, postanowiła sprzedać dom z cegły suszonej na słońcu i przenieść się na północ, aby być bliżej rodziny. Przyjechała do Detroit w lutym 1972 roku. Zimowa pogoda była zimniejsza niż Lina pamiętała z przeszłości. Co gorsza, czas spędzony na Południowym Zachodzie wyraźnie ją odmienił. W ciągu swojego życia Sourmelina przeobraziła się w prawdziwą Amerykankę. Zupełnie wyzbyła się zachowań wyniesionych z wioski. Natomiast jej pogrzebana przez siebie samą za życia kuzynka na zawsze w niej pozostała. Obie były już po siedemdziesiątce, ale Desdemona była starą, siwą wdową, czekającą na śmierć, podczas gdy Lina, zupełnie inny typ wdowy, była farbowanym rudzielcem jeżdżącym firebirdem i noszącym dżinsowe spódniczki z paskiem z turkusową klamerką. Po życiu w kontrkulturze seksualnej heteroseksualność moich rodziców wydawała się jej niesamowicie oryginalna. Bała się trądziku Jonasza. Nie chciała używać tego samego prysznica co on. Gdy Sourmelina mieszkała u nas, w domu panowała napięta atmosfera. Ze swoim wyglądem emerytowanej tancerki z Las Vegas zupełnie nie pasowała do naszego salonu, a ponieważ kątem oka tak bacznie się jej przyglądaliśmy, wszystko, co robiła, powodowało zbyt dużo hałasu, wszędzie wciskał się dym z jej papierosów, i uważaliśmy, że piła zbyt dużo wina do kolacji.

Poznaliśmy naszych nowych sąsiadów. Nazywali się Pickett. Nelson grał na pozycji tacklera w drużynie Georgia Tech i pracował dla firmy farmaceutycznej Parke-Davis, a jego żona Bonnie nieustannie czytała niewiarygodne opowieści w *Guideposts*. Z drugiej strony ulicy mieszkał „Żwawy" Stew Fiddler, pracujący w zaopatrzeniu przedsiębiorstw i gustujący w burbonie oraz w barmankach, ze swoją żoną, Mizzi, której kolor włosów zmieniał się jak w kalejdoskopie. Na końcu ulicy mieszkali Sam i Hettie Grossinger, pierwsi ortodoksyjni Żydzi, jakich spotkaliśmy, oraz ich córeczka, Maxine, nieśmiała, niezmiernie utalentowana mała skrzypaczka. Okazało się, że Sam był zabawny, a Hettie głośna, i rozmawiali o pieniądzach, jakby nie uważali, że to nieeleganckie, dlatego też dobrze się czuliśmy w ich towarzystwie. Milt i Tessie często zapraszali Grossingerów na kolacje, choć stale nas zaskakiwały ich ograniczenia żywieniowe. Moja matka potrafiła na przykład pojechać na drugi koniec miasta, aby kupić koszerne mięso, a następnie podać je z sosem

śmietankowym. Albo zupełnie pominąć mięso z sosem i zaserwować kraby w cieście. Jakkolwiek wierni swojej religii, państwo Grossinger byli Żydami ze Środkowego Zachodu, skromnymi i potrafiącymi się zasymilować. Chowali się za swoją ścianą cyprysów, a na Boże Narodzenie wystawiali figurkę Świętego Mikołaja i wieszali lampki.

Rok 1971: sędzia Stephen J. Roth z Sądu Okręgowego oświadczył, że w systemie szkolnictwa w Detroit istnieje *de iure* segregacja rasowa. Natychmiast wydał nakaz, aby znieść segregację rasową w szkołach. Istniał jednak pewien problem. W 1971 roku populacja uczniów w Detroit w 80 procentach składała się z Murzynów.

– Ten autobusowy sędzia może sobie wozić, kogo chce – triumfował Milton, czytając o tej decyzji w gazecie. – Dla nas to nie ma już żadnego znaczenia. Widzisz, Tessie? Rozumiesz, dlaczego twój kochany stary mąż chciał zabrać dzieci z tego systemu szkolnictwa? Bo gdybym tego nie zrobił, to ten pieprzony Roth teraz woziłby je autobusem do szkoły w centrum Nairobi, właśnie dlatego.

Rok 1972: S. Miyamoto, wzrostu metr sześćdziesiąt pięć, nieprzyjęty do policji w Detroit, ponieważ nie osiągnął regulaminowego wzrostu metra siedemdziesięciu (próbował używać specjalnych butów podwyższających wzrost itd.), pojawił się w The Tonight Show, aby opowiedzieć o swoim problemie. Sam napisałem list do komisarza policji, popierając Miyamoto, ale nie otrzymałem odpowiedzi, a Miyamoto został odrzucony. Kilka miesięcy później podczas parady koń zrzucił komisarza policji Nicholsa.

– Masz za swoje! – powiedziałem.

Rok 1972: H. D. Jackson i L. D. Moore, którzy zażądali odszkodowania w wysokości czterech milionów dolarów za brutalne postępowanie policji, porwali odrzutowiec linii Southern Airways na Kubę, oburzeni wyrokiem sądu, który przyznał odszkodowanie w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

Rok 1972: burmistrz Roman Gribbs stwierdził, że sytuacja w Detroit zmieniła się diametralnie. Miasto podniosło się już po koszmarze zamieszek roku 1967. W związku z tym postanowił nie walczyć o kolejną kadencję. Pojawił się nowy kandydat, człowiek, który miał zostać pierwszym czarnoskórym burmistrzem tego miasta – Coleman A. Young.

A ja skończyłem dwanaście lat.

Kilka miesięcy wcześniej, pierwszego dnia szóstej klasy, do sali weszła Carol Horning z delikatnym, ale niewątpliwie pełnym samozadowolenia uśmiechem. Poniżej tego uśmiechu, wystawione jak na półce z trofeami, znajdowały się nowe piersi, które urosły jej w ciągu lata. Nie była jedyną. Okres wzrostu spowodował, że już kilka moich koleżanek z klasy – jak to określali dorośli – rozwinęło się.

Nie byłem tym zaskoczony. Minionego lata spędziłem miesiąc na obozie Camp Ponshewaing, w okolicy Port Huron. Podczas powolnego marszu letnich dni zdawałem sobie sprawę, jak zdajemy sobie sprawę ze stale dochodzącego dźwięku bębna zza jeziora, że w ciałach moich koleżanek z obozu zachodził jakiś proces. Dziewczęta stawały się wstydliwe. Podczas ubierania odwracały się plecami. Niektóre z nich miały nazwiska wyszyte nie tylko na krótkich spodenkach i skarpetkach, ale także na sportowych staniczkach. Zazwyczaj było to traktowane jak sprawa osobista, o której się nie mówiło. Ale od czasu do czasu zdarzało się, że przejaw dorastania miał charakter bardziej spektakularny. Pewnego popołudnia, w porze pływania, rozległ się szczęk otwieranych i następnie zamykanych blaszanych drzwi przebieralni. Dźwięk odbijał się od pni sosen jak bila na stole bilardowym i rozchodził się nad niewielką plażą i nad wodą, gdzie ja unosiłem się na dętce, czytając „Love Story". (Pora pływania to był jedyny czas, kiedy mogłem coś poczytać, i chociaż obozowi wychowawcy starali się nakłonić mnie do ćwiczenia stylu dowolnego, ja uporczywie codziennie powracałem do czytania nowego bestselleru, który znalazłem na nocnym stoliku mojej matki.) Spojrzałem w górę. Po brunatnej ścieżce pokrytej sosnowymi igłami szła Jenny Simonson w czerwono-biało-niebieskim kostiumie kąpielowym. Cała przyroda zamarła na ten widok. Ptaki ucichły. Łabędzie na jeziorze rozprostowały ogromne szyje, aby się lepiej przyjrzeć. Nawet pracująca w oddali piła łańcuchowa wyłączyła swój motor. Ujrzałem świetność Jenny S. Wokół niej zbierała się złota poświata popołudniowego słońca. Jej patriotyczny kostium kąpielowy wypełnił się, jak żaden inny. W jej długich udach prężyły się mięśnie. Pobiegła na koniec pomostu i wskoczyła do jeziora, gdzie od razu otoczył ją krąg najad (jej koleżanek z Cedar Rapids).

Opuściłem książkę i spojrzałem na własne ciało. Było takie jak zawsze: płaska klatka piersiowa, brak bioder, iksowate, pokąsane przez komary

nogi. Woda z jeziora i słońce powodowały, że łuszczyła mi się skóra. Moje palce zupełnie się pomarszczyły.

Dzięki zniedołężnieniu doktora Philoboshiana i pruderyjności Tessie wkroczyłem w wiek dojrzewania, nie bardzo wiedząc, czego mogę się spodziewać. Doktor Philoboshian nadal miał gabinet obok szpitala położniczego, choć sam szpital był już nieczynny. Poważnie zmienił się też przekrój jego pacjentów. Pozostało kilka starszych pań, które, przeżywszy tyle lat pod jego opieką, bały się zmieniać lekarza. Reszta były to rodziny korzystające z systemu opieki społecznej. Siostra Rosalee zajmowała się prowadzeniem gabinetu. Pobrali się rok po spotkaniu przy moich narodzinach. Obecnie to ona umawiała na wizyty i robiła zastrzyki. Dzieciństwo spędzone w Appalachach pozwoliło jej zapoznać się z formami pomocy rządowej i obecnie doskonale radziła sobie z formularzami programu opieki medycznej dla osób o niskich dochodach.

Po skończeniu osiemdziesiątki doktor Phil zajął się malowaniem. Na wszystkich ścianach jego gabinetu, jak w salonie, wisiały obrazy olejne malowane w zawijasy grubymi warstwami farby. Rzadko używał pędzla, raczej korzystał ze szpachli. A co malował? Smyrnę? Molo o świcie? Okropny pożar? Nie. Tak jak wielu amatorów, doktor Phil doszedł do wniosku, że jedynym odpowiednim tematem dla sztuki był malowniczy krajobraz, zupełnie niezwiązany z jego własnymi przeżyciami. Malował widoki morza, jakich nigdy nie widział, i leśne osady, w jakich nigdy nie był, kompletne, z postacią odpoczywającą na kłodzie i palącą fajkę. Doktor Philoboshian nigdy nie rozmawiał o Smyrnie i wychodził z pokoju, gdy tylko ktoś poruszał ten temat. Nigdy nie wspomniał o swojej pierwszej żonie czy o zamordowanych synach i córkach. Być może właśnie dzięki temu przetrwał.

Niemniej jednak doktor Phil nie nadążał za współczesnym światem. Podczas moich dorocznych badań w 1972 roku stosował metody diagnostyczne powszechnie używane w szkołach medycznych jeszcze w 1910 roku. Była taka sztuczka, gdy udawał, że chce mnie uderzyć w twarz, aby sprawdzić mój refleks. Osłuchiwanie odbywało się za pomocą kieliszka do wina. Kiedy schylał się, aby posłuchać mojego serca, miałem okazję spoglądać z góry na archipelag Galapagos utworzony przez strupy na jego łysinie. (Archipelag zmieniał lokalizację z roku na rok, stale dryfując po globusie jego czaszki, ale nigdy się nie goił). Doktor Philoboshian cuchnął

jak stara kanapa, olejkiem do włosów i rozlaną zupą, nieplanowanymi drzemkami. Jego dyplom lekarski wyglądał tak, jakby był napisany na pergaminie. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby doktor Phil na gorączkę przepisał pijawki. Traktował mnie w sposób uprzejmy, ale nigdy po przyjacielsku, a rozmowy prowadził głównie z Tessie, siedzącą na krześle w rogu gabinetu. Ciekawe, jakich wspomnień starał się unikać, odwracając ode mnie wzrok. Czy podczas tych pobieżnych badań nawiedzały go wspomnienia lewantyńskich dziewcząt, przywoływane delikatnością mojego obojczyka czy wabikiem moich drobnych, czasem zainfekowanych płuc? Czy starał się uciekać myślami od tych wodnych pałaców i poluźnionych szat, czy też był po prostu zmęczony, stary, na poły ślepy i zbyt dumny, aby się do tego przyznać?

Niezależnie od odpowiedzi na te pytania, Tessie niezmiennie, rok w rok, zabierała mnie na badania do niego w rewanżu za jego dobroczynność w czasie katastrofy, o której on już nie chciał słyszeć. Za każdym razem w poczekalni napotykałem ten sam postrzępiony magazyn *Highlights*. Wytęż wzrok i znajdź – brzmiał tytuł zagadki rysunkowej w środku numeru. A tam, wśród rozłożystego kasztanowca, znajdowały się: nóż, pies, ryba, stara kobieta, świecznik – wszystko już kilka lat temu zakreślone moją ręką, drżącą wówczas z powodu bólu uszu.

Moja matka również unikała tematów związanych z ciałem. Nigdy nie wypowiadała się otwarcie o sprawach płci. Nigdy nie rozbierała się przy mnie. Nie podobały się jej brzydkie dowcipy czy nagość w filmach. Milton z kolei nie był w stanie rozmawiać ze swoją córeczką o ptaszkach i motylkach, w związku z czym musiałem w tamtych latach sam do wszystkiego dochodzić.

Z przypadkowych uwag, jakie rzucała w kuchni ciotka Zo, wiedziałem, że kobietom raz na jakiś czas coś się przydarza, coś, czego nie lubiły, coś, z czym mężczyźni nie chcieli mieć do czynienia (jak ze wszystkim). Cokolwiek to było, miałem wrażenie, że znajduje się w bezpiecznej odległości ode mnie, jak małżeństwo czy rodzenie dzieci. I wtedy, na obozie w Camp Ponshewaing, Rebecca Urbanus weszła na krzesło. Rebecca pochodziła z Południowej Karoliny. Jej przodkowie mieli niewolników, a ona szkolony głos. Gdy tańczyła z chłopcami z sąsiedniego obozu, machała ręką przed swoją twarzą, jakby trzymała wachlarz. Dlaczego weszła na krzesło? Zorganizowaliśmy konkurs młodych talentów.

Rebecca Urbanus coś śpiewała albo recytowała wiersz Waltera de la Mare. Słońce stało wysoko, a ona miała na sobie białe szorty. I nagle, podczas śpiewu (albo recytacji), jej białe szorty pociemniały z tyłu. W pierwszej chwili wyglądało to na cień rzucany przez okoliczne drzewa. Jakby ktoś pomachał ręką. Ale nie: gdy nasza grupa dwunastolatek siedziała i patrzyła, każda z nas w obozowej koszulce z krótkim rękawem i z indiańską przepaską na głowie, naszym oczom ukazało się coś, czego nie widziała Rebecca Urbanus. Chociaż to jej górna połowa występowała, główną rolę zaczęła grać jej dolna część. Plama robiła się coraz większa i nabierała czerwonej barwy. Wychowawcy nie bardzo wiedzieli, jak zareagować. Rebecca śpiewała z rozpostartymi ramionami. Obracała się na krześle przed otaczającą ją publicznością, przed nami, gapiącymi się, zdumionymi i przerażonymi. Niektóre „dojrzalsze" dziewczęta zrozumiały, co się stało. Inne, jak ja, myślały: rana od noża, atak niedźwiedzia. W tym momencie Rebecca Urbanus zauważyła nasze spojrzenia. Popatrzyła w dół. Krzyknęła i uciekła ze sceny.

Wróciłem z obozu opalony i szczuplejszy, z jedną sprawnością (jak na ironię – za biegi na orientację). Ale nadal nie miałem tej innej sprawności, tej, którą pierwszego dnia szkoły z taką dumą prezentowała Carol Horning. Miałem do tego stosunek ambiwalentny. Z jednej strony, jeśli nieszczęśliwy wypadek Rebeki Urbanus miał być jakąś wskazówką, może bezpieczniej, aby zostało tak, jak było. Co by to było, gdyby coś takiego przytrafiło się mnie? Przeglądnąłem całą garderobę i wyrzuciłem wszystkie białe rzeczy. Zupełnie przestałem śpiewać. Nad tym nie da się zapanować. Nigdy nie można być pewnym. To się mogło zdarzyć w każdej chwili.

Chyba że, jak w moim wypadku, nie zdarzyło się w ogóle. Stopniowo, w miarę jak inne dziewczęta w mojej klasie zaczynały przechodzić swoje transformacje, zaczynałem mniej martwić się o ewentualne wypadki, a bardziej o to, że zostanę w tyle, pominięty.

Siedzę na lekcji matematyki w szóstej klasie. Jest zima. Panna Grotowski, nasza młoda nauczycielka, pisze na tablicy równanie. Za nią, w ławkach z drewnianymi blatami, uczniowie śledzą jej obliczenia, drzemią albo kopią się pod ławkami. Szary zimowy dzień w Michigan. Trawa na zewnątrz wygląda, jakby była pokryta warstwą cyny. Zawieszone nad głowami świetlówki mają rozproszyć szarość tej pory roku. Na ścianie wisi obraz przedstawiający wielkiego matematyka Ramanujana (którego

początkowo wzięliśmy za zagranicznego chłopaka panny Grotowski). Atmosfera w klasie jest duszna, jak duszna może być tylko atmosfera w szkole.

Za plecami nauczycielki, siedząc w naszych ławkach, podróżujemy w czasie. Trzydziestka dzieciaków w sześciu równych rzędach niesionych z niezauważalną dla nas prędkością. Podczas gdy panna Grotowski kreśli na tablicy równania, siedząca wokół mnie klasa zaczyna się zmieniać. Uda Jane Blunt wydłużają się z tygodnia na tydzień. Jej sweter pęcznieje z przodu. A pewnego dnia siedząca obok mnie Beverly Maas podnosi rękę i zauważam ciemną plamę pod jej pachą – kępkę jasnobrązowych włosów. Kiedy się pojawiły? Wczoraj? Przedwczoraj? Równania wydłużają się, ciągnąc się przez cały rok, stają coraz bardziej skomplikowane, i może rzecz w tych wszystkich liczbach albo tabliczkach mnożenia. Uczymy się operować wielkimi sumami, gdy dzięki tej nowej matematyce ciała dochodzą do nieoczekiwanych rozwiązań. Głos Petera Quaila jest o dwie oktawy niższy niż w zeszłym miesiącu, a on tego nie zauważa. Dlaczego nie? Zbyt szybko leci. Nad górnymi wargami chłopaków zaczyna się pojawiać meszek. Czoła i nosy rozpadają się na części. Najbardziej efektowna jest przemiana dziewcząt w kobiety. Nie mentalna czy nawet emocjonalna, ale fizyczna. Natura czyni swoje przygotowania. Dotrzymywane są zakodowane w gatunku terminy.

Tylko Calliope, siedząca w drugim rzędzie, pozostaje bez ruchu, jej ławka nadal stoi przykuta do ziemi, przez co jest jedyną osobą, która może w pełni objąć zachodzące wokół niej zmiany. Podczas przeprowadzania dowodu matematycznego ciągle myśli o leżącej na podłodze obok jej ławki torebce Tricii Lamb, o znajdującym się tam tamponie, który zauważyła dzisiejszego ranka. Jak tego się właściwie używa? I kogo można spytać? Chociaż nadal śliczna, Calliope wkrótce zostaje najniższą dziewczynką w klasie. Upuszcza gumkę. Żaden chłopak jej nie podnosi. W bożonarodzeniowym przedstawieniu nie gra już roli Marii jak w ubiegłych latach, ale elfa… Ale wciąż jest jeszcze nadzieja, prawda?… Ponieważ ławki wznoszą się, dzień po dniu, uformowani w dywizjon uczniowie wchodzą w przechył i z rykiem silników mkną przez czas, i gdy pewnego popołudnia Callie podnosi wzrok znad poplamionej atramentem kartki papieru, widzi, że już jest wiosna, kwiaty pączkują, forsycja już rozkwitnięta, zielenią się wiązy, w ustronnych miejscach dziewczęta

trzymają się z chłopcami za ręce, czasami całują się za drzewami, a Calliope czuje się, oszukana.

– Pamiętasz o mnie? – zwraca się do natury. – Ja czekam. Ciągle tu jestem.

Podobnie było z Desdemoną. W kwietniu 1972 roku jej wniosek o umożliwienie dołączenia do męża w niebie wciąż odbywał swoją drogę przez rozległą machinę niebiańskiej biurokracji. I chociaż Desdemona była zupełnie zdrowa w chwili, gdy położyła się do łóżka, tygodnie, miesiące, a w końcu lata bezczynności, w połączeniu z jej determinacją, aby skończyć z samą sobą, zaowocowały wystąpieniem u niej całego katalogu dolegliwości znanych z „Encyklopedii zdrowia". W okresie gdy była przykuta do łóżka, Desdemona miała obrzęk płuc, lumbago, zapalenie kaletki maziowej, napad rzucawki porodowej, który wystąpił pół wieku później niż to etiologicznie normalne, a potem (ku żalowi Desdemony) równie tajemniczo ustąpił, poważny przypadek półpaśca, który spowodował, że jej klatka piersiowa i plecy przybrały kolor i teksturę dojrzałych truskawek i czuła się tak, jakby ktoś ją kłuł ościeniem, dziewiętnaście przeziębień, tydzień czysto symbolicznego „wędrującego" zapalenia płuc, wrzody, psychosomatyczne katarakty, które zaciemniały jej pole widzenia w rocznice śmierci jej męża, i które następnie wypłakiwała, oraz przykurcz Dupuytrena, gdy stan zapalny powięzi w jej ręce spowodował bolesne zwinięcie kciuka i trzech palców w stronę wnętrza dłoni, pozostawiając jej środkowy palec wystawiony w obscenicznym geście.

Pewien lekarz namówił Desdemonę do udziału w badaniach nad długowiecznością. Pisał artykuł do magazynu medycznego na temat „diety śródziemnomorskiej". W tym celu zasypywał ją pytaniami o kuchnię w jej rodzinnym kraju. Ile jogurtu spożywała jako dziecko? Ile oliwy z oliwek? Czosnku? Odpowiadała na wszystkie pytania, sądząc, że jego zainteresowanie świadczyło o tym, że jednak cierpiała na jakieś organiczne schorzenie, i ponieważ nigdy nie przepuszczała okazji, aby przespacerować się po okolicach swojego dzieciństwa. Doktor nazywał się Müller, był z pochodzenia Niemcem i jeśli chodzi o kuchnię, to zupełnie wyrzekł się swojej nacji. Z powojennym poczuciem winy oczerniał kiełbasy *bratwurst*, kiszoną kapustę *sauerbraten* i klopsy *Königsberger* jako potrawy

niemalże trujące. Uważał, że takie jedzenie stwarza zagrożenie porównywalne z Hitlerem. Interesował się natomiast naszą grecką dietą – naszymi bakłażanami pływającymi w sosie pomidorowym, naszymi sałatkami z ogórków i pastami rybno-jajecznymi, naszym *pilafi*, rodzynkami i figami – jako potencjalnym środkiem leczniczym, jako życiodajnym, cudownym lekiem oczyszczającym tętnice i wygładzającym skórę. Wyglądało na to, że to, co mówił doktor Müller, sprawdzało się w praktyce – chociaż skończył dopiero czterdzieści dwa lata, twarz miał już bardzo pomarszczoną, z obwisłymi policzkami. Po obu stronach głowy sterczały mu siwe włosy; podczas gdy mój ojciec, mężczyzna czterdziestoośmioletni, mimo zmian barwnikowych pod oczami, nadal był posiadaczem oliwkowej cery bez zmarszczek i bujnej, błyszczącej, czarnej czupryny. Nie bez powodu nazwano pewien środek do włosów „Grecian Formula". To musiało być w naszym jedzeniu! Prawdziwa fontanna młodości w naszych *dolmadach*, *taramasalatach* i nawet w naszych *baklavach*, które nie zgrzeszyły zawartością cukru rafinowanego, a zawierały tylko miód. Doktor Müller pokazał nam wykonane przez siebie wykresy, prezentujące nazwiska i daty urodzenia Włochów, Greków i jednego Bułgara mieszkających w aglomeracji Detroit, na których zobaczyliśmy i naszą własną uczestniczkę – Desdemonę Stephanides, wiek dziewięćdziesiąt jeden lat – świetnie radzącą sobie wśród innych zawodników. W porównaniu do Polaków zabijanych przez kiełbasę, Belgów wykańczanych przez frytki ziemniaczane, Anglosasów wymierających w wyniku konsumpcji puddingu czy Hiszpanów zniszczonych spożywaniem kiełbasek chorizo, przerywana linia wykresu Greków biegła dalej, a krzywe tych innych narodów opadały w zawijasach z tyłu. Kto wie? Jako naród przez ostatnie tysiąclecia nie mieliśmy specjalnego powodu do dumy. I chyba zrozumiałe było, że podczas wizyt doktora Müllera w naszym domu nie wspomnieliśmy o kłopotach z powtarzającymi się udarami, jakie trapiły Lefty'ego. Nie chcieliśmy wypaczać wykresu przez wprowadzanie nowych danych, więc nie powiedzieliśmy, że tak naprawdę Desdemona ma siedemdziesiąt jeden lat, a nie dziewięćdziesiąt jeden, i że ona zawsze myliła siódemkę z dziewiątką. Nie wspomnieliśmy o jej ciotkach, Thalii i Victorii, które w młodym wieku zmarły na raka piersi, jak również nic nie powiedzieliśmy o wysokim ciśnieniu, które obciążało naczynia krwionośne skrywane pod gładką,

młodzieńczą powierzchownością Miltona. Nie mogliśmy. Nie chcieliśmy przegrywać z Włochami ani nawet z tym jednym Bułgarem. A doktor Müller, pochłonięty badaniami, nie zauważył obok łóżka Desdemony wystawy usług pogrzebowych, zdjęcia zmarłego męża obok fotografii jego grobu, licznych akcesoriów wdowy porzuconej na ziemi. Nie jednej z grupy nieśmiertelnych z Olimpu. Tylko jedynej pozostałej przy życiu.

Tymczasem rosło napięcie między moją matką a mną.

– Nie śmiej się!

– Przepraszam, kochanie. Tylko że nie ma czego… no…

– Mamo!

– …podtrzymywać!

Krzyk złości. Dwunastoletnie stopy biegnące po schodach i Tessie krzycząca:

– Nie zachowuj się tak dramatycznie, Callie. Kupimy ci biustonosz, jeśli tak bardzo chcesz.

Na górze w moim pokoju, po dokładnym zamknięciu drzwi, zdjąłem przed lustrem koszulę, aby zobaczyć… Że moja matka miała rację. Nic! Nic zupełnie do podtrzymywania niczego. I wybuchnąłem płaczem ze zdenerwowania i wściekłości.

Tego wieczoru, gdy w końcu zszedłem na kolację, zemściłem się w jedyny możliwy dla mnie sposób.

– O co chodzi? Nie jesteś głodna?

– Chcę normalne jedzenie.

– Co to znaczy normalne jedzenie?

– Amerykańskie jedzenie.

– Muszę robić to, co lubi *yia yia*.

– A co z tym, co ja lubię?

– Ty lubisz *spanakopita*. Zawsze lubiłaś *spanakopita*.

– Ale już nie lubię.

– Dobrze. Możesz nie jeść. Jak chcesz, możesz się zagłodzić. Jeśli nie smakuje ci to, co ci dajemy, możesz po prostu siedzieć przy stole, aż skończymy.

Po konfrontacji z dowodami w lustrze, wyśmianiu przez własną matkę, w otoczeniu rozwijających się koleżanek z klasy, doszedłem do okropnego wniosku. Zacząłem wierzyć, że dieta śródziemnomorska, która

utrzymywała moją babkę wbrew jej woli przy życiu, złowieszczo opóźniała również moją dojrzałość. A to doprowadziło mnie do wniosku, że oliwa z oliwek, którą Tessie wszystko skrapiała, posiadała magiczną moc zatrzymującą zegar ciała, podczas gdy umysł, odporny na działanie olejów kuchennych, dalej funkcjonował. To właśnie dlatego rozpacz i zmęczenie Desdemony były jak u osoby po dziewięćdziesiątce, a równocześnie jej tętnice zachowały świeżość pięćdziesięciolatki. Czy może tak być, zastanawiałem się, że kwasy tłuszczowe omega-3 i porcje trzech warzyw na posiłek, jakie spożywałem, były odpowiedzialne za opóźnienie mojej dojrzałości płciowej? Czy jogurt na śniadanie wstrzymywał rozwój moich piersi? Nie można było odrzucić takiej możliwości.

– Co się dzieje, Cal? – zapytał Milton, czytając przy jedzeniu wieczorną gazetę. – Czy nie chcesz dożyć stu lat?

– Nie, jeśli mam przez cały czas jeść tylko takie rzeczy.

Ale teraz to Tessie wpadła we wściekłość. Tessie, która już przez prawie dwa lata zajmowała się starą kobietą uparcie tkwiącą w łóżku. Tessie, której mąż bardziej był zakochany w hot dogach niż we własnej żonie. Tessie, która potajemnie kontrolowała ruchy robaczkowe jelit swoich dzieci i oczywiście doskonale widziała, jak źle tłuste amerykańskie jedzenie może wpłynąć na układ trawienny.

– Ty nie robisz zakupów – powiedziała ze łzami w oczach. – Nie widzisz tego co ja. Kiedy ostatnio byłaś w drogerii, Panienko Normalne Jedzenie? Wiesz, czego jest pełno na półkach? Środków przeczyszczających! Zawsze, gdy jestem w drogerii, osoba przede mną kupuje laxigen. I nie jedno opakowanie. Kupują to masowo.

– To tylko starzy ludzie.

– Nie tylko starzy. Widzę, jak kupują to młode matki. Widzę, jak kupują to nastolatki. Chcesz poznać prawdę? Ten cały kraj nie może zrobić kupy!

– No, teraz to nabrałam apetytu.

– Callie, czy chodzi o biustonosz? Bo jeśli o to chodzi, to przecież powiedziałam ci…

– Maaamo!

Ale już było za późno.

– Jaki biustonosz? – zapytał Jonasz. I zaraz potem dodał z uśmiechem: – Czy Wielkie Słone Jezioro myśli, że potrzebuje biustonosza?

– Zamknij się.

– Patrzcie. Chyba mam brudne okulary. Muszę je przeczyścić. No, teraz lepiej. Przyjrzyjmy się…

– Zamknij się!

– Nie, nie powiedziałbym, żeby Wielkie Słone Jezioro przeszło jakieś geologiczne…

– Ale twoja twarz tak, ty pryszczaty ryju!

– Nadal płaskie jak zawsze. Doskonałe do prób bicia rekordów szybkości.

Ale w tym momencie Milton krzyknął:

– Do diabła! – zagłuszając naszą dwójkę.

Myśleliśmy, że miał dość naszej kłótni.

– Ten pieprzony sędzia!

Nie patrzył na nas. Patrzył na pierwszą stronę *The Detroit News*. Twarz mu poczerwieniała, a po chwili – to wysokie ciśnienie, o którym nie wspominaliśmy – zrobiła się prawie sina.

Tego ranka w Sądzie Okręgowym sędzia Roth opracował sprytny sposób usunięcia ze szkół segregacji rasowej. Skoro w Detroit brakowało białych uczniów, sędzia postanowił pozyskać ich z innych miejsc. Roth domagał się jurysdykcji nad całym „obszarem aglomeracji". Jurysdykcji nad miastem Detroit i otaczającymi go pięćdziesięcioma trzema przedmieściami. Wśród nich nad Grosse Pointe.

– Właśnie teraz, gdy udało się nam wyrwać nasze dzieci z tego piekła! – krzyczał Milton. – Ten pieprzony Roth chce was odesłać z powrotem!

Rosomaczka

Jeśli dopiero włączyliście odbiorniki, informujemy, że właśnie transmitujemy rewelacyjny mecz hokeja na trawie! Końcowe sekundy ostatniego w tym sezonie meczu między dwoma odwiecznymi rywalami – Szerszeniami z BCDS i Rosomaczkami z B&I. Aktualnie mamy remis 4 do 4. Wznowienie na środku boiska i… Szerszenie przejmują piłkę! Chamberlain podaje do O'Rourke na skrzydle. O'Rourke robi zwód w lewo, ale idzie prawą stroną… Minęła już jedną Rosomaczkę, kolejną… I podaje na drugą stronę boiska do Amigliato! Becky Amigliato biegnie przy bocznej linii boiska! Zostało jeszcze dziesięć sekund, dziewięć! W bramce Rosomaczek stoi Stephanides, która – ojej! ojej! – nie widzi nadbiegającej Amigliato. Co jest, do licha?… Moi drodzy, ona ogląda liść! Callie Stephanides podziwia wspaniały, ogniście czerwony jesienny liść, ale czy to jest odpowiedni moment?! Nadciąga Amigliato! Pięć sekund! Cztery sekundy! Tak jest, moi drodzy, nadajemy relację z tegorocznych mistrzostw szkół gimnazjalnych – ale poczekajmy jeszcze chwilę… Stephanides słyszy odgłos kroków. Spogląda w górę… Amigliato bierze zamach! Uuuuuch, to jest piekielne uderzenie! To czuje się nawet tu, na górze, w naszej kabinie. Piłka zmierza prosto w kierunku głowy Stephanides! Ona upuszcza liść! Patrzy… Patrzy… O rety, dobrze, że tego nie widzicie…

Czy to prawda, że na chwilę przed śmiercią (od piłeczki hokejowej lub w inny sposób) całe życie przewija się przed naszymi oczami? Może nie całe, ale obszerne fragmenty. Gdy tego jesiennego dnia w kierunku mojej głowy zmierzała piłka uderzona przez Becky Amigliato, w mojej wkrótce mającej się wyłączyć świadomości migotały wydarzenia ostatniego półrocza.

Po pierwsze nasz cadillac – wtedy był to złoty fleetwood – jadący zeszłego lata długim podjazdem szkoły dla dziewcząt Baker & Inglis. Na

tylnym siedzeniu nieszczęśliwa dwunastolatka, czyli ja, transportowana pod przymusem na rozmowę kwalifikacyjną.

– Nie chcę chodzić do szkoły dla dziewcząt – skarżę się. – Wolę jeździć autobusem.

Następnie inny samochód, który zabiera mnie z domu, już we wrześniu, na mój pierwszy dzień w siódmej klasie. Wcześniej chodziłem na piechotę do podstawówki Trombley, ale gimnazjum wniosło wiele zmian – na przykład mój nowy mundurek szkolny, w szkocką kratę i ozdobiony herbem. Ponadto: to wożenie dzieci do szkoły na zmianę, jasnozielone kombi kierowane przez kobietę o nazwisku Drexel. Pani Drexel ma tłuste, przerzedzone włosy. Nad jej górną wargą rosną wąsy, będące przykładem znaków zwiastujących przyszłość, które nauczę się rozpoznawać w nadchodzącym roku na lekcjach angielskiego.

Kolejny obraz – to samo kombi kilka tygodni później. Wyglądam przez okno, a z papierosa pani Drexel wije się sznureczek dymu. Kierujemy się do samego serca Grosse Pointe. Mijamy długie podjazdy z bramami, jakie zawsze wprowadzały moją rodzinę w podziw i zdumienie. Pani Drexel skręca w te podjazdy. (Na ich końcu mieszkają moje nowe koleżanki ze szkoły). Auto z warkotem przejeżdża obok żywopłotów z ligustru i pod przystrzyżonymi łukami, a my docieramy do domów położonych w zacisznych miejscach nad jeziorem, gdzie stoją już dziewczyny z torbami na ramionach, wyprostowane jakby kij połknęły. Są ubrane w takie same mundurki jak ja, ale jest jakaś różnica, na nich wyglądają nieco inaczej, schludniej, bardziej elegancko. Czasami na obrazie pojawia się również jakaś pięknie ufryzowana matka, ucinająca różę w ogrodzie.

I już następny obraz, dwa miesiące później, pod koniec semestru jesiennego kombi wspina się na wzgórze w kierunku mojej już nie tak nowej szkoły. W samochodzie jest pełno dziewcząt. Pani Drexel zapala kolejnego papierosa. Podjeżdża do krawężnika, już gotowa do rzucenia na nas klątwy. Kręci głową na rozpościerający się widok – pagórkowaty zielony teren szkoły, widoczne w oddali jezioro – i mówi:

– Lepiej, dziewczynki, cieszcie się tym, póki możecie. Najlepszy okres w życiu jest wtedy, gdy jest się młodym.

(W wieku dwunastu lat nienawidziłem jej za takie słowa. Chyba nie można wyobrazić sobie gorszego stwierdzenia wypowiedzianego do dziecka. Ale może również, w związku z pewnymi innymi zmianami, które

zaczęły się tego roku, przeczuwałem, że szczęśliwy okres mojego dzieciństwa zbliżał się do końca).

Co jeszcze do mnie powracało, gdy w kierunku mojej głowy zmierzała piłeczka hokejowa? W zasadzie wszystko, co taka piłeczka może symbolizować. Hokej na trawie, gra Nowej Anglii, odziedziczona ze starej Anglii, tak jak wszystko inne w naszej szkole. Budynek z jego długimi, rozbrzmiewającymi echem korytarzami i kościelnym zapachem, jego oknami z szybkami w ołowianych ramkach, jego gotyckim mrokiem. Elementarz łaciny w kolorze kleiku. Popołudniowe herbatki. Dyganie naszej drużyny tenisowej. Sztywne zachowanie naszego ciała pedagogicznego oraz sam program nauczania, który zaczynał się w tradycji hellenistycznej, byronowskiej, od Homera, a później przeskakiwał od razu do Chaucera, przechodził do Szekspira, Donne'a, Swifta, Wordswortha, Dickensa, Tennysona i E. M. Forstera. Wystarczyło tylko to wszystko połączyć.

Panna Baker i panna Inglis założyły tę szkołę jeszcze w 1911 roku, jak napisano w statucie: „w celu edukacji dziewcząt w naukach humanistycznych i ścisłych, dla kultywowania w nich umiłowania nauki, skromnego zachowania, dobrych manier oraz, przede wszystkim, rozbudzenia zainteresowania obowiązkami obywatelskimi". Te dwie kobiety mieszkały razem na samym końcu kampusu, w „Chatce", krytym gontem wiejskim domku, zajmującym w szkolnej mitologii takie samo miejsce jak chata Lincolna w legendzie narodowej. Co roku na wiosnę piątoklasistki odbywały wycieczkę. Szły jedna za drugą przez dwie pojedyncze sypialnie (co mogło wprowadzać uczennice w błąd), obok biurek fundatorek, z leżącymi na nich wiecznymi piórami i dropsami z lukrecją, a także gramofonu, z którego nasze patronki słuchały marszów *Sousy*. Duchy panny Baker i panny Inglis nawiedzały szkołę, fundatorki były również obecne w postaci rzeczywistych popiersi i portretów. Pomnik na dziedzińcu przedstawiał te wychowawczynie w okularach, w rozmarzonym, wiosennym nastroju, pannę Baker gestykulującą jak papież i błogosławiącą powietrze, a pannę Inglis (zawsze pod spodem) spoglądającą na to, co pokazuje jej koleżanka. Jedynym awangardowym akcentem tej rzeźby był gruby drut zamocowany na czubku głowy panny Baker, na końcu którego znajdował się obiekt zainteresowania – koliber.

…Te wszystkie obrazy przywołała zbliżająca się, wirująca piłeczka hokejowa. Ale było coś jeszcze, coś bardziej osobistego, co tłumaczyło, dlaczego to ja byłem jej celem. Dlaczego Calliope grała na pozycji bramkarza? Dlaczego jej ruchy krępowała maska i ochraniacze? Dlaczego trenerka Stork krzyczała na nią, aby broniła?

Odpowiem krótko: nie byłem zbytnio wysportowany. Softball, koszykówka, tenis – w każdej dyscyplinie byłem beznadziejny. Jeszcze gorzej było w hokeju na trawie. Nie mogłem przyzwyczaić się do śmiesznych kijów ani do mglistych europejskich zasad tej gry. Trenerce Stork brakowało zawodniczek, więc postawiła mnie na bramce i liczyła na łut szczęścia. Rzadko się to zdarzało. Niektóre Rosomaczki, zupełnie nie wykazując obowiązującego w drużynie ducha współpracy, utrzymywały, że brakuje mi koordynacji ruchowej. Czy te oskarżenia były usprawiedliwione? Czy istnieje jakiś związek między moją obecną pracą za biurkiem i brakiem gracji w ruchach? Nie będę odpowiadać na to pytanie. Ale na swoją obronę muszę powiedzieć, że żadna z moich bardziej wysportowanych koleżanek z drużyny nigdy nie zamieszkiwała tak problematycznego ciała. One nie miały, jak ja, dwóch jąder nielegalnie zasiedlających kanały pachwinowe. Bez mojej wiedzy ta dwójka anarchistów zajęła miejsce w moim podbrzuszu i nawet były podłączone do całego systemu. Jeśli nieodpowiednio skrzyżowałem nogi lub poruszyłem się zbyt szybko, przez moje podbrzusze przechodził skurcz. Często zwijałem się na hokejowym boisku, oczy zachodziły mi łzami, a trenerka Stork waliła mnie po tyłku.

– To tylko skurcz, Stephanides. Rozbiegaj to.

(I gdy ruszyłem się, aby obronić strzał, poczułem właśnie taki ból. Moje wnętrzności skręciły się, eksplodując strumieniem bólu. Pochyliłem się, potknąłem o kij bramkarza. I wtedy runąłem jak długi…)

Ale zdążę jeszcze odnotować kilka innych zmian fizycznych. Na początku siódmej klasy dostałem aparat korekcyjny na zęby. Gumki łączyły moje górne i dolne podniebienie. Moja szczęka była sprężysta jak lalka brzuchomówcy. Codziennie przed pójściem spać sumiennie zakładałem swoje średniowieczne nakrycie głowy. Ale w ciemnościach, gdy zęby powoli się prostowały, pozostała część mojej twarzy poddawała się silniejszym, genetycznym predyspozycjom do wykrzywiania. Można tu sparafrazować Nietzschego i powiedzieć, że istnieją dwa typy Greków –

apoliński i dionizyjski. Urodziłem się jako typ apoliński, słoneczna dziewczynka o twarzy okolonej lokami. Ale w trzynastym roku życia moje rysy zaczęły nabierać dionizyjskiego charakteru. Mój nos, początkowo subtelny, później już nie tak subtelny, zaczął się wyginać w łuk. Moje brwi, coraz gęstsze, również się wyginały. W mój wygląd wkraczało coś złowieszczego, przebiegłego, dosłownie „satyrowego".

Ostatnią zatem rzeczą, jaką piłeczka hokejowa (zbliżająca się już nieuchronnie, zbyt zniecierpliwiona, by znosić więcej wyjaśnień) – ostatnią więc rzeczą, jaką piłka hokejowa symbolizowała, był sam czas, jego niepowstrzymany upływ, sposób, w jaki jesteśmy przykuci do naszych ciał, które są z kolei przykute do czasu.

Piłeczka hokejowa nadleciała jak pocisk. Uderzyła w bok mojej maski, powodując, że wgięła się do środka. Nasza drużyna przegrała. Szerszenie świętowały.

Jak zwykle skompromitowany, wróciłem do sali gimnastycznej. Niosąc maskę, wyszedłem z zielonego, amfiteatralnego stadionu hokejowego. Drobnymi kroczkami przeszedłem żwirową ścieżką z powrotem do szkoły. W oddali, poniżej wzgórza i za drogą, leżało jezioro St. Clair, w którym mój dziadek, Jimmy Zizmo, upozorował swoją śmierć. Jezioro nadal zamarzało na zimę, ale już nie jeździli po nim przemytnicy alkoholu. Jezioro St. Clair utraciło swoją ponurą sławę i, podobnie jak wszystko wokół, stało się częścią przedmieścia. Nadal jeszcze kursowały szlakiem żeglugowym frachtowce, ale w większości pływały po nim łodzie rekreacyjne Chris-Craft, Santana, łodzie klasy Latający Holender czy 470. W słoneczne dni zdarzało się, że jezioro miało niebieski kolor, ale zazwyczaj było w kolorze zimnej zupy grochowej.

Ja jednak nie zaprzątałem sobie głowy takimi sprawami. Stawiałem kroki, starając się iść jak najwolniej. Z nieufnością i niepokojem patrzyłem w kierunku drzwi do sali gimnastycznej.

Teraz, gdy wszystkie dziewczęta mogły już odpocząć po grze, ja dopiero zaczynałem swoją. Podczas gdy moje koleżanki z drużyny łapały oddech, ja starałem się podbudować psychicznie. Musiałem poruszać się z gracją, lekko i swobodnie, z wyczuciem rytmu zawodnika. Musiałem zagrzewać się z linii autowej mojego jestestwa – głowa do góry, Stephanides! – musiałem być trenerem, gwiazdą i cheerleaderką w jednym.

Bo chociaż w moim ciele zagościły dionizyjskie bachanalia (w moich pulsujących zębach, w rozpasaniu mojego nosa), nie wszystko się we mnie zmieniło. Półtora roku po tym, jak Carol Horning przyszła do szkoły z nowiutkimi piersiami, ja nadal nic nie miałem. Wyproszony w końcu u Tessie stanik nadal, jak wyższa fizyka, nie miał praktycznego zastosowania. Żadnych piersi ani żadnego okresu. Czekałem przez całą szóstą klasę i przez następne lato. Byłem już w siódmej klasie i nadal czekałem. Były pewne oznaki budzące moją nadzieję. Od czasu do czasu bolały mnie sutki. Ostrożnie ich dotykałem i wyczuwałem pod różową, delikatną skórą coś na kształt kamyczka. Stale się łudziłem, że to jest zaczątek czegoś. Myślałem, że pączkuję. Ale za każdym razem obrzmienie i bóle mijały, i nic z tego nie było.

Dlatego też ze wszystkich rzeczy, do których musiałem się przyzwyczaić w nowej szkole, najgorsza była szatnia. Nawet dziś, gdy sezon się już zakończył, trenerka Stork stała w drzwiach i wrzeszczała na nas:

– Dobra, panienki, biegiem pod prysznic! Pospieszcie się!

Zobaczyła, że nadchodzę i zmusiła się do uśmiechu.

– Widać, że się starałaś – powiedziała, podając mi ręcznik.

Wszędzie obowiązuje hierarchia, ale w szatni szczególnie. Bagniste otoczenie i nagość przywracają pierwotne warunki. Przedstawię krótką taksonomię naszej szatni. Najbliżej pryszniców była grupa Bransoletek z Breloczkami. Przechodząc zaparowanym korytarzem, patrzyłem, jak wykonują swoje dostojne, kobiece ruchy. Jedna z Bransoletek stała pochylona do przodu i owijała ręcznikiem swoje mokre włosy. Gwałtownie się wyprostowała i zawinęła ręcznik na głowie jak turban. Stojąca obok niej druga Bransoletka patrzyła przed siebie pustymi niebieskimi oczami, smarując się kremem nawilżającym. Jeszcze inna Bransoletka podnosiła do ust butelkę z wodą, prezentując wysmukłą kolumnę swojej szyi. Nie chcąc się gapić, odwróciłem wzrok, ale nadal słyszałem, jak się ubierały. Przez szum wody pod prysznicem i odgłos bosych stóp na kafelkach do moich uszu docierało wysokie, cienkie dzwonienie, dźwięk przypominający stukanie się kieliszkami szampana podczas toastu. Co to było? Tak trudno odgadnąć? Dzwoniły breloczki przy bransoletkach wiszących na szczupłych nadgarstkach tych dziewcząt. To było dzwonienie malutkich rakiet tenisowych o malutkie nartki, miniaturowych wież Eiffla o centymetrowe baleriny w baletkach. To był dźwięk uderzających o siebie

żabek i wielorybów od Tiffany'ego, szczeniaczków dzwoniących o kotki, fok z piłkami na nosie uderzających o małpki z katarynkami, kawałków sera dzwoniących o twarze klaunów, truskawek śpiewających z kałamarzami, walentynkowych serduszek uderzających o dzwonki na szyjach szwajcarskich krów. Pośród tego całego delikatnego dzwonienia jedna z dziewcząt pokazywała koleżankom swój nadgarstek, jak jakaś dama polecająca perfumy. Jej ojciec właśnie wrócił z podróży służbowej i przywiózł jej najnowszy prezent.

Bransoletki – to one rządziły moją nową szkołą. Już od przedszkola chodziły do szkoły Baker & Inglis. Już od żłobka! Mieszkały nad wodą i tu dorastały, jak wszyscy mieszkańcy Grosse Pointe, udając, że nasze płytkie jezioro wcale nie było jeziorem tylko oceanem. Oceanem Atlantyckim. Tak, było to potajemne życzenie Bransoletek i ich rodziców – być mieszkańcami Wschodniego Wybrzeża, a nie Środkowego Zachodu, naśladować stroje i szczękościskowy sposób mówienia, spędzać lato na wyspie Martha's Vineyard, mówić: „u nas na Wschodzie", a nie: „tam na Wschodzie", jakby czas spędzany przez nich w Michigan stanowił tylko krótki okres pobytu z dala od domu.

Cóż mogę powiedzieć o moich dobrze wychowanych, finansowanych przez różne fundusze koleżankach z małymi noskami? Pochodziły z rodzin ciężko pracujących, dobrze prosperujących przemysłowców (dwie dziewczynki w mojej klasie nosiły takie same nazwiska jak producenci amerykańskich samochodów), ale czy wykazywały zdolności matematyczne, naukowe albo techniczne? Czy widać w nich było oddanie protestanckiemu etosowi pracy? Mówiąc krótko: nie. Nie ma bardziej przekonującego dowodu przeciw uwarunkowaniom genetycznym niż dzieci ludzi bogatych. Bransoletki się nie uczyły. Nigdy nie zgłaszały się do odpowiedzi. Siedziały z tyłu, rozparte na krzesłach, i każdego dnia wracały do domu, niosąc z sobą rekwizyt w postaci zeszytu. (Ale może Bransoletki lepiej znały życie niż ja. Od dzieciństwa wiedziały, jak niewielką wartość świat przywiązuje do książek, w związku z czym nie traciły na nie czasu. Podczas gdy ja, nawet w tej chwili, wciąż uparcie wierzę, że największe znaczenie mają te czarne znaczki na białym papierze, że jeśli nadal będę pisać, to może uda mi się uchwycić tęczę świadomości w słoiku. Jedyny fundusz powierniczy, jaki posiadam, to ta opowieść, i w przeciwieństwie

do roztropnej amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego, sięgam po kapitał główny, w całości go rozdysponowując…)

W siódmej klasie, przechodząc obok ich szafek, jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego wszystkiego. Patrzę wstecz (jak radził mi robić doktor Luce), aby dokładnie zobaczyć, co odczuwała dwunastoletnia Calliope, widząc Bransoletki rozbierające się w zaparowanym świetle. Czy czuła dreszcz pobudzenia? Czy pod ochraniaczami bramkarskimi reagowało jej ciało? Próbuję to sobie przypomnieć, ale jedyne, co do mnie powraca, to kłębowisko uczuć: z pewnością zawiść, ale również pogarda. Niższość i wyższość równocześnie. Ale przede wszystkim – panika.

Dziewczęta wchodziły pod prysznic i spod niego wychodziły. Błyski nagości na podobieństwo rozlegających się okrzyków. Mniej więcej rok temu te dziewczyny były jeszcze porcelanowymi figurkami, delikatnie zanurzającymi palce stóp w służącym do dezynfekcji brodziku na publicznym kąpielisku. Obecnie były wspaniałymi istotami. Przechodząc przez wilgotne powietrze, miałem wrażenie, jakbym pływał pod wodą w masce. Płynąłem, machając moimi ciężkimi nogami w ochraniaczach, patrząc przez maskę bramkarza na fantastyczny, podwodny świat wokół mnie. Spomiędzy nóg moich koleżanek wyrastały ukwiały. Miały różne barwy, czarne, brązowe, jaskrawożółte, żywą czerwień. Powyżej, ich piersi wybrzuszały się jak meduzy, miękko pulsując, zakończone jadowitą różowością. Wszystko falowało, unoszone prądem, odżywiając się mikroskopijnym planktonem i powiększając się z minuty na minutę. Nieśmiałe, tłuściutkie dziewczyny były jak lwy morskie czające się w głębinach.

Powierzchnia morza jest lustrem odzwierciedlającym rozbieżne ścieżki ewolucji. Tam na górze istoty skrzydlate żyjące w powietrzu, poniżej te żyjące w wodzie. Jedna planeta, a na niej dwa światy. Ekstrawaganckie cechy moich koleżanek z klasy były dla nich tak normalne jak kolce dla jeżozwierza. Zdawały się reprezentować inny gatunek. Jak gdyby miały gruczoły zapachowe albo torby niczym torbacze, jakby były przystosowane do płodności, do rozmnażania się w naturalnych warunkach, co nie miało nic wspólnego z moją chudą, łysą, oswojoną osobą. Przemknąłem, beznadziejnie samotny, a w uszach dźwięczał mi hałas tego miejsca.

Po minięciu Bransoletek wszedłem w obszar Szpilek do Spódniczek. Najliczniejszy typ w naszej szatni – Szpilki do Spódniczek – zajmowały trzy

rzędy szafek. Były tam, grube i chude, blade i piegowate, niezgrabnie zakładające skarpetki lub wciągające niedopasowaną bieliznę. Były jak urządzenia spinające razem nasze spódniczki w szkocką kratę, niezauważalne, tępe, ale na swój sposób niezbędne. Nie pamiętam żadnego z ich imion.

Mijając Bransoletki, obok Szpilek, idąc w głąb szatni, kuśtykała Calliope. Do tyłu, gdzie kafelki były popękane, a tynk pożółkły pod migającymi oprawami oświetleniowymi, obok fontanny do picia z prehistorycznym kawałkiem gumy w otworze spustowym. Spieszyłem tam, gdzie było moje miejsce, do niszy własnego siedliska.

Tego roku nie tylko ja zmieniłem środowisko. Widmo odwożenia autobusem spowodowało, że również inni rodzice zaczęli szukać szkół prywatnych. Szkoła Baker & Inglis, z imponującymi zabudowaniami i terenem, ale ze słabym dofinansowaniem, nie miała nic przeciwko zwiększeniu liczby przyjmowanych uczennic. I tak jesienią 1972 roku przybyłyśmy (rozwiewa się już para wodna spod pryszniców i wyraźnie mogę zobaczyć moje dawne koleżanki): Reetika Churaswami z jej ogromnymi, żółtymi oczami i talią wróbelka, Joanne Maria Barbara Peracchio ze skorygowaną deformacją stopy oraz (co warto podkreślić) przynależnością do ultrakonserwatywnego stowarzyszenia John Birch Society, Norma Abdow, której ojciec wyjechał na pielgrzymkę do Mekki i już nie powrócił, Tina Kubek – z pochodzenia Czeszka, oraz Linda Ramirez – pół-Hiszpanka, pół-Filipinka, stojąca nieruchomo, czekająca, aż odparują jej okulary, i ja. Nazywano nas „etnicznymi" dziewczynami, ale gdyby się tak naprawdę zastanowić, to które z nas nimi nie były? Czyż Bransoletki również nie były w pełni etniczne? Czy one także nie miały swoich dziwnych obrzędów i specyficznego jedzenia? Plemiennej mowy? Na rzeczy budzące odrazę mówiły „koszmarne", a na dziwaczne – „ekscentryczne". Jadły malutkie kanapki z białego chleba bez skórki – kanapki z ogórkiem, majonezem i czymś, co się nazywało „rzeżucha". Przed przybyciem do Baker & Inglis ja i moje koleżanki czułyśmy się w pełni Amerykankami. Ale zadarte nosy Bransoletek oznajmiały nam, że była jeszcze inna Ameryka, do której nigdy nie będziemy miały wstępu. Nagle okazało się, że Ameryka to nie hamburgery i podrasowane samochody. To był statek Mayflower i skała Plymouth Rock. To było coś, co

zdarzyło się i trwało przez dwie minuty czterysta lat temu, a nie to, co wydarzyło się od tego czasu. Nie to wszystko, co się działo obecnie!

Wystarczy powiedzieć, że w siódmej klasie Calliope znalazła się w grupie nowo przybyłych uczennic, które ją przygarnęły, wychowały i zaprzyjaźniły się z nią. Gdy otwierałem swoją szafkę, moje koleżanki nie komentowały dziurawej obrony bramki. Zamiast tego Reetika uprzejmie zmieniła temat na nadchodzący test z matematyki. Joanne Maria Barbara Peracchio zdejmowała ostrożnie kolanówkę. Po zabiegach chirurgii plastycznej jej prawa kostka była cienka jak kij od miotły. Widok Joanne zawsze poprawiał moją opinię o mnie samej. Norma Abdow otworzyła swoją szafkę, zajrzała do środka i krzyknęła:

– Ohyda!

Znieruchomiałem, rozwiązując ochraniacze. Po obu stronach moje koleżanki, dygocząc, szybkimi ruchami zrzucały z siebie ubrania. Zawijały się w ręczniki.

– Słuchajcie – spytała Linda Ramirez. – Czy któraś może mi pożyczyć szampon?

– Zgoda, ale jutro będziesz mi usługiwać przy obiedzie.

– Nie ma szans!

– To nie ma szamponu.

– No dobra, dobra.

– Co dobra?

– Dobra, Wasza Wysokość.

Czekałem, aż wyjdą i dopiero wtedy zacząłem się rozbierać. Najpierw zdjąłem podkolanówki. Sięgnąłem pod sportową tunikę i zdjąłem krótkie spodenki. Zawiązałem ręcznik w pasie, następnie odpiąłem guziki z szelek tuniki i przeciągnąłem ją przez głowę. W ten sposób zostałem w ręczniku i koszulce. Teraz zaczynał się trudny moment. Nosiłem stanik w rozmiarze 30 AA. Między miseczkami znajdowała się malutka rozetka oraz napis „Young Miss by Olga" (Tessie nakłaniała mnie do wybrania staromodnego stanika sportowego, ale ja chciałem mieć coś takiego jak moje koleżanki, a najlepiej usztywnionego gąbką). Założyłem tę część garderoby na pasie, zapięciem do przodu, a następnie obróciłem go do tyłu. Wyjąłem ręce z rękawów i włożyłem je pod koszulkę, która teraz leżała mi na ramionach jak poncho. Pod koszulką naciągnąłem stanik na piersi, aż przez szelki mogłem włożyć ramiona. Po dokonaniu tego włożyłem pod ręcznik

spódnicę, zdjąłem koszulkę, założyłem bluzkę i odrzuciłem ręcznik. Nawet przez chwilę nie byłem nago.

Jedynym świadkiem moich zręcznych poczynań była szkolna maskotka. Na ścianie za mną widniała wyblakła filcowa flaga z napisem „Mistrzynie Stanu w Hokeju na Trawie, 1955". Poniżej, w swojej nonszalanckiej pozie, znajdowała się Rosomaczka ze szkoły B&I. Z oczami z paciorków, ostrymi zębami i spiczastym ryjkiem, stała oparta o laskę hokejową, z prawą stopą skrzyżowaną nad lewą kostką. Miała na sobie niebieską tunikę z czerwoną szarfą. Między jej futrzanymi uszami widniała czerwona kokarda. Trudno było powiedzieć, czy się uśmiechała czy warczała. W naszej Rosomaczce było trochę z nieustępliwości buldoga uniwersytetu Yale, ale również nieco elegancji. Rosomaczka nie grała tylko po to, aby wygrać. Grała, aby zachować zgrabną figurę.

Poszedłem do pobliskiego wodotrysku z wodą do picia i przycisnąłem jeden palec do dziury, dzięki czemu woda zaczęła tryskać w powietrze. Wsadziłem głowę w ten strumień. Trenerka Stork zawsze dotykała naszych włosów przed wyjściem, sprawdzając, czy na pewno były mokre.

Tego roku, gdy wysłano mnie do szkoły prywatnej, Jonasz poszedł do college'u. Był już poza zasięgiem długich rąk sędziego Rotha, jednak sięgały po niego inne ręce. Pewnego gorącego dnia w lipcu, gdy przechodziłem korytarzem na piętrze, usłyszałem dziwny głos dochodzący z pokoju Jonasza. To był męski głos, odczytujący liczby i daty.

– Czwarty lutego – powiedział głos – trzydzieści dwa. Piąty lutego – trzysta dwadzieścia jeden. Szósty lutego…

Harmonijkowe drzwi nie były zamknięte, więc zajrzałem do środka.

Mój brat leżał na łóżku zawinięty w ogromny stary szal, który Tessie zrobiła mu kiedyś na szydełku. Z jednej strony wystawała mu głowa – i szkliste oczy – a z drugiej białe stopy. Po przeciwnej stronie pokoju stał włączony wzmacniacz stereofoniczny, widać też było drgającą wskazówkę w radiu.

Tej wiosny Jonasz otrzymał dwa listy, jeden z Uniwersytetu Michigan z informacją o przyjęciu go na studia, a drugi od amerykańskiego rządu z informacją o zdolności do pełnienia służby wojskowej. Od tego czasu mój brat zaczął wyjątkowo interesować się bieżącymi wydarzeniami. Co wieczór razem z Miltonem oglądał wiadomości, śledził rozwój sytuacji

wojskowej i zwracał szczególną uwagę na powściągliwe wypowiedzi Henry'ego Kissingera podczas rozmów pokojowych w Paryżu. „Władza to największy afrodyzjak" – to słynne powiedzenie Kissingera, które musiało być prawdą, ponieważ Jonasz co wieczór siedział przyklejony do telewizora, śledząc machinacje dyplomatyczne. Tymczasem Miltona dręczyło dziwne pragnienie rodziców, a zwłaszcza ojców, aby ich dzieci przeszły przez te same cierpienia co oni.

– Przydałaby ci się służba wojskowa – powiedział. Na co Jonasz odparł:

– Wyjadę do Kanady.

– Nie wyjedziesz. Jeśli cię powołają, będziesz służył swojemu krajowi jak twój ojciec.

I na to Tessie:

– Nie martw się. To wszystko się skończy, zanim cię powołają.

Jednak w lecie 1972 roku, gdy oglądałem mojego brata zasłuchanego w wyczytywane liczby, wojna oficjalnie nadal jeszcze trwała. Organizowane przez Nixona bożonarodzeniowe bombardowania wciąż czekały na swój dzień. Kissinger nadal kursował tam i z powrotem między Paryżem a Waszyngtonem, aby nie stracić swojego seksapilu. W rzeczywistości traktat pokojowy miał być podpisany w Paryżu w styczniu następnego roku, a ostatnie wojska amerykańskie miały opuścić Wietnam w marcu. Ale gdy spoglądałem na nieruchome ciało mojego brata, nikt o tym jeszcze nie wiedział. Uświadamiałem sobie tylko to, jak dziwnie jest być mężczyzną. Bez wątpienia w społeczeństwie istniała dyskryminacja kobiet. Ale co z dyskryminacją polegającą na wysyłaniu człowieka na wojnę? Która płeć była traktowana jako zbędna, jako ta, którą można spisać na straty? Jak nigdy dotąd, poczułem współczucie i instynkt opiekuńczy wobec mojego brata. Pomyślałem o Jonaszu, w mundurze wojskowym, kryjącym się w dżungli. Wyobraziłem sobie go rannego, leżącego na noszach i zacząłem płakać. Głos w radiu monotonnie ciągnął dalej:

– Dwudziesty pierwszy lutego – sto czterdzieści jeden. Dwudziesty drugi lutego – siedemdziesiąt cztery. Dwudziesty trzeci lutego – dwieście sześć.

Czekałem do 20 marca, dnia urodzin Jonasza. Gdy głos ogłosił jego numer poborowy – to był numer dwieście dziewiętnaście, miał nigdy nie pójść na wojnę – wpadłem do jego pokoju. Jonasz zeskoczył z łóżka.

Spojrzeliśmy po sobie i – to było między nami po prostu niesłychane – uścisnęliśmy się.

Jesienią mój brat wyjechał, ale nie do Kanady, tylko do Ann Arbor. Jeszcze raz, jak wtedy, gdy uwolnione zostało jajo Jonasza, zostałem sam. Sam w domu, obserwując narastającą złość mojego ojca podczas wieczornych wiadomości, jego zdenerwowanie na kretyński sposób prowadzenia wojny przez Amerykanów (mimo napalmu) i jego rosnące współczucie dla prezydenta Nixona. Ta samotność pozwoliła mi również zauważyć dręczące Tessie poczucie zbędności. Jonasz wyjechał z domu, ja już dorastałem i Tessie zaczęła mieć zbyt dużo wolnego czasu. Zaczęła wypełniać dni zajęciami w lokalnym ośrodku War Memorial Community. Uczyła się robienia wycinanek. Tkała wiszące koszyczki na doniczki na kwiaty. Nasz dom zaczynał się wypełniać jej pracami. Były malowane koszyki i zasłony zdobione koralikami, przyciski do papieru z umieszczonymi w nich różnymi przedmiotami, suszone kwiaty, malowane ziarna i fasolki. Zaczęła zbierać starocie i na ścianie powiesiła starą tarkę do prania. Zajęła się również jogą.

Niechęć Miltona do manifestacji antywojennych w połączeniu z poczuciem bezużyteczności Tessie spowodowały w końcu, że oboje zabrali się do czytania całej kolekcji stu piętnastu tomów serii *Great Books*. Wuj Pete od dłuższego czasu zachwalał te książki, nie wspominając już o tym, że bardzo chętnie je cytował, dodając sobie powagi podczas niedzielnych debat. I obecnie, gdy w powietrzu wytworzyła się atmosfera nauki – Jonasz specjalizował się w inżynierii, a ja rozpocząłem naukę łaciny u panny Silber, noszącej w klasie okulary słoneczne – Milton i Tessie postanowili, że przyszedł czas na uzupełnienie ich własnej edukacji. Seria *Great Books* przyjechała w dziesięciu pudłach z pieczątkami opisującymi ich zawartość. W jednej Arystoteles, Platon i Sokrates, w drugiej Cyceron, Marek Aureliusz i Wergiliusz. Ustawiając książki na wbudowanych w ścianę półkach w naszym domu na Middlesex, czytaliśmy nazwiska autorów, wiele znajomych (Szekspir), a niektóre nieznane (Boecjusz). Ostra krytyka kanonów nie była jeszcze popularna, a poza tym seria zaczynała się od nazwisk, które brzmiały dosyć podobnie do naszego (Tukidydes), więc czuliśmy, że to nas dotyczy.

– Ten jest dobry – powiedział Milton, trzymając dzieło Johna Miltona. Jedynym rozczarowaniem dla niego było to, że seria nie obejmowała

żadnej książki Ayn Rand. Mimo tego wieczorem po kolacji Milton zaczął czytać Tessie na głos.

Czytali chronologicznie, zaczynając od tomu pierwszego i przedzierając się przez kolejne. Odrabiając zadanie domowe w kuchni, słyszałem Miltona, jak swoim dźwięcznym, niczym na musztrze, głosem odczytywał: „Sokrates: – Zdaje się, że istnieją dwie przyczyny upadku sztuki. Adeimantus: – Jakież to? Sokrates: – Bogactwo, powiadam, i ubóstwo". Gdy Platon stawał się zbyt trudny, Milton zaproponował, aby przejść do Machiavellego. Po kilku kolejnych dniach Tessie poprosiła o Thomasa Hardy'ego, ale już po godzinie Milton zniechęcony odłożył książkę.

– Za dużo tych „wrzosowisk" – narzekał. -Wrzosowisko tu i wrzosowisko tam.

Następną pozycją, po którą sięgneli, był „Stary człowiek i morze" Ernesta Hemingwaya, i ta książka im się spodobała, a później dali sobie spokój z całym pomysłem.

Nieprzypadkowo przypominam tę nieudaną próbę moich rodziców zapoznania się z serią *Great Books*. Przez lata formowania się mojej osobowości nasze półki biblioteczne były zdominowane przez królewski wygląd tych opasłych tomów ze złoconymi grzbietami. Już wtedy ta seria oddziaływała na mnie, po cichu nakłaniając do podążania za najbardziej płonnym ludzkim marzeniem, marzeniem napisania książki wartej umieszczenia w tej serii, sto szesnastej wielkiej księgi z kolejnym długim greckim nazwiskiem na okładce: Stephanides. Tak było w latach młodości, gdy byłem pełen wspaniałych marzeń. Teraz straciłem już nadzieję wiecznej sławy czy literackiej doskonałości. Już mnie nie obchodzi, czy napiszę kiedyś wspaniałą książkę, natomiast chciałbym napisać przynajmniej jedną, która, niezależnie od jej wad, będzie zapisem mojego niewiarygodnego życia.

A to moje życie zaczęło się w końcu objawiać, gdy ustawiałem książki na półkach. Bo oto Calliope otwiera kolejny karton. Wyjmuje numer czterdziesty piąty (Locke, Rousseau). Sięga do góry, nawet nie wspinając się na palce, i stawia ją na najwyższej półce. I oto Tessie, spoglądająca i mówiąca:

– Chyba rośniesz, Cal.

Jak się okazało, było to dosyć oględnie powiedziane. Od stycznia w siódmej klasie począwszy, aż do sierpnia, moje uprzednio zamarznięte

ciało przeszło okres dynamicznego wzrostu o niespotykanej skali i nieprzewidywalnych konsekwencjach. Chociaż w domu nadal obowiązywała dieta śródziemnomorska, jedzenie w mojej nowej szkole – kurczaki z jarzynami w cieście, chrupki, żelki – zniwelowało efekt fontanny młodości i zacząłem rosnąć, pod każdym względem, oprócz jednego. Rosłem z szybkością fasoli mung, o której uczyliśmy się na lekcjach przyrody. Gdy uczyliśmy się o fotosyntezie, jedną fasolę hodowaliśmy w ciemnościach, a drugą w świetle, i mierzyliśmy je codziennie za pomocą linijki. Podobnie jak fasola mung, moje ciało wyciągało się w kierunku wielkiej lampy wzrostu na niebie, a mój przypadek był jeszcze bardziej znamienny, ponieważ ja rosłem również w ciemnościach. W nocy bolały mnie stawy. Nie mogłem spać. Owijałem nogi w poduszkę elektryczną i uśmiechałem się mimo bólu. Ponieważ równocześnie z moim nowym wzrostem pojawiło się wreszcie coś innego. W odpowiednich miejscach zaczęły wyrastać włosy. Co wieczór, po dokładnym zamknięciu drzwi do pokoju, nachylałem lampkę na biurku pod odpowiednim kątem i zaczynałem liczyć włosy. W pierwszym tygodniu były trzy; w następnym, sześć, dwa tygodnie później, siedemnaście. Pewnego dnia, we wspaniałym nastroju, przejechałem po nich grzebieniem.

– Nareszcie – powiedziałem i zauważyłem, że tu również była różnica: mój głos zaczynał się zmieniać.

Nie stało się to w ciągu jednej nocy. Nie przypominam sobie żadnego pękania. Ale mój głos zaczął powoli stawać się coraz niższy, a proces ten miał trwać przez kilka następnych lat. Ogłuszający dźwięk – którego używałem jako broni przeciw mojemu bratu – zniknął. W zapomnienie odeszło już ostre brzmienie słowa „free” w tekście hymnu narodowego. Moja matka sądziła, że ciągle jestem przeziębiony. Ekspedientki szukały za mną kobiety proszącej o pomoc. To nie był dźwięk, jaki mógłby zdjąć urok, jakby połączenie fletu i fagotu; wymawiane przeze mnie spółgłoski zlewały się, większość moich wypowiedzi charakteryzowało pospieszne i głośne oddychanie. Były też znaki, które mógłby zauważyć tylko lingwista, jak elizja typowa dla klasy średniej, ozdobniki przekazane z greki nosowemu brzmieniu Środkowego Zachodu, dziedzictwo moich dziadków i rodziców, które żyło we mnie, tak jak i wszystko inne.

Wyrosłem. Głos mi dojrzał. Ale nic nie świadczyło o jakichś odstępstwach od normy. Moja delikatna budowa, wąska talia, drobna głowa, ręce i stopy w nikim nie wzbudzały żadnych wątpliwości. Wiele osób o męskim genotypie, które są wychowywane jako dziewczynki, ma trudności z integracją w środowisku. Od najwcześniejszych lat wyglądają odmiennie, poruszają się odmiennie, nie mogą znaleźć odpowiednich dla siebie butów czy rękawiczek. Inne dzieci wołają na nie chłopczyce albo gorzej – małpy czy goryle. Mnie maskowała moja chudość. Wczesne lata siedemdziesiąte to był dobry czas dla płaskich piersi. W modzie rządził uniseks. Mój tyczkowaty wzrost i nogi źrebaka nadawały mi wygląd modelki. Moje ubrania nie były odpowiednie, moja twarz nie była odpowiednia, ale moja kanciastość tak. Wyglądałem jak chart perski. Ponadto, niezależnie od przyczyn, mój rozmarzony temperament i moja miłość do książek – pasowałem w sam raz.

Jednak zdarzało się, że pewne niewinne, pobudliwe dziewczyny reagowały na moją obecność w sposób, z jakiego same nie zdawały sobie sprawy. Myślę tu o Lily Parker, która lubiła kłaść się na kanapie w holu i układać głowę na moich kolanach, mówiąc: „Masz idealny podbródek". Albo o June James, która zakrywała swoją głowę moimi włosami i wraz ze mną siedziała pod jednym namiotem. Moje ciało mogło wydzielać feromony, na które reagowały moje koleżanki z klasy. Jak inaczej wytłumaczyć sposób, w jaki moje koleżanki szarpały mnie czy opierały się o mnie? Na tym wczesnym etapie, zanim jeszcze ujawniły się moje drugorzędowe cechy płciowe, zanim w korytarzach zaczęto szeptać na mój temat, a dziewczęta dwa razy się zastanowiły przed złożeniem głowy na moich kolanach – w siódmej klasie, gdy moje włosy były proste, a nie kędzierzawe, moje policzki nadal gładkie, a moje mięśnie nierozwinięte, już wtedy, niewidzialnie choć wyraźnie, zaczynałem wydzielać jakąś męską aurę, co przejawiało się na przykład w sposobie, w jaki podrzucałem gumkę, albo w jaki atakowałem moją łyżeczką cudze desery, w napięciu moich ściągniętych brwi lub mojej zagorzałości w dyskutowaniu ze wszystkimi i o wszystkim w klasie. Będąc odmieńcem, przed moją odmianą, cieszyłem się sporą popularnością w mojej nowej szkole.

Ale ten etap nie trwał długo. Wkrótce moje nakrycie głowy zaczęło przegrywać nocną batalię z siłami wykrzywiania. Apollo ustąpił miejsca Dionizosowi. Być może piękno zawsze jest nieco wynaturzone, ale w roku,

w którym skończyłem trzynaście lat, stałem się bardziej wynaturzony niż kiedykolwiek.

Weźmy taką księgę pamiątkową szkoły. Na zdjęciu drużyny hokejowej wykonanym jesienią widać mnie w pierwszym rzędzie, jak klęczę na jednym kolanie. Na zdjęciu zrobionym w naszej klasie wiosną stoję zgarbiony z tyłu. Na mojej twarzy widać lekkie zażenowanie. (Przez lata mój stale zakłopotany wyraz twarzy doprowadzał fotografów do szewskiej pasji. Psuł zdjęcia klasowe i kartki bożonarodzeniowe, i dopiero na moim najszerzej publikowanym zdjęciu ten problem został ostatecznie rozwiązany przez całkowite zakrycie mojej twarzy).

Jeśli Milton ubolewał nad tym, że jego córeczka nie była piękna, nigdy nie dał mi tego odczuć. Wciąż prosił mnie do tańca na weselach, nie zważając na to, jak śmiesznie wyglądaliśmy, tańcząc razem.

– Chodź, *kukla* – mówił. – Idziemy w tany.

I ruszaliśmy: krępy, gruby ojciec, prowadzący pewnym, staromodnym krokiem fokstrota, i starająca się nadążyć za nim córka o kształtach niezgrabnej modliszki. Chociaż zmieniał się mój wygląd, miłość moich rodziców do mnie nie malała. Aby jednak oddać prawdę, muszę przyznać, że przez te lata, wraz ze zmianą mojego wyglądu, w tej miłości moich rodziców zaczęła się pojawiać pewna nutka smutku. Martwili się, że chłopcy nie będą chcieli się ze mną umawiać, że będę podpierała ściany jak ciotka Zo. Czasami podczas naszego tańca Milton prostował ramiona i patrzył po parkiecie, jakby tylko czekał, aż ktoś spróbuje zakpić na nasz temat.

W reakcji na to całe wzrastanie zacząłem zapuszczać włosy. W przeciwieństwie do całej reszty mojej osoby, która najwyraźniej była zdecydowana robić, co sama chciała, nadal panowałem nad moimi włosami. I tak jak Desdemona po katastrofalnej przemianie, jaką przeszła dzięki YWCA, nikomu nie pozwalałem ich ścinać. Przez całą siódmą klasę, a także w ósmej, konsekwentnie zmierzałem do swojego celu. Gdy studenci uczestniczyli w marszach antywojennych, Calliope protestowała przeciw nożyczkom. Gdy na Kambodżę potajemnie zrzucano bomby, Callie robiła, co mogła, aby jej tajemnice nie wyszły na jaw. Wiosną 1973 roku oficjalnie skończyła się wojna. W sierpniu następnego roku prezydent Nixon miał już nie piastować swojego urzędu. Muzyka rockowa ustępowała miejsca muzyce disco. W całym kraju zmieniały się fryzury. Ale

głowa Calliope, podobnie jak mieszkańcy Środkowego Zachodu, którzy zawsze byli spóźnieni z modą, nadal tkwiła jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Moje włosy! Moje niewiarygodnie bujne, trzynastoletnie włosy! Czy istniała kiedykolwiek głowa tak owłosiona w wieku trzynastu lat jak moja? Czy kiedykolwiek jakaś inna dziewczynka była przyczyną tak wielu interwencji hydraulików? Co miesiąc, co tydzień, co pół tygodnia zatykały się rury w naszym domu.

– Jezu Chryste – skarżył się Milton, wypisując kolejny czek. – Jesteś gorsza niż te cholerne korzenie drzew.

Włosy jak kule szarłatu niesione wiatrem przez pokoje Middlesex. Włosy jak czarne tornado przetaczające się na filmie amatorskim. Włosy tak bezkresne, że zdawały się mieć własny mikroklimat, ponieważ ich suche, rozdzielone końcówki trzaskały od naelektryzowania, podczas gdy głębiej, w pobliżu mojej skóry na głowie, klimat był cieplejszy i bardziej wilgotny, jak w lesie tropikalnym. Włosy Desdemony były długie i jedwabiste, ale ja odziedziczyłem nastroszone włosy Jimmy'ego Zizmo. Nie chciały się poddawać pomadzie. Nigdy nie kupiłaby ich żadna pierwsza dama. To były włosy, jakie zamieniłyby meduzę w kamień, włosy bardziej wężowe niż wszystkie wężowe studnie w filmie o Minotaurze.

Moja rodzina cierpiała. Wszędzie znajdowano moje włosy, w każdym kącie, w każdej szufladzie, w każdym posiłku. Nawet w puddingu ryżowym, który robiła Tessie, zapobiegliwie przykrywając woskowanym papierem każdą miseczkę przed włożeniem do lodówki – nawet do tych profilaktycznie zabezpieczonych deserów potrafiły się przedostać moje włosy! Czarne jak węgiel, zawijały się wokół kostek mydła. Leżały ściśnięte jak łodygi kwiatów między kartkami książek. Znajdowano je w pokrowcach na okulary, w kartkach z życzeniami, a raz – przysięgam – znaleziono je w rozbitym przez Tessie jajku. Kot sąsiadów zakrztusił się kiedyś kłębkiem włosów i okazało się, że nie była to jego sierść.

– To okropne! – krzyczała Becky Turnbull. – Dzwonię do Ligi Ochrony Zwierząt!

Na próżno Milton starał się przekonać mnie do noszenia papierowej czapki, jaką zgodnie z przepisami BHP musieli zakładać jego pracownicy. Tessie podchodziła do mnie z grzebieniem w ręku, jakbym nadal miał sześć lat.

– Nie-rozumiem-dlaczego-nie-pozwolisz-aby-Sophie-zrobiła-coś-z-twoimi-włosami.

– Wystarczy, że widzę, co robi ze swoimi.

– Sophie ma doskonałą fryzurę.

– Au!

– A czego ty się spodziewasz? To same kołtuny.

– Zostaw to.

– Nie ruszaj się – dalsze czesanie, ciągnięcie za włosy. Moja głowa odskakuje po każdym kolejnym szarpnięciu. – Callie, przecież teraz modne są krótkie fryzury.

– Skończyłaś?

Kilka ostatnich, nerwowych machnięć. Później płaczliwie:

– Przynajmniej zwiąż je z tyłu. Niech ci nie spadają na twarz.

Co miałem jej powiedzieć? Że w tym właśnie tkwiła istota posiadania długich włosów? Aby były na mojej twarzy? Może nie wyglądałem jak Dorothy Hamill. Być może nawet zaczynałem przypominać nasze wierzby płaczące. Ale moje włosy miały swoje zalety. Zakrywały pobłyskujące zęby. Zakrywały nos satyra. Ukrywały wady, a co najważniejsze – ukrywały mnie. Ściąć moje włosy? Nigdy! Nadal je zapuszczałem. Marzyłem, że któregoś dnia w nich zamieszkam.

Wyobraźcie sobie mnie wtedy, w nieszczęśliwym wieku trzynastu lat, wkraczającego do ósmej klasy. Metr siedemdziesiąt siedem wzrostu, waga pięćdziesiąt dziewięć kilogramów. Czarne włosy, jak zasłony, zwisające po obu stronach mojego nosa. Ludzie pukali przede mną w powietrzu i pytali:

– Jest tam ktoś?

Oczywiście, że tam byłem. A dokąd mogłem pójść?

Depilacja w tonie lirycznym

Powróciłem do moich starych przyzwyczajeń. Do moich samotnych spacerów przez Victoriapark. Do moich cygar Romeo y Julietas, do moich Davidoff Grand Crus. Do przyjęć w ambasadzie, koncertów w filharmonii, nocnych kolejek w barze Felsenkeller. Jesień to moja ulubiona pora roku. W powietrzu lekki chłód stymulujący funkcjonowanie mózgu. I wszystkie uczniowskie wspomnienia z lat szkolnych wiążą się z jesienią. Tu, w Europie, liście nie mają tak jasnych kolorów jak w Nowej Anglii – tlą się, ale nigdy nie płoną. Wciąż jest jeszcze na tyle ciepło, żebym mógł urządzać sobie przejażdżki rowerowe. Zeszłego wieczoru przejechałem od Schönebergu do Orianenburgstrasse w Mitte. Spotkałem kolegę i poszliśmy na drinka. W drodze powrotnej pozdrawiały mnie stojące przy ulicy międzygalaktyczne prostytutki. Ubrane w stroje jak z japońskiej Mangi, w wysokie buty, wsuwały zalotnie dłonie we włosy jak u lalek i wołały do mnie: „Halo, halo". Może to do nich najbardziej pasowałem? Wynagradzanych za znoszenie najdziwniejszych ekstrawagancji. Niczemu się nie dziwiących. Ale uczucia, jakie we mnie budziły, gdy mijałem ich szereg, ich *Strich*, niezbyt przypominały typowo męskie reakcje. To było raczej coś na kształt uczuć pełnych wyrzutu i pogardy, typowych dla porządnych dziewczyn, oraz zauważalnej fizycznej empatii. Gdy tak poruszały biodrami, starając się przyciągnąć mnie swoimi ciemno umalowanymi oczami, nie wyobrażałem sobie tego, co mógłbym z nimi robić, ale raczej myślałem o tym, jak one się czują, jak to odbierają, będąc zmuszone robić to co noc, co godzinę. Te *Huren* nie przyglądały mi się zbyt dokładnie. Widziały mój jedwabny szal, moje spodnie z kolekcji Zegna, moje błyszczące buty. Widziały pieniądze w moim portfelu. „Halo" – wołały. – „Halo, halo".

Wtedy też była jesień, jesień 1973 roku. Już za kilka miesięcy miałem skończyć czternaście lat. Pewnej niedzieli, po mszy, Sophie Sassoon szepnęła mi do ucha:

– Moja droga, zaczyna ci się sypać drobniuteńki wąsik. Niech mama przyprowadzi cię do zakładu, to ja się tym zajmę.

Wąsy? Czy to prawda? Jak u pani Drexel? Pognałem do łazienki, aby to sprawdzić. Pani Tsilouras poprawiała szminkę, ale gdy tylko wyszła, stanąłem przed lustrem. Trudno to było nazwać wąsami, zaledwie kilka ciemniejszych włosków nad górną wargą. Nie byłem tym jednak aż tak bardzo zaskoczony. W zasadzie się tego spodziewałem.

Podobnie jak w Stanach Zjednoczonych istnieje Pas Słoneczny, obejmujący południowe i południowo-zachodnie stany, czy Pas Biblijny, który rozciąga się na stany wyraźnie protestanckie, tak na tym naszym bardzo zróżnicowanym świecie istnieje również Pas Włosów. Zaczyna się w południowej Hiszpanii, na obszarze wpływów mauretańskich, i rozciąga się nad ciemnookie rejony Włoch, prawie całą Grecję i cały teren Turcji, a następnie obniża na południe, obejmując Maroko, Tunezję, Algierię i Egipt. Podążając dalej (i ciemniejąc, jak na mapach wskazujących głębokość oceanów), pokrywa Syrię, Iran i Afganistan, zanim lekko pojaśnieje w Indiach. Tam kończy się Pas Włosów, poza pojedynczą kropką reprezentującą Ajnów w Japonii.

Muzo! Greckie kobiety wyśpiewaj i ich walkę ze szpetnymi włosami! Wyśpiewaj kremy do depilacji i pincety! Rozjaśniacz do włosów i wosk pszczeli! Wyśpiewaj, jak szpetny czarny puszek, podobny perskim legionom Dariusza, przetacza się przez nastoletnie dziewczęta z ziemi Achajów! Nie, Calliope nie była zaskoczona pojawieniem się cienia nad jej górną wargą. Moja ciotka Zo, moja matka, Sourmelina i nawet moja kuzynka Cleo, wszystkie cierpiały z powodu włosów rosnących w niepożądanych miejscach. Gdy zamykam oczy i staram się przywołać zapachy z dzieciństwa, czy czuję zapach pieczonego piernika albo świeży, sosnowy aromat choinki? Bynajmniej. Woń, jaka przenika nozdrza mojej pamięci, to siarkowy, rozpuszczający proteiny fetor środka do usuwania włosów firmy Nair.

Widzę moją matkę, jak ze stopami zanurzonymi w wannie czeka, aż zaczną działać bąbelki piekącej pianki. Widzę Sourmelinę podgrzewającą na piecyku puszkę z woskiem. Bóle, jakie same sobie sprawiały, aby być

gładkie! Wysypki wywoływane przez te kremy! Bezskuteczność tego wszystkiego! Wróg – włosy – był niezwyciężony. To było samo życie.

Powiedziałem matce, aby umówiła mnie na wizytę w salonie piękności Sophie Sassoon w centrum handlowym Eastland Mall.

Salon „Złote Runo" znajdował się między kinem a barem z kanapkami, a wyglądał tak, jakby za wszelką cenę starano się, aby odróżniał się od swoich sąsiadów. Nad wejściem wisiała gustowna markiza z sylwetką paryskiej *grande dame*. W środku na ladzie stały bukiety kwiatów. Równie barwna jak kwiaty była sama Sophie Sassoon. W fioletowej luźnej sukni, obwieszona bransoletami i klejnotami, szybowała od fotela do fotela.

– Jak się mamy? Och, wspaniale pani wygląda. Ten kolor ujął pani z dziesięć lat!

I do następnej klientki:

– Proszę się nie martwić. Proszę mi uwierzyć. Teraz się nosi takie fryzury. Reinaldo, powiedz sam.

I Reinaldo, w biodrówkach:

– Jak Mia Farrow w „Dziecku Rosemary". Powalony film, ale ona wyglądała wspaniale.

Ale Sophie już przenosiła się do następnej osoby.

– Kochanie, pozwól, że coś ci doradzę. Nie susz włosów suszarką. Niech same wyschną. Mam też dla ciebie niesamowitą odżywkę. Jesteśmy autoryzowanymi przedstawicielami producenta.

Kobiety przychodziły tu właśnie ze względu na osobistą troskę, jaką Sophie darzyła swoje klientki, na poczucie bezpieczeństwa, jakie zapewniał im ten salon, pewność, że w tym miejscu bez skrępowania mogą ujawnić swoje wady, a Sophie się nimi zajmie. Musiały tu przychodzić z miłości. W przeciwnym wypadku klientki zauważyłyby, że samej Sophie Sassoon przydałyby się porady kosmetyczne. Zobaczyłyby, że jej brwi wyglądały, jakby były narysowane mazakiem i że jej twarz miała ceglany kolor od używania kosmetyków upiększających Princess Borghese, ze sprzedaży których otrzymywała prowizję. Ale czy ja zauważyłem to tego pierwszego dnia, czy dopiero w następnych tygodniach? Podobnie jak inne klientki, zamiast oceniać końcowy efekt makijażu wykonywanego przez Sophie Sassoon, byłem pod wrażeniem jego złożoności. Wiedziałem, tak jak moja matka i inne kobiety, że „zrobienie twarzy" zajmowało Sophie Sassoon codziennie rano przynajmniej godzinę i czterdzieści pięć minut.

Musiała nakładać kremy przeciwzmarszczkowe i kremy pod oczy. Musiała nakładać różne warstwy, jakby lakierowała stradivariusa. Oprócz wierzchniej powłoki w kolorze ceglanym były również inne: odrobina zieleni, aby ukryć zaczerwienienia, róże, aby dodać rumieńców, niebieskie cienie nad oczami. Używała kredki do oczu i konturówki w płynie, konturówki do ust i balsamu do ust, rozświetlacza i maseczki ściągającej do twarzy. Twarz Sophie Sassoon – tworzona z dokładnością mandali z piasku, którą tybetańscy mnisi układali, dmuchając w kolejne ziarenka – istniała tylko dzień, a potem znikała.

Ta twarz odezwała się do nas:

– Drogie panie, proszę tędy.

Sophie była ciepła, jak zawsze, i jak zawsze pełna miłości. Jej dłonie, co wieczór smarowane odżywczym kremem, poruszały się nerwowo wokół nas, głaszcząc nas i pocierając. Jej kolczyki wyglądały jak wykopane przez Schliemanna pod Troją. Poprowadziła nas obok rzędu kobiet, którym układano fryzury, i wzdłuż dusznego getta suszarek, za niebieską zasłonę. W przedniej części „Złotego Runa" Sophie pielęgnowała włosy ludzi, w tylnej je usuwała. Za niebieską zasłoną na wpół obnażone klientki wystawiały różne części ciała na działanie wosku. Była tam pewna wielka kobieta, która leżała na wznak, a spod podciągniętej bluzki wyzierał jej pępek. Inna leżała na brzuchu i czytała gazetę, podczas gdy wosk zastygał na jej udach. Kolejna kobieta siedziała na krześle, a jej baczki i podbródek wysmarowane były ciemnozłotym woskiem. Obok leżały dwie piękne młode kobiety rozebrane od pasa w dół, depilujące sobie bikini. Wosk pszczeli wydzielał silny i przyjemny zapach. Panował tu klimat jak w łaźni tureckiej, brakowało jedynie ogrzewania, wszystko spowijała atmosfera lenistwa i para unosząca się z garnków z woskiem.

– Mnie chodzi tylko o twarz – powiedziałem do Sophie.

– Mówi, jakby miała płacić – zażartowała Sophie do mojej matki.

Moja matka zaśmiała się, przyłączyły się również inne kobiety. Wszystkie patrzyły w naszą stronę, uśmiechając się. Przyszedłem prosto ze szkoły i jeszcze miałem na sobie szkolny mundurek.

– Ciesz się, że to tylko twarz – powiedziała jedna z kobiet depilujących sobie bikini.

– Za kilka lat – powiedziała druga – być może podążysz również w stronę południa.

Śmiech. Mrugnięcia. Nawet, ku memu zdumieniu, szelmowski uśmiech na twarzy mojej matki. Jak gdyby za tą niebieską zasłoną Tessie stała się inną osobą. Jakby teraz, gdy byłyśmy wspólnie depilowane, mogła traktować mnie jak dorosłą.

– Sophie, może ty przekonasz Callie, żeby ścięła włosy – poprosiła Tessie.

– Są trochę zbyt bujne, kochanie – szczerze przyznała Sophie. – Nie pasują do kształtu twojej twarzy.

– Proszę tylko o wosk – odpowiedziałem.

– I tak cię nie posłucha – stwierdziła Tessie.

Honory domu pełniła Węgierka (z pogranicza Pasa Włosów). Równie sprawnie, jak przygotowujący szybkie danie Jimmy Papanikolas, porozmieszczała nas w odpowiednich miejscach, jakby rozkładała jedzenie na ruszcie: w jednym kącie wielka kobieta, różowa jak plaster wędzonego bekonu, na dole Tessie i ja, obok siebie jak plasterki ziemniaków, po lewej zaś kobiety depilujące bikini, leżące opaloną stroną do góry. Helga pilnowała, aby wszystkie klientki równo skwierczały. Chodziła od ciała do ciała ze swoją aluminiową tacą i za pomocą płaskiej drewnianej łyżki polewała woskiem w kolorze syropu klonowego te wszystkie miejsca, w których było to potrzebne, a następnie przyciskała kawałki gazy, zanim wosk zdążył zastygnąć. Kiedy wielka kobieta była gotowa z jednej strony, Helga odwróciła ją na drugą stronę. Leżałem na krześle obok Tessie, słuchając dźwięków towarzyszących gwałtownemu zrywaniu wosku.

– Ojej! – krzyknęła wielka kobieta.

– To nic – bagatelizowała Helga. – Robię to idealnie.

– Au! – zaskowyczała dziewczyna w bikini. Na co Helga, przyjmując osobliwie feministyczną postawę:

– Widzisz, co robisz dla mężczyzn? Cierpisz. Oni nie są tego warci.

Helga podeszła w końcu do mnie. Chwyciła mnie za podbródek i pokręciła moją głową w lewo i w prawo. Nałożyła wosk nad górną wargą. Przeszła do mojej matki i zrobiła to samo. Trzydzieści sekund później wosk stężał.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała Tessie.

– Co? – zapytałem, a w tym momencie Helga zerwała wosk. Nie miałem wątpliwości, że cały mój świeży wąsik zniknął. A także moja górna warga.

– Twój brat przyjeżdża do domu na święta Bożego Narodzenia.

Oczy zaszły mi łzami. Zamrugałem i nic nie powiedziałem, chwilowo oniemiały. Helga odwróciła się do mojej matki.

– Też mi niespodzianka – stwierdziłem.

– Przyjeżdża ze swoją dziewczyną.

– Ma dziewczynę? Jaka by z nim chciała chodzić?

– Ma na imię… – Helga szarpnęła. Po chwili moja matka dokończyła:

– Meg.

Od tego czasu Sophie Sassoon zajmowała się włosami na mojej twarzy. Chodziłem do niej mniej więcej dwa razy w miesiącu, dodając depilację do stale rosnącej listy niezbędnych zabiegów pielęgnacyjnych. Zacząłem golić nogi i miejsca pod pachami. Wyrywałem sobie brwi. Szkolny regulamin zabraniał używania kosmetyków. Ale w weekendy próbowałem trochę eksperymentować. Spotykałem się z Reetiką i tak jak ona próbowałem malować sobie twarz. Szczególnie podobała mi się kredka do oczu, która dawała bardzo dramatyczny efekt. Wzorowałem się na Marii Callas albo na Barbrze Streisand z „Zabawnej dziewczyny". Triumfujące wielkonose diwy. W domu szperałem w łazience Tessie. Uwielbiałem buteleczki wyglądające jak amulety, słodko pachnące kremy, które wyglądały na jadalne. Próbowałem również korzystać z jej urządzenia do parówki twarzy. Wkładało się twarz do plastikowego lejka i uderzał strumień gorąca. Nie dotykałem tłustych kremów nawilżających, obawiając się, że mogą mi zaszkodzić.

Po wyjeździe Jonasza do college'u – był już na drugim roku – miałem całą łazienkę dla siebie. Widać to było po apteczce. W małym kubku stały dwie damskie, różowe maszynki do golenia „Daisy", a obok szampon „Psssssst" w sprayu. Tubka błyszczyku „Dr Pepper Lip Smacker" o owocowym smaku stykała się z buteleczką płynu do włosów „Gee, Your Hair Smells Terrific". Mój krem „Breck Creme Rinse with Body" obiecywał, że dzięki niemu będę „dziewczyną o włosach jak marzenie" (ale czyż już nią nie byłem?). Dalej produkty przeznaczone do pielęgnacji twarzy i okolic: mój zestaw depilacyjny „Epi*Clear Acne Kit", następnie żelazko do karbowania włosów „Crazy Curl", buteleczka pigułek „FemIron", których miałem nadzieję kiedyś użyć, oraz puder „Love's Baby Soft". Następnie puszka łagodnego dezodorantu przeciwpotnego „Soft&Dri" i dwie buteleczki perfum: „Woodhue" – nieco krępujący prezent bożonarodzeniowy od brata, tych perfum konsekwentnie nigdy nie

używałem, i „L'Air du Temps" Niny Ricci („Tylko dla romantycznych"). Miałem jeszcze tubkę rozjaśniacza do włosów „Jolén Creme Bleach", do stosowania między wizytami w „Złotym Runie". Między tymi totemicznymi przedmiotami walały się waciki i bawełniane kuleczki, kredki do ust, kosmetyki do makijażu oczu Max Factor, tusz do rzęs, róż i wszystko inne, z czego korzystałem, prowadząc z góry przegraną batalię o uczynienie się piękną dziewczyną. Z tyłu szafki leżało ukryte coś jeszcze, pudełko wkładek higienicznych „Kotex", które dała mi kiedyś moja matka.

– Lepiej mieć to pod ręką – powiedziała, wprowadzając mnie w całkowite zdumienie. Ani jednego słowa wyjaśnienia więcej.

Uścisk, który wymieniłem z Jonaszem latem 1972 roku, okazał się później swego rodzaju pożegnaniem, ponieważ gdy powrócił do domu po pierwszym roku studiów, był już innym człowiekiem. Zapuścił włosy (nie tak długie jak ja, ale jednak). Zaczął się uczyć grać na gitarze. Na czubku nosa sterczały mu okrągłe okulary w drucianej oprawie, takie, jakie nosił Lennon, a zamiast dżinsów z prostymi nogawkami zaczął nosić wytarte dzwony. Członkowie mojej rodziny zawsze mieli dryg do transformacji własnej osobowości. Gdy ja kończyłem pierwszy rok nauki w szkole Baker & Inglis i zaczynałem drugi, gdy przemieniałem się z niskiej siódmoklasistki w niebezpiecznie wysoką ósmoklasistkę, Jonasz w college'u przemienił się z entuzjasty nauki w kogoś przypominającego Johna Lennona.

Kupił sobie motocykl. Zaczął medytować. Utrzymywał, że wie, o co chodzi w „Odysei kosmicznej 2001", nawet w jej zakończeniu. Ale dopiero gdy Jonasz zszedł do piwnicy pograć z Miltonem w ping-ponga, zrozumiałem, co się za tym kryje. Od lat mieliśmy stół ping-pongowy, ale dotychczas – niezależnie od tego, jak bardzo byśmy z bratem ćwiczyli – nigdy nawet nie zbliżyliśmy się do poziomu umożliwiającego nam wygranie z Miltonem. Ani mój nowy, duży zasięg ramion, ani marsowa koncentracja Jonasza nie wystarczały, aby skutecznie przeciwstawić się złośliwemu podkręcaniu piłeczki przez Miltona czy też jego „zabójczym uderzeniom", które pozostawiały czerwone plamy na naszych piersiach, nawet przez nasze ubrania. Ale tego lata było inaczej. Kiedy Milton zagrywał z niewiarygodną szybkością, Jonasz odbijał piłeczki zupełnie bez wysiłku. Kiedy Milton zastosował angielskie uderzenie, którego nauczył się

jeszcze w marynarce, Jonasz podkręcił piłeczkę w drugą stronę. Nawet gdy Milton ściął na koniec stołu, Jonasz, ze zdumiewającym refleksem, odbił piłeczkę z powrotem. Milton zaczął się pocić. Twarz mu poczerwieniała. Jonasz pozostawał spokojny. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby był nieobecny. Jego źrenice były rozszerzone.

– Dawaj! – zagrzewałem go. – Wlej tacie!

12:12. 12:14. 14:15. 17:18. 18:21! Jonasz dokonał tego! Wygrał z Miltonem!

– Jestem na kwasie – wyjaśnił mi później.

– Co?

– LSD. Trzy działki.

Narkotyk powodował, że wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Najszybsze serwisy Miltona, jego najbardziej podkręcone piłeczki i smecze, zdawały się płynąć w powietrzu.

LSD? Trzy działki? Jonasz przez cały czas był na haju. Był na haju podczas obiadu!

– To było najtrudniejsze – stwierdził. – Patrzyłem, jak tatko kroi kurczaka, który nagle zatrzepotał skrzydłami i odleciał!

– Co się dzieje z tym dzieciakiem? – przez ścianę oddzielającą nasze pokoje, słyszałem, jak ojciec pytał matkę. – Mówi, że chce zrezygnować z inżynierii. Za nudne dla niego.

– To tylko przejściowe, to minie.

– Mam nadzieję.

Wkrótce potem Jonasz wrócił do college'u. Nie przyjechał na Święto Dziękczynienia. Nic też dziwnego, że wraz ze zbliżaniem się Bożego Narodzenia 1973 roku wszyscy zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądał, gdy znowu go zobaczymy.

Wkrótce mieliśmy się przekonać. Tak jak obawiał się mój ojciec, Jonasz zrezygnował ze swoich planów zostania inżynierem. Obecnie, jak nas poinformował, studiował antropologię.

Jako część zadania realizowanego w ramach jednego z przedmiotów Jonasz przez większą część wakacji przeprowadzał, jak to określił, „badania w terenie". Nosił z sobą magnetofon, rejestrując wszystko, co mówiliśmy. Robił notatki na temat naszego „systemu ideacji" oraz „rytuałów rodzinnych". Sam prawie nic nie mówił, aby, jak twierdził, nie wpływać na wyniki badań. Jednak od czasu do czasu, obserwując naszą wielopokoleniową rodzinę przy jedzeniu, żartowaniu i dyskusjach, Jonasz

wybuchał śmiechem, przechylał się na krześle do tyłu i podnosił swoje ulubione buty Earth z podłogi, uradowany z dokonania własnego, niespodziewanego odkrycia. Później pochylał się do przodu i jak oszalały pisał coś w swoim notatniku.

Gdy dorastaliśmy, mój brat nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Jednak w ten weekend, pod wpływem swojej nowej manii obserwacji, Jonasz na nowo zainteresował się moją osobą. W piątkowe popołudnie, gdy pilnie odrabiałem zadanie przy stole kuchennym, przyszedł do mnie i usiadł obok. Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie w zamyśleniu.

– Łacina, tak? To tego was uczą w tej szkole?

– Mnie się podoba.

– Jesteś nekrofilką?

– Kim?

– To osoba, którą pociągają martwi. Łacina jest martwa, prawda?

– Nie wiem.

– Znam trochę łacinę.

– Naprawdę?

– Cunnilingus.

– Nie bądź wstrętny.

– Fellatio.

– Cha, cha.

– Wagina.

– Umieram ze śmiechu. Twoje dowcipy mnie wykańczają. Patrz, już nie żyję.

Jonasz umilkł na chwilę. Starałem się dalej uczyć, ale czułem na sobie jego wzrok. W końcu, zirytowany, zamknąłem książkę.

– Na co się tak gapisz? – zapytałem.

Nastąpiła pauza, typowa dla mojego brata. Zza lenonek jego oczy wyglądały bezbarwnie, ale jego umysł pracował.

– Patrzę na moją małą siostrzyczkę – powiedział.

– Dobra. Już ją widziałeś. Możesz sobie iść.

– Patrzę na moją małą siostrzyczkę i tak sobie myślę, że ona już nie wygląda jak moja mała siostrzyczka.

– A to co ma znaczyć? – zapytałem.

Znowu pauza.

– Nie wiem – stwierdził mój brat. – Staram się do tego dojść.

– Jak już do tego dojdziesz, to mi powiedz. Mam co robić.

W sobotę rano przyjechała dziewczyna Jonasza. Meg Zemka była niska, jak moja matka, i tak samo płaska jak ja. Miała włosy w mysim, brunatnym kolorze i niezbyt zadbane zęby, co wynikało z ubóstwa w dzieciństwie. Była dzieckiem porzuconym, sierotą, chucherkiem, ale i tak była sześć razy silniejsza od mojego brata.

– Co studiujesz, Meg? – zapytał mój ojciec przy obiedzie.

– Nauki polityczne.

– To musi być ciekawe.

– Wątpię, żeby spodobał się panu mój punkt widzenia. Jestem marksistką.

– Naprawdę?

– Pan prowadzi restauracje, prawda?

– Zgadza się, sieć Hercules Hot Dogs. Czy kosztowałaś kiedyś naszego hot doga? Musimy zabrać cię do jednego z naszych punktów.

– Meg nie je mięsa – przypomniała moja matka.

– Ach tak, zapomniałem – powiedział Milton. – Ale możesz zjeść frytki. Mamy frytki.

– Ile pan płaci swoim pracownikom? – zapytała Meg.

– Tym za ladą? Minimalną stawkę.

– A pan mieszka tu, w tym wielkim domu na Grosse Pointe.

– To dlatego, że ja prowadzę ten cały interes i biorę na siebie ryzyko.

– To mi pachnie wyzyskiem.

– Tak, naprawdę? – Milton uśmiechnął się. – Jeśli dawanie komuś pracy jest wyzyskiwaniem go, to chyba jestem wyzyskiwaczem. Te stanowiska pracy nie istniały, zanim nie rozpocząłem mojej działalności.

– To tak, jakby powiedzieć, że niewolnicy nie mieli pracy, zanim nie zbudowano plantacji.

– Ależ masz wygadaną dziewczynę – stwierdził Milton, zwracając się do mojego brata. – Gdzieś ty ją znalazł?

– To ja go znalazłam – powiedziała Meg. – Na dachu windy.

Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, jak Jonasz spędzał czas w college'u. Jego ulubioną rozrywką było odkręcanie płyty w suficie kabiny windy w akademiku i włażenie na górę. Przesiadywał tam całymi godzinami, jeżdżąc w ciemnościach w górę i w dół.

– Gdy pierwszy raz to robiłem – wyznał teraz Jonasz – winda pojechała do góry. Myślałem, że może mnie zmiażdżyć. Ale zostawili tam trochę wolnego miejsca.

– I to po to płacimy za twoją naukę? – zapytał Milton.

– Po to wyzyskuje pan swoich pracowników – potwierdziła Meg.

Zgodnie z planem Tessie, Jonasz i Meg mieli spać w osobnych pokojach, ale w środku nocy słychać było tupot bosych stóp i chichotanie w ciemnościach. Starając się być starszą siostrą, której nigdy nie miałem, Meg dała mi egzemplarz książki „Nasze ciała, nasze życie".

Również Jonasz, niesiony falą rewolucji seksualnej, starał się mnie edukować.

– Masturbujesz się, Cal?

– Co?!

– Nie musisz się wstydzić. To jest naturalne. Kolega powiedział mi, że można to robić ręką. Więc poszedłem do łazienki…

– Nie chcę o tym słyszeć…

– …I spróbowałem. Nagle wszystkie mięśnie w moim penisie zaczęły się naprężać.

– W naszej łazience?

– I wtedy miałem wytrysk. To było naprawdę cudowne uczucie. Musisz spróbować, Cal, jeśli jeszcze nie próbowałaś. Dziewczyny są nieco inne, ale pod względem fizjologicznym jest to bardzo zbliżone. To znaczy penis i łechtaczka są strukturami analogicznymi. Musisz poćwiczyć i sprawdzić, co zadziała.

Włożyłem palce do uszu i zacząłem mruczeć.

– Nie musisz mieć przy mnie żadnych zahamowań – powiedział głośno Jonasz. – Jestem twoim bratem.

Muzyka rockowa, podziw dla Maharishiego Mahesha Yogi, awokado rosnące na parapecie, papier toaletowy w kolorach tęczy. Co jeszcze? Aha – mój brat przestał używać dezodorantów.

– Śmierdzisz! – zaprotestowałem pewnego dnia, siedząc obok niego przed telewizorem.

Jonasz ledwo wzruszył ramionami.

– Jestem człowiekiem – powiedział. – Tak właśnie pachną ludzie.

– W takim razie ludzie śmierdzą.

– Meg, uważasz, że śmierdzę?

– Absolutnie nie – obwąchuje jego pachę. – To mnie podnieca.

– Może byście się stąd wynieśli! Oglądam telewizję.

– Hej, kochanie, moja mała siostrzyczka chce, żebyśmy sobie poszli. Co powiesz na mały numerek?

– Czemu nie.

– To na razie, siostro. Będziemy na górze *in flagrante delicto*.

Do czego to mogło doprowadzić? Tylko do niezgody w rodzinie, awantur i zranionych uczuć. W sylwestra, gdy Milton i Tessie witali Nowy Rok przy lampce wina musującego Cold Duck, Jonasz i Meg raczyli się piwem Elephant, wychodząc co jakiś czas na zewnątrz, aby potajemnie wypalić jointa. Milton odezwał się:

– Wiecie co, myślałem o tym, żeby w końcu pojechać do rodzinnego kraju. Moglibyśmy się tam wybrać i zobaczyć wioskę *papou* i *yia yia*.

– I naprawić ten kościół, jak obiecałeś – dodała Tessie.

– Co ty o tym sądzisz? – Milton zwrócił się do Jonasza. – Może w tym roku zrobimy sobie rodzinne wakacje.

– Beze mnie – odpowiedział Jonasz.

– Dlaczego nie?

– Turystyka to jeszcze jedna odmiana kolonializmu.

I tak dalej, i tak dalej. Niedługo potem Jonasz oświadczył, że nie podziela wartości, które uznawali Milton i Tessie. Milton zapytał go, co mu nie odpowiada w tych wartościach. Jonasz oznajmił, że jest przeciwny materializmowi.

– Dla ciebie liczą się tylko pieniądze – powiedział Miltonowi. – Nie chcę żyć w ten sposób.

Wskazał ręką na pokój. Jonasz był przeciwny naszemu salonowi, wszystkiemu, co posiadaliśmy, wszystkiemu, na co pracował Milton. Był przeciwny Middlesex! Później podniesione głosy, Jonasz wypowiadający w kierunku Miltona dwa słowa, jedno zaczynające się na literę „j”, a drugie na literę „s”, i więcej krzyków, a w końcu motocykl Jonasza odjeżdżający z rykiem silnika, z siedzącą z tyłu Meg.

Co się stało Jonaszowi? Dlaczego aż tak bardzo się zmienił? Tessie powiedziała, że to dlatego, że był daleko od domu. Takie były czasy. Te wszystkie problemy, które zrodziła wojna. Sądzę jednak, że odpowiedź jest inna. Podejrzewam, że przemiana Jonasza zaczęła się już tego dnia, kiedy leżał w łóżku, a o jego życiu decydowała loteria. Czy są to tylko moje

przypuszczenia? Obarczanie mojego brata własną obsesją na punkcie przypadku i przeznaczenia? Być może. Ale gdy planowaliśmy nasz wyjazd – wyjazd, który był obiecany, gdy Milton został uratowany z innej wojny – wyglądało na to, że Jonasz, urządzający sobie własne odjazdy po chemikaliach, starał się uciec przed czymś, co niewyraźnie wyczuwał, gdy leżał zawinięty w szal: możliwość, że loteria nie tylko decydowała o wybraniu jego numeru karty powołania, ale że decydowała o wszystkim. Jonasz chował się przed tym odkryciem, chował za narkotykami, chował na dachu kabiny windy, chował w łóżku z Meg Zemką, z jej wielokrotnymi orgazmami i popsutymi zębami, Meg Zemką, która syczała mu do ucha, gdy się kochali: „Zapomnij, stary, o swojej rodzinie! To burżuazyjne świnie! Twój stary to wyzyskiwacz! Zapomnij o nich. Oni już są martwi. Martwi. To jest rzeczywiste. Tutaj. Chodź i bierz, kochanie!”

Mroczny Przedmiot

Uświadomiłem sobie właśnie, że nie jestem jeszcze tak daleko, jak mi się wydawało. Opisywanie mojej historii nie jest aż tak odważnym aktem uwolnienia, na jaki liczyłem. Pisanie jest czynnością wykonywaną w samotności, potajemnie, a o tych sprawach wiem wszystko. Jestem specjalistą od życia podziemnego. Czy faktycznie to tylko moje apolityczne nastawienie powoduje, że nie angażuję się w ruch na rzecz praw interseksualnych? A może to również obawa? Przed odważnym głoszeniem własnych poglądów. Przed staniem się jednym z tych ludzi.

Tak czy owak, człowiek może robić tylko to, co leży w granicach jego możliwości. Jeśli ta opowieść jest pisana tylko dla mnie samego, niech już tak będzie. Ale czuję, że jest inaczej. Czuję twoją obecność, czytelniku. To jedyna forma zażyłości, w jakiej czuję się dobrze. Tylko nas dwoje, tu, w ciemnościach.

Nie zawsze tak było. W college'u miałem dziewczynę. Na imię miała Olivia. Zbliżyła nas do siebie wspólnota odniesionych ran. Olivię brutalnie zaatakowano, gdy miała zaledwie trzynaście lat, prawie zgwałcono. Policja złapała mężczyznę, który to zrobił, i Olivia musiała wielokrotnie składać zeznania w sądzie. To ciężkie przeżycie spowodowało zahamowanie jej rozwoju. Zamiast robić normalne rzeczy, jakie robi dziewczyna w liceum, pozostała trzynastolatką siedzącą na miejscu dla świadków. I chociaż zarówno ja, jak i Olivia, pod względem intelektualnym bez problemów mogliśmy radzić sobie z programem college'u, a nawet wykraczać poza ten program, to jednak pod względem emocjonalnym pozostaliśmy na poziomie wieku dojrzewania. Często płakaliśmy w łóżku. Pamiętam, jak po raz pierwszy rozebraliśmy się przed sobą. To było niczym odwijanie bandaży. Byłem na tyle mężczyzną, na ile Olivia była wtedy w stanie to znieść. Byłem jej zestawem początkowym.

Po studiach wybrałem się w podróż dookoła świata. Starałem się zapomnieć o moim ciele, utrzymując je w ciągłym ruchu. Dziewięć miesięcy później, po powrocie do kraju, zdałem egzamin do służb dyplomatycznych i rok później zacząłem pracę dla Departamentu Stanu. To jest idealna praca dla mnie. Trzy lata w jednym miejscu, dwa w innym. Nigdy na tyle długo, aby się z kimś poważnie związać. W Brukseli zakochałem się w barmance, która utrzymywała, że zupełnie nie przeszkadza jej moja nietypowa budowa. Byłem tak wdzięczny, że chciałem się z nią ożenić, chociaż nudziło mnie jej towarzystwo, brak ambicji i niezbyt odpowiadało mi jej prostackie i krzykliwe zachowanie. Na szczęście odrzuciła moje oświadczyny i uciekła z kimś innym. Czy od tego czasu były jakieś związki? Kilka przypadkowych, zawsze krótkotrwałych. Brak trwałych relacji spowodował, że popadłem w rutynę uwodzenia tylko do pewnego stopnia. Doskonale wychodzi mi nawiązywanie rozmowy. Kolacje i drinki. Uściski w drzwiach. Ale potem się wynoszę.

– Rano mam spotkanie z ambasadorem – mówię. A one mi wierzą. Wierzą, że ambasador życzy sobie sprawozdania o przygotowaniach do koncertu na cześć Aarona Coplanda.

Jest mi coraz trudniej. W przypadku Olivii i wszystkich kobiet po niej musiałem już sobie radzić z nabytą wiedzą – wiedzą o moim rzeczywistym stanie. Natomiast spotkanie z Mrocznym Przedmiotem odbyło się w nieświadomości, w błogiej ignorancji.

Po awanturze z Jonaszem przez całą zimę w domu na Middlesex panowało absolutne milczenie. To milczenie było tak dogłębne, że na podobieństwo lewej stopy sekretarza prezydenta usuwało część oficjalnych zapisów. Rozmokła, pokrętna pora, podczas której Milton – niezdolny przyznać, że atak Jonasza złamał mu serce – w sposób widoczny zaczął puchnąć ze złości i prawie wszystko wyprowadzało go z równowagi: długi czas oczekiwania na czerwonym świetle, mrożony mleczny deser zamiast lodów. (W jego przypadku milczenie było głośne, niemniej jednak było to milczenie). Podczas tej zimy Tessie, wciąż martwiąca się o swoje dzieci, stała się do tego stopnia zrezygnowana, że nawet nie poszła do sklepu, aby zwrócić te prezenty gwiazdkowe, które na nikogo nie pasowały, tylko schowała je do szafy, nie uzyskując zwrotu pieniędzy. Pod koniec tej nieszczerej, naznaczonej ranami pory, wraz z pojawieniem się pierwszych

krokusów powracających po zimie spędzonej w świecie podziemnym, Calliope Stephanides, która również odczuwała jakieś poruszenie w głębi swojego jestestwa, zajmowała się czytaniem klasyki.

W wiosennym semestrze ósmej klasy lekcje angielskiego prowadził pan da Silva. Mała grupka pięciu uczennic spotykała się w oranżerii na drugim piętrze. Zielistki opuszczały zakończone sadzonkami pędy ze szklanego dachu. Bliżej naszych głów tłoczyło się geranium, wydzielające zapach pośredni między lukrecją a aluminium. Oprócz mnie były tam Reetika, Tina, Joanne i Maxine Grossinger. Chociaż nasi rodzice przyjaźnili się, prawie wcale nie znałem Maxine. Nie zadawała się z innymi dziećmi na Middlesex. Ciągle ćwiczyła grę na skrzypcach. Była jedynym żydowskim dzieckiem w szkole. Samotnie spożywała lunch, łyżeczką jedząc koszerne potrawy z plastikowego pojemnika. Podejrzewałem, że jej bladość była spowodowana ciągłym przebywaniem w domu, a niebieska żyłka, która biła gwałtownie na jej skroniach, była rodzajem wewnętrznego metronomu.

Pan da Silva urodził się w Brazylii, ale trudno to było zauważyć. Nie miał w sobie cech karnawałowych. Elementy jego latynoskiego dzieciństwa (hamak, basenik na dworze) zostały wymazane przez północnoamerykańską edukację i miłość do europejskich powieści. Obecnie był liberalnym demokratą i na znak poparcia dla radykalnych rozwiązań nosił czarne przepaski na ramieniu. Uczył w szkółce niedzielnej przy miejscowym kościele episkopalnym. Miał różową, zadbaną twarz i włosy ciemnoblond, które opadały mu na oczy, gdy recytował poezję. Czasami zrywał osty lub polne kwiaty i wkładał je do klapy marynarki. Był niski, przysadzisty i często na przerwach między zajęciami wykonywał ćwiczenia izometryczne. Ponadto grał na flecie prostym. Na pulpicie w jego klasie leżały nuty, przede wszystkim kompozycje wczesobarokowe.

Pan da Silva był świetnym nauczycielem. Traktował nas zupełnie poważnie, jakby ósmoklasistki mogły rozstrzygnąć coś, o co od stuleci spierali się uczeni. Słuchał naszego szczebiotu, a włosy opadały mu na oczy. Kiedy sam mówił, to zawsze pełnymi zdaniami. Jeśli się słuchało uważnie, można było wyłowić w jego mowie myślniki i przecinki, a nawet dwukropki i średniki. Pan da Silva zawsze miał stosowny cytat na wszystko, co mu się przydarzało, i w ten sposób wymykał się rzeczywistości. Zamiast jeść lunch, opowiadał, co jedli Obłoński i Lewin

w „Annie Kareninie". Albo też, opisując zachód słońca w powieści Daniela Deronda, nie zauważał, że nad Michigan właśnie zachodziło słońce.

Przed sześciu laty pan da Silva spędził wakacje w Grecji. Wciąż jeszcze ekscytowało go wspomnienie tego wyjazdu. Gdy opisywał wizytę w Mani, jego głos stawał się bardziej aksamitny niż zazwyczaj, a oczy mu błyszczały. Nie mogąc pewnej nocy znaleźć hotelu, spał na ziemi, a gdy się zbudził następnego ranka, zobaczył, że zasnął pod drzewem oliwnym. Pan da Silva nigdy nie zapomniał tego drzewa. Między nimi doszło do znaczącej wymiany. Drzewa oliwne to istoty serdeczne, elokwentne w swojej pokrętności. Łatwo zrozumieć, dlaczego starożytni wierzyli, że duch człowieka może być w nich zamknięty jak w pułapce. Pan da Silva wyczuł to, budząc się w swoim śpiworze.

Mnie oczywiście również bardzo ciekawiła Grecja. Koniecznie chciałem tam pojechać. Pan da Silva zachęcał mnie, abym poczuwał się do greckiego dziedzictwa.

– Panno Stephanides – zawołał mnie pewnego dnia. – Skoro pochodzi panna z kraju Homera, to czy mogłaby nam panna przeczytać ten fragment na głos? – odchrząknął. – Strona osiemdziesiąta dziewiąta.

W tym semestrze nasze siostry o mniej naukowych ambicjach czytały „Światło w lesie" Conrada Richtera, ale my, w oranżerii, przedzierałyśmy się przez „Iliadę". Korzystałyśmy z popularnego wydania pisanego prozą, ze skrótami, bez numerowanych wersów, pozbawionego muzyki klasycznej greki, ale – jeśli o mnie chodzi – lektura była wspaniała. Boże, jak ja kochałem tę książkę! Od obrazy Achillesa w jego namiocie począwszy (co kojarzyło mi się z zachowaniem prezydenta odmawiającego przekazania taśm), aż po wleczenie Hektora za nogi wokół miasta (przy czym płakałem) – nie mogłem się oderwać. Co tam „Love Story"! Jako miejsce akcji, Harvard nie mógł mierzyć się z Trojąą, a w całej powieści Segala umiera tylko jedna osoba. (Być może to kolejny raz dawały o sobie znać hormony w moim wnętrzu. Bo gdy moje koleżanki uważały, że „Iliada" jest zbyt krwawa jak na ich gust i stanowi niekończącą się listę mężczyzn zarzynających się nawzajem zaraz po ich oficjalnym przedstawieniu, mnie porywało sztyletowanie i obcinanie głów, wyłupianie oczu, soczyste opisy patroszenia wrogów).

Otworzyłem książkę i opuściłem głowę. Moje włosy opadły do przodu, odgradzając cały świat – Maxine, pana da Silvę, geranium w oranżerii –

wszystko oprócz książki. Spoza tej aksamitnej zasłony zaczął się dobywać mój głos śpiewaczki świetlicowej:

– Afrodyta odłożyła swój słynny pas, w którym utkane są wszystkie uroki miłości, potencja, pożądanie, czułe szepty i siła uwodzenia, która odbiera nawet najbardziej rozsądnym przezorność i władzę sądzenia.

Była pierwsza po południu. W pomieszczeniu panowała atmosfera poobiedniego rozleniwienia. Na zewnątrz zbierało się na deszcz. Ktoś zapukał do drzwi.

– Przepraszam, Callie. Możesz na chwilę przerwać? – Pan da Silva odwrócił się w stronę drzwi. – Proszę.

Wraz z pozostałymi podniosłem wzrok. W drzwiach stała rudowłosa dziewczyna. Nad nami zderzyły się z sobą dwie mijające się chmury, przepuszczając w dół promień światła. Ten promień uderzył w szklany dach oranżerii. Przechodząc przez wiszące geranium, zaróżowił się i tym światłem, jak jakąś błoną, otoczył dziewczynę. Możliwe również, że to wcale nie było działanie słońca, ale jakaś siła, promień duszy wychodzący z moich oczu.

– Mamy lekcję, moja droga.

– Podobno mam być na tej lekcji – powiedziała smutno dziewczyna. W ręce trzymała kartkę papieru. Pan da Silva przyjrzał się kartce badawczo.

– Czy jesteś pewna, że panna Durrell chce, abyś przeszła do tej klasy? – zapytał.

– Pani Lampe nie chce mnie już w swojej klasie – odpowiedziała dziewczyna.

– Usiądź. Ktoś będzie musiał się z tobą podzielić tekstem. Panna Stephanides czytała nam fragment trzeciej księgi „Iliady".

Powróciłem do czytania. To znaczy moje oczy śledziły kolejne zdania, a moje usta formułowały słowa. Ale mój umysł przestał już zwracać uwagę na ich znaczenie. Po skończeniu nie odrzuciłem włosów do tyłu. Nadal zwisały na mojej twarzy. Przez znajdującą się w nich szparkę wyjrzałem na zewnątrz.

Dziewczyna zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Pochyliła się w stronę Reetiki, jakby miały wspólnie korzystać z jednej książki, ale wzrok miała skierowany na rośliny. Zmarszczyła nos, wyczuwając zapach mierzwy.

Moje zainteresowanie nią miało częściowo charakter naukowy, zoologiczny. Nigdy przedtem nie widziałem istoty z tak dużą liczbą piegów. Na grzbiecie jej nosa nastąpił Wielki Wybuch, a siła eksplozji wysłała galaktyki piegów, które rozeszły się na wszystkie krańce jej zakrzywionego, ciepłokrwistego wszechświata. Na jej przedramionach i nadgarstkach widać było gromady piegów, całą Mleczną Drogę rozpościerającą się na jej czole, a kilka rozpryskujących się kwazarów doleciało nawet do kanalików w jej uszach.

Skoro jesteśmy na lekcji angielskiego, pozwolę sobie zacytować fragment wiersza Gerarda Manleya Hopkinsa „Pstre piękno", zaczynający się od słów: „Chwała niech będzie Bogu za wszystko, co pstrokate". Gdy przypominam sobie moją pierwszą reakcję na widok tej rudowłosej dziewczyny, odnoszę wrażenie, że to był zachwyt nad naturalnym pięknem. Mam tu na myśli tę przyjemność w sercu, jaką odczuwamy, patrząc w Prowansji na popstrzone liście czy na korę platanów wyglądającą jak palimpsest. W tej kombinacji kolorów było coś ogromnie pociągającego, ciasteczka imbirowe unoszące się w białym mleku jej skóry, złote pasemka w truskawkowych włosach. Jej obraz kojarzył się z jesienią. Z wyjazdem na północ, dokąd się jechało, aby zobaczyć kolory.

Ona tymczasem siedziała rozparta w swojej ławce, widać było jej nogi w niebieskich kolanówkach oraz zniszczone obcasy jej butów. Ponieważ nie przygotowała się do lektury, była zwolniona z odpytywania, ale pan da Silva rzucał w jej kierunku badawcze spojrzenia. Nowa dziewczyna jakby tego nie zauważała. Pławiła się w roztaczanym przez siebie pomarańczowym świetle i sennie otwierała, i zamykała oczy. W pewnym momencie ziewnęła, ale w połowie przerwała, jakby coś jej przeszkodziło w tej czynności. Przełknęła ślinę i uderzyła się pięścią w mostek. Beknęła cicho i szepnęła do siebie: *Ay, caramba*.

Wyszła natychmiast po zakończeniu lekcji.

Kim była? Skąd pochodziła? Dlaczego nigdy wcześniej nie widziałem jej w szkole? Na pewno nie była nową uczennicą w Baker & Inglis. Jej półbuty były rozdeptane na piętach i mogła wsuwać w nie nogi, jak w chodaki. Podobnie zachowywały się Bransoletki. Na palcu nosiła zabytkowy pierścień z prawdziwymi rubinami. Miała cienkie, surowe, protestanckie wargi. Jej nos wcale nie wyglądał jak nos. To był tylko zaczątek.

Wchodziła codziennie do klasy z tym samym zimnym, znudzonym wyrazem twarzy. Szurała nogami w półbutach-chodakach, poruszając nimi, jakby szybowała albo ślizgała się po lodzie, z ugiętymi kolanami i wysuwając ciężar ciała do przodu. To tylko potęgowało ogólne wrażenie jej znudzenia i obojętności. Gdy wchodziła, ja z reguły podlewałem rośliny pana da Silvy. Poprosił mnie, abym to robił przed lekcją. Dlatego też każdy dzień zaczynał się w ten sam sposób, ja na jednym końcu kryształowego pomieszczenia, w otoczeniu kwiecia geranium, i eksplozja czerwieni pojawiająca się w drzwiach.

Sposób, w jaki ciągnęła za sobą nogi, wyraźnie świadczył o jej stosunku do dziwacznego, starego, martwego poematu, czytanego przez nas na lekcjach. Zupełnie jej to nie interesowało. Nigdy nie odrabiała zadań domowych. Starała się przejść przez lekcję, wkładając w to jak najmniej wysiłku. Testy i klasówki pisała byle zaliczyć. Jeśli była z nią jakaś inna Bransoletka, we dwójkę przesyłały sobie liściki. Gdy była sama, mogła tylko siedzieć z niezadowoloną miną. Pan da Silva zaprzestał prób nauczenia jej czegokolwiek i pytał ją najrzadziej, jak tylko mógł.

Obserwowałem ją na lekcjach, a także poza lekcjami. Zaraz po przyjściu do szkoły byłem na czatach. Siadałem w holu na jednym z żółtych krzeseł ze składanymi blatami, udając, że odrabiam zadanie domowe, i czekałem, aż ona będzie przechodzić. Pojawiała się tylko na chwilę, ale to wystarczało, aby mnie wytrącić z równowagi. Czułem się jak postać z kreskówek, z gwiazdkami wirującymi wokół głowy. Wychodziła zza rogu, żując końcówkę cienkopisu i szurając nogami, jakby szła w kapciach. Jej poruszaniu się zawsze towarzyszył pośpiech. Musiała kopać w marszu stopami w ziemię, bo w przeciwnym razie przydeptane buty spadłyby jej z nóg. Dzięki temu wyraźnie rysowały się mięśnie jej łydek. Tam również była piegowata. Wyglądało to prawie jak opalenizna. Ślizgając się, pędziła obok, rozmawiając z jakąś inną Bransoletką, a obie poruszały się z tym leniwym, typowym dla nich wszystkich poczuciem wyższości. Czasami patrzyła na mnie, ale nic nie świadczyło o tym, że mnie rozpoznaje. Na jej oczy opadała trzecia powieka, jak u gadów.

Pozwolę sobie na pewien anachronizm. Film Luisa Buñuela „Mroczny przedmiot pożądania" wszedł na ekrany dopiero w 1977 roku. W tym okresie mój kontakt z tą rudowłosą dziewczyną dawno już się urwał. Wątpię, czy kiedykolwiek widziała ten film. Niemniej jednak, gdy o niej

myślę, przypominam sobie właśnie ten film. Widziałem go w telewizji, w barze w Hiszpanii, gdy stacjonowałem w Madrycie. Nie rozumiałem większości dialogów, jednak sama fabuła była dosyć jasna. Starszy mężczyzna, w tej roli wystąpił Fernando Rey, zakochuje się do szaleństwa w młodej i pięknej dziewczynie, granej przez Carole Bouquet i Angelę Molinę. To wszystko nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Porwał mnie surrealistyczny klimat filmu. W wielu scenach Fernando Rey pojawia się z ciężkim plecakiem na ramionach. Trudno doszukiwać się przyczyn występowania tego plecaka, a przynajmniej ja ich nie znalazłem. Po prostu nosi z sobą ten plecak wszędzie, do restauracji i w miejskich parkach. Podobne uczucie towarzyszyło mi w mojej pogoni za własnym Mrocznym Przedmiotem. Jakby na moich barkach spoczywał tajemniczy, niewytłumaczalny ciężar lub brzemię. Jeśli można, to właśnie tak będę ją nazywać. Będę ją nazywać Mrocznym Przedmiotem. Ze względów sentymentalnych. (Ponadto muszę chronić jej tożsamość).

Widywałem ją w sali gimnastycznej, gdy udawała chorą. Widywałem ją na lunchu, kiedy śmiała się do rozpuku. Zgięta wpół nad stołem, starała się uderzyć żartującą dowcipnisię. Z jej ust wydobywały się bąbelki mleka. Z nosa kapało jej kilka kropel, co jeszcze bardziej wszystkich rozbawiło. Później zobaczyłem ją po lekcjach, jak jechała na rowerze z nieznajomym chłopakiem. Siedziała na siodełku, a on stał na pedałach. Nie obejmowała go ramionami. Radziła sobie tylko balansując ciałem. To dawało mi pewną nadzieję.

Pewnego dnia podczas lekcji pan da Silva poprosił Przedmiot o przeczytanie na głos fragmentu książki.

Siedziała rozwalona w swojej ławce, jak zawsze. W szkole dla dziewcząt uczennice nie musiały przywiązywać aż tak dużej wagi do tego, aby trzymać kolana razem czy mieć opuszczoną spódniczkę. Kolana Przedmiotu były szeroko rozstawione, a nogi, nieco grube w udach, miała wysoko odsłonięte. Nie ruszając się z miejsca, powiedziała:

– Zapomniałam książki.

Pan da Silva zacisnął wargi.

– Możesz czytać z książki Callie.

Jedynym znakiem jej zgody było odrzucenie włosów z twarzy. Przyłożyła rękę do czoła i przesunęła nią po włosach, ciągnąc palcami jak pługiem, za którym pozostawały bruzdy. Kończąc ten ruch, lekko odrzuciła głowę

w nieco teatralnym geście. Widziałem jej policzek, odsłonięty i łatwo dostępny. Przysunąłem się do niej. Książkę położyłem na szparze dzielącej nasze ławki. Przedmiot pochyliła się nad nią.

– Od którego miejsca?

– Od góry strony sto dwudziestej. Opis tarczy Achillesa.

Nigdy przedtem nie byłem jeszcze tak blisko Mrocznego Przedmiotu. Mój organizm z trudem to znosił. Mój system nerwowy zaczął grać „Lot trzmiela". W kręgosłupie czułem piłowanie skrzypiec. W klatce piersiowej uderzały kotły. Równocześnie, starając się to wszystko ukryć, nawet nie drgnąłem. Prawie nie oddychałem. Mój stan można było określić w następujący sposób: na zewnątrz katatonia – wewnątrz gorączka.

Czułem jej cynamonową gumę. Nadal była gdzieś w głębi jej ust. Nie patrzyłem bezpośrednio na nią. Wzrok miałem wbity w książkę. Pasmo jej czerwonozłotych włosów opadło na ławkę między nami. Padający promień słońca rozszczepiał się w nich jak w pryzmacie. Ale gdy ja oglądałem centymetrową tęczę, ona zaczęła czytać.

Spodziewałem się nosowego, jednostajnego czytania, poprzetykanego błędami w wymowie. Oczekiwałem kolizji, gwałtownych wiraży, pisku hamulców, zderzeń czołowych. Ale Mroczny Przedmiot miała dobry głos do czytania. Wyraźny, mocny, miękko dostosowujący się do rytmu wiersza. To był sposób mówienia, którego nauczyła się od swoich wujów, czytających poezję i nadużywających alkoholu. Zmienił się również wyraz jej twarzy. Teraz jej rysy znaczyła, uprzednio nieobecna, skupiona godność. Jej głowa wznosiła się na dumnej szyi. Brodę miała podniesioną. Jej głos brzmiał tak, jakby miała dwadzieścia cztery lata, a nie czternaście. Nie wiem, co było dziwniejsze, dobywający się z moich ust głos Earthy Kitt, czy głos Katharine Hepburn dobywający się z jej.

Gdy skończyła, zapadła cisza.

– Dziękuję – powiedział pan da Silva, zaskoczony jak i my wszystkie. – Bardzo ładnie.

Zadzwonił dzwonek. Przedmiot natychmiast się wyprostowała. Ponownie przesunęła ręką po włosach, jakby płucząc je pod prysznicem. Wysunęła się z ławki i wyszła z klasy.

Czy to możliwe, że w pewne dni – gdy oranżeria była oświetlona w specyficzny sposób, bluzka Mrocznego Przedmiotu była odpięta na dwa

guziki, a światło oświetlało medaliki wiszące między miseczkami jej stanika – Calliope mogła mieć jakieś podejrzenia co do swojej prawdziwej natury biologicznej? Czy kiedykolwiek, widząc Mroczny Przedmiot przechodzącą korytarzem, myślała, że jej uczucia mogą być niestosowne? I tak, i nie. Pozwolę sobie przypomnieć, gdzie to wszystko się odbywało.

W Baker & Inglis nie było niczym niezwykłym, gdy jakaś dziewczyna zadurzała się w koleżance z klasy. W szkole dla dziewcząt pewna część energii emocjonalnej, którą zazwyczaj obdarza się chłopców, przechodzi w przyjaźń. W szkole B&I dziewczęta chodziły pod rękę jak francuskie uczennice. Rywalizowały o uczucia koleżanek. Rodziła się zazdrość. Czasami dochodziło do zdrady. Często się zdarzało, że wchodząc do toalety, można było usłyszeć szloch dochodzący z jednej z kabin. Dziewczęta płakały, bo taka a taka nie chciała z nimi siedzieć przy obiedzie albo bo ich najlepsza przyjaciółka miała nowego chłopaka, z którym spędzała cały czas. Tę intymną atmosferę wzmacniały dodatkowo szkolne obrzędy. Był Dzień Pierścienia, gdy Duże Siostry wprowadzały Małe Siostry w wiek dojrzały, wręczając im kwiaty i złote przepaski. Był Taniec Kądzieli, maik bez mężczyzn, jaki odbywał się na wiosnę. Co drugi miesiąc szkolny kapelan prowadził spotkania spowiednicze – „szczere rozmowy", które nieodmiennie kończyły się paroksyzmem płaczu i serdecznymi uściskami. Mimo to szkoła zachowywała jednak etos wyraźnie heteroseksualny. Moje koleżanki z klasy w ciągu dnia mogły zachowywać się w sposób bardzo niejednoznaczny, ale to chłopcy byli główną atrakcją po lekcjach. Jeśli podejrzewano którąś uczennicę o pociąg do innych dziewcząt, zaraz zaczynano o niej plotkować, prześladowano ją i stroniono od niej. Doskonale sobie z tego wszystkiego zdawałem sprawę. To mnie przerażało.

Trudno mi było określić, czy moje uczucia do Mrocznego Przedmiotu były czymś normalnym, czy nie. Często powodem zadurzenia się moich koleżanek w innych dziewczynach była zazdrość. Reetika mdlała z zachwytu nad sposobem, w jaki Alwyn Brier grała „Finlandię" na fortepianie. Linda Ramirez była zauroczona Sofią Cracchiolo, ponieważ tamta uczyła się trzech języków naraz. Czy to było to? Czy moje zauroczenie Mrocznym Przedmiotem można tłumaczyć jej talentem krasomówczym? Wątpiłem w to. Moje zadurzenie miało raczej charakter fizyczny. To nie była kwestia racjonalnej oceny, ale burza w moich żyłach.

Dlatego też nic nikomu o tym nie mówiłem i siedziałem cicho. Chowałem się w toalecie w piwnicy, aby tam, w spokoju, przemyśleć sprawy. Codziennie, gdy tylko mogłem, schodziłem tylnymi schodami do opuszczonej toalety i zamykałem się tam na co najmniej pół godziny.

Czy jest jakieś miejsce równie przytulne jak stara, instytucjonalna, przedwojenna toaleta? Takie toalety, jakie budowano w Ameryce, gdy ten kraj rozkwitał. Toaleta w piwnicy szkoły Baker & Inglis została skonstruowana jak loża w operze. Nad głową świeciły edwardiańskie lampy. Umywalki miały kształt głębokich białych mis i były umieszczone w płytach z błękitnego łupku. Gdy pochylałem się, aby obmyć twarz, widziałem w porcelanie drobne pęknięcia, jak w wazach z okresu dynastii Ming. Kurki były zawieszone na złotych łańcuszkach. Pod kurkami widać było zielone smugi, które w porcelanie wyżłobiły spadające krople.

Nad każdą umywalką wisiało owalne lustro. Nie chciałem mieć z nimi nic do czynienia. („Nienawiść do luster, zaczynająca się w wieku średnim", u mnie zaczęła się bardzo wcześnie.) Nie patrząc na swoje odbicie, kierowałem się prosto ku kabinom. Były trzy, a ja zawsze wybierałem środkową. Podobnie jak inne, była marmurowa. Szary marmur z Nowej Anglii, gruby na pięć centymetrów, wydobywany z kamieniołomów w dziewiętnastym wieku i usiany skamieniałościami mającymi miliony lat. Zamykałem drzwi na zasuwkę. Wyjmowałem podkładkę i kładłem ją na deskę sedesową. Zabezpieczony przed zarazkami, opuszczałem majtki, podnosiłem spódniczkę i siadałem. Od razu czułem, jak moje ciało się odpręża, jak prostują się moje zgarbione plecy. Odgarniałem włosy z twarzy, aby coś widzieć. W marmurze widniały skamieliny w formie paproci i inne, wyglądające jak skorpiony wbijające sobie śmiertelne żądła. Na muszli pod moimi nogami była plama rdzy, również antyczna.

Toaleta w piwnicy stanowiła przeciwieństwo naszej szatni. Kabiny miały ponad dwa metry wysokości i sięgały do samej podłogi. Marmur ze skamieniałościami skrywał mnie lepiej niż moje włosy. W tej toalecie odnajdywałem lukę czasową, w której czułem się dużo lepiej, niż w odbywającym się na górze wyścigu szczurów; czuło się tu powolny, ewolucyjny rozwój natury, jej świata roślinnego i zwierzęcego, powstającego z płodnego, prastarego błota. Z kurków kapała woda zgodnie z powolnym, nieubłaganym upływem czasu, a ja byłem tam sam, bezpieczny. Chroniony przed moimi mieszanymi uczuciami do

Mrocznego Przedmiotu, a także chroniony przed fragmentami rozmów dochodzącymi z sypialni moich rodziców. Właśnie minionej nocy do moich uszu dotarł rozdrażniony głos Miltona:

– Dalej boli cię głowa? Boże, weź jakąś aspirynę.

– Już brałam – odpowiedziała moja matka. – Nic nie pomaga.

Później imię mojego brata i mój ojciec mamroczący coś, czego nie zrozumiałem. I znowu Tessie:

– Martwię się też o Callie. Wciąż jeszcze nie ma okresu.

– Kurczę, przecież ona ma dopiero trzynaście lat.

– Ma czternaście. I popatrz, jaka jest wysoka. Myślę, że coś jest nie w porządku.

Po chwili ciszy ojciec zapytał:

– A co mówi doktor Phil?

– Doktor Phil! On nic nie mówi. Chcę ją zabrać do kogoś innego.

Dochodzące zza ściany mojego pokoju szepty rodziców, które przez całe dzieciństwo napawały mnie spokojem, stały się nagle źródłem zdenerwowania i strachu. Dlatego też wolałem ukryć się za ścianami z marmuru, od których tylko echem odbijały się dźwięki kapiącej wody, spuszczania wody w ustępie albo mój własny głos czytający „Iliadę".

A gdy Homer już mnie męczył, zaczynałem czytać napisy na ścianach.

To była następna zaleta toalety w piwnicy. Jej ściany pokryte były napisami. Tam, na górze, na zdjęciach klasowych widać było niekończące się rzędy twarzy. Tu, na dole, były głównie ciała. Narysowane niebieskim tuszem sylwetki małych mężczyzn z ogromnymi organami płciowymi. I kobiet o ogromnych piersiach. A także różne permutacje – mężczyźni z malutkimi penisami i kobiety z penisami. To była edukacja obejmująca zarówno to, co istnieje, jak i to, co może być. Na szarym marmurze te świeże, poszarpane grafiki prezentujące ciała wyrabiające przeróżne cuda, ciała, z których wyrastają różne dziwne części, ciała dopasowujące się do siebie, zmieniające kształty. I różne napisy, dowcipy, słowa przestrogi, wyznania. W jednym miejscu: „Kocham seks". W innym „Patty C. to zdzira". Czy istniało inne miejsce, w którym taka dziewczyna jak ja, ukrywająca przed światem podejrzenia, których sama do końca nie rozumiała, mogłaby się czuć równie dobrze, jak w tym podziemnym królestwie, gdzie ludzie pisali to, czego nie mogli wypowiedzieć, gdzie mogli dopuścić do głosu swoje najbardziej wstydliwe pragnienia i wiedzę?

Bo tej wiosny, gdy kwitły krokusy i gdy dyrektorka doglądała żonkili w doniczkach, Calliope czuła, że w niej również coś pączkuje. To jej własny mroczny przedmiot, który, obok potrzeby samotności, był odpowiedzialny za sprowadzanie jej na dół, do tej toalety w piwnicy. Też coś w rodzaju krokusa, na chwilę przed zakwitaniem. Różowa łodyga wyrastająca z ciemnego, świeżego mchu. Ale w rzeczywistości była to bardzo dziwna odmiana kwiatu, ponieważ zdawał się przechodzić przez wiele pór roku w jeden dzień. Był okres snu zimowego, gdy spał pod ziemią. Pięć minut później budził się do życia, wyczuwając własną wiosnę. Siedząc w klasie z książką rozłożoną na kolanach lub jadąc do domu w samochodzie z koleżankami, czułem odwilż między nogami, coraz bardziej wilgotną glebę, podnoszący się bogaty, torfowy zapach, i wtedy – gdy udawałem, że uczę się łacińskich czasowników – w ciepłej ziemi pod moją spódniczką rozwijało się nieoczekiwane życie. W dotyku mój krokus czasami był miękki i śliski jak ciało robaka. Były też chwile, gdy był twardy jak korzeń.

Co Calliope myślała o swoim krokusie? To jednocześnie najłatwiejsze i najtrudniejsze do wytłumaczenia. Z jednej strony lubiła go. Jeśli przycisnęła do niego róg książki, czuła przyjemne uczucie. To nie było nic nowego. Przyciskanie tego miejsca zawsze sprawiało jej przyjemność. W końcu krokus był częścią jej ciała. Nie było powodu, aby zastanawiać się nad tym wszystkim.

Ale czasami czułem, że w mojej budowie coś jest nie tak. Na Camp Ponshewaing w pewne wilgotne noce, gdy zbierałyśmy się w baraku, moje koleżanki z obozu opowiadały o siodełkach rowerowych i słupkach ogrodzeniowych, które szczególnie pociągały je w ich młodym wieku. Lizzie Barton, piekąc cukierek ślazowy na patyku, opowiadała nam, jak bardzo polubiła łęk skórzanego siodła. Margaret Thompson była pierwszą dziewczynką w mieście, której rodzice mieli prysznic z masującą głowicą. Próbowałem dodawać własne dane zmysłowe do tych intymnych historii (tego roku upodobałem sobie sznury na sali gimnastycznej), ale pozostawała jakaś luka między pobudzeniem, o którym opowiadały moje koleżanki, i porywającą mnie ekstazą moich własnych, suchych spazmów. Czasami, zwisając z mojego łóżka na górze nad światłem czyjejś latarki, kończyłem własne rewelacje słowami:

– Wiecie, o co mi chodzi?

I w mroku trzy lub cztery dziewczyny z włosami jak strąki kiwały głowami, ale tylko raz, zagryzały kąciki ust i odwracały wzrok. Nie wiedziały.

Czasami martwiłem się, że mój krokus był zbyt wyszukanym kwiatem, nie zwyczajną byliną, ale kwiatem cieplarnianym, hybrydą, która otrzymuje nazwę od swojego twórcy, jak róża. „Opalizująca Helena". „Blady Olimp". „Grecki Ogień". Ale nie – ze mną było inaczej. Mój krokus nie był na pokaz. Był w stanie rozwoju i sądziłem, że może się pięknie rozwinąć, jeśli tylko będę cierpliwie czekać. Może tak było u wszystkich. Na razie najlepiej było trzymać go w sekrecie. I to właśnie robiłem, siedząc na dole w piwnicy.

Kolejny zwyczaj w Baker & Inglis – co roku ósmoklasistki wystawiały klasyczny dramat grecki. Początkowo sztuki były przedstawiane w gimnazjalnej auli. Ale po wycieczce do Grecji pan da Silva wpadł na pomysł przekształcenia boiska hokejowego w teatr. Ze swoją odkrytą trybuną na zboczu i naturalną akustyką był to idealny miniaturowy Epidauros. Wyniesiono platformy na zewnątrz i zbudowano scenę na trawie.

W roku, w którym zdarzyło się moje zauroczenie Mrocznym Przedmiotem, sztuką wybraną przez pana da Silva była „Antygona". Nie było żadnych przesłuchań przed podziałem ról. W głównych rolach pan da Silva obsadził swoje ulubienice z klasy z rozszerzonym językiem angielskim. Pozostałe uczennice przydzielono do chóru. W związku z tym obsada wyglądała w sposób następujący: Joanne Maria Barbara Peracchio jako Kreon, Tina Kubek jako Eurydyka, Maxine Grossinger jako Ismena. W roli samej Antygony – nawet z fizycznego punktu widzenia była to rzeczywiście jedyna możliwość – Mroczny Przedmiot. Na półrocze miała tylko C minus, ale pan da Silva z miejsca potrafił rozpoznać gwiazdę.

– Mamy nauczyć się tych całych ról? – zapytała Joanne Maria Barbara Peracchio na pierwszej próbie. – W dwa tygodnie?

– Nauczcie się, ile wam się uda – powiedział pan da Silva. – Wszystkie będziecie miały na sobie szaty. Pod spodem możecie trzymać swoje teksty. Ponadto panna Fagles będzie służyć za suflera. Będzie siedziała w fosie orkiestrowej.

– Będziemy mieli orkiestrę? – koniecznie chciała wiedzieć Maxine Grossinger.

– Orkiestrą – odpowiedział pan da Silva, wskazując na swój flet – będę ja.

– Mam nadzieję, że nie będzie padać – odezwała się Mroczny Przedmiot.

– Czy będzie padać w przyszły piątek? – zainteresował się pan da Silva. – Zapytajmy naszego Tejrezjasza!

I odwrócił się w moją stronę.

Czy można było spodziewać się w tej roli kogoś innego? Nie, jeśli Mroczny Przedmiot była idealną kandydatką na zbuntowaną heroinę, to ja byłem faworytem do roli starego, ślepego proroka. Moja potargana czupryna mogła świadczyć o zdolnościach jasnowidzenia. Moje zgarbione plecy powodowały, że wyglądałem, jakbym był przytłoczony ciężarem wieku. Mój na poły zmieniony głos brzmiał jak oderwany od powłoki cielesnej, natchniony. Oczywiście Tejrezjasz był również kobietą. Ale wtedy tego nie wiedziałem. I nie było o tym mowy w tekście.

Obojętne mi było, jaką rolę będę grał. Jedyne, co było ważne, jedyne, o czym mogłem myśleć, to fakt, że będę blisko Mrocznego Przedmiotu. Nie tak blisko jak na lekcjach, gdy nie można było z sobą rozmawiać. Nie tak blisko jak w jadalni, gdy pluła mlekiem na drugi stolik. Za to blisko na próbach przed szkolnym przedstawieniem, z towarzyszącym mu oczekiwaniem, z tą całą zażyłością za kulisami, z tym całym intensywnym, pełnym napięcia, frywolnym, emocjonalnym zapamiętywaniem się, spowodowanym udawaniem innej tożsamości, różniącej się od własnej.

– Uważam, że nie powinnyśmy korzystać z tekstu – oświadczyła Mroczny Przedmiot. Przyszła na próbę, wyglądając jak profesjonalistka, ze swoim tekstem zaznaczonym na żółto. Sweter miała zawiązany na plecach jak pelerynę.

– Powinnyśmy nauczyć się go na pamięć – popatrzyła po twarzach. – W przeciwnym razie wypadniemy sztucznie.

Pan da Silva uśmiechnął się. Nauka tekstu będzie wymagać od Mrocznego Przedmiotu wysiłku. To było coś nowego.

– Antygona ma dużo więcej tekstu niż inne postaci – powiedział. – Zatem jeśli Antygona nie chce korzystać z tekstu, reszta również powinna z niego zrezygnować.

Pozostałe dziewczęta zaczęły narzekać. Ale Tejrezjasz, już w tej chwili mając wizję przyszłości, zwrócił się w stronę Przedmiotu:

– Poćwiczę z tobą twoją rolę. Jeśli chcesz.

Przyszłość. Już teraz się działa. Przedmiot patrzyła na mnie. Trzecia powieka powoli się podnosiła.

– Dobrze – odpowiedziała z rezerwą.

Umówiłem się z nią na spotkanie następnego dnia, we wtorek wieczorem. Mroczny Przedmiot zapisała mi swój adres, a Tessie podwiozła mnie na miejsce. Wprowadzono mnie do biblioteki, gdzie moja koleżanka siedziała na zielonej, aksamitnej sofie. Była bez butów, ale nadal w szkolnym mundurku. Długie, rude włosy miała związane z tyłu głowy, dzięki czemu nie przeszkadzały jej w wykonywaniu czynności, jaką było zapalanie papierosa. Siedząc po turecku, Przedmiot pochylała się do przodu, trzymając papierosa w ustach nad zieloną ceramiczną zapalniczką w kształcie karczocha. W zapalniczce brakowało benzyny. Potrząsnęła nią i naciskała przycisk kciukiem, aż w końcu wyskoczył malutki płomyk.

– Rodzice pozwalają ci palić? – zapytałem.

Podniosła wzrok, zaskoczona, i powróciła do wykonywanej czynności. Dalej paliła papierosa, zaciągając się głęboko i powoli wydychając dym, wyraźnie znajdując w tym satysfakcję.

– Sami palą – powiedziała. – Byłaby to niezła hipokryzja, gdyby mi zabronili.

– Ale oni są dorośli.

– Mama i tato wiedzą, że gdy tylko zechcę, to będę palić. Jeśli mi zabronią, będę palić bez ich wiedzy.

Widać było, że taki układ funkcjonował już od pewnego czasu. Przedmiot znała się na paleniu papierosów. Paliła jak zawodowiec. Spod zmrużonych powiek taksowała mnie wzrokiem, a papieros zwisał z kącika jej ust. Wokół jej twarzy unosił się dym. To było bardzo dziwaczne zestawienie – surowy wyraz oczu starego wygi na obliczu dziewczynki ubranej w szkolny mundurek. W końcu podniosła rękę i wyjęła papierosa z ust. Nie szukając popielniczki, strzepnęła popiół. Spadł na dół.

– Takie dzieciaki jak ty chyba nie palą – stwierdziła.

– Chyba masz rację.

– Chcesz spróbować? – wyciągnęła do mnie paczkę tareytonsów.

– Nie chcę mieć raka.

Odrzuciła paczkę, wzruszając ramionami.

– Mam nadzieję, że zanim zachoruję, będą już potrafili go wyleczyć.

– Ja też mam taką nadzieję. Ze względu na ciebie.

Ponownie zaciągnęła się dymem, tym razem głębiej. Wstrzymała go w płucach, odwróciła się profilem, jak na filmie, i wypuściła dym.

– Ty pewnie nie masz żadnych złych nawyków? – zapytała.

– Mam setki złych nawyków.

– Na przykład?

– Na przykład żuję swoje włosy.

– A ja obgryzam paznokcie – powiedziała, nie chcąc być gorsza. Podniosła jedną dłoń, aby coś mi pokazać. – Mama każe mi nakładać na nie to świństwo. Smakuje jak gówno. Podobno ma mi pomóc w odzwyczajeniu się.

– I co, pomaga?

– Na początku pomagało. Ale teraz już chyba polubiłam ten smak – uśmiechnęła się. Ja też. Po chwili, krótko, jakby na próbę, zaśmiała się, a ja razem z nią.

– To nie jest takie złe, jak żucie własnych włosów – mówiłem dalej.

– A czemu nie?

– Bo jak żujesz włosy, zaczynają cuchnąć twoim obiadem.

Zrobiła minę i powiedziała:

– Ohyda.

Gdyby ta rozmowa odbywała się w szkole, pewnie wyglądałaby inaczej, ale tu nikt nas nie widział. W szerszym kontekście, bardziej światowym, więcej nas łączyło niż różniło. Byłem wtedy nastolatką, tak jak ona. I tak jak ona pochodziłem z przedmieścia. Postawiłem torbę i podszedłem do sofy. Przedmiot włożyła papierosa do ust. Kładąc dłonie po obu stronach skrzyżowanych nóg, podniosła się jak lewitujący jogin i przesunęła się na bok, robiąc mi miejsce.

– Jutro mam klasówkę z historii – powiedziała.

– Z kim macie historię?

– Z panną Schuyler.

– Panna Schuyler ma w biurku wibrator.

– Co?!

– Wibrator. Liz Clark go widziała. Trzyma go w dolnej szufladzie.

– Nie do wiary! – Przedmiot była wstrząśnięta. Ale po chwili zmrużyła oczy w zamyśleniu. Konfidencjonalnym tonem zapytała: – A do czego to służy?

– Wibrator?

– Tak – zdawała sobie sprawę, że powinna wiedzieć. Ale wierzyła, że nie będę się z niej naśmiewać. Tego dnia został zawarty swoisty układ: ja będę zajmować się sprawami głęboko intelektualnymi, jak wibratory, a ona kwestiami towarzyskimi.

– Większość kobiet nie osiąga orgazmu podczas normalnych stosunków – powiedziałem, cytując za egzemplarzem „Naszych ciał, naszego życia", który otrzymałem od Meg Zemki. – Potrzebują dodatkowego pobudzenia łechtaczki.

Widać było, jak za warstwą piegów Przedmiot oblała się rumieńcem. Ta wiadomość wyraźnie wprawiła ją w osłupienie. Mówiłem do jej lewego ucha. Rumieniec rozlewał się na jej twarzy, od tej właśnie strony, jakby moje słowa pozostawiały widzialny ślad.

– Niewiarygodne, że ty wszystko o tym wiesz.

– Wiesz, kto wszystko o tym wie? Panna Schuyler.

Salwa śmiechu, okrzyki radości buchające z jej ust jak gejzer. Następnie Przedmiot upadła do tyłu na sofę. Piszczała z rozkoszy i z odrazy. Machała nogami, strącając papierosy ze stolika. Znowu miała czternaście lat, a nie dwadzieścia cztery, i chociaż to było nieprawdopodobne, została moją przyjaciółką.

– „Bez łez, przyjaciół, weselnego pienia, kroczę już, jedna…"

– „biedna".

– „…biedna, ku śmiertelnej toni. Wnet już…"

– „…nie ujrzę…"

– „Nie ujrzę!". Nienawidzę tego! „Wnet już nie ujrzę ni słońca promienia. Nikt…"

– „Nikt łzy nad moją dolą nie uroni".

– „Nikt łzy nad moją dolą nie uroni".

Znowu byłem w domu Przedmiotu, powtarzając z nią tekst. Leżeliśmy na karaibskich sofach na oszklonej werandzie. Za głową Przedmiotu, recytującej z zamkniętymi oczami, latały papugi. Próba trwała już dwie godziny. Przedmiot wypaliła prawie całą paczkę papierosów. Służąca Beulah przyniosła nam tacę kanapek i dwie dwulitrowe butelki dietetycznej coli. Kanapki były z białego chleba, bez skórki, ale nie z ogórkiem czy rzeżuchą. Gąbczasty chleb pokryty był pastą w łososiowym kolorze.

Często robiliśmy przerwy. Przedmiot co chwilę musiała się posilić. Nadal nie czułem się zbyt pewnie w tym domu. Nie mogłem przyzwyczaić się do tego, że mi usługiwano. Co rusz się rzucałem, aby sam się obsłużyć. Ponadto Beulah była Murzynką, co jeszcze utrudniało sprawę.

– Naprawdę cieszę się, że gramy razem w tej sztuce – powiedziała Przedmiot, przeżuwając. – Nigdy nie rozmawiałabym z takim dzieciakiem jak ty – przerwała, zdając sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało. – To znaczy, nie miałam pojęcia, że jesteś taka fajna.

Fajna? Calliope fajna? Nigdy nawet o tym nie marzyłem. Ale byłem gotowy bez zmrużenia oka zaakceptować opinię Przedmiotu.

– Mogę ci coś powiedzieć? – zapytała. – O twojej roli?

– Jasne.

– Wiesz, chodzi o to, jak masz grać tego ślepca. Jak jeździmy na Bermudy, to tam jest taki facet, który prowadzi hotel. On jest ślepy. Z nim jest tak, że jego uszy są jego oczami. Jak ktoś wchodzi do pokoju, to on odwraca jedno ucho, w taki sposób. A jak ty udajesz – nagle przerwała i chwyciła mnie za rękę. – Nie będziesz na mnie zła, prawda?

– Nie.

– Callie, wyglądasz strasznie!

– Naprawdę?

Trzymała mnie za rękę. Nie puszczała jej.

– Na pewno nie jesteś na mnie zła?

– Nie jestem zła.

– Więc jak ty udajesz ślepą, to po prostu ciągle się potykasz. A chodzi o to, że ten gość na Bermudach, on wcale się nie potyka. Stoi zupełnie wyprostowany i wie, gdzie wszystko się znajduje. A jego uszy koncentrują się na tym, co się dzieje.

Odwróciłem twarz.

– Widzisz, jesteś zła.

– Nie jestem.

– Jesteś.

– Jestem niewidoma – powiedziałem. – Patrzę na ciebie moim uchem.

– Aha. Tak jest dobrze. Właśnie tak. Doskonale.

Nie puszczając mojej dłoni, pochyliła się bliżej i usłyszałem, poczułem na moim uchu, bardzo delikatnie, jej gorący oddech.

– Cześć, Tejrezjaszu – powiedziała, chichocząc. – To ja, Antygona.

Nadszedł dzień spektaklu (mówiłyśmy na niego „premiera”, chociaż nie planowano żadnych następnych). W zaimprowizowanej garderobie za kulisami my, główne aktorki, usiadłyśmy na składanych krzesełkach. Pozostała grupa ósmoklasistek stała już w wielkim półkolu na scenie. Spektakl miał się zacząć o siódmej i skończyć przed zachodem słońca. Była za pięć siódma. Zza dekoracji dochodziły odgłosy zapełniania się boiska hokejowego. Ciche dudnienie powoli robiło się coraz głośniejsze – głosy, kroki, skrzypienie trybun i dochodzący z parkingu dźwięk trzaskania drzwiami od samochodów. Wszystkie dziewczyny były ubrane w szaty do ziemi, zafarbowane nierównomiernie na czarno, szaro i biało. Szaty Mrocznego Przedmiotu były białe. Koncepcja pana da Silvy była minimalistyczna – żadnego makijażu, żadnych masek.

– Ilu tam jest ludzi? – zapytała Tina Kubek.

Maxine Grossinger wyjrzała.

– Tysiące.

– Chyba jesteś do tego przyzwyczajona, Maxine – powiedziałem. – Po tych wszystkich swoich recitalach.

– Kiedy gram na skrzypcach, to się nie denerwuję. Tu jest o niebo gorzej.

– Jestem taaaka zdenerwowana – powiedziała Przedmiot.

Pod pachą trzymała słoik z tabletkami na zgagę, które jadła jak cukierki. Zrozumiałem, dlaczego uderzyła się w piersi tego pierwszego dnia w klasie. Prawie cały czas Mroczny Przedmiot cierpiała na zgagę. To się nasilało w chwilach stresu. Kilka minut wcześniej wyszła zapalić ostatniego papierosa przed przedstawieniem. Teraz żuła te tabletki na zgagę. Najwyraźniej częścią dziedzictwa starego kapitału było posiadanie zwyczajów ludzi starych, tych odrażających potrzeb dorosłych i koszmarnych środków uśmierzających ból. Przedmiot była jeszcze zbyt młoda, aby ich skutki były widoczne na zewnątrz. Jeszcze nie miała worków pod oczami ani plam na paznokciach. Ale już drzemała w niej żądza wyrafinowanej zagłady. Z bliska cuchnęła dymem. W żołądku miała jeden wielki bałagan. Ale jej twarz nadal promieniowała jesienią. Umieszczone nad zadartym noskiem kocie oczy patrzyły bacznie, mrugały i ponownie koncentrowały się na gwarze, jaki narastał za dekoracjami.

– Przyszli moi rodzice! – krzyknęła Maxine Grossinger. Odwróciła się do nas i uśmiechnęła się szeroko. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Maxine się uśmiechała. Miała nierówne zęby, a między nimi tak szerokie

szpary, że wyglądało, jakby co drugiego brakowało, jak u postaci z książeczek dla dzieci rysowanych przez Sendaka. Ponadto nosiła aparat korekcyjny. Ta jej nieskrywana radość pozwoliła mi ją zrozumieć. Poza szkołą wiodła zupełnie inne życie. Maxine była szczęśliwa w swoim domu za cyprysami. Teraz stała między nami, a jej delikatną, muzykalną głowę otaczała burza kędzierzawych włosów.

– O, Jezu – Maxine znowu wyjrzała. – Siedzą w pierwszym rzędzie. Będą patrzeć prosto na mnie.

Wszystkie dziewczyny zerkały, każda po kolei. Tylko Mroczny Przedmiot pozostała na swoim krześle. Widziałem, jak przyjechali moi rodzice. Milton zatrzymał się na moment na koronie stadionu, aby ogarnąć wzrokiem boisko hokejowe. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że cieszy się na myśl o oczekującym go spektaklu, że podoba mu się szmaragdowa trawa, białe drewniane ławki na widowni, widoczna w oddali porośnięta bluszczem szkoła z dachem z błękitnej dachówki. W Ameryce Anglia jest traktowana jako miejsce, w którym można pozbyć się swoich cech etnicznych. Milton miał na sobie niebieską marynarkę i kremowe spodnie. Wyglądał jak kapitan statku wycieczkowego. Trzymał jedną rękę na plecach Tessie, którą prowadził delikatnie po schodach w dół, szukając dobrego miejsca.

Publiczność powoli się uspokoiła. Odezwała się fletnia Pana – to pan da Silva grał na swoim flecie.

Podszedłem do Mrocznego Przedmiotu i powiedziałem:

– Nie martw się, wszystko będzie w porządku.

Powtarzała sobie po cichu swoją rolę, ale w tym momencie przerwała.

– Naprawdę jesteś świetną aktorką – ciągnąłem.

Odwróciła się i opuściła głowę, ponownie poruszając wargami.

– Nie zapomnisz swojej roli. Ćwiczyłyśmy ją tysiące razy. Jeszcze wczoraj doskonale ją…

– Dasz mi chociaż chwilę spokoju? – warknęła. – Próbuję się nastawić psychicznie.

Spiorunowała mnie wzrokiem, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Stałem przybity, patrząc za nią i czując nienawiść do samego siebie. Fajna? Akurat. Doprowadziłem do tego, że Mroczny Przedmiot miała mnie dość. Czując, że zaraz się rozpłaczę, chwyciłem jedną z czarnych kurtyn

i zawinąłem się w nią. Stałem tak w ciemnościach, chcąc się zapaść pod ziemię.

To nie były tylko pochlebstwa. Ona naprawdę była dobra. Na scenie znikała nerwowość Przedmiotu. Poprawiała się jej postawa. I oczywiście był sam fakt jej fizycznego wyglądu, krwista czerwień jej postaci, bogactwo koloru przykuwające uwagę wszystkich. Fletnia Pana zakończyła swoją pieśń i na boisku nastała cisza. Tu i ówdzie ktoś odkaszlnął, oczyszczając swoje drogi oddechowe. Wyjrzałem zza mojej kurtyny i zobaczyłem, że Przedmiot oczekuje na rozpoczęcie. Stała dokładnie w centrum środkowego łuku, najwyżej trzy metry ode mnie. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak poważnej, tak skoncentrowanej. Talent jest rodzajem inteligencji. W oczekiwaniu na wejście Mroczny Przedmiot dochodziła do pełni swoich możliwości. Jej wargi poruszały się tak, jakby deklamowała wersy Sofoklesa dla samego Sofoklesa, jak gdyby, na przekór wszystkim dowodom intelektualnym, pojmowała literackie powody ich przetrwania. I tak stała, czekając na dalszy ciąg. Daleko od swoich papierosów i snobizmu, koteryjnych przyjaciółek, swojej okropnej ortografii. W tym właśnie była świetna – w prezentowaniu się przed ludźmi. Realizowała się wychodząc przed publiczność, stojąc tam i przemawiając. Właśnie wtedy zaczęła zdawać sobie z tego sprawę. Byłem świadkiem odkrywania się potencjalnej tożsamości.

Po sygnale Antygona wzięła głęboki oddech i weszła na scenę. Srebrny warkocz oplatał jej białe szaty, które powiewały, gdy ona wkroczyła w ciepłą bryzę.

– „Ze mną masz zwłoki opatrzyć braterskie".

Maxine-Ismena odrzekła:

– „Więc ty zamierzasz grzebać wbrew ukazom?"

– „Tak, brata mego, a dodam… i twego; bo wiarołomstwem nie myślę się kalać".

Chwilowo nie przebywałem na scenie. Rola Tejrezjasza nie była zbyt duża. Ponownie zawinąłem się w kurtynę i oczekiwałem. W dłoni trzymałem laskę. To był mój jedyny rekwizyt, plastikowy patyk pomalowany tak, aby imitował drewno.

W tym momencie usłyszałem lekkie odkaszlnięcie. Przedmiot powtórzyła:

– „Bo wiarołomstwem nie myślę się kalać".

I znowu cisza. Zerknąłem zza kurtyny. Widziałem je przez centralny łuk. Przedmiot była zwrócona do mnie plecami. W dalszej części sceny stała Maxine Grossinger z beznamiętnym wyrazem twarzy. Usta miała otwarte, ale nie wydobywało się z nich żadne słowo. Obok, tuż nad krawędzią sceny, widać było rumianą twarz panny Fagles, szeptem podpowiadającej Maxine słowa roli.

To nie była trema. W mózgu Maxine Grossinger pękł tętniak. W pierwszym momencie publiczność wzięła jej drżenie i zdumiony wyraz twarzy za element sztuki. Tu i ówdzie dało się słyszeć chichotanie w reakcji na sposób, w jaki Ismena z przesadą wczuwała się w swoją rolę. Ale matka Maxine, wiedząc dokładnie, co oznacza wyraz bólu na twarzy jej dziecka, wyskoczyła ze swojego miejsca.

– Nie – krzyknęła. – Nie!

Sześć metrów dalej, na podwyższeniu pod zachodzącym słońcem, Maxine Grossinger nadal milczała jak głaz. Z jej ust wydobyło się bulgotanie. Nagle, jakby po interwencji operatora światła, jej twarz zrobiła się niebieska. Nawet ludzie siedzący w ostatnich rzędach mogli zobaczyć, jak z jej krwi ucieka tlen. Różowość wyciekała z niej w dół, z czoła, policzków, z jej szyi. Później Mroczny Przedmiot zarzekała się, że Maxine patrzyła na nią błagalnym wzrokiem, że widziała, jak światło gaśnie w oczach koleżanki. Jednak zgodnie z tym, co mówili lekarze, to raczej nie mogła być prawda. Zawinięta w swoje czarne szaty, wciąż jeszcze stojąc na nogach, Maxine Grossinger była już martwa. Chwilę później runęła na twarz.

Pani Grossinger wdrapała się na scenę. Nie odezwała się. Nikt się nie odezwał. W ciszy dotarła do Maxine i rozerwała jej szaty. W ciszy matka zaczęła robić córce sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Zamarłem. Pozwoliłem, aby oplatająca mnie kurtyna odwinęła się, wyszedłem i patrzyłem w zdumieniu. Nagle biała plama wypełniła obszar łuku. Mroczny Przedmiot uciekała ze sceny. Przez chwilę przeszła mi przez głowę szalona myśl. Pomyślałem, że pan da Silva coś przed nami ukrywał. Mimo wszystko stosował się do tradycji. Ponieważ Mroczny Przedmiot miała na twarzy maskę. Maskę tragedii, oczy jak cięcia noża, usta w formie półksiężyca żałości. Z tą okropną twarzą rzuciła się w moim kierunku.

– Och, Boże! – łkała. – Och, Boże, Callie – cała drżała, a ja czułem, że mnie potrzebuje.

W tym momencie muszę uczynić okropne wyznanie. Właśnie to. Gdy bowiem pani Grossinger próbowała tchnąć życie z powrotem w ciało Maxine, kiedy słońce zachodziło melodramatycznie nad śmiercią, która nie była przewidziana w scenariuszu, ja czułem wzbierającą w moim ciele falę czystego szczęścia. Ożywiły się we mnie wszystkie nerwy, wszystkie cząsteczki. Trzymałem Mroczny Przedmiot w ramionach.

Zakochany Tejrezjasz

– Umówiłam cię na wizytę u lekarza.

– Niedawno byłam u lekarza.

– Nie u doktora Phila. U doktora Bauera.

– Kto to jest doktor Bauer?

– To lekarz… od spraw kobiecych.

W moich piersiach kipiało. Jakby moje serce jadło strzelające cukierki. Ale udawałem spokój, patrząc na widoczne za oknem jezioro.

– A kto powiedział, że ja jestem kobietą?

– Bardzo śmieszne.

– Niedawno byłam u lekarza.

– To były tylko ogólne badania.

– A teraz, po co mam iść?

– Gdy dziewczęta osiągają określony wiek, Callie, muszą przejść badania.

– Dlaczego?

– Aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Co to znaczy „wszystko”?

– Po prostu – wszystko.

Siedzieliśmy w samochodzie. W gorszym z naszych dwóch cadillaków. Gdy Milton kupił nowy samochód, stare auto dał Tessie. Mroczny Przedmiot zaprosiła mnie do spędzenia dnia w jej klubie i moja matka podwoziła mnie do domu koleżanki.

Było już lato, dwa tygodnie po zapaści Maxine Grossinger na scenie. Szkoła się skończyła. Na Middlesex trwały przygotowania do naszej podróży do Turcji. Milton, zdecydowany nie pozwolić, aby niepochlebne zdanie Jonasza na temat turystyki pokrzyżowało nasze plany wyjazdowe, rezerwował bilety na samolot i targował się z agencjami wynajmującymi samochody. Każdego ranka przeglądał gazetę i podawał nam pogodę w Stambule:

– Dwadzieścia siedem stopni i słonecznie. Jak to brzmi, Cal?

W odpowiedzi tylko kręciłem palcem wskazującym. Już nie pociągały mnie odwiedziny naszej ojczyzny. Nie chciałem marnować wakacji na malowaniu kościoła. Grecja, Azja Mniejsza, Olimp – co to miało wspólnego ze mną? Kilka kilometrów obok odkryłem właśnie zupełnie nowy kontynent.

Latem 1974 roku Turcja i Grecja znowu miały się pojawić w wiadomościach. Ale ja zupełnie nie zwracałem uwagi na rosnące napięcie. Miałem własne kłopoty. Co więcej, byłem zakochany. Potajemnie, karygodnie, nie do końca świadomie, ale zakochany jak wariat.

Nasze piękne jezioro było pokryte brudem. Normalny w czerwcu kożuch muszek. Wokół jeziora zainstalowano nową balustradę i gdy przejeżdżaliśmy obok niej, naszły mnie ponure myśli. Maxine Grossinger nie była jedyną uczennicą naszej szkoły, która zmarła tego roku. W wypadku samochodowym zginęła Carol Henkel, dziewczyna z przedostatniej klasy. Pewnego sobotniego wieczoru jej pijany chłopak, Rex Reese, wpadł samochodem rodziców do jeziora. Rex przeżył, dopłynął do brzegu. Ale Carol została, uwięziona w samochodzie.

Minęłyśmy szkołę Baker & Inglis, zamkniętą i zawieszoną w nierealnym świecie szkół w okresie wakacji. Skręciłyśmy w Kerby Road. Przedmiot mieszkała na Tonnacour, w domu z szarego kamienia i desek, na którego dachu znajdował się kurek. Na żwirze stał zaparkowany mało atrakcyjny ford sedan. Wstydziłem się naszego cadillaca i szybko wysiadłem, życząc sobie, aby moja matka jak najszybciej znikła.

Gdy zadzwoniłem, drzwi otworzyła mi Beulah. Poprowadziła mnie do schodów i wskazała na górę. To było wszystko. Wszedłem na piętro. Jeszcze nigdy nie byłem na piętrze domu Przedmiotu. Panował tu większy bałagan niż u nas, a na podłodze leżały stare wykładziny. Sufit od lat nie był malowany. Ale meble były imponujące, ciężkie i stare, i czuło się otaczający je klimat trwałości i ustalonej opinii o ich wartości.

Zaglądnąłem do trzech pokoi, zanim odnalazłem Przedmiot. Rolety w jej pokoju były zaciągnięte. Porozrzucane ubrania walały się po całej włochatej wykładzinie i musiałem przez nie brnąć, aby podejść do łóżka. Ale tam leżała ona, spała w koszulce z Lesterem Laninem. Zawołałem ją. Potrząsnąłem nią. W końcu usiadła, opierając się na poduszkach, i zamrugała.

– Muszę strasznie wyglądać – powiedziała po chwili.

Nic na to nie odpowiedziałem. Trzymanie jej w niepewności tylko wzmacniało moją pozycję. Śniadanie podano we wnęce jadalnej. Beulah obsługiwała nas bez specjalnej staranności, przynosząc i wynosząc talerze. Nosiła prawdziwy strój pokojówki, czarny z białym fartuszkiem. Jej okulary pochodziły z innego, bardziej eleganckiego etapu jej życia. Na lewym szkle widać było jej imię wypisane złotymi literami.

Do kuchni weszła pani Przedmiot, stukając bucikami na niskim obcasie:

– Dzień dobry, Beulah. Wychodzę do weterynarza. Trzeba wyrwać ząb Shebie. Odwiozę ją z powrotem, ale zaraz potem jadę na lunch. Może być trochę zamroczona. Aha – dzisiaj przychodzą ludzie po zasłony. Wpuść ich i daj im czek, jest na ladzie. Cześć, dziewczynki! Nie zauważyłam was. Musisz mieć na nią świetny wpływ, Callie. Dziewiąta trzydzieści, a ta już na nogach? – zmierzwiła córce włosy. – Spędzicie dzień w Małym Klubie, moje drogie? Dobrze. My z ojcem wychodzimy wieczorem z Petersami. Beulah zostawi wam coś w lodówce. Trzymajcie się!

Przez cały ten czas Beulah myła szklanki. Trzymała się swojej taktyki. Z premedytacją nie odzywała się do nikogo na Grosse Pointe.

Przedmiot zakręciła obrotową tacą. Przejechały francuskie dżemy, angielskie marmolady, zabrudzony pojemnik na masło, butelki ketchupu i sosu worcester, aż w końcu dojechało do niej to, czego szukała – duży słoik z tabletkami na zgagę. Wysypała sobie trzy.

– Co to jest ta zgaga? – odezwałem się.

– Nigdy nie miałaś zgagi? – zapytała Przedmiot, zdumiona.

Mały Klub to nie była prawdziwa nazwa klubu. Oficjalna brzmiała Grosse Pointe Club. Posiadłość znajdowała się na wyspie, jednak nie było tam widać nabrzeża czy łodzi, tylko pawilony wyglądające jak dworki, dwa korty do gry w tenisa oraz basen. To właśnie obok tego basenu wylegiwałyśmy się codziennie w czerwcu i lipcu tego roku.

Jeśli chodzi o stroje kąpielowe, Przedmiot preferowała kostium bikini. Wyglądała w nim dobrze, aczkolwiek nie idealnie. Podobnie jak jej uda, również jej biodra były dosyć duże. Mówiła, że zazdrości mi moich chudych, długich nóg, ale tak naprawdę starała się tylko być miła. Pierwszego dnia, jak każdego następnego, Calliope przyszła na basen w staromodnym jednoczęściowym kostiumie ze spódniczką. Należał do

Sourmeliny jeszcze w latach pięćdziesiątych. Znalazłem go w starym kufrze. Zgodnie z założeniem projektanta, osoba ubrana w taki kostium miała wyglądać modnie, ale dla mnie najważniejsze było to, że zakrywał całe ciało. Dodatkowo wieszałem na szyi ręcznik albo zakładałem koszulkę z aligatorem. Zaletą kostiumu był również stanik. Miseczki były podgumowane, sterczące i pod ręcznikiem czy koszulką wywoływały wrażenie, jakbym miał biust, którego w rzeczywistości wcale nie było.

W basenie obok nas tam i z powrotem pływały panie w czepkach kąpielowych, z brzuchami jak pelikany, trzymając w dłoniach deski do nauki pływania. Ich stroje kąpielowe były bardzo podobne do mojego. Małe dzieci taplały się i brodziły w płytkiej wodzie na końcu basenu. Istnieje niewielka szansa, że piegowate dziewczyny mogą się opalić. Przedmiot mogła korzystać z tej szansy. Przez sporą część tego lata przewracaliśmy się na naszych ręcznikach, smażąc się w sosie własnym, a piegi Przedmiotu ciemniały, stopniowo zmieniając kolor z żółtawego na brązowy. Ciemniała również skóra między piegami, łącząc je w cętkowaną maskę arlekina. Tylko czubek jej nosa pozostał różowy. Przedziałek włosów był czerwony od nadmiernej opalenizny.

Na talerzach z pofalowaną krawędzią żeglowały do nas podwójne kanapki. Jeśli byliśmy w bardziej kapryśnym nastroju, wybieraliśmy gorące kanapki z sosem. Ponadto koktajl mleczny, lody, frytki. Za zapłatę służył podpis Przedmiotu z nazwiskiem jej ojca. Mówiła o Petoskey, gdzie jej rodzina miała domek letni.

– Jedziemy tam w sierpniu. Może mogłabyś pojechać z nami?

– My jedziemy do Turcji – odpowiedziałem nieszczęśliwym tonem.

– Rzeczywiście. Zapomniałam. – I po chwili: – Dlaczego musisz malować kościół?

– Mój ojciec złożył obietnicę.

– Co takiego?

Za nami pary małżeńskie grały w tenisa. Na dachu pawilonu powiewały proporczyki. Czy to było odpowiednie miejsce do opowiadania o świętym Krzysztofie? O wojennych losach mojego ojca? O przesądach mojej babki?

– Wiesz, o czym ciągle myślę? – powiedziałem.

– O czym?

– Ciągle myślę o Maxine. Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje.

– Wiem. Trudno mi się pogodzić z tym, że ona naprawdę umarła. To tak, jakby mi się to śniło.

– O tym, że to jest prawda, wiemy tylko dlatego, że nam obu to się przyśniło. Na tym właśnie polega rzeczywistość. To sen, który śnią wszyscy razem.

– To było głębokie – stwierdziła Przedmiot.

Dałem jej klapsa.

– Au!

– Masz za swoje.

Nasz kokosowy olejek do opalania przyciągnął robactwo. Zabijaliśmy je bez litości. Przedmiot powoli przedzierała się przez karty książki Harold Robbins „The Lonely Lady". Co kilka stron kręciła głową i oświadczała:

– Ta książka jest strasznie zbereźna.

Ja czytałem „Oliviera Twista", jedną z naszych lektur wakacyjnych.

Nagle słońce się schowało. Na czytaną przeze mnie stronę spadła kropla wody. Ale to było nic w porównaniu z kaskadą, jaka spadła na Przedmiot. Nad nami kołysał się starszy chłopak i potrząsał swoją mokrą czupryną.

– Ty diable – krzyknęła – przestań!

– O co chodzi? Ja was tylko chłodzę.

– Przestań!

W końcu przestał. Wyprostował się. Kąpielówki zwisały z jego chudych kości biodrowych. Widać było cienki paseczek włosów biegnących od pępka w dół. Ten ślad mrówek był czerwony. Ale na głowie włosy miał kruczoczarne.

– Kto jest ostatnią ofiarą twojej gościnności? – zapytał chłopak.

– To jest Callie – powiedziała Przedmiot. A potem do mnie: – To mój brat, Jerome.

Podobieństwo było wyraźne. Nad twarzą Jerome'a pracowała ta sama paleta barw (głównie odcienie koloru pomarańczowego i jasnoniebieskiego), ale w ogólnym zarysie widać było jakiś brak subtelności, nos trochę jak kartofel, oczy lekko zezowate, punkciki światła. Jako pierwsze rzuciły mi się w oczy czarne, matowe włosy, jak się wkrótce okazało, farbowane.

– To ty grałaś w przedstawieniu, prawda?

– Tak.

Jerome skinął głową. Z błyskiem w wąskich oczach powiedział:

– Aktorka, co? Tak jak ty. Zgadza się, siostrzyczko?

– Mój brat ma dużo problemów – powiedziała Przedmiot.

– Hej, dziewczyny, skoro bawi was sztuka sceniczna, może byście chciały zagrać w moim nowym filmie? – spojrzał na mnie. – Kręcę film o wampirach. Byłaby z ciebie świetna wampirzyca.

– Tak sądzisz?

– Pokaż mi zęby.

Nie spełniłem jego prośby, idąc śladem Przedmiotu, nie pozwalałem mu na zbyt dużą poufałość.

– Jerome zajmuje się filmami o potworach – wyjaśniła.

– To są horrory – poprawił ją, wciąż kierując swoje słowa do mnie. – Nie filmy o potworach. Moja siostra, jak zawsze, deprecjonuje wybrany przeze mnie środek ekspresji. Chcecie poznać tytuł filmu?

– Nie – powiedziała Przedmiot.

– Wampiry w prywatnym liceum. Jest to opowieść o wampirze, granym przez *moi*, który zostaje wysłany do prywatnego liceum, ponieważ jego zamożni, ale bardzo nieszczęśliwi rodzice właśnie się rozwodzą. W tej nowej szkole z internatem nie idzie mu zbyt dobrze. Nie nosi odpowiednich ubrań. Nie ma odpowiedniej fryzury. Ale pewnego dnia po balandze idzie przez kampus i zostaje zaatakowany przez wampira. I – tu jest najlepszy numer – wampir pali fajkę. Nosi ubranie z tweedu Harrisa. Okazuje się, że to jest ten jego pierdolony dyro! Więc następnego ranka nasz bohater budzi się i od razu idzie kupić niebieską marynarkę i odpowiednie obuwie i – proszę bardzo – jest grzecznym uczniakiem!

– Może byś się tak przesunął, zasłaniasz mi słońce.

– To taka metafora na wszystkie doświadczenia związane ze szkołą – powiedział Jerome. – Każde pokolenie dręczy następne, zamieniając je w żywe trupy.

– Jerome wyleciał z dwóch szkół z internatem.

– I zemszczę się na nich! – oświadczył Jerome zachrypłym głosem, wygrażając ręką w powietrzu. Następnie, bez słowa, pobiegł w kierunku basenu i wskoczył do wody. Jeszcze w powietrzu odwrócił się przodem do nas. I tak zawisł Jerome, chudy, z zapadniętą klatką piersiową, biały jak mleko i z pomarszczoną twarzą, jedną ręką trzymając się za jądra. Zachował tę pozę do końca.

Byłem zbyt młody, aby zastanawiać się nad tym, co kryło się za naszą zażyłością. W następnych dniach i tygodniach nie myślałem o motywacji Przedmiotu, o jej miłosnej próżni. Jej matka przez cały dzień była zajęta. Ojciec wychodził do biura o szóstej czterdzieści pięć. Jerome był bratem i w związku z tym był bezużyteczny. Przedmiot nie lubiła być sama. Nigdy nie nauczyła się sama bawić. Prawdopodobnie dlatego pewnego dnia, gdy właśnie miałem wsiąść na rower i pojechać do domu, zaproponowała, żebym został na noc.

– Nie mam szczoteczki do zębów.

– Możesz używać mojej.

– To ohydne.

– Dam ci nową. Mamy ich całe pudełko. Boże, jesteś taka porządnicka.

Tylko udawałem przyzwoitość. W rzeczywistości wcale by mi nie przeszkadzało używanie szczoteczki Przedmiotu. Nie przeszkadzałoby mi bycie szczoteczką Przedmiotu. Już teraz dość dobrze znałem wspaniałości jej ust. Nieocenione jest tu palenie. Można się dokładnie przyjrzeć, jak usta się marszczą i składają się do ssania. Często można zobaczyć język, który oblizuje pozostałe na wargach resztki filtru. Czasami do dolnej wargi przyczepiają się kawałeczki papieru i palacz, odrywając je, obnaża dolne zęby na tle mięsistych dziąseł. A jeśli palący puszcza jeszcze do tego kółka z dymu, to można dokładnie zobaczyć ciemny aksamit wewnętrznej strony policzków.

Tak też było z Mrocznym Przedmiotem. Papieros w łóżku był kamieniem nagrobnym oznaczającym koniec każdego dnia, a także trzciną, przez którą każdego ranka wciągała w płuca nowe życie. Czy słyszeliście kiedyś o wdechowych artystach? Otóż Mroczny Przedmiot była „artystką wydechową". Dysponowała całym repertuarem. Był Sierp, z którego korzystała podczas rozmowy z drugą osobą, kiedy grzecznie, z kącika ust, wydmuchiwała dym w przeciwną stronę. Był Gejzer, gdy była wściekła. Była Smoczyca, gdy dym wychodził przez jej nozdrza. Był Francuski Recykling, polegający na wydychaniu dymu przez usta i wciąganiu go z powrotem przez nos. Było również Połykanie. Połykanie było zarezerwowane na sytuacje kryzysowe. Pewnego razu, w toalecie w skrzydle naukowym, Przedmiot właśnie porządnie się zaciągnęła, gdy do środka wparowała nauczycielka. Moja przyjaciółka miała tylko tyle czasu,

aby wrzucić niedopałek do muszli i spuścić wodę. Ale co z dymem? Gdzie miał się ulotnić?

– Kto tu palił? – zapytała nauczycielka.

Przedmiot tylko wzruszyła ramionami, trzymając usta zamknięte. Nauczycielka nachyliła się nad nią, węsząc wokoło. I Przedmiot połknęła dym. Ani krztyna nie wydostała się na zewnątrz. Ani jedna wstęga. Ani jeden kłębuszek. Lekkie zawilgocenie oczu było jedyną oznaką, że w jej płucach wybuchł Czarnobyl.

Przyjąłem zaproszenie Przedmiotu i zostałem na noc. Pani Przedmiot zadzwoniła do Tessie zapytać, czy ona się na to zgadza, i o jedenastej wieczorem byliśmy wraz z moją przyjaciółką razem w łóżku. Dała mi do ubrania koszulkę z krótkim rękawem, na której widniał napis „Fessenden". Założyłem ją, a Przedmiot zachichotała.

– Co?

– To koszulka Jerome'a. Śmierdzi?

– Dlaczego dałaś mi akurat tę? – spytałem, sztywniejąc i kurcząc się pod dotykiem bawełny, ale nie zdejmując koszulki.

– Moje są za małe. Chcesz koszulkę taty? Cuchnie wodą kolońską.

– Twój tato używa wody kolońskiej?

– Po wojnie mieszkał w Paryżu. Ma masę szurniętych przyzwyczajeń – wdrapała się na wielkie łóżko. – A oprócz tego spał z milionem francuskich prostytutek.

– Powiedział ci?

– Niezupełnie. Ale gdy opowiada o Francji, wygląda na napalonego. Służył tam w wojsku. Był chyba odpowiedzialny za zarządzanie Paryżem po wojnie. A mama bardzo się wkurza, gdy on o tym opowiada – zaczęła naśladować głos matki. – Kochanie, wystarczy już tego frankofilstwa jak na jeden wieczór.

Jak zwykle, gdy grała, błyskawicznie podnosił się jej iloraz inteligencji. Przewróciła się na brzuch.

– Zabijał także ludzi.

– Naprawdę?

– Tak – powiedziała, dodając natychmiast tytułem wyjaśnienia: – Nazistów.

Wspiąłem się na wielkie łóżko. W domu miałem jedną poduszkę. Tu było sześć.

– Masaż pleców – wykrzyknęła radośnie Przedmiot.

– Dobra, ale później zmiana.

– Zgoda.

Siadłem na niej okrakiem, na siodle jej bioder, i zacząłem od jej ramion. Przeszkadzały mi jej włosy, więc je odsunąłem. Przez chwilę nic nie mówiliśmy, masowałem w milczeniu, a po chwili zapytałem:

– Byłaś kiedyś u ginekologa?

Przedmiot skinęła głową wciśniętą w poduszkę.

– Jak to jest?

– To tortury. Nienawidzę tego.

– Co tam robią?

– Najpierw każą ci się rozebrać i nałożyć taką małą sukienkę. Jest zrobiona z papieru i czujesz, jak owiewa cię zimne powietrze. Zamarzasz. Potem każą ci się położyć na takim stole, z rozłożonymi nogami.

– Z rozłożonymi nogami?

– No. Musisz włożyć nogi w takie metalowe uchwyty. Potem ginekolog przeprowadza badanie miednicy, a to jest zabójcze uczucie.

– Co to znaczy badanie miednicy?

– Myślałam, że to ty jesteś specjalistką seksualną.

– Mów.

– Badanie miednicy odbywa się, wiesz, w środku. Wpychają ci do środka ten wichajster, żeby cię rozciągnąć szeroko, i jazda.

– Niewiarygodne.

– To naprawdę jest mordercze. I jest strasznie zimno. A do tego ten ginekolog robi sobie kiepskie żarty w trakcie węszenia w środku. Ale najgorsze jest to, co robi z rękami.

– Co?

– Można powiedzieć, że wsadza je tak głęboko, aż może połaskotać twoje migdałki.

Oniemiałem. Byłem absolutnie zszokowany i sparaliżowany z przerażenia.

– Do kogo masz iść? – zapytała Przedmiot.

– Niejaki doktor Bauer.

– Doktor Bauer! To ojciec Renee. On jest zupełnie zboczony!

– Co masz na myśli?

– Pewnego razu poszłam popływać do Renee. Oni mają basen. Z domu wyszedł doktor Bauer, stanął i patrzył na nas. A potem zaczął: „Masz doskonale zbudowane nogi. Idealne proporcje". Boże, co za zboczeniec! Doktor Bauer, żal mi cię.

Podniosła brzuch, aby oswobodzić się z koszulki. Masowałem dolną część jej pleców, sięgając pod koszulkę, aby ugniatać łopatki.

Przedmiot ucichła. Ja również. Starałem się nie myśleć o ginekologu, koncentrując się na masażu. Nie było to takie trudne. Jej plecy w miodowym albo raczej w morelowym kolorze zwężały się nieco inaczej niż moje. W różnych miejscach widać było małe białe plamki, jakby anty-piegi. We wszystkich masowanych miejscach skóra się zaczerwieniała. Wyczuwałem znajdującą się pod spodem krew, napływającą i odpływającą. Skóra pod jej pachami była tak szorstka jak koci język. Poniżej pach jej piersi wypływały na boki, spłaszczone na materacu.

– Dobra – powiedziałem po dłuższej chwili. – Teraz moja kolej.

Ale tej nocy miało być tak jak we wszystkie inne. Ona zasnęła.

Z Przedmiotem nigdy nie przychodziła kolej na mnie.

Powracają do mnie porozrzucane dni tego lata z Przedmiotem, każdy w pamiątkowej kuli z płatkami śniegu. Jeszcze raz nimi potrząsnę. Spójrzmy, jak opadają śnieżynki.

Leżymy w łóżku w niedzielny poranek. Przedmiot na plecach. Ja jestem oparty na łokciu i nachylam się, badając jej twarz.

– Wiesz co to jest ropka w kącikach oczu? – pytam.

– Co?

– Glut z nosa.

– Pleciesz.

– Nie. To jest śluz. To smarki, które wychodzą ci z oczu.

– To ohydne!

– Zostało ci trochę ropki w oczach, moja droga – mówię, udawanym niskim głosem. Palcem usuwam strupek z rzęs Przedmiotu.

– Sama nie wiem, dlaczego ci na to pozwalam – mówi. – Dotykasz moich smarków.

Patrzymy na siebie przez chwilkę.

– Dotykam twoich smarków! – krzyczę. Zaczynamy się przetaczać po łóżku i zwijać, rzucamy w siebie poduszkami i dalej krzyczymy.

Innego dnia Przedmiot się kąpie. Ma własną łazienkę. Ja leżę na łóżku i czytam plotkarskie czasopismo.

– Widać, że w tym filmie Jane Fonda tak naprawdę nie jest nago – mówię.

– Po czym?

– Ma na sobie trykot. Widać.

Idę do łazienki, aby jej to pokazać. Przedmiot leży rozwalona w wannie stojącej na czterech łapach, pod warstwą bitej śmietany, i pumeksuje piętę.

Patrzy na fotografię i mówi:

– Ty też nigdy nie jesteś goła.

Zamieram, oniemiały.

– Masz jakieś kompleksy?

– Nie mam żadnych kompleksów.

– To czego się boisz?

– Nie boję się.

Przedmiot wie, że to nieprawda. Ale nie ma złych intencji. Nie chce mnie podpuścić, tylko rozwiać moje obawy. Moja wstydliwość zbija ją z tropu.

– Nie wiem, czym się tak przejmujesz – mówi. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Udaję, że jestem pochłonięty czytaniem magazynu. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku. Jednak w środku aż kipię od szczęścia. Rozpiera mnie ogromna radość, ale dalej gapię się w magazyn, jakbym był na niego wściekły.

Jest już późno. Długo oglądaliśmy telewizję. Gdy wchodzę do łazienki, Przedmiot myje zęby. Opuszczam majtki i siadam na sedesie. Robię to czasami w ramach rekompensaty za moje nietypowe zachowanie. Koszulka jest na tyle długa, że zakrywa moje kolana. Siusiam, a Przedmiot myje zęby.

W tym momencie wyczuwam dym. Spoglądam w górę i widzę, że w ustach Przedmiotu obok szczoteczki do zębów znajduje się papieros.

– Palisz nawet podczas mycia zębów?

Patrzy na mnie z ukosa.

– Mentolowe – odpowiada.

Pamiątki mają jedną charakterystyczną cechę – ich blask szybko zanika.

Do rzeczywistości przywróciła mnie karteczka przylepiona do naszej lodówki: „Doktor Bauer, 22 lipca, 14.00".

Byłem przerażony. Przerażony na myśl o zboczonym ginekologu i jego narzędziach tortur. Na myśl o metalowych przedmiotach, które mają rozszerzać moje nogi i o tym wichajstrze, który będzie rozszerzał jeszcze coś innego. I przerażony na myśl, co to całe rozszerzanie może ujawnić.

To właśnie w tym okresie, gdy znalazłem się w emocjonalnej lisiej norze, ponownie zacząłem chodzić do kościoła. Pewnej niedzieli na początku lipca moja matka i ja ubraliśmy się (Tessie w buty na wysokim obcasie, ja nie) i pojechaliśmy do kościoła Wniebowzięcia. Tessie również cierpiała. Minęło już sześć miesięcy od czasu gdy Jonasz odjechał z Middlesex na swoim motorze i nadal nie powracał. Co gorsza – w kwietniu dowiedzieliśmy się, że rzuca studia. Planował przenieść się z kilkoma kolegami na cypel Upper Peninsula i, jak to określił, żyć z ziemi.

– Chyba nie wpadnie na taki głupi pomysł, żeby uciec i ożenić się z tą Meg, prawda? – Tessie zapytała Miltona.

– Miejmy nadzieję, że nie – odpowiedział.

Tessie martwiła się również, że Jonasz nie dba o siebie. Nie chodził regularnie do dentysty. W wyniku przejścia na wegetarianizm jego cera zrobiła się bledsza. Wypadały mu włosy. W wieku dwudziestu lat! To spowodowało, że Tessie nagle poczuła się staro.

Zjednoczeni w niepokoju, z różnych powodów poszukując pociechy (Tessie pragnąca pozbyć się swoich bólów, a ja rozpoczęcia się moich), weszliśmy do kościoła. Na ile udało mi się zorientować w praktykach w greckim kościele prawosławnym Wniebowzięcia, każdej niedzieli zbierali się w nim księża i czytali na głos Pismo Święte. Zaczynali od Księgi Rodzaju i ciągnęli do Księgi Liczb i Księgi Powtórzonego Prawa. I dalej – przez Księgę Psalmów, Księgę Przysłów, księgi Koheleta, Izajasza, Jeremiasza i Ezechiela, aż do Nowego Testamentu. Potem i to czytali. Biorąc pod uwagę długość nabożeństwa, chyba nie było innej możliwości.

Kościół powoli wypełniał się przy dźwiękach pieśni śpiewanych przez kapłanów. W końcu zapalił się główny żyrandol i przed ikonostas wyskoczył ojciec Mike wyglądający jak naturalnej wielkości marionetka. Zawsze zdumiewała mnie przemiana, jakiej ulegał mój wuj każdej niedzieli. W świątyni ojciec Mike pojawiał się i znikał z boską szybkością. W jednej chwili był na górze, na balkonie, śpiewając swoim miękkim,

zupełnie niemuzykalnym głosem. W następnej był już z powrotem na dole, wymachując kadzielnicą. Błyszczący biżuterią, tak przesadnie wystrojony w swoich szatach jak jajko Fabergé, defilował po kościele, udzielając nam błogosławieństwa bożego. Czasami z kadzielnicy wydzielało się bardzo dużo dymu i można było odnieść wrażenie, że ojciec Mike posiadł zdolność okrywania się mgłą. Jednak gdy mgła się rozwiewała i gdy po południu siedzieliśmy w naszym salonie, znowu był małym, nieśmiałym człowieczkiem w czarnym ubraniu z poliestru i z plastikową koloratką.

Zupełnie inaczej było z ciotką Zoë. W kościele była potulna. Okrągły, szary kapelusik, który nosiła, wyglądał jak główka śruby, którą była przykręcona do ławki. Stale podszczypywała swoich synów, aby nie pozasypiali. Trudno mi było znaleźć związek między tą zatroskaną, zgarbioną osobą siedzącą przed nami co tydzień w kościele, a zabawną kobietą, która, rozweselona winem, zaczynała odstawiać komediowe scenki w naszej kuchni.

– Mężczyźni, nie zbliżać się! – wykrzykiwała, tańcząc z moją matką. – Mamy tu noże.

Kontrast między Zoë chodzącą do kościoła a Zoë pijącą wino był tak zdumiewający, że zawsze starałem się jej dokładnie przyglądać podczas liturgii. W niedzielę, gdy moja matka stukała ją w ramię, aby się przywitać, ciotka Zo zazwyczaj odpowiadała tylko lekkim uśmiechem. Jej wielki nos sprawiał wrażenie napęczniałego z żalu. Następnie się odwracała, robiła znak krzyża i sadowiła się na czas trwania nabożeństwa.

Zatem: kościół Wniebowzięcia w ten lipcowy poranek. Kadzidło podnosi się z gryzącym zapachem irracjonalnej nadziei. Nieco bliżej (na dworze siąpiło) zapach mokrej wełny. Ze schowanych pod ławkami parasoli kapie woda. Strumyczki z tych parasoli spływają po nierównej podłodze naszego kiepsko zbudowanego kościoła i zbierają się w kałuże. Zapach lakieru do włosów, perfum i tanich cygar, powolne tykanie zegarków. Burczenie w coraz większej liczbie brzuchów. I ziewanie. Zapadanie w drzemkę, chrapanie i budzenie łokciem.

Nasza liturgia, niekończąca się, moje własne ciało nieczułe na nakazy upływającego czasu. A bezpośrednio przede mną Zoë Antoniou, z którą czas również niezbyt pobłażliwie się obchodził.

Życie żony duchownego było gorsze, niż ciotka Zo mogła się spodziewać. Nienawidziła tych lat spędzonych na Peloponezie. Mieszkali

w małym, nieogrzewanym, kamiennym domu. Wieśniaczki rozkładały koce pod drzewami oliwnymi i tak długo uderzały w gałęzie, aż spadły oliwki.

– Kiedy one skończą tak cholernie hałasować! – skarżyła się Zoë. W ciągu pięciu lat, przy bezustannym akompaniamencie dźwięków dochodzących z drzew, katowanych przez wieśniaczki, urodziła czwórkę dzieci. Wysyłała do mojej matki listy, opisując w nich swój ciężki los: brak pralki, samochodu, telewizji, podwórze pełne kamieni i kóz. Podpisywała listy: „Święta Zoë, męczennica Kościoła".

Ojcu Mike'owi Grecja bardziej przypadła do gustu. Lata tam spędzone stanowiły najlepszy okres jego kapłaństwa. W tej malutkiej wiosce na Peloponezie nadal jeszcze funkcjonowały stare przesądy. Nadal wierzono w zły urok. Nikt nie litował się nad nim, dlatego że był księdzem, podczas gdy później, w Ameryce, jego parafianie zawsze traktowali go z lekką, ale wyraźną protekcjonalnością, jak kogoś szalonego, komu należy wybaczyć jego urojenia. Gdy ojciec Mike był w Grecji, nie trapiły go upokorzenia wynikające ze sprawowania godności kapłana w rzeczywistości gospodarki rynkowej. Mógł tam zapomnieć o mojej matce, która go porzuciła, i mógł uciec od porównań z moim ojcem, który zarabiał o tyle więcej pieniędzy. Ciągłe zrzędzenie i narzekania jego żony nie zaczęły go jeszcze nakłaniać do myślenia o porzuceniu kapłaństwa i nie prowadziły go do jego desperackiego czynu...

W 1956 roku ojciec Mike został wysłany ponownie do Stanów, do kościoła w Cleveland. W roku 1958 został kapłanem w kościele Wniebowzięcia. Zoë cieszyła się z powrotu do domu, ale nigdy nie przyzwyczaiła się do tego, że musi występować jako *presvytera*. Nie odpowiadało jej służenie za wzór do naśladowania. Miała spore trudności z tym, aby dzieci były schludne i dobrze ubrane.

– Za jakie pieniądze? – krzyczała do swojego męża. – Może gdyby ci płacili połowę przyzwoitej pensji, dzieci wyglądałyby lepiej.

Moi kuzyni – Arystoteles, Sokrates, Kleopatra i Platon – wyglądali jak sfrustrowane, wycackane dzieci pastora. Chłopcy nosili tanie, dwurzędowe garniturki w jaskrawych kolorach. Na głowach mieli fryzurę afro. Cleo, która była tak piękna i miała tak migdałowe oczy jak jej imienniczka, nosiła sukienki kupowane w firmie wysyłkowej. Rzadko się odzywała i podczas nabożeństwa bawiła się z Platonem w kocią kołyskę.

Zawsze lubiłem ciotkę Zo. Podobał mi się jej mocny, sceniczny głos. Podobało mi się jej poczucie humoru. Była głośniejsza niż większość mężczyzn i, jak nikt inny, potrafiła rozbawić moją matkę.

Na przykład tej niedzieli podczas jednej z wielu chwil ciszy, ciotka Zo odwróciła się do tyłu i pozwoliła sobie na żart:

– Ja muszę tu być, Tessie. A co ty masz na swoje usprawiedliwienie?

– Po prostu Callie i ja miałyśmy ochotę przyjść do kościoła.

Platon, mały jak jego ojciec, wykrzyknął, karcącym tonem:

– Wstydziłabyś się, Callie. Co takiego zrobiłaś?

Jednocześnie strugał palcami marchewkę.

– Nic – odpowiedziałem.

– Hej, Soc – Platon szepnął do swojego brata. – Kuzynka Callie chyba się zarumieniła.

– Chyba zrobiła coś, do czego nie chce się przyznać.

– Uspokójcie się – powiedziała ciotka Zo, bo właśnie zbliżał się ojciec Mike z kadzielnicą. Moi kuzyni się odwrócili. Moja matka schyliła głowę do modlitwy. Ja również. Tessie modliła się o Jonasza, aby się opamiętał. A ja? To proste. Modliłem się, abym wreszcie miał okres. Modliłem się o otrzymanie stygmatów kobiecości.

Lato było już w pełni. Milton wyciągnął z piwnicy nasze walizki i kazał mamie i mnie je zapakować. Opalałem się z Przedmiotem w Małym Klubie. Prześladowała mnie myśl o doktorze Bauerze oceniającym proporcje moich nóg. Wizyta miała odbyć się za tydzień, za pół, już za dwa dni…

I tak dotarliśmy do sobotniej nocy 20. lipca 1974 roku. Nocy obfitującej w wyruszanie w drogę i tajne plany. We wczesnych godzinach niedzielnego poranka (będącego nadal jeszcze sobotnią nocą w Michigan) z baz na kontynencie wystartowały tureckie odrzutowce. Wyruszyły na południowy zachód, lecąc nad Morzem Śródziemnym w kierunku Cypru. W antycznych mitach bogowie opiekujący się jakimiś śmiertelnikami często ich ukrywali. Afrodyta przesłoniła kiedyś Parysa, ratując go w ten sposób od śmierci z rąk Menelaosa. Zawinęła Eneasza w pelerynę, aby mógł wymknąć się z pola bitwy. Podobnie ukryte były tureckie odrzutowce lecące nad morzem. Tej nocy cypryjski personel wojskowy meldował o tajemniczych usterkach w działaniu radarów. Na ekranach pojawiły się tysiące białych, pulsujących sygnałów – chmura elektromagnetyczna.

Niewidoczne wewnątrz niej tureckie odrzutowce dotarły nad wyspę i zaczęły zrzucać bomby.

Tymczasem na Grosse Pointe Fred i Phyllis Mooney również opuszczali bazę macierzystą, kierując się do Chicago. Na pożegnanie machały im stojące na werandzie dzieci, Woody i Jane, które także miały swoje tajne plany. W stronę domu Mooneyów już nadciągały srebrne bombowce baryłek piwa i zwarte formacje sześciopaków. Nadjeżdżały już samochody pełne nastolatek i nastolatków. Wśród nich również Przedmiot i Callie. Upudrowane i polakierowane, z włosami na gorąco zaczesanymi w skrzydła, wyruszały na imprezę. W spódniczkach z cienkiego sztruksu i w chodakach weszły na trawnik przed domem. Ale przed wejściem Przedmiot zatrzymała się na werandzie. Zagryzała wargę.

– Słuchaj, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, prawda?

– Jasne.

– Dobra. Czasami mam wrażenie, że mam nieświeży oddech – przerwała. – Problem, w tym, że trudno samemu ocenić, czy się ma nieświeży oddech, czy nie. Chodzi więc o to… – jeszcze raz przerwała. – Chciałabym, żebyś zwracała na to uwagę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem.

– Czy to jest zbyt obrzydliwe?

– Nie – odpowiedziałem w końcu.

– Dobra, sprawdźmy – nachyliła się w moją stronę i chuchnęła mi w twarz.

– W porządku – powiedziałem.

– Dobra. Teraz ty.

Pochyliłem się i wypuściłem powietrze w jej stronę.

– Wszystko gra – powiedziała zdecydowanym tonem. – Dobra, możemy iść na imprezę.

Nigdy jeszcze nie byłem na przyjęciu. Współczułem rodzicom gospodarzy. Gdy cisnęliśmy się całą ciżbą w drżącym w posadach domu, czułem zażenowanie na myśl o odbywającym się tu zniszczeniu. Popiół z papierosów spadał na tradycyjne francuskie obicia Pierre Deux. Piwo z puszek wylewało się na pamiątkowe dywany. Widziałem w kącie dwóch rozbawionych chłopaków sikających do tenisowego trofeum. Przeważała starsza młodzież. Kilka par weszło po schodach na górę i znikło w sypialniach.

Przedmiot również starała się zachowywać jak osoba starsza. Naśladowała wyniosły, znudzony wyraz twarzy dziewczyn z liceum. Minęła mnie i przeszła na tylną werandę, gdzie ustawiła się w kolejce po piwo.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałem.

– Biorę piwo. Coś ci się nie podoba?

Na dworze było już dosyć ciemno. Jak zwykle w towarzystwie, opuściłem włosy na twarz. Stałem za Przedmiotem, wyglądając jak zasłonięta długimi włosami postać przebierańca ze święta Halloween, gdy nagle ktoś zakrył mi oczy dłońmi.

– Zgadnij kto to.

– Jerome?

Zdjąłem jego dłonie z twarzy i odwróciłem się.

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Specyficzny zapach.

– Au – odezwał się głos za Jerome'em. Spojrzałem i zdębiałem. Obok Jerome'a stał Rex Reese, chłopak kierujący samochodem, w którym Carol Hankel zginęła w jeziorze. Rex Reese, czyli nasz miejscowy Teddy Kennedy. Teraz również nie wyglądał na specjalnie trzeźwego. Ciemne włosy zakrywały mu uszy, a na szyi miał fragment niebieskiego korala na skórzanym rzemyku. Przyglądałem się jego twarzy w poszukiwaniu śladów wyrzutów sumienia czy żalu. Rex jednak nie przyglądał się mojej twarzy. Patrzył za Przedmiotem, z twarzą wykrzywioną uśmiechem i włosami opadającymi na oczy.

Dwaj chłopcy zręcznie wsunęli się między nas, odwracając się do siebie plecami. Po raz ostatni rzuciłem okiem na Przedmiot. Ręce miała włożone do tylnych kieszeni sztruksowej spódniczki. Wyglądało to na swobodną postawę, ale jednocześnie powodowało, że jej pierś była bardziej wypięta. Spoglądała na Rexa i uśmiechała się.

– Jutro zaczynam kręcić film – powiedział Jerome.

Patrzyłem na niego obojętnym wzrokiem.

– Mój film. O wampirach. Na pewno nie chcesz w nim zagrać?

– W tym tygodniu jedziemy na wakacje.

– To do dupy – skomentował Jerome. – Film będzie genialny.

Staliśmy w ciszy. Po chwili powiedziałem:

– Prawdziwy geniusz nigdy nie uważa się za geniusza.

– A kto tak powiedział?

– Ja.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ geniusz to dziewięćdziesiąt procent ciężkiej pracy. Nigdy o tym nie słyszałeś? Jak tylko zaczynasz myśleć, że jesteś genialny, od razu zaniedbujesz się w pracy. Sądzisz, że wszystko, co robisz, jest takie świetne i wspaniałe.

– Ja tylko chcę robić przerażające filmy – odpowiedział Jerome. – Z odrobiną golizny.

– Po prostu nie staraj się być genialny i może przypadkiem uda ci się zostać geniuszem – powiedziałem.

Patrzył na mnie dziwnie, natarczywie, ale z uśmiechem.

– Co?

– Nic.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Jak patrzę?

W ciemnościach podobieństwo Jerome'a do Mrocznego Przedmiotu było jeszcze wyraźniejsze. Śniade brwi, jasnobrązowa cera – również tu występowały te cechy, w dopuszczalnej formie.

– Jesteś zdecydowanie bystrzejsza niż większość koleżanek mojej siostry.

– Jesteś zdecydowanie bystrzejszy niż większość braci moich koleżanek.

Pochylił się nade mną. Był wyższy ode mnie. To była ta główna różnica między nim a jego siostrą. I to wystarczyło, abym przebudził się z mojego transu. Odwróciłem się. Obszedłem go i stanąłem przed Przedmiotem. Wciąż patrzyła w Rexa z rozpromienioną twarzą.

– Chodź – powiedziałem. – Musimy tam iść.

– Gdzie „tam"?

– No, wiesz. Tam.

W końcu udało mi się ją odciągnąć. Rzuciła jeszcze za sobą uśmiech i znaczące spojrzenie. Gdy tylko opuściliśmy werandę, spojrzała na mnie krzywo.

– Dokąd mnie ciągniesz? – syknęła ze złością.

– Byle dalej od tego palanta.

– Czy nie możesz nawet na chwilę zostawić mnie samej?

– Chcesz, żeby cię zostawić? – powiedziałem. – Dobra, zostawiam cię w spokoju – nie ruszyłem się z miejsca.

– Nie mogę nawet porozmawiać z chłopakiem na imprezie? – zapytała.

– Zabrałam cię, zanim było za późno.

– Co masz na myśli?

– Masz nieświeży oddech.

To ją pohamowało. Dotknęło ją to do żywego. Straciła tupet.

– Naprawdę? – zapytała.

– Trochę jedzie cebulą – odpowiedziałem.

Staliśmy na trawniku za domem. Towarzystwo siedziało na kamiennej balustradzie werandy, widać było jarzące się papierosy.

– Co myślisz o Rexie? – szepnęła Przedmiot.

– Co? Chyba mi nie powiesz, że ci się podoba.

– Nie powiedziałam, że mi się podoba.

Przyjrzałem się jej twarzy, próbując z niej wyczytać odpowiedź. Zauważyła to i odeszła kilka kroków. Poszedłem za nią. To prawda, że większość moich uczuć ma charakter hybrydowy. Ale nie wszystkie. Niektóre są czyste i autentyczne. Tak jest na przykład z zazdrością.

– Rex jest w porządku – powiedziałem, gdy ją dogoniłem. – Jeśli lubisz zabójców.

– To był wypadek – odpowiedziała.

Księżyc był widoczny w trzech czwartych. Srebrzył grube liście na drzewach. Trawa była wilgotna. Zrzuciliśmy chodaki, aby stanąć w niej bosymi stopami. Po chwili Przedmiot westchnęła i złożyła głowę na moim ramieniu.

– Dobrze, że wyjeżdżasz – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo to jest zbyt niesamowite – obejrzałem się, aby sprawdzić, czy ktoś mógł nas widzieć. Nikt nie mógł, więc objąłem ją ramieniem.

Przez kilka następnych minut staliśmy pod białymi od poświaty księżycowej drzewami, słuchając głośnej muzyki dochodzącej z domu. Wkrótce przyjadą gliniarze. Zawsze przyjeżdżają. Na Grosse Pointe można było być tego pewnym.

Następnego dnia rano poszedłem z Tessie do kościoła. Jak zawsze siedziała przed nami ciotka Zo, dając dobry przykład. Arystoteles, Sokrates i Platon

byli ubrani w gangsterskie garnitury. Cleo tonęła w swojej czarnej grzywie, zasypiając.

Po bokach i z tyłu kościoła panowały ciemności. Ikony majaczyły w portykach albo podnosiły sztywne palce w lśniących kaplicach. Spod kopuły rozchodziły się, blade jak kreda, promienie światła. Powietrze było już gęste od kadzidła. Chodzący tam i z powrotem kapłani wyglądali jak mężczyźni w łaźni tureckiej.

Zaczynało się przedstawienie. Jeden z księży pstryknął przełącznik. Rozświetliła się dolna kondygnacja ogromnego żyrandola. Zza ikonostasu wyszedł ojciec Mike. Miał na sobie jasną, turkusową szatę z wyhaftowanym na plecach czerwonym sercem. Przeszedł przez podwyższenie przed ikonostasem i zszedł między parafian. Dym z jego kadzielnicy podnosił się i kłębił, rozsiewając zapach starożytności.

– *Kyrie eleison*! – śpiewał ojciec Mike. – *Kyrie eleison*! – I chociaż słowa te nic dla mnie nie znaczyły, lub przynajmniej prawie nic, czułem ich ciężar, głębokie wyżłobienie, jakim znaczyły przestrzeń czasu. Tessie przeżegnała się, myśląc o Jonaszu.

Ojciec Mike obszedł najpierw lewą stronę świątyni. Kadzidło przetaczało się niebieskimi falami nad głowami wiernych. Przesłaniało koło światła padające z żyrandola. Drażniło płuca okien. Przyćmiewało jasność garniturów moich kuzynów. Gdy osnuło mnie zasłoną suchego lodu, wciągnąłem je w płuca i zacząłem się modlić:

– Panie Boże, proszę, niech doktor Bauer nie znajdzie we mnie nic nieodpowiedniego. I niech nic nie zmieni się w mojej przyjaźni z Przedmiotem. I niech ona o mnie nie zapomni, jak będę w Turcji. I pomóż mojej mamie, aby się tak nie martwiła o mojego brata. I niech Jonasz wróci na studia.

W kościele prawosławnym kadzidło ma wiele zastosowań. Jego symbolika oznacza ofiarowanie Bogu. Jak dym z ofiar palonych w czasach pogańskich zapach unosi się w górę, do nieba. Zanim wprowadzono współczesne balsamowanie, kadzidło miało również swoje praktyczne zastosowanie. Tłumiło zapach ciał podczas pogrzebów. Pozwalało również, jeśli było wdychane w odpowiedniej ilości, wywoływać zawroty głowy odczuwane jak religijna ekstaza. A jeśli wdychało się wystarczającą ilość, powodowało mdłości.

– Co się dzieje? – głos Tessie w moim uchu. – Zbladłaś.

Przestałem się modlić i otworzyłem oczy.

– Naprawdę?

– Dobrze się czujesz?

Już chciałem potwierdzić, ale się powstrzymałem.

– Naprawdę blado wyglądasz, Callie – powtórzyła Tessie. Ręką dotknęła mojego czoła.

Mdłości, ekstaza, nabożeństwo, fałsz – to wszystko pojawia się wspólnie. Jeśli Bóg ci nie pomaga, sam musisz sobie pomóc.

– To mój brzuch – powiedziałem.

– Co ty jadłaś?

– A w zasadzie nie brzuch, tylko niżej.

– Słabo ci?

Ojciec Mike znowu przeszedł obok. Tak wysoko machnął kadzielnicą, że nieomal dotknął nią mojego nosa. A ja rozszerzyłem nozdrza i wciągnąłem tyle dymu, ile tylko się dało, aby zrobić się jeszcze bledszy niż już byłem.

– Jakby mi się przewracało w brzuchu – ośmieliłem się powiedzieć.

To chyba było odpowiednie określenie. Bo słysząc to, Tessie uśmiechnęła się.

– Kochanie – powiedziała. – Och, dzięki Bogu.

– Cieszysz się, że ja się źle czuję. Bardzo ci dziękuję.

– Nie jesteś chora, kochanie.

– To co jest ze mną? Nie czuję się dobrze. To boli.

Matka wzięła mnie za rękę, nadal uśmiechając się szeroko:

– Pospieszmy się – powiedziała. – Żeby nie było niespodzianek.

Zanim zamknąłem się w kościelnej toalecie, do Stanów Zjednoczonych dotarły informacje o tureckiej inwazji na Cypr. Gdy wróciliśmy z Tessie do domu, w salonie pełno było krzyczących mężczyzn.

– Nasze okręty wojenne stoją w pobliżu brzegu, żeby zastraszyć Greków – wrzeszczał Jimmy Fioretos.

– Jasne, że stoją w pobliżu brzegu – odkrzykiwał Milton. – A czego się spodziewałeś? Junta wkroczy i wyrzuci Makariosa. Dlatego Turcy się niepokoją. Sytuacja jest niestabilna.

– Tak, ale żeby pomagać Turkom…

– Stany nie pomagają Turkom – ciągnął Milton. – Zależy im tylko, żeby junta nie wymknęła się spod kontroli.

W 1922 roku, gdy płonęła Smyrna, amerykańskie statki wojenne stały bezczynnie. Pięćdziesiąt dwa lata później przy wybrzeżach Cypru również nic nie robiły. Przynajmniej pozornie.

– Przestań być naiwny, Milt – ciągnął Jimmy Fioretos. – A jak myślisz, kto zakłócił odbiór radarów? To Amerykanie, Milt. To nasi.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – zaperzył się mój ojciec.

W tym momencie przez swoją dziurkę w szyi odezwał się Gus Panos:

– To ten pieprzony – sssss – Kissinger. On musiał – sssss – wejść w układ z Turkami.

– Oczywiście, że tak – skinął głową Peter Tatakis, sącząc pepsi. – Teraz, gdy już skończył się kryzys w Wietnamie, herr doktor Kissinger może znowu bawić się w Bismarcka. Chciałby mieć bazy NATO w Turcji? Tak właśnie może to załatwić.

Czy te oskarżenia były słuszne? Trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że tego ranka ktoś zakłócił odbiór cypryjskich radarów i zagwarantował w ten sposób powodzenie tureckiej inwazji. Czy Turcy byli w posiadaniu takiej techniki? Nie. A amerykańskie okręty wojenne? Tak. Ale takich rzeczy nie da się udowodnić…

Zresztą to i tak nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Mężczyźni przeklinali, wygrażali rękami przed telewizorem i walili pięścią w radio, aż ciotka Zo wyłączyła oba urządzenia. Niestety, nie mogła wyłączyć mężczyzn. Przez cały obiad wydzierali się na siebie nawzajem. Wymachiwano nożami i widelcami. Dyskusja nad kwestią cypryjską ciągnęła się tygodniami i w końcu doprowadziła do ostatecznego zakończenia tradycyjnych niedzielnych obiadów w naszym domu. Ale dla mnie inwazja oznaczała tylko jedno.

Gdy wreszcie mogłem się wyrwać, przeprosiłem wszystkich i pobiegłem zadzwonić do Przedmiotu.

– Zgadnij, co się stało – krzyczałem w podnieceniu. – Nie jedziemy na wakacje. Tam jest wojna!

Później powiedziałem jej, że mam bóle i że zaraz przyjdę.

Natura ludzka

Szybko zbliżam się do momentu, w którym doszło do odkrycia przeze mnie prawdy o sobie, wiedzy, która istniała we mnie przez cały czas, choć pozostawała nierozpoznana; odkrycia przez biednego, na pół ślepego doktora Philoboshiana tego, czego nie zauważył przy moich narodzinach i czego stale nie zauważał podczas wszystkich następnych corocznych badań; odkrycia przez moich rodziców tego, jakie dziecko spłodzili (odpowiedź – dziecko było to samo, tylko inne); i w końcu odkrycia zmutowanego genu, który drzemał ukryty w linii naszych przodków przez dwieście pięćdziesiąt lat, czekając na odpowiedni moment, czekając na atak Atatürka, na przemianę generała Hajienestisa w szkło, na klarnet kusząco grający przez okno od podwórza, aż – po spotkaniu ze swoim recesywnym bliźniakiem – rozpoczął łańcuch zdarzeń, który doprowadził do mnie, siedzącego i piszącego te słowa tu, w Berlinie.

Tego lata – gdy łgarstwa prezydenta także stawały się coraz bardziej wyrafinowane – zacząłem pozorować miesiączkę. Z przebiegłością Nixona Calliope rozwijała z opakowań i spuszczała w ustępie całą flotę nieużywanych tampaxów. Symulowałem wszelkie objawy, od bólu głowy po zmęczenie. Bóle miesiączkowe wychodziły mi tak dobrze, jak Meryl Streep zmienianie akcentu. Było rwanie, tępy ból, cios z zaskoczenia, od których wiłem się z bólu na łóżku. Mój okres, choć wyimaginowany, był skrupulatnie rozrysowany w kalendarzu na moim biurku. Do oznaczania tych dni używałem katakumbowego . Rozpisałem harmonogram aż do grudnia, bo spodziewałem się, że do tego czasu pojawi się wreszcie moja pierwsza rzeczywista miesiączka.

Mój podstęp działał. Rozwiał niepokój mojej matki i w pewnym sensie nawet mój własny. Czułem się tak, jakbym wziął sprawy we własne ręce. Już nie byłem skazany na łaskę i niełaskę natury. A co ważniejsze, po odwołaniu naszego wyjazdu do Bursy – jak również mojej wizyty u doktora

Bauera – spokojnie mogłem przyjąć zaproszenie Przedmiotu i odwiedzić ich letni domek. W ramach przygotowań do wyjazdu kupiłem kapelusz, sandały i ogrodniczki.

Niespecjalnie interesowały mnie wydarzenia polityczne, jakie tego lata rozgrywały się na oczach całego narodu. Ale trudno było nie zauważyć, co się dzieje. W miarę jak Nixon wpadał w coraz większe kłopoty, mój ojciec coraz bardziej z nim się identyfikował. W grupie długowłosych uczestników antywojennej manifestacji Milton zauważył swojego zarośniętego, protestującego syna. W przebiegu afery Watergate mój ojciec rozpoznał własne problematyczne zachowanie z okresu zamieszek. Uważał, że włamanie było błędem, ale równocześnie sądził, że nie było to aż tak istotne.

– Chyba nie myślicie, że demokraci nie robią tego samego? – zapytał niedzielnych dyskutantów. – Ci liberałowie po prostu chcą go w to wrobić. Dlatego sami udają niewiniątka.

Podczas oglądania wieczornych wiadomości Milton na bieżąco komentował wydarzenia na ekranie.

– Ach, tak? – mówił. – Bzdury.

Albo:

– Ten cały Proxmire to absolutne zero.

Albo:

– Ci przemądrzali intelektualiści powinni zająć się polityką zagraniczną. Wymyślić, co zrobić z tymi pieprzonymi Rosjanami albo czerwonymi Chińczykami. A nie wzdychać nad włamaniem do parszywego biura sztabu kampanii wyborczej.

Siedząc w kucki przed stolikiem telewizyjnym, Milton ze złością przeglądał lewicową prasę i trudno było nie zauważyć, że coraz bardziej upodabniał się do prezydenta.

W dni powszednie rozmawiał wieczorami z telewizorem, ale w niedziele spotykał się z żywą publicznością. Wuj Pete, który zazwyczaj podczas trawienia był senny jak wąż, teraz ożywiał się i nawet sypał dowcipami.

– Nawet z punktu widzenia kręgarstwa Nixon to podejrzana figura. Ma szkielet szympansa.

Ojciec Mike dolał oliwy do ognia:

– No, Milt, co teraz myślisz o swoim koledze, cwaniaczku Rysiaczku?

– Uważam, że robią wokół tego niepotrzebny szum.

Sytuacja wyglądała gorzej, gdy rozmowy schodziły na wydarzenia na Cyprze. W sprawach krajowych Milton miał po swojej stronie Jimmy'ego Fioretosa. Ale gdy omawiali sytuację na Cyprze, ich opinie wyraźnie się różniły. Miesiąc po inwazji, gdy ONZ zmierzała do zakończenia rozmów pokojowych, turecka armia rozpoczęła kolejny atak. Tym razem Turcy zagarnęli sporą część wyspy. Stawiano ogrodzenia z drutów kolczastych. Wznoszono wieże strażnicze. Cypr został rozcięty na dwie części – jak Berlin, jak Korea, jak te wszystkie inne miejsca na świecie, które nie były już tym, czym były wcześniej.

– Dopiero teraz pokazują swoje prawdziwe oblicze – powiedział Jimmy Fioretos. – Turcy cały czas chcieli dokonać inwazji. To całe mydlenie oczu o „obronie konstytucji" było tylko pretekstem.

– Uderzyli w nas… sssss…, gdy się tego nie spodziewaliśmy – charczał Gus Panos.

Milton parsknął:

– Kim są ci „my"? Gdzie ty się urodziłeś Gus, na Cyprze?

– Wiesz… sssss…, co mam na myśli.

– Ameryka zdradziła Greków! – Jimmy Fioretos wywijał palcem w powietrzu. – To ten dwulicowy sukinsyn Kissinger. Podaje ci rękę, a myśli, jak cię wykiwać.

Milton potrząsnął głową. Agresywnie wysunął dolną szczękę do przodu, a z głębi jego gardła dobył się pomruk dezaprobaty:

– Powinniśmy trzymać się naszych narodowych interesów.

A później cofnął szczękę i dodał:

– Do diabła z Grekami.

W 1974 roku, zamiast powrócić do swoich korzeni w Bursie, mój ojciec odciął się od nich. Zmuszony do wyboru między krajem ojczystym a krajem przodków, nie zawahał się. Tymczasem do kuchni dochodziły te wszystkie odgłosy: krzyki, brzęk rozbijanych filiżanek, przekleństwa wypowiadane zarówno po grecku, jak i po angielsku, tupot nóg opuszczających nasz dom.

– Wkładaj płaszcz, Phyllis, wychodzimy – zarządził Jimmy Fioretos.

– Jest lato – odparła Phyllis. – Nie mam żadnego płaszcza.

– W takim razie bierz, co masz zabrać.

– My też wychodzimy… sssss… Straciłem… sssss… apetyt.

Nawet wuj Pete, samouk i miłośnik opery, zdecydowanie przedstawił swoje zdanie:

– Może Gus nie dorastał w Grecji – powiedział – ale na pewno pamiętasz, że ja tak. Mówisz o mojej ojczyźnie, Milton. I o kraju pochodzenia twoich rodziców.

Goście wyszli. I już nie wrócili. Jimmy i Phyllis Fioretos. Gus i Helen Panos. Peter Tatakis. Buicki odjechały z Middlesex, pozostawiając w naszym salonie wrażenie pustki. Po tym wydarzeniu nie było już niedzielnych obiadów. Nie było już mężczyzn z wielkimi nosami, którzy wycierali je z trąbieniem przypominającym dźwięk trąbki z tłumikiem. Nie było już kobiet podszczypujących mnie w policzki, wyglądających jak Melina Mercouri pod koniec życia. A przede wszystkim – nie było już salonowych dyskusji. Koniec z kłótniami, przytaczaniem przykładów i cytowaniem słynnych zmarłych czy też potępianiem niesławnych żyjących. Koniec z kierowaniem rządem z naszych kanap. Koniec z naprawianiem systemu podatkowego i koniec filozoficznych dysput na temat roli rządu, państwa opiekuńczego, szwedzkiego systemu opieki zdrowotnej (opracowanego przez doktora Fioretosa, który jednak nie był spokrewniony z Jimmym). Koniec pewnej epoki. Już nigdy. Już nigdy w niedzielę.

Jedynymi osobami, które z nami zostały, byli ciotka Zo, ojciec Mike i nasi kuzyni, ponieważ byli naszą rodziną. Tessie miała Miltonowi za złe za rozpoczęcie kłótni. Powiedziała mu o tym, na co on wpadł w gniew, a ona już do końca dnia nie odzywała się do niego. Ojciec Mike wykorzystał tę sytuację i zaprowadził Tessie na taras. Milton wsiadł do samochodu i gdzieś pojechał. Razem z ciotką Zo wynieśliśmy później napoje na taras. Właśnie wszedłem na żwir między barierkami z grubych sekwoi, gdy zobaczyłem Tessie i ojca Mike'a siedzących na czarnych, metalowych meblach ogrodowych. Ojciec Mike trzymał rękę mojej matki, przybliżając swoją brodatą twarz do jej twarzy, i patrzył jej w oczy, łagodnie przemawiając. Moja matka musiała płakać. W ręku trzymała chusteczkę zwiniętą w kulkę.

– Callie niesie mrożoną herbatę – oznajmiła ciotka Zo, wychodząc na taras. – A ja coś mocniejszego.

Ale w tym momencie zauważyła, w jaki sposób ojciec Mike patrzy na moją matkę, i umilkła. Tessie wstała, rumieniąc się.

– Ja poproszę o coś mocniejszego, Zo.

Wszyscy roześmiali się nerwowo. Ciotka Zo napełniła szkło.

– Nie patrz, Mike – powiedziała. – *Presvytera* upija się w niedzielę.

W następny piątek pojechałem z ojcem Przedmiotu do ich letniego domku niedaleko Petoskey. Dom był wielki, w stylu wiktoriańskim, udekorowany ornamentami i pomalowany na kolor lodów pistacjowych. Widok tego domu z podjazdu po prostu mnie olśnił. Stał w otoczeniu wysokich sosen na wzniesieniu nad Zatoką Little Traverse, a wszystkie jego okna zdawały się płonąć.

Z rodzicami radziłem sobie dobrze. Rodzice to była moja specjalność. Podczas naszej podróży prowadziłem z ojcem Przedmiotu bardzo ożywioną rozmowę na różne tematy. To po nim odziedziczyła swoją kolorystykę. Pan Przedmiot miał odcień celtycki. Jednak już dawno temu skończył pięćdziesiątkę, a jego rudawe włosy wyblakły i były prawie bezbarwne, jak przekwitły żonkil. Również na jego skórze widać było eksplozję piegów. Miał na sobie popelinowe ubranie w kolorze khaki i muszkę. Wkrótce po tym, jak zabrał mnie z domu, zatrzymaliśmy się przy przydrożnym sklepie, gdzie pan Przedmiot kupił sześć puszek kremowego koktajlu Smirnoff.

– Martini w puszce, Callie. Żyjemy w epoce cudów.

Pięć godzin później, niezbyt trzeźwy, skręcił w niebrukowaną drogę prowadzącą do letniego domku. Była już dziesiąta. Przy świetle księżyca wnieśliśmy nasze torby na werandę z tyłu domku. Wzdłuż pokrytej sosnowymi igłami ścieżki, między szarymi, cienkimi sosnami, tu i ówdzie rosły grzyby. Znajdująca się obok domu studnia artezyjska dobrze komponowała się z pokrytymi mchem skałami.

Gdy weszliśmy przez kuchenne drzwi, napotkaliśmy Jerome'a. Siedział przy stole i czytał *Weekly World News*. Bladość jego twarzy świadczyła o tym, że spędził tu prawie cały miesiąc. Zwłaszcza jego czarne, matowe włosy wyglądały mizernie. Miał na sobie koszulkę z Frankensteinem, bawełniane krótkie spodenki w paski i płócienne adidasy bez skarpetek.

– Przedstawiam ci pannę Stephanides – powiedział pan Przedmiot.

– Witamy w głębi lądu – Jerome wstał i podał ojcu dłoń na przywitanie. Uścisnęli się krótko.

– Gdzie mama?

– Jest na górze i ubiera się na przyjęcie, na które jesteście już bardzo spóźnieni. Można to wyczuć po jej nastroju.

– Może byś zabrał Callie do jej pokoju? Oprowadź ją po domu.

– Jasne – zgodził się Jerome.

Wyszliśmy z kuchni i tylnymi schodami poszliśmy na górę.

– Pokój gościnny jest w trakcie malowania – powiedział mi Jerome. – Będziesz mieszkać w pokoju mojej siostry.

– A gdzie ona jest?

– Na werandzie z Rexem.

Zmroziło mnie.

– Z Rexem Reese?

– Jego starzy też mają tu domek.

Jerome pokazał mi najważniejsze rzeczy – ręczniki dla gości, gdzie jest toaleta, jak się włącza światło. Ale ja nie zwracałem uwagi na jego uprzejmość. Zastanawiałem się, dlaczego Przedmiot nie wspomniała mi nic o Rexie przez telefon. Już od trzech tygodni tu była i nic nie powiedziała.

Wróciliśmy do jej sypialni. Na niepościelonym łóżku leżały jej zmięte ubrania, a na jednej z poduszek – brudna popielniczka.

– Moja siostrzyczka jest dosyć niechlujna – powiedział Jerome, rozglądając się. – A ty jesteś schludna?

Skinąłem głową.

– Ja też. Inaczej się nie da. Zaraz! – stanął teraz na wprost mnie. – A co się stało z twoim wyjazdem do Turcji?

– Odwołali go.

– Doskonale. Wobec tego możesz zagrać w moim filmie. Kręcę go tutaj. Zgadzasz się?

– Myślałam, że akcja ma się toczyć w szkole z internatem.

– Postanowiłem, że to będzie internat na wsi – Jerome stał dość blisko mnie. Grzebał rękami w kieszeniach, równocześnie patrząc na mnie spod przymrużonych powiek i kołysząc się na piętach.

– Idziemy na dół? – zapytałem.

– Co? A, tak. Jasne. Chodźmy.

Jerome odwrócił się i ruszył z miejsca. Poszedłem za nim po schodach na dół i z powrotem do kuchni. Gdy przechodziliśmy przez salon, usłyszałem głosy dochodzące z werandy.

– …więc Selfridge, ten chuderlak, wyrzygał się – mówił Rex. – Nawet nie doszedł do toalety. Puścił pawia prosto na bar.

– Niemożliwe! Selfridge! – usłyszałem głos Przedmiotu zanoszącej się od śmiechu.

– Puszczał pawia. Prosto do swojego drinka. To było niewiarygodne. Wyglądało jak Niagara rzygowin. Selfridge wyje na barze, a wszyscy spieprzają ze swoich stołków, kapujesz? Selfridge leży twarzą w swoich własnych rzygowinach. Przez chwilę było zupełnie cicho. I nagle jedna laska zaczyna chichotać… i potem to już była reakcja łańcuchowa. Wszyscy zaczynają rechotać, rzygowiny wszędzie kapią, a barman jest naprawdę wkurzony. Jest też ogromny. Jest zajebisty. Podchodzi i spogląda na Selfridge'a. Udaję, że nie znam tego gościa. Nigdy wcześniej go nie widziałem. I wiesz, co się wtedy dzieje?

– Co?

– Barman bierze Selfridge'a. Łapie go za kołnierz i za pas, czaisz? Podnosi go jakieś trzydzieści centymetrów do góry i zamiata nim bar jak szmatą!

– Pleciesz!

– Poważnie. Zamiótł Selfridge'em jego własne wymiociny.

W tym momencie wyszliśmy na werandę. Przedmiot i Rex Reese siedzieli razem na białej wiklinowej kanapie. Na dworze było ciemno i chłodno, ale Przedmiot miała jeszcze na sobie strój kąpielowy, bikini w koniczynki. Nogi owinęła ręcznikiem kąpielowym.

– Cześć! – zawołałem.

Przedmiot odwróciła się. Popatrzyła na mnie obojętnie.

– Cześć – odpowiedziała.

– Przyjechała – powiedział Jerome. – Cała i zdrowa. Tato nie wyleciał z drogi.

– Ojciec nie jest aż takim złym kierowcą – stwierdziła Przedmiot.

– Jak nie pije, to nie jest. Ale mogę się założyć, że dziś miał na przednim siedzeniu termos z martini.

– Wasz staruszek to rozrywkowy gość! – zawołał Rex ochrypłym głosem.

– Czy po drodze nasz ojciec skorzystał z okazji, aby ugasić pragnienie? – zapytał Jerome.

– I to nie raz – odpowiedziałem.

Jerome roześmiał się, rozluźnił i klasnął w dłonie.

Tymczasem Rex odezwał się do Przedmiotu:

– Dobra. Przyjechała. Możemy zrobić imprezkę.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała Przedmiot.

– Słuchaj, Jeroman, czy ty mówiłeś coś o jakimś starym domku myśliwskim w lesie?

– Tak. To jakieś pół mili stąd.

– Myślisz, że byś go znalazł po ciemku?

– Gdybym wziął latarkę, to może.

– Chodźmy – Rex się podniósł. – Weźmy jakieś piwo i przejdźmy się tam.

Przedmiot również wstała.

– Dajcie mi włożyć jakieś spodnie.

Przeszła przez werandę w kostiumie kąpielowym. Rex patrzył za nią.

– Chodź, Callie – powiedziała. – Będziesz mieszkać w moim pokoju.

Poszedłem za Przedmiotem do środka. Szła bardzo szybko, niemal biegła, i nie obejrzała się za siebie. Gdy wchodziła po schodach, grzmotnąłem ją z tyłu.

– Nienawidzę cię – powiedziałem.

– Co?

– Jesteś taka opalona!

Rzuciła mi uśmiech przez ramię.

Gdy Przedmiot się ubierała, ja myszkowałem po pokoju. Tu również były meble z białej wikliny. Na ścianach wisiały amatorskie zdjęcia z żaglówki, a na półkach stały kamienie z rejonu Petoskey, szyszki sosnowe i zbutwiałe książki.

– Co będziemy robić w lesie? – spytałem z nutką skargi w głosie.

Przedmiot nie odpowiedziała.

– Co będziemy robić w lesie? – powtórzyłem pytanie.

– Idziemy na spacer – odpowiedziała.

– Tobie chodzi o to, żeby Rex cię obmacywał.

– Masz takie brudne myśli, Callie.

– Nie zaprzeczaj.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Wiem za to, kto chce obmacywać ciebie – powiedziała.

Przez moment ogarnęło mnie niepohamowane szczęście.

– Jerome – dokończyła.

– Nie chcę iść do lasu – zaprotestowałem. – Tam jest pełno różnego robactwa.

– Nie bądź taka pinda – odparła.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby używała słowa „pinda". Takich słów używali chłopcy tacy jak Rex. Gdy się już ubrała, stanęła przed lustrem i zaczęła skubać kawałeczek suchej skóry na policzku. Przeczesała włosy szczotką i nałożyła błyszczyk na wargi. Później podeszła do mnie. Stanęła bardzo blisko. Otworzyła usta i chuchnęła mi prosto w twarz.

– W porządku – powiedziałem i odsunąłem się.

– Nie chcesz, żebym sprawdziła twój?

– To bez znaczenia – odpowiedziałem.

Stwierdziłem, że jeśli Przedmiot miała zamiar mnie ignorować i flirtować z Rexem, to ja będę ignorować ją i flirtować z Jeromem. Po jej wyjściu zaczesałem włosy. Ze stojącego na toaletce zestawu flakoników wziąłem jeden i nacisnąłem pompkę, ale nie rozpyliły się żadne perfumy. Poszedłem do toalety i odpiąłem szelki z moich ogrodniczek. Podniosłem koszulkę i wsadziłem do stanika kilka chusteczek higienicznych. Następnie odrzuciłem włosy do tyłu, zapiąłem ogrodniczki i pospiesznie wyszedłem na nasz spacer do lasu.

Czekali na mnie na werandzie, pod żółtą lampą odstraszającą owady. Jerome trzymał w ręce srebrną latarkę. Z ramienia Rexa zwisał wojskowy plecak z demobilu, wypełniony puszkami z piwem. Zeszliśmy po schodkach na trawę. Teren był nierówny, usiany zdradzieckimi korzeniami, ale sosnowe igły miękko uginały się pod stopami. Przez chwilę, mimo mojego złego nastroju, poczułem to – rześką rozkosz północnego Michigan. Lekki chłód w powietrzu, nawet w sierpniu, prawie jak w Rosji. Niebo w kolorze indygo nad czarną zatoką. Zapach cedrów i sosen.

Na krawędzi lasu Przedmiot się zatrzymała.

– Czy tam jest mokro? – zapytała. – Mam na nogach tylko tenisówki.

– Chodź – powiedział Rex, ciągnąc ją za rękę. – Najwyżej się zamoczysz.

Krzyknęła teatralnym głosem. Odchyliwszy się do tyłu, chwiejąc się jak ktoś holowany na linie, dała się wciągnąć między drzewa. Ja również zatrzymałem się, badając wzrokiem ciemność i czekając, aż Jerome zrobi

to samo co Rex. Ale on nic takiego nie zrobił. Zamiast tego wszedł prosto w bagno i powoli zanurzył się w nim prawie do kolan.

– Ruchome piaski! – krzyknął. – Ratunku! Tonę! Pomóżcie mi… gulp, gulp, gulp, gulp.

Przed nami, już niewidoczni, Przedmiot i Rex zarykiwali się śmiechem.

Cedrowe moczary były miejscem nienaruszonym przez czowieka. Nigdy nie prowadzono tu wyrębu. To nie był odpowiedni teren pod budowę domów. Drzewa rosły tutaj przez setki lat i gdy padały, to padały na dobre. Na cedrowych moczarach utrzymywanie pionu nie było cechą charakterystyczną drzew. Wiele cedrów stało prosto, ale było też wiele pochylonych. Inne przewróciły się na drzewa stojące obok albo leżały zwalone na ziemi, wystawiając na wierzch system korzeniowy. Całość sprawiała cmentarne wrażenie – gdziekolwiek nie spojrzeć, szare szkielety drzew. Przeświecające światło księżyca posrebrzyło kałuże i zwiewne pajęczyny. Odbijało się od rudych włosów Przedmiotu poruszającej się przede mną.

Niezdarnie, jak ludzie prymitywni, posuwaliśmy się przez bagno. Rex próbował naśladować odgłosy zwierząt, ale wcale mu to nie wychodziło. W jego plecaku dzwoniły puszki z piwem. Nasze stopy, wyrywane z korzeniami, ciężko stąpały po błocie.

Po dwudziestu minutach dotarliśmy do celu naszej wędrówki – malutkiej chatki zbudowanej z surowych desek. Jej dach sięgał tylko nieco powyżej mojej głowy. W okrągłym świetle latarki zobaczyliśmy drzwi pokryte smołowanym papierem.

– Kurwa, zamknięte – odezwał się Rex.

– Spróbujmy przez okno – zaproponował Jerome.

Znikli, zostawiając nas w ciemnościach. Spojrzałem na Przedmiot. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu naprawdę popatrzyła na mnie. Światło księżyca pozwalało jedynie na tę milczącą wymianę spojrzeń.

– Ciemno tu – odezwałem się.

– Widzę – odpowiedziała.

Zza chaty dobiegł łomot, a po nim salwa śmiechu. Przedmiot podeszła do mnie bliżej.

– Co oni tam wyprawiają?

– Nie mam pojęcia.

Nagle w małym okienku chatki pojawiło się światło. Chłopcy zapalili w środku lampę turystyczną. Po chwili otworzyły się drzwi i wyszedł Rex. Uśmiechał się jak ekspedient.

– Jest tu ktoś, kto chciałby was poznać – w tym momencie podniósł pułapkę na myszy, z której zwisało galaretowate ciało zwierzątka.

Przedmiot krzyknęła.

– Rex! – odskoczyła i chwyciła mnie za ramię. – Zabierz to!

Rex, śmiejąc się, pomachał jeszcze trochę myszą i wyrzucił ją do lasu.

– Dobra, dobra. Bez nerwów – wszedł z powrotem do środka.

Przedmiot wciąż trzymała się mnie kurczowo.

– Może powinnyśmy wrócić – ośmieliłem się zaproponować.

– A znasz drogę? Ja się zupełnie pogubiłam.

– Myślę, że bym ją znalazła.

Odwróciła się i popatrzyła na czarny las. Rozważała moją propozycję. Ale w tym momencie w drzwiach znowu pojawił się Rex.

– Wchodźcie – powiedział. – Sprawdźcie same.

Już było za późno. Przedmiot puściła mnie. Odrzucając czerwony szal włosów na ramię, dała nura przez niski próg do chatki myśliwskiej.

W środku stały dwa łóżka polowe zakryte wełnianymi traperskimi kocami z Hudson's Bay. Między nimi znajdowała się niewielka przestrzeń z prymitywną kuchnią i kuchenką turystyczną. Puste butelki po bourbonie stały rzędem na parapecie. Na ścianach wisiały pożółkłe wycinki z miejscowej gazety, z zawodów wędkarskich, z dziecięcych wyścigów samochodowych. Był tam również wypchany szczupak z szeroko otwartym pyskiem. W lampie pozostawiono niewiele paliwa i zaczęła trzaskać i strzelać. Światło miało kolor masła, zmarszczki dymu tłuściły powietrze. Wnętrze przypominało palarnię opium, w którą teraz miało się zmienić, ponieważ Rex właśnie wyciągnął z kieszeni jointa i zapalał go zapałką.

Rex siedział na jednym łóżku, a Jerome na drugim. Przedmiot usiadła niedbale obok Reksa. Stałem zgarbiony na środku podłogi. Czułem na sobie wzrok Jerome'a. Udawałem, że oglądam chatkę i nagle odwróciłem się, sądząc, że spotkam jego wzrok. Było jednak inaczej. Wzrok Jerome'a był skupiony na mojej klatce piersiowej. Na moich sztucznych piersiach. Już wcześniej mu się podobałem. A tu się okazało, że jest dodatkowa atrakcja, jak nagroda za dobre intencje.

Być może powinien mi pochlebiać trans, w jakim on się znajdował. Ale już zapomniałem o zemście. Straciłem do tego serce. Nie miałem jednak specjalnego wyboru, więc usiadłem obok Jerome'a. Po drugiej stronie chatki siedział Rex i trzymał w zębach jointa.

Rex był ubrany w krótkie spodenki i w rozdartą na ramieniu koszulę z monogramem. Przez rozdarcie wyzierała opalona skóra. Na jego szyi tancerza flamenco widać było czerwony ślad – ugryzienie komara, blednąca malinka. Zamknął oczy, mocno zaciągając się dymem, a jego długie rzęsy zetknęły się z sobą. Włosy na jego głowie były tak gęste i tak natłuszczone jak skóra wydry. W końcu otworzył oczy i podał jointa Przedmiotowi.

Ku mojemu zaskoczeniu wzięła go. Tak jakby to był jeden z jej ulubionych tareytonów, wsunęła go do ust i zaciągnęła się.

– Nie boisz się, że dostaniesz od tego paranoi?

– Nie.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że od marychy zawsze dostajesz manii prześladowczej?

– Ale nie wtedy, gdy jestem na łonie natury – odpowiedziała. Spojrzała na mnie surowo. I zaciągnęła się jeszcze raz.

– Nie jesteś sama – powiedział Jerome.

Wstał, aby wziąć od niej jointa. Palił, stojąc lekko pochylony, a potem odwrócił się i podał mi skręta. Spojrzałem na jointa. Jeden koniec się palił, drugi był zmięty i wilgotny. Pomyślałem, że to wszystko stanowiło część planu chłopców, las, chatka, łóżka, narkotyki, dzielenie się śliną. Oto jest pytanie, na które wciąż nie znajduję odpowiedzi – czy potrafiłem przejrzeć męskie sztuczki, ponieważ moim przeznaczeniem było samemu w ten sposób kombinować? A może dziewczyny też o tym wiedzą i tylko udają, że tego nie zauważają?

Przez sekundę pomyślałam o Jonaszu. Mieszkał w lesie, w takiej chatce jak ta. Zastanowiłem się, czy tęsknię za bratem. Trudno mi było powiedzieć. Zazwyczaj zbyt późno zdaję sobie sprawę z własnych uczuć. Jonasz pierwszego jointa wypalił na studiach. Byłem od niego o cztery lata szybszy.

– Przytrzymaj w płucach – instruował mnie Rex.

– Musisz pozwolić, żeby THC nagromadził się w twoim układzie krwionośnym – powiedział Jerome.

Z lasu dobiegł jakiś dźwięk, jakby łamanie gałązek, Przedmiot chwyciła Reksa za ramię.

– Co to było?

– Może niedźwiedź – odpowiedział Jerome.

– Mam nadzieję, że żadna z dziewczyn nie ma cioty – odezwał się Rex.

– Rex! – Przedmiot zaoponowała.

– Ale ja mówię poważnie. Niedźwiedzie potrafią to wyczuć. Jak kiedyś byłem pod namiotem w Yellowstone, jedna kobieta zginęła. Grizzly wyczuł krew.

– To nieprawda!

– Przysięgam. Znajomy mi powiedział. Był instruktorem szkoły przetrwania.

– Nie wiem jak Callie, ale ja nie – powiedziała Przedmiot.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Ja też nie – oświadczyłem.

– Chyba jesteśmy bezpieczni, Romanie – rzucił Rex i się roześmiał.

Przedmiot nadal się go trzymała, szukając u niego schronienia.

– Chcesz sobie strzelić? – zapytał ją.

– A co to takiego?

– Patrz – odwrócił się twarzą do niej. – Jedna osoba otwiera usta, a druga wdmuchuje jej dym. Czujesz prawdziwy odjazd. To jest wspaniałe.

Rex włożył do ust zapalony koniec jointa. Nachylił się nad Przedmiotem. Ona również pochyliła się w jego stronę. Otworzyła usta. Rex zaczął dmuchać. Usta Mrocznego Przedmiotu miały idealnie owalny kształt i właśnie w ten cel, w sam środek tarczy, Rex Reese kierował strumień piżmowego dymu. Widziałem, jak słup dymu wchodzi do ust Przedmiotu. Znikał w jej gardle, jak spieniona woda przelewająca się przez próg wodospadu. W końcu zakaszlała i Rex przestał dmuchać.

– Nieźle. Teraz ja.

Zielone oczy Przedmiotu zaszły łzami. Ale wzięła jointa i włożyła go do ust. Pochyliła się w stronę Reksa, a on szeroko otworzył usta.

Kiedy skończyli, Jerome wziął jointa od swojej siostry.

– Zobaczmy, czy poradzę sobie z problemami technicznymi – powiedział.

Zanim się zdążyłem zorientować, jego twarz znalazła się tuż przed moją. Skończyło się na tym, że ja też to zrobiłem. Pochylony do przodu,

zamknąłem oczy, rozchyliłem wargi i pozwoliłem, aby Jerome wdmuchnął do moich ust długi, brudny pióropusz dymu.

Dym wypełnił moje płuca i poczułem, że trawi je pożar. Zakaszlałem i wypuściłem dym. Kiedy ponownie otworzyłem oczy, Rex obejmował ramieniem Przedmiot. Udawała, że nie zwraca na to uwagi. Rex skończył swoje piwo. Otworzył dwa następne, jedno dla siebie, a drugie dla niej. Odwrócił się w stronę Przedmiotu. Uśmiechnął się. Coś powiedział, ale nie dosłyszałem co. I gdy ja jeszcze mrugałem powiekami, zakrył wargi Przedmiotu swoimi kwaśnymi, męskimi, pachnącymi narkotykiem ustami.

Po drugiej stronie chatki Jerome i ja udawaliśmy, że nic nie zauważyliśmy. Joint był już nasz i mogliśmy sami go dopalić. Podawaliśmy go sobie w ciszy i sączyliśmy nasze piwa.

– Czuję się dziwnie, jakby moje stopy były strasznie daleko ode mnie – po chwili odezwał się Jerome. – Czy twoje stopy też są daleko od ciebie?

– Nie widzę stóp – odpowiedziałem. – Tu jest ciemno.

Znowu podał mi jointa, a ja go wziąłem. Wciągnąłem dym i przytrzymałem w płucach. Pozwoliłem, aby palił mnie w piersiach, ponieważ chciałem stłumić ból w sercu. Rex i Przedmiot nadal się całowali. Popatrzyłem w inną stronę, przez ciemne, oblepione brudem okno.

– Wszystko jest takie niebieskie – powiedziałem. – Zauważyłeś?

– Och, tak – odpowiedział Jerome. – Te wszystkie różne epifenomeny.

Wyrocznia w Delfach była dziewczyną mniej więcej w moim wieku. Przez cały dzień siedziała nad dziurą w ziemi, zwaną *omphalos*, czyli pępek świata, wdychając wydobywające się z wnętrza petrochemiczne opary. Wyrocznia, nastoletnia dziewica, przepowiadała przyszłość, jako pierwsza w historii stosując miarę wierszową. Dlaczego o tym mówię? Ponieważ tej nocy Calliope również była dziewicą (przynajmniej jeszcze przez chwilkę). I ona również wdychała środki halucynogenne. Z leżących wokół chatki cedrowych bagien wydobywał się etylen. Ubrana w ogrodniczki zamiast w przeświecające szaty, Calliope zaczęła się czuć naprawdę bardzo dziwnie.

– Jeszcze piwko? – zapytał Jerome.

– Dobra.

Podał mi złotą puszkę piwa Stroh's. Przyłożyłem zroszoną puszkę do warg i napiłem się. Później jeszcze raz, jeszcze trochę. Oboje z Jeromem

czuliśmy ciężar zobowiązania. Uśmiechaliśmy się do siebie nerwowo. Spojrzałem w dół i potarłem kolano przez spodnie. A gdy podniosłem wzrok, obok mojej twarzy znajdowała się twarz Jerome'a. Oczy miał zamknięte, jak chłopak skaczący na nogi z wysokiej skały. Zanim się połapałem, co się dzieje, już mnie całował. Całował dziewczynę, która nigdy nie była całowana. (Przynajmniej nie od czasów Clementine Stark). Nie powstrzymywałem go. Pozostawałem nieruchomo, podczas gdy on robił swoje. Mimo zamroczenia czułem wszystko. Zdumiewającą wilgoć w jego ustach. Wyczuwalny wokół jego warg zarost. Jego język wpychający się do moich ust. Również wrażenia smakowe i zapachowe: piwo, narkotyk, zapach mięty, a pod tym wszystkim rzeczywisty, zwierzęcy smak ust chłopca. Czułem cierpki i pikantny smak hormonów Jerome'a, a także metal jego plomb. Otworzyłem jedno oko. Tuż obok były piękne włosy, które przez tak długi czas podziwiałem na innej głowie. Tu były piegi na czole, na grzbiecie nosa, wzdłuż uszu. Ale to nie była ta twarz; to nie były te piegi, a włosy były zafarbowane na czarno. Za moją beznamiętną twarzą kryła się zwinięta w kłębek dusza, czekająca, aż skończą się przykre chwile.

Jerome i ja nadal siedzieliśmy. Przyciskał swoją twarz do mojej. Lekko się poruszając, mogłem zobaczyć drugi koniec pokoju, gdzie znajdowali się Rex i Przedmiot. Oni już się położyli. Poły niebieskiej koszuli Reksa zdawały się łopotać w migoczącym świetle. Pod nim zwisała z łóżka jedna noga Przedmiotu, widać było zabłocony mankiet jej spodni. Słyszałem ich szepty i śmiechy, a potem znowu nastała cisza. Obserwowałem taniec zabłoconej nogi Przedmiotu. Tak skupiłem się na tej nodze, że ledwo zauważyłem, kiedy Jerome zaczął ciągnąć mnie na łóżko. Pozwoliłem mu na to, poddałem się naszemu powolnemu opadaniu, przez cały czas kątem oka obserwując Reksa i Przedmiot. Ręce Reksa przesuwały się po ciele Przedmiotu. Podciągały jej koszulę, wsuwały się pod nią. Po chwili zmienili nieco pozycję i mogłem zobaczyć ich twarze z profilu. Twarz Przedmiotu, nieruchoma jak maska pośmiertna, oczekiwała z zamkniętymi oczami. Profil Reksa był wzniesiony, czerwony z podniecenia. Tymczasem po moim ciele przesuwały się ręce Jerome'a. Masował nimi moje ogrodniczki, ale mnie już w zasadzie w nich nie było. Zbytnio skoncentrowałem się na Przedmiocie.

Ekstaza. Z greckiego słowa *ekstasis*. Oznaczającego jednak nie to, co w pierwszej chwili mogłoby się nasuwać na myśl. Nie oznaczającego

euforii albo seksualnego szczytowania czy nawet szczęścia, ale – dosłownie – stan przeniesienia, wyjścia poza własne zmysły. Trzy tysiące lat temu w Delfach wyrocznia co godzinę była w stanie ekstazy. Tak też było z Calliope tej nocy w domku myśliwskim na północy stanu Michigan. Po raz pierwszy naćpany, po raz pierwszy pijany, czułem, że rozpuszczam się, że wyparowuję. Jak kadzidło w kościele, tak moja dusza wznosiła się w kierunku kopuły mojej czaszki – i wyszła na zewnątrz. Unosiłem się nad podłogą z desek. Szybowałem nad małą kuchenką turystyczną. Mijając butelki po burbonie, przenosiłem się nad drugie łóżko i patrzyłem z góry na Przedmiot. I wtedy, ponieważ nagle zrozumiałem, że mogę, wstąpiłem w ciało Reksa Reese. Wstąpiłem w niego jak bóg i dlatego też to ja, a nie Rex, całowałem ją.

Na zewnątrz słychać było pohukiwanie sowy siedzącej na drzewie. Zwiedzione światłem insekty szturmowały okna. W moim delfickim stanie byłem świadomy obu równocześnie odbywających się sesji pieszczot. Korzystając z ciała Reksa, obejmowałem Mroczny Przedmiot, muskając nosem jej ucho… a jednocześnie czułem ręce Jerome'a przebiegające po moim ciele, które zostawiłem na drugim łóżku. Leżał na mnie, miażdżąc mi jedną z nóg, więc ją przesunąłem, rozszerzyłem nogi, a on wpadł między nie. Wydawał ciche dźwięki. Objąłem go ramionami, przerażony i poruszony jego szczupłością. Był chudszy niż ja. Jerome zaczął całować moją szyję. Zgodnie z informacjami wyczytanymi w jakimś czasopiśmie zwrócił uwagę na małżowinę mojego ucha. Jego ręce przesuwały się w górę. Zmierzały w kierunku moich piersi.

– Nie – zaprotestowałem, przerażony, że znajdzie moje chusteczki. Jerome mnie posłuchał…

…A na drugim łóżku Rex nie napotkał takiego oporu. Bardzo zręcznie jedną ręką rozpiął stanik Przedmiotu. Ponieważ miał większe doświadczenie niż ja, pozwoliłem mu zająć się guzikami koszuli, ale to moje dłonie uchwyciły stanik i, jakby podnosząc rolety, wpuściły do pomieszczenia blade światło piersi Przedmiotu. Widziałem je, dotykałem ich, a ponieważ nie ja to zrobiłem, tylko Rex Reese, nie musiałem się poczuwać do winy, nie musiałem się zastanawiać, czy kierują mną jakieś nienaturalne pragnienia. Czy mogły, skoro ja byłem na drugim łóżku z Jeromem?

…Na wszelki wypadek ponownie zwróciłem na niego swoją uwagę. Wyglądało na to, że cierpiał jakieś męczarnie. Ocierał się o mnie, ale nagle przestał i sięgnął ręką w dół, aby poprawić swoją pozycję. Usłyszałem dźwięk zamka błyskawicznego. Kątem oka zerknąłem na niego. Zobaczyłem, że się zastanawia, koncentrując się na rozwiązaniu zagadki ogrodniczków.

Wyglądało na to, że utknął w martwym punkcie, więc ponownie poszybowałem na drugi koniec pokoju i wstąpiłem w ciało Reksa Reese. Przez moment czułem, że Przedmiot reaguje na mój dotyk, w jej skórze i mięśniach można było wyczuć zaskoczenie, a równocześnie spragnioną gotowość. Ale poczułem również coś innego, nie wiem, czy to był Reks, czy ja, coś się wydłużało, powiększało. Czułem to tylko przez sekundę i nagle coś mnie odciągnęło…

Ręce Jerome'a znajdowały na moim nagim brzuchu. Gdy ja zasiedlałem ciało Rexa, Jerome skorzystał z okazji i odpiął szelki w moich ogrodniczkach. Rozpiął srebrne guziki w pasie. Właśnie ściągał ze mnie spodnie, a ja starałem się obudzić. Już szarpał moje majtki, a ja poczułem, jak bardzo jestem pijany. Był już w moich majtkach, a teraz był… we mnie!

I nagle – ból. Ból ostry jak nóż, ból palący jak ogień. Wdzierał się we mnie. Rozchodził się po moim brzuchu, sięgając aż do sutków. Dyszałem. Otworzyłem oczy, podniosłem wzrok i zobaczyłem Jerome'a patrzącego na mnie z góry. Gapiliśmy się tak na siebie i ja wiedziałem, że on wie. Jerome wiedział, kim jestem, równie nagle jak ja, gdy po raz pierwszy w życiu dotarło do mnie, że nie jestem dziewczyną, tylko czymś pośrednim. Domyśliłem się tego po tym, jak naturalnie czułem się w ciele Reksa Reese, jak bardzo czułem się tam na miejscu, poznałem to również po zdumionym wyrazie twarzy Jerome'a. Uświadomiłem sobie to wszystko w ułamku sekundy. Odepchnąłem Jerome'a. Cofnął się, odsunął i zsunął się z łóżka na podłogę.

Cisza. Tylko nas dwoje starających się złapać oddech. Leżałem na plecach na łóżku polowym. Pod wycinkami z gazet. Jedynym świadkiem był szczupak na ścianie. Podciągnąłem ogrodniczki i poczułem się zupełnie trzeźwy.

Było już po wszystkim. Już nic nie mogłem zrobić. Jerome powie Rexowi. Rex powie Przedmiotowi. Ona przestanie się ze mną przyjaźnić. Jak tylko zacznie się szkoła, wszyscy w Baker & Inglis będą wiedzieć, że

Calliope jest wybrykiem natury. Czekałem na to, że Jerome nagle wstanie i wybiegnie. Byłem spanikowany, ale równocześnie dziwnie spokojny. Układałem sobie w głowie wszystko po kolei. Clementine Stark i lekcje całowania, wspólne wirowanie w gorącej kąpieli, serce jak płaz i rozkwitanie krokusa, nadaremne wyczekiwanie na krew i piersi, a w końcu zadurzenie w Przedmiocie, które było, które miało być, które sprawiało wrażenie, że będzie trwać wiecznie.

Kilka chwil jasnego pojmowania rzeczywistości i znowu w moich uszach zajęczała panika. Chciałem natychmiast wybiec. Zanim Jerome zdąży cokolwiek powiedzieć. Zanim ktokolwiek się dowie. Mógłbym wyjechać dzisiejszej nocy. Mógłbym znaleźć powrotną drogę do domu przez cedrowe moczary. Mógłbym ukraść samochód rodziców Przedmiotu. Mógłbym pojechać na północ, przez cypel Upper Peninsula, do Kanady, tam, dokąd kiedyś chciał wyjechać Jonasz, aby uciec przed wojskiem. Gdy tak rozmyślałem nad moim życiem po ucieczce, zerknąłem ponad krawędź łóżka, aby zobaczyć, co robił Jerome.

Leżał na plecach z zamkniętymi oczami. I uśmiechał się do siebie.

Uśmiechał się? Jak się uśmiechał? Kpiąco? Nie. Z oburzeniem? Też nie. Więc jak? Z zadowoleniem. Na twarzy Jerome'a malował się uśmiech chłopca, który w letnią noc dopiął swego. Uśmiechał się jak facet, który nie może się doczekać chwili, gdy będzie mógł opowiedzieć o tym kolegom.

Możesz w to wierzyć czytelniku lub nie – on niczego nie zauważył.

Strzelba na ścianie

Obudziłem się już w domu. Niezbyt wyraźnie pamiętałem, w jaki sposób się tam dostałem, jak przebrnąłem przez bagna. Nadal miałem na sobie ogrodniczki. Moje krocze było jak z gąbki i czułem, jak mnie pali. Przedmiot już wstała albo spała gdzie indziej. Sięgnąłem ręką w dół i odkleiłem majtki od skóry. Lekki powiew powietrza, ten zapach, coś w tej czynności przywołało na nowo świeżą informację o mnie. Ale ta wiadomość nie nabrała jeszcze rzeczywistych kształtów. To jeszcze nie było w pełni realne. To było tylko przeczucie co do mojej osoby, któremu nadchodzący poranek nie przydał żadnej wyrazistości. To była tylko myśl, która już zaczynała się zacierać, stając się częścią pijaństwa poprzedniej nocy w lesie.

Gdy wyrocznia budziła się po dzikich, profetycznych nocach, prawdopodobnie nie pamiętała tego, co mówiła. Jakiekolwiek prawdy by przepowiedziała, schodziły one na plan dalszy w stosunku do bieżących wrażeń – bólu głowy i palącego gardła. Tak samo było z Calliope. Miałem poczucie skalania i przejścia inicjacji. Czułem, że dojrzałem. Ale przede wszystkim było mi niedobrze i nie chciałem myśleć o tym, co się wydarzyło.

Starałem się spłukać z siebie pod prysznicem to doświadczenie, trąc starannie całe ciało, podnosząc twarz ku spadającej ukośnie wodzie. Powietrze wypełniała para wodna. Z okien i luster spływały kropelki wody. Ręczniki wilgotniały. Brałem po kolei wszystkie znajdujące się w łazience mydła, Lifebuoy, Ivory, a także miejscowe, produkowane na wsi, ostre jak papier ścierny. Ubrałem się i cichutko zszedłem po schodach. Przechodząc przez salon, zauważyłem wiszącą nad kominkiem starą strzelbę myśliwską. Jeszcze jedna strzelba na ścianie. Minąłem ją na paluszkach. W kuchni Przedmiot jadła płatki i czytała gazetę. Nie spojrzała na mnie,

gdy wszedłem. Wziąłem sobie miseczkę i usiadłem naprzeciw Przedmiotu. Być może w trakcie tej czynności na mojej twarzy pojawił się jakiś grymas.

– O co chodzi? – zapytała z drwiną w głosie. – Nie czujemy się zbyt dobrze?

Jej pełna sarkazmu twarz spoczywała oparta na dłoni. Ona też nie była w najlepszej formie. Miała podkrążone oczy. Czasami jej piegi nie wyglądały jak ślady po słońcu, ale jak ślady korozji czy rdzy.

– To ty powinnaś czuć się niedobrze – odpowiedziałem.

– Jeśli chcesz wiedzieć – powiedziała Przedmiot – to wcale nie jest mi niedobrze.

– Zapomniałam – odparłem. – Ty jesteś do tego przyzwyczajona.

Nagle jej twarz zaczęła drżeć ze złości. Pod skórą widać było napinające się sznury wiązadeł.

– Zeszłej nocy zachowałaś się jak ostatnia zdzira – zaatakowała.

– Ja? A co ty robiłaś? Cały czas migdaliłaś się z Rexem.

– Nieprawda. Nawet nic specjalnego nie zrobiliśmy.

– Mogłaś udawać.

– Przynajmniej nie jest twoim bratem – podniosła się, patrząc z furią.

Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać. Nie otarła ust. Widać na nich było dżem i okruszki. Oniemiałem na widok tej ukochanej twarzy przybierającej wyraz nienawiści. Z pewnością na mojej twarzy również malowała się jakaś reakcja. Czułem, jak moje oczy rozszerzają się w przerażeniu. Przedmiot czekała, aż coś powiem, ale nic nie przychodziło mi do głowy. W końcu odsunęła krzesło i powiedziała:

– Jerome jest na górze. Możesz iść i wskoczyć mu do łóżka. – I wybiegła z kuchni.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Żal, jaki już od pewnego czasu mnie przepełniał, teraz przełamał tamę. Sączył się do moich nóg, zalewał moje serce. Oprócz przerażenia, że straciłem przyjaciółkę, nagle poczułem strach o swoją reputację. Czy faktycznie byłem zdzirą? Przecież nawet mi się to nie podobało. Ale zrobiłem to, prawda? Pozwoliłem mu to zrobić. Po chwili przyszedł lęk przed karą. A co będzie, jeśli zajdę w ciążę? Co wtedy? Moja twarz przy śniadaniu wyglądała jak twarz dziewcząt pochłoniętych obliczeniami, liczących dni, analizujących płyny. Minęła co najmniej minuta, zanim przypomniałem sobie, że przecież nie mogłem zajść

w ciążę. Jedyna zaleta opóźnionego rozkwitania. Wciąż jednak czułem złość. Byłem pewny, że Przedmiot już nigdy się do mnie nie odezwie.

Wszedłem z powrotem po schodach i wróciłem do łóżka. Naciągałem sobie poduszkę na głowę, aby schować się przed światłem lata. Ale tego ranka nie można było ukryć się przed rzeczywistością. Nie minęło pięć minut i łóżko ponownie ugięło się pod nowym ciężarem. Zerknąłem i zobaczyłem, że to Jerome przyszedł mnie odwiedzić.

Leżał na plecach, wyglądało na to, że już się odpowiednio ulokował i że jest mu wygodnie. Zamiast szlafroka miał na sobie płaszcz do polowania na kaczki. Spod płaszcza wystawały końcówki postrzępionych bokserek. W jednej ręce trzymał kubek z kawą i zauważyłem, że paznokcie miał pomalowane na czarno. Wpadające przez boczne okno światło poranka oświetlało zarost na jego podbródku i nad górną wargą. W porównaniu do matowych, zniszczonych, farbowanych włosów te pomarańczowe pędy wyglądały jak życie powracające na spaloną ziemię.

– Dzień dobry, kochanie – powiedział.

– Cześć.

– Nie czujesz się zbyt dobrze, tak?

– Tak – odpowiedziałem. – Wczoraj byłam nieźle nawalona.

– Nie wyglądałaś aż na tak nawaloną, moja droga.

– Ale byłam.

Jerome dał sobie spokój. Opadł na poduszki, popijał kawę i wzdychał. Przez chwilę stukał się palcem w czoło. Potem powiedział:

– Słuchaj, na wypadek, gdyby miały cię dręczyć jakieś wątpliwości, chcę, żebyś wiedziała, że nadal cię szanuję i że wszystko między nami jest w porządku.

Nie odpowiedziałem. Odpowiedź tylko potwierdziłaby realność tego, co się zdarzyło, a ja chciałem, aby wszystko pozostało w sferze wątpliwości. Po chwili Jerome odstawił kubek i przekręcił się na bok. Przysunął się do mnie i położył mi głowę na ramieniu. Leżał tam, oddychając. Następnie, z zamkniętymi oczami, poruszył głową i wsunął się do mnie pod poduszkę. Zaczął trącać mnie nosem. Przesunął swoimi włosami po skórze na mojej szyi, a po chwili przeszedł do wrażliwych części ciała. Jego rzęsy składały na moim podbródku pocałunki motyla. Jego nos sapał we wgłębienie mojej szyi. A później nadciągnęły jego wargi, żądne, niezdarne. Chciałem, aby sobie poszedł. Jednocześnie zastanawiałem się, czy umyłem zęby. Jerome

położył się na mnie i zaczął się poruszać, a ja, tak jak ubiegłej nocy, czułem, że przygniata mnie swoim ciężarem. W taki właśnie sposób chłopcy i mężczyźni wyrażają swoje intencje. Zakrywają cię jak pokrywa sarkofagu. I nazywają to miłością.

Przez chwilę mogłem to jeszcze znieść. Ale wkrótce myśliwski płaszcz podjechał w górę i poczułem naciskający na mnie żar pożądania Jerome'a. Znowu starał się sięgnąć mi pod koszulę. Nie miałem na sobie stanika. Nie włożyłem go po wyjściu spod prysznica, a chusteczki wyrzuciłem do ustępu. Skończyłem z nimi. Ręka Jerome'a przesunęła się wyżej. Nie dbałem o to. Pozwoliłem, aby poczuł moje ciało. Cokolwiek by to miało znaczyć. Ale jeśli miałem nadzieję, że on będzie rozczarowany, przeliczyłem się. Głaskał mnie i uciskał, a równocześnie zamiatał dolną częścią swojego ciała jak krokodyl ogonem. Chwilę później powiedział coś, co wyjątkowo nie zabrzmiało ironicznie. Żarliwie wyszeptał:

– Naprawdę mnie pociągasz.

Jego zamknięte usta poszukują moich. Wkroczył jego język. Pierwsza penetracja zapowiadająca kolejną. Ale nie teraz, nie tym razem.

– Przestań – powiedziałem.

– Co?

– Przestań.

– Dlaczego?

– Dlatego.

– Co to znaczy „dlatego"?

– Bo ja cię lubię, ale nie tak.

Usiadł. Jak facet w starej burlesce, facet na składanym łóżku, które ciągle się składało, Jerome podniósł się, całkowicie przytomny. Następnie wyskoczył z łóżka.

– Nie bądź na mnie zły – poprosiłem.

– A kto powiedział, że jestem zły? – odrzekł Jerome i wyszedł.

Reszta dnia wlokła się powoli. Opuściłem mój pokój dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, że Jerome wyszedł z domu z kamerą. Domyśliłem się, że już nie będę obsadzony w żadnej roli. Rodzice Przedmiotu wrócili z porannej partii tenisowego miksta. Pani Przedmiot weszła po schodach do głównej sypialni. Przez okno widziałem jej męża lokującego się z książką w ogrodowym hamaku. Odczekałem, aż usłyszę szum prysznica, zszedłem

tylnymi schodami i wyszedłem przez kuchenne drzwi. W melancholijnym nastroju poszedłem w kierunku zatoki.

Po jednej stronie domu rozpościerały się cedrowe moczary. Po drugiej była żwirowa droga prowadząca przez bezdrzewne pole porośnięte wysoką, żółtą trawą. Nieobecność drzew wyraźnie rzucała się w oczy. Myszkując po okolicy, napotkałem historyczną płytę pamiątkową, prawie zupełnie zarośniętą. Oznaczała miejsce jakiegoś fortu czy rzezi, dokładnie już nie pamiętam. Wypukłe litery były pokryte mchem i nie udało mi się odczytać całego napisu. Postałem w tym miejscu przez chwilę, myśląc o pierwszych osadnikach i o tym, jak zabijali się wzajemnie za borsucze albo lisie skórki. Postawiłem nogę na napisie i kopałem mech stopą w tenisówce, aż się zmęczyłem. Dochodziło już południe. Zatoka była jasnoniebieska. Ponad wzniesieniem wyczuwałem obecność Petoskey, dym z tamtejszych pieców i kominów. W pobliżu wody roślinność była bardziej bagienna. Wspiąłem się na falochron i zacząłem chodzić po nim tam i z powrotem, starając się utrzymać równowagę. Rozłożyłem ręce i zacząłem podskakiwać jak Olga Korbut. Ale nie miałem do tego serca. A oprócz tego byłem zdecydowanie za wysoki na Olgę Korbut. Po pewnym czasie dotarł do moich uszu warkot łodzi motorowej. Osłoniłem dłonią oczy, aby spojrzeć ponad lśniącą wodą. Przepływała motorówka. Za kierownicą stał Rex Reese. Z obnażonym torsem, w okularach przeciwsłonecznych, popijał piwo i dodawał gazu, ciągnąc za sobą narciarkę na nartach wodnych. To była oczywiście Przedmiot w swoim koniczynowym bikini. Na tle przestworu wód wyglądała tak, jakby była prawie nago, tylko te dwa cienkie paski, jeden na górze, a drugi na dole, oddzielały ją od Edenu. Jej rude włosy łopotały jak ostrzeżenie o wichurze. Nie prezentowała się zbyt pięknie na nartach. Zbyt wychylona do przodu, z szeroko rozstawionymi nogami. Ale dosyć pewnie utrzymywała równowagę. Rex stale zakręcał, kontrolując ją, równocześnie sączył piwo. W końcu łódź ostro zawróciła i Przedmiot przecięła kilwater, pozostawiając ślad wzdłuż brzegu.

Podczas jazdy na nartach wodnych dzieje się coś strasznego. Po puszczeniu liny przez jakiś czas swobodnie ślizgamy się po powierzchni wody. Ale nadchodzi nieunikniona chwila, gdy nasza prędkość nie pozwala już na kontynuowanie ruchu do przodu. Powierzchnia wody łamie się jak szkło. Otwierają się głębiny, dopominając się o naszą osobę. Tak się

czułem, stojąc na lądzie i patrząc, jak obok przemyka Przedmiot. To samo pogrążające, beznadziejne uczucie, ta fizyka uczuć.

Kiedy wróciłem na kolację, Przedmiotu nadal nie było. Jej matka złościła się, uważając, że to niełądnie ze strony koleżanki zostawiać mnie bez towarzystwa. Jerome'a również nie było, poszedł gdzieś z kolegami. Jadłem zatem kolację z rodzicami Przedmiotu. Byłem zbyt smutny, aby tego wieczoru zabawiać dorosłych. Zjadłem w ciszy i później usiadłem w salonie, udając, że czytam. Zegar odmierzał sekundy. Wśród cichego skrzypienia powoli zapadała noc. Kiedy już poczułem, że jestem bliski załamania, poszedłem do łazienki i zmoczyłem twarz wodą. Trzymałem przy oczach ciepłą myjkę do twarzy i przyciskałem dłonie do skroni. Zastanawiałem się, co robią Przedmiot i Rex. Wyobrażałem sobie jej skarpetki w powietrzu, jej małe tenisowe skarpetki z piłeczkami na piętach, oczami wyobraźni widziałem, jak te pokrwawione piłeczki podskakują.

To było oczywiste, że państwo Przedmiot nie kładli się spać tylko ze względu na mnie. W końcu powiedziałem im dobranoc i sam poszedłem do łóżka. Położyłem się i od razu zacząłem płakać. Płakałem bardzo długo, starając się nie robić hałasu. Szlochałem i szeptałem do siebie jak osoba pokrzywdzona. Łkałem: „Dlaczego mnie nie lubisz?" i „Przepraszam, przepraszam!". Nie miało dla mnie znaczenia, jak to brzmi. Byłem zatruty od wewnątrz i potrzebowałem oczyszczenia. Gdy tak leżałem, łkając, usłyszałem trzaśnięcie drzwi na dole. Wytarłem nos w pościel, spróbowałem się uspokoić i nasłuchiwałem. Usłyszałem kroki na schodach, a po chwili drzwi do sypialni otworzyły się i zamknęły. Przedmiot weszła i stała w ciemnościach. Być może czekała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Leżałem na boku, udając, że śpię. Deski w podłodze zaskrzypiały, gdy podeszła do łóżka od mojej strony. Czułem jej wzrok, kiedy tak stała nade mną. Po chwili przeszła na drugą stronę łóżka, zdjęła buty i spodenki, włożyła koszulkę i położyła się do łóżka.

Przedmiot spała na plecach. Powiedziała mi kiedyś, że spanie na plecach charakteryzuje osoby o cechach przywódców, urodzonych artystów lub ekshibicjonistów. Osoby śpiące na brzuchu, jak ja, to ludzie uciekający od rzeczywistości, obdarzeni talentem do mrocznych wyobrażeń i sztuki medytacji. W naszym przypadku ta teoria się sprawdzała. Leżałem twarzą

na dół, z obolałymi od płaczu oczami i nosem. Przedmiot, leżąca na wznak, ziewnęła i (być może jak urodzona artystka) wkrótce zasnęła.

Na wszelki wypadek odczekałem jakieś dziesięć minut. Następnie, jakby wiercąc się we śnie, odwróciłem się, aby móc patrzeć na Przedmiot. Niepełna tarcza księżyca zalewała pokój niebieskim światłem. Na wiklinowym łóżku obok mnie spała Mroczny Przedmiot. Widać było górę jej koszulki z Groton. To była jedna ze starych koszulek jej ojca, dziurawa w kilku miejscach. Jedna ręka leżała w poprzek jej twarzy, jak ukośnik na znaku oznaczającym „Nie dotykać". W związku z tym tylko patrzyłem. Jej włosy rozsypane na poduszce. Usta rozchylone. Coś skrzyło się w jej uchu, być może ziarnka piasku z plaży. Z tyłu na toaletce świeciły flakoniki. Sufit był gdzieś wysoko w górze. Wyczuwałem pracujące w kątach pająki. Pościel była chłodna. Ze zwiniętej w nogach grubej kołdry wyłaziły pióra. Dorastałem w zapachu nowych dywanów, poliestrowych koszul gorących od żelazka. Tutejsza egipska pościel pachniała żywopłotem, a poduszki ptactwem wodnym. Leżąca w odległości trzydziestu centymetrów Przedmiot stanowiła część tego środowiska. Jej kolorystyka pasowała do amerykańskiego krajobrazu, jej włosy w kolorze dyni, jej skóra w kolorze jabłecznika. Cicho jęknęła i znowu znieruchomiała.

Delikatnie zacząłem ściągać z niej przykrycie. W półmroku pojawił się zarys jej sylwetki, wzniesienie piersi pod koszulką, łagodne wzgórze jej brzucha, a następnie jasność jej majteczek zbiegających się w kształt litery „V". Nawet nie drgnęła. Jej pierś poruszała się miarowo w rytm jej oddechu. Powoli, starając się nie robić hałasu, przysunąłem się do niej. Znajdujące się w moim boku drobne mięśnie, mięśnie, o których istnieniu nawet nie wiedziałem, nagle się uaktywniły. Pchały mnie, milimetr po milimetrze, w mojej drodze przez pościel. Kłopot sprawiały mi stare sprężyny łóżka. Gdy starałem się lekko posuwać naprzód, one bezwstydnie zagrzewały mnie do działania. Radowały się, śpiewały. Zatrzymywałem się i ruszałem dalej. To była ciężka praca. Oddychałem przez usta, aby było ciszej.

Przez dziesięć minut zbliżałem się do niej. W końcu poczułem ciepło jej ciała, emanujące wzdłuż całego mojego boku. Nasze ciała nie dotykały się, tylko promieniowały wzajemnie na siebie. Oddychała głęboko. Ja również. Wspólnie oddychaliśmy. W końcu, zebrawszy się na odwagę, położyłem rękę na jej talii.

Później przez dłuższą chwilę nic więcej. Gdy już osiągnąłem tak wiele, obawiałem się robić coś jeszcze. Leżałem nieruchomo, na wpół ją obejmując. Ręka mi zesztywniała. Zaczęła drżeć i w końcu zdrętwiała. Przedmiot mogła być pod wpływem narkotyków lub w stanie śpiączki. Ale w jej skórze, w jej mięśniach, wyczuwałem jakąś czujność. Po kolejnej długiej chwili ruszyłem dalej. Chwyciłem jej koszulkę i podniosłem. Przez dłuższy czas patrzyłem na jej nagi brzuch i w końcu, jakby w przygnębieniu, skłoniłem głowę. Skłoniłem głowę przed bogiem rozpaczliwego pragnienia. Ucałowałem brzuch Przedmiotu, a następnie powoli, nabierając pewności siebie, zacząłem posuwać się w górę.

Czy pamiętacie moje serce-żabę? W sypialni Clementine Stark skakało z błotnistego brzegu, poruszając się między dwoma środowiskami. Teraz robiło coś bardziej zdumiewającego – wypełzało na ląd. Całe tysiąclecia ewolucji skróciło do trzydziestu sekund i rozwinęło świadomość. Całując brzuch Przedmiotu, nie tylko reagowałem na przyjemne bodźce, jak to było z Clementine. Nie opuszczałem mojego ciała jak z Jerome. Byłem świadomy tego, co się dzieje. Myślałem o tym.

Myślałem, że to jest to, czego zawsze pragnąłem. Zdawałem sobie sprawę, że nie tylko ja tu udawałem. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby nagle ktoś odkrył, co my robimy. Myślałem o tym, że to wszystko było bardzo skomplikowane i tylko jeszcze bardziej się skomplikuje.

Sięgnąłem w dół i dotknąłem jej bioder. Zaczepiłem palcami o gumkę w jej majteczkach. Zacząłem je zsuwać. W tym momencie Przedmiot bardzo delikatnie podniosła biodra, aby ułatwić mi zadanie. To był jej jedyny wkład.

Następnego dnia ani słowem o tym nie wspomnieliśmy. Gdy wstałem, Przedmiotu już nie było w łóżku. Była w kuchni i przyglądała się, jak jej ojciec przygotowuje duszone mięso. Przygotowywanie śniadania było niedzielnym obrzędem ojca Przedmiotu. Nadzorował topienie się i wrzenie tłuszczu, a jego córka od czasu do czasu zaglądała do patelni i mówiła:

– To jest obrzydliwe.

Wkrótce siedziała nad talerzem gotowej potrawy i zachęcała mnie, abym się przyłączył.

– Będę miała straszną zgagę – stwierdziła.

Od razu zrozumiałem niemy komunikat. Przedmiot nie życzyła sobie żadnych dramatów, żadnego obwiniania się. Również żadnego okazywania uczuć. Jadła śniadanie, oddzielając w ten sposób noc od dnia, wyraźnie zaznaczając, że to, co się wydarzyło w nocy, to, co zrobiliśmy, nie miało nic wspólnego z porą dzienną. Oprócz tego była dobrą aktorką i chwilami zastanawiałem się, czy ona rzeczywiście nie spała przez cały ten czas. A może to wszystko mi się przyśniło.

W ciągu dnia tylko dwa razy dała po sobie poznać, że coś się między nami zmieniło. Po południu przyjechała ekipa filmowa Jerome'a. Składała się z dwóch jego kolegów niosących skrzynki, kable i długi, włochaty mikrofon wyglądający jak brudny, zwinięty dywanik łazienkowy. Jerome już wtedy ostentacyjnie nie odzywał się do mnie. Rozłożyli się w znajdującej się na terenie posiadłości niewielkiej szopie na narzędzia. Przedmiot i ja postanowiliśmy przyjrzeć się temu, co robili. Ponadto Jerome kazał nam trzymać się z daleka, więc nie mogliśmy oprzeć się pokusie. Podeszliśmy cichaczem, podbiegając od drzewa do drzewa. Co chwilę musieliśmy się zatrzymywać, aby stłumić wybuchy śmiechu, klepiąc się nawzajem, uciekając wzrokiem przed sobą, aż się opanowaliśmy. Zajrzeliśmy przez tylne okienko szopy. W środku niewiele się działo. Jeden z kolegów Jerome'a wieszał lampę na ścianie. Trudno nam było równocześnie zaglądać przez malutkie okienko, więc Przedmiot stanęła przede mną. Położyła moje dłonie na swoim brzuchu i trzymała mnie za nadgarstki. Pozornie jednak uwagę miała skupioną na tym, co się działo w szopie.

Pojawił się Jerome przebrany za wampira z liceum. Pod typową kamizelką Draculi miał na sobie różową koszulkę Lacoste. Zamiast muszki założył fularowy krawat. Czarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu, twarz pobieloną grubą warstwą kosmetyków, a w ręku dzierżył shaker do koktajli. Jeden z jego kumpli trzymał kij od miotły ze zwisającym z niego gumowym nietoperzem. Drugi obsługiwał kamerę.

– Akcja! – krzyknął Jerome.

Podniósł w górę shaker. Potrząsnął nim oburącz. W tym samym momencie nietoperz zanurkował i przefrunął nad jego głową. Jerome zdjął wieczko shakera i wlał krew do kieliszków do martini. Podał jeden z nich przyjacielowi nietoperzowi, który szybko wpadł do niego z pluskiem. Jerome łyknął swojego krwawego koktajlu.

– Tak jak lubisz, laleczko – odezwał się do nietoperza. – Bardzo wytrawne.

Czułem, jak pod moimi dłońmi brzuch Przedmiotu podskakuje ze śmiechu. Odchyliła się do tyłu i oparła o mnie, a jej ciało, otoczone moimi ramionami, trzęsło się i poddawało. Przycisnąłem się do niej biodrami. To wszystko odbywało się potajemnie, za szopą, jak zalotne dotykanie się stopami pod stołem. Ale w tym momencie kamerzysta opuścił kamerę. Pokazał na nas i Jerome odwrócił się w naszą stronę. Utkwił wzrok w moich dłoniach, a następnie spojrzał mi w oczy. Obnażył kły, piorunując mnie wzrokiem. Następnie krzyknął swoim normalnym głosem:

– Zjeżdżajcie stąd, cipy! Kręcimy!

Podszedł do okna i uderzył w nie, ale my już uciekaliśmy.

Później, wieczorem, zadzwonił telefon. Odebrała matka Przedmiotu.

– To Rex – powiedziała.

Przedmiot wstała z sofy, na której graliśmy w tryktraka. Zabrałem się za porządkowanie moich pionków, aby czymś się zająć. Przestawiałem je tam i z powrotem, a Przedmiot rozmawiała z Rexem. Była odwrócona do mnie tyłem. Poruszała się, rozmawiając, i bawiła się kablem telefonicznym. Nie odrywałem wzroku od pionków, przesuwając je z miejsca na miejsce. Równocześnie przysłuchiwałem się rozmowie.

– Nic specjalnego, gramy tylko w tryktraka… z Callie… On kręci ten swój głupi film… Nie mogę, zaraz mamy kolację… Nie wiem, może później… Jestem trochę zmęczona.

Nagle odwróciła się na pięcie i spojrzała na mnie. Z wysiłkiem podniosłem na nią wzrok. Przedmiot wskazała na słuchawkę i potem, szeroko otwierając usta, wsadziła sobie palec do gardła. Radość przepełniła moje serce.

Znowu nadeszła noc. W łóżku odbyliśmy naszą rozgrzewkę, poprawiając poduszki, ziewając. Przewracaliśmy się z boku na bok, starając się wygodnie ułożyć. Następnie, po odpowiednio długiej chwili, Przedmiot zamruczała. To było coś jakby szept, jakby krzyk, który uwiązł w gardle, jakby mówiła przez sen. Po tym jej oddech stał się głębszy. Traktując to jako wyraz przyzwolenia, Calliope rozpoczęła swoją długą podróż przez łóżko.

Tak zatem wyglądał nasz romans. Bez słów, w ciemnościach, nocne igraszki, igraszki we śnie. Mnie również to było na rękę. Cokolwiek by to

miało świadczyć o mnie, lepiej, żeby się ujawniało powoli, w korzystniejszym świetle. A to oznaczało niezbyt dużo światła naraz. Poza tym przecież tak jest zawsze, gdy dorastamy. Nowych rzeczy próbujemy w ciemnościach. Upijamy się lub narkotyzujemy i musimy improwizować. Przypomnijmy sobie, co się działo w samochodach, w małych namiocikach albo podczas imprez przy ognisku na plaży. Czy kiedyś zdarzyło się wam, nie przyznając się nawet do tego, znaleźć się w niedwuznacznej sytuacji z najlepszą koleżanką czy kolegą? Albo w akademiku, we dwójkę w jednoosobowym łóżku, przy dochodzącej z marnego zestawu stereo orkiestracji fugi Bacha? Pierwsze zbliżenia seksualne to właśnie stan przypominający fugę. Zanim popadniemy w seks rutynowy albo w miłość. Wtedy, gdy pieszczoty mają głównie charakter anonimowy. Seks w piaskownicy. Zaczyna się, gdy mamy naście lat, i trwa do wieku lat dwudziestu lub dwudziestu jeden. To tak jak nauka dzielenia się. Dzielenia się zabawkami.

Czasami, gdy powoli kładłem się na nią, Przedmiot prawie się budziła. Poruszała się, aby mnie przyjąć, rozszerzała nogi albo oplatała mnie ramieniem. Wypływała na powierzchnię świadomości i po chwili ponownie nurkowała. Drgały jej powieki. Jej ciało zaczynało współpracować, powolne ruchy podbrzusza w rytm mojego, jej głowa odrzucona w tył, odsłaniająca dla mnie szyję. Czekałem na więcej. Pragnąłem, aby uznała to, co robimy, ale równocześnie bałem się. I tak lśniący delfin wznosił się, przeskakiwał przez pierścień moich nóg i znowu znikał, a ja, rozkołysany, starałem się złapać równowagę. Tu, na dole, wszystko było mokre. Nie wiedziałem, czy ze mnie, czy z niej. Złożyłem głowę na jej piersi poniżej wybrzuszenia na koszulce. Jej pachy pachniały jak przejrzałe owoce. Nie miała tam zbyt wiele włosów.

– Szczęściara – powiedziałbym w naszym dziennym życiu. - Nawet nie musisz się golić.

Ale nocna Calliope tylko pogłaskała te włosy, a może skosztowała ich smaku. Pewnej nocy, gdy robiłem to czy tamto, zobaczyłem cień na ścianie. Myślałem, że to ćma. Ale gdy się przyjrzałem, zobaczyłem, że to była ręka Przedmiotu wzniesiona nad moją głową. Jej ręka była zupełnie przebudzona. Zaciskała się i rozwierała, pompując całą ekstazę jej ciała w kierunku jego tajemnego kwiecia.

Naszym zachowaniem nie rządziły żadne sztywne zasady. Nie przywiązywaliśmy szczególnej wagi do szczegółów. Dla nas najistotniejsze było, że to się działo, że był to seks. To było najważniejsze. Jak to się dokładnie odbywało, co i gdzie, było sprawą drugorzędną. Ponadto nie mieliśmy tego z czym porównywać. Nic poza naszą nocą w szopie z Rexem i Jeromem.

Jeśli chodzi natomiast o mojego krokusa, muszę powiedzieć, że nie był tym fragmentem mojego ciała, który odkrywaliśmy i którym cieszyliśmy się wspólnie. Doktor Luce może wam wytłumaczyć, że po podaniu samicom małp męskich hormonów przejawiają one skłonność do krycia. Chwytają, pchają. Ale nie ja. A przynajmniej nie na początku. Kwitnienie krokusa było zjawiskiem bezosobowym. Stanowił coś w rodzaju haczyka spajającego nas, bardziej stymulującego zewnętrze Przedmiotu niż penetrującego jej wnętrze. Ale, jak dało się zauważyć, dosyć skutecznie. Po kilku pierwszych nocach ona tego pragnęła. Pragnęła, ale z pozoru pozostawała bierna. Gdy ją obejmowałem, gdy powoli, sennie podnosiliśmy się i supłaliśmy z sobą, Przedmiot, wciąż nieświadoma, układała się w dogodnej pozycji. Nie było zaplanowanych pieszczot. Nie było żadnego określonego celu. Ale nabyta wprawa wniosła do naszych sennych zbliżeń jakąś płynną gimnastykę. Oczy Przedmiotu przez cały czas pozostawały zamknięte, jej głowa często lekko odwrócona. Poruszała się pode mną, jak śpiąca dziewczyna gwałcona przez demona uwodzącego ją w czasie snu. Była jak ktoś, kto ma zbereźne sny i bierze swoją poduszkę za kochanka.

Czasami, przed lub po, włączałem nocną lampkę. Podciągałem koszulkę Przedmiotu jak najwyżej się dało i opuszczałem jej majtki poniżej kolan. I tak leżałem, napawając oczy widokiem. Czy mógł być piękniejszy obraz? Złote opiłki zgromadzone wokół magnesu jej pępka. Jej żebra były cienkie jak lukrowane pałeczki. Jej rozłożyste biodra, tak odmienne od moich, wyglądały jak misa ofiarująca czerwony owoc. I to moje ulubione miejsce, gdzie klatka piersiowa przechodziła miękko w jej piersi, w znajdujące się tam gładkie, białe wydmy.

Wyłączyłem światło. Przytuliłem się do Przedmiotu. Wziąłem w dłonie jej uda, układając jej nogi wokół mojego pasa. Sięgnąłem pod nią. Podniosłem ją, jednocześnie przyciskając ją do siebie. I wtedy moje ciało

rozdzwoniło się jak katedra. Garbus w dzwonnicy uwiesił się na sznurze i szarpał nim jak opętany.

Przez cały ten okres nie wyciągnąłem jeszcze ostatecznych wniosków co do mojej osoby. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tak było. Umysł sam redaguje swoje dane. Umysł maluje aerografem. Sytuacja wygląda inaczej, gdy patrzy się na nią z wnętrza ciała niż z zewnątrz. Z zewnątrz można się przyglądać, badać, porównywać. Wewnątrz nie ma możliwości porównywania. W ciągu ostatniego roku krokus znacznie się wydłużył. Gdy był najbardziej okazały, mierzył jakieś pięć centymetrów. Jednak większa część tej długości była ukryta w fałdach skóry, z których się wyłaniał. Ponadto były włosy. W stanie spoczynku krokus był prawie niezauważalny. Gdy patrzyłem na swoje ciało z góry, widziałem tylko ciemną, trójkątną oznakę dorastania. Gdy dotykałem mojego krokusa, powiększał się, nabrzmiewał, aż w końcu, jak korek z szampana, wystrzeliwał z torebki, w której się znajdował. Wystawiał główkę na powietrze. Jednak niezbyt daleko. Nie więcej niż dwa centymetry poza linię drzew. Co to mogło oznaczać? Z własnego doświadczenia wiedziałem, że Przedmiot również miała swojego krokusa. Również nabrzmiewał pod dotknięciem. Mój był po prostu większy, bardziej wylewny w swych uczuciach. Mój krokus miał serce na dłoni.

Kluczową kwestią było to, że krokus nie miał dziurki na końcu. Zdecydowanie różnił się od tego, co mieli chłopcy. Spróbuj, czytelniku, postawić się w mojej sytuacji i zastanów się, do jakich wniosków na temat swojej płci doszedłbyś, gdybyś miał to, co ja miałem, gdybyś wyglądał, jak ja wyglądałem. Aby zrobić siusiu, musiałem siadać. Strumień wypływał spod spodu. Miałem wnętrze jak dziewczyna. To wnętrze było delikatne, nawet lekko bolało, gdy wkładałem tam palec. Co prawda moje piersi były zupełnie płaskie. Ale w naszej szkole było więcej desek do prasowania. A Tessie stale twierdziła, że pod tym względem jestem podobny do niej. Mięśnie? Nie ma o czym mówić. Także żadnych bioder czy talii. Dziewczyna jak płytki talerz. Nisko(Cal)oryczna specjalność zakładu.

Dlaczego miałbym sądzić, że nie jestem dziewczyną? Ponieważ pociągały mnie dziewczyny? To się zawsze zdarzało. A tym bardziej w 1974 roku. W tym okresie zaczęło to już być narodową rozrywką. Moje ekstatyczne przeczucia co do własnej osoby były teraz głęboko stłumione.

Trudno powiedzieć, jak długo udałoby mi się je jeszcze powstrzymywać. Ale ostatecznie nie zależało to ode mnie. Wielkie sprawy nigdy nie zależą od nas. Takie jak narodziny i śmierć. I miłość. I to, co miłość przekazuje nam w spadku jeszcze przed naszym narodzeniem.

Czwartkowy poranek był gorący. Był to jeden z tych wilgotnych dni, gdy wydaje się, że w atmosferze wszystko się pomieszało. Można to było wyczuć, siedząc na werandzie – powietrze chciało być wodą. Podczas upału Przedmiot zawsze była znużona. Mówiła, że puchną jej kostki. Przez cały poranek była męcząca, wymagająca i nie opuszczał jej zły humor. Gdy się ubierałem, wyszła z łazienki i od drzwi zaczęła mnie oskarżać:

– Co zrobiłaś z moim szamponem?

– Nic z nim nie robiłam.

– Zostawiłam go na parapecie. Tylko ty używasz tego szamponu.

Przecisnąłem się obok niej i poszedłem korytarzem.

– Jest tu, w wannie – powiedziałem.

Przedmiot wzięła go ode mnie.

– Ohydnie się czuję. Cała się lepię! – stwierdziła w ramach usprawiedliwienia. Następnie poszła pod prysznic, a ja myłem zęby. Po minucie wystawiła swoją owalną twarz zawiniętą w zasłonkę prysznicową. Wyglądała jakby miała łysą głowę i ze swoimi dużymi oczami przypominała kosmitkę.

– Przepraszam, że jestem dzisiaj taką suką – powiedziała.

Dalej myłem zęby, chcąc, aby nieco cierpiała.

Czoło Przedmiotu zmarszczyło się, a jej oczy złagodniały i spojrzała błagalnie.

– Nienawidzisz mnie?

– Jeszcze nie wiem.

– Ty jędzo! – krzyknęła, zabawnie marszcząc brwi, i zaciągnęła zasłonkę za sobą.

Po śniadaniu siedzieliśmy na huśtawce na werandzie, popijaliśmy lemoniadę i szybowaliśmy tam i z powrotem, aby trochę rozruszać powietrze. Oparłem nogi na balustradzie i odpychałem nas od niej. Przedmiot leżała na boku, z nogami rozłożonymi na moich kolanach, a głowę miała opartą na poręczy huśtawki. Miała na sobie górę kąpielowego kostiumu i krótkie spodenki z obciętych dżinsów, na tyle

krótkie, że widać było białą podszewkę kieszeni. Ja byłem ubrany w szorty w kolorze khaki i białą koszulkę z aligatorem.

Przed nami roztaczał się widok na srebrzącą się zatokę. Zatoka z łuskami, jak ryby pod wodą.

– Czasami mam dość mojego ciała – odezwała się Przedmiot.

– Ja też.

– Ty też?

– Zwłaszcza, gdy jest tak gorąco jak dziś. Samo poruszanie się sprawia męki.

– A ja do tego nienawidzę się pocić.

– Nie cierpię pocenia się – odrzekłem. – Już wolę dyszeć jak pies.

Przedmiot się zaśmiała. Uśmiechała się do mnie, zachwycona.

– Rozumiesz wszystko, o czym mówię – powiedziała. – Dlaczego nie jesteś facetem?

Wzruszyłem ramionami na znak, że nie znam odpowiedzi. Wiedziałem, że nie było w tym żadnej ironii. Ona również.

Patrzyła na mnie spod na wpół przymkniętych powiek. Jej oczy w jasnym świetle dnia i w drżącym od gorąca powietrzu nad rozpaloną trawą wyglądały bardzo zielono, nawet gdy były tylko szparkami, półksiężycami. Głowę miała złożoną na oparciu huśtawki i aby mnie zobaczyć, musiała spojrzeć w górę. Nadawało jej to jędzowaty wygląd. Nie odrywając wzroku ode mnie, poprawiła swoje nogi, trochę je rozsuwając.

– Masz niesamowite oczy – powiedziała.

– Twoje oczy są naprawdę zielone. Wyglądają, jakby były sztuczne.

– Są sztuczne.

– Masz szklane oczy?

– Tak, jestem niewidoma. Jestem Tejrezjaszem.

To było coś nowego. Właśnie to odkryliśmy. Gdy patrzyliśmy sobie prosto w oczy, to było tak, jakbyśmy mieli je zamknięte, a przynajmniej izolowaliśmy się od zbędnych szczegółów. Wbiliśmy wzrok w siebie. Tymczasem Przedmiot nieznacznie zgięła nogi. Wzgórek pod jej spodenkami lekko wznosił się w moją stronę, jakby składany w ofierze. Położyłem dłoń na jej udzie. Podczas gdy nadal kołysaliśmy się na huśtawce i patrzyliśmy na siebie, przy akompaniamencie świerszczy grających na swoich skrzypeczkach w trawie, ja przesunąłem dłoń w kierunku miejsca, gdzie łączyły się nogi Przedmiotu. Wsunąłem kciuk

pod jej spodenki. Na jej twarzy nie widać było żadnej reakcji. Jej zielone oczy pod ciężkimi powiekami nadal patrzyły w moje. Czułem kłaczki na jej majteczkach. Lekko przycisnąłem dłoń i wsunąłem ją pod gumkę. I wtedy, gdy nasze oczy były szeroko otwarte, choć nasze pole widzenia było w ten specyficzny sposób ograniczone, mój kciuk wsunął się w nią. Mrugnęła, zamknęła oczy, jej biodra uniosły się, a ja zrobiłem to ponownie. A potem jeszcze raz. Łodzie w zatoce, sekcja smyczkowa świerszczy w rozpalonej trawie, a także lód topniejący w szklankach z lemoniadą – to wszystko było częścią tej sceny. Huśtawka kołysała się tam i z powrotem, skrzypiąc na przerdzewiałych łańcuchach, było jak w starej rymowance: *Mały Jack w kącie siadł i zajadał ciasto świąteczne. Kciukiem pogrzebał i śliwkę wygrzebał…* Przedmiot tylko raz poruszyła oczami i ponownie zaczęła się we mnie wpatrywać, a to, co czuła, widać było tylko w zielonych głębinach jej oczu. Poza tym pozostała nieruchoma. Poruszała się tylko moja dłoń i moje stopy oparte o balustradę i popychające huśtawkę. To mogło trwać trzy minuty, może pięć, a może piętnaście. Nie mam pojęcia. Czas zniknął. W jakiś przedziwny sposób nadal nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co robimy. Wrażenie od razu roztapiało się w zapomnienie.

Gdy zaskrzypiała podłoga werandy za nami, podskoczyłem. Wyciągnąłem kciuk z majtek Przedmiotu i usiadłem prosto. Zobaczyłem coś kątem oka i odwróciłem się. Na balustradzie, na prawo od nas, siedział Jerome. Mimo gorąca był ubrany w swój strój wampira. Puder zniknął z jego twarzy, ale ta nadal wyglądała bardzo blado. Patrzył na nas wzrokiem pełnym udręki. To był wyraz twarzy prosto z „W kleszczach lęku" Henry'ego Jamesa. Młody panicz sprowadzony na manowce przez ogrodnika. Chłopiec w surducie, który utonął w studni. Wszystko było martwe, za wyjątkiem oczu. Jego wzrok był utkwiony w nas – w obnażone nogi Przedmiotu na moich kolanach – podczas gdy jego twarz pozostawała jak zabalsamowana.

W końcu zjawa się odezwała:

– Lesby.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Przedmiot.

– Lesssby – powtórzył Jerome. Zabrzmiało to jak syczenie węża.

– Zamknij się!

Jerome nadal się nie poruszał i siedział jak upiór na balustradzie. Jego włosy nie były już gładko zaczesane do tyłu, ale zwisały po obu stronach

jego twarzy. Bardzo skupiał się na tym, co robił, jakby postępował zgodnie z uświęconą tradycją procedurą.

– Lesba – powtórzył. – Lesba, lesba.

Teraz w liczbie pojedynczej. To była sprawa między nim a jego siostrą.

– Jerome, powiedziałam: przestań.

Próbowała wstać. Zdjęła nogi z moich kolan i zaczęła się odwracać, aby podnieść się z huśtawki. Ale Jerome był szybszy. Rozpostarł swoją marynarkę jak skrzydła i zeskoczył z balustrady. Rzucił się na Przedmiot. Jego twarz zachowała jednak beznamiętny wyraz. Nie drgnął w niej żaden mięsień, jedynie usta się poruszały. Jego syczenie i krakanie kierowane było wprost w twarz Przedmiotu, wprost do jej uszu.

– Lesba, lesba, lesba, lesba.

– Przestań!

Chciała go uderzyć, ale chwycił ją za ramię. W jednej ręce trzymał oba jej nadgarstki. Palcami drugiej pokazał jej znak V. Przyłożył ten znak do ust i między ramionami tego dwuznacznego trójkąta zaczął szybko poruszać językiem tam i z powrotem. Wulgarność tego gestu spowodowała, że Przedmiot zaczęła tracić panowanie nad sobą. Była na krawędzi płaczu. Jerome wyczuwał ten stan. Już ponad dziesięć lat doprowadzał swoją siostrę do płaczu, doskonale wiedział, jak to robić, zachowywał się jak dzieciak przypiekający mrówkę za pomocą szkła powiększającego, skupiając promienie, aby podnieść temperaturę.

– Lesba, lesba, lesba…

I wtedy to się stało. Przedmiot się załamała. Zaczęła wrzeszczeć jak mała dziewczynka. Poczerwieniała na twarzy i wymachiwała pięściami na wszystkie strony, aż w końcu uciekła do domu.

Zaciekłość Jerome'a od razu ustąpiła. Poprawił marynarkę. Wygładził włosy i, oparty o balustradę, patrzył spokojnie na jezioro.

– Nie martw się – odezwał się do mnie. – Nikomu nie powiem.

– Czego nie powiesz?

– Masz szczęście, że jestem tolerancyjny i wolny od uprzedzeń – ciągnął. – Większość facetów nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedzieli, że są zdradzani przez lesbijkę z ich własną siostrą. To chyba trochę żenujące, nie sądzisz? Ale jestem wolnomyślicielem i mogę przymknąć oko na wasze skłonności.

– Może byś się w końcu zamknął, Jerome?

– Zamknę się, jak będę tego chciał – odparł. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie. – Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, gdzie jesteś? Tu jest Splitsville, Stephanides. Zjeżdżaj stąd i nie wracaj. I trzymaj ręce z daleka od mojej siostry.

Ja już zerwałem się na nogi. Czułem, jak burzy się we mnie krew. Wzbierała w górę kręgosłupa i uderzyła mi do głowy, a ja rzuciłem się na Jerome'a w wybuchu wściekłości. Był ode mnie wyższy, ale nie był przygotowany na atak. Uderzyłem go w twarz. Chciał się odsunąć, ale natarłem na niego, mój impet powalił go na podłogę. Wskoczyłem na jego klatkę piersiową, przygniatając mu ramiona kolanami. W końcu Jerome przestał stawiać opór. Leżał na plecach i udawał, że go to bawi.

– Powiedz mi, jak skończysz – powiedział.

To było naprawdę rozkoszne uczucie, tak siedzieć na nim. To Jonasz przez całe życie przygważdżał mnie do podłogi. Po raz pierwszy zrobiłem to komuś innemu, dodatkowo jeszcze był to chłopak starszy ode mnie. Moje długie włosy opadały na twarz Jerome'a. Zamiatałem nimi na wszystkie strony, torturując go. A potem przypomniałem sobie coś jeszcze, coś, co robił mój brat.

– Nie – krzyknął Jerome. – Daj spokój. Nie!

Pozwoliłem, żeby spadła. Jak kropla deszczu. Jak łza. Ale to nie było nic z tych rzeczy. Ślina kapnęła dokładnie między oczy Jerome'a. W tym momencie ziemia rozstąpiła się pod nami. Jerome podniósł się z rykiem, odrzucając mnie do tyłu. Moja dominacja trwała bardzo krótko. Teraz trzeba było zmykać.

Pobiegłem przez werandę. Zeskoczyłem ze schodów i na bosaka rzuciłem się przez trawnik za domem. Jerome biegł za mną w swoim stroju Draculi. Zatrzymał się, aby zarzucić na plecy pelerynę, a ja zwiększyłem dzielący nas dystans. Biegłem przez podwórza za sąsiednimi domami, schylając się pod gałęziami sosen. Kluczyłem między krzakami i rożnami. Bardzo dobrze mi się biegło po igłach sosnowych. W końcu wybiegłem na otwarte pole. Gdy spojrzałem za siebie, zobaczyłem, że Jerome zbliża się do mnie.

Biegliśmy wzdłuż brzegu zatoki, po wysokiej, żółtej trawie. Przeskoczyłem nad tablicą pamiątkową, kalecząc sobie stopę, podskoczyłem z bólu i pobiegłem dalej. Jerome bez problemu pokonał tę przeszkodę. Po drugiej stronie pola biegła droga prowadząca z powrotem

do domu. Gdyby udało mi się przebiec za wzgórze, mógłbym zawrócić, a Jerome nie zauważyłby mnie. Mógłbym się zabarykadować z Przedmiotem w naszym pokoju. Wbiegłem na wzgórze i ruszyłem w dół. Jerome biegł za mną z gniewną miną i wciąż się zbliżał.

Z profilu wyglądaliśmy jak biegacze na jakimś fryzie. Z naszymi udami pracującymi jak tłoki i ramionami tnącymi powietrze jak noże, sunęliśmy przez trawę smagającą nasze łydki. Gdy już dobiegałem do stóp wzgórza, zauważyłem, że Jerome jakby zwalniał. Machał ręką na znak porażki. Machał i krzyczał coś, czego ja nie słyszałem…

Na drogę właśnie wjechał ciągnik. Siedzący wysoko na swoim siodełku farmer nie mógł mnie widzieć. Odwracałem się, aby sprawdzić, gdzie jest Jerome. Gdy w końcu spojrzałem przed siebie, było już za późno. Tuż przede mną była opona ciągnika. Uderzyłem w sam jej środek. Zostałem wyrzucony w powietrze w chmurze terakotowego pyłu. Lecąc w powietrzu, zobaczyłem podniesione z tyłu ciągnika ostrza pługu, pokryty błotem metal wykręcony w kształt korkociągu, i wtedy wyścig się skończył.

Gdy się ocknąłem, leżałem na tylnym siedzeniu dziwnego samochodu. To był jakiś gruchot z kocami rozłożonymi na siedzeniach. Na tylnej szybie widniała kalkomania przedstawiająca pstrąga miotającego się na haczyku. Kierowca miał czerwoną czapkę. Z niewielkiej szpary nad regulowanym paskiem czapki wyłaniał się wygolony, poorany kark.

Czułem, że na głowie mam coś miękkiego, jakby była zapakowana w gazę. Leżałem owinięty w stary koc, sztywny i naszpikowany sianem. Odwróciłem głowę, spojrzałem w górę i zobaczyłem piękny widok. Ujrzałem nad sobą twarz Przedmiotu. Moja głowa spoczywała na jej kolanach. Mój prawy policzek leżał przytulony do ciepłej tapicerki jej brzucha. Nadal była w górze od swojego bikini i w krótkich spodenkach. Kolana miała rozsunięte, a jej rude włosy zwisały nade mną, okrywając wszystko cieniem. Patrzyłem w tę rdzawoczerwoną czy też czerwonobrunatną przestrzeń i chłonąłem wzrokiem to, co można było dostrzec – ciemny pas góry jej kostiumu kąpielowego, jej wystające obojczyki. Obgryzała skórkę wokół paznokcia. Lada chwila palec mógł zacząć krwawić, jeśliby nie przestała.

– Szybciej – dobywał się jej głos zza zasłony włosów. – Szybciej, panie Burt.

Samochód prowadził farmer. Farmer, pod którego ciągnik wpadłem. Miałem nadzieję, że jej nie słyszy. Nie chciałem, aby jechał szybciej. Chciałem, aby ta jazda trwała jak najdłużej. Przedmiot głaskała mnie po głowie. Jeszcze nigdy nie robiła tego za dnia.

– Zbiłam twojego brata – odezwałem się ni z tego, ni z owego.

Przedmiot jedną ręką odrzuciła włosy do tyłu. Wpadło ostre światło.

– Callie! Jak się czujesz?

Uśmiechnąłem się do niej.

– Dałam mu popalić.

– Och, Boże – powiedziała. – Tak się przestraszyłam. Myślałam, że nie żyjesz. Tak le... le... – głos jej się łamał – ...leżałaś na środku drogi!

W miejsce łez gniewu pojawiły się teraz łzy wdzięczności. Przedmiot szlochała. Z podziwem obserwowałem targającą nią burzę uczuć. Opuściła głowę. Przycisnęła swoją zapłakaną, wilgotną twarz do mojej i, po raz pierwszy i ostatni, pocałowaliśmy się. Byliśmy ukryci za fotelem, za ścianą włosów, a poza tym komu farmer mógł powiedzieć? Udręczone wargi Przedmiotu zetknęły się z moimi i poczułem słodki smak zmieszany ze smakiem soli.

– Cała jestem zasmarkana – powiedziała, ponownie podnosząc głowę. Zdołała się roześmiać.

Ale samochód już się zatrzymywał. Farmer wyskoczył, krzycząc na lewo i prawo. Szeroko otworzył tylne drzwi. Pojawiło się dwóch sanitariuszy, którzy położyli mnie na nosze. Przewieźli mnie przez chodnik i przez drzwi szpitala. Przedmiot cały czas była przy mnie. Trzymała mnie za rękę. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby uświadomiła sobie swoją częściową nagość. Spojrzała po sobie, gdy jej bose stopy stanęły na zimnym linoleum. Ale zlekceważyła to. Przez całą drogę korytarzem, aż do momentu gdy sanitariusze kazali jej się zatrzymać, trzymała moją rękę. Jakby to była nić przędzy z Pireusu.

– Panienka nie może wejść – powiedzieli sanitariusze. – Trzeba tu poczekać.

Tak też zrobiła. Ale jeszcze nie puszczała mojej dłoni. Jeszcze przez chwilę nie. Nosze odjeżdżały korytarzem, a moja ręka wyciągała się w kierunku Przedmiotu. Już wyruszyłem w moją podróż. Żeglowałem przez morze do innej krainy. Moja ręka miała już sześć metrów, dziewięć, dwanaście, piętnaście. Podniosłem głowę na noszach, aby spojrzeć na

Przedmiot. Aby spojrzeć na Mroczny Przedmiot. Ponownie stawała się dla mnie tajemnicą. Co się z nią stało? Gdzie teraz jest? Stała na końcu korytarza, trzymając moją rozplatającą się rękę. Sprawiała wrażenie zmarzniętej, wychudzonej, skrępowanej, zagubionej. Jakby wiedziała, że już nigdy się nie zobaczymy. Nosze nabierały szybkości. Moja ręka była już tylko cienką wstążką wijącą się w powietrzu. W końcu nadszedł nieunikniony moment. Przedmiot puściła moją dłoń, a ona uleciała w górę, swobodna, pusta.

Jasne światła nad moją głową, jak przy moich narodzinach. Ten sam pisk białego obuwia. Ale nigdzie nie było doktora Philoboshiana. Patrzący na mnie lekarz był młody i miał rudawozłote włosy. Mówił z wiejskim akcentem.

– Zadam ci kilka pytań, dobrze?

– Dobrze.

– Zacznijmy od twojego imienia.

– Callie.

– Ile masz lat, Callie?

– Czternaście.

– Ile widzisz palców?

– Dwa.

– Policz do tyłu. Zacznij od dziesięciu.

– Dziesięć, dziewięć, osiem…

Przez cały czas uciskał moje ciało w różnych miejscach, poszukując złamań.

– Czy tu boli?

– Nie.

– Tu?

– Aha.

– A tutaj?

Nagle poczułem ból. Przenikliwy, jak ukąszenie kobry, pod pępkiem. Za odpowiedź wystarczył krzyk, jaki wydałem.

– Dobrze, w porządku, będziemy delikatni. Muszę się tylko przyjrzeć. Nie ruszaj się.

Wzrokiem dał sygnał stażystce. Zaczęli mnie rozbierać z dwóch stron. Stażystka ściągała mi koszulę przez głowę. Obnażyła moją pierś, zielonkawą i smętną. Nie zwracali na to uwagi. Ja również nie. Tymczasem

lekarz rozpiął mój pasek. Rozpiął zatrzask w moich szortach – nie przeszkadzałem mu. Spodenki zjechały w dół. Obserwowałem to wszystko jakby z daleka. Myślałem o czymś zupełnie innym. Przypominałem sobie, jak Przedmiot podnosiła biodra, aby pomóc mi zsunąć majtki. Ten drobny sygnał uległości, pożądania. Myślałem o tym, jak uwielbiałem te chwile, gdy ona to robiła. Stażystka sięgała ręką pode mnie. I ja też uniosłem biodra.

Chwycili moje majtki. Ściągnęli je w dół. Gumka przylgnęła do mojej skóry, ale już po chwili się poddała.

Lekarz nachylił się, mrucząc coś do siebie pod nosem. Stażystka, niezbyt profesjonalnie, podniosła dłoń do szyi, a później udawała, że poprawia kołnierzyk.

Czechow się nie mylił. Jeśli na ścianie wisi strzelba, z pewnością wypali. Jednak w rzeczywistym życiu nigdy nie wiemy, gdzie ta strzelba wisi. Broń, którą mój ojciec trzymał pod poduszką, ani razu nie wystrzeliła. Podobnie było ze strzelbą nad kominkiem Przedmiotu. Ale na oddziale pomocy doraźnej było inaczej. Nie było dymu czy zapachu prochu strzelniczego, absolutnie żadnego dźwięku. Jedynie reakcja lekarza i stażystki świadczyła o tym, że moje ciało spełniło już wymagania stawiane przez konstrukcję narracji.

W tej części mojego życia pozostaje do opisania jeszcze tylko jedna scena. Rozegrała się tydzień później, na Middlesex, a uczestniczyłem w niej ja, walizka i drzewo. Siedziałem w swoim pokoju, na ławeczce we wnęce okiennej. Zbliżało się południe. Byłem ubrany w strój podróżny, w szare spodnium i białą bluzkę. Sięgałem za okno i zrywałem owoce z rosnącej na zewnątrz morwy. Już od godziny jadłem te owoce, aby oderwać się od dźwięków dochodzących z sypialni moich rodziców.

Owoce morwy dojrzały w ostatnim tygodniu. Były grube i soczyste. Plamiły moje dłonie. Chodnik na zewnątrz był pokryty fioletowymi plamami, podobnie jak i trawa, a także skały na klombach. Dźwięk dochodzący z sypialni rodziców był płaczem mojej matki.

Wstałem. Podszedłem do otwartej walizki i jeszcze raz sprawdziłem, czy wszystko spakowałem. Za godzinę miałem wyruszyć z rodzicami w drogę. Jechaliśmy do Nowego Jorku, aby spotkać się ze słynnym lekarzem. Nie miałem pojęcia, na jak długo jedziemy i co było ze mną nie w porządku.

Nie zwracałem specjalnej uwagi na szczegóły. Wiedziałem tylko, że już nie jestem taką samą dziewczyną jak inne.

Prawosławni mnisi przemycili jedwab z Chin w szóstym wieku. Przywieźli go do Azji Mniejszej. Stąd rozprzestrzenił się na Europę, aż w końcu dotarł przez morze do Ameryki Północnej. Benjamin Franklin rozwinął przemysł jedwabniczy w Pensylwanii jeszcze przed amerykańską wojną o niepodległość. Morwy sadzono w całych Stanach Zjednoczonych. Jednak gdy ja zrywałem te owoce z okna pokoju, nie miałem pojęcia, że nasze morwy miały coś wspólnego z handlem jedwabiem, czy też że za domem mojej babki w Turcji rosły takie właśnie drzewa. Ta morwa stała za oknem mojego pokoju na Middlesex, nigdy nie wyjawiając mi swojego znaczenia. Ale teraz sprawy wyglądają inaczej. Dziś wszystkie nieme przedmioty w moim życiu, jeśli tylko im się dobrze przyjrzeć, zdają się opowiadać moją historię, jakby rozciągały się wstecz w czasie. Dlatego na zakończenie opisu tej części mojego życia muszę wspomnieć o następującym fakcie:

Najbardziej rozpowszechniona odmiana jedwabnika, larwa *Bombyx mori*, nie występuje już w stanie naturalnym. Zgodnie z tym, co wyraźnie podaje moja encyklopedia: „Nogi larw zdegenerowały się, a osobniki dorosłe nie latają”.

Księga Czwarta

Proroczy srom

Od moich narodzin – gdy nie zostały zauważone, przez mój chrzest – gdy przyćmiły osobę kapłana, po moje kłopotliwe dorastanie – gdy w zasadzie niewiele uczyniły, a równocześnie zrobiły wszystko naraz, moje genitalia były najważniejszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. Niektórzy dziedziczą domy, inni obrazy lub wysoko ubezpieczone smyczki. Jeszcze inni dostają japońskie tansu czy słynne nazwisko. Ja otrzymałem recesywny gen na moim piątym chromosomie i pewne bardzo rzadkie klejnoty rodzinne.

Moi rodzice w pierwszej chwili nie chcieli uwierzyć w nieprawdopodobną diagnozę dotyczącą mojej anatomii, jaką przedstawił lekarz z oddziału pomocy doraźnej. Diagnoza, podana przez telefon niewiele rozumiejącemu Miltonowi i następnie spreparowana przez niego dla Tessie w celu usunięcia drażliwych informacji, w dosyć ogólnikowy sposób zwracała uwagę na kształt moich dróg moczowych oraz prawdopodobny niedobór hormonów. Doktor w Petoskey nie określił kariotypu. Jego zadaniem było zająć się moimi wstrząśnienieniami i stłuczeniami, a kiedy już to zrobił, pozwolił mi wrócić do domu.

Moi rodzice postanowili skonsultować się z drugim lekarzem. Za namową Miltona po raz ostatni zabrano mnie do doktora Phila.

W 1974 roku doktor Nishan Philoboshian miał osiemdziesiąt osiem lat. Nadal nosił muszkę, ale szyja nie wypełniała już kołnierzyka jego koszuli. Cały się skurczył, jakby był liofilizowany. Spod jego białego kitla wystawały jednak zielone spodnie do golfa, a na łysej głowie spoczywały eleganckie okulary przeciwsłoneczne, jakie noszą piloci.

– Cześć, Callie, jak się masz?

– W porządku, doktorze.

– Rozpoczynasz szkołę? Do której klasy idziesz?

– W tym roku do dziewiątej. Liceum.

– Liceum? Już? Chyba się starzeję.

Zachowywał się uprzejmie, jak przed laty. Wymawiane przez niego z obcym akcentem słowa, świadectwo Starego Świata w jego ustach, w pewien sposób wpłynęły na mnie uspokajająco. Przez całe życie byłem głaskany i rozpieszczany przez dostojnych obcokrajowców. Ciągnęło mnie do delikatnych lewantyńskich amorów. Jako dziewczynka siadywałem na kolanach doktora Philoboshiana, a on przebierał palcami po moim kręgosłupie, licząc po kolei kręgi. Teraz byłem od niego wyższy, tyczkowaty, z włosami jak u dziwoląga. Wyglądałem jak żeński odpowiednik Tiny Tima, wielkonosego i długowłosego śpiewaka grającego na ukulele. Siedziałem w szlafroku, staniku i majtkach na brzegu staromodnego stołu lekarskiego, przy którym stały schodki z szufladami z wulkanizowanej gumy. Osłuchał moje serce i płuca, a jego łysa głowa kiwała się na długiej szyi, jak u brontozaura skubiącego liście.

– Co tam u taty, Callie?

– W porządku.

– A jak interesy z hot dogami?

– Dobrze.

– Ile tato ma teraz lokali?

– Coś około pięćdziesięciu.

– Niedaleko miejsca, do którego jeździmy z siostrą Rosalee w zimie, jest jeden taki punkt. W Pompano Beach.

Zbadał moje oczy i uszy, a później grzecznie poprosił mnie, abym wstał i opuścił majtki. Pięćdziesiąt lat wcześniej doktor Philoboshian zarabiał na życie, lecząc w Smyrnie osmańskie damy. Dobre maniery miał we krwi.

Teraz już nie czułem zamętu w głowie, jak to było w Petoskey. W pełni zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje i czego dotyczyło szczegółowe badanie lekarskie. Gdy opuściłem majtki do kolan, przez moje ciało przelała się gorąca fala wstydu i odruchowo zakryłem się dłonią. Doktor Philoboshian, tym razem już nie tak delikatnie, odsunął ją na bok. W tym jego ruchu dało się wyczuć niecierpliwość właściwą starszym osobom. Na moment się zapomniał, a w jego ukrytych za okularami oczach pojawił się jakiś błysk. Jednak wciąż jeszcze nie patrzył na moje ciało. Jak dżentelmen odwrócił wzrok i patrzył na ścianę, jednocześnie dłońmi starając się uzyskać potrzebne mu informacje. Czułem jego bliskość, jak w tańcu. Doktor Philoboshian głośno sapał, a jego dłonie drżały. Tylko raz

spojrzałem na swoje ciało. Byłem zbyt zażenowany, żeby robić to częściej. Jednak gdy tak patrzyłem na siebie z góry, ponownie byłem dziewczyną, biały brzuch, ciemny trójkąt, widoczne w perspektywicznym skrócie gładko ogolone nogi. Stanik miałem zwinięty na piersiach.

To zajęło tylko minutę. Stary Ormianin, skulony przede mną jak jaszczurka, przesuwał swoim żółtym palcem po różnych częściach mojego ciała. Nic dziwnego, że doktor Philoboshian nigdy niczego nie zauważył. Nawet teraz, przygotowany na tę ewentualność, sprawiał wrażenie, jakby nie chciał się dowiedzieć.

– Możesz już się ubrać – tylko tyle powiedział. Odwrócił się i bardzo ostrożnie podszedł do umywalki. Odkręcił wodę i wsunął dłonie pod strumień. Zdawały się trząść bardziej niż zwykle. Wycisnął dużą porcję mydła antybakteryjnego.

– Pozdrów tatę – dodał jeszcze, zanim opuściłem gabinet.

Doktor Phil skierował mnie do endokrynologa w szpitalu Henry'ego Forda. Endokrynolog wbił igłę w żyłę w mojej ręce i napełnił moją krwią przerażającą liczbę fiolek. Po co mu było tyle krwi, nie powiedział, a ja byłem zbyt przerażony, aby zapytać. Jednak tej nocy przyłożyłem ucho do ściany w moim pokoju w nadziei, że dowiem się, o co chodzi.

– I co powiedział lekarz? – zapytał Milton.

– Powiedział, że doktor Phil powinien to zauważyć przy narodzinach Callie – odpowiedziała Tessie. – Wtedy to wszystko jeszcze można było naprawić.

I znowu pytanie Miltona:

– Nie chce mi się wierzyć, że można nie zauważyć czegoś takiego. („Jakiego?" – po cichu pytałem ścianę, ale nic mi nie odpowiedziała).

Trzy dni później przyjechaliśmy do Nowego Jorku.

Milton zarezerwował nam pokój w hotelu Lochmoor na East Thirties. Mieszkał tam dwadzieścia trzy lata wcześniej jako chorąży marynarki. Dodatkowo zachęciły go ceny pokoi – mój ojciec nie lubił szastać pieniędzmi w podróży. Nie określiliśmy, jak długo zatrzymamy się w Nowym Jorku. Lekarz, z którym rozmawiał Milton – specjalista – nie chciał wdawać się w szczegóły, dopóki mnie nie zbada.

– Spodoba wam się tam – zapewniał nas Milton. – Jeśli dobrze pamiętam, to dosyć elegancka okolica.

Okazało się jednak, że jest inaczej. Z lotniska La Guardia przyjechaliśmy taksówką i zobaczyliśmy, że Lochmoor wiele już stracił z dawnego blasku. Recepcjonista i kasjer siedzieli za kuloodporną szybą. Wiedeńskie dywany były zawilgocone od kapiących kaloryferów, a lustra usunięto, pozostawiając upiorne prostokąty tynku i ślady po ozdobnych śrubach. Winda, jak klatka dla ptaków opleciona złotymi, powykręcanymi prętami, pamiętała jeszcze czasy przedwojenne. Kiedyś pracował tam windziarz, ale to należało już do przeszłości. Wcisnęliśmy nasze walizki do malutkiej kabiny i spróbowaliśmy zasunąć drzwi, ale ciągle wyskakiwały z szyn. Musiałem je trzy razy zatrzaskiwać, zanim popłynął prąd elektryczny. W końcu winda ruszyła w górę i przez malowane sprayem pręty mogliśmy oglądać mijane piętra, wszystkie ciemne i prawie identyczne. Różniły się jedynie pokojówką w fartuszku, wózkiem obsługi pokoi stojącym za drzwiami czy też parą butów. Jednak nawet tu, w tej starej kabinie, miało się wrażenie wznoszenia się z otchłani i z dużym rozczarowaniem odkryliśmy, że nasze – ósme – piętro było równie szare jak hol.

Nasz pokój został wydzielony z jakiegoś większego apartamentu. Ściany stykały się z sobą pod różnymi kątami. Nawet drobniutka Tessie dusiła się tutaj. Z niewiadomych powodów łazienka była prawie tak duża jak sypialnia. Sedes stał niepewnie na luźnych kafelkach i nieustannie ciekła w nim woda. Ślad po spływającej wodzie widać było również w wannie.

Moi rodzice mieli do dyspozycji podwójne łóżko, a ja łóżko polowe w kącie. Postawiłem na nim moją walizkę. Stanowiła ona kość niezgody między Tessie a mną. Wybrała mi ją przed naszym niedoszłym wyjazdem do Turcji. Miała wzór w turkusowe i zielone kwiaty – uważałem, że wygląda obrzydliwie. Od czasu rozpoczęcia nauki w szkole prywatnej – od kiedy zacząłem zadawać się z Przedmiotem – mój gust wyraźnie się zmienił, moim zdaniem stał się bardziej wyrafinowany. Biedna Tessie sama już nie wiedziała, co mi kupować. Cokolwiek wybrała, spotykało się z jękiem przerażenia. Kategorycznie odrzucałem wszystko, co było syntetyczne czy miało widoczne szwy. Rodziców bawiło moje nowe upodobanie do czystości formy. Ojciec często brał moją bluzkę między kciuk a palce, pocierał i pytał:

– Czy to jest szykowne?

Kupując walizkę, Tessie nie miała czasu skonsultować się ze mną, więc była, jaka była, ze wzorem jak na podkładce pod talerz. Po rozsunięciu

zamka i jej otwarciu poczułem się nieco lepiej. W środku były tylko wybrane przeze mnie ubrania: sweterki w podstawowych kolorach, koszulki Lacoste, sztruksy z grubymi prążkami. Moja kurtka pochodziła z Papagallo, była w bladozielonym kolorze, z kościanymi guzikami w kształcie rogów.

– Rozpakować rzeczy, czy mogę zostawić je w walizce? – zapytałem.

– Lepiej rozpakujmy się i włóżmy walizki do szafy – odparł Milton. – Będziemy mieli trochę więcej miejsca.

Poukładałem swetry w szufladach komody, podobnie skarpetki i majtki, a spodnie powiesiłem na wieszaku. Kosmetyczkę zaniosłem do łazienki i położyłem na półce. Przywiozłem ze sobą błyszczyk i perfumy. Nie miałem pewności, czy przypadkiem nie wyszły już z użycia.

Zamknąłem drzwi do łazienki na zasuwkę i pochyliłem się w kierunku lustra, aby przyjrzeć się mojej twarzy. Nad górną wargą widać było dwa ciemne włoski, jeszcze króciutkie. Wyjąłem pincetę z kosmetyczki i wyrwałem je. Oczy zaszły mi łzami. Czułem się skrępowany w moim ubraniu. Rękawy swetra były zbyt krótkie. Zaczesałem włosy i, z optymizmem i rozpaczą zarazem, uśmiechnąłem się do siebie.

Wiedziałem, że moja sytuacja, jakakolwiek by była, jest sytuacją kryzysową. Można to było zauważyć w zachowaniu moich rodziców, w ich udawanej wesołości oraz w naszym pospiesznym opuszczeniu domu. Wciąż jednak nie usłyszałem ani jednego słowa komentarza. Milton i Tessie traktowali mnie tak jak zawsze – czyli jak swoją córkę. Zachowywali się, jakby mój problem miał charakter czysto medyczny, a zatem był możliwy do wyleczenia. W związku z tym ja też zacząłem żywić podobne nadzieje. Jak osoba chora na nieuleczalną chorobę, chętnie ignorowałem bezpośrednie objawy, w przeświadczeniu, że w ostatniej chwili zostanę wyleczony. Raz byłem pełen wiary, a raz wprost przeciwnie, czułem rosnące przekonanie, że dzieje się ze mną coś straszliwego. Ale nic nie pogrążało mnie bardziej niż widok mojej twarzy w lustrze.

Otworzyłem drzwi i wróciłem do pokoju.

– Nienawidzę tego hotelu – powiedziałem. – Jest ohydny.

– Nie jest zbyt piękny – zgodziła się ze mną Tessie.

– Kiedyś było tu ładniej – próbował tłumaczyć się Milton. – Zupełnie nie rozumiem, co się stało.

– Dywan cuchnie.

– Otwórzmy okno.

– Może nie będziemy musieli tu długo siedzieć – odezwała się Tessie z nutą nadziei w znużonym głosie.

Wieczorem wybraliśmy się na miasto coś zjeść, a potem wróciliśmy do pokoju i oglądaliśmy telewizję. Później, gdy już wyłączyliśmy światło, zapytałem z mojego łóżka:

– Co robimy jutro?

– Rano mamy wizytę u lekarza – powiedziała Tessie.

– A potem poszukamy biletów na spektakl na Broadwayu – odezwał się Milton. – Co byś chciała zobaczyć, Cal?

– Jest mi wszystko jedno – odparłem ponuro.

– Myślę, że powinniśmy zobaczyć musical – powiedziała Tessie.

– Pamiętam, że kiedyś widziałem Ethel Merman w musicalu *Hello, Dolly!* – wspominał Milton. – Śpiewając, schodziła po tych wielkich, długich schodach. Gdy skończyła, sala oszalała. Ethel musiała przerwać przedstawienie. Wróciła na górę schodów i jeszcze raz zaśpiewała całą piosenkę.

– Callie, chciałabyś zobaczyć musical?

– Obojętnie.

– Najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem – ciągnął Milton. – Ta Ethel Merman naprawdę dała popis śpiewu.

Już nikt się nie odezwał. Leżeliśmy w ciemnościach, w naszych obcych łóżkach, aż usnęliśmy.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, wybraliśmy się na wizytę do specjalisty. W taksówce moi rodzice starali się sprawiać wrażenie podnieconych widokami, które pokazywali mi przez szybę. Milton emanował entuzjazmem, jaki trzymał w pogotowiu na ciężkie chwile.

– To jest niezłe miejsce – powiedział, gdy przejeżdżaliśmy obok New York Hospital. – Widok na rzekę! Sam mógłbym zapisać się na listę.

Jak wszystkie nastolatki, byłem przeczulony na punkcie swojej niezgrabnej figury. Mój niezdarny bociani krok, moje rozchybotane ramiona, moje długie nogi wierzgające zbyt małymi stopami obutymi w płowe welury – cała ta maszyneria pobrzękiwała pod wieżą obserwacyjną mojej głowy, a ja byłem zbyt blisko, aby to zobaczyć. Ale widzieli to moi rodzice. Bolało ich, gdy patrzyli na mnie, jak idę chodnikiem w kierunku

wejścia do szpitala. To było przerażające – widzieć własne dziecko w szponach nieznanych mocy. Już od roku nie przyjmowali do wiadomości zmian w moim wyglądzie, kładąc wszystko na karb mojego trudnego wieku.

– Wyrośnie z tego – stale powtarzał mojej matce Milton. Ale teraz ogarnęło ich przerażenie na myśl, że ja wyrastałem spod ich kontroli.

Znaleźliśmy windę i wyjechaliśmy na czwarte piętro, a następnie za strzałkami podążyliśmy do miejsca, które nazywało się Oddział Psychohormonalny. Milton miał na wizytówce lekarza zapisany numer gabinetu. W końcu odnaleźliśmy właściwy pokój. Szare drzwi pozbawione były oznaczeń, jedynie w połowie wysokości widniał na nich malusieńki, nierzucający się w oczy napis:

Klinika Zaburzeń Płci i Tożsamości Płciowej

Nawet jeśli moi rodzice zauważyli ten napis, nie dali tego po sobie poznać. Milton opuścił głowę, jak byk, i otworzył drzwi.

Przywitała nas recepcjonistka i poprosiła, abyśmy usiedli. Poczekalnia wyglądała jak wszystkie poczekalnie na świecie. Pod ścianami stały rzędy krzeseł poprzedzielane stolikami z gazetami, a w kącie stało drzewko kauczukowe. Na podłodze leżały typowo instytucjonalne wykładziny, ozdobione abstrakcyjnym wzorem w zawijasy. Nawet w powietrzu unosił się uspokajający, medyczny zapach. Po wypełnieniu przez moją matkę formularzy ubezpieczeniowych wprowadzono nas do gabinetu lekarskiego. To pomieszczenie również budziło zaufanie. Za biurkiem stał skórzany fotel zaprojektowany przez Eamesa. Przy oknie leżanka projektu Le Corbusiera, wykonana z chromu i bydlęcej skóry. Na półkach stały książki i czasopisma o tematyce lekarskiej, a na ścianach wisiały gustownie dobrane dzieła sztuki. Wielkomiejskie wyrafinowanie dostrojone do europejskiej wrażliwości. Środowisko triumfalnego psychoanalitycznego spojrzenia na świat. Nie wspominając już o widoku z okna na East River. Byliśmy w miejscu, które zdecydowanie różniło się od gabinetu doktora Phila – z jego amatorskimi olejami i leczeniem pacjentów objętych rządowym programem opieki medycznej.

Minęły dwie lub trzy minuty, zanim zauważyliśmy coś niezwykłego. Początkowo osobliwości i grafiki wtapiały się w naukowy rozgardiasz

gabinetu. Ale gdy siedzieliśmy w oczekiwaniu na lekarza, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z panującego wokół nas cichego zamieszania. Wrażenie jak wtedy gdy człowiek patrzy w ziemię i uzmysławia sobie, że roi się na niej od mrówek. Tchnący spokojem gabinet lekarski kipiał aktywnością. Leżący na biurku przycisk do papieru – na przykład – nie był nieruchomym kawałkiem skały, ale wyrzeźbioną w kamieniu drobną figurką boga płodności. Miniatury na ścianach, po bliższym przyjrzeniu się, ujawniały swoją tematykę. Pod żółtymi jedwabnymi namiotami, na poduszkach w orientalne wzory, księżniczki Mogołów w akrobatycznych pozach, ale w nieporuszonych turbanach, kopulowały z wieloma partnerami. Tessie spłonęła rumieńcem, patrząc na to, Milton zerkał spod przymrużonych powiek, a ja, jak zwykle, ukryłem się za moją zasłoną włosów. Staraliśmy się patrzeć w inną stronę i spoglądaliśmy na półki z książkami. Ale tam też nie było zbyt bezpiecznie. W nieciekawym otoczeniu egzemplarzy czasopism *JAMA* i *The New England Journal of Medicine* pojawiały się tytuły przykuwające wzrok. Jedna książka, ze splątanymi wężami na grzbiecie, nosiła tytuł „Erotoseksualne łączenie się par". Była tam też fioletowa broszura zatytułowana „Homoseksualizm rytualny" – trzy prace badawcze w terenie. Na biurku leżał, z włożoną zakładką, podręcznik „Szczęśliwy przypadek penisa – chirurgiczne metody zmiany płci z żeńskiej na męską". Jeśli napis na drzwiach jeszcze mnie nie poinformował, gabinet Luce'a wyraźnie wskazywał, z jakim specjalistą miałem się zobaczyć. (I, co gorsza, to on miał mnie zobaczyć). W pomieszczeniu były również rzeźby. W kątach, obok ogromnych drzewek szczęścia, stały kopie figur ze świątyni w Kujaraho. Na tle zielonego, woskowego listowia hinduskie kobiety z piersiami jak melony zginały się wpół przed hojnie obdarzonymi przez naturę mężczyznami, ofiarowując im swoje otwory, jakby wznosiły przed nimi modły, a oni ich wysłuchiwali. Gdziekolwiek spojrzeć, przeładowana centrala telefoniczna, zbereźna gra w Twistera.

– Czy możesz na to patrzeć? – wyszeptała Tessie.

– Dosyć nietypowe dekoracje – skwitował Milton.

I ja:

– Co my tu robimy?

Właśnie w tym momencie drzwi się otworzyły i pojawił się doktor Luce.

Wtedy nie miałem pojęcia o prestiżu, jakim cieszył się w dziedzinie seksuologii. Nie wiedziałem, jak często jego nazwisko pojawiało się w najważniejszych czasopismach i artykułach. Ale od razu zauważyłem, że doktor Luce nie wyglądał jak zwykły lekarz. Zamiast lekarskiego kitla miał na sobie zamszową kamizelkę z frędzlami. Srebrne włosy opadały na jego beżowy golf. Nosił rozszerzające się spodnie i buty do kostek z zamkami błyskawicznymi po bokach. Miał również okulary w srebrnych drucianych oprawkach oraz siwe wąsy.

– Witam w Nowym Jorku – powiedział. – Jestem doktor Luce.

Uścisnął dłoń mojego ojca, następnie mojej matki i w końcu podszedł do mnie.

– Ty musisz być Calliope – uśmiechał się, spokojny i rozluźniony. – Zobaczmy, co jeszcze pamiętam z mitologii. Calliope to była jedna z Muz, prawda?

– Tak.

– Czym się opiekowała?

– Poezją epicką.

– Nie da się ukryć – powiedział Luce.

Starał się zachowywać swobodnie, ale widać było, że jest podekscytowany. Ostatecznie byłem wyjątkowym przypadkiem. Nie spieszył się, delektując się moją osobą. Dla naukowca, jakim był Luce, byłem po prostu seksualnym lub genetycznym Kasparem Hauserem. Oto on, słynny seksuolog, gość w programach Dicka Cavetta, regularnie piszący do *Playboya*, a tu nagle na progu jego gabinetu, przybywając z lasów Detroit, jak Dzikie Dziecko z Aveyron, pojawiłem się ja, Calliope Stephanides, lat czternaście. Byłem chodzącym eksperymentem ubranym w białe sztruksy i sweter z Fair Isle. Ten bladożółty sweter z wianuszkiem kwiatków pod szyją informował Luce'a, że ja odrzuciłem wpływ natury, dokładnie tak, jak to przewidywała jego teoria. Musiał mieć trudności z opanowaniem się, gdy mnie zobaczył. Był wspaniałym, czarującym, zaangażowanym w swoją pracę człowiekiem, który przyglądał mi się przenikliwym wzrokiem zza okularów. Gawędząc z moimi rodzicami i starając się pozyskać ich zaufanie, równocześnie robił notatki w pamięci. Odnotował tenorowy tembr mojego głosu. Zauważył, że siedzę z jedną nogą podwiniętą pod siebie. Patrzył, jak oglądam paznokcie, zginając palce dłoni. Zwrócił uwagę na sposób, w jaki kaszlałem, śmiałem się, drapałem

się w głowę, mówiłem, w sumie – na wszystkie zewnętrzne objawy tego, co on nazywał tożsamością płciową.

Zachowywał spokój, jakbym przybył do kliniki jedynie z powodu zwichnięcia kostki.

– Na początek chciałbym zbadać Calliope. Państwo Stephanides, czy mogą państwo poczekać w gabinecie? – wstał. – Calliope, zechcesz pójść ze mną?

Podniosłem się z krzesła. Luce patrzył, jak rozwijają się, jak w składanej miarce, kolejne segmenty mojego ciała, aż osiągnąłem mój pełny wzrost – ponad dwa centymetry wyższy od jego własnego.

– Będziemy tu czekać, kochanie – powiedziała Tessie.

– Nigdzie nie idziemy – dodał Milton.

Peter Luce był uważany za najwybitniejszy na świecie autorytet w dziedzinie hermafrodytyzmu wśród ludzi. Klinika Zaburzeń Płci i Tożsamości Płciowej, którą założył w 1968 roku, stała się wiodącym na świecie centrum badań nad przypadkami nieokreślonej płci i ich leczeniem. Był autorem poważnej pracy seksuologicznej „Proroczy srom", która stała się istotnym punktem odniesienia dla różnych nauk, od genetyki i pediatrii do psychologii. Pod tym samym tytułem, od sierpnia 1972 do grudnia 1973 roku, ukazywały się w *Playboyu* felietony, których pomysł polegał na tym, że spersonifikowany kobiecy srom odpowiadał na pytania męskich czytelników, udzielając błyskotliwych i czasami sybilińskich odpowiedzi. Hugh Hefner spotkał się z nazwiskiem Petera Luce'a w artykułach traktujących o wolności seksualnej. Na głównym placu miasteczka studenckiego uniwersytetu Columbia sześcioro studentów wystawiło w namiocie orgię, przerwaną przez policję, a na pytanie, co sądzi o takiej działalności w obrębie campusu, doktor Peter Luce, lat 46, odpowiedział:

– Jestem absolutnie za orgiami seksualnymi, obojętnie, gdzie się odbywają.

Zwróciło to uwagę Hefa. Nie chcąc powielać kolumny *Call Me Madam*, prowadzonej w *Penthousie* przez Xavierę Holander, Hefner wpadł na pomysł, aby Luce zajął się opisem naukowych i historycznych aspektów seksu. W związku z tym w trzech pierwszych numerach „Proroczy Srom" przedstawił rozprawy na temat sztuki erotycznej japońskiego malarza

Hiroshi Yamamoto, epidemiologii syfilisu oraz życia seksualnego świętego Augustyna. Felietony zyskały popularność, choć rzadko zdarzały się inteligentne pytania od czytelników, gdyż większość z nich była bardziej zainteresowana publikowanymi w kolumnie „Poradnik Playboya" wskazówkami dotyczącymi seksu oralnego lub lekarstwem na przedwczesny wytrysk. W końcu Hefner poradził Luce'owi, aby sam pisał pytania, z czego ten chętnie skorzystał.

Peter Luce wystąpił w programie Phila Donahue wraz z dwoma hermafrodytami i transseksualistą, aby omówić zarówno medyczne, jak i psychologiczne aspekty takich przypadków medycznych. W tym programie Phil Donahue powiedział:

– Lynn Harris urodziła się i dorastała jako dziewczynka. Wygrałaś nawet konkurs piękności na plaży w Newport w 1964 roku, w starym dobrym Orange County w Kalifornii, prawda? To się zdziwią, jak się dowiedzą. Żyłeś jako kobieta aż do wieku dwudziestu dziewięciu lat, kiedy to rozpocząłeś życie jako mężczyzna. Lynn ma anatomiczne cechy zarówno kobiety, jak i mężczyzny. Niech skonam, jeśli kłamię!

Dodał jeszcze:

– Ale nie wszystko jest tu takie zabawne. Te żywe, niepowtarzalne dzieci boże, te istoty ludzkie chcą, abyście zapamiętali, że przede wszystkim tym właśnie są, czyli istotami ludzkimi.

W związku z pewnymi uwarunkowaniami genetycznymi i hormonalnymi czasami bardzo trudno było rozpoznać płeć noworodka. Gdy takie dzieci pojawiały się w Sparcie, zostawiano je na skalistym wzgórzu, aby tam umarły. Przodkowie samego Luce'a, Anglicy, nie chcieli nawet poruszać tego tematu i być może nigdy by go nie poruszyli, gdyby nie fakt, że takie tajemnicze genitalia zakłóciły sprawne działanie prawa o dziedziczeniu. Lord Coke, wybitny siedemnastowieczny prawnik brytyjski, starał się wyjaśnić kwestię dziedziczenia posiadłości ziemskich, określając, że osoba dziedzicząca powinna „być albo mężczyzną, albo kobietą, a przynależna część spadku będzie określana na podstawie przeważającej w danym przypadku płci". Oczywiście, nie podał żadnej precyzyjnej metody określania, która płeć przeważa. Przez większość dwudziestego wieku medycyna korzystała z tego samego prymitywnego kryterium diagnozowania płci, sformułowanego przez Klebsa jeszcze w 1876 roku. Klebs utrzymywał, że o płci człowieka decydują gonady. Jeżeli

były problemy z określeniem płci, sprawdzano tkankę gonad pod mikroskopem. Jeśli miała charakter jądrowy, człowiek był mężczyzną, jeśli jajnikowy, kobietą. Zakładano tu, że to gonady człowieka determinują jego rozwój płciowy, zwłaszcza w okresie dojrzewania płciowego. Ale okazało się, że sytuacja jest bardziej skomplikowana. Klebs jedynie rozpoczął zadanie, a świat musiał czekać jeszcze kolejne sto lat na Petera Luce'a, który je dokończył.

W 1955 roku Luce opublikował artykuł zatytułowany „Niejedna droga prowadzi do Rzymu – płciowe pojęcia ludzkiego hermafrodytyzmu". Na dwudziestu pięciu stronach bezpośredniego, eleganckiego wywodu Luce dowodził, że na płeć mają wpływ różne czynniki: płeć chromosomalna, płeć gonadalna, hormony, wewnętrzne struktury genitaliów, genitalia zewnętrzne oraz, albo przede wszystkim, płeć, w jakiej dany pacjent był wychowywany. Na podstawie badań pacjentów kliniki pediatryczno-endokrynologicznej w New York Hospital Luce stworzył wykresy, prezentujące wpływ tych różnych czynników na rozwój, i wykazał, że często płeć gonadalna pacjenta nie determinuje jego lub jej tożsamości płciowej. Artykuł odbił się szerokim echem w środowisku. W ciągu kilku miesięcy prawie wszyscy odrzucili kryterium Klebsa i przyjęli kryteria Luce'a.

Dzięki odniesionemu sukcesowi Luce uzyskał możliwość otwarcia Oddziału Psychohormonalnego w New York Hospital. W tych czasach najczęściej spotykał dzieci z zespołem nadnerczowo-płciowym, najbardziej rozpowszechnioną formą żeńskiego hermafrodytyzmu. Okazało się, że hormon kortyzol, niedawno zsyntetyzowany w laboratoriach, pozwala zahamować proces wirylizacji, jakiemu normalnie podlegały te dziewczynki, i pozwala im rozwinąć się w normalne kobiety. Endokrynolodzy podawali kortyzon, a Luce nadzorował psychoseksualny rozwój dziewczynek. Wiele się nauczył. W ciągu dekady dogłębnych, pionierskich badań, Luce dokonał swojego drugiego wielkiego odkrycia – stwierdził, że tożsamość płciowa jest ustalana na bardzo wczesnym etapie życia, mniej więcej w wieku dwóch lat. Płeć przypominała pod tym względem język ojczysty – nie istniała przed urodzeniem, ale odciskała się w mózgu w dzieciństwie i nigdy już nie znikała. Dzieci uczyły się mówić językiem mężczyzn lub kobiet, tak jak uczyły się mówić po angielsku czy francusku.

Swoją teorię opublikował w 1967 roku, w artykule pod tytułem „Wczesne określenie tożsamości płciowej: próg dwóch lat", wydrukowanym w *The New England Journal of Medicine*. Po tej publikacji jego popularność sięgnęła zenitu. Napływały fundusze – z fundacji Rockefellera, z fundacji Forda i z N.I.S. Był to wspaniały czas dla seksuologów. Rewolucja seksualna stwarzała nowe możliwości dla przedsiębiorczych badaczy seksualnych. Sprawą o znaczeniu narodowym, przynajmniej przez tych kilka lat, stało się zbadanie mechanizmu kobiecego orgazmu. Albo zgłębienie psychologicznych powodów, dla których niektórzy mężczyźni obnażali się publicznie na ulicy. W 1968 roku doktor Luce otworzył Klinikę Zaburzeń Płci i Tożsamości Płciowej. Luce leczył wszystkich: nastolatki z płetwiastymi szyjami cierpiące na zespół Turnera, które miały tylko jeden chromosom płciowy – samotny X, długonogie piękności z niewrażliwością na androgeny albo chłopców z chromosomami XYY, którzy zazwyczaj byli marzycielami i samotnikami. Gdy w szpitalu rodziły się dzieci o nieokreślonych genitaliach, wzywano doktora Luce'a, aby porozmawiał ze zdezorientowanymi rodzicami. Luce zajmował się również transseksualistami. Wszyscy przychodzili do jego kliniki, dzięki czemu Luce miał do swojej dyspozycji obszerny i bogaty materiał badawczy – składający się z żyjących i oddychających okazów – jakim nigdy wcześniej nie dysponował żaden naukowiec.

A teraz Luce miał do dyspozycji mnie. W sali zabiegowej poprosił mnie, bym się rozebrał i założył papierową sukienkę. Po pobraniu krwi (na szczęście tylko jednej próbówki), kazał mi się położyć na stole do badań i oprzeć nogi na podpórkach. U góry wisiała bladozielona zasłonka w kolorze mojej sukienki, służąca do przesłaniania części stołu, dzieląc w ten sposób moją górną i dolną połowę. Tego pierwszego dnia Luce jej nie zasłonił. Robił to dopiero później, gdy była publiczność.

– To nie powinno boleć, ale możesz czuć się dziwnie.

Gapiłem się na pierścieniową lampę na suficie. Luce miał dodatkową lampę na stojaku, którą mógł ustawiać zgodnie z własnymi potrzebami. Czułem jej gorąco między nogami, a on mnie uciskał i szturchał.

Przez pierwszych kilka minut koncentrowałem się na okrągłym świetle, ale w końcu, opuszczając brodę, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Luce w jednej ręce trzymał mojego krokusa, a drugą go mierzył. Następnie

odłożył linijkę i zaczął robić notatki. Nie wyglądał na zgorszonego czy przerażonego. Trzeba przyznać, że badał mnie z wielkim zaciekawieniem, można nawet powiedzieć, że jak jakiś koneser. Na jego twarzy dało się zauważyć ślady podziwu czy też uznania. Podczas badania robił notatki, ale nic nie mówił. Widać było, że jest bardzo skoncentrowany.

Po chwili, nadal kucając między moimi nogami, Luce odwrócił głowę w poszukiwaniu innego instrumentu. W polu widzenia, ograniczonym moimi kolanami, pojawiło się jego ucho, samo w sobie będące zdumiewającym organem, powykręcane i pozawijane, przeświecające w jasnym świetle. Przez chwilę wyglądało, jakby Luce nasłuchiwał sygnałów dobiegających z mojego źródła. Jakby odbierał jakąś zagadkę dochodzącą spomiędzy moich nóg. Ale wtedy znalazł to, czego szukał, i z powrotem się odwrócił.

Zaczął sondować mnie w środku.

– Rozluźnij się – powiedział.

Nałożył środek nawilżający i przybliżył się.

– Rozluźnij się.

W jego głosie można było wyczuć lekkie rozdrażnienie, słowa zabrzmiały jak polecenie. Wziąłem głęboki oddech i zrobiłem, co mogłem. Luce grzebał w środku. Na początku czułem się tylko dziwnie, tak jak powiedział Luce. Ale w pewnym momencie poczułem przeszywający ból. Rzuciłem się do tyłu i krzyknąłem.

– Przepraszam.

Jednak nadal robił swoje. Jedną rękę położył mi na miednicy, aby mnie przytrzymać. Grzebał głębiej, aczkolwiek starał się omijać bolesne miejsce. Oczy zaszły mi łzami.

– Już kończę – powiedział.

Ale tak naprawdę to był dopiero początek.

W takich przypadkach jak mój najważniejszą kwestią było wykazanie, beż żadnych wątpliwości, płci danego dziecka. Rodzicom noworodka nie mówi się:

– Państwa dziecko jest hermafrodytą.

Mówi się natomiast:

– Państwa córeczka urodziła się z nieco większą łechtaczką niż to bywa u innych dziewczynek. Będziemy musieli przeprowadzić operację, aby

doprowadzić ten organ do normalnego rozmiaru.

Luce uważał, że rodzice nie znieśliby sytuacji, w której płeć dziecka nie jest od początku określona. Musieli wiedzieć, czy mają chłopca czy dziewczynkę. A to oznaczało, że przed podaniem diagnozy trzeba być pewnym, jaka płeć przeważa.

Luce nie miał jeszcze tej pewności w stosunku do mnie. Otrzymał wyniki badań endokrynologicznych wykonanych w szpitalu Henry'ego Forda, więc wiedział o moim kariotypie XY, o moich wysokich poziomach testosteronu i o nieobecności w mojej krwi dihydrotestosteronu. Innymi słowy, zanim jeszcze Luce mnie zobaczył, mógł, na podstawie posiadanej wiedzy, odgadnąć, że byłem męskim pseudohermafrodytą (męskim pod względem genetycznym, ale na zewnątrz wprost przeciwnie), z zespołem niedoboru 5-alfa-reduktazy. Ale to, zgodnie z logiką Luce'a, jeszcze nie oznaczało, że posiadam męską tożsamość płciową.

Dodatkowym problemem był mój nastoletni wiek. Oprócz czynników chromosomalnych i hormonalnych, Luce musiał brać pod uwagę płeć, w której mnie wychowywano, czyli płeć żeńską. Podejrzewał, że masa tkankowa, którą wyczuł wewnątrz mnie, to były jądra. Nie mógł mieć jednak pewności, dopóki nie zobaczył próbki pod mikroskopem.

Takie myśli musiały przechodzić Luce'owi przez głowę, gdy prowadził mnie z powrotem do poczekalni. Powiedział mi, że chce porozmawiać z moimi rodzicami i że gdy skończy, oni do mnie wrócą. Już nie był tak przejęty, znowu był przyjacielski, uśmiechał się i klepał mnie po ramieniu.

W swoim gabinecie Luce usiadł na fotelu Eames, podniósł wzrok na moich rodziców i poprawił okulary.

– Panie Stephanides, pani Stephanides, będę z państwem szczery. Mamy tu do czynienia ze skomplikowanym przypadkiem. Przez skomplikowany wcale nie chcę powiedzieć, że nieuleczalny. Dysponujemy wieloma skutecznymi metodami leczenia takich przypadków. Ale zanim będę mógł przystąpić do leczenia, muszę uzyskać odpowiedzi na wiele pytań.

Moi rodzice siedzieli w odległości najwyżej trzydziestu centymetrów od siebie, ale każde z nich usłyszało coś innego. Milton usłyszał te słowa, które były w wypowiedzi lekarza. Usłyszał „leczenie" i „skuteczne". Tessie z kolei usłyszała słowa, których tam nie było. Doktor na przykład nie

wypowiedział mojego imienia. Nie powiedział: „Calliope” czy „Callie”. Nie powiedział również: „córka”. W ogóle nie używał żadnych zaimków.

– Muszę przeprowadzić dalsze badania – ciągnął Luce. – Muszę przeprowadzić kompleksowe badania psychologiczne. Dopiero po uzyskaniu wszystkich niezbędnych informacji będziemy mogli omówić odpowiednią terapię.

Milton już kiwał głową.

– Ile to może zabrać czasu, panie doktorze?

Luce wysunął w zamyśleniu dolną wargę.

– Dla pewności chcę powtórzyć badania laboratoryjne. Wyniki będą jutro. Badania psychologiczne potrwają dłużej. Będę musiał przez tydzień, może dwa, mieć codzienny kontakt z państwa dzieckiem. Dobrze by było również, gdybyście mogli mi państwo przekazać jakieś zdjęcia z dzieciństwa lub filmy amatorskie, jeśli takimi dysponujecie.

Milton odwrócił się do Tessie.

– Kiedy Callie zaczyna szkołę?

Tessie nie usłyszała go. Była wstrząśnięta zwrotem, jakiego użył Luce: „państwa dziecko”.

– Jakie informacje chce pan uzyskać, panie doktorze? – zapytała Tessie.

– Na podstawie badania krwi będziemy mogli określić poziomy hormonów. Badania psychologiczne są w takich przypadkach sprawą rutynową.

– Czy pan sądzi, że to kwestia hormonów? – zapytał Milton. – Zaburzenie równowagi hormonalnej?

– Dowiemy się, gdy zrobię to, co jest niezbędne – odparł Luce.

Milton wstał i uścisnął dłoń lekarza. Wizyta dobiegła końca.

Pamiętajmy – ani Milton, ani Tessie od lat nie widzieli mnie bez ubrania. Skąd mieli wiedzieć? A skoro nie wiedzieli, jak mogli to sobie wyobrazić? Dysponowali tylko drugorzędnymi informacjami – mój chropawy głos, moje płaskie piersi – ale nie były to dane zbyt przekonujące. Kwestia hormonów. To nie mogło być nic poważniejszego. W to wierzył albo chciał wierzyć mój ojciec, i do tego chciał przekonać Tessie.

Ja też miałem swoje opory.

– Dlaczego on chce przeprowadzać badania psychologiczne? – zapytałem. – Przecież nie zwariowałam.

– Lekarz powiedział, że to rutynowe badania.

– Ale po co?

Tym pytaniem trafiłem w samo sedno sprawy. Moja matka powiedziała mi później, że intuicyjnie wyczuwała, co mogło być prawdziwym powodem badań psychologicznych, ale postanowiła o tym nie myśleć. Albo raczej nie miała wyboru. Milton zdecydował za nią. Milton wolał podejść do problemu pragmatycznie. Nie było sensu martwić się badaniami psychologicznymi, które tylko mogły potwierdzić to, co było oczywiste, czyli że jestem normalną, psychicznie zrównoważoną dziewczyną.

– Pewnie dodatkowo kasuje z ubezpieczalni za te badania psychologiczne – powiedział Milton. – Przykro mi, Cal, ale będziesz musiała przez to przebrnąć. Może on wyleczy twoją nerwicę. Masz nerwicę? To najwyższy czas, żeby się jej pozbyć – objął mnie ramionami, mocno przycisnął i lekko ucałował w głowę.

Milton był do tego stopnia przekonany, że wszystko będzie dobrze, że we wtorek poleciał w interesach na Florydę.

– Nie ma sensu, żebym siedział w tym hotelu – powiedział nam.

– Chcesz po prostu wynieść się z tej dziury – odrzekłem.

– Postaram się wam to wynagrodzić. Może byście dzisiaj poszły z matką na jakąś wystawną kolację? Wybierzcie jakieś dobre miejsce. Oszczędzamy trochę dolców na tym pokoju, to możecie trochę zaszaleć. Tessie, może zabierz Callie do Delmonico's?

– Co to jest Delmonico's? – zapytałem.

– To restauracja specjalizująca się w stekach.

– Ja chcę homara. I deser „Alaska" – powiedziałem.

– Deser „Alaska"! Być może mają to w menu.

Milton wyjechał, a my z mamą zajmowaliśmy się wydawaniem jego pieniędzy. Chodziliśmy na zakupy do Bloomingdale'a. Podwieczorek jadaliśmy w Plaza. Nie dotarliśmy do Delmonico's, bardziej odpowiadała nam niedroga włoska restauracyjka w pobliżu Lochmoor, gdzie czuliśmy się swobodniej. Jadaliśmy tam co wieczór, ze wszystkich sił udając, że jesteśmy na prawdziwych wakacjach. Tessie piła więcej wina niż zwykle i trochę się upijała, a gdy szła do toalety, ja dopijałem resztę z jej kieliszka.

W twarzy Tessie najbardziej w oczy rzucała się szpara między jej przednimi zębami. Kiedy do niej coś mówiłem, często przyciskała język do tej dziury w żywopłocie, do tej bramy wjazdowej. To świadczyło o tym, że słucha uważnie. Moja matka zawsze zwracała szczególną uwagę na to, co

ja mówiłem. A jeśli powiedziałem jej coś śmiesznego, cofała język, odchylała głowę do tyłu, szeroko otwierała usta i ukazywała te swoje rozdzielone i dominujące przednie zęby.

Co wieczór w tej włoskiej restauracji starałem się, aby to się wydarzyło.

Rano Tessie zabierała mnie do kliniki na moje wizyty.

– Jakie masz hobby, Callie?

– Hobby?

– Czy jest coś, co szczególnie lubisz robić?

– Ja raczej nie mam hobby.

– A sport? Czy lubisz jakąś dyscyplinę sportu?

– Może być ping-pong?

– Zapiszę to – Luce uśmiechnął się zza biurka. Leżałem na leżance Le Corbusiera po drugiej stronie pokoju, wyciągnięty na bydlęcej skórze.

– A co z chłopakami?

– A co ma być?

– Czy w szkole jest jakiś chłopak, który ci się podoba?

– Chyba pan doktor nigdy nie był w mojej szkole.

Popatrzył w papiery.

– Aha, no przecież, to jest szkoła dla dziewcząt, prawda?

– Tak.

– Czy pociągają cię dziewczyny? – to pytanie Luce zadał bardzo szybko. Jak uderzenie gumowym młotkiem. Ale ja pohamowałem swój odruch.

Odłożył pióro i splótł palce. Pochylił się do przodu i powiedział cichym głosem:

– Chciałbym, abyś wiedziała, że to, o czym tu mówimy, pozostanie między nami. Niczego nie powtórzę twoim rodzicom.

Czułem wewnętrzne rozdarcie. Siedzący w skórzanym fotelu Luce, z długimi włosami i butami do kostek, był typem dorosłej osoby, przed którą dziecko może się otworzyć. Był w wieku mojego ojca, ale potrafił porozumiewać się z młodszym pokoleniem. Chciałem opowiedzieć mu o Przedmiocie. Chciałem to komuś opowiedzieć, komukolwiek. Moje uczucie do niej nadal było tak silne, że aż czułem, jak chwyta mnie za gardło. Ale powstrzymałem się, pełen wątpliwości. Nie wierzyłem w poufność tej rozmowy.

– Twoja matka mówiła, że jesteś bardzo blisko z jedną z koleżanek – znowu zaczął Luce i wymienił imię Przedmiotu. – Czy czujesz do niej pociąg seksualny? A może doszło między wami do jakiegoś fizycznego zbliżenia?

– Jesteśmy tylko przyjaciółkami – twierdziłem uparcie, może nieco zbyt głośno. Spróbowałem ponownie, tym razem ciszej: – Jest moją najlepszą przyjaciółką.

W odpowiedzi prawa brew Luce'a podniosła się znad okularów. Wysunęła się z ukrycia, jakby ona również chciała mi się dokładniej przyjrzeć. I wtedy znalazłem wyjście z sytuacji:

– Kochałam się z jej bratem – wyznałem. – On jest na przedostatnim roku.

Luce ponownie nie okazał zdziwienia, dezaprobaty czy zainteresowania. Odnotował coś w swoim bloczku i skinął głową.

– I jak, podobało ci się?

Tutaj mogłem wyznać prawdę.

– Bolało – powiedziałem. – A do tego jeszcze bałam się, że zajdę w ciążę.

Luce uśmiechnął się do siebie, znowu zapisując coś w notesie.

– Nie ma się czego obawiać – odrzekł.

Tak to właśnie wyglądało. Codziennie przez godzinę siedziałem w gabinecie Luce'a i opowiadałem o moim życiu, o uczuciach, o tym, co lubię i czego nie lubię. Luce zadawał mi przeróżne pytania. Czasami ważniejszy był sposób, w jaki udzielam odpowiedzi na jakieś pytanie, niż sama odpowiedź. Obserwował wyraz mojej twarzy, zwracał uwagę na charakter mojej argumentacji. Kobiety częściej się uśmiechają do swoich rozmówców niż mężczyźni. Kobiety przerywają swoją wypowiedź i szukają oznak zrozumienia, zanim przejdą dalej. Mężczyźni po prostu patrzą w dal i kontynuują wątek. Kobiety wolą wypowiedzi pełne anegdot, a mężczyźni kwestie oparte na dedukcji. Pracując w takim zawodzie jak Luce, nie można było lekceważyć pewnych stereotypów. Wiedział, że mają ograniczone zastosowanie. Ale były przydatne w działalności klinicznej.

Gdy nie opowiadałem o moim życiu i uczuciach, to o nich pisałem. Przez większość dni siedziałem przy maszynie i pisałem coś, co Luce określił jako moją „narrację psychologiczną". Ta moja pierwsza autobiografia nie zaczynała się od: „Urodziłem się dwukrotnie…" Dopiero miałem nauczyć się posługiwać błyskotliwymi, retorycznymi wstępami. Zacząłem prosto,

od słów: „Nazywam się Calliope Stephanides. Mam czternaście lat. Niedługo skończę piętnaście". Zacząłem od opisu faktów i podążałem za nimi tak długo, jak tylko potrafiłem.

Muzo! Wyśpiewaj, jak sprytna Calliope pisała na tej zdezelowanej maszynie do pisania marki Smith Corona! Wyśpiewaj, jak maszyna brzęczała i drżała na wieść o jej psychiatrycznych rewelacjach! Wyśpiewaj jej dwie taśmy, jedną do pisania, a drugą do korekty, które tak elokwentnie przedstawiały jej kłopotliwe położenie, stan zawieszenia między drukiem genetyki a korektorem chirurgii. Wyśpiewaj niesamowity zapach, jaki wydzielała maszyna, jak płyn WD-40 zmieszany z salami, oraz fluoroscencyjną kalkomanię w kwiaty, naklejoną przez osobę, która jej uprzednio używała, a także złamany klawisz F, który się zacinał. Na tej nowomodnej, ale mającej wkrótce wyjść z użytku maszynie pisałem w sposób bardziej przypominający córkę pastora z Shropshire niż dzieciaka ze Środkowego Zachodu. Wciąż jeszcze mam gdzieś kopię mojej psychologicznej narracji. Luce opublikował ją w swoich dziełach zebranych, pomijając moje imię i nazwisko. „Chcę opowiedzieć o moim życiu" – tak to brzmi w pewnym miejscu – „i o doświadczeniach, które dostarczają mnóstwa radości i smutków na tej planecie zwanej Ziemią". Opisując moją matkę, napisałem: „Smutek i żal powodują, że jest jeszcze piękniejsza". Kilka stron dalej pojawia się podtytuł: „Kalumnie zjadliwe i uszczypliwe autorstwa Callie". Czasami pisałem jak marny George Eliot, a czasami jak marny Salinger. „Jeśli czegoś nienawidzę, to telewizji". Nieprawda – uwielbiałem telewizję! Ale pisząc na tej maszynie, szybko odkryłem, że opowiadanie prawdy nie było tak ciekawe, jak zmyślanie. Ponadto wiedziałem, że piszę dla mojej publiczności – dla doktora Luce'a – i że jeśli wszystko będzie brzmiało dosyć zwyczajnie, to być może puści mnie do domu. To tłumaczy fragmenty poświęcone mojej miłości do kotów („kocie sympatie"), przepisy na ciasto i moje umiłowanie przyrody.

Luce pożerał to wszystko. To prawda, muszę mu tu oddać sprawiedliwość, bo mu się to należy. Luce był pierwszą osobą, która zachęciła mnie do pisania. Co wieczór czytał to, co ja napisałem w ciągu dnia. Oczywiście nie wiedział, że większość zmyślałam, udając, że jestem typową amerykańską córką, jaką chcieli mnie widzieć moi rodzice. Wymyślałem pierwsze „zabawy w miłość" i późniejsze amory z chłopakami, przeniosłem moje uczucia do Przedmiotu na Jerome'a

i zdumiewające było, jak to świetnie funkcjonowało – najdrobniejsze fragmenty prawdy potrafiły uwiarygodnić największe łgarstwa.

Oczywiście, Luce doszukiwał się mimowolnego zdradzania się charakteru mojej płci w tym, co pisałem. Mierzył moją kobiecą rozkosz, moją *jouissance,* w relacji do linearności mojego pisma. Wyłapywał moją wiktoriańską emfazę, mój starożytny styl, moje dobre wychowanie ze szkoły dla dziewcząt. To wszystko miało duże znaczenie przy ustalaniu ostatecznej opinii.

Było jeszcze inne narzędzie diagnozy – pornografia. Pewnego popołudnia, gdy przybyłem na moją sesję z Lucem, zobaczyłem w jego gabinecie projektor filmowy. Przed szafką z książkami stał ekran, a żaluzje były zasłonięte. W ckliwym świetle Luce zakładał celuloidową taśmę przez chwytak w projektorze.

– Znowu pokaże mi pan film taty? Jak byłam mała?

– Dziś będzie coś innego – odpowiedział Luce.

Przyjąłem swoją typową pozycję na leżance z bydlęcej skóry, z rękami założonymi do tyłu. Doktor Luce wyłączył światła i zaraz zaczął się film.

Film był o dziewczynie rozwożącej pizzę. Tytuł brzmiał: „Annie z dostawą do samych drzwi". W pierwszej scenie Annie, ubrana w krótkie spodenki z obciętych dżinsów i w króciutkiej bluzeczce odsłaniającej brzuch, wysiada przed domem nad oceanem. Dzwoni do drzwi. W domu nie ma nikogo. Ponieważ nie chce, aby pizza się zmarnowała, siada przy basenie i zaczyna ją jeść.

Pod względem realizacji film był pełen niedociągnięć. Ratownik, który pojawił się po chwili, był źle oświetlony. Trudno było usłyszeć, co mówi. Ale bardzo szybko przestał w ogóle mówić. Annie zaczęła zdejmować ciuszki. Uklękła. Ratownik również się rozebrał, a później para ta była już na schodach, w basenie, na trampolinie, ciężko dysząc i wijąc się na ekranie. Zamknąłem oczy. Nie podobały mi się kolory filmu, kojarzące się z widokiem surowego mięsa. Obraz był wyzuty z całego piękna obecnego w tych miniaturkach w gabinecie Luce'a.

Z ciemności odezwał się głos Luce'a, który zadawał bardzo bezpośrednie pytanie:

– Które cię podnieca?

– Proszę?

– Które cię podnieca? Mężczyzna czy kobieta?

Prawdę mówiąc, żadne. Ale tu nie było miejsca na prawdę. Trzymając się mojej wersji, wydobyłem z siebie bardzo ciche:

– Chłopak.

– Ratownik? To dobrze. Mnie się podoba dziewczyna. Ma świetne ciało – w dzieciństwie trzymany pod kloszem, pochodzący z pruderyjnego prezbiteriańskiego domu, obecnie Luce był człowiekiem wyzwolonym, wolnym od jakichkolwiek uprzedzeń seksualnych.

– Ma niesamowite cycki – powiedział. – Podobają ci się jej cycuszki? Biorą cię?

– Nie.

– A fiut chłopaka?

Skinąłem głową, nieznacznie, nie mogąc się doczekać, kiedy to się skończy. Ale to miało jeszcze trochę potrwać. Annie musiała dostarczyć jeszcze inne pizze. Luce chciał zobaczyć wszystkie.

Czasami przyprowadzał innych lekarzy, aby mogli mnie pooglądać. Prezentacja zazwyczaj przebiegała w sposób następujący – wzywano mnie z mojego studia pisarskiego z tyłu kliniki, a w gabinecie Luce'a czekało dwóch mężczyzn w garniturach. Ci dwaj wstali, gdy wszedłem. Luce przedstawił nas sobie:

– Callie, pragnę, abyś poznała doktora Craiga i doktora Wintersa.

Doktorzy uścisnęli moją dłoń. To był dla nich pierwszy fragment danych – mój uścisk dłoni. Doktor Craig uścisnął mocno, Winters lżej. Starali się nie dać po sobie poznać, że zżera ich ciekawość. Jak mężczyźni spotykający modelkę, uciekali wzrokiem od mojego ciała i udawali, że interesuję ich jako osoba. Luce powiedział:

– Callie jest w naszej klinice już od około tygodnia.

– Jak ci się podoba Nowy Jork? – zapytał doktor Craig.

– Prawie nic nie widziałam.

Lekarze udzielili mi kilku porad, co należy zobaczyć. Panowała swobodna, przyjacielska atmosfera. Luce położył rękę na moim krzyżu. Mężczyźni robią to w sposób bardzo irytujący. Dotykają twoich pleców, jakby tam był jakiś uchwyt, i prowadzą cię, dokąd zechcą. Albo kładą dłoń na twojej głowie, po ojcowsku. Mężczyźni i ich dłonie. Trzeba na nie cały czas uważać. Ręka Luce'a oznajmiała – oto ona. Moja główna atrakcja. Najgorsze było to, że mi to odpowiadało, lubiłem dotyk ręki Luce'a na

plecach. Podobała mi się uwaga, jaką na mnie skupiano. Oto byli ludzie, którzy chcieli się ze mną spotkać.

Wkrótce potem dłoń Luce'a prowadziła mnie korytarzem do gabinetu zabiegowego. Wiedziałem, co mam robić. Rozebrałem się za parawanem, a lekarze czekali. Na krześle leżała złożona papierowa sukienka.

– Peter, skąd pochodzi rodzina?

– Z Turcji.

– Ja znam tylko opracowanie na temat Papui-Nowej Gwinei – powiedział Craig.

– Wśród plemienia Sambia, tak? – zapytał Winters.

– Tak, zgadza się – odpowiedział Luce. – Tam również mamy do czynienia z dużym zakresem mutacji. Plemię Sambia jest także interesujące z seksualnego punktu widzenia. Oni uprawiają rytualny homoseksualizm. Mężczyźni z tego plemienia uważają kontakty z kobietami za nieczyste. Dlatego stworzyli odpowiednie struktury społeczne, aby jak najmniej narażać się na skalanie. Mężczyźni i chłopcy śpią po jednej stronie wioski, a kobiety z dziewczynkami po drugiej. Mężczyźni udają się do długich kobiecych domów tylko w celu prokreacji. Wchodzą i wychodzą. W języku Sambia słowo oznaczające „pochwę" tłumaczy się dosłownie jako „rzecz, która naprawdę nie jest dobra".

Zza zasłony doszedł mnie zduszony śmiech.

Wyszedłem, czując się niezręcznie. Byłem wyższy od innych osób znajdujących się w pokoju, choć zdecydowanie mniej ważyłem. Przez stopy czułem chłód bijący od posadzki, gdy podchodziłem do stołu badań i na niego wskakiwałem.

Położyłem się na plecach. Bez żadnego polecenia podniosłem nogi i włożyłem pięty w ginekologiczne uchwyty. W pokoju zapadła złowieszcza cisza. Trzech doktorów podeszło do stołu, ze wzrokiem skierowanym w dół. Ich głowy tworzyły nade mną swoistą trójcę. Luce zaciągnął zasłonę nad stołem.

Pochylili się nade mną, badając mnie, a Luce oprowadzał wycieczkę. Nie rozumiałem znaczenia większości słów, ale za trzecim lub czwartym razem mogłem recytować całą listę z pamięci: „budowa mięśniowa… brak ginekomastii… hypospadiasis… zatoka moczowo-płciowa… ślepe zagłębienie pochwy". To były moje powody do sławy. Jednak nie czułem się

sławny. Tak naprawdę za zasłoną czułem się, jakby już mnie nie było w tym pomieszczeniu.

– Ile ma lat? – zapytał doktor Winters.

– Czternaście – odpowiedział Luce. – W styczniu skończy piętnaście.

– Zatem twoim zdaniem wpływ zespołu chromosomów został zupełnie przesłonięty przez wychowanie?

– Uważam, że to wyraźnie widać.

Tak leżąc i pozwalając, aby Luce, w gumowych rękawiczkach, robił swoje, zrozumiałem, o co tu chodzi. Luce chciał wywrzeć jak najlepsze wrażenie na mężczyznach, podkreślając znaczenie swojej pracy. Do funkcjonowania kliniki potrzebował funduszy. Zabiegi chirurgiczne wykonywane na transseksualistach nie miały znaczenia dla fundacji March of Dimes. Aby wzbudzić zainteresowanie, trzeba było poruszyć czułą strunę. Zobrazować cierpienie. Luce starał się to zrobić, posługując się moją osobą. Idealnie się do tego nadawałem – taka grzeczna, taka ze Środkowego Zachodu. Nie było we mnie śladu niestosowności, żadnych skojarzeń z barami dla transwestytów czy ogłoszeniami na okładce podejrzanych czasopism.

Doktor Craig nie był przekonany.

– Fascynujący przypadek, Peter. Bez wątpienia. Ale będziemy musieli poznać zakres zastosowań.

– To rzeczywiście rzadki przypadek – przyznał Luce. – Nadzwyczaj rzadki. Ale z badawczego punktu widzenia trudno ocenić jego znaczenie. Ze względów przedstawionych w moim gabinecie.

Luce mówił ogólnikami z mojego powodu, ale równocześnie wystarczająco przekonująco dla nich. Nie doszedłby do swojej pozycji, gdyby nie miał talentów lobbystycznych. Ja tymczasem byłem tam i nie byłem, dostając gęsiej skórki i kuląc się pod dotknięciem rąk Luce'a, a jednocześnie martwiąc się, że niedokładnie się umyłem.

Pamiętam również coś innego. Długi, wąski pokój na innym piętrze szpitala. Z jednej strony podest przed reflektorem ze skrzydełkami regulującymi strumień światła. Fotograf wkładający film do aparatu.

– Dobra, jestem gotów – powiedział.

Opuściłem szlafrok. Już prawie do tego przyzwyczajony, wszedłem na podest, stając przed diagramem wzrostu.

– Podnieś trochę ręce.

– Tak?

– W porządku. Nie chcę cieni na zdjęciu.

Nie kazał mi się uśmiechnąć. Wydawcy podręczników zadbają o to, aby moja twarz była zakryta. Czarny prostokąt – odwrotność listka figowego, ukrywający tożsamość, a odsłaniający wstydliwe miejsce.

Milton telefonował do nas co wieczór. Rozmawiając z nim, Tessie mówiła pewnym siebie głosem. Kiedy ja z nim rozmawiałem, Milton starał się, aby jego głos brzmiał radośnie. Ale ja korzystałem z okazji, aby się wyżalić i ponarzekać.

– Mam już dość tego hotelu. Kiedy będziemy mogły wrócić do domu?

– Jak tylko wydobrzejesz – zapewniał Milton.

Kiedy przychodziła pora snu, zaciągałyśmy zasłony w oknach i wyłączałyśmy światła.

– Dobranoc, kochanie. Do jutra.

– Dobranoc.

Ja jednak nie mogłem zasnąć. Cały czas myślałem o tym słowie: „wydobrzejesz". Co miał na myśli mój ojciec? Co oni mieli mi zrobić? Do pokoju dochodziły dźwięki z ulicy, dziwnie odległe, odbite echem od betonowego budynku po drugiej stronie. Słuchałem syren policyjnych, wściekłych klaksonów. Leżałem na cienkiej poduszce. Cuchnęło od niej jak od palacza. Po drugiej stronie wąskiego dywanika spała moja matka. Przed moim poczęciem wyraziła zgodę na szalony plan mojego ojca, mający na celu zdecydowanie o mojej płci. Zrobiła to, aby nie być sama, aby mieć w domu przyjaciółkę. I ja byłem tą przyjaciółką. Zawsze byłem blisko związany z matką. Nasze usposobienia były podobne. Ulubionym zajęciem było wspólne przesiadywanie na ławce w parku i obserwowanie twarzy przechodniów. Jednak tym razem przyglądałem się twarzy mojej matki. Wyglądała blado, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, jakby nałożony krem usunął nie tylko makijaż, ale również jej osobowość. Jednak oczy Tessie poruszały się, przeskakiwały pod powiekami tam i z powrotem. Callie nie potrafiła wyobrazić sobie tego, co wtedy Tessie widziała w swoich snach. Ale ja mogę. Tessie śniła sen rodzinny. To była wersja koszmarów, jakie nawiedzały Desdemonę po wysłuchaniu kazań Farda. „Snów o zarodkach dzieci pokrywających się pęcherzykami, dzielących się. O szkaradnych istotach powstających z sinej piany". Tessie nie dopuszczała

do siebie takich myśli za dnia, więc nachodziły ją w nocy. Czy była temu winna? Czy powinna była sprzeciwić się Miltonowi, gdy on starał się nagiąć naturę do własnej woli? Czy, w końcu, rzeczywiście istniał Bóg i czy karał ludzi na Ziemi? Moja matka wygnała ze świadomości te przesądy rodem ze Starego Świata, ale one wciąż funkcjonowały w jej snach. Leżąc w łóżku, obserwowałem grę tych ciemnych sił na śpiącej twarzy mojej matki.

Poszukując siebie w leksykonach

Co noc kręciłem się w łóżku, nie mogąc spokojnie przespać do rana. Jak księżniczka na ziarnku grochu. Wciąż przeszkadzało mi ziarno niepokoju. Czasami budziłem się z uczuciem, że w trakcie mojego snu skierowano na mnie reflektor. Jakby moje eteryczne ciało obcowało z aniołami, gdzieś u góry, pod sufitem. Gdy otwierałem oczy, ulatywały. Ale słyszałem resztki odgłosów komunikacji, zanikające echa kryształowego dzwonu. Z wnętrza mego jestestwa wynurzały się jakieś zasadnicze informacje. Miałem je już prawie na końcu języka, ale jeszcze nie wypływały na powierzchnię. Jedno było pewne – to wszystko miało jakiś związek z Przedmiotem. Leżałem, rozbudzony, i myślałem o niej, zastanawiając się, jak się czuje, usychając z tęsknoty i rozpaczy.

Myślałem również o Detroit, o pustych parcelach porośniętych bladą trawą Ozyrysa, wyrastającą między domami przeznaczonymi do rozbiórki a domami, którym tej decyzji na razie oszczędzono, i o rzece pełnej odpadów i śmieci z żelaza, martwych karpi unoszących się na powierzchni z łuszczącymi się białymi brzuchami.

Myślałem o wędkarzach, stojących na betonowych nabrzeżach z wiaderkami na przynętę i szklaneczkami, słuchających transmisji meczu baseballu przez radio. Często się mówi, że traumatyczne przeżycie w dzieciństwie na zawsze już naznacza człowieka, wyciąga go z szeregu i mówi: „Zostań tu. Nie ruszaj się". Taki wpływ wywarł na mnie mój pobyt w klinice. Czuję bezpośredni związek między tą siedzącą z podkurczonymi nogami pod kocami hotelowymi dziewczynką a osobą piszącą te słowa, wygodnie usadowioną w luksusowym fotelu. Jej zadaniem było przeżycie mitycznego życia w świecie rzeczywistym, a moim opowiedzenie jej historii. W wieku czternastu lat Callie nie dysponowała jeszcze

odpowiednimi informacjami, brakowało jej wiedzy, nie odwiedziła anatolijskich gór, przez Greków zwanych Olimpem, a przez Turków – Uludag, jak rodzaj napoju. Jeszcze nie dojrzała na tyle, aby zdać sobie sprawę, że życie wysyła człowieka nie w przyszłość, ale z powrotem w przeszłość, do dzieciństwa i, ostatecznie, jeszcze przed narodziny, aby obcował ze zmarłymi. Starzejesz się, sapiesz na schodach, wstępujesz w ciało swojego ojca. Stąd już tylko krok do dziadków i zanim się zorientujesz, już podróżujesz w czasie. W naszym życiu dorastamy wstecz. Znamienne jest, że to siwowłosi turyści we włoskich autobusach mogą nam coś powiedzieć na temat Etrusków.

Postawienie diagnozy co do mojej osoby ostatecznie zajęło Luce'owi dwa tygodnie. Umówił się z moimi rodzicami na spotkanie w następny poniedziałek.

Przez te dwa ostatnie tygodnie Milton latał tam i z powrotem, odwiedzając różne punkty swojej sieci Hercules, ale w piątek przed wizytą powrócił do Nowego Jorku. Weekend spędziliśmy na beznamiętnym oglądaniu miasta, osaczeni przez niewypowiedziane obawy. W poniedziałek rano rodzice zawieźli mnie do nowojorskiej biblioteki publicznej, a sami pojechali na spotkanie z doktorem Lucem.

Tego ranka mój ojciec ubrał się ze szczególną starannością. Chociaż zachowywał pozory spokoju, dręczyło go nieznane mu uczucie zagrożenia, założył więc najbardziej efektowne ubranie, jakie miał: na swoje pulchne ciało nałożył czarny jak węgiel garnitur w prążki, wokół opasłej szyi zawiązał krawat Countess Mara, a w dziurki mankietów koszuli włożył swoje „szczęśliwe" spinki z symbolami dwóch podstawowych gatunków greckiego dramatu. Podobnie jak nasza lampka nocna z Akropolu, spinki do mankietów pochodziły z mieszczącego się w greckiej dzielnicy sklepu z pamiątkami Jackie Halas. Milton zawsze je zakładał, gdy szedł na rozmowę z urzędnikiem bankowym z działu kredytowego albo z inspektorem z urzędu skarbowego. Jednak w ten poniedziałkowy poranek miał kłopoty z założeniem spinek, zbyt trzęsły mu się ręce. Poirytowany, poprosił Tessie, aby zrobiła to za niego.

– Co się dzieje? – zapytała go czule.

Ale Milton tylko warknął:

– Załóż te spinki i nic nie mów, dobrze? – wyciągnął ręce i odwrócił wzrok, zakłopotany słabością własnego ciała.

Tessie po cichu włożyła spinki, tragedię w jeden mankiet, a komedię w drugi. Błyszczały w porannym słońcu, gdy wychodziliśmy tego ranka z hotelu, i pod wpływem tych przeciwstawnych akcesoriów późniejsze wydarzenia nabrały kontrastującego charakteru. Bez wątpienia była tragedia, widoczna w wyrazie twarzy Miltona, gdy zostawiali mnie w bibliotece. Podczas swojej nieobecności ojciec myślał o mnie jak o dziewczynce, którą byłem rok wcześniej. Teraz z kolei zobaczył, jak wyglądam naprawdę. Widział, jak niezgrabnie wchodzę po schodach do biblioteki, widział moje szerokie barki w kurtce z Papagallo. Patrząc z taksówki, Milton stanął twarzą w twarz z samą istotą tragedii, z tym, co jest zdeterminowane, zanim się jeszcze narodzimy, od czego nie można uciec ani tego zmienić, nawet dokładając największych starań. A Tessie, przyzwyczajona przecież do patrzenia na świat oczami swojego męża, zauważyła, że moje problemy coraz szybciej się pogłębiały. Serca im się krajały z udręki, z bólu, z jakim wiąże się posiadanie dzieci, gdy człowiek jest narażony na cierpienia, w sposób tak zdumiewający, jak zdumiewająca jest wielka miłość, jaką przynosi rodzicielstwo we własnym zestawie spinek…

…Ale taksówka już odjeżdżała, Milton wycierał brew chusteczką, a na jego prawym rękawie pojawiła się twarz wykrzywiona w uśmiechu, ponieważ wydarzenia tego dnia były również naznaczone aspektem komicznym. Śmieszne było to, że Milton, nadal martwiąc się o mnie, nie spuszczał oka z taksometru. W klinice zabawne było, że Tessie, wybierając na chybił trafił czasopismo w poczekalni, zaczęła czytać artykuł o pierwszych próbach seksualnych młodych rezusów. Gorzką satyrą naznaczone było samo poszukiwanie rozwiązania przez moich rodziców, bo stanowiło przykład amerykańskiej wiary, że lekarze mogą wszystkiemu zaradzić. Jednak ta cała komedia jest widoczna dopiero w retrospektywie. W chwili gdy Milton i Tessie czekali na doktora Luce'a, w ich żołądkach przewalała się gorąca piana. Milton wspominał swoje początki w marynarce, czas spędzony na barce desantowej. To było bardzo podobne. Lada moment miała odpaść klapa, a oni będą musieli wskoczyć w nocną kipiel…

W gabinecie doktor Luce przeszedł od razu do rzeczy:

– Pozwolę sobie podsumować fakty o przypadku państwa córki – powiedział. Tessie od razu zauważyła tę zmianę. Córki. Powiedział: „córki".

Tego ranka seksuolog wyglądał jak na lekarza przystało. Na kaszmirowy golf miał nałożony prawdziwy fartuch lekarski. W ręku trzymał szkicownik. Na długopisie widniała nazwa firmy farmaceutycznej. Żaluzje były zaciągnięte, a światło przygaszone. Postaci na miniaturach skromnie skryły się w cieniu. Siedząc w eleganckim fotelu, z wznoszącymi się za nim rzędami tomów i czasopism, doktor Luce sprawiał wrażenie poważnego, doświadczonego, podobnie jak i jego przemowa.

– Rysuję tu – zaczął – struktury genitaliów płodu. Innymi słowy, tak wyglądają genitalia dziecka w łonie matki w pierwszych kilku tygodniach po poczęciu. Męskie i żeńskie wyglądają tak samo. Te dwa kółeczka tutaj, to gonady. Z kolei ten mały zawijas to przewód Wolffa. Ten drugi zawijas to przewód Müllera. Czy to jest zrozumiałe? Należy pamiętać, że u wszystkich ludzi początek jest taki sam. Wszyscy rodzimy się, mając potencjalnie chłopięce i dziewczęce części. Pan, panie Stephanides, pani Stephanides, ja – wszyscy. Spójrzmy dalej – znowu zaczął rysować – gdy płód rozwija się w łonie, uwalniane są hormony i enzymy, zaznaczymy je jako strzałki. Co te hormony i enzymy robią? Otóż przekształcają te kółka i zawijasy w narządy albo chłopięce, albo dziewczęce. Proszę spojrzeć na to kółeczko, na tę gonadę. Może przekształcić się zarówno w jajnik, jak i w jądro. A ten przewód Müllera może albo zaniknąć – skreślił go – albo rozwinąć się w macicę, jajowody i wnętrze pochwy. Przewód Wolffa może albo zaniknąć, albo rozwinąć się w pęcherzyk nasienny, najądrze i nasieniowód. Wszystko zależy od wpływu hormonów i enzymów – Luce podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Nie muszą się państwo przejmować tą terminologią. Najważniejsze jest, aby pamiętać, że każde dziecko posiada struktury Müllera, stanowiące potencjalne części dziewczęce, i struktury Wolffa, stanowiące potencjalne części chłopięce. Są to genitalia wewnętrzne. Podobnie wygląda sprawa w wypadku genitaliów zewnętrznych. Penis to po prostu bardzo duża łechtaczka. Rozwijają się z tego samego zalążka.

Doktor Luce ponownie przerwał. Splótł dłonie. Moi rodzice, pochyleni na swoich krzesłach, wyczekiwali ciągu dalszego.

– Jak już tłumaczyłem, przy określaniu tożsamości płciowej zawsze należy brać pod uwagę wiele czynników. W przypadku państwa córki – znowu wypowiedział to pewnym głosem – najważniejsze jest, że przez czternaście lat wychowywano ją jako dziewczynkę i sama uważa się za

kobietę. Jej zainteresowania, gesty, struktura psychoseksualna – wszystko jest kobiece. Czy na razie nadążają państwo za mną?

Milton i Tessie skinęli głowami.

– W związku z niedoborem 5-alfa-reduktazy ciało Callie nie wytwarza dihydrotestosteronu. A to oznacza, że w macicy rozwijała się zasadniczo w sposób żeński. Zwłaszcza w zakresie genitaliów zewnętrznych. To, w połączeniu z wychowywaniem jej jako dziewczynki, spowodowało, że myśli, zachowuje się i wygląda jak dziewczynka. Problem pojawił się, gdy weszła w okres dojrzewania płciowego. W tym okresie silny wpływ zaczął wywierać inny androgen – testosteron. Najkrócej można to powiedzieć w następujący sposób: Callie jest dziewczynką, która ma nieco zbyt dużo męskiego hormonu. I my chcemy to skorygować.

Ani Milton, ani Tessie nie odezwali się słowem. Nie nadążali za wszystkim, co mówił doktor, ale, jak to zazwyczaj robią ludzie podczas rozmowy z lekarzem, zwracali uwagę na jego sposób zachowania, starając się na tej podstawie wywnioskować, na ile sprawa była poważna. Luce wyglądał na pewnego siebie, pełnego optymizmu, więc w serca Tessie i Miltona wstąpiła nadzieja.

– To jest kwestia biologii. Tak przy okazji, to rzeczywiście jest bardzo rzadki przypadek. Z tego, co wiemy, takie mutacje pojawiają się jeszcze tylko w Republice Dominikany, Papui-Nowej Gwinei i w południowo-wschodniej Turcji. Niedaleko od miejsca, skąd pochodzą państwa rodzice. W odległości jakichś pięciuset kilometrów – Luce zdjął swoje srebrne okulary. – Czy słyszeliście państwo o kimś w rodzinie, kto miałby podobny wygląd genitaliów jak państwa córka?

– O niczym takim nie słyszeliśmy – powiedział Milton.

– Kiedy wyemigrowali państwa rodzice?

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim.

– Czy macie państwo jakiś krewnych w Turcji?

– Już nie.

Luce sprawiał wrażenie rozczarowanego. Trzymał w ustach nausznik okularów i żuł go. Być może wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby udało się odkryć całą nową populację nosicieli mutacji 5-alfa-reduktazy. Musiał jednak zadowolić się odkryciem tylko mojej osoby.

Ponownie włożył okulary.

– W przypadku państwa córki proponuję terapię składającą się z dwóch elementów. Po pierwsze, zastrzyki z hormonów. Po drugie, chirurgia plastyczna. Terapia hormonalna spowoduje rozwój piersi i żeńskich drugorzędowych cech płciowych. Dzięki chirurgii plastycznej Callie będzie wyglądać jak dziewczyna, czyli jej wygląd będzie stosowny do tego, jak ona sama się czuje. Jej wnętrze i zewnętrzność będą do siebie pasować. Będzie wyglądać jak normalna dziewczyna. Nie będzie można zauważyć żadnej różnicy. I Callie będzie mogła żyć i cieszyć się życiem.

Brwi Miltona nadal były zmarszczone w skupieniu, ale w jego oczach widać już było błyski światła, promienie ulgi. Odwrócił się w kierunku Tessie i poklepał ją po kolanie.

Ale Tessie zapytała niepewnym, łamiącym się głosem:

– Czy będzie mogła mieć dzieci?

Luce zawahał się tylko na moment.

– Obawiam się, że nie, pani Stephanides. Callie nigdy nie będzie miała okresu.

– Ależ ona już od kilku miesięcy ma okres! – zaprotestowała Tessie.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Być może wystąpiło krwawienie z jakiegoś innego źródła.

Oczy Tessie zaszły łzami. Odwróciła głowę.

– Właśnie dostałem kartkę od mojej dawnej pacjentki – kontynuował Luce pocieszającym tonem. – Była w podobnej sytuacji państwa córka. Wyszła za mąż i wspólnie z mężem zaadoptowali dwójkę dzieci, a teraz są bardzo szczęśliwi. Gra w Cleveland Orchestra, na fagocie.

Nastała cisza, którą przerwało dopiero pytanie Miltona:

– Czy to już będzie wszystko, panie doktorze? Wykona pan tylko ten jeden zabieg i będziemy mogli zabrać ją do domu?

– Być może w późniejszym terminie wystąpi potrzeba wykonania dodatkowego zabiegu. Ale w tej chwili na pana pytanie mogę odpowiedzieć twierdząco. Po tym zabiegu będzie mogła wrócić do domu.

– Jak długo będzie musiała zostać w szpitalu?

– Tylko jedną noc.

Decyzja nie była trudna, zwłaszcza po tym, jak ją przedstawił Luce. Jeden zabieg i kilka zastrzyków zakończą ten koszmar i przywrócą rodzicom ich córeczkę, ich Calliope, w nienaruszonym stanie. Ta sama myśl, która skłoniła moich dziadków do zrobienia czegoś

niewyobrażalnego, obecnie nachodziła Miltona i Tessie. Nikt się nie dowie. Nikt nigdy się nie dowie.

Podczas gdy moi rodzice przechodzili skrócony kurs gonadogenezy, ja – wciąż jeszcze Calliope – też nie traciłem czasu. W czytelni nowojorskiej biblioteki publicznej sprawdzałem coś w leksykonie. Doktor Luce miał rację, sądząc, że niewiele rozumiałem z jego rozmów z kolegami i studentami medycyny. Nie miałem pojęcia, co oznacza „5-alfa-reduktaza" czy „ginekomastia" albo „kanał pachwinowy". Ale Luce równocześnie nie doceniał moich zdolności. Nie wziął pod uwagę wymagającego programu w mojej szkole ani moich wyjątkowych talentów badawczych. Przede wszystkim nie znał zdolności moich nauczycielek łaciny, panny Barrie i panny Silber. Dlatego teraz, gdy moje trampki piszczały między stolikami w czytelni, a kilku mężczyzn z zainteresowaniem podnosiło wzrok znad książek, by po chwili z powrotem opuścić głowy (świat nie był już pełen oczu), w uszach brzmiał mi głos panny Barrie:

– Dzieci, proszę przetłumaczyć mi słowo *hypospadiasis*. Proszę skorzystać z greckich albo łacińskich rdzeni.

Mała dziewczynka w mojej głowie wierciła się w swojej ławce, wysoko wyciągając rękę.

– Calliope, proszę – wezwała mnie panna Barrie.

– *Hypo*. Pod lub poniżej. Jak „hipokryta".

– Doskonale. A *spadiasis*?

– Hm…

– Czy ktoś może przyjść z pomocą naszej biednej muzie?

Ale w usadowionej w moim mózgu klasie nikt tego nie potrafił. Dlatego też przyszedłem tu. Ponieważ wiedziałem, że mam coś poniżej lub pod spodem, ale nie wiedziałem, co to mogło być.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkiego leksykonu. Leksykon w nowojorskiej bibliotece publicznej miał się tak do innych znanych mi leksykonów, jak Empire State Building do innych budynków. Wyglądał na bardzo stary, średniowieczny, był oprawiony w brązową skórę, co przywodziło na myśl rękawicę sokolnika. Brzegi stron były złocone, jak w Biblii.

Przerzucając strony alfabetycznie, przez *cantabile* do *erynie*, przez *fandango* do *futuryzm*, przez *hipertonia* do *hypolimnion*, w końcu znalazłem:

hypospadiasis *[gr.], spodziectwo, med. – wada rozwojowa polegająca na umiejscowieniu ujścia cewki moczowej pod spodem prącia. Zob. też EUNUCH.*

Zrobiłem, jak mi polecono, i znalazłem:

eunuch *– 1. wykastrowany mężczyzna; zwłaszcza osoba strzegąca haremu lub pełniąca określone funkcje na dworach starożytnego Wschodu. 2. mężczyzna pozbawiony jąder. Zob. też HERMAFRODYTA.*

Podążając tym tropem, w końcu doszedłem do:

hermafrodyta *– 1. osobnik posiadający organy płciowe i wiele drugorzędowych cech płciowych zarówno męskich, jak i żeńskich. 2. o czymś składającym się z kombinacji różnych lub przeciwstawnych elementów. Zob. też POTWÓR.*

I w tym miejscu się zatrzymałem. Podniosłem głowę, aby sprawdzić, czy nikt mnie nie widzi. Obszerna czytelnia dudniła od cichej energii – ludzie myśleli, pisali. Malowany sufit wyginał się nad głowami jak żagiel, a na dole błyszczały zielone lampki na biurkach, oświetlając twarze pochylone nad książkami. Ja, w rozpiętej bladozielonej kurtce zwisającej z ramion, ślęczałem nad moją, włosy opadały mi na stronice, zasłaniając definicję mojej osoby. Tego dnia byłem umówiony na wizytę u doktora Luce'a i miałem świeżo umyte włosy oraz czyste majtki. Czułem ciśnienie w pęcherzu, więc skrzyżowałem nogi, aby nieco odwlec chwilę wyjścia do toalety. Paraliżował mnie strach. Pragnąłem, aby ktoś mnie objął i przytulił, ale to było niemożliwe. Położyłem dłoń na leksykonie i spojrzałem na nią. Smukła, w kształcie liścia, na palcu pierścionek z plecionego sznura, prezent od Przedmiotu. Sznurek już się ubrudził. Przez chwilę patrzyłem na moją piękną dłoń, a następnie schowałem ją i ponownie spojrzałem na to słowo.

Było tam napisane: potwór, czarno na białym, w zniszczonym leksykonie w wielkiej bibliotece miejskiej. Czcigodna stara księga, o kształcie i rozmiarze płyty nagrobnej, z pożółkłymi stronicami naznaczonymi śladami osób, które z niej korzystały przede mną. Widać

było ślady po ołówku, plamy z atramentu, zakrzepłej krwi, okruszki chleba, a sama okładka była przytwierdzona łańcuchem do pulpitu. Oto była księga zawierająca zebraną wiedzę przeszłości, a równocześnie dostarczająca informacji o współczesnych warunkach społecznych. Łańcuch mógł świadczyć o tym, że niektórzy użytkownicy biblioteki sami dbali o to, aby leksykon krążył wśród zainteresowanych. Leksykon obejmował wszystkie znane słowa, ale łańcuch znał ich tylko kilka. Znał słowo „złodziej" i słowo „kraść", może również „skradziony". Łańcuch opowiadał o „biedzie" i „nieufności", „nierówności" i „dekadencji". Teraz to Callie trzymała się tego łańcucha. Oplotła go sobie wokół dłoni i ciągnęła tak mocno, że aż palce jej pobielały, a ona nie mogła oderwać wzroku od tego słowa. Potwór. Bez zmian. Nie poruszyło się. I nie czytała go na ścianie w starej toalecie. W leksykonie było graffiti, ale synonim nie był jego częścią. Ten synonim brzmiał oficjalnie, autorytatywnie, to był werdykt wydany przez kulturę na taką osobę jak ona. Potwór. Tym właśnie byłem. Właśnie to mówił doktor Luce i jego koledzy. To naprawdę wiele tłumaczyło. Tłumaczyło płacz matki w pokoju obok. Tłumaczyło udawaną radość w głosie Miltona. Tłumaczyło, dlaczego rodzice przywieźli mnie do Nowego Jorku, aby lekarze mogli tu w tajemnicy pracować. To również tłumaczyło fotografie. Co robią ludzie, gdy spotykają Yeti czy potwora z Loch Ness? Starają się zrobić zdjęcie. Przez chwilę Callie czuła się właśnie w ten sposób. Jak ciężko człapiąca, kosmata istota zatrzymująca się na granicy lasu. Jak wygięty w łuk powój wystawiający smoczą głowę z lodowatego jeziora. Oczy zachodziły już łzami, literki rozmywały się jej przed oczami, odwróciła się i wybiegła z biblioteki.

Ale synonim ścigał ją dalej. Przez całą drogę, przez drzwi i w dół, po schodach, między dwoma lwami, leksykon wołał za nią: „Potwór, potwór!". Zwisające z tympanonu jasne flagi rozgłaszały to słowo na wszystkie strony. Definicja umieściła się na billboardach i reklamach na przejeżdżających autobusach. Na Piątej Alei zatrzymała się taksówka. Z auta wyskoczył jej ojciec, uśmiechając się do niej i machając ręką. Gdy Callie go zobaczyła, serce zabiło jej mocniej. Głos leksykonu ucichł w jej głowie. Jej ojciec nie uśmiechałby się w ten sposób, gdyby wiadomości od lekarza nie były dobre. Callie zaśmiała się i popędziła w dół schodami, o mało co się nie potykając. Przez te pięć czy osiem sekund, które zajęło jej dotarcie do ulicy, odżyła w niej nadzieja. Ale gdy tak zbliżała się do

Miltona, pojęła prawdę o raportach medycznych. Im bardziej ludzie się uśmiechają, tym wiadomości są gorsze. Milton uśmiechał się do niej szeroko, pocąc się w swoim garniturze w paski, a w słońcu jeszcze raz błysnęła spinka tragedii.

Wiedzieli. Jej rodzice wiedzieli, że była potworem. A jednak Milton tu stał i otwierał jej drzwi samochodu, a w środku była Tessie, uśmiechająca się do wsiadającej Callie. Taksówka zawiozła ich do restauracji i wkrótce cała trójka przeglądała menu i zamawiała jedzenie.

Milton poczekał, aż podano napoje. Następnie, nieco oficjalnie, zaczął:

– Wiesz, że dzisiaj rozmawialiśmy z lekarzem. Dobrą wiadomością jest to, że w tym tygodniu wracasz do domu. Nie stracisz wiele ze szkoły. A teraz przejdźmy do złych wiadomości. Jesteś gotowa, Cal?

Oczy Miltona mówiły, że te złe wiadomości wcale nie były takie złe.

– Złą wiadomością jest to, że będziesz musiała przejść niewielką operację. Bardzo małą. W zasadzie nie można tego nazwać operacją. Doktor nazwał to chyba „zabiegiem". Będą musieli cię poddać narkozie i będziesz musiała zostać w szpitalu na noc. I to wszystko. Będzie trochę bolało, ale mogą ci podać środki przeciwbólowe.

Milton, zmęczony, skończył. Tessie wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Callie.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedziała to drżącym głosem. Oczy miała wilgotne i zaczerwienione.

– Jaką operację? – Callie zapytała ojca.

– Tylko drobny zabieg kosmetyczny. Jak usunięcie pieprzyka.

Wyciągnął rękę i żartobliwie chwycił nos Callie w palce.

– Albo poprawienie twojego noska.

Callie ze złością cofnęła głowę.

– Przestań!

– Przepraszam – powiedział Milton. Odchrząknął i zamrugał, zmieszany.

– Co się ze mną dzieje? – zapytała Calliope, i nagle głos jej się załamał. Po policzkach spływały jej łzy. – Tato, co się ze mną dzieje?

Twarz Miltona spochmurniała. Ciężko oddychał. Callie czekała, aż wypowie to słowo, zacytuje leksykon, ale on tego nie zrobił, tylko ze spuszczoną głową popatrzył na nią przez stół, swoimi ciemnymi oczami,

pełnymi ciepła, smutku i miłości. W jego oczach było tak wiele miłości, że trudno było doszukiwać się w nich prawdy.

– To kwestia hormonów – powiedział. – Zawsze mi się wydawało, że mężczyźni mają męskie hormony, a kobiety żeńskie. Ale okazuje się, że wszyscy mają oba rodzaje.

Callie nadal czekała.

– W twoim przypadku jest tak, że masz nieco zbyt dużo hormonów męskich, a zbyt mało żeńskich. W związku z tym doktor chce dać ci kilka zastrzyków, aby wszystko doprowadzić do normy.

Nie powiedział tego słowa. Nie zmusiłem go do tego.

– To kwestia hormonów – powtórzył Milton. – W sumie nic takiego.

Luce uważał, że pacjent w moim wieku jest w stanie pojąć podstawowe kwestie. W związku z tym tego popołudnia mówił bez owijania w bawełnę. Patrząc mi prosto w oczy, swoim łagodnym, miłym, wyszkolonym głosem, Luce oświadczył, że byłem dziewczynką, która miała po prostu większą łechtaczkę niż inne dziewczynki. Narysował mi te same wykresy, które wcześniej przedstawiał moim rodzicom. Kiedy starałem się wyciągnąć od niego jakieś szczegóły dotyczące samej operacji, powiedział tylko:

– Chcemy przeprowadzić operację w celu dokończenia twoich genitaliów. Nie są do końca dopracowane i my chcemy się tym zająć.

Nic nie wspomniał o *hypospadiasis* i zacząłem mieć nadzieję, że to słowo mnie nie dotyczyło. Może wyjąłem je z kontekstu. Być może doktor Luce opowiadał o innym pacjencie. Zgodnie z leksykonem, hypospadiasis było anomalią prącia. Przecież doktor Luce mówił, że ja mam łechtaczkę. Zdawałem sobie sprawę z tego, że oba te organy wyrastały z tej samej gonady, ale to nie miało znaczenia. Jeśli miałem łechtaczkę – a przecież specjalista mówił mi, że tak jest – czym innym mogłem być, jak nie dziewczyną?

Młodzieńcze ego jest dosyć nieokreślone, amorficzne, jak obłok. Moją tożsamość można było z łatwością ukształtować na różne sposoby. W pewnym sensie mogłem przyjąć dowolną żądaną formę. Musiałem tylko znać wymiary, kształt. Luce je określił. Moi rodzice zgadzali się z jego zdaniem. Również dla mnie perspektywa rozwiązania wszystkich problemów była pociągająca i gdy leżałem na leżance, nie zastanawiałem się nad moimi uczuciami do Przedmiotu. Chciałem jedynie, aby to się już

skończyło. Chciałem wrócić do domu i zapomnieć, że to się kiedykolwiek wydarzyło. Słuchałem więc spokojnie Luce'a i nie protestowałem.

Wyjaśnił, że zastrzyki estrogenu pobudzą wzrost moich piersi.

– Nie będziesz wyglądać jak Raquel Welch, ale też nie jak Twiggy.

Znikną włosy na mojej twarzy. Głos zmieni się z tenoru na alt. Ale gdy zapytałem go, czy w końcu będę miał okres, doktor Luce odpowiedział szczerze.

– Nie. Nie będziesz miała menstruacji. Nigdy. Nie będziesz mogła urodzić dziecka, Callie. Jeśli będziesz chciała mieć rodzinę, będziesz musiała adoptować dziecko.

Tę wiadomość przyjąłem ze spokojem. W wieku czternastu lat kwestia rodzenia dzieci nie była dla mnie zbyt istotna.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi i do pokoju wsunęła się głowa recepcjonistki:

– Przepraszam, doktorze. Czy mogę panu na chwilę przeszkodzić?

– To zależy od Callie – uśmiechnął się do mnie. – Czy możemy zrobić krótką przerwę? Zaraz wrócę.

– Oczywiście.

– Poczekaj kilka minut, być może przyjdą ci do głowy jakieś pytania – wyszedł z gabinetu.

Po jego wyjściu nie zastanawiałem się nad innymi pytaniami. Siedziałem na krześle, nie myśląc o niczym. W głowie miałem dziwną pustkę. To była pustka posłuszeństwa. Z niezawodnym instynktem dziecka poddawałem się temu, czego chcieli ode mnie moi rodzice. Chcieli, abym się nie zmienił. A to właśnie obiecywał doktor Luce.

Z odrętwienia wyrwała mnie przepływająca po niebie chmura w kolorze łososiowym. Wstałem i podszedłem do okna, aby popatrzeć na rzekę. Przycisnąłem policzek do szyby, starając się sięgnąć wzrokiem jak najdalej na południe, gdzie wznosiły się drapacze chmur. Obiecałem sobie, że jak dorosnę, to zamieszkam w Nowym Jorku.

– To jest miasto dla mnie – powiedziałem do siebie. Znowu zacząłem płakać. Starałem się pohamować. Trąc oczy dłońmi, chodziłem po gabinecie i w końcu znalazłem się przed jedną z miniaturek z księżniczkami Mogołów. W małej ramce z hebanu widać było dwie kochające się drobne postaci. Mimo wysiłku, jaki towarzyszył ich działalności, na ich twarzach malował się spokój. Mimika nie świadczyła

o jakimkolwiek napięciu czy też ekstazie. Ale przecież twarze nie były punktem centralnym obrazka. Geometria ciał kochanków, wdzięczna kaligrafia ich rąk i nóg, kierowała wzrok obserwatora prosto do rzeczywistości ich genitaliów. Włosy łonowe kobiety wyglądały jak plama wiecznie zielonych roślin na białym śniegu, a męski członek – jak wyrastająca z niej sekwoja. Patrzyłem. Spojrzałem raz jeszcze, aby zobaczyć jak zbudowani byli inni ludzie. Patrząc, nie opowiadałem się za żadną ze stron. Rozumiałem zarówno potrzebę mężczyzny, jak i przyjemność kobiety. Mój umysł nie był już pusty. Zaczynał napełniać się mroczną wiedzą.

Odwróciłem się gwałtownie i spojrzałem na biurko doktora Luce'a. Leżała tam otwarta kartoteka. Zostawił ją, wychodząc w pośpiechu.

BADANIA WSTĘPNE:
OSOBNIK O GENOTYPIE XY (MĘSKIM)
WYCHOWYWANY JAKO OSOBNIK ŻEŃSKI

Opisany poniżej przypadek wskazuje na brak ustalonej z góry zależności między strukturą genetyczną a genitalną, jak również między stanem chromosomów a zachowaniem męskim lub żeńskim.

PRZEDMIOT BADANIA: Calliope Stephanides
BADAJĄCY: Dr nauk medycznych Peter Luce
DANE WSTĘPNE: Pacjentka w wieku czternastu lat. Od urodzenia żyła jako kobieta. W chwili narodzin penis był tak niewielki, że wyglądał jak łechtaczka. Kariotyp XY pacjentki został odkryty dopiero w okresie dojrzewania płciowego, gdy zaczęła nabierać cech męskich. Rodzice dziewczynki początkowo nie chcieli uwierzyć lekarzowi, który przekazał im informację o stanie pacjentki, i zanim skontaktowali się z Kliniką Zaburzeń Płci i Tożsamości Płciowej oraz kliniką New York Hospital, poprosili o kolejne dwie konsultacje.

Podczas palpacyjnych badań wykryto niezstąpione jądra. „Penis" wykazywał nieznaczne spodziectwo, z ujściem cewki moczowej na spodzie prącia. Pacjentka zawsze oddawała mocz na siedząco, tak jak inne dziewczynki. Badania krwi potwierdziły zespół chromosomów XY. Ponadto badania krwi ujawniły, że pacjentka cierpiała na zespół niedoboru 5-alfa-reduktazy. Nie wykonywano laparotomii rozpoznawczej.

Rodzinne zdjęcie (w załączeniu) przedstawia pacjentkę w wieku dwunastu lat. Wygląda na szczęśliwą, zdrową dziewczynkę, bez śladów podobieństwa do chłopca, mimo kariotypu XY.

PIERWSZE WRAŻENIE: Chociaż pacjentka czasami zachowuje poważny wyraz twarzy, ogólnie rzecz biorąc jej twarz jest przyjemna i otwarta, badana często się uśmiecha. Pacjentka często skromnie lub bojaźliwie opuszcza wzrok. Jej ruchy i gesty są wyraźnie kobiece, a nieco niezgrabny chód jest typowy dla dziewcząt z jej pokolenia. Jakkolwiek wzrost badanej może wzbudzać podejrzenia co do jej płci, dłuższe obserwacje prowadzą do wniosku, że rzeczywiście jest dziewczyną. Ma delikatny i lekko chropawy głos. Nachyla głowę, słuchając innych osób, i nie stara się narzucać innym swojego zdania w charakterystyczny dla mężczyzn, agresywny sposób. Często czyni dowcipne uwagi.

RODZINA: Rodzice dziewczynki to dosyć typowi mieszkańcy Środkowego Zachodu, pochodzący z pokolenia urodzonego przed II wojną światową. Ojciec określa się jako republikanin. Matka jest osobą miłą, inteligentną i troskliwą, być może o lekkich skłonnościach depresyjnych lub neurotycznych. Posłusznie akceptuje swoją rolę żony, w sposób charakterystyczny dla kobiet z jej pokolenia. Ojciec tylko dwukrotnie odwiedził klinikę, tłumacząc się obowiązkami w pracy, ale już z tych dwóch wizyt można wywnioskować, że jest to osoba apodyktyczna, człowiek zawdzięczający wszystko własnej pracy, były oficer marynarki wojennej. Ponadto pacjentka była wychowywana w wyznaniu greckiego kościoła prawosławnego, w którym bardzo wyraźnie określony jest podział ról ze względu na płeć. Rodzice wyglądają na dobrze zasymilowanych i z pozoru bardzo amerykańskich, ale nie należy zapominać o ich głębszej tożsamości etnicznej.

DOŚWIADCZENIA SEKSUALNE: Badana relacjonowała dziecięce zabawy seksualne z innymi dziećmi, w których zawsze przyjmowała rolę partnerki, zazwyczaj podciągając sukienkę i pozwalając chłopcu na symulowanie aktu płciowego. Doświadczała przyjemnych wrażeń seksualnych, ustawiając się przy biczach wodnych w basenie sąsiadów. Od wczesnego wieku często się masturbowała.

Pacjentka nie miała stałego chłopaka, ale może to wynikać z uczęszczania do szkoły dla dziewcząt lub z tego, że wstydziła się własnego ciała. Pacjentka zdaje sobie sprawę z nietypowego wyglądu swoich genitaliów i za wszelką cenę

starała się nie pokazywać nago w szatni i innych publicznych przebieralniach. Opowiadała jednak o stosunku seksualnym, aczkolwiek tylko o jednym, który odbyła z bratem swojej przyjaciółki. Zgodnie z relacją, było to bolesne doświadczenie, ale z punktu widzenia nastoletnich romantycznych poszukiwań zakończone sukcesem.

WYWIAD: Badana wypowiadała się krótkimi zdaniami, wyraźnie i przejrzyście, chociaż czasami można było zauważyć, że brakuje jej tchu, co jednak wynikało ze zdenerwowania. Charakterystyczne cechy artykulacji i oscylacji tonu podczas wypowiadania się, a także bezpośredni kontakt wzrokowy świadczyły o żeńskiej tożsamości płciowej. Zainteresowania seksualne wykazywała wyłącznie w stosunku do mężczyzn.

WNIOSKI: W sposobie mówienia, zachowaniu i wyborze stroju pacjentka wykazuje żeńską tożsamość i rolę płciową, mimo odmiennego zespołu chromosomów.

Wyraźnie można zaobserwować, że w określaniu tożsamości płciowej ważniejszą rolę odgrywa płeć, w której osobnik jest wychowywany, niż czynniki genetyczne.

Ponieważ tożsamość płciowa dziewczynki została silnie ugruntowana jako żeńska, wydaje się słuszne zastosowanie zabiegu feminizującego wraz ze wspomagającą terapią hormonalną. Pozostawienie genitaliów w stanie obecnym mogłoby narazić ją na różnego rodzaju upokorzenia. Choć jest możliwe, że zabieg spowoduje częściową lub całkowitą utratę zdolności do odbierania wrażeń seksualnych, należy jednak pamiętać, że przyjemności seksualne są tylko jednym z wielu czynników warunkujących szczęśliwe życie. Równie ważna jest możliwość zawarcia związku małżeńskiego oraz funkcjonowanie jako normalna kobieta w społeczeństwie, a żadnego z tych celów nie da się osiągnąć bez odpowiedniego zabiegu feminizującego i terapii hormonalnej. Ponadto istnieje nadzieja, że nowe techniki operacyjne zminimalizują ewentualne dysfunkcje seksualne, jakie były wynikiem zabiegów przeprowadzanych w przeszłości, gdy chirurgia feminizująca była jeszcze na etapie początkowym.

Tego wieczoru, gdy powróciliśmy z matką do hotelu, Milton miał dla nas niespodziankę. Bilety na musical na Broadwayu. Udałem podniecenie, ale później, po kolacji, wgramoliłem się do łóżka rodziców, mówiąc, że jestem zbyt zmęczona, aby iść.

– Zbyt zmęczona? – zapytał Milton. – Co to oznacza, że jesteś zbyt zmęczona?

– W porządku, kochanie – powiedziała Tessie. – Przecież nie musisz iść.

– Cal, to podobno jest bardzo dobre przedstawienie.

– Czy gra w nim Ethel Merman? – zapytałem.

– Nie, moja ty mądralo – odparł Milton z uśmiechem. – Ethel Merman w tym nie gra. Nie ma jej teraz na Broadwayu. Zobaczymy coś z Carol Channing. Ona też jest niezła. Może byś jednak poszła?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem.

– Dobra. Twoja strata.

Zaczęli się zbierać do wyjścia.

– Pa, kochanie – powiedziała moja matka.

Nagle wyskoczyłem z łóżka, podbiegłem do Tessie i mocno ją objąłem.

– A cóż to takiego? – zapytała.

Miałem oczy pełne łez. Tessie sądziła, że to łzy ulgi po tym wszystkim, co przeszliśmy. W krzywym, ciemnym i wąskim przedpokoju, wykrojonym z dawnego apartamentu, staliśmy we dwójkę, obejmując się i płacząc.

Gdy już wyszli, wyjąłem z szafy swoją walizkę. Jednak gdy spojrzałem na turkusowe kwiaty, zamieniłem ją na szarą walizkę ojca, marki Samsonite. Spódniczki i sweter z Fair Isle zostawiłem w szufladach komody. Spakowałem tylko ciemną garderobę, niebieski sweter pod szyję, koszulki z aligatorem i sztruksy. Porzuciłem również stanik. Na razie nie rezygnowałem z moich majtek i skarpetek, wrzuciłem do walizki również kosmetyczkę. Po spakowaniu się przejrzałem rozkładaną torbę Miltona, poszukując pieniędzy. Okazało się, że plik banknotów był dosyć gruby i zawierał prawie trzysta dolarów.

Winien był nie tylko doktor Luce. Okłamałem go w wielu sprawach. Jego diagnoza była oparta na fałszywych danych. On również był fałszywy.

Na kartce papieru zostawiłem kilka słów do rodziców:

Droga Mamo i drogi Tato,

wiem, że chcecie dla mnie jak najlepiej, ale chyba nikt nie wie, co dla mnie jest najlepsze. Kocham Was i nie chcę wam stwarzać problemów, więc muszę odejść. Wiem, że powiecie, że nie stwarzam problemów, ale wiem też, że tak właśnie jest. Jeśli chcecie się dowiedzieć, dlaczego to robię, zapytajcie doktora Luce'a, który jest wielkim kłamcą! Nie jestem dziewczyną. Jestem chłopcem.

Wiem o tym od dzisiaj. Dlatego też wyjeżdżam tam, gdzie nikt mnie nie zna. Jak tylko dowiedzą się na Grosse Pointe, zaraz zaczną o tym mówić.

Tato, przepraszam, że biorę wszystkie pieniądze, ale obiecuję ci je zwrócić z odsetkami.

Proszę, nie martwcie się o mnie, wszystko będzie w porządku!

Mimo treści tego listu podpis brzmiał: *Callie*.
Wtedy po raz ostatni byłem ich córką.

Na Zachód, miły bracie

Ponownie, tym razem w Berlinie, członek rodziny Stephanides mieszka wśród Turków. Bardzo dobrze czuję się tu, w Schönebergu. Tureckie sklepy na Hauptstrasse przypominają te, do których prowadził mnie mój ojciec. Podobne jedzenie, suszone figi, chałwa, faszerowane liście winogron. Również twarze są takie same – poorane, ciemnookie, grubokościste. Mimo rodzinnych doświadczeń Turcja mnie pociąga. Chciałbym pracować w ambasadzie w Stambule. Złożyłem prośbę o przeniesienie do tego kraju. Dzięki temu mógłbym zatoczyć pełne koło.

Ale na razie siedzę tutaj i odgrywam swoją rolę. Oglądam piekarza piekącego chleb w tureckiej restauracji na parterze. Piecze chleb w kamiennym piecu, takim, jakiego używano w Smyrnie. Łopatką z długim trzonkiem podnosi i wyciąga upieczone bochenki. Pracuje przez cały dzień, po czternaście, szesnaście godzin, z niesłabnącą koncentracją, a jego sandały zostawiają odciski w zalegającej na podłodze warstwie mąki. Artysta w sztuce wypiekania chleba. Stephanides, Amerykanin, wnuk Greków, podziwia tego tureckiego imigranta w Niemczech, tego gastarbeitera, piekącego chleb na Hauptstrasse w 2001 roku. Wszyscy składamy się z wielu części, z tych drugich połówek. Nie tylko ja.

Dzwonek na drzwiach zakładu fryzjerskiego „U Eda", mieszczącego się na dworcu autobusowym Scranton, zadzwonił radośnie. Ed opuścił czytaną właśnie gazetę, aby przywitać nowego klienta.

Nastąpiła chwila ciszy, po której Ed zapytał:

– Co się stało? Przegrałeś zakład?

W drzwiach stał, chociaż wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał uciec, nastolatek – wysoki, żylasty, najdziwniejszy mieszaniec, jakiego kiedykolwiek zdarzyło się Edowi zobaczyć. Włosy opadały mu na ramiona jak hipisowi, ale ubrany był w czarny garnitur. Zbyt obszerna marynarka

i za krótkie spodnie, które wisiały wysoko nad ciężkimi, jasnobrązowymi półbutami z kwadratowym noskiem. Nawet stojąc po drugiej stronie zakładu, Ed mógł wyczuć zapach stęchlizny charakterystyczny dla sklepów z używaną odzieżą. Ale walizka tego dzieciaka była wielka i szara jak u biznesmena.

– Po prostu mam już dość tego stylu – odpowiedział dzieciak.

– Ja też – powiedział fryzjer Ed.

Skierował mnie na fotel. Ja – na szybko przechrzczony Cal Stephanides, nastoletni uciekinier – postawiłem walizkę na ziemi i powiesiłem marynarkę na wieszaku. Przeszedłem przez pomieszczenie, starając się iść jak chłopak. Jak pacjent po udarze mózgu, musiałem się od nowa nauczyć wszystkich prostych funkcji ruchowych. Jeśli chodzi o samo chodzenie, nie było to zbyt trudne. Dawno już minęły czasy, gdy uczennice w Baker & Inglis musiały nosić na głowach książki. Brzydki sposób poruszania, który zaobserwował doktor Luce, predestynował mnie do przynależności do brzydkiej płci. Miałem męski szkielet, z wyżej umieszczonym środkiem ciężkości. Taka konstrukcja sprzyjała drobnym, gwałtownym ruchom do przodu. Problemy sprawiały mi kolana. Miałem skłonność do chodzenia z kolanami do środka, jakbym miał iksowate nogi, a to powodowało, że kołysałem biodrami, a mój tyłek lekko się trząsł. Musiałem się starać, aby zachować miednicę w nieruchomej pozycji. Jeśli chcesz chodzić jak chłopak, musisz kołysać ramionami, a nie biodrami. Natomiast stopy powinny być bardziej rozsunięte. Tego wszystkiego nauczyłem się przez półtora dnia w drodze.

Usiadłem w fotelu, zadowolony, że nie muszę już chodzić. Fryzjer Ed zawiązał mi na szyi papierowy karczek. Później założył mi fartuch. Przez cały czas starał się wyrobić sobie zdanie o mnie, jednocześnie kręcąc głową.

– Nigdy nie mogłem pojąć, o co wam chodzi z tymi długimi włosami. Przez te włosy prawie poszedłem z torbami. Tutaj przychodzą tylko emeryci. Faceci, którzy przychodzą do mnie się ostrzyc, wcale nie mają włosów – zachichotał. – Ostatnio modniejsze stały się trochę krótsze fryzury. Już myślałem, że może uda mi się zarobić na życie. Ale nie. Teraz wszyscy chcą być uniseks. Przede wszystkim interesuje ich mycie głowy i układanie włosów – pochylił się nade mną, patrząc podejrzliwie. – Ty chyba nie chcesz mycia głowy?

– Ja chcę tylko obciąć włosy.

Skinął głową z zadowoleniem.

– Jak tniemy?

– Krótko – zaryzykowałem.

– Krótko-krótko? – zapytał.

– Krótko – odpowiedziałem – ale nie za krótko.

– Dobra. Krótko, ale nie za krótko. Bardzo dobry pomysł. Zobaczmy, jak żyją inni.

Zamarłem, sądząc, że to coś miało znaczyć. Ale on tylko żartował.

Sam fryzjer Ed miał bardzo schludnie utrzymaną głowę. Wszystkie włosy były gładko przylizane do tyłu. Miał prostacką, z gruba ciosaną twarz. Rozdymał swoje ciemne nozdrza, gdy krzątał się wokół mnie, podnosząc fotel i ostrząc brzytwę.

– A ojciec pozwala ci na takie włosy?

– Dotychczas pozwalał.

– Aha, to ojciec w końcu postanowił doprowadzić cię do porządku. Posłuchaj mnie, nie pożałujesz tego. Kobiety nie lubią facetów, którzy wyglądają jak panienki. Nie wierz w to, co mówią, że potrzebują wrażliwego faceta. Gówno prawda!

Przekleństwa, brzytwy, pędzle do golenia, tak wyglądało moje powitanie w świecie mężczyzn. W zakładzie był włączony telewizor i właśnie trwała transmisja meczu futbolowego. Na kalendarzu widniała butelka wódki i piękna dziewczyna w futrzanym bikini. Postawiłem nogi na płycie podnóżka, a fryzjer odwracał mnie tam i z powrotem przed migoczącymi lustrami.

– Kurczę, kiedy ostatnio strzygłeś włosy?

– Pamięta pan lądowanie na Księżycu?

– Tak. To się mniej więcej zgadza.

Odwrócił mnie przodem do lustra. A tam ujrzałem ją po raz ostatni, była tam w posrebrzanym szkle: Calliope. Jeszcze nie znikła. Jak uchwycony w zwierciadle duch wyglądający na zewnątrz.

Fryzjer Ed włożył grzebień w moje długie włosy. Podniósł je na próbę do góry, równocześnie ciachając nożyczkami w powietrzu. Ostrza nie dotykały moich włosów. Ciachanie było tylko swoistym rodzajem mentalnego fryzjerstwa, rozgrzewki. To dało mi chwilkę na zastanowienie. Co ja robiłem? A co będzie, jeśli doktor Luce miał rację? A co, jeśli ta

dziewczyna w lustrze, to rzeczywiście ja? Na jakiej podstawie sądziłem, że tak łatwo mogę przejść na drugą stronę? Cóż wiedziałem o chłopcach, o mężczyznach? Nawet ich specjalnie nie lubiłem.

– To tak jak ścinanie drzewa – wyraził swoje zdanie Ed. – Najpierw trzeba odciąć gałęzie, a dopiero potem można ścinać pień.

Zamknąłem oczy. Nie chciałem już patrzeć w oczy Calliope. Mocno chwyciłem oparcie fotela i czekałem, aż fryzjer zrobi swoje. Ale w następnej sekundzie szczęknęły nożyczki odkładane na półkę. Usłyszałem warkot maszynki elektrycznej. Brzęczała wokół mojej głowy jak rój pszczół. Fryzjer Ed ponownie podniósł moje włosy na grzebieniu i usłyszałem, jak ten brzęczyk nurkuje w mojej głowie.

– No to jazda – powiedział Ed.

Wciąż miałem zamknięte oczy. Ale wiedziałem, że już nie ma odwrotu. Maszynka buszowała w gąszczu na mojej głowie. Mocno trzymałem się fotela. Włosy spadały całymi pasmami.

– Powinienem ci dodatkowo policzyć – powiedział Ed.

Teraz już otworzyłem oczy, przerażony ewentualnymi kosztami.

– Ile to kosztuje?

– Nie martw się. Cena jest ta sama. Potraktuję to jako mój patriotyczny czyn. Mój wkład w bezpieczeństwo demokracji na świecie.

Moi dziadkowie opuścili swój dom z powodu wojny. Obecnie, jakieś pięćdziesiąt dwa lata później, to ja uciekałem. Czułem, że ja też, podobnie jak oni, ratuję się ostatecznie. Uciekałem z niewielką sumą pieniędzy i pod przebraniem mojej nowej płci. To nie statek przenosił mnie przez ocean, zamiast tego przez kontynent przewoziło mnie wiele samochodów. Podobnie jak Lefty i Desdemona, ja też stawałem się nowym człowiekiem i też nie wiedziałem, co mnie czeka w tym nowym świecie, do którego wkraczałem.

Ponadto byłem przerażony. Nigdy jeszcze nie byłem sam poza domem. Nie miałem pojęcia, jak w ogóle funkcjonuje świat i ile kosztują różne rzeczy. Z hotelu Lochmoor na dworzec autobusowy pojechałem taksówką, bo nie znałem drogi. Na dworcu Port Authority kręciłem się między sklepami z krawatami i budkami z jedzeniem, szukając kas biletowych. Kiedy już je znalazłem, kupiłem bilet na nocny autobus do Chicago, płacąc za przejazd do Scranton w Pensylwanii, ponieważ sądziłem, że na tyle mnie stać. Okupujący ławki włóczędzy i narkomani taksowali mnie

wzrokiem, czasami gwiżdżąc i cmokając. Oni również mnie przerażali. Byłem już bliski porzucenia myśli o ucieczce. Jeśli bym się pospieszył, mógłbym wrócić do hotelu jeszcze zanim Milton i Tessie wrócą ze spektaklu z Carol Channing. Siedziałem w poczekalni i rozważałem to rozwiązanie, trzymając walizkę między kolanami, jakby w każdej chwili ktoś mógł mi ją wyrwać. Wyobrażałem sobie sytuacje, w których deklarowałem zamiar życia jako chłopiec, i moich rodziców, jak początkowo protestują, ale później poddają się i akceptują mnie. Obok przeszedł policjant. Kiedy sobie poszedł, przesiadłem się w pobliże kobiety w średnim wieku, mając nadzieję, że będę brany za jej córkę. Przez głośniki podano, że podjechał mój autobus. Spojrzałem po innych pasażerach, biedocie podróżującej nocą. Wśród nich był podstarzały kowboj z workiem marynarskim i z pamiątkową statuetką Louisa Armstronga w dłoni, dwóch księży katolickich ze Sri Lanki, przynajmniej trzy matki z nadwagą, ciągnące swoje dzieci i obładowane pościelą, oraz niewysoki mężczyzna, jak się później okazało – dżokej, ze zmarszczkami i brunatnymi od papierosów zębami. Ustawili się w kolejce do autobusu, a tymczasem wyobrażenia w mojej głowie zaczęły żyć własnym życiem, przestały je interesować moje reżyserskie uwagi. Milton kręcił głową, nie wyrażając zgody, doktor Luce już wkładał maskę chirurgiczną, a moje koleżanki ze szkoły na Grosse Pointe, z twarzami rozpłomienionymi nikczemną radością, wytykały mnie palcami i śmiały się.

Struchlały ze strachu, oszołomiony i roztrzęsiony, wsiadłem do ciemnego autobusu. Dla bezpieczeństwa usiadłem obok kobiety w średnim wieku. Inni pasażerowie, przyzwyczajeni do podróżowania nocą, od razu wyjęli termosy i zaczęli odwijać kanapki. Z tylnych miejsc zaczął napływać zapach smażonego kurczaka. Nagle poczułem ogromny głód. Chciałem być z powrotem w hotelu i zamawiać kolację do pokoju. Będę musiał szybko postarać się o nowe ubranie. Muszę wyglądać na starszego, nie wyglądać na łatwy łup. Muszę zacząć ubierać się jak chłopiec. Autobus ruszył z Port Authority, a ja, przerażony tym, co robiłem, ale równocześnie nie będąc w stanie się zatrzymać, obserwowałem, jak wyjeżdżamy z miasta przez długi, żółto oświetlony, wirujący w mojej głowie tunel prowadzący do New Jersey. Droga prowadziła pod ziemię, przez skałę, pod dnem brudnej rzeki i pod rybami pływającymi w czarnej wodzie po drugiej stronie zakrzywionych kafelków.

W punkcie Armii Zbawienia w Scranton, niedaleko dworca autobusowego, poszedłem na poszukiwanie ubrania. Udawałem, że chcę zrobić zakupy dla mojego brata, chociaż nikt o nic mnie nie pytał. Zupełnie nie mogłem się połapać w męskich rozmiarach. Dyskretnie przykładałem do siebie marynarki, aby sprawdzić, co może pasować. W końcu znalazłem garnitur mniej więcej na mnie. Wyglądał na solidny i odporny na różne warunki atmosferyczne. Na naszywce wewnątrz było napisane „Durenmatt's Men's Clothiers, Pittsburgh". Zdjąłem moją kurtkę z Papagallo. Rozglądając się wkoło, czy nikt na mnie nie patrzy, przymierzyłem marynarkę. Poczułem się dziwnie. Nie czułem się jak chłopak, który zakłada marynarkę ojca i od razu czuje się jak mężczyzna. Raczej jak dziewczyna, której jest zimno i na randce chłopak daje jej swoją kurtkę. Gdy marynarka znalazła się już na moich ramionach, poczułem, że jest wielka, ciepła, poprawia mi samopoczucie, ale równocześnie jest jakaś obca. (I z kim to niby miałem randkę? Z kapitanem drużyny futbolowej? Nie. Moim facetem był weteran II wojny światowej, zmarły na chorobę serca. Moim chłopakiem był członek bractwa Elks, który przeniósł się do Teksasu).

Garnitur stanowił tylko część mojej nowej tożsamości. Najważniejsza była fryzura. W zakładzie fryzjerskim Ed właśnie zamiatał mnie miotełką. Jej włoski wzbijały w powietrze obłoczki pudru, więc zamknąłem oczy. Poczułem, że fryzjer znowu zakręcił moim fotelem i usłyszałem:

– Dobra, skończone.

Otworzyłem oczy. W lustrze nie zobaczyłem siebie. Znikła Mona Lisa z tajemniczym uśmiechem. Znikła skromna dziewczyna z poplątanymi, czarnymi włosami na twarzy, a w jej miejsce pojawił się jej brat bliźniak. Po usunięciu zasłony włosów jeszcze bardziej uwydatniły się ostatnie zmiany w mojej twarzy. Bardziej wyrazisty i szerszy podbródek, grubsza szyja z wyraźną grdyką na środku. Bez wątpienia męska twarz, ale wewnątrz tego chłopca nadal drzemały dziewczęce uczucia. Obcinanie włosów jest typowo kobiecą reakcją po zerwaniu związku. Jest to jakiś sposób na rozpoczęcie wszystkiego od nowa, na wyrzeczenie się próżności, zemsta na miłości. Wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę Przedmiotu. I choć miałem większe problemy, większe zmartwienia, jednak kiedy po raz pierwszy zobaczyłem swoją męską twarz w lustrze, poczułem ból w sercu, ból zawodu miłosnego. Pomyślałem – to już skończone. Przez ścięcie

włosów karałem się za obdarzanie kogoś tak wielką miłością. Starałem się być silniejszy.

Z zakładu fryzjerskiego „U Eda" wyszedłem już jako nowa istota. Przechodzący przez dworzec autobusowy ludzie prawie w ogóle mnie nie zauważali, a jeśli już, to brali mnie za ucznia z pobliskiej szkoły z internatem. Dzieciak ze szkoły z internatem, trochę pozujący na artystę, ubrany w garnitur po ojcu i bez wątpienia czytający Camusa czy Kerouaca. Garnitur Durenmatt trącił nieco bitnikami. Spodnie błyszczały jak skóra rekina. Ponieważ byłem tak wysoki, mogłem udawać starszego, siedemnastolatka, a może nawet osiemnastolatka. Pod marynarką miałem sweter, a pod nim koszulkę z aligatorem, dwie warstwy zabezpieczające ojcowskie pieniądze znajdujące się przy samej skórze, a na nogach parę złotych welurów. Jeśli ktoś zwróciłby na mnie uwagę, mógł pomyśleć, że się wystroiłem, jak to nastolatki mają w zwyczaju.

Jednak pod tymi ubraniami moje serce nadal biło jak oszalałe. Zupełnie nie wiedziałem, co mam robić dalej. Nagle musiałem zacząć zwracać uwagę na rzeczy, których istnienia jeszcze niedawno zupełnie nie zauważałem. Na rozkład jazdy i ceny biletów autobusowych, na oszczędzanie pieniędzy, na kłopotanie się o pieniądze, na przeglądanie menu w celu wyszukania najtańszych dań, jakie mogą napełnić mój żołądek, a tego dnia w Scranton taką potrawą okazało się chilli con carne. Zjadłem miseczkę chilli z dodatkiem kilku paczuszek krakersów i sprawdziłem trasy autobusów. Ponieważ była jesień, najlepiej było jechać na południe lub na zachód, a że nie chciałem jechać na południe, postanowiłem skierować się na zachód. Do Kalifornii. Czemu nie? Sprawdziłem, ile kosztuje bilet. Tak jak się spodziewałem, był za drogi.

Przez cały ranek popadywało, lecz teraz chmury się rozstąpiły. Po drugiej stronie nędznej jadłodajni, za upaćkanymi deszczem oknami i za drogą dojazdową, która ograniczała pas nachylonego, zaśmieconego trawnika, biegła droga międzystanowa. Patrzyłem na pędzące samochody, już nieco mniej głodny, ale nadal samotny i przerażony. W pewnym momencie podeszła do mnie kelnerka i zapytała, czy chcę kawę. Nigdy jeszcze nie piłem kawy, jednak powiedziałem „tak". Kelnerka podała mi filiżankę kawy, a ja wsypałem do niej dwie torebki śmietanki i cztery cukru. Gdy miała już smak zbliżony do lodów kawowych, wypiłem ją.

Co jakiś czas z terminalu odjeżdżały autobusy, pozostawiając po sobie smugi spalin. Po autostradzie mknęły samochody. Pomyślałem o tym, że dobrze byłoby wziąć prysznic. Pomyślałem, jak dobrze byłoby wyciągnąć się w czystej pościeli i zasnąć. Za 9 dolarów i 95 centów mogłem wynająć pokój w motelu, ale chciałem najpierw znaleźć się dalej od Nowego Jorku. Przez długi czas siedziałem w boksie w restauracji. Nie byłem w stanie obmyślić następnego kroku. W końcu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zapłaciłem rachunek i wyszedłem z dworca autobusowego. Przeszedłem przez drogę dojazdową i powoli zszedłem po zboczu. Postawiłem walizkę na poboczu, odwróciłem się w kierunku nadjeżdżających samochodów i nieśmiało podniosłem kciuk.

Rodzice zawsze ostrzegali mnie przed jazdą autostopem. Czasami Milton pokazywał nam w gazetach historie, w których dokładnie opisywano makabryczny koniec, jaki spotykał studentki, które popełniły ten błąd. Nie trzymałem kciuka zbyt wysoko w powietrzu. Niezbyt byłem przekonany do tego pomysłu. Samochody mijały mnie, jadąc z dużą prędkością. Żaden się nie zatrzymał. Mój oporny kciuk zaczął drżeć.

Nie doceniłem doktora Luce'a. Sądziłem, że po rozmowie ze mną uzna mnie za zdrowego i zostawi mnie w spokoju. Ale powoli zaczynałem pojmować kwestię normalności. Normalność nie była normalna. Nie mogła być. Gdyby normalność była normalna, nikt by się nią nie przejmował. Można by usiąść wygodnie i pozwolić jej się objawić. Ale ludzie – a zwłaszcza lekarze – mieli wątpliwości co do normalności. Nie byli pewni, czy dobrze się spisuje. I dlatego czuli, że powinni ją pobudzić.

Nie obwiniałem moich rodziców. Starali się tylko uchronić mnie przed upokorzeniem, brakiem miłości, a nawet śmiercią. Dowiedziałem się później, że doktor Luce podkreślał zagrożenie, jakie może spowodować pozostawienie mojego stanu bez zmian. „Tkanka gonadalna", jak się wyrażał o moich niezstąpionych jądrach, w późniejszym wieku bardzo często staje się rakotwórcza. (Mam już czterdzieści jeden lat i, jak na razie, nic się nie wydarzyło).

Zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka z naczepą, wypuszczając kłęby czarnego dymu z pionowej rury wydechowej. Za szybą czerwonej kabiny widać było głowę kierowcy, podskakującą jak lalka na sprężynie. Zwrócił twarz w moim kierunku i nacisnął na hamulce w chwili gdy ogromny wóz

z rykiem przejeżdżał obok mnie. Z tylnych kół poszedł lekki dym, zapiszczało i samochód czekał na mnie dwadzieścia metrów dalej.

Podniosłem walizkę i w dzikim podnieceniu pobiegłem do ciężarówki. Ale kiedy do niej dobiegłem, zawahałem się. Drzwi były strasznie wysoko. Ogromny pojazd cały się trząsł i dudnił. Z mojego miejsca nie widziałem kierowcy i stałem jak sparaliżowany, nie mogąc podjąć decyzji. Nagle przestraszyłem się, bo w oknie pojawiła się twarz kierowcy. Otworzył drzwi.

– Wsiadasz czy nie?

– Wsiadam – odpowiedziałem.

Kabina nie grzeszyła czystością. Kierowca był w trasie już od dłuższego czasu i wszędzie leżały porozrzucane pojemniki po jedzeniu i puste butelki.

– Masz pilnować, żebym nie zasnął – polecił mi kierowca.

Gdy nie zareagowałem od razu, zmierzył mnie wzrokiem. Miał czerwone oczy. Równie czerwone były wąsy i długie bokobrody tego Fu Manchu.

– Wystarczy, jak będziesz cały czas gadać – dodał.

– O czym chce pan rozmawiać?

– A skąd, kurde, mam wiedzieć! – wykrzyknął ze złością. Ale zaraz potem powiedział: – O Indianach. Wiesz coś o Indianach?

– O Indianach w Ameryce?

– Tak. Często zabieram czerwonoskórych, gdy jadę na zachód. To najbardziej zwariowane świry, jakich znam. Mają swoje odjechane teorie i opowiadają różne brednie.

– Na przykład?

– Na przykład niektórzy mówią, że wcale nie przedostali się do Ameryki przez pomost lądowy Beringa. Wiesz, co to pomost lądowy Beringa? To na Alasce. Obecnie to się nazywa Cieśnina Beringa. Tam jest woda. Cienki pasek wody między Alaską a Rosją. Jednak dawno temu tam była ziemia i stamtąd przybyli Indianie. Gdzieś tam z Chin czy z Mongolii. Indianie to tak naprawdę Azjaci.

– Nie wiedziałem o tym – powiedziałem. Już mniej się bałem niż przedtem. Najwyraźniej kierowca niczego nie podejrzewał.

– Ale niektórzy z nich mówią, że ich ludzie nie przybyli przez pomost lądowy. Mówią, że przybyli z jakiejś zagubionej wyspy, jak Atlantyda.

– Nie oni jedni.

– A wiesz, co jeszcze mówią?

– Co?

– Mówią, że to Indianie napisali Konstytucję. Amerykańską Konstytucję!

Jak się okazało, to on gadał przez większość czasu. Ja się niewiele odzywałem. Ale moja obecność wystarczała, aby nie zasnął. Opowieść o Indianach przypomniała mu o meteorach, opowiedział mi o meteorze w Montanie, uważanym przez Indian za świętość, a zaraz potem rozgadał się na temat różnych zjawisk na niebie, jakie kierowca ciężarówki może zobaczyć w trasie, o meteorytach, kometach i zielonych promieniach słońca.

– Widziałeś kiedyś zielony promień? – zapytał mnie.

– Nie.

– Mówią, że nie można sfotografować zielonego promienia, ale mnie się udało. Zawsze mam w kabinie aparat, na wypadek gdybym spotkał coś tak fantastycznego. I raz zobaczyłem taki zielony promień, więc chwyciłem aparat i zrobiłem zdjęcie. Mam je w domu.

– Co to jest zielony promień?

– To barwa, jaką wywołuje na niebie słońce, gdy wschodzi lub gdy zachodzi. Przez dwie sekundy. Najlepiej widać to w górach.

Zabrał mnie aż do Ohio i wysadził przed motelem. Podziękowałem mu za podwiezienie i wtaszczyłem moją walizkę do recepcji. Tu też przydał się garnitur. A także kosztowna walizka. Nie wyglądałem jak uciekinier. Recepcjonista mógł ewentualnie mieć wątpliwości co do mojego wieku, ale gdy położyłem pieniądze na ladzie, zaraz pojawiły się klucze do pokoju.

Po Ohio była Indiana, potem Illinois, Iowa i Nebraska. Podróżowałem samochodami kombi, sportowymi wozami, ciężarówkami. Nigdy nie zabierały mnie samotne kobiety, zawsze mężczyźni albo mężczyźni podróżujący z kobietami. Raz wzięła mnie para holenderskich turystów, którzy narzekali na lodowatość amerykańskiego piwa, czasami podróżowałem z parami, które bez przerwy kłóciły się z sobą. W każdym wypadku ludzie brali mnie za nastoletniego chłopaka, którym z minuty na minutę coraz bardziej się stawałem. Nie było w pobliżu Sophie Sassoon, aby wydepilować moje wąsy, więc coraz wyraźniej zaczęły się rysować jako plama nad górną wargą. Mój głos stawał się coraz niższy. Każdy kolejny

wstrząs na nierównościach drogi powodował, że jabłko Adama obsuwało się w dół mojej szyi.

Gdy mnie pytano, odpowiadałem, że jadę do Kalifornii, na pierwszy rok studiów. Niewiele wiedziałem o świecie, ale wiedziałem co nieco o college'ach, a przynajmniej o zadaniach domowych, więc opowiadałem, że jadę do Stanford, gdzie mam zamieszkać w akademiku. Szczerze mówiąc, kierowcy nie byli zbyt podejrzliwi. Niewiele ich to obchodziło. Mieli własne problemy. Byli zmęczeni albo samotni i tylko chcieli z kimś pogadać.

Jak każdy neofita, na początku przesadzałem. Gdzieś w pobliżu Gary, w Indianie, zacząłem grać twardziela. Rzadko się uśmiechałem. Przez całe Illinois patrzyłem na wszystkich spod przymrużonych powiek, jak Clint Eastwood. To oczywiście była poza, ale podobną przyjmuje większość mężczyzn. Wszyscy rzucaliśmy sobie spojrzenia spod przymrużonych powiek. Moja poza nie różniła się specjalnie od zachowania innych dorastających chłopców, starających się wyglądać jak mężczyźni. Z tego też względu była przekonywająca. To właśnie ta nienaturalność mojego zachowania powodowała, że stawało się wiarygodne. Zdarzało się jednak, że wypadałem z roli. Gdy coś mi się przyczepiło do obcasa, to zamiast założyć nogę na nogę i podnieść but, aby sprawdzić, co to jest – podnosiłem piętę i patrzyłem do tyłu przez ramię. Drobne wybierałem z otwartej dłoni, a nie z kieszeni. Takie potknięcia powodowały, że wpadałem w panikę, ale okazywało się, że zupełnie niepotrzebnie. Nikt tego nie zauważał. To mi pomagało – z reguły ludzie niewiele zauważają.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że potrafiłem zrozumieć wszystkie moje uczucia. W wieku czternastu lat jest to niemożliwe. Instynkt samozachowawczy kazał mi uciekać, więc uciekałem. Ścigał mnie lęk. Tęskniłem za rodzicami. Ciążyła mi odpowiedzialność za to, że się zamartwiali. Prześladował mnie raport doktora Luce'a. Nocami, leżąc w różnych motelach, płakałem w poduszkę. Ucieczka niewiele zmieniła, nadal czułem się potworem. Przed sobą widziałem tylko pasma upokorzeń i ludzką niechęć, więc płakałem nad swoim życiem.

Ale budząc się rano, czułem się lepiej. Opuszczałem motel i wychodziłem na zewnątrz, aby stawić czoła światu. Byłem młody i, mimo całego przerażenia, pełen animuszu; nie mogłem zbyt długo czarno patrzeć na życie. Jakoś udawało mi się przez dłuższy czas nie myśleć

o sobie. Na śniadanie jadłem pączki. Piłem bardzo słodką kawę z mlekiem. Aby sobie poprawić humor, robiłem rzeczy, na jakie nie pozwoliliby mi moi rodzice. Zamawiałem dwa, a czasami nawet trzy desery, i nigdy nie jadłem sałatek. Mogłem nie myć zębów, mogłem kłaść nogi na oparciach foteli. Czasami spotykałem innych uciekinierów. Zbierali się pod estakadami, przy kanałach odwadniających, i stali z naciągniętymi na głowę kapturami bluz, paląc papierosy. Byli mocniejsi ode mnie, bardziej wynędzniali. Omijałem ich z daleka. Pochodzili z rozbitych domów, znęcano się nad nimi, a teraz oni znęcali się nad innymi. W niczym ich nie przypominałem. W drogę zabrałem z sobą skłonność mojej rodziny do pięcia się w górę. Nie przyłączałem się do żadnej grupy, wędrowałem samotnie.

Tymczasem na drodze biegnącej przez prerię pojawia się samochód turystyczny, należący do Myrona i Sylvii Bresnick z Pelham w stanie Nowy Jork. Jak współczesny wóz pionierski, wytacza się spomiędzy falujących traw i zatrzymuje się. Drzwi się otwierają, jak drzwi w domu, i staje w nich żwawa kobieta, grubo po sześćdziesiątce.

– Chyba znajdziemy dla ciebie miejsce – mówi.

Jeszcze chwilę temu byłem na drodze numer 80 w zachodnim Iowa. Ale po wniesieniu walizki do tego preriowego okrętu, nagle znajduję się w salonie państwa Bresnick. Na ścianach wiszą oprawione zdjęcia ich dzieci, a obok grafiki Chagalla. Na stoliku leży historia Winstona Churchilla, przez którą Myron przedziera się po nocach na parkingach.

Myron jest emerytowanym dostawcą części zamiennych, a Sylvia pracowała kiedyś jako pracownik socjalny. Sylvia z profilu przypomina rezolutnego Pulcinellę, widać jej pełne wyrazu i wymalowane policzki, a zakrzywiony nos podkreśla komiczny efekt. Myron międli w ustach cygaro, obrzydliwie kisząc się we własnym sosie.

Myron kieruje, a Sylvia oprowadza mnie po części sypialnej, prysznicu, części mieszkalnej. Do jakiej szkoły chodzę? Kim chcę zostać? Zasypuje mnie pytaniami.

Myron odwraca się od kierownicy i huczy:

– Stanford! Dobra szkoła!

I właśnie w tym momencie coś zrozumiałem. W pewnej chwili, na drodze numer 80, coś zaskoczyło w mojej głowie i nagle poczułem, że się w tym połapałem. Myron i Sylvia traktują mnie jak syna. Pod wpływem tej

zbiorowej iluzji, przynajmniej na chwilę, stałem się tym, kim miałem być. Zostałem rozpoznany jako mężczyzna.

Ale jednak musiało we mnie pozostać również coś z córki. Bo Sylvia wzięła mnie na bok i zaczęła narzekać na męża.

– Wiem, że to w złym guście. Ten cały karawaning. Jakbyś zobaczył tych ludzi, których spotykamy na kempingach. Karawaning stanowi dla nich pewny styl życia. W zasadzie są mili, ale straaasznie nudni. Brakuje mi kulturalnych rozrywek. Myron powiada, że całe życie spędził, podróżując po kraju, i był zbyt zajęty, żeby go zobaczyć. Więc robi to jeszcze raz – tym razem powoli. No, i chyba widzisz, kogo z sobą ciągnie.

– Serduszko? – woła do niej Myron. – Czy mogłabyś podać mężowi mrożonej herbaty? Wyschłem na wiór.

Podwieźli mnie do Nebraski. Przeliczyłem pieniądze i okazało się, że zostało mi jeszcze dwieście trzydzieści dolarów. Znalazłem tani pokój w jakimś pensjonacie i zostałem w nim na noc. Wciąż jeszcze zbytnio się bałem, aby zdecydować się na jazdę autostopem w nocy.

Po drodze był czas na dokonywanie małych korekt. Większość moich skarpetek była w nieodpowiednim kolorze – różowe, białe albo w wieloryby. Również moje majtki nie były takie jak trzeba. W domu handlowym Woolworth w Nebrasca City kupiłem trzy pary bokserek. Jako dziewczyna nosiłem rozmiar L, a jako chłopak – M. Zajrzałem również do działu z przyborami toaletowymi. Zamiast całych półek wypełnionych kosmetykami stał tam tylko jeden stojak z podstawowymi artykułami higienicznymi. Eksplozja w dziedzinie męskich kosmetyków dopiero miała nastąpić. Na rynku nie pojawiły się jeszcze łagodne maści sprzedawane pod typowo męskimi, surowymi nazwami. Nie było jeszcze ani żelu do golenia dla prawdziwych mężczyzn, ani żyletek najlepszych dla mężczyzny. Wziąłem dezodorant, jednorazowe żyletki i krem do golenia. Podobały mi się kolorowe buteleczki z wodą kolońską, ale miałem już przykre doświadczenia z płynami po goleniu. Woda kolońska kojarzyła mi się z nauczycielami śpiewu, z kierownikami sali w restauracji, ze starszymi mężczyznami i ich niepożądanymi uściskami. Wybrałem sobie również męski portfel. Przy kasie nie potrafiłem spojrzeć kasjerowi prosto w twarz, byłem tak zakłopotany, jakbym kupował prezerwatywy. Kasjer nie wyglądał na dużo starszego ode mnie, miał blond włosy ze sterczącymi

kosmykami. Charakterystyczny wygląd mieszkańca centrum naszego kraju.

W restauracjach zacząłem korzystać z męskich ubikacji. To chyba było najtrudniejsze. Byłem zgorszony brudem w męskich toaletach, panującym tam smrodem i rozlegającymi się tam dźwiękami, jak w chlewie, chrząkaniem i stękaniem z kabin. Na podłodze zawsze zalegały kałuże moczu. Do sedesów przylepione były kawałki zanieczyszczonego papieru toaletowego. Po wejściu do kabiny zazwyczaj witał mnie stan wymagający interwencji hydraulika, brązowa powódź, papka z martwych żab. I pomyśleć, że jeszcze niedawno kabina w toalecie była dla mnie schronieniem! To już się skończyło. Od razu zauważyłem, że męskie toalety, w przeciwieństwie do damskich, nie służyły poprawianiu samopoczucia. Często nie było w nich nawet lustra czy mydła. A mężczyźni, którzy w kabinie bezwstydnie dawali upust reakcjom swego ciała, przy pisuarach zachowywali się bardzo nerwowo. Patrzyli prosto przed siebie, jak konie z klapami założonymi na oczy.

W takich chwilach uzmysławiałem sobie, z czym żegnam się na zawsze – zostawiałem za sobą kobiecą wspólnotę biologiczną. Kobiety wiedzą, co znaczy mieć ciało. Rozumieją jego problemy i słabości, jego wspaniałości i przyjemności. Mężczyźni uważają, że ich ciało należy wyłącznie do nich. Pielęgnują je w skrytości nawet wtedy, gdy robią to publicznie.

Słowo o penisach. Jakie było oficjalne stanowisko Cala wobec penisów? Przebywając wśród nich, w ich otoczeniu, czuł to samo, co wtedy, gdy był jeszcze dziewczyną – w równej mierze go fascynowały i przerażały. Tak naprawdę penisy nigdy nie wywierały na mnie zbyt dużego wrażenia. Dla mnie i dla moich koleżanek stanowiły przedmiot żartów i dowcipów. Nasze niestosowane zainteresowanie skrywane było chichotami lub udawanym obrzydzeniem. Podobnie jak wszystkie inne uczennice, rumieniłem się na widok rzymskich zabytków. Ukradkowe zerkanie, gdy nauczycielka była odwrócona plecami. To właśnie gdy jesteśmy dziećmi odbywamy naszą pierwszą lekcję sztuki, nieprawdaż? Nagość jest okryta. Okrywa ją szlachetność. Mój brat był starszy ode mnie o sześć lat, więc nigdy nie korzystaliśmy ze wspólnej kąpieli. Przez lata jego genitalia tylko migały mi w przelocie. Umyślnie odwracałem wzrok. Nawet gdy Jerome wszedł we mnie, niczego nie widziałem. Coś tak długo ukrywanego musiało mnie intrygować. Ale to, co mogłem zobaczyć w męskich

toaletach, było raczej rozczarowujące. Nigdzie nie było widać dumnego fallusa, były tylko jakieś worki z sianem, wysuszone bulwy czy ślimaki bez skorupy.

Oprócz tego śmiertelnie bałem się, żeby mnie ktoś nie przyłapał na patrzeniu. Pomimo garnituru, fryzury i wzrostu, za każdym razem, gdy wchodziłem do męskiej toalety, słyszałem w głowie wołanie: „Jesteś w męskiej ubikacji!" Ale właśnie do tej toalety miałem chodzić. Nikt słowem się nie odezwał. Nikt nie sprzeciwiał się mojej obecności. Szukałem zatem kabiny, która wyglądała na nieco czystszą. Musiałem siadać, żeby oddać mocz. Nadal muszę.

Wieczorami na zagrzybionych dywanach w motelowych pokojach ćwiczyłem mięśnie, robiłem pompki i brzuszki. Ubrany tylko w moje nowe bokserki, badałem w lustrze budowę mojego ciała. Jeszcze nie tak dawno temu trapiłem się, że się nie rozwijam. Te zmartwienia odeszły już w przeszłość. Już nie musiałem odpowiadać określonym standardom. Znikły niemożliwe do spełnienia żądania, a ja poczułem wyraźną ulgę. Ale były również chwile, gdy czułem się zagubiony, patrząc na moje zmieniające się ciało. Czasami miałem wrażenie, że nie należy do mnie. Było twarde, białe, kościste. Sądzę, że na swój sposób piękne, ale spartańskie. Nie można było powiedzieć, że było to ciało wrażliwe czy podatne. Raczej można je było opatrzyć napisem: zawartość pod ciśnieniem.

W tych właśnie motelowych pokojach zapoznawałem się z moim nowym ciałem, z jego szczególnymi zaleceniami i przeciwwskazaniami. Z Przedmiotem wszystko odbywało się w ciemnościach. Tak naprawdę ona nigdy nie badała mojego aparatu. Lekarze zakwalifikowali moje genitalia jako wymagające leczenia. Podczas mojego pobytu w klinice były odrętwiałe albo lekko obolałe od ciągłych badań. Moje ciało zamknęło się na świat, aby móc przebrnąć przez ten trudny okres. Ale podróż je rozbudziła. W samotności, po zamknięciu drzwi i założeniu na nich łańcuszka, eksperymentowałem z samym sobą. Wkładałem poduszki między nogi. Kładłem się na nich. Prawie że podświadomie w trakcie oglądania programu rozrywkowego Johnny'ego Carsona moja ręka prowadziła poszukiwania. Budowa mojego ciała zawsze mnie trochę niepokoiła i nie badałem go, jak to robiły inne dzieci. I dopiero teraz, stracony dla świata i dla wszystkich, których znałem, nabrałem odwagi,

aby spróbować. Miało to niebagatelne znaczenie. Jeśli czasami wątpiłem w słuszność mojej decyzji, jeśli czasami myślałem o powrocie do moich rodziców czy do kliniki i poddaniu się, to powstrzymywała mnie od tego właśnie ta moja osobista ekstaza. Wiedziałem, że mi to zabiorą. Nie chcę przeceniać znaczenia kwestii seksualnych. Ale stanowiło to dla mnie ogromną siłę, zwłaszcza w wieku czternastu lata, z moimi ożywionymi i rozstrojonymi nerwami, przy najlżejszej prowokacji gotowymi wybuchnąć symfonią uczuć. W ten sposób Cal poznawał sam siebie, w lubieżnej, płynnej, sterylnej kulminacji, leżąc z podniesioną głową na dwóch lub trzech zdeformowanych poduszkach, w pokoju z opuszczonymi roletami, z suchym basenem na zewnątrz oraz przy dźwięku samochodów przejeżdżających obok motelu przez całą noc.

Za Nebraska City zatrzymał się srebrny hatchback chevrolet Nova. Podbiegłem z moją walizką i otworzyłem drzwi od strony pasażera. Za kierownicą siedział przystojny mężczyzna po trzydziestce. Miał na sobie tweedową marynarkę i żółty sweter z dekoltem w szpic. Jego kraciasta koszula była rozpięta pod szyją, ale kołnierzyk był sztywny od krochmalu. Ten elegancki strój kontrastował ze swobodnym zachowaniem kierowcy.

– Cześć – powiedział, naśladując akcent z Brooklynu.

– Dziękuję, że się pan zatrzymał.

Zapalił papierosa i przedstawił się, podając mi rękę.

– Ben Scheer.

– Mam na imię Cal.

Nie zadawał mi typowych pytań o to, skąd pochodzę i gdzie jadę. Zamiast tego, gdy już ruszyliśmy, zapytał:

– Skąd wytrzasnąłeś taki garnitur?

– Z Armii Zbawienia.

– Po prostu śliczny.

– Naprawdę? – powiedziałem. I po chwili zastanowienia. – Pan się ze mnie naśmiewa.

– Nie, skądże – zaprotestował Scheer. – Podoba mi się garnitur, w którym ktoś umarł. To bardzo egzystencjalne.

– A co to?

– Co „co”?

– Egzystencjalne.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Egzystencjalista to ktoś, kto żyje tylko tymczasowo.

Jeszcze nikt nigdy ze mną w ten sposób nie rozmawiał. Podobało mi się to. Podczas jazdy przez żółtą krainę Scheer opowiadał mi o innych ciekawych rzeczach. Dowiedziałem się o Ionesco i o teatrze absurdu. Również o Andym Warholu i o Velvet Underground. Trudno mi wyrazić podniecenie, jakie te nazwy wzbudzały w takim dziecku jak ja, pochodzącym z zapadłej prowincji. Bransoletki chciały udawać, że pochodzą ze Wschodu, i wydaje mi się, że ja również nabrałem takiej chęci.

– Czy mieszkał pan kiedyś w Nowym Jorku? – zapytałem.

– Kiedyś.

– Właśnie stamtąd jadę. Chciałbym tam zamieszkać.

– Mieszkałem tam przez dziesięć lat.

– Dlaczego pan wyjechał?

Znowu bezpośrednie spojrzenie.

– Pewnego ranka obudziłem się i zdałem sobie sprawę, że jak nie wyjadę, to za rok będę martwy.

To również brzmiało cudownie.

Scheer miał przystojną twarz, bladą, z lekko azjatyckimi, szarymi oczami. Jego jasnobrązowe, kędzierzawe włosy były dokładnie zaczesane z równiutkim przedziałkiem. Po chwili zauważyłem również inne subtelności jego stroju, spinki do mankietów z monogramem, włoskie mokasyny. Od razu mi się spodobał. Scheer był takim typem człowiekiem, jakim sam chciałbym być.

Nagle z tyłu samochodu dobiegło wspaniałe, ciężkie, rozdzierające serce westchnienie.

– Jak się masz, Franklin? – zawołał Scheer.

Gdy Franklin usłyszał swoje imię, podniósł zatroskany, królewski łeb z tyłu hatchbacka i zobaczyłem biało-czarne łaty setera angielskiego. Stary pies popatrzył na mnie przez chwilę kaprawymi oczami i znowu się schował.

Tymczasem Scheer zjeżdżał z autostrady. Jadąc prostą drogą, kierował śmiało i swobodnie, ale gdy wykonywał jakiś manewr, natychmiast zaczynał prowadzić jak wojskowy i walił silnymi dłońmi w kierownicę. Podjechał na parking przy sklepie ogólnospożywczym.

– Zaraz wracam.

Trzymając papierosa przy biodrze jak szpicrutę, wszedł szybkim krokiem do sklepu. Podczas jego nieobecności rozglądnąłem się po samochodzie. Był nieskazitelnie czysty, dywaniki na podłodze były świeżo odkurzone. W schowku leżały równo poukładane mapy i kasety Mabel Mercer. Scheer pojawił się z powrotem z dwiema torbami pełnymi zakupów.

– Chyba czas się czegoś napić – powiedział.

Przyniósł karton z dwunastoma puszkami piwa, dwie butelki wina Blue Nun i czerwone wino musujące Lancers w butelce wyglądającej na zrobioną z gliny. Położył te wszystkie dobra na siedzeniu z tyłu.

To również stanowiło część światowego życia. Piło się tanie Liebfraumilch w plastikowych kubkach i mówiło się na to koktajl, a scyzorykiem wykrawało się kawałki sera cheddar. Scheerowi udało się uzbierać niezłą przystawkę. Były nawet oliwki. Jechaliśmy przez ziemię niczyją, a Scheer polecił mi otworzyć wino i podawać mu przekąski. Byłem jego paziem. Kazał mi włączyć kasetę z Mabel Mercer i oświecał mnie w jej skrupulatnym frazowaniu.

Nagle podniósł głos.

– Gliniarze. Schowaj butelki.

Szybko opuściłem butelkę Blue Nun i, udając niewiniątka, przejechaliśmy obok patrolu.

Scheer zaczął naśladować policjanta.

– Z miejsca rozpoznaję miejskich cwaniaczków, a tych dwóch wygląda mi na niezwykle cwanych. Mogę się założyć, że coś kombinują.

Słysząc to, wybuchnąłem śmiechem, szczęśliwy, że wraz z nim przeciwstawiam się światowi hipokryzji i ślepego podporządkowywania się prawu.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Scheer zatrzymał się przy restauracji specjalizującej się w stekach. Obawiałem się, że może być dla mnie za droga, ale on powiedział:

– Dzisiaj ja stawiam kolację.

W środku było tłoczno, widać było, że to popularny lokal, i jedyny wolny stolik znaleźliśmy przy samym barze.

Scheer powiedział do kelnerki:

– Poproszę bardzo wytrawne martini z wódką i z dwiema oliwkami, a dla mojego syna piwo.

Kelnerka spojrzała na mnie.

– Mogę zobaczyć dowód tożsamości?

– Nie mam przy sobie – odparłem.

– W takim razie nie mogę podać piwa.

– Byłem przy jego urodzeniu, mogę zaświadczyć – powiedział Scheer.

– Przykro mi, bez dowodu nie ma piwa.

– Dobra – powiedział Scheer. – W takim razie zmieniłem zdanie. Poproszę bardzo wytrawne martini z wódką i z dwiema oliwkami, i do tego piwo na popitkę.

Kelnerka wyszeptała przez zaciśnięte usta:

– Jeśli to piwo ma być dla pana kolegi, to nie mogę go podać.

– Wszystko ma być dla mnie – zapewnił ją Scheer. Zniżył głos i mówił tonem człowieka ze Wschodu, wprowadzając do tej restauracji na prerii autorytet osoby z wyższych sfer. Kelnerka, choć niechętnie, spełniła jego żądanie.

Odeszła, a Scheer nachylił się w moim kierunku. Znowu uderzył w prostacki ton.

– Ta panienka potrzebuje faceta, który by odwalił z nią numerek w stodole. To robota w sam raz dla ciebie – nie wyglądał na pijanego, ale ta jego ordynarność była czymś nowym, jego ruchy stały się mniej precyzyjne, zaczął głośniej mówić.

– Tak – stwierdził. – Chyba leci na ciebie. Ty i ta Mayella moglibyście być razem szczęśliwi.

Ja również czułem wypite wino, a moja głowa, jak dyskotekowa kula z lusterkami, błyskała światełkami.

Kelnerka przyniosła napoje i demonstracyjnie ustawiła je po tej stronie stolika, po której siedział Scheer. Gdy tylko znikła, pchnął piwo w moją stronę, mówiąc:

– To dla ciebie.

– Dzięki – piłem piwo dużymi łykami, odsuwając szklankę na drugą stronę stolika, gdy przechodziła kelnerka. Ta cała konspiracja bardzo mnie bawiła.

Ale moje zachowanie nie pozostało niezauważone. Obserwował mnie facet siedzący przy barze. Ubrany w hawajską koszulę i w słonecznych okularach, patrzył z pewną dezaprobatą. Ale po chwili na jego twarzy

pojawił się szeroki uśmiech zrozumienia. Pod wpływem tego uśmiechu poczułem się nieswojo i odwróciłem wzrok.

Gdy wyszliśmy z restauracji, na dworze było już zupełnie ciemno. Przed odjazdem Scheer otworzył tylne drzwi samochodu i wypuścił Franklina na dwór. Stary pies nie mógł już chodzić, więc Scheer musiał wynieść go z samochodu.

– Chodź, Franks – powiedział Scheer szorstkim, a zarazem pieszczotliwym tonem, i trzymając w ustach zapalonego papierosa, podniósł się w sposób arystokratyczny, nieco przypominając samego Franklina Roosevelta w swoich mokasynach od Gucciego i w złotej tweedowej marynarce z rozcięciami po bokach. Jego silne nogi zawodnika polo ugięły się pod ciężarem i wyniósł stare zwierzę w zarośla.

Zanim ponownie wyjechaliśmy na autostradę, zatrzymał się jeszcze przy sklepie, aby dokupić piwa.

Jechaliśmy jeszcze przez jakąś godzinę. Scheer wypił dużo piwa, ja uporałem się z jednym czy dwoma. Czułem się pijany i bardzo śpiący. Oparłem się o drzwi, mętnym wzrokiem patrząc na zewnątrz. Obok nas pojawił się długi, biały samochód. Kierowca spojrzał na mnie i uśmiechnął się, ale ja już zasypiałem.

Jakiś czas później Scheer obudził mnie, potrząsając za ramię.

– Jestem zbyt wykończony, żeby jechać dalej. Zjeżdżamy.

Nic na to nie odpowiedziałem.

– Poszukam jakiegoś motelu. Tobie też załatwię pokój. Na mój koszt.

Nie sprzeciwiłem się. Wkrótce zobaczyłem zamglone światła motelu. Scheer wysiadł z samochodu i po chwili przyniósł klucz do mojego pokoju. Wziął moją walizkę, zaprowadził mnie do pokoju i otworzył mi drzwi. Podszedłem do łóżka i padłem na nie jak kłoda.

Kręciło mi się w głowie. Z trudem odsunąłem pościel i doczołgałem się do poduszki.

– Będziesz spać w ubraniu? – zapytał Scheer, jakby nieco zdziwiony.

Poczułem, że położył rękę na moich plecach i zaczął mnie głaskać.

– Nie możesz spać w ubraniu – powiedział. Zaczął mnie rozbierać, lecz ja się podniosłem.

– Chcę spać – powiedziałem.

Scheer nachylił się bliżej. Grubym głosem powiedział:

– Rodzice cię wyrzucili, Cal? Tak jest? – nagle mówił, jakby był bardzo pijany, jakby w końcu poczuł to całodzienne i całonocne picie.

– Idę spać – powiedziałem.

– Daj spokój – wyszeptał Scheer. – Pozwól, że się tobą zajmę.

Zwinąłem się w kłębek, nadal nie otwierając oczu. Scheer przysunął swoją twarz i lekko trącił mnie nosem, ale gdy nie zareagowałem, dał sobie spokój. Usłyszałem, jak otwiera drzwi i potem zamyka je za sobą.

Gdy się obudziłem, był już wczesny ranek. Przez okno wpadało światło. Obok mnie leżał Scheer. Obejmował mnie niezgrabnie, z mocno zamkniętymi oczami.

– Ja tu tylko będę spał – wymamrotał. – Tylko będę spał.

Miałem porozpinaną koszulę. Scheer był w samej bieliźnie. Na włączonym telewizorze stały puste puszki po piwie.

Scheer trzymał mnie kurczowo i przyciskał swoją twarz do mojej, stękając z cicha. Tolerowałem to, z jakichś względów czując się do tego zobowiązany. Ale gdy jego pijane zaloty zaczęły robić się bardziej namiętne, bardziej konkretne, odepchnąłem go od siebie. Nie zaprotestował. Skulił się na łóżku i zaraz zasnął.

Wstałem i poszedłem do łazienki. Przez dłuższy czas siedziałem na klapie sedesu, obejmując rękami kolana. Kiedy znowu zajrzałem do pokoju, Scheer dalej mocno spał. W drzwiach nie było zamka, ale marzyłem o wzięciu prysznica. Zrobiłem to bardzo szybko, nie zasuwając zasłonki i nie spuszczając oka z drzwi. Przebrałem się w świeżą koszulę, założyłem garnitur i opuściłem pokój.

Było bardzo wcześnie. Na drodze nie było żadnych samochodów. Odszedłem od motelu i usiadłem na walizce, czekając. Wielkie otwarte niebo, a na nim tylko kilka ptaszków. Znowu czułem głód. Bolała mnie głowa. Wyjąłem portfel i przeliczyłem kurczący się kapitał. Po raz setny zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do domu. Zacząłem płakać, ale od razu powstrzymałem łzy. Po chwili usłyszałem nadjeżdżający samochód. Z motelowego parkingu wytoczył się biały lincoln continental. Wystawiłem kciuk. Samochód zatrzymał się obok mnie i powoli zjechała w dół elektrycznie opuszczana szyba w drzwiach. Za kierownicą siedział ten sam gość, którego widziałem wczoraj w restauracji.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Kalifornii.

Znowu ten uśmiech. Jakby coś pękało.

– To masz szczęście. Ja też tam jadę.

Wahałem się tylko przez chwilę. Faktem było, że nie miałem zbyt dużego wyboru. Otworzyłem tylne drzwi samochodu i wsunąłem przez nie walizkę.

Dezaprobata płci w San Francisco

Nazywał się Bob Presto. Miał miękkie, białe, pulchne dłonie, nalaną twarz i nosił białą koszulę z kieszeniami, ozdobioną złotymi nitkami. Chlubił się swoim głosem, przez wiele lat pracował jako spiker radiowy, zanim zajął się tym, co robił obecnie. Nie sprecyzował, co to było. Ale po białym continentalu z siedzeniami z czerwonej skóry, po złotym zegarku i pierścieniach z klejnotami czy po fryzurze prezentera widać było, że musiała to być działalność dochodowa. Jednak mimo tych atrybutów dorosłego mężczyzny, w Bobie Presto było wiele z maminsynka. Miał ciało małego grubasa, chociaż był dużym mężczyzną i ważył ze sto kilo. Przypominał mi figurkę pyzatego kucharczyka ze znaku sieci restauracji Elias Brothers, tylko starszego, prostackiego i naszpikowanego wadami wieku dorosłego.

Nasza rozmowa zaczęła się w standardowy sposób – Presto wypytywał mnie, a ja odpowiadałem przygotowanymi kłamstwami.

– Gdzie jedziesz do Kalifornii?

– Do college'u.

– Do jakiej szkoły?

– Do Stanford.

– Nieźle. Mój szwagier chodził do Stanford. Wielki ważniak. Gdzie to jest?

– Stanford?

– Tak, w jakim mieście?

– Zapomniałem.

– Zapomniałeś? Sądziłem, że studenci ze Stanford są bystrzejsi. Jak chcesz się tam dostać, skoro nie wiesz, gdzie to jest?

– Mam się spotkać z kolegą. On zna wszystkie szczegóły.

– Dobrze mieć kolegów – powiedział Presto. Odwrócił się i mrugnął do mnie. Nie bardzo wiedziałem, co mam sądzić o takim mrugnięciu. Siedziałem cicho, patrząc na drogę przed nami.

Na przednim siedzeniu leżał rozłożony cały bufet, różne specjały, butelki z napojami i torebki z chipsami, i herbatnikami. Presto powiedział, żebym się częstował. Byłem zbyt głodny, aby odmówić, i wziąłem kilka herbatników, starając się nie pożreć ich od razu.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się Presto. – Im starszy się robię, tym młodziej wygląda młodzież z college'u. Gdyby ktoś mnie zapytał, powiedziałbym, że chodzisz jeszcze do liceum. Na którym roku jesteś?

– Na pierwszym.

Na twarzy Boba Presto znowu pojawił się cukierkowy uśmiech.

– Chciałbym być w twojej skórze. College to najlepszy okres w życiu. Mam nadzieję, że jesteś przygotowany na te wszystkie panienki.

Powiedział to ze stłumionym śmiechem i pomyślałem, że powinienem go odwzajemnić.

– Na studiach miałem masę dziewczyn, Cal – powiedział Presto. – Pracowałem dla radia studenckiego. Zawsze dostawałem płyty za darmo. A jak mi się jakaś dziewczyna spodobała, to dedykowałem jej piosenkę.

Zademonstrował mi swój styl, nucąc półgłosem:

– A teraz piosenka dla Jennifer, królowej wydziału antropologii. Z przyjemnością zająłbym się badaniem twojej kultury, moja mała.

Presto pokiwał swoją wielką głową i podniósł brwi w skromnym uznaniu dla swoich talentów wokalnych.

– Dam ci radę na temat kobiet, Cal. Głos. Głos naprawdę działa podniecająco na kobiety. Nigdy nie zapominaj o głosie.

Jego głos rzeczywiście był głęboki, dwupostaciowo męski. Tłuszcz w jego gardle powiększał rezonans, gdy on tłumaczył:

– Weźmy na przykład moją byłą żonę. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, cokolwiek do niej powiedziałem, ona od razu dostawała bzika. Mogliśmy się pieprzyć i wystarczyło, że powiedziałem: „pączek w maśle", a ona od razu szczytowała.

Kiedy na to nie zareagowałem, Presto powiedział:

– Chyba cię nie obraziłem, co? Mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych mormońskich dzieciaków wysłanych na misję? W tym twoim garniturku?

– Nie.

– To dobrze. Przez chwile zacząłem się martwić. Niech no jeszcze raz usłyszę twój głos – powiedział. – Dalej, pokaż, co potrafisz.

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz: „pączek w maśle".

– Pączek w maśle.

– Ja już nie pracuję w radiu, Cal. Nie jestem profesjonalnym prezenterem. Ale, moim skromnym zdaniem, niezbyt nadajesz się na spikera radiowego. Ty masz cieniutki tenor. Jeśli nie chcesz sypiać samotnie, lepiej naucz się śpiewać – wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu. Jednak w jego oczach nie było widać rozbawienia, tylko ostre, lustrujące mnie spojrzenie. Prowadził jedną ręką, zajadając trzymane w drugiej ręce chipsy ziemniaczane.

– Faktem jest, że twój głos jest jakiś dziwny. Trudno go określić.

Uważałem, że lepiej się nie odzywać.

– Cal, ile ty masz lat?

– Już mówiłem.

– Nie, nie mówiłeś.

– Właśnie skończyłem osiemnaście.

– Jak sądzisz, ile ja mam lat?

– Nie mam pojęcia. Sześćdziesiąt?

– Dobra, wysiadaj. Sześćdziesiąt! Na litość boską, mam pięćdziesiąt dwa.

– Chciałem powiedzieć pięćdziesiąt.

– To wszystko przez tę nadwagę – kręcił głową. – Nie wyglądałem staro, dopóki tak bardzo nie utyłem. Takie chude dzieciaki jak ty pewnie nie zdają sobie nawet sprawy z czegoś takiego, prawda? Gdy zobaczyłem cię stojącego przy drodze, w pierwszym momencie pomyślałem, że jesteś cizią. Nie zauważyłem garnituru. Widziałem tylko sylwetkę. I nawet pomyślałem sobie, Jezu, co taka młoda dupa robi na autostopie?

Nie potrafiłem spojrzeć Bobowi Presto prosto w oczy. Znowu byłem przestraszony i czułem się bardzo nieswojo.

– Dopiero po chwili cię rozpoznałem. Widziałem cię wcześniej. W restauracji. Byłeś z tym pedałem – chwila przerwy. – Wyglądał mi na takiego, co poluje na młodych chłopców. Jesteś homoseksualistą, Cal?

– Co?

– Mnie możesz powiedzieć. Ja nie jestem homoseksualistą, ale mnie to nie przeszkadza.

– Chcę wysiąść. Czy może mnie pan wypuścić?

Presto puścił kierownicę i podniósł ręce do góry.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. Koniec z przesłuchaniem. Już nic więcej nie powiem.

– Proszę mnie tylko wypuścić.

– Nie ma sprawy, jeśli tylko tego chcesz. Ale to nie ma sensu. Jedziemy w tę samą stronę, Cal. Zawiozę cię do San Francisco.

Nie zwolnił, a ja nie poprosiłem go o to. Dotrzymał słowa i od tego momentu przez większą część drogi siedział cicho, nucąc sobie tylko piosenki do radia. Co godzinę robił krótką przerwę w podróży, aby skorzystać z toalety i dokupić pepsi w dużych butelkach, więcej czekoladowych ciasteczek, więcej czerwonych cukierków z lukrecją i kukurydzianych chipsów. Tankował na przydrożnych stacjach benzynowych. Przeżuwając, odchylał głowę do tyłu, aby okruszki nie upaprały mu koszuli. W jego gardle bulgotały napoje. Rozmawialiśmy na tematy ogólne. Przejechaliśmy przez Sierrę, wyjechaliśmy z Nevady i wjechaliśmy do Kalifornii. Lunch zjedliśmy po drodze, w restauracji drive-in. Presto zapłacił za hamburgery i koktajl mleczny, a ja doszedłem do wniosku, że on jednak jest w porządku, dosyć miły, i że nie ma w stosunku do mnie żadnych podejrzanych zamiarów.

– Czas na tabletki – odezwał się po jedzeniu. – Cal, czy możesz mi podać moje buteleczki z tabletkami? Są w schowku.

Znajdowało się tam pięć czy sześć różnych buteleczek. Podawałem je Bobowi Presto, a on mrużył oczy i starał się odczytać napisy na etykietach.

– Dobra – powiedział – potrzymaj kierownicę.

Nachyliłem się, aby chwycić kierownicę, bliżej Boba Presto niż bym sobie tego życzył, a on walczył z zakrętkami i wysypywał tabletki.

– Mam zupełnie spieprzoną wątrobę. To po tej żółtaczce, którą złapałem w Tajlandii. Pierdolony kraj prawie mnie zabił – wybrał niebieską tabletkę. – Ta jest na wątrobę. Mam też na rozrzedzenie krwi. I jedną na obniżenie ciśnienia. Mam zupełnie zafajdaną krew. Nie powinienem tak dużo jeść.

I tak jechaliśmy przez cały dzień, a wieczorem dotarliśmy do San Francisco. Gdy zobaczyłem miasto, różowo-białe, wyglądające jak tort weselny ułożony na wzgórzach, ogarnął mnie nowy niepokój. Przez całą

drogę przez kraj byłem zajęty dotarciem do celu. Teraz, gdy już tu byłem, zupełnie nie wiedziałem, co mam robić ani jak przetrwać.

– Mogę cię podwieźć w dowolne miejsce – powiedział Presto. – Masz jakiś adres, gdzie się zatrzymasz? Gdzie mieszka twój kolega?

– Mogę wysiąść gdziekolwiek.

– Zawiozę cię do Haight. Tam łatwo zorientujesz się, gdzie jesteś – wjechaliśmy do miasta i w końcu Bob Presto zatrzymał samochód, a ja otworzyłem drzwi.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziałem.

– Dobra, dobra – odrzekł Presto. Wyciągnął rękę. – A tak przy okazji, to jest w Palo Alto.

– Co?

– Stanford jest w Palo Alto. Powinieneś to wiedzieć, jeśli chcesz, aby ktoś uwierzył, że jesteś w college'u – czekał, aż coś odpowiem. Następnie, zaskakująco miękkim głosem, co bez wątpienia było zawodową sztuczką, niemniej jednak wywarło pewien efekt, Presto zapytał:

– Słuchaj, chłopie, czy ty na pewno masz gdzie się zatrzymać?

– Niech się pan o mnie nie martwi.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Cal? Kim ty właściwie jesteś?

Bez słowa wysiadłem z samochodu i otworzyłem tylną klapę, aby wyjąć swoją walizkę. Presto odwrócił się na siedzeniu, co w jego przypadku nie było łatwe. Dalej mówił ciepłym, ojcowskim głosem.

– Daj spokój. Siedzę w tym interesie. Mogę ci pomóc. Jesteś transseksualistą?

– Muszę już iść.

– Nie obrażaj się. Wiem wszystko o operacjach zmiany płci.

– Nie wiem, o czym pan mówi – wyciągnąłem walizkę z samochodu.

– Zaraz, powoli. Trzymaj. Weź przynajmniej mój numer telefonu. Mógłby mi się przydać ktoś taki jak ty. Kimkolwiek byś był. Chyba potrzebujesz pieniędzy? Gdybyś chciał w łatwy sposób zarobić niezłe pieniądze, to zadzwoń do starego kumpla, Boba Presto.

Wziąłem ten numer, aby się wreszcie ode mnie odczepił. Potem odwróciłem się i ruszyłem, jakbym wiedział, dokąd mam iść.

– Uważaj w nocy w parku – krzyczał za mną Presto swoim tubalnym głosem. – Kręci się tam dużo podejrzanych typów.

Moja matka mawiała, że łącząca ją z jej dziećmi pępowina nigdy nie została w pełni przecięta. Gdy tylko doktor Philoboshian przeciął fizyczną pępowinę, natychmiast w jej miejsce pojawiło się połączenie duchowe. Po moim zniknięciu Tessie poczuła, że to jej dziwaczne urojenie zaczynało nabierać realnych kształtów. Nocami, gdy leżała w łóżku w oczekiwaniu na zadziałanie środka uspokajającego, często kładła dłoń na pępku, jak wędkarz sprawdzający żyłkę w wędce. Zdawało się jej, że coś czuje. Docierały do niej słabe wibracje. Na tej podstawie twierdziła, że ja nadal żyję, choć byłem bardzo daleko, głodny i prawdopodobnie niezdrów. Docierało to do niej po tym niewidzialnym sznurze, jak jakaś pieśń, jak śpiew wielorybów nawołujących się gdzieś w głębinach.

Przez blisko tydzień po moim zniknięciu rodzice pozostali w hotelu Lochmoor, mając nadzieję, że do nich wrócę. W końcu przydzielony do tej sprawy detektyw z nowojorskiej policji powiedział im, że najlepiej zrobią, jak wrócą do domu.

– Państwa córka może zadzwonić do państwa domu. Albo nawet tam przyjechać. Dzieci często tak robią. Jeśli ją znajdziemy, damy państwu znać. Proszę mi uwierzyć. Najlepsze, co można zrobić, to wrócić do domu i czekać przy telefonie – ostatecznie moi rodzice skorzystali z tej rady, choć niechętnie.

Jednak jeszcze przed wyjazdem umówili się na wizytę u doktora Luce'a.

– Niepełna wiedza może być niebezpieczna – powiedział, próbując im wytłumaczyć moje zniknięcie. – Być może Callie zerknęła do mojej kartoteki, gdy wyszedłem. Ale nie mogła zrozumieć, co czyta.

– Ale dlaczego uciekła? – zapytała Tessie. Oczy miała szeroko otwarte i patrzyła błagalnie na lekarza.

– Opacznie zrozumiała fakty – odpowiedział Luce. – Nadmiernie je uprościła.

– Doktorze Luce, będę z panem szczery – odezwał się Milton. – Nasza córka, na pozostawionej kartce, nazwała pana kłamcą. Prosiłbym o wyjaśnienie, dlaczego mogła coś takiego powiedzieć.

Luce uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Ona ma czternaście lat. Nie ufa dorosłym.

– Czy moglibyśmy zobaczyć tę kartotekę?

– Nic to państwu nie pomoże. Tożsamość płciowa jest sprawą bardzo złożoną. To nie tylko kwestia samej genetyki. To również nie tylko wpływ

czynników czysto środowiskowych. Geny i środowisko łączą się w krytycznym momencie. Mamy tu do czynienia z sytuacją, w której oddziałują trzy czynniki, a nie dwa.

– Wyjaśnijmy sobie jedną sprawę – przerwał Milton. – Czy pana zdaniem, z medycznego punktu widzenia, Callie powinna, czy nie powinna zostać taką, jaka jest?

– Na podstawie badań psychologicznych, jakie udało mi się przeprowadzić w trakcie krótkiego zajmowania się Callie, mogę powiedzieć, że tak, uważam, że ona ma żeńską tożsamość płciową.

Tessie przestała panować nad sobą i wybuchła:

– To dlaczego mówi, że jest chłopcem?

– Mnie nigdy nic takiego nie powiedziała – odrzekł Luce. – Również dla mnie jest to coś zupełnie nowego.

– Chcę zobaczyć tę kartotekę – zażądał Milton.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Kartoteka służy moim pracom badawczym. Mogą się państwo zapoznać z wynikami analizy krwi Callie i z rezultatami innymi testów.

Milton wściekł się. Zaczął krzyczeć i złorzeczyć doktorowi.

– Jest pan odpowiedzialny za to, co się stało. Słyszy mnie pan? Nasza córka nie uciekła z byle powodu. Pan musiał coś jej zrobić. Przestraszyć ją.

– To sytuacja ją przeraziła, panie Stephanides – powiedział Luce. – I proszę mi pozwolić zwrócić uwagę na coś jeszcze – stukał kłykciami o biurko. – Równie ważne jest, abyście państwo ją jak najszybciej znaleźli. Konsekwencje mogą być bardzo poważne.

– O czym pan mówi?

– Depresja. Dysforia. Jest w bardzo delikatnym stanie psychicznym.

– Tessie – Milton spojrzał na żonę. – Czy chcesz zobaczyć tę kartotekę, czy się stąd wynosimy i niech ten łajdak się pieprzy?

– Chcę zobaczyć tę kartotekę – Tessie była już bliska płaczu. – I uważaj na to, co mówisz. Starajmy się zachowywać przyzwoicie.

W końcu Luce się poddał i pozwolił im zobaczyć kartotekę. Gdy ją przeczytali, zaproponował, że w przyszłości może ponownie zająć się moją sprawą, i wyraził nadzieję, że wkrótce się odnajdę.

– Nigdy w życiu nie przyprowadzę do niego Callie – stwierdziła moja matka po wyjściu z gabinetu.

– Nie wiem, co zrobił, że tak zdenerwował Callie – powiedział mój ojciec – ale coś na pewno zrobił.

Na Middlesex wrócili pod koniec września. Liście opadały z wiązów, pozbawiając ulicę jej pięknego przykrycia. Zaczęło się robić coraz chłodniej, a Tessie, leżąc w łóżku, słuchała odgłosu wiatru, szeleszczących liści i zastanawiała się, gdzie ja spałem i czy byłem bezpieczny. Środki uspokajające nie stłumiły ogarniającego ją niepokoju, a raczej przesunęły to uczucie w inne miejsce. Pod ich wpływem Tessie wycofała się do swojego wnętrza i znalazła się na swoistej platformie widokowej, z której mogła obserwować własne lęki. W tym okresie strach nie był już tak intensywny. Tabletki powodowały, że czuła suchość w ustach. Miała wrażenie, jakby głowę zawinięto jej w miękką szmatę, a wszystko, co widziała, otaczał wianuszek gwiazd. Miała brać tylko jedną tabletkę naraz, ale często brała dwie.

Tessie najlepiej myślało się gdzieś w połowie drogi między świadomością a nieświadomością. W ciągu dnia zajmowała się towarzystwem – ludzie stale przybywali do domu z jedzeniem, a ona musiała rozstawiać tace i sprzątać po nich – ale w nocy, w miarę jak zaczynało ogarniać ją otępienie, nabierała odwagi, aby zmierzyć się z treścią pozostawionego przeze mnie listu.

Moja matka nie była w stanie myśleć o mnie inaczej, jak o swojej córce. Jej myśli stale krążyły po tym samym kręgu. Z na wpół otwartymi oczami Tessie patrzyła w ciemny pokój, błyszczący i migoczący po bokach, i widziała przed sobą te wszystkie przedmioty i ubrania, które kiedyś do mnie należały. Jakby wszystkie leżały na stosie u stóp jej łóżka – skarpetki z kokardkami, lalki, spinki do włosów, cały zestaw książeczek o Madeline, sukienki, czerwone buciki Mary Janes, sweterki, kuchnia dla lalek, hula-hop. Te przedmioty były śladem prowadzącym do mnie. Czyż taki ślad mógł prowadzić do chłopca?

A jednak, najwyraźniej, prowadził. Tessie przypominała sobie wydarzenia z ostatniego półtora roku, poszukując znaków, jakich być może wcześniej nie zauważyła. Podobnie zachowywałaby się każda inna matka, która musiałaby zmierzyć się z tak szokującą prawdą o swojej nastoletniej córce. Gdyby spotkała mnie śmierć z przedawkowania narkotyków albo gdybym trafił do sekty, myśli mojej matki podążałyby podobnym torem. Ponowna ocena była taka sama, natomiast inne były

pytania. Czy to dlatego byłem taki wysoki? Czy to tłumaczyło brak okresu? Myślała o naszej wspólnej depilacji w „Złotym Runie" i o moim ochrypłym alcie – tak naprawdę, to o wszystkim: jak nie pasowały na mnie sukienki, jak nie można było dobrać mi damskich rękawiczek. To wszystko, o czym Tessie sądziła, że jest związane z moim trudnym wiekiem, nagle przybrało złowieszczą postać. Jakże mogła o tym nie wiedzieć? Była moją matką, dała mi życie, była mi bliższa niż ja sam. Mój ból był jej bólem, moja radość jej radością. Ale czyż twarz Callie nie przybierała czasami dziwnego wyrazu? Tak pełnego napięcia, tak… męskiego. I żadnego tłuszczu, zupełnie nigdzie, tylko kości, brak bioder. Ale to nie było możliwe… Doktor Luce powiedział, że Callie była… I dlaczego on nic nie wspomniał o chromosomach… I jak to mogła być prawda? Takie myśli przebiegały przez głowę mojej matki, jej umysł powoli ogarniały coraz większe ciemności, a pojedyncze błyski zanikały. A gdy już Tessie przeanalizowała te wszystkie rzeczy, pomyślała o Przedmiocie, o mojej bliskiej przyjaźni z tą dziewczyną. Przypomniała sobie ten dzień, gdy jedna dziewczynka zmarła na scenie, przypomniała sobie to, jak ona sama wbiegła na scenę i zobaczyła, że ja obejmuję Przedmiot, uspokajam ją, głaszczę po włosach, i jeszcze ten nieprzytomny wyraz mojej twarzy, zupełnie nieprzypominający smutku…

Tessie cofnęła się przed tą ostatnią myślą.

Z kolei Milton nie tracił czasu na ponowne analizowanie dowodów. Na hotelowej papeterii Callie napisała: „Nie jestem dziewczyną". Ale Callie była tylko dzieckiem. Cóż ona mogła wiedzieć? Dzieci mówią bardzo różne dziwne rzeczy. Mój ojciec nie rozumiał, dlaczego uciekłem przed operacją. Nie potrafił pojąć, dlaczego nie chciałem być zoperowany, wyleczony. Ponadto był pewien, że spekulowanie na temat przyczyn mojej ucieczki było bezcelowe. Najpierw trzeba mnie znaleźć. Trzeba przywieźć mnie do domu. Później można będzie się zająć kwestią leczenia.

Milton poświęcił się tej sprawie. Większość dnia spędzał przy telefonie, obdzwaniając posterunki policyjne w całym kraju. Stale nękał nowojorskiego detektywa, pytając go o postępy w poszukiwaniach. W bibliotece publicznej przeglądał książki telefoniczne, zapisywał numery telefonów i adresy komisariatów policji i schronisk dla zbiegłych dzieci, a następnie dzwonił pod te numery, wypytując, czy nie widziano kogoś odpowiadającego mojemu opisowi. Wysyłał moją fotografię do tych

wszystkich komisariatów i rozsyłał listy do swoich partnerów z sieci Hercules, prosząc ich o wywieszanie mojego zdjęcia w każdej restauracji. Na długo przed tym, jak moje nagie ciało pojawiło się w książkach lekarskich, moja twarz pojawiła się na tablicach ogłoszeń i witrynach w całym kraju. Moja fotografia trafiła również do komisariatu policji w San Francisco, ale była niewielka szansa na to, że ktoś mnie teraz rozpozna. Jak prawdziwy banita, już zdążyłem zmienić wygląd. A i sama natura codziennie udoskonalała moje przebranie.

Przyjaciele i krewni ponownie zaczęli odwiedzać Middlesex. Ciotka Zo i moi kuzyni przybyli, aby zapewnić moim rodzicom moralne wsparcie. Pewnego dnia Peter Tatakis wcześniej zamknął swój gabinet i przyjechał z Birmingham na kolację z Miltem i Tessie. Jimmy i Phyllis Fioretos przynieśli *koulouria* i lody. Wszystko wyglądało tak, jakby inwazja na Cyprze nigdy się nie wydarzyła. Kobiety zebrały się w kuchni, przygotowując jedzenie, a mężczyźni siedzieli w salonie, cicho dyskutując. Milton wyciągnął z barku przykurzone butelki. Z fioletowego aksamitnego woreczka wyjął butelkę kanadyjskiej whisky Crown Royal i poczęstował nią gości. Ze stosu gier planszowych raz jeszcze wyjechał zestaw do tryktraka, a kilka starszych kobiet zaczęło przesuwać palcami po sznurze koralików. Wszyscy wiedzieli o mojej ucieczce, ale nikt nie znał jej przyczyny. Mówili między sobą: „Może jest w ciąży?", „Czy Callie ma chłopaka?", „To było takie dobre dziecko. Nigdy bym nie przypuszczał, że zrobi coś takiego" i „Zawsze chwalili się tym, że ich dziecko ma najlepsze oceny w tej elitarnej szkole. No, teraz już się tak nie chwalą!".

Ojciec Mike trzymał Tessie za rękę, gdy ona leżała cierpiąca w łóżku na piętrze. Zdjąwszy marynarkę, tylko w swojej czarnej koszuli z krótkim rękawem i koloratce, mówił jej, że będzie się modlić za mój powrót. Poradził Tessie, aby poszła do kościoła i zapaliła za mnie świeczkę. Zastanawiam się, jak wyglądała twarz ojca Mike'a, gdy tak trzymał moją matkę za rękę. Czy odczuwał coś na kształt *Schadenfreude*? Znajdowania przyjemności w nieszczęściu swojej byłej narzeczonej? Radości z faktu, że pieniądze szwagra nie mogły uchronić ich od tego nieszczęścia? Albo ulgi, że przynajmniej raz w drodze powrotnej do domu jego żona, Zoë, nie będzie mogła go krytykować i porównywać do Miltona? Nie jestem w stanie odpowiedzieć na te pytania. Natomiast moja matka, będąca pod wpływem środków uspokajających, pamięta tylko, że w związku

z ciśnieniem w jej oczach twarz ojca Mike'a była dziwnie wydłużona, jak twarz księdza na obrazie El Greca.

W nocy Tessie spała niespokojnie. Często budziła się z przerażenia. Rano słała łóżko, ale czasami, po śniadaniu, opuszczała rolety i ponownie kładła się, zostawiając swoje małe białe tenisówki równo ułożone na dywanie. Ciemniały jej oczodoły, a błękitne żyłki w jej skroniach wyraźnie pulsowały. Gdy dzwonił telefon, miała wrażenie, że głowa jej zaraz pęknie.

– Halo?

– Coś nowego? – to była ciotka Zo. Chwilowe podniecenie, wywołane telefonem, opadło.

– Nie.

– Nie martw się. Na pewno się odezwie.

Rozmawiały przez minutę, a potem Tessie mówiła, że musi kończyć:

– Nie powinnam zajmować linii.

Każdego ranka do San Francisco nadciąga ogromna ściana mgły. Zbiera się daleko w morzu. Formuje się nad wyspami Farallons, przykrywając leżące na skałach lwy morskie, a następnie wkracza na plażę, wypełniając długą, zieloną misę parku Golden Gate. Mgła osnuwa porannych biegaczy i samotników ćwiczących tai chi. Pokrywa mgiełką okna Szklanego Pawilonu. Snuje się po całym mieście, wokół pomników i kin, przez haszyszowe meliny w Panhandle i noclegownie w Tenderloin. Mgła przykrywa pastelowe wiktoriańskie dworki w Pacific Heights i okrywa tęczowe domy w Haight. Snuje się tam i z powrotem po krętych ulicach Chinatown, wsiada do tramwajów, powodując, że ich dzwonki brzmią jak boje, wspina się na szczyt Coit Tower, aż przestaje być widoczna, przenosi się do Mission, gdzie meksykańscy muzycy są jeszcze pogrążeni we śnie, i przeszkadza turystom. Mgła San Francisco, ta zimna, oczyszczająca tożsamość mgiełka przetaczająca się codziennie przez miasto, lepiej niż wszystko inne wyjaśnia, dlaczego to miasto jest tym, czym jest. Po drugiej wojnie światowej San Francisco było głównym punktem, przez który do kraju powracali z Pacyfiku marynarze. Na morzu wielu z nich nabrało miłosnych upodobań, na jakie krzywo patrzono na stałym lądzie. Ci marynarze zostawali więc w San Francisco, powiększając swoją liczebność i przyciągając innych, aż w końcu miasto stało się stolicą gejów, *Hauptstadt* homoseksualistów. (Kolejny dowód na nieprzewidywalność życia: Castro

jest bezpośrednim efektem kompleksu militarno-industrialnego). To właśnie ta mgła przypadła marynarzom do gustu, ponieważ użyczała miastu wyzwalającej anonimowości morza, a taka anonimowość bardzo ułatwiała osobistą przemianę. Czasami trudno było powiedzieć, czy to mgła nadciągała do miasta, czy to miasto dryfowało na jej spotkanie. W latach czterdziestych mgła ukrywała przed mieszkańcami to, co robili ci marynarze. I trwała dalej. W latach pięćdziesiątych wypełniła głowy bitników, jak piana z ich cappuccino. W sześćdziesiątych zaciemniła umysły hipisów, jak dym z trawki palonej w ich fajkach wodnych. A w latach siedemdziesiątych, gdy przybył tu Cal Stephanides, mgła skrywała w parku jego i jego nowych kolegów.

Trzeciego dnia po moim przyjeździe do Haight siedziałem w restauracji i jadłem banana z lodami i bitą śmietaną. To była już druga porcja. Pierwsze uniesienie spowodowane wolnością powoli się wypalało. Obżeranie się słodyczami już nie odganiało chandry, jak jeszcze tydzień wcześniej.

– Masz jakąś wolną kasę?

Podniosłem wzrok. Nad moim małym stoliczkiem z marmurowym blatem nachylał się dobrze znany mi typ. To był jeden z tych chłopaków z przejść podziemnych, jeden z obszarpanych uciekinierów, od jakich trzymałem się z daleka. Miał założony kaptur bluzy, w którym widać było rumianą twarz, usianą pryszczami.

– Przykro mi, ale nie – opowiedziałem.

Chłopak nachylił się nade mną i zbliżył swoją twarz do mojej.

– Masz jakąś wolną kasę? – powtórzył.

Irytował mnie jego upór. Spojrzałem więc na niego spode łba i powiedziałem:

– Mógłbym zapytać cię o to samo.

– Ale to nie ja obżeram się deserem lodowym.

– Już ci powiedziałem, że nie mam wolnej kasy.

Popatrzył na mnie i zapytał przyjaźniej:

– Skąd ty masz taką dupną walizkę?

– To moja sprawa.

– Już wczoraj cię z nią widziałem.

– Mam pieniądze tylko na te lody, na nic więcej.

– Nie masz gdzie się zatrzymać?

– Są setki miejsc, w których mogę się zatrzymać.

– Jak kupisz mi hamburgera, to ci pokażę fajne miejsce.

– Powiedziałem ci już, że są setki miejsc.

– Znam fajne miejsce w parku.

– Sam mogę iść do parku. Każdy może iść do parku.

– Nie każdy, jeśli nie chce, żeby go obskubano. Nie wiesz, co jest grane. W parku są miejsca bezpieczne i niebezpieczne. My z kumplami mamy świetne miejsce. Doskonale schowane. Gliny o nim nie wiedzą, więc możemy przez cały czas imprezować. Mógłbym ci pozwolić tam zostać, ale najpierw muszę dostać podwójnego cheesburgera.

– Jeszcze chwilę temu to był hamburger.

– Trzeba być czujnym. Cena rośnie. Ile właściwie masz lat?

– Osiemnaście.

– Aha, akurat, już ci wierzę. Nie masz osiemnastu. Ja mam szesnaście, a ty na pewno nie jesteś starszy ode mnie. Jesteś z Marin?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Już od dłuższego czasu nie rozmawiałem z rówieśnikami. To było miłe. Czułem się mniej samotny. Ale nadal trzymałem się na baczności.

– Ale kasy ci nie brakuje, co? Pan Aligator?

Nic nie odpowiedziałem. A on nagle zrobił się niesamowicie uprzejmy, pełen dziecięcych pragnień, aż nogi mu się trzęsły.

– Daj spokój, stary. Naprawdę jestem głodny. Dobra, nie musi być podwójny cheesburger. Wystarczy hamburger.

– Dobra.

– Świetnie. Hamburger. Z frytkami. Mówiłeś, że z frytkami, prawda? Nie uwierzysz, ale ja też mam bogatych starych.

I tak zaczął się okres spędzony w parku Golden Gate. Okazało się, że mój nowy kolega, Matt, nie kłamał o swoich rodzicach. Pochodził z Main Line. Jego ojciec był prawnikiem i prowadził sprawy rozwodowe w Filadelfii. Matt był czwartym dzieckiem, najmłodszym. Krępy, z wystającą szczęką, chrapliwym głosem po papierosach, uciekł z domu zeszłego lata i pojechał w trasę za zespołem Grateful Dead, ale już nie wrócił. Na ich koncertach sprzedawał farbowane koszulki z krótkim rękawem, a gdy mógł, również hasz i kwas. Zaprowadził mnie w głąb parku, a tam spotkałem jego kumpli.

– To jest Cal – powiedział im Matt. – Trochę tu posiedzi.

– Spoko.

– Jesteś przedsiębiorcą pogrzebowym?

– W pierwszej chwili myślałem, że to Abraham Lincoln.

– Nie, to są tylko jego ciuchy podróżne – powiedział Matt. – W walizce ma jakieś inne. Zgadza się?

Skinąłem głową.

– Chcesz kupić koszulkę? Mam kilka.

– W porządku.

Obozowisko mieściło się w lasku drzew mimozowych. Kosmate czerwone kwiaty na gałęziach wyglądały jak wyciory. Wydmy były porośnięte ogromnymi, wiecznie zielonymi krzewami tworzącymi naturalne szałasy. Pod tymi szałasami było dużo wolnego miejsca, a ziemia była sucha. Krzewy chroniły przed wiatrem i, w większości wypadków, przed deszczem. Pod każdym krzakiem leżało kilka śpiworów, kiedy człowiekowi chciało się spać, wybierał pierwszy wolny. Panowały zasady życia w komunie. Młodzież w obozie cały czas zmieniała się, jedni przychodzili, inni odchodzili. Obozowisko było wyposażone we wszystko, co pozostawiali: kuchenka turystyczna, garnek na makaron, przeróżne sztućce, słoiki po dżemie, pościel i fosforyzujący talerz frisbee, którym chłopcy do siebie rzucali, czasami biorąc mnie do gry, aby wyrównać stan drużyn („Jezu, Aligator! Chłopie, rzucasz jak baba!"). Nie brakowało im mieszanek bakaliowych, różnych fajek do palenia marychy i haszu, fiolek z azotynem amylu, natomiast brakowało im ręczników, bielizny i pasty do zębów. Jakieś trzydzieści metrów dalej był rów służący za latrynę. Umyć się można było w fontannie przy akwarium, ale trzeba to było robić w nocy, aby nie spotkać policji.

Jeśli któryś z chłopaków miał dziewczynę, to przez jakiś czas wszyscy mieli dziewczynę. Starałem się nie zbliżać do dziewczyn, w obawie, że mogą odgadnąć moją tajemnicę. Czułem się jak emigrant, zadzierający nosa przy spotkaniu kogoś przybyłego z ojczyzny. Nie chciałem, aby odkryto moją tajemnicę, więc wolałem siedzieć cicho. Ale tak czy owak, w tym towarzystwie niewiele miałem do powiedzenia. Wszyscy byli fanami Deadsów i tylko o tym rozmawiali. Kto i kiedy widział Jerry'ego. Kto miał pirackie nagranie i z jakiego koncertu. Matt wyleciał z liceum, ale miał doskonałą pamięć, jeśli chodzi o różne informacje związane z Grateful Dead. Miał w głowie daty i miejscowości ich trasy koncertowej. Znał teksty wszystkich piosenek, wiedział, gdzie i kiedy zespół je zagrał, ile razy i które

piosenki zagrali tylko raz. Żył w oczekiwaniu na wykonanie określonych piosenek, jak wierni oczekują przyjścia Mesjasza. Pewnego dnia zespół miał zagrać Cosmic Charlie i Matt Larson chciał tam być, aby zobaczyć odkupienie stworzenia. Kiedyś spotkał żonę Jerry'ego, Mountain Girl.

– Ona była zajebista – powiedział. – Kurde, taką dziewczynę to bym mógł kochać. Jak bym spotkał taką superlaskę, to bym się z nią ożenił, miał z nią dzieci i w ogóle.

– I co, znalazłbyś pracę?

– Moglibyśmy żyć w trasie. Nosić dzieci w nosidełkach. Jak Indianie. I sprzedawać trawkę.

Nie tylko my mieszkaliśmy w parku. Na wydmach, po drugiej stronie boiska, mieszkali bezdomni, z długimi brodami, o twarzach brunatnych od słońca i brudu. Byli znani z tego, że plądrują cudze obozowiska, więc nigdy nie zostawialiśmy naszego bez opieki. To była nasza jedyna zasada. Ktoś zawsze musiał stać na warcie.

Trzymałem się ich, bo bałem się być sam. Czas spędzony w drodze nauczył mnie dostrzegać zalety przebywania w grupie. Opuściliśmy domy z różnych powodów. W normalnych okolicznościach nigdy nie zaprzyjaźniłbym się z takimi chłopakami, ale tymczasowo postanowiłem z nimi zostać, ponieważ nie miałem dokąd pójść. W ich towarzystwie nigdy nie czułem się swobodnie. Ale nie byli też szczególnie źli. Jak sobie popili, to wybuchały awantury, ale zazwyczaj starano się zachować etos niestosowania przemocy. Wszyscy czytali „Sidharthę". Po całym obozowisku krążył stary, wyświechtany egzemplarz tej książki. Ja również ją czytałem. To właśnie najlepiej pamiętam z tego okresu: Cal, siedzący na skale, czytający Hermanna Hesse i uczący się o Buddzie.

– Słyszałem, że Budda brał kwas – powiedział jeden z chłopaków. – Na tym polegało jego oświecenie.

– Stary, wtedy nie było kwasu.

– No nie, ale to były jakieś grzyby.

– Ja myślę, że Jerry jest wcieleniem Buddy.

– No!

– Kiedy go zobaczyłem, gdy odstawiał czterdziestopięciominutową improwizację podczas grania Trucking w Santa Fe, od razu wiedziałem, że to Budda.

Nie uczestniczyłem w tych rozmowach. Oto typowy obraz: Cal siedzący w najdalszym kącie pod zwisającymi krzewami, podczas gdy całe towarzystwo fanów Grateful Dead zasypia.

Uciekłem, nie zastanawiając się nad tym, co mam zrobić ze swoim życiem. Uciekłem, choć nie miałem dokąd. Teraz byłem brudny i kończyły mi się pieniądze. Wcześniej czy później będę musiał zadzwonić do rodziców. Ale po raz pierwszy w życiu wiedziałem, że oni nic nie mogli zrobić, aby mi pomóc. Nikt nic nie mógł zrobić.

Codziennie brałem całą bandę do Ali Baby i kupowałem im hamburgery warzywne po siedemdziesiąt pięć centów za sztukę. Nie chciałem żebrać czy handlować narkotykami. Większość czasu spędzałem w mimozowym zagajniku, pogrążając się w coraz większej rozpaczy. Kilka razy poszedłem na plażę, aby posiedzieć nad morzem, ale wkrótce i tego zaprzestałem. Natura nie przynosiła ulgi. To, co było na zewnątrz, przestało istnieć. Dokądkolwiek się udałem, wszędzie byłem ja sam.

Inaczej miała się rzecz z moimi rodzicami. Dokądkolwiek by poszli, cokolwiek by robili, zawsze witała ich moja nieobecność. Po trzech tygodniach od mojego zniknięcia znajomi i rodzina przestali tak licznie odwiedzać Middlesex. W naszym domu zrobiło się ciszej. Telefon nie dzwonił. Milton zatelefonował do Jonasza, który w tym okresie mieszkał na cyplu Upper Peninsula, i powiedział:

– Twoja matka przechodzi ciężki okres. Nadal nie wiemy, gdzie jest twoja siostra. Matka na pewno lepiej by się poczuła, gdyby mogła cię zobaczyć. Może byś wpadł na weekend?

Milton nic nie wspomniał o moim liście. Podczas mojego pobytu w klinice mój brat otrzymywał od ojca tylko bardzo ogólne informacje o mojej sytuacji. Jonasz wyczuł powagę w głosie Miltona, więc zgodził się przyjeżdżać na weekendy do domu i mieszkać przez te dni w swoim dawnym pokoju. Stopniowo dowiadywał się szczegółów o moim stanie, reagując na nie spokojniej niż moi rodzice, co pomogło im, a przynajmniej Tessie, zacząć godzić się z nową rzeczywistością. To właśnie w te weekendy Milton, zdecydowany scementować na nowo nawiązane stosunki z synem, zaczął go jeszcze raz nakłaniać do zajęcia się rodzinnym interesem.

– Już nie chodzisz z tą Meg, prawda?

– Nie.

– Słuchaj, rzuciłeś studia inżynierskie. Co zatem robisz? My z matką nie za bardzo wiemy, jak ci się żyje tam, w Marquette.

– Pracuję w barze.

– W barze? I co tam robisz?

– Przygotowuję szybkie dania.

Milton przerwał tylko na chwilę.

– Powiedz, co byś wolał robić, stać za rusztem czy prowadzić sieć Hercules Hot Dog? To przecież ty je wynalazłeś.

Jonasz nie powiedział „tak". Ale również nie powiedział „nie". Kiedyś był entuzjastą nauki, ale lata sześćdziesiąte to zmieniły. Pod wpływem tej dekady przeszedł na laktowegetarianizm, zajął się medytacją transcendentalną i zaczął żuć pejotl. Niegdyś, dawno temu, rozcinał piłeczki golfowe, bo chciał się dowiedzieć, co jest w środku, ale w pewnym momencie mojego brata zafascynowało wnętrze umysłu. Przekonany o zasadniczej bezużyteczności sformalizowanej edukacji, wycofał się z cywilizacji. Obaj mieliśmy swoje chwile powrotu do natury – Jonasz na Upper Peninsula, a ja pod moim krzakiem w parku Golden Gate. Jednak w czasie gdy mój ojciec wystąpił ze swoją ofertą, Jonasz zaczynał mieć już dość lasów.

– Daj spokój – powiedział Milton. – Chodź, wyskoczymy na hot doga.

– Nie jem mięsa – odrzekł Jonasz. – Jak mógłbym prowadzić coś takiego, skoro nie jem mięsa?

– Myślałem o wprowadzeniu barów sałatkowych – odpowiedział Milton. – Teraz wielu ludzi jada produkty niskotłuszczowe.

– Dobry pomysł.

– Tak? Tak sądzisz? W takim razie to może być twoja działka – Milton trącił łokciem mojego brata, żartując. – Zostaniesz wiceprezesem do spraw barów sałatkowych.

Pojechali do baru Hercules w śródmieściu. Gdy przyjechali, panował tam duży ruch. Milton przywitał się z kierownikiem, Gusem Zarasem.

– *Yahsou*.

Gus podniósł wzrok i, o sekundę za późno, uśmiechnął się szeroko.

– Witaj, Milt. Jak leci?

– W porządku. Przyprowadziłem przyszłego szefa, żeby zobaczył bar – wskazał na mojego brata.

– Witamy w rodzinnym imperium – zażartował Gus, rozpościerając ręce. Śmiał się zbyt głośno. Przerwał, gdy zdał sobie z tego sprawę. Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Po chwili Gus zapytał:

– Zatem, co podać, Milt?

– Dwa ze wszystkim. A co mamy dla wegetarian?

– Może zupa fasolowa?

– Dobra. Dla mojego syna talerz zupy fasolowej.

– Już się robi.

Milton i Jonasz zajęli miejsca i czekali na realizację zamówienia. Po kolejnej dłuższej chwili ciszy Milton zapytał:

– Wiesz, ile twój staruszek ma teraz takich lokali?

– Ile? – zainteresował się Jonasz.

– Sześćdziesiąt sześć. Osiem na Florydzie.

Na tym skończyła się akcja werbowania wspólnika. Milton jadł w ciszy swoje hot dogi. Doskonale wiedział, dlaczego Gus tak wylewnie okazywał swoją przyjaźń. To dlatego, że myślał to, co wszyscy myślą, gdy znika dziewczyna. Myślał o najgorszym. Chwilami Milton również tak myślał. Przed nikim się do tego nie przyznawał. Nawet przed samym sobą. Ale gdy Tessie wspominała o pępowinie, o tym, że wciąż czuje moją obecność, Milton uświadamiał sobie, że on również chce w to wierzyć.

Pewnej niedzieli, gdy Tessie wychodziła do kościoła, Milton wręczył jej zwitek banknotów.

– Zapal świeczkę za Callie. Najlepiej kilka – wzruszył ramionami. – Na pewno nie zaszkodzi.

Ale gdy wyszła, pokręcił głową.

– Co się ze mną dzieje? Zapalać świeczki! Chryste!

Był wściekły na siebie, że poddaje się takim zabobonom. Ponownie przysiągł sobie, że mnie odnajdzie, że doprowadzi do mojego powrotu. Musi mu się to udać. Na pewno nadarzy się okazja, a wtedy Milton Stephanides jej nie przegapi.

Grateful Dead przyjechali do Berkeley. Matt i reszta ekipy wybrali się na koncert. Mnie przydzielono obowiązek pilnowania obozowiska.

Jest północ w mimozowym zagajniku. Obudziłem się, słysząc jakieś hałasy. Po krzakach przesuwają się światła. Słychać szepty. Liście nad moją głową robią się białe i widzę rusztowanie z gałęzi. Latarka oświetla ziemię,

moje ciało, moją twarz. W następnym momencie światło wdziera się przez wejście do mojego legowiska.

Mężczyźni natychmiast mnie osaczają. Jeden świeci mi latarką prosto w twarz, a drugi wskakuje mi na piersi, przygważdżając moje ramiona do ziemi.

– Pobudka – odzywa się ten z latarką.

To dwóch bezdomnych z wydm naprzeciwko. Jeden nadal siedzi na mnie, a drugi zaczyna przeszukiwać nasz obóz.

– Co macie tu dobrego, gnojki?

– Spójrz na niego – mówi ten drugi. – Gnojek zaraz zesra się w gacie.

Ściskam mocno nogi, nadal ogarnięty dziewczęcymi obawami.

Przede wszystkim szukają narkotyków. Ten z latarką przetrząsa śpiwory i przeszukuje moją walizkę. Po chwili wraca i przyklęka obok mnie na jednym kolanie.

– Gdzie są twoi kumple? Poszli sobie i zostawili cię samego?

Zaczyna przeszukiwać moje kieszenie. Wkrótce znajduje mój portfel i go opróżnia. W trakcie tej czynności wypada moja legitymacja szkolna. Świeci na nią latarką.

– A to co? Twoja dziewczyna?

Patrzy na zdjęcie, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Twoja dziewczyna lubi ciągnąć druta, co? Mogę się założyć, że tak – podnosi legitymację i trzyma ją przed swoimi spodniami, równocześnie poruszając znacząco biodrami. – Och tak, lubi!

– Pokaż – mówi ten, który siedzi na mnie.

Facet z latarką rzuca legitymację na moją pierś. Ten drugi schyla się i mówi do mnie niskim głosem.

– Nie waż się ruszyć, skurwysynu – puszcza moje ręce i podnosi legitymację.

Teraz mogę zobaczyć jego twarz. Siwa broda, popsute zęby, nos przekrzywiony tak, że widać przegrodę. Przypatruje się fotografii.

– Chuda suka – przenosi wzrok ze zdjęcia na mnie i nagle wyraz jego twarzy zmienia się.

– To jest dupa!

– Bystrzak jesteś, chłopie. Zawsze to powtarzam.

– Nie, mówię o nim – wskazuje palcem w moją stronę. – To jest ona! To on jest nią!

Pokazuje drugiemu zdjęcie, aby ten mógł się przyjrzeć. Latarka znowu jest skierowana w stronę Calliope, w jej sweterku i bluzce.

W końcu ten klęczący uśmiecha się.

– Coś przed nami ukrywasz? No? Masz coś ciekawego schowanego w portkach? Trzymaj ją – rozkazuje.

Włóczęga siedzący na mnie znowu przygważdża moje ręce, a drugi rozpina mi pasek.

Starałem się zrzucić ich z siebie. Wierciłem się i kopałem. Ale byli zbyt silni. Ściągnęli mi majtki do kolan. Jeden poświecił latarką i nagle odskoczył.

– Jezu Chryste!

– Co!

– Kurwa mać!

– Co jest?

– To jakiś pierdolony odmieniec!

– Co?

– Zaraz się porzygam. Popatrz!

Jak tylko ten drugi spojrzał, zeskoczył ze mnie, jakbym był zakażony. Podniósł się, wściekły. Bez słowa zaczęli mnie kopać. Równocześnie rzucali przekleństwa. Ten, który na mnie siedział, uderzył mnie czubkiem buta w bok. Chwyciłem jego nogę i nie puszczałem.

– Puszczaj, pierdolony odmieńcu!

Drugi kopał mnie w głowę. Po trzecim czy czwartym kopnięciu zemdlałem.

Kiedy się ocknąłem, wokół panowała cisza. Wydawało mi się, że sobie poszli. Nagle ktoś zachichotał.

– Prezentuj broń – usłyszałem głos. Spłynęły na mnie dwa skrzyżowane, iskrzące się strumienie żółtej cieczy.

– Spierdalaj tam, skąd przyszedłeś, odmieńcu.

Zostawili mnie leżącego w tym miejscu.

Jeszcze było ciemno, gdy znalazłem fontannę przy akwarium i umyłem się w niej. Nie wyglądało na to, żebym krwawił. Prawe oko miałem podpuchnięte tak, że nic nie widziałem. Przy próbie nabrania głębszego oddechu czułem ból w boku. Miałem z sobą ojcowską walizkę. Zostało mi siedemdziesiąt pięć centów. Najbardziej na świecie chciałem zadzwonić do

domu. Jednak zamiast tego zadzwoniłem do Boba Presto. Powiedział, że zaraz po mnie przyjedzie.

Hermafrodytos

Nie jest niczym zaskakującym, że teoria Luce'a na temat tożsamości płci zyskała na początku lat siedemdziesiątych tak dużą popularność. W tym okresie, jak to określił mój fryzjer, wszyscy chcieli być uniseks. Panowała zgoda co do tego, że o ukształtowaniu osobowości decydowało głównie środowisko, a dziecko było białą kartą gotową do zapisania. Mój własny przypadek medyczny był tylko odzwierciedleniem tego, przez co w tym okresie przechodziło całe społeczeństwo. Kobiety upodabniały się do mężczyzn, a mężczyźni do kobiet. Przez krótki okres lat siedemdziesiątych można było odnieść wrażenie, że wkrótce zniknie różnica płci. Ale wtedy pojawiło się coś nowego.

Nazywało się to biologią ewolucyjną. Pod jej wpływem nastąpiło ponowne rozdzielenie płci, mężczyźni powrócili do roli myśliwych, a kobiety do roli zbieraczek. Już nie byliśmy kształtowani przez wychowanie, to natura nas ukształtowała. Nadal rządziły nami impulsy hominidów, pochodzące sprzed ponad 20 tysięcy lat. W oparciu o tę teorię powstały przeróżne uproszczenia często spotykane w telewizji i czasopismach. Dlaczego mężczyźni nie potrafią się porozumieć? (Ponieważ podczas polowania musieli zachowywać ciszę). Dlaczego kobiety tak świetnie się komunikują? (Ponieważ musiały wołać do siebie, gdzie są owoce i jagody). Dlaczego mężczyźni nigdy nie potrafią nic znaleźć w domu? (Ponieważ mają wąskie pole widzenia, przydatne w śledzeniu zdobyczy). Dlaczego kobiety z łatwością wszystko znajdują? (Ponieważ, ochraniając gniazdo, badały wzrokiem całą okolicę). Dlaczego kobiety nie potrafią parkować samochodu? (Ponieważ niski poziom testosteronu obniża zdolność postrzegania przestrzennego). Dlaczego mężczyźni nie pytają o drogę? (Ponieważ pytanie o drogę jest oznaką słabości, a myśliwi nigdy nie okazują słabości). Taki jest stan rzeczy na

dzień dzisiejszy. Mężczyźni i kobiety, znudzeni byciem takimi samymi, znowu chcą się różnić.

Dlatego nie jest również zaskoczeniem, że w latach dziewięćdziesiątych teoria doktora Luce'a została poddana ostrej krytyce. Dziecko nie było już uznawane za czystą kartę, każdy noworodek nosił w sobie zapis dokonany przez genetykę i ewolucję. Moje życie mieści się w samym centrum tej debaty. W pewnym sensie jestem rozwiązaniem tej dyskusji. Zaraz po moim zniknięciu doktor Luce był zrozpaczony, czując, że utracił swoje największe znalezisko. Ale później, prawdopodobnie po uświadomieniu sobie, co było powodem mojej ucieczki, doszedł do wniosku, że nie byłem dowodem na słuszność jego teorii, ale raczej na jej zaprzeczenie. Miał nadzieję, że nie będę się odzywać. Publikował artykuły o mnie i modlił się, abym nigdy się nie ujawnił i nie obalił zamieszczonych w nich teorii.

Ale sprawa nie jest taka prosta. Ja nie pasuję do żadnej z tych teorii. Ani do stanowiska biologów ewolucyjnych, ani do teorii doktora Luce'a. Moja psychologiczna natura nie zgadza się również z esencjalizmem, tak popularnym wśród ruchów interseksualnych. W przeciwieństwie do tak zwanych męskich pseudohermafrodytów, o których pisała prasa, nigdy nie czułem się źle jako dziewczynka. Nadal nie czuję się w pełni dobrze wśród mężczyzn. Pożądanie spowodowało, że przeszedłem na drugą stronę, pożądanie i rzeczywisty stan mojego ciała. W dwudziestym wieku genetyka wprowadziła do naszych komórek, zaczerpnięte jeszcze od starożytnych Greków, pojęcie przeznaczenia. W niedawno rozpoczętym nowym stuleciu odkryto coś jeszcze innego. Wbrew wszelkim oczekiwaniom kod leżący u podstaw naszego istnienia jest rozpaczliwie ubogi. Zamiast oczekiwanych 200 tysięcy genów, mamy ich tylko 30 tysięcy. Niewiele więcej, niż mysz.

Pojawia się natomiast nowa ewentualność. Zdyskredytowana, niesprecyzowana, fragmentaryczna, ale niezupełnie unicestwiona – powraca wolna wola. Biologia daje nam mózg. Życie przekształca go w umysł.

W każdym razie w 1974 roku w San Francisco życie usilnie starało się, aby mi go dać.

I znowu to samo – woń chloru. Przez wyrazisty zapach dziewczyny siedzącej okrakiem na jego kolanach, przez inną, ale równie wyraźną woń

prażonej kukurydzy, jaka nadal tkwi w fotelach starych kin, pan Go wyczuwa charakterystyczny zapach basenu kąpielowego. Tutaj? W klubie „Sześć na Dziewięć”? Pociąga nosem. Siedząca na jego kolanach dziewczyna, Flora, pyta: „Podobają ci się moje perfumy?” Ale pan Go nie odpowiada. Pan Go ma zwyczaj ignorować dziewczyny, którym płaci za to, że wiercą się na jego łonie. Najbardziej lubi, gdy jedna dziewczyna skacze na nim jak żaba, a on równocześnie może patrzyć na drugą, tańczącą przy błyszczącej rurze strażackiej na scenie. Pan Go potrafi być wielofunkcyjny. Ale dzisiejszej nocy nie jest w stanie podzielić swojej uwagi. Ten zapach basenu rozprasza go. Tak jest już od tygodnia. Pan Go obraca głowę, lekko podskakującą pod wpływem wysiłków Flory, i patrzy na kolejkę formującą się przed aksamitnym sznurem. Prawie wszystkie fotele, a jest ich w Sali Pokazowej około pięćdziesięciu, są puste. Gdzieniegdzie tylko w błękitnym świetle widać głowę mężczyzny, niektórzy z nich patrzą na scenę w samotności, a kilku, podobnie jak pan Go, w towarzystwie dosiadających ich tlenionych amazonek.

Za aksamitnym sznurem wznoszą się schody ozdobione mrugającymi światełkami. Aby wejść po tych schodach, trzeba zapłacić dodatkowo pięć dolarów. Po dotarciu na piętro klubu (tak przynajmniej poinformowano pana Go) można jedynie wejść do kabiny, gdzie następnie należy włożyć żeton, w który trzeba wcześniej zaopatrzyć się na dole, płacąc dwadzieścia pięć centów za sztukę. Gdy się już to wszystko zrobi, można przez chwilę oglądać coś, co pan Go nie do końca rozumie. Pan Go bardzo dobrze zna angielski. Już od pięćdziesięciu dwóch lat mieszka w Ameryce. Ale nie za bardzo rozumie, co ma oznaczać napis reklamujący atrakcje na piętrze. To zaostrza jego ciekawość. A dodatkowo jeszcze ten zapach chloru.

Mimo zwiększonego ruchu klientów udających się po schodach na górę, pan Go sam jeszcze się tam nie wybrał. Pozostał wierny parterowi, gdzie, za jednorazową opłatą wynoszącą dziesięć dolarów, ma do wyboru kilka atrakcji. Pan Go może, jeśli tak mu się spodoba, wyjść z Sali Pokazowej i przejść do Ciemni mieszczącej się na końcu korytarza. W Ciemni są lampy błyskowe rzucające światło skupione w jednym punkcie. Tłoczą się tam mężczyźni trzymający te flesze w rękach. Jeśli uda się przepchnąć do przodu, można zobaczyć dziewczynę, a czasami dwie, leżące na obitym gumową pianką podeście. Oczywiście trzeba wykazać się pewną wiarą, żeby zakładać istnienie rzeczywistej dziewczyny czy nawet dwóch.

W Ciemni nigdy nie można zobaczyć całej dziewczyny. Widać tylko fragmenty. Widać tylko to, co oświetla flesz. Kolano, na przykład, albo sutek. Albo, co najbardziej interesowało pana Go i jego kolegów, można było zobaczyć samo źródło życia, tę rzecz najważniejszą, idealnie oczyszczoną, bez zbędnego bagażu dołączonej do niej osoby.

Pan Go może się również wybrać do Sali Balowej. W tej sali czekają dziewczyny, które pragną przytulać się w tańcu do pana Go. On jednak nie przepada za muzyką disco, a w swoim wieku już szybko się męczy. Przyciskanie dziewczyn do wyścielanych ścian w Sali Balowej wymaga dużego wysiłku. Pan Go zdecydowanie woli siedzieć w Sali Pokazowej, w poplamionych fotelach teatralnych w stylu art déco, pochodzących z nieistniejącego już kina w Oakland.

Pan Go ma siedemdziesiąt trzy lata. Codziennie rano, aby zachować męskość, pije herbatę ze sproszkowanym rogiem nosorożca. Dodatkowo jada jeszcze niedźwiedzie pęcherzyki żółciowe, jeśli uda mu się je kupić w pobliskiej chińskiej aptece. Wygląda na to, że te afrodyzjaki działają. Pan Go przychodzi do klubu „Sześć na Dziewięć" prawie co wieczór. Dziewczynom siadającym mu na kolanach lubi opowiadać jeden dowcip: „Pan Go lubi go-go". Śmieje się jedynie wtedy, gdy opowiada im ten dowcip.

Jeśli w klubie nie ma tłoku – a tak jest coraz częściej tu, na dole – Flora czasami towarzyszy panu Go przez trzy lub cztery piosenki. Za dolara jeździ na nim przez jedną piosenkę, a za darmo siedzi przez jedną lub dwie następne. Między innymi dlatego pan Go lubi Florę. Flora nie jest młoda, ale ma ładną, czystą skórę. Pan Go czuje, że jest zdrowa.

Jednak dziś, po zaledwie dwóch piosenkach, Flora zsuwa się z pana Go, mrucząc: „Przecież nie jestem biurem kredytowym". Odchodzi majestatycznym krokiem. Pan Go podnosi się, poprawia spodnie i w tym momencie powraca do niego silny zapach basenu, a ciekawość zaczyna zwyciężać. Szurając nogami, wychodzi z Sali Pokazowej i patrzy w górę schodów na wydrukowany napis:

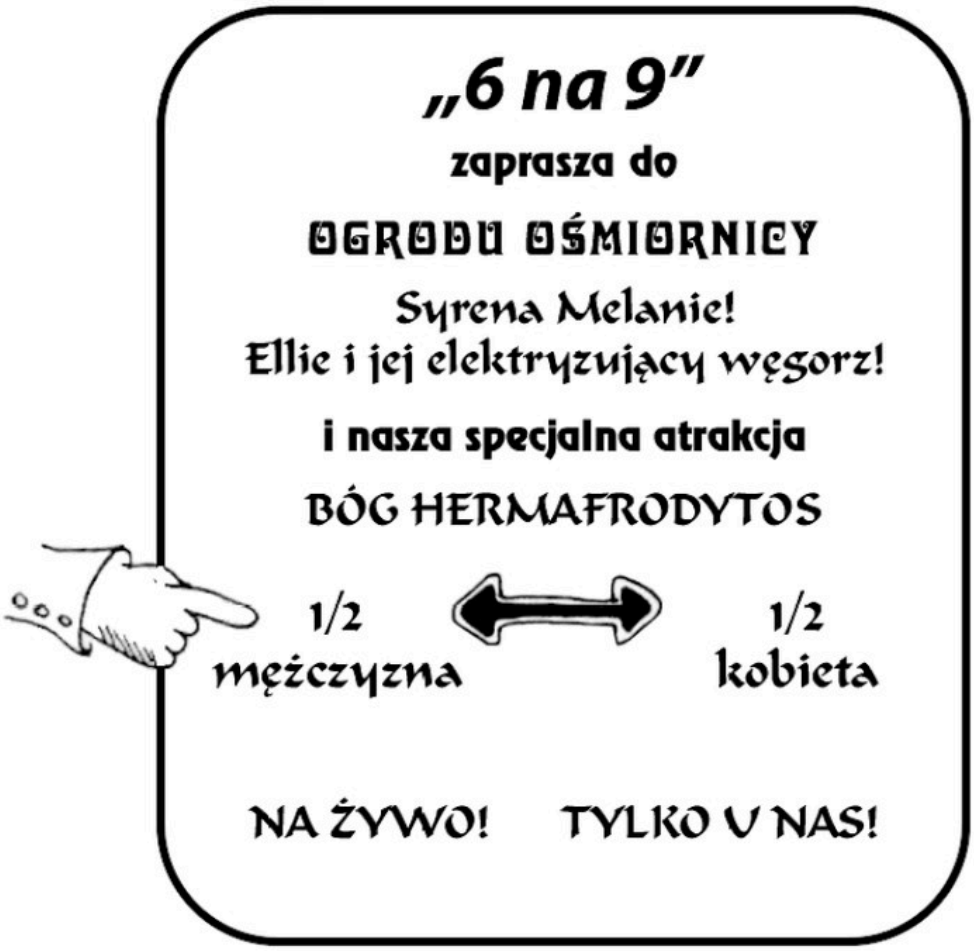

Teraz już ciekawość wzięła górę. Pan Go kupuje bilet oraz garść żetonów i wraz z innymi ustawia się w kolejce. Po chwili wchodzi po migających światłami schodach. Kabiny na piętrze nie są oznaczone numerami, tylko światełkami informującymi, czy są zajęte. Znajduje wolną kabinę, zamyka za sobą drzwi i wkłada żeton do szczeliny. Zasłona się odsuwa i ukazuje się iluminator, przez który widać podwodne głębiny. Z głośnika w suficie płynie muzyka, a niski głos zaczyna opowiadać historię:

– Dawno, dawno temu w starożytnej Grecji było zaczarowane źródło. Źródło to zostało poświęcone Salmakis, nimfie wodnej. Pewnego dnia piękny chłopiec, Hermafrodytos, wybrał się tam popływać.

Głos opowiada dalej, ale pan Go nie zwraca już na to uwagi. Zagląda do basenu, niebieskiego i pustego. Zastanawia się, gdzie są dziewczyny. Już zaczyna żałować, że kupił bilet do Ogrodu Ośmiornicy. Ale w tym momencie głos oznajmia:

– Panie i panowie, spójrzcie. Oto bóg Hermafrodytos! Pół kobieta, pół mężczyzna!

U góry słychać plusk. Woda w basenie zmienia kolor na biały, a następnie na różowy. W odległości kilku centymetrów od szkła iluminatora, po drugiej jego stronie, pojawia się ciało, żywe ciało. Pan Go przygląda się. Przyciska twarz do iluminatora. Nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego. Nigdy, przez wszystkie lata chodzenia do Ciemni. Sam nie wie, czy podoba mu się to, co widzi. Ale ten widok wywołuje dziwne uczucie, panu Go kręci się w głowie, czuje się lekki jak piórko i jak gdyby młodszy. Nagle zasłona opada. Pan Go bez wahania wrzuca kolejny żeton do szczeliny.

„Sześć na Dziewięć" w San Francisco, klub Boba Presto – stał na North Beach, w niewielkiej odległości od śródmiejskich drapaczy chmur. W sąsiedztwie włoskich restauracji, pizzerii i barów topless. Na North Beach mieściły się również efekciarskie lokale ze striptizem, jak pałac Carol Dody z jej słynnym biustem naszkicowanym na markizie. Naganiacze stojący na chodniku zachęcali przechodniów do wejścia:

– Panowie! Zapraszamy do środka na spektakl! Warto zobaczyć. Patrzenie nic nie kosztuje.

A facet przy następnym klubie nawoływał:

– U nas najlepsze dziewczyny, proszę tędy, za zasłonę!

I następny:

– Panowie, pokaz erotyczny na żywo! A dodatkowo można u nas obejrzeć mecz futbolowy!

Naganiacze byli bardzo interesującymi ludźmi, w większości byli to niedoszli poeci, którzy wolny czas spędzali głównie w księgarni City Lights, gdzie przeglądali książki wydawnictwa New Directions. Nosili prążkowane spodnie, krzykliwe krawaty, bokobrody, kozie bródki. Starali się wyglądać jak Tom Waits, choć może było na odwrót. Jak postaci Mameta, zamieszkiwali w Ameryce, jaka nigdy nie istniała, w krainie dziecięcych wyobrażeń o oszustach, cwaniakach i świecie podziemnym.

Mówi się, że San Francisco jest miejscem, do którego młodzi ludzie udają się na emeryturę. I chociaż opisanie zejścia do moralnie zdegenerowanego świata podziemnego dodałoby kolorytu mojej historii, muszę jednak wspomnieć, że North Beach Strip rozciąga się na odcinku

tylko kilku przecznic. Geografia San Francisco jest zbyt piękna, aby dopuścić do nadmiernego rozprzestrzenienia się upadku moralnego, dlatego też pośród naganiaczy spacerowało tam wielu turystów, którzy nosili bochenki chleba robionego na zakwasie i czekoladki Ghirardelli. Za dnia kręcili się tam wrotkarze i dzieci grające w parkach w zośkę. Ale przynajmniej w nocy to miejsce zaczynało nieco trącić zepsuciem moralnym i od dziewiątej wieczorem do trzeciej nad ranem mężczyźni tłumnie napływali do klubu „Sześć na Dziewięć".

A tam, to chyba jasne, ja teraz pracowałem. Pięć nocy w tygodniu, sześć godzin dziennie, przez następne cztery miesiące – i, na szczęście, już nigdy potem – zarabiałem na życie, wystawiając na widok publiczny osobliwą budowę mojego ciała. Zostałem już do tego przygotowany przez mój pobyt w klinice, gdzie stłumiono moje poczucie wstydu, a poza tym rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy. Dodatkowo klub „Sześć na Dziewięć" oferował mi atrakcje towarzyskie. Pracowałem z dwiema dziewczynami – Carmen i Zorą.

Presto był wyzyskiwaczem, psem pornograficznym, świnią seksualną, ale mogłem trafić znacznie gorzej. Bez niego być może nigdy bym się nie odnalazł. Po zabraniu mnie z parku, posiniaczonego i zmaltretowanego, Presto zawiózł mnie do swojego mieszkania. Jego namibijska dziewczyna, Wilhelmina, opatrzyła moje rany. W pewnym momencie znowu zemdlałem, a oni rozebrali mnie, aby położyć do łóżka. To wtedy Presto mógł zobaczyć, jak wielkie szczęście go spotkało.

Na pół świadomy, wyłapywałem fragmenty ich rozmowy:

– Wiedziałem. Od razu wiedziałem, gdy tylko zobaczyłem go w restauracji.

– Niczego nie wiedziałeś, Bob. Sądziłeś, że jest po operacji zmiany płci.

– Wiedziałem, że to kopalnia złota.

I później Wilhelmina:

– Ile on ma lat?

– Osiemnaście.

– Nie wygląda na osiemnaście.

– Tak mówił.

– A ty chcesz w to wierzyć, prawda? Chcesz, żeby pracował w klubie.

– To on do mnie zadzwonił. Ja tylko złożyłem mu ofertę.

I jeszcze później:

– Bob, dlaczego nie zadzwonisz do jego rodziców?

– Ten dzieciak uciekł z domu. Na pewno nie chce, żeby dzwonić do jego rodziców.

Ogród Ośmiornicy powstał przed moim przybyciem do „Sześć na Dziewięć". Presto wpadł na ten pomysł pół roku wcześniej. Carmen i Zora pracowały tam od samego początku, jako Ellie i Melanie. Ale Presto stale poszukiwał jeszcze bardziej dziwacznych wykonawców i wiedział, że ja zapewnię mu przewagę nad okoliczną konkurencją. Żaden pobliski lokal nie oferował takiej atrakcji.

Sam zbiornik nie był zbyt duży. Niewiele większy od ogrodowego, nadmuchiwanego basenu. Cztery i pół metra długości, może trzy szerokości. Schodziliśmy po drabince do ciepłej wody. Z kabin otwierał się widok bezpośrednio do wnętrza zbiornika, nie można było zobaczyć, co jest na powierzchni. Mogliśmy zatem podczas pracy wystawiać głowy z wody i rozmawiać z sobą. Naszym klientom wystarczało, że byliśmy zanurzeni od pasa w dół.

– Oni tu nie przychodzą oglądać waszych pięknych twarzy – powiedział mi Presto.

A to bardzo ułatwiało moje zadanie. Nie sądzę, abym mógł uczestniczyć w normalnym występie peep-show, stojąc twarzą w twarz z podglądaczami. Ich spojrzenia wyssałyby ze mnie duszę. Natomiast gdy się zanurzałem i pływałem w zbiorniku pod wodą, oczy miałem zamknięte. Falowałem w ciszy głębin. Zawsze, gdy przyciskałem moje ciało do szkła iluminatorów, starałem się wystawiać głowę nad powierzchnię wody, dzięki czemu nie musiałem widzieć oczu badających mojego mięczaka. Jak to kiedyś powiedziałem? Powierzchnia morza jest lustrem odzwierciedlającym rozbieżne ścieżki ewolucji. Tam, na górze, istoty skrzydlate, żyjące w powietrzu, poniżej te żyjące w wodzie. Jedna planeta, a na niej dwa światy. Klienci byli stworzeniami wodnymi, Zora, Carmen i ja pozostawaliśmy istotami żyjącymi w powietrzu. Zora leżała na mokrym dywaniku w kostiumie syreny, czekając na swoje wejście. Czasami podawała mi do ust jointa, abym mógł palić, gdy wystawiałem głowę z basenu. Po zakończeniu mojego dziesięciominutowego występu gramoliłem się na dywanik i suszyłem się. Przez system nagłaśniający Bob Presto mówił:

– Panie i panowie, brawa dla Hermafrodytosa! Tylko u nas, w Ogrodzie Ośmiornicy, gdzie płeć pana i pani zawsze jest na bani! Powiadam wam, moi drodzy, tylko u nas supergwiazda staje się rozgwiazdą, a diaboliczny artysta staje się diabłem morskim…

Leżąca na boku niebieskooka i złotowłosa Zora zapytała mnie:

– Czy mam zapięty zamek?

Sprawdziłem.

– Strasznie ciasno mi w tym zbiorniku. Zawsze czuję się tu bardzo skrępowana.

– Przynieść ci coś z baru?

– Poproszę o Negroni, Cal. Dzięki.

– Panie i panowie, czas na naszą kolejną atrakcję w Ogrodzie Ośmiornicy. Tak, widzę, że chłopcy z Akwarium Steinhardta właśnie ją wnoszą. Proszę wrzucić żetony, na pewno nie chcielibyście państwo stracić tego widoku. Czy mogę prosić o fanfary? Choć może nie, tu raczej przydałyby się homary.

Rozpoczęła się muzyka Zory. Jej uwertura.

– Panie i panowie, już od niepamiętnych czasów marynarze snuli opowieści o tym, że widzieli niewiarygodne stworzenia pływające w morzu, pół kobiety, pół ryby. My tu, w „Sześć na Dziewięć", nie wierzyliśmy w takie opowieści. Ale znajomy rybak pewnego dnia powrócił z połowu tuńczyków z niesamowitym okazem. I obecnie już wiemy, że te opowieści są prawdziwe. Panie i panowie – zawodził Bob Presto – czy… ktoś…. czuje… zapach… ryby?

Na ten sygnał Zora, w swoim gumowym stroju z błyszczącymi łuskami z zielonych cekinów, wskoczyła do basenu. Kostium sięgał jej do pasa i pozostawiał obnażone piersi i ramiona. Spłynęła w kierunku wodnego światła, otwierając oczy pod wodą, czego ja nie robiłem, uśmiechając się do mężczyzn i kobiet w kabinach. Jej długie blond włosy ciągnęły się za nią jak wodorosty, drobniutkie pęcherzyki powietrza zdobiły jej piersi jak perły, a ona machała połyskującym szmaragdowo rybim ogonem. Nie musiała odgrywać żadnej lubieżności. Zora była tak piękna, że wszystkim wystarczało samo patrzenie na nią, na jej białą skórę, piękne piersi, płaski brzuch z migoczącym pępkiem, wspaniałą krzywiznę jej kołyszących się pleców w miejscu, gdzie ciało przechodziło w łuski. Płynęła z ramionami przy bokach, zmysłowo poruszając się w wodzie. Miała pogodną twarz,

a jej oczy jaśniały błękitem Karaibów. Na dole dudniła muzyka disco, ale tu, w Ogrodzie Ośmiornicy, muzyka była eteryczna, coś na kształt melodyjnego bulgotania.

Przy pewnej dozie dobrej woli można się było w tym dopatrzyć jakiegoś artyzmu. „Sześć na Dziewięć" był klubem rozpustnym, ale w Ogrodzie atmosfera była bardziej egzotyczna niż wulgarna. Był to seksualny odpowiednik sieci egzotycznych restauracji Trader Vic's. Widzowie przychodzili oglądać dziwne rzeczy, niezwyczajne ciała, ale najważniejsze było uniesienie. Patrząc przez iluminatory, klienci oglądali rzeczywiste ciała wyglądające i zachowujące się tak, jak czasami zdarza się to widzieć w snach. Byli tam mężczyźni, heteroseksualni żonkosie, którzy czasami marzyli o kochaniu się z kobietami wyposażonymi w penisy, nie męskie penisy, ale cienkie, zwężające się, zniewieściałe łodygi, jak pręciki kwiatów, łechtaczki, które wydłużyły się niewyobrażalnie na skutek przeogromnego pożądania. Byli homoseksualiści, którzy marzyli o chłopcach o gładkiej, nieowłosionej skórze, będących prawie dziewczynami. Były lesbijki, które marzyły o kobietach z penisami, nie z męskimi penisami, ale z kobiecymi erekcjami, obdarzonymi wrażliwością i ruchliwością, jakiej nie miały żadne sztuczne penisy. Nie można ustalić, jak wielu ludzi marzy o takich seksualnych przeobrażeniach. Ale co noc przychodzili do naszego podwodnego ogrodu i zajmowali miejsca w kabinach, aby nas oglądać.

Po Syrenie Melanie nadchodził czas na Ellie i jej elektryzującego węgorza. Początkowo węgorz pozostawał w ukryciu. W niebieskawozielone głębiny wpadała smukła hawajska dziewczyna ubrana w bikini z lilii wodnych. Gdy płynęła, spadała z niej górna część stroju, a ona nadal pozostawała dziewczyną. Ale gdy w pełnym gracji balecie wodnym stawała na głowie, opuszczając dół bikini do kolan – ach, dopiero w tym momencie węgorz wkraczał na scenę. Ukazywał się na szczupłym ciele dziewczyny, był tam, gdzie żadnym prawem nie mógł być, cienki, brązowy, sprawiał wrażenie rozzłoszczonego, węgorz, gatunek na wymarciu, a gdy Ellie ocierała się o szybę, on robił się coraz dłuższy, patrzył na klientów swoim okiem Cyklopa, a oni ponownie patrzyli na jej piersi, na jej wąską talię, przenosili wzrok z Ellie na węgorza i z węgorza na Ellie, zelektryzowani tym mariażem przeciwności.

Carmen była transseksualistką czekającą na zabieg zmiany płci na żeńską. Pochodziła z Bronxu. Drobna, o delikatnych kościach, wprost

pedantycznie dbała o dobór kredki do oczu i szminki. Była na nieustannej diecie. Nie piła piwa, obawiając się o swój brzuch. Uważałem, że przesadza z kobiecym zachowaniem. W jej ruchach było zdecydowanie za dużo poruszania biodrami i odrzucania włosów. Miała piękną twarz najady, na zewnątrz była stuprocentową dziewczyną, ale w jej wnętrzu skrywał się chłopiec. Zdarzało się, że jej skóra pękała od zażywanych hormonów. Jej lekarz (rozchwytywany doktor Mel z San Bruno) stale musiał regulować dawki. Jedynymi cechami, jakie zdradzały Carmen, był jej głos, który nadal był ochrypły, mimo estrogenu i progestinu, oraz jej dłonie. Ale mężczyźni nie zwracali na to uwagi. I chcieli, aby Carmen nie była w pełni doskonała. To dopiero ich podniecało.

Jej przypadek przebiegał w sposób bardziej tradycyjny niż mój. Już od wczesnego wieku Carmen czuła, że urodziła się w nieodpowiednim ciele. Pewnego dnia w garderobie, swoim głosem z południowego Bronxu, powiedziała mi:

– Byłam wściekła, wiesz!? Kto mi dał tego kutasa? Nigdy nie prosiłam o żadnego kutasa.

Jednak nadal tam był, przynajmniej na razie. Ludzie przychodzili właśnie po to, aby go zobaczyć. Zora, myśląca analitycznie, czuła, że za zaciekawieniem wielbicieli Carmen krył się utajony homoseksualizm. Ale Carmen sprzeciwiała się takiemu poglądowi.

– Żaden z moich chłopaków nie jest gejem. Oni chcą kobiety.

– Na pewno nie – powiedziała Zora.

– Jak tylko uzbieram pieniądze, zrobię sobie tyłek jak trzeba. Wtedy zobaczymy. Będę bardziej kobietą niż ty, Z.

– Nie ma sprawy – odrzekła Zora. – Mnie nie zależy, żeby być kimś konkretnym.

Zora cierpiała na zespół niewrażliwości na androgeny. Jej ciało nie reagowało na męskie hormony. Chociaż tak jak ja była XY, rozwinęła się zgodnie z linią kobiecą. Ale w przypadku Zory wyglądało to o wiele lepiej. Oprócz tego, że była blondynką, była zgrabna i miała pełne wargi. Wydatne kości policzkowe rozdzielały jej twarz na arktyczne równiny. Gdy Zora mówiła, wyraźnie było widać, jak skóra napina się na tych kościach policzkowych, jak zagłębia się między szczękami, tworząc naprężoną maskę jak u zjawy zwiastującej śmierć, znad której wyzierały jej przenikliwe, błękitne oczy. A do tego jej figura, piersi jak u dojarki, brzuch

mistrza pływackiego, nogi sprinterki czy tancerki Marthy Graham. Nawet bez odzienia Zora wyglądała jak kobieta. Nic nie wskazywało na to, że nie miała ani macicy, ani jajników. Zespół niewrażliwości na androgeny tworzył idealną kobietę, jak powiedziała mi Zora. Wiele najlepszych modelek cierpiało na to samo.

– Ile jest dziewczyn o wzroście metr osiemdziesiąt osiem, chudych, ale z dużymi piersiami? Niezbyt wiele. To normalne u takich osób jak ja.

Niezależnie od swojej urody, Zora nie chciała być kobietą. Wolała określać się jako hermafrodyta. Była pierwszym hermafrodytą, jakiego spotkałem. Pierwszą osobą taką jak ja. Już wtedy, w 1974 roku, używała terminu „interseksualny", który w tym okresie był jeszcze rzadkością. Zamieszki w Stonewall miały miejsce zaledwie pięć lat temu. Dopiero rozwijał się ruch na rzecz praw homoseksualistów. Torował drogę wszystkim następnym walkom o tożsamość, wśród nich o naszą. Jednak stowarzyszenie Intersex Society of North America miało powstać dopiero w 1993 roku. Dlatego też o Zorze Khyber myślę jak o pionierce, o kimś takim jak Jan Chrzciciel, myślę o głosie wołającego na pustyni. W szerokim kontekście pustynią w tym przypadku była Ameryka, a nawet cała kula ziemska, ale mówiąc precyzyjniej, był to parterowy dom z sekwoi, w którym Zora mieszkała w Noe Valley i gdzie również ja teraz zamieszkałem. Gdy Bob Presto nasycił się już szczegółami mojej budowy, zadzwonił do Zory i załatwił, abym mógł się u niej zatrzymać. Zora opiekowała się takimi przybłędami jak ja. To było częścią jej powołania. Mgła nad San Francisco okrywała również hermafrodytów. Nic zatem dziwnego, że Intersex Society of North America założono w San Francisco, a nie w jakimś innym miejscu. Zora uczestniczyła w tym wszystkim w okresie gdy jeszcze nie miało to żadnej zorganizowanej formy. Zanim zrodzą się ruchy, istnieją ośrodki energii, i Zora była właśnie takim ośrodkiem. Jej działanie polegało głównie na czytaniu i pisaniu. A podczas tych miesięcy gdy z nią mieszkałem, również na edukowaniu mnie, na wyciąganiu mnie z czegoś, co było, jak to ona postrzegała, wielką ciemnotą Środkowego Zachodu.

– Nie musisz pracować dla Boba, jeśli nie chcesz – powiedziała mi. – Ja i tak wkrótce to rzucam. To tylko dorywcze zajęcie.

– Potrzebuję pieniędzy. Skradziono mi wszystkie moje pieniądze.

– A twoi rodzice?

– Nie chcę ich prosić – odpowiedziałem. Spuściłem wzrok i przyznałem: – Nie mogę do nich zadzwonić.

– Cal, co się stało? Jeśli oczywiście mogę zapytać. Co ty tu robisz?

– Zabrali mnie do tego lekarza w Nowym Jorku. A on chciał mnie zoperować.

– A ty uciekłeś?

Skinąłem głową.

– I tak masz szczęście. Ja dowiedziałam się dopiero, gdy miałam dwadzieścia lat.

To wszystko wydarzyło się pierwszego dnia w domu Zory. Jeszcze nie zacząłem pracy w klubie. Najpierw musiały zagoić się moje siniaki. Nie dziwiło mnie to, że się tu znalazłem. Gdy podróżuje się tak jak ja, nie znając trasy ani celu drogi, człowieka opanowuje jakaś święta otwartość. To dlatego pierwsi filozofowie byli perypatetykami. Podobnie Chrystus. Widzę, jak tego pierwszego dnia siedzę po turecku na batikowej poduszce na podłodze, popijając zieloną herbatę z japońskiej filiżaneczki, i patrzę na Zorę moimi wielkimi, pełnymi nadziei, zaciekawionymi i uważnymi oczami. Po ostrzyżeniu włosów moje oczy zrobiły się jeszcze większe, większe nawet od oczu postaci na bizantyńskiej ikonie, jednej ze wspinających się po drabinie do nieba i patrzących w górę, podczas gdy inni spadają w ręce ognistych demonów na dole. Czy po tych wszystkich moich kłopotach nie miałem prawa oczekiwać jakiejś nagrody w postaci wiedzy czy objawienia? W domu Zory z ryżowego papieru, z mglistym światłem wpadającym przez okna, byłem jak czyste płótno oczekujące na zapełnienie tym, co ona mi opowiadała.

– Zawsze byli hermafrodyci, Cal. Zawsze. Platon napisał, że pierwsza istota ludzka była hermafrodytą. Wiedziałeś o tym? Pierwsza osoba składała się z dwóch połówek, jednej męskiej, a drugiej żeńskiej. Następnie te dwie części rozdzieliły się. Dlatego wszyscy ciągle poszukują tej drugiej połówki. Wszyscy oprócz nas. My już posiadamy obie połówki.

Nic jej nie mówiłem o Przedmiocie.

– To prawda, że w niektórych kulturach traktuje się nas jak wybryki natury – ciągnęła. – Ale w innych jest zupełnie przeciwnie. U Indian Nawaho istnieje odrębna kategoria osób, zwanych *berdache*. *Berdache* to osoba, która przyjmuje inną płeć niż biologiczna. Pamiętaj, Cal, że należy rozróżnić płeć biologiczną od płci kulturowej. I Nawaho to rozumieją. Jeśli

ktoś chce zmienić swoją płeć kulturową, nie przeszkadzają mu w tym. I nie obwiniają takiej osoby – ale ją szanują. Tacy *berdache* są szamanami plemienia. Są uzdrawiaczami, wielkimi tkaczami, artystami.

Nie byłem sam! To właśnie było dla mnie najważniejsze, gdy słuchałem Zory. Już wtedy wiedziałem, że muszę zatrzymać się w San Francisco na jakiś czas. Przywiodło mnie tu przeznaczenie lub szczęście, i powinienem to wykorzystać dla własnych potrzeb. Nieważne było, czym będę musiał się trudnić, aby zarobić pieniądze. Chciałem tylko zostać z Zorą, uczyć się od niej i nie być tak samotnym na świecie. Już przekraczałem zaczarowane wrota tych narkotycznych, radosnych czasów młodości. Już tego pierwszego popołudnia ból w żebrach zaczął ustępować. Nawet powietrze zdawało się płonąć, delikatnie rozpalone energią, jaką odczuwamy, gdy jesteśmy młodzi, gdy synapsy iskrzą dziko, a śmierć jest bardzo daleko.

Zora pisała książkę. Mówiła mi, że chce ją wydać w małej oficynie wydawniczej w Berkeley. Pokazała mi katalog tego wydawnictwa. Oferta była eklektyczna, książki o buddyzmie, o tajemniczym kulcie boga Mitry, a nawet dziwna książka (sama będąca hybrydą) łącząca genetykę, biologię komórkową i hinduski mistycyzm. To, nad czym pracowała Zora, z pewnością pasowało do tego zestawu. Jednak nigdy nie dowiedziałem się dokładnie, jak wyglądały plany Zory dotyczące tej publikacji. W następnych latach szukałem tej książki, zatytułowanej „Święty Hermafrodyta". Nigdy jednak jej nie znalazłem. Jeśli jej nie skończyła, to na pewno nie z powodu braku zdolności. Przeczytałem większą część tej książki. Będąc wtedy w dość młodym wieku, nie mogłem oceniać jej wartości literackich czy naukowych, ale Zora posiadała dogłębną wiedzę. Gruntownie analizowała interesujący ją temat, a większość problemów znała na pamięć. Jej półki z książkami były wypełnione tekstami antropologicznymi i pracami francuskich strukturalistów i dekonstrukcjonistów. Pisała prawie codziennie. Rozkładała na biurku papiery i książki, robiła notatki i stukała na maszynie.

– Chciałbym zadać ci jedno pytanie – zagadnąłem Zorę pewnego dnia. – Powiedz, dlaczego w ogóle powiedziałaś innym o sobie?

– Co masz na myśli?

– Spójrz na siebie. Nikt nigdy by się nie dowiedział.

– Cal, ja chcę, żeby ludzie wiedzieli.

– Dlaczego?

Zora podwinęła pod siebie swoje długie nogi. Patrząc na mnie lodowato swoimi tajemniczymi, błękitnymi oczami wróżki, powiedziała:

– Ponieważ to my będziemy następni.

– Dawno, dawno temu w starożytnej Grecji było zaczarowane źródło. Źródło to było poświęcone Salmakis, nimfie wodnej. Pewnego dnia piękny chłopiec, Hermafrodytos, wybrał się tam, aby popływać.

W tym momencie opuściłem stopy do basenu. Przebierałem nimi w wodzie, a narrator ciągnął dalej.

– Salmakis ujrzała pięknego chłopca i zapłonęła pożądaniem. Podpłynęła bliżej, aby mu się przyjrzeć.

Teraz zacząłem opuszczać się do wody, centymetr po centymetrze: łydki, kolana, uda. Jeśli robiłem to w tempie przewidzianym przez Presto, właśnie zamykały się iluminatory w kabinach. Niektórzy klienci wyszli, ale wielu wrzuciło więcej żetonów. Zasłony się rozsuwały.

– Nimfa starała się opanować, ale uroda chłopca była tak wielka, że nie mogła się powstrzymać. Samo patrzenie nie wystarczyło. Salmakis podpływała coraz bliżej. I nagle, ogarnięta pożądaniem, chwyciła chłopca od tyłu, obejmując go ramionami.

Zacząłem wymachiwać nogami, burząc wodę tak, że klienci niewiele widzieli.

– Panie i panowie, Hermafrodytos walczył, aby uwolnić się z żelaznego uchwytu nimfy wodnej. Ale Salmakis była bardzo silna. Jej pożądanie było tak niepohamowane, że wkrótce stali się jednym. Ich ciała złączyły się, kobiece wniknęło w męskie, a męskie w kobiece. I oto – bóg Hermafrodytos!

Na te słowa cały zanurzyłem się w basenie, prezentując swoje nagie ciało.

A iluminatory się zamknęły.

Nikt nigdy nie opuszczał kabiny w tym momencie. Wszyscy przedłużali swój pobyt w Ogrodzie. Pod wodą słyszałem żetony wpadające do puszek. Przypominała mi się kąpiel w domu, gdy zanurzałem głowę w wannie i słuchałem stukania w rurach. Starałem się myśleć o takich właśnie rzeczach. Dzięki temu wszystko wydawało się bardzo odległe. Wyobrażałem sobie, że jestem w wannie na Middlesex. Tymczasem

w iluminatorach pojawiały się twarze, patrzące w zdumieniu, z zaciekawieniem, z odrazą, pożądaniem.

W pracy zawsze byliśmy naćpani. To był warunek wstępny. Ubierając się w nasze kostiumy, Zora i ja na początek wypalaliśmy jointa. Zora przynosiła w termosie likier Averna z lodem, a ja to piłem jak oranżadę. Musieliśmy wprowadzić się w stan częściowego zapomnienia, w nastrój prywatnej imprezy. Dzięki temu ludzie stawali się mniej realni, mniej zauważalni. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie Zora. Nasz mały domek wśród mgieł i drzew, otoczony przez niskie, kalifornijskie runo leśne, malutki stawek pełen złotych rybek, stojąca na zewnątrz buddyjska świątynia z błękitnego granitu – to było dla mnie schronienie, zajazd między dwiema miejscowościami, w którym się zatrzymałem, przygotowując się na mój powrót do świata. W tym okresie moje życie było równie podzielone, jak moje ciało. Noce spędzaliśmy w klubie „Sześć na Dziewięć", oczekując na nasz występ, znudzeni, naćpani, rozchichotani, nieszczęśliwi. Ale można się było do tego przyzwyczaić. Można się było nauczyć znosić to i o tym nie myśleć.

Za dnia zawsze byliśmy z Zorą trzeźwi. Napisała już sto osiemnaście stron swojej książki. Do pisania używała najcieńszego papieru, jaki kiedykolwiek widziałem. Dlatego też manuskrypt był łatwy do uszkodzenia. Trzeba było bardzo ostrożnie się z nim obchodzić. Zora kazała mi siadać przy kuchennym stole, a sama wnosiła go, jak bibliotekarz niosący folio Szekspira. Pod innymi względami Zora nie traktowała mnie jak dziecka. Mogłem sam decydować o swoim czasie. Poprosiła mnie o pomoc w płaceniu czynszu. Przez większość dnia chodziliśmy po domu w kimonach. Podczas pracy Z. zachowywała poważny wyraz twarzy. Ja w tym czasie przesiadywałem na werandzie i czytałem książki z jej biblioteczki, Kate Chopin, Jane Bowles i poezję Gary'ego Snydera. Chociaż różniliśmy się wyglądem, Zora zawsze podkreślała naszą solidarność. Oboje musieliśmy stawiać czoła uprzedzeniom i brakowi zrozumienia. Pochlebiało mi to, ale nie potrafiłem traktować Zory jak siostry. Nie w pełni. Przez cały czas pamiętałem o jej ukrytej pod suknią figurze. Odwracałem wzrok i starałem się nie gapić na nią. Na ulicach ludzie brali mnie za chłopaka. Za Zorą na ulicy się oglądano. Faceci gwizdali. Jednak ona nie lubiła mężczyzn. Tylko lesbijki.

Miała też swoje mroczne strony. Potrafiła pić na umór i czasami zachowywała się bardzo niestosownie. Wściekała się na futbol, na męską przyjaźń, dzieci, osobników heteroseksualnych, polityków i mężczyzn w ogólności. Były chwile gdy Zora wpadała w taką furię, że trudno mi było z nią wytrzymać. W liceum była szkolną pięknością. Poddawała się pieszczotom, które nic jej nie dawały, i oddawała się bolesnym amorom. Jak wiele ślicznotek, Zora przyciągała najgorszych facetów. Uniwersyteckich dupków. Popryszczonych zarozumialców. Nic dziwnego, że miała tak złe zdanie o mężczyznach. Ja byłem wyjątkiem. Uważała, że jestem w porządku. Zupełnie inny niż prawdziwy mężczyzna. Czułem, że pod tym względem miała sporo racji.

Rodzicami Hermafrodytosa byli Hermes i Afrodyta. Owidiusz nie napisał, jak się czuli po zniknięciu ich dziecka. Natomiast moi rodzice nadal nie odchodzili zbyt daleko od telefonu i nigdy nie wychodzili razem z domu. Ale teraz odbierali telefony już ze strachem, obawiając się złych wieści. Niewiedza była lepsza od żalu. Gdy dzwonił telefon, przez chwilę go nie odbierali. Czekali do trzeciego lub czwartego dzwonka.

Wspólnie przeżywali udręki. Przez te miesiące po moim zniknięciu Milton i Tessie doświadczali tych samych skoków nastrojów, tych samych chwil szalonych nadziei, tej samej bezsenności. Już od lat ich życie emocjonalne nie było tak doskonale zsynchronizowane, a to spowodowało, że powrócili do czasów, gdy byli po raz pierwszy zakochani.

Zaczęli kochać się z niespotykaną wcześniej częstotliwością. Jeśli w domu nie było Jonasza, nie tracili czasu na przechodzenie do sypialni, ale robili to tam, gdzie aktualnie przebywali. Używali do tego kanapy z czerwonej skóry w gabinecie, kładli się na drozdach i czerwonych jagodach na sofie w salonie, a kilka razy nawet na kuchennej wykładzinie z wzorkiem w cegły. Jedynym miejscem, w którym tego nie robili, była piwnica, ponieważ nie było tam telefonu. Ich kochanie się nie było namiętne, ale powolne i elegijne, przebiegające zgodnie z apodyktycznym rytmem cierpienia. Nie byli już młodzi, ich ciała nie były już piękne. Zdarzało się, że Tessie później płakała. Milton mocno zaciskał powieki. Ich starania rzadko, jeśli w ogóle, przynosiły jakiś rozkwit uczuć, jakąś ulgę.

I wtedy, pewnego dnia trzy miesiące po moim wyjeździe, moja matka przestała odbierać sygnały przez duchową pępowinę. Tessie leżała w łóżku,

gdy poczuła, że nagle ustąpiło delikatne mruczenie czy mrowienie w jej pępku. Usiadła. Przyłożyła dłoń do brzucha.

– Nie czuję jej! – krzyknęła Tessie.

– Co?

– Przecięto pępowinę! Ktoś przeciął pępowinę!

Milton starał się uspokajać Tessie, ale nic to nie dało. Od tej chwili moja matka była pewna, że przydarzyło mi się coś strasznego.

I tak w harmonii ich cierpienia pojawił się dysonans. Podczas gdy Milton starał się zachować podejście pozytywne, Tessie coraz bardziej poddawała się rozpaczy. Zaczęli się kłócić. Od czasu do czasu optymizm Miltona wpływał również na Tessie i przez dzień lub dwa była wesoła. Mówiła sobie, że przecież jeszcze nic nie jest pewne. Ale takie nastroje nie trwały długo. Kiedy była sama, Tessie starała się wyczuć, czy przez pępowinę nie nadchodzą jakieś sygnały, ale nie było niczego, nie było nawet wołania o pomoc.

Od mojej ucieczki minęły już cztery miesiące. Był styczeń 1975 roku. Minęły moje piętnaste urodziny i wciąż mnie nie odnaleziono. W niedzielę rano, gdy Tessie była w kościele, modląc się o mój powrót, zadzwonił telefon. Milton odebrał.

– Halo?

W pierwszej chwili nikt się nie odezwał. Milton słyszał muzykę w tle, być może radio włączone w drugim pokoju. Po chwili odezwał się stłumiony głos.

– Chyba tęsknisz za córeczką, Milton.

– Kto mówi?

– Córeczka to ktoś szczególnie ważny.

– Kto mówi? – Milton zapytał raz jeszcze i w tym momencie połączenie zostało przerwane.

Nie powiedział Tessie o tym telefonie. Podejrzewał, że to jakiś dowcipniś. Albo niezadowolony pracownik. W 1975 roku gospodarka była w stanie recesji i Milton zmuszony był zamknąć kilka punktów z hot dogami. Jednak w następną niedzielę telefon znowu zadzwonił. Tym razem Milton odebrał po pierwszym dzwonku.

– Halo?

– Dzień dobry, Milton. Dziś chciałbym zadać ci pytanie. Czy chcesz je usłyszeć, Milton?

– Proszę mi powiedzieć, kto mówi, bo odkładam słuchawkę.

– Nie sądzę, żebyś mógł to zrobić, Milton. Jestem twoją jedyną szansą na odzyskanie córeczki.

W tym momencie Milton wykonał charakterystyczny gest. Ciężko odetchnął, wyprostował ramiona i lekko skinąwszy głową przygotował się na to, co miało nadejść.

– Dobra – powiedział. – Słucham.

Ale dzwoniący odłożył słuchawkę.

„Dawno, dawno temu w starożytnej Grecji było zaczarowane źródło…" Mogłem to już robić, śpiąc. Tak naprawdę, to prawie spałem, jeżeli wziąć pod uwagę nasze świętowanie za sceną, lejący się likier, uspokajający dym. Minęło Halloween, później Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Na Nowy Rok Bob Presto zorganizował ogromne przyjęcie. Zora i ja piliśmy szampana. Gdy przyszedł czas na mój występ, wskoczyłem do wody. Byłem naćpany, pijany i tej nocy zrobiłem coś, czego normalnie nie robiłem. Otworzyłem oczy pod wodą. Ujrzałem wpatrzone we mnie twarze i zobaczyłem, że nie są zbulwersowane. Tej nocy naprawdę dobrze się bawiłem w basenie. To było w pewnym sensie zbawienne. Miało charakter terapeutyczny. Długo ukrywane w Hermafrodytosie napięcia burzyły się i powoli się rozładowywały. Uwolnione zostały urazy psychiczne, tłumione w kabinie toalety. Ustępował wstyd z powodu posiadania ciała odmiennego od innych. Hermafrodytos przestawał czuć się potworem. A wraz z zanikaniem wstydu i wstrętu do własnej osoby, goiła się jeszcze jedna rana. Hermafrodytos zaczynał zapominać o Mrocznym Przedmiocie.

Przez ostatnie tygodnie w San Francisco przeczytałem wszystko, co mi dała Zora, starając się podnieść poziom mojej edukacji. Dowiedziałem się o wielu różnych postaciach hermafrodytyzmu. Czytałem o zespole Cushinga i o feminizujących jądrach, a także o czymś, co nazywało się wnętrostwo, a co dotyczyło mnie. Czytałem o zespole Klinefeltersa, w którym dodatkowy chromosom X powoduje, że człowiek staje się wysoki, nabiera cech eunucha i nieprzyjemnego usposobienia. Bardziej interesował mnie materiał historyczny niż medyczny. Z rękopisu Zory dowiedziałem się o *hijra* w Indiach, o *kwoluaatmwols* z plemienia Sambia w Papui-Nowej Gwinei i o *guevedoche* z Republiki Dominikany. Karl Heinrich Ulrichs, piszący w Niemczech w 1860 roku, opowiadał o *das dritte Geschlecht*, trzeciej płci. Sam siebie określał jako homoseksualistę i wierzył,

że posiada kobiecą duszę w męskim ciele. Wiele kultur na świecie operowało nie dwiema, ale trzema płciami. A ta trzecia zawsze była specjalna, pełna wzniosłości, obdarzona magicznymi darami.

Pewnej zimnej, deszczowej nocy postanowiłem sprawdzić, czy ja również dysponuję czymś takim. Zory nie było w domu. To była niedziela i mieliśmy wolne. Usiadłem na podłodze w pozycji półlotosu i zamknąłem oczy. Skoncentrowawszy się, zatopiony w modlitwie, oczekiwałem na opuszczenie mojego ciała przez duszę. Starałem się wpaść w trans albo stać się zwierzęciem. Starałem się ze wszystkich sił, ale nic się nie wydarzyło. Jeśli chodzi o nadnaturalne zdolności, to chyba nie miałem żadnych. Tejrezjaszem to ja nie byłem.

W ten sposób dotarliśmy do piątkowej nocy pod koniec stycznia. Minęła już północ. Carmen była w basenie, wykonując swój wodny balet jak Esther Williams. Zora i ja siedzieliśmy w garderobie, kultywując naszą tradycję (termos, kanabis). Kostium syreny utrudniał Z. prawidłowe poruszanie się, więc leżała rozciągnięta na kanapie jak jakaś rybia odaliska. Ze zwisającego przez podłokietnik ogona kapała woda. Miała na sobie koszulkę z Emily Dickinson.

Przez system nagłośnienia do garderoby dochodziły dźwięki z basenu. Bob Presto odstawiał swoją gadkę:

– Panie i panowie, mam nadzieję, że jesteście przygotowani na naprawdę elektryzujące przeżycie.

Zora i ja ustami zamarkowaliśmy następną kwestię:

– Czy jesteście gotowi na wysokie napięcie?

– Mam już dość tego miejsca – powiedziała Zora. – Naprawdę.

– Powinniśmy odejść?

– Tak.

– A czym moglibyśmy się zająć?

– Bankowością hipoteczną.

Usłyszeliśmy plusk z basenu.

– Ale gdzie się podział węgorz naszej Ellie? Panie i panowie, chyba nam się gdzieś ukrył. A może w końcu wymarł? Może złapał go jakiś rybak. No, tak, panie i panowie, węgorz Ellie jest wystawiony na sprzedaż na Fisherman's Wharf!

– Bob myśli, że jest dowcipny – powiedziała Zora.

– Porzućcie takie zmartwienia, panie i panowie. Ellie na pewno nas nie zawiedzie. Moi drodzy, proszę bardzo. Oto elektryczny węgorz Ellie!

Z głośnika dobiegły dziwne dźwięki. Uderzenie w drzwi. Krzyk Boba Presto:

– Zaraz, co tu się dzieje? Tu nie wolno wchodzić.

I w tym momencie system dźwiękowy zamilkł.

Osiem lat wcześniej policja zrobiła nalot na melinę przy Dwunastej Ulicy w Detroit. Teraz, na początku 1975 roku, robili nalot na klub „Sześć na Dziewięć". Tym razem nie wybuchły żadne zamieszki. Klienci szybko opuścili kabiny, zasłaniając twarze wyszli na ulicę i oddalili się pospiesznie. Sprowadzono nas po schodach w dół i ustawiono w szeregu wraz z innymi dziewczynami.

– Proszę – powiedział policjant, gdy zbliżył się do mnie. – A ile ty możesz mieć lat?

Na posterunku policji zezwolono mi na jeden telefon. I w końcu się załamałem, poddałem i zrobiłem to – zadzwoniłem do domu.

Odebrał mój brat.

– To ja – powiedziałem. – Cal.

Zanim jeszcze Jonasz zdążył odpowiedzieć, wyrzuciłem z siebie wszystko. Powiedziałem mu, gdzie jestem i co się stało.

– Tylko nie mów mamie i tacie – dodałem.

– Nie mogę – powiedział Jonasz. – Nie mogę powiedzieć tacie.

I chwilę później, tonem świadczącym o tym, że sam jeszcze nie mógł w to uwierzyć, mój brat powiedział mi, że był wypadek i że Milton nie żyje.

Powietrzna jazda

Wykorzystując moje oficjalne stanowisko zastępcy attaché kulturalnego, ale jako osoba prywatna, uczestniczyłem w otwarciu wystawy Warhola w Neue Nationalgalerie. W pomieszczeniach sławnego, zaprojektowanego przez Miesa van der Rohe budynku mijałem znane sitodruki słynnego twórcy pop-artu. Neue Nationalgallerie jest wspaniałym muzeum sztuki, ale ma jedną wadę – nie ma w nim gdzie wieszać sztuki. Tym się jednak nie przejmowałem. Patrzyłem przez szklane ściany na Berlin i czułem się głupio. Czy sądziłem, że na wernisażu będą artyści? Byli tylko mecenasi sztuki, dziennikarze, krytycy i tak zwane towarzystwo.

Wziąwszy kieliszek wina od przechodzącego kelnera, usiadłem na jednym z krzeseł ze skóry i chromu. Krzesła również projektował Mies van der Rohe. Wszędzie można spotkać podróbki, ale te były oryginalne, już zniszczone, z czarną skórą brązowiejącą na krawędziach. Zapaliłem cygaro i zaciągnąłem się nim, próbując poprawić sobie humor.

Tłum plotkował, kręcąc się między wizerunkami Mao i Marilyn. Wysoki strop powodował, że akustyka w pomieszczeniu była przytłumiona. Wokół kręcili się chudzi faceci z ogolonymi głowami. Siwowłose kobiety zawinięte w szale z naturalnego włókna świeciły pożółkłymi zębami. Za oknem widać było stojący naprzeciwko budynek Staatsbibliotek. Nowy Potsdamer Platz wyglądał jak centrum handlowe w Vancouver. W oddali reflektory na budowie oświetlały szkielety dźwigów. Po leżącej w dole ulicy mknęły samochody. Zaciągnąłem się cygarem, zmrużyłem oczy i zobaczyłem swoje odbicie w szybie.

Wspomniałem wcześniej, że z wyglądu przypominam muszkietera. Ale (zwłaszcza widziany w lustrze wieczorową porą) przypominam także fauna. Brwi wygięte w łuk, szelmowski uśmieszek, blask w oczach. Nie pomagało również cygaro wystające spomiędzy moich zębów.

Poczułem, że ktoś stuka mnie w plecy.

– Ekscentryk z cygarem – powiedział kobiecy głos.

W czarnej szybie Miesa rozpoznałem Julie Kikuchi.

– Ejże, tu jest Europa – odpowiedziałem z uśmiechem. – Tutaj cygara nie są fanaberią.

– Sama paliłam cygara, jeszcze na studiach.

– Naprawdę? – odparłem. – Proszę, zapal sobie.

Usiadła na krześle obok i wyciągnęła rękę. Wyjąłem cygaro z kieszonki marynarki i podałem jej wraz z gilotynką i zapałkami. Julie przysunęła cygaro pod nos i powąchała je. Potarła delikatnie palcami, aby sprawdzić wilgotność. Odciąwszy jeden koniec, włożyła cygaro do ust, zapaliła zapałkę i zaczęła wypuszczać kłęby dymu.

– Mies van der Rohe palił cygara – powiedziałem dla zachęty.

– A widziałeś kiedyś zdjęcie Miesa? – zapytała.

– Punkt dla ciebie.

Siedzieliśmy obok siebie, nie rozmawiając, tylko paląc i patrząc na wnętrze muzeum. Prawe kolano Julie lekko podskakiwało. Po chwili odwróciłem się na krześle i spojrzałem na nią. Odwróciła twarz w moim kierunku.

– Niezłe cygaro – przyznała.

Nachyliłem się w jej stronę, a ona w moją. Twarze zbliżały się do siebie, aż w końcu nasze czoła niemal się zetknęły. Pozostawaliśmy w tej pozycji przez jakieś dziesięć sekund. Po chwili się odezwałem:

– Pozwól, że ci powiem, dlaczego nie zadzwoniłem do ciebie.

Wziąłem głęboki oddech i zacząłem:

– Muszę ci coś o sobie powiedzieć.

Moja opowieść zaczęła się w 1922 roku, gdy niepokój budziła kwestia dostaw ropy naftowej. W 1975 roku, gdy moja opowieść się kończy, ludzie ponownie martwili się ograniczeniem dostaw ropy. Dwa lata wcześniej Organizacja Arabskich Krajów Eksportujących Ropę Naftową nałożyła embargo na dostawy. W Stanach Zjednoczonych wprowadzono częściowe zaciemnienie, a na stacjach paliwowych tworzyły się długie kolejki samochodów. Prezydent ogłosił, że tego roku nie zapłoną lampki na choince przed Białym Domem, i wymyślono zamek do baku.

W tamtych czasach wszyscy odczuwali niedostatek. W gospodarce panowała recesja. W całym kraju rodziny jadły kolacje w ciemnościach, tak

jak to było u nas, na Seminole, gdy korzystaliśmy tylko z jednej żarówki. Jednak mój ojciec nie aprobował oszczędzania energii. Milton bardzo zmienił się od czasów, gdy liczył kilowaty. Dlatego też tej nocy, gdy wyruszył, aby zapłacić za mnie okup, siedział za kierownicą ogromnego cadillaca, pożerającego paliwo jak smok.

Ostatni cadillac mojego ojca – eldorado z 1975 roku. W kolorze ciemnogranatowym, prawie czarnym, samochód przypominał pojazd Batmana. Milton pozamykał wszystkie drzwi. Właśnie minęła druga w nocy. Ulice w nadrzecznej dzielnicy były bardzo wyboiste, krawężniki porośnięte chwastami i zaśmiecone. W mocnych światłach reflektorów samochodu widać było drobiny rozbitego szkła na drodze, a także gwoździe, kawałki metalu, stare kołpaki, puszki, rozpłaszczoną parę męskich majtek. Pod wiaduktem stał rozebrany wrak samochodu, bez opon, z szybą rozbitą w drobny mak, pozbawiony wszystkich chromowanych elementów i bez silnika. Milton nacisnął na pedał gazu, nie tylko nie zważając na braki paliwowe, ale także nie dbając o wiele innych niedostatków i braków. Brakowało na przykład nadziei na Middlesex, gdzie jego żona już nic nie czuła przez swoją duchową pępowinę. Brakowało jedzenia w lodówce, przekąsek w szafkach kuchennych, a także świeżo wyprasowanych koszul i czystych skarpetek w komodzie. Brakowało zaproszeń na spotkania towarzyskie i telefonów, gdyż znajomi moich rodziców obawiali się dzwonić do domu znajdującego się w stanie zawieszenia między euforią a żalem. Na przekór tym wszystkim brakom Milton zalewał paliwem silnik samochodu, a gdy tego było mało, otwierał leżącą na siedzeniu obok teczkę i w świetle padającym z deski rozdzielczej patrzył na leżące w niej dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w gotówce.

Moja matka nie spała, gdy Milton wyśliznął się z łóżka niecałą godzinę wcześniej. Leżąc na plecach, słyszała, jak się ubierał w ciemnościach. Nie zapytała go, po co wychodzi w środku nocy. Kiedyś by zapytała, ale teraz już nie. Od mojego zniknięcia zawalił się codzienny porządek dnia. Miltonowi i Tessie często zdarzało się siedzieć w kuchni o czwartej nad ranem i pić kawę. Tessie zaczęła się niepokoić dopiero, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi. Po chwili Milton uruchomił samochód i zaczął cofać go na podjeździe. Moja matka nasłuchiwała, aż ucichł w oddali dźwięk silnika. Ze zdumiewającym spokojem pomyślała: „Może odjeżdża na zawsze". Już opuścili ją ojciec i córka, teraz mógł ją opuścić również mąż.

Milton miał wiele powodów, aby nie mówić Tessie, dokąd jedzie. Obawiał się, że go zatrzyma. Każe mu zadzwonić na policję, a on nie chciał wzywać policji. Porywacz powiedział mu, żeby nie mieszał do tego stróżów prawa. Poza tym Milton miał dość gliniarzy i ich obojętności. Jeśli zależało mu, aby coś zostało zrobione, musiał to zrobić sam. A przede wszystkim cała ta sprawa może okazać się jednym wielkim oszustwem. Gdyby powiedział o tym Tessie, ona by się tylko niepotrzebnie martwiła. Mogłaby zadzwonić do Zoë, a ta z kolei zwymyślałaby go. Krótko mówiąc, Milton robił to, co zawsze zwykł robić, gdy trzeba było podjąć ważną decyzję. Jak wtedy, gdy wstąpił do marynarki, czy wtedy, gdy przeniósł nas wszystkich na Grosse Pointe, Milton zrobił, co chciał, pewien, że on sam wie najlepiej.

Po ostatnim tajemniczym telefonie Milton oczekiwał następnego. Telefon zadzwonił w kolejną niedzielę.

– Halo?

– Dzień dobry, Milton.

– Posłuchaj, kimkolwiek jesteś. Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Nie zadzwoniłem, żeby słuchać, czego ty chcesz, Milton. Ważne jest, czego ja chcę.

– Chcę odzyskać moją córkę. Gdzie ona jest?

– Jest tu, ze mną.

Również tym razem w tle słychać było muzykę albo śpiew. Milton miał wrażenie, że z czymś mu się to kojarzy, z czymś sprzed wielu lat.

– Skąd mam wiedzieć, że ją masz?

– Może mnie o coś zapytasz? Dużo mi opowiadała o waszej rodzinie. Bardzo dużo.

Wściekłość, jaka w tym momencie opanowywała Miltona, była prawie nie do zniesienia. Z trudem powstrzymywał się przed roztrzaskaniem słuchawki o biurko. Równocześnie zastanawiał się i oceniał sytuację.

– Jak się nazywa wioska, z której pochodzili jej dziadkowie?

– Chwileczkę – słuchawka została zakryta, a po chwili głos odpowiedział: – Bithynios.

Kolana ugięły się pod Miltonem. Usiadł za biurkiem.

– Czy już mi wierzysz, Milton?

– Kiedyś pojechaliśmy zwiedzać jaskinie w Tennesse. Byliśmy w takim miejscu, w którym strasznie zdzierają z turystów. Jak się nazywały te jaskinie?

Znowu przykryto słuchawkę. Chwilę później głos odpowiedział:

– To były jaskinie Mammothonics Caves.

Słysząc to, Milton zerwał się z krzesła. Twarz mu nabiegła krwią i zaczął szarpać kołnierzyk koszuli, z trudem łapiąc oddech.

– Teraz ja zadam ci pytanie, Milton.

– Jakie?

– Ile dla ciebie jest warta twoja córka?

– Ile chcesz?

– Ubijamy interes, tak? Dogadujemy cenę?

– Jestem gotów do negocjacji.

– Ależ to ekscytujące.

– Ile chcesz?

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

– Dobra.

– Nie, Milton – poprawił go głos – nic nie rozumiesz. Chcę się targować.

– Co?

– Targuj się, Milton. To jest interes.

Milton był skonsternowany. Pokręcił głową nad dziwacznością tego żądania, ale, ostatecznie, spełnił je.

– Dobra. Dwadzieścia pięć to zdecydowanie za dużo. Mogę zapłacić trzynaście tysięcy.

– Rozmawiamy o twojej córce, Milton. Nie o hot dogach.

– Nie mam tyle pieniędzy.

– Zgodzę się na dwadzieścia dwa.

– Mogę dać piętnaście.

– Minimum dwadzieścia.

– Siedemnaście to moje ostatnie słowo.

– A co powiesz na dziewiętnaście?

– Osiemnaście.

– Osiemnaście i pół.

– Zgoda.

Rozmówca się roześmiał.

– Tak, to była świetna zabawa, Milt. – Następnie dodał szorstko: – Ale ja chcę dwadzieścia pięć.

I odłożył słuchawkę.

W 1933 roku moja babka słuchała bezcielesnego głosu docierającego do niej przez kratkę systemu ogrzewania. Czterdzieści dwa lata później mój ojciec słuchał zmienionego głosu, jakim ktoś mówił do niego przez telefon.

– Dzień dobry, Milton.

Znowu było słychać muzykę, cichy śpiew.

– Mam pieniądze – powiedział Milton. – Teraz chcę dostać moją dziewczynkę.

– Jutro w nocy – odrzekł porywacz. A potem powiedział Miltonowi, gdzie ma zostawić pieniądze i gdzie ma czekać na moje uwolnienie.

Przed cadillakiem Miltona, po drugiej stronie nadrzecznej doliny, wznosił się budynek dworca Grand Trunk. W 1975 roku dworzec był jeszcze używany, aczkolwiek tylko sporadycznie. Niegdyś elegancki budynek obecnie był tylko pustą skorupą. Łuszczące się ściany z odpadającym tynkiem przykryte były tablicami reklamującymi sieć pociągów intercity Amtrak. Większość korytarzy była zamknięta. Cały wielki budynek, otaczający funkcjonujące jeszcze centrum stacji, wolno popadał w ruinę, z sufitu w Palm Court odpadały płytki Gustavino, rozpryskując się, niegdyś ogromny zakład fryzjerski został przekształcony w składowisko rupieci, świetliki zapadły się pod ciężarem brudu. Połączony z terminalem biurowiec zmienił się w trzynastopiętrowy gołębnik, w którym wybito, nie pomijając ani jednej, wszystkie pięćset szyb. Na ten właśnie dworzec pół wieku temu przyjechali moi dziadkowie. To tutaj Lefty i Desdemona, jedyny raz, wyjawili swoją tajemnicę Sourmelinie, a teraz ich syn, który nigdy nie poznał tego sekretu, również potajemnie parkował za budynkiem dworca.

Taka scena jak ta, scena przekazania okupu, wymaga nastroju jak z filmu kryminalnego – cienie, mroczne sylwetki. Ale niebo nie dostosowało się do wymagań chwili. To była jedna z naszych różowych nocy. Zdarzały się dosyć często, w zależności od temperatury i stężenia chemikaliów w powietrzu. Gdy w atmosferze zbierała się odpowiednia ilość określonej substancji, światło z ziemi nie ulatywało w powietrze, ale było przechwytywane i odbijane z powrotem, a całe niebo nad Detroit nabierało delikatnego, różowego koloru waty cukrowej. W różowe noce nigdy nie zapadały ciemności, ale światło w niczym nie przypominało dziennego. Nasze różowe noce jarzyły się surową luminescencją nocnej

zmiany, blaskiem fabryk pracujących przez całą dobę. Czasami niebo było tak jasne jak budyń wiśniowy, ale częściej miało stonowany kolor płynu do płukania prania. Nikogo to nie dziwiło. Nikt nic o tym nie mówił. Wszyscy dorastaliśmy wśród różowych nocy. Nie były, co prawda, zjawiskiem naturalnym, ale dla nas były naturalne.

Pod tym dziwnym nocnym niebem Milton podjechał jak najbliżej peronu kolejowego i zatrzymał samochód. Zgasił silnik. Zabrawszy teczkę, wysiadł z auta i wkroczył w ciche, krystaliczne zimowe powietrze. Cały świat był zamarznięty, drzewa w oddali, linie telefoniczne, trawa na podwórzach nadrzecznych domów, sama ziemia. Na rzece zabuczała syrena frachtowca. Tutaj nie było słychać żadnych dźwięków, w nocy dworzec był zupełnie opustoszały. Milton miał na nogach czarne mokasyny z frędzelkami. Ubierając się w ciemnościach, stwierdził, że najłatwiej będzie założyć te buty. Miał również na sobie kurtkę w wyblakłym, beżowym kolorze, obszytą futerkiem przy kołnierzu. Z powodu panującego zimna założył kapelusz – szare filcowe borsalino z czerwonym piórkiem sterczącym zza czarnej opaski. W roku 1975 taki kapelusz wyglądał już staromodnie. W kapeluszu, mokasynach i z teczką Milton mógł być w drodze do pracy. A szedł bardzo szybko. Po metalowych schodach wbiegł na peron kolejowy. Kroczył wzdłuż niego, szukając kubła na śmieci, do którego miał wrzucić teczkę. Porywacz powiedział, że pokrywa będzie oznaczona literą X narysowaną kredą.

Milton spiesznym krokiem szedł po peronie, frędzelki na jego mokasynach podskakiwały, a małe piórko w kapeluszu falowało na zimnym wietrze. Nie można powiedzieć, żeby się bał. Milton Stephanides nie dopuszczał do siebie myśli o strachu. Nigdy oficjalnie nie przyznawał się do fizjologicznych objawów strachu, do przyspieszonego bicia serca czy pocenia się pod pachami. Pod tym względem nie różnił się specjalnie od innych mężczyzn ze swojego pokolenia. Wielu ojców krzyczało, gdy się czegoś obawiali, albo łajało swoje dzieci, aby zrzucić winę z siebie. Jest nawet prawdopodobne, że takie cechy były niezbędne w pokoleniu, które wygrało wojnę. Niezdolność do introspekcji dobrze wpływała na podbudowanie odwagi, ale przez ostatnie miesiące i tygodnie wyrządziła Miltonowi dużą szkodę. Przez cały okres po moim zniknięciu Milton na zewnątrz zachowywał spokój, ale wewnątrz dręczyły go wątpliwości. Był jak posąg wydłubywany od środka, opróżniany. Coraz więcej myśli

sprawiało mu ból i Milton tym bardziej ich unikał. Starał się natomiast koncentrować na tych kilku, które mu poprawiały humor, na frazesach, że wszystko idzie jak trzeba. Milton, zupełnie po prostu, przestał zastanawiać się nad swoim postępowaniem. Co robił tu, na tym ciemnym peronie? Dlaczego przyszedł tu sam? Nigdy nie uda nam się znaleźć na to pytanie właściwej odpowiedzi.

Odnalezienie kubła oznaczonego kredą nie zajęło mu wiele czasu. Milton szybko podniósł trójkątną, zieloną pokrywę i włożył teczkę do środka. Ale gdy spróbował wyjąć ramię, coś go zatrzymało – to była jego dłoń. Milton przestał się zastanawiać nad tym, co robi, więc tę funkcję przejęło jego ciało. Zdawało się, że jego własna ręka ma mu coś do powiedzenia. Zgłaszała zastrzeżenia.

– A co będzie, jeśli porywacz nie uwolni Callie? – mówiła ręka.

Na co Milton odpowiedział:

– Nie ma czasu się nad tym zastanawiać.

Jeszcze raz spróbował wyjąć ramię z kubła na śmieci, lecz ręka uparcie się opierała:

– A jeśli porywacz weźmie pieniądze, a później będzie chciał więcej? – zapytała ręka.

– To jest ryzyko, z jakim należy się liczyć – rzucił Milton i z całej siły wyciągnął ramię z kubła na śmieci. Palce się rozluźniły, teczka upadła na leżące w kuble odpadki. Milton pospiesznie przeszedł po peronie (ciągnąc rękę za sobą) i wsiadł do cadillaca.

Uruchomił silnik. Włączył dmuchawę, ogrzewając dla mnie samochód. Pochylił się do przodu i patrzył przez przednią szybę, oczekując, że zaraz się pojawię. Jego dłoń wciąż jeszcze go swędziała i mamrotała coś do siebie. Milton pomyślał o teczce leżącej w kuble na śmieci. Wyobraził sobie pieniądze w środku niej. Dwadzieścia pięć tysiączków! Widział poszczególne pliki banknotów studolarowych, powtarzającą się twarz Benjamina Franklina w podwojonych lustrach tej całej gotówki. Miltonowi zaschło w gardle, przez jego ciało przeszła fala niepewności, znana wszystkim dzieciom okresu kryzysu, i w następnej sekundzie wypadł z samochodu, gnając z powrotem na peron.

Ten facet chciał ubić interes? To Milton mu pokaże, jak się ubija interes! Chciał się targować? Ciekawe, co powie na to! (Milton biegł po schodach, mokasyny dźwięczały na metalowych stopniach). Przecież zamiast

zostawić dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, może zostawić dwanaście tysięcy pięćset! „W ten sposób będę miał w ręku argument. Połowa teraz, połowa później". Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Co się z nim, do diabła, działo? Był zbyt zestresowany… Jednak gdy dotarł na peron, mój ojciec stanął jak wryty. Nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego do kubła na śmieci sięgała ciemna postać w czapce narciarskiej. Ten widok zmroził mu krew w żyłach. Nie wiedział, czy się cofnąć, czy iść dalej. Porywacz starał się wyjąć teczkę z kubła, ale ta nie mieściła się w otworze. Obszedł kubeł i z tyłu podniósł całą metalową pokrywę. W chemicznej jasności Milton zobaczył patriarchalną brodę, blade, woskowe policzki i – zupełnie wyraźnie – drobną figurę, wzrostu metr sześćdziesiąt dwa. Ojciec Mike.

Ojciec Mike? Ojciec Mike był porywaczem? Niemożliwe. Niewiarygodne! Ale nie było wątpliwości. Na peronie stał mężczyzna, który kiedyś był zaręczony z moją matką i który stracił ją na rzecz mojego ojca. Okup odbierał były seminarzysta, który poślubił siostrę Miltona, Zoë, skazując się tym samym na nieustanne krzywdzące porównania, gdyż Zoë ciągle pytała, dlaczego nie zainwestował na giełdzie, skoro Milton tak zrobił, albo dlaczego nie kupił złota, gdy Milton to zrobił, albo nie wyprowadził pieniędzy na Kajmany, przecież Milton tak zrobił; skazując się na bycie ubogim krewnym, na znoszenie braku szacunku ze strony Miltona, a równocześnie na przyjmowanie jego gościnności i na konieczność przynoszenia sobie krzesła z jadalni do salonu, jeśli chciał usiąść. Tak, widok szwagra na peronie był dla Miltona prawdziwym szokiem. Ale to również trzymało się kupy. Teraz było jasne, dlaczego porywacz chciał się targować o cenę, dlaczego przynajmniej raz chciał się poczuć biznesmenem i, niestety, skąd wiedział o Bithynios. Wyjaśniło się, również, dlaczego telefonował w niedzielę, gdy Tessie była w kościele, a także wyjaśniła się zagadka tajemniczej muzyki w tle, którą teraz Milton rozpoznał jako śpiew kapłanów w czasie liturgii. Dawno temu mój ojciec skradł ojcu Mike'owi narzeczoną i sam się z nią ożenił. Dziecko z tego związku, czyli ja, dolało oliwy do ognia przez ochrzczenie kapłana w odpowiedzi na swój własny chrzest. A teraz ojciec Mike próbował wyrównać rachunki.

Ale Milton mógł jeszcze temu zapobiec.

– Hej! – krzyknął, biorąc się pod boki. – Co ty tam, do diabła, wyciągasz, Mike?

Ojciec Mike nie odpowiedział. Podniósł wzrok i, kapłańskim zwyczajem, uśmiechnął się życzliwie do Miltona, a w krzaku czarnej brody ukazały się jego białe zęby. Ale już zaczął się wycofywać, stąpając po rozgniecionych kubkach i innych śmieciach, tuląc do piersi teczkę jak spakowany spadochron. Zrobił tak trzy lub cztery kroki, nadal uśmiechając się grzecznie, a następnie odwrócił się i rzucił do ucieczki. Był mały, ale szybki. Przemknął jak strzała po schodach z drugiej strony peronu. W różowym świetle Milton dostrzegł, jak przekracza tory kolejowe, zmierzając do swojego samochodu, jasnozielonego („grecka zieleń" jak informowano w katalogu), ekonomicznego gremlina AMC. Milton pobiegł do swojego cadillaca, aby ruszyć za nim.

To, co teraz nastąpiło, w niczym nie przypominało filmowych pościgów samochodowych. Nie było ostrych wiraży czy jazdy na pograniczu kolizji. Ostatecznie to był pościg republikanina w średnim wieku za kapłanem greckiego kościoła prawosławnego. Gdy tak mknęli (z zachowaniem wszelkich proporcji) z dworca Grand Trunk, kierując się w stronę rzeki, ojciec Mike i Milton nigdy nie przekroczyli ograniczenia prędkości o więcej niż dziesięć mil na godzinę. Ojciec Mike obawiał się, że może zwrócić uwagę policji. Milton, zdając sobie sprawę z tego, że szwagier nie ma dokąd uciec, stwierdził, że może spokojnie jechać za nim aż do samej rzeki. I tak powolutku jechali – dziwaczny gremlin zatrzymujący się gwałtownie na światłach i eldorado chwilę później robiące to samo. Ojciec Mike próbował uciec w najgłupszy możliwy sposób, jadąc wzdłuż bezimiennych ulic, obok ruder, przez cały ten zapuszczony teren ograniczony przez autostrady i rzekę. Postępował tak jak zawsze, i powinna tu być ciotka Zo, aby nakrzyczeć na ojca Mike'a, bo tylko idiota skierowałby się w stronę rzeki, zamiast w kierunku autostrady. W którąkolwiek ulicę by wjechał, żadna nigdzie by go nie doprowadziła.

– Mam cię – triumfował Milton. Gremlin skręcił w prawo. Eldorado również. Gremlin skręcił w lewo, a za nim ten sam manewr wykonał cadillac. Milton miał pełny bak. Mógł jechać za ojcem Mike'em przez całą noc, jeśli byłaby taka potrzeba.

Czując się pewnie, Milton wyregulował nadmuch powietrza, bo zrobiło się już zbyt gorąco. Włączył radio. Pozwolił, aby gremlin nieco się od niego oddalił. Kiedy spojrzał ponownie, gremlin znowu skręcał w prawo. Trzydzieści sekund później Milton wszedł w ten sam zakręt i zobaczył

przed sobą szeroki przestwór mostu Ambassador. Natychmiast stracił pewność siebie. Jednak tym razem było inaczej. Dzisiejszej nocy jego szwagier kapłan, który spędził życie w bajkowym świecie kościoła, wystrojony jak Walter Liberace z Las Vegas, przynajmniej raz coś wymyślił. Gdy tylko Milton zobaczył most rozpięty nad rzeką jak gigantyczna, błyszcząca harfa, poczuł, że ogarnia go panika. Z przerażeniem uświadomił sobie plan ojca Mike'a. Podobne zamiary miał Jonasz, gdy groził, że ucieknie przed poborem – ojciec Mike kierował się do Kanady! Jak przemytnik Jimmy Zizmo, kierował się do liberalnej kryjówki bezprawia na północy! Planował wywieźć pieniądze z kraju. I teraz już nie jechał wolno.

Mimo miniaturowego silnika, brzęczącego jak maszyna do szycia, gremlin jednak przyspieszał. Opuścił ziemię niczyją, otaczającą dworzec Grand Trunk, i wjechał w kontrolowany przez służby celne, jasno oświetlony i bardzo ruchliwy pas nadgraniczny między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą. Wysokie latarnie oświetlały karoserię gremlina, która nabrała teraz jeszcze bardziej wściekłego zielonego koloru. Oddalając się od eldorado (jak samochód Jokera uciekający przed Batmobilem), gremlin wjechał między ciężarówki i samochody kierujące się w stronę wjazdu na wielki most wiszący. Milton dodał gazu. Ogromny silnik cadillaca zaryczał; z rury wydechowej podniósł się biały dym. W tym momencie te dwa samochody stały się dokładnie tym, czym samochody powinny być – przedłużeniem swoich właścicieli. Gremlin był mały i zwinny, jak ojciec Mike; pojawiał się i znikał między samochodami, tak jak on za ikonostasem w kościele. Eldorado, solidne i stateczne – jak sam Milton – nie było łatwe w manewrowaniu wśród nocnego ruchu na moście. Drogą jechały ogromne naczepy. Do kasyn i klubów nocnych w Windsorze zmierzały samochody osobowe. W tym całym ruchu Milton stracił z oczu samochód ojca Mike'a. Wjechał do kolejki i czekał. Nagle, sześć samochodów przed nim, zobaczył jak gremlin wyskakuje z kolejki, wciska się przed inny samochód i podjeżdża do punktu pobierania opłat. Milton opuścił szybę w drzwiach. Wystawił głowę na zimne, przepełnione spalinami powietrze i wrzasnął:

– Zatrzymać tego człowieka! On ma moje pieniądze!

Jednak celnik nie słyszał go. Milton zobaczył, że urzędnik zadał ojcu Mike'owi kilka pytań, a później – „Nie! Stać!" – przepuścił ojca Mike'a.

W tym momencie Milton zaczął walić pięścią w klakson.

Dobywający się spod maski samochodu dźwięk mógłby wychodzić wprost z klatki piersiowej Miltona. Gwałtownie podskoczyło mu ciśnienie krwi, a jego ciało w kurtce oblało się potem. Był przekonany, że uda mu się postawić ojca Mike'a przed sądem w Stanach Zjednoczonych. Ale kto wie, co się stanie, gdy on wjedzie do Kanady? Do Kanady, z tym jej pacyfizmem i uspołecznioną służbą medyczną! Kanady z milionami ludzi mówiących po francusku! Przecież to było jak… jak… jak jakiś obcy kraj! Ojciec Mike może zostać tam jako uchodźca i żyć dostatnio w Quebecu. Może zniknąć w Saskatchewan i włóczyć się po kanadyjskich bezdrożach. Milton wściekał się nie tylko z powodu straty pieniędzy. Oprócz ucieczki z dwudziestoma pięcioma tysiącami i łudzenia Miltona fałszywymi nadziejami na mój powrót, ojciec Mike porzucał własną rodzinę. Braterski instynkt opiekuńczy mieszał się w piersiach Miltona z bólem finansowym i ojcowskim.

– Nie zrobisz tego mojej siostrze, słyszysz? – krzyczał Milton, siedząc za kierownicą swojego wielkiego, przyblokowanego samochodu. Po chwili krzyknął za szwagrem: – Hej, dupku, nie słyszałeś nigdy o prowizji? Jak tylko wymienisz pieniądze, stracisz pięć procent!

Gotując się ze złości za kierownicą, z przodu zablokowany przez naczepę, a z tyłu przez gości nocnego klubu, Milton w bezsilnej furii wił się na siedzeniu i rzucał przekleństwami.

Jednak trąbienie mojego ojca nie pozostało niezauważone. Celnicy byli przyzwyczajeni do niecierpliwych kierowców. Mieli swoje sposoby, jak radzić sobie z takimi natrętami. Gdy tylko Milton podjechał do punktu pobierania opłat, celnik pokazał mu, że ma zjechać na bok.

Przez opuszczoną szybę Milton krzyczał:

– Tam przejechał facet, który ma moje pieniądze. Czy możecie zatrzymać go po drugiej stronie? Jedzie gremlinem.

– Proszę zjechać na bok.

– Ukradł mi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów!

– Porozmawiamy o tym, gdy pan zjedzie na bok i wysiądzie z samochodu.

– On chce je wywieźć z kraju! – Milton jeszcze raz starał się wyjaśnić. Ale celnik niezmiennie pokazywał mu, że ma zjechać na boczny pas. W końcu Milton poddał się. Cofnął głowę, chwycił kierownicę i posłusznie zaczął

zjeżdżać na wolny pas. Jednak gdy tylko minął budkę celników, nacisnął na pedał gazu i cadillac z piskiem opon ruszył do przodu.

Teraz to już zaczęło wyglądać jak prawdziwy pościg samochodowy. Na moście ojciec Mike również nacisnął na gaz. Klucząc między samochodami a ciężarówkami, mknął w kierunku linii oddzielącej dwa kraje, a Milton gnał za nim, błyskając długimi światłami, aby ludzie zjechali mu z drogi. Most wznosił się nad rzeką zgrabną parabolą, oświetloną czerwonymi światłami na napiętych stalowych linach. Opony cadillaca szumiały na żłobkowanej nawierzchni. Milton trzymał nogę na podłodze, wrzucając, jak to on określał, ostry bieg. Teraz widać już było różnicę między luksusowym samochodem a nowomodnym kartonowym samochodzikiem. Silnik cadillaca ryczał na wysokich obrotach. Pracowało osiem jego cylindrów, gaźnik zasysał ogromne ilości paliwa. Tłoki posuwały się w górę i w dół, koło pędne wirowało jak oszalałe, a długi samochód superbohatera mijał inne pojazdy, jakby stały w miejscu. Widząc nadjeżdżające z wielką szybkością eldorado, inni kierowcy zjeżdżali na bok. Milton ciął wprost przez ruch uliczny, aż w końcu dojrzał przed sobą zielonego gremlina.

– No, to tyle masz z ekonomicznego silnika! – krzyknął Milton. – Czasami przydaje się trochę mocy pod maską!

Ojciec Mike zauważył nadciągające eldorado. Wdusił pedał gazu w podłogę, ale silnik gremlina już od pewnego czasu pracował na najwyższych możliwych obrotach. Samochód gwałtownie drżał, ale nie przyspieszał. Cadillac z każdą chwilą był coraz bliżej. Milton nie zdejmował nogi z pedału gazu, aż w końcu przedni zderzak prawie dotknął tyłu gremlina. Mknęli teraz z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Ojciec Mike spojrzał w lusterko i zobaczył w nim mściwe oczy Miltona. Milton, wpatrzony we wnętrze gremlina, ujrzał fragment twarzy ojca Mike'a. Zdawało się, że kapłan prosi o wybaczenie albo tłumaczy swoje zachowanie. W jego oczach widać było dziwny smutek, słabość, jakiej Milton nie potrafił zrozumieć.

...Obawiam się, że teraz będę musiał zajrzeć do wnętrza głowy ojca Mike'a. Czuję, że wciąga mnie do środka i nie mogę się temu oprzeć. Wierzchnia część jego umysłu to wir przerażenia, chciwości i rozpaczliwych myśli o ucieczce. Nie jest to żadnym zaskoczeniem. Ale wchodząc głębiej, odkrywam coś, czego nigdy się nie spodziewałem. Nie ma tam żadnego łagodnego usposobienia, zupełnie nic, żadnej bliskości

z Bogiem. Łagodność ojca Mike'a, jego milczący uśmiech przy rodzinnych posiłkach, sposób, w jaki nachylał się, aby być na tym samym poziomie, co twarze dzieci (nie musiał się specjalnie schylać, ale jednak) – te wszystkie atrybuty istniały w oderwaniu od jakiejkolwiek komunikacji ze światem transcendentalnym. Stanowiły jedynie pasywno-agresywny sposób na przetrwanie, były wynikiem małżeństwa z tak krzykliwą kobietą jak ciotka Zo. Tak, w głowie ojca Mike'a nadal rozbrzmiewają wrzaski ciotki Zo, które słyszał przez te lata od czasu, gdy była nieustannie w ciąży w Grecji, pozbawiona pralki czy suszarki. Słyszę:

– I ty to nazywasz życiem?

I:

– Jeśli Bóg może cię wysłuchać, to powiedz mu, żeby mi przysłał czek na zasłony.

I:

– Może jednak katolicy mają rację. Księża nie powinni mieć rodzin.

W kościele Michael Antoniou jest tytułowany ojcem. Ponadto jest darzony szacunkiem i hołubiony. W kościele dysponuje mocą odpuszczania grzechów i uświęcania hostii. Ale zaraz po przekroczeniu przez niegoprogu bliźniaka na Harper Woods status ojca Mike'a leci na łeb na szyję. W domu jest nikim. W domu jest obiektem narzekań, jest pomiatany i ignorowany. Nie trudno zatem zrozumieć, dlaczego ojciec Mike postanowił porzucić rodzinę i dlaczego potrzebował pieniędzy…

…Jednak Milton nie potrafił wyczytać tego wszystkiego z oczu szwagra. A w następnej chwili te oczy znowu się zmieniły. Ojciec Mike ponownie spojrzał na drogę i zobaczył przerażający widok. Migały czerwone światła stopu auta znajdującego się przed nim. Ojciec Mike jechał zdecydowanie za szybko, aby się zatrzymać na czas. Wcisnął pedał hamulca, ale już było za późno: grecko-zielony gremlin wpadł na samochód znajdujący się przed nim. Zaraz po tym eldorado. Milton skulił się, przygotowując się na uderzenie. Ale wtedy wydarzyło się coś zdumiewającego. Usłyszał chrzęst metalu i brzęk tłuczonych szyb, ale te dźwięki dochodziły z samochodów znajdujących się przed nim. Sam cadillac nawet na moment się nie zatrzymał. Wspiął się wprost po samochodzie ojca Mike'a. Dziwaczny, pochyły tył gremlina posłużył za rampę i w następnej sekundzie Milton zdał sobie sprawę z tego, że szybuje w powietrzu. Ciemnogranatowe eldorado wzniosło się w górę, ponad wypadek na moście. Pożeglowało nad

balustradami, między linami i zanurkowało ze środkowego przęsła mostu Ambassador.

Eldorado spadało maską w dół, nabierając prędkości. Przez przyciemnianą przednią szybę Milton widział płynącą pod nim rzekę Detroit, ale trwało to tylko chwilę. W tych ostatnich sekundach, gdy życie przygotowywało się do opuszczenia jego ciała, odwołało również swoje prawa. Zamiast wpaść do rzeki, cadillac wzniósł się i wyrównał lot. Milton był zaskoczony, ale równocześnie bardzo zadowolony. Nie przypominał sobie, żeby sprzedawca wspominał coś o funkcji latania. A co ważniejsze, Milton nic za to nie dopłacił. Samochód odpływał w powietrzu od mostu, a Milton się uśmiechnął.

– No, to dopiero nazywa się powietrzna jazda – powiedział do siebie. Eldorado unosiło się wysoko nad rzeką, pożerając Bóg jeden raczy wiedzieć jak dużo paliwa. Niebo na zewnątrz było różowe, a światełka na desce rozdzielczej zielone. Na desce było wiele przełączników i wskaźników. Milton większości z nich nigdy wcześniej nie zauważył. Całość bardziej przypominała kabinę w samolocie niż wnętrze samochodu, a Milton siedział za sterami i leciał swoim ostatnim cadillakiem nad rzeką Detroit. Nie miało znaczenia, co widzieli naoczni świadkowie, ani to, że następnego dnia gazety podały, że cadillac znalazł się w karambolu dziesięciu samochodów na moście. Siedząc w wygodnym, skórzanym, kubełkowym fotelu, Milton Stephanides widział zbliżającą się linię wieżowców w śródmieściu. Z radia dobiegała muzyka, stary kawałek Artie Shawa – czemu nie? – a Milton patrzył, jak na budynku Penobscot zapala się i gaśnie czerwone światełko. Po kilku próbach, mniej lub bardziej udanych, nauczył się sterować latającym samochodem. To nie była kwestia obracania kierownicą, ale raczej siły woli, jak w świadomym śnie. Milton skierował auto nad ląd. Minął Cobo Hall. Okrążył wierzchołek hotelu Pontch, gdzie kiedyś zabrał mnie na lunch. Z niewyjaśnionych przyczyn Milton nie bał się już wysokości. Podejrzewał, że wynikało to z nieuchronności śmierci; już nie było się czego bać. Bez zawrotów głowy i pocenia się patrzył w dół, na park Grand Circus, aż dojrzał to, co pozostało z kół Detroit, a potem skierował się w stronę West Side, aby poszukać starego baru „Zebra". Tymczasem na moście głowa mojego ojca roztrzaskała się o kierownicę. Gdy moja matka zapytała później detektywa,

który przyszedł poinformować ją o wypadku, o stan ciała Miltona, odpowiedział tylko:

– Obrażenia, jakich doznał, były skutkiem rozbicia samochodu jadącego z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

W głowie Miltona nie przepływały już fale mózgowe, więc zrozumiałe było, dlaczego, szybując w cadillacu, mógł zapomnieć, że bar „Zebra" już dawno temu spłonął. Nie mógł pojąć, dlaczego nie może go odnaleźć. Po starej dzielnicy pozostał tylko opustoszały teren. Patrząc z góry, można było odnieść wrażenie, że większa część miasta znikła. Widać było tylko kolejne puste parcele. Ale również tu Milton się mylił. W niektórych miejscach kiełkowała kukurydza i powracała trawa. Ziemia w dole wyglądała jak teren rolniczy. „Równie dobrze mogliby to oddać Indianom" – pomyślał Milton. „Może plemię Potowatomies chciałoby to dostać. Mogliby otworzyć kasyno". Niebo zmieniło się w watę cukrową, a miasto ponownie stało się równiną. Ale już błyskało inne czerwone światełko. Nie na budynku Penobscot; w środku samochodu. To był jeden z tych wskaźników, których Milton wcześniej nie widział. Wiedział, co on oznacza.

W tym momencie Milton się rozpłakał. Nagle całą twarz miał zalaną łzami, dotykał jej, łkając i szlochając. Opadł do tyłu i, ponieważ nikt go nie widział, otworzył usta, aby dać upust przemożnemu żalowi. Nie płakał od dzieciństwa. Zdumiał go głęboki dźwięk jego płaczu. To był płacz niedźwiedzia, rannego i umierającego. Milton ryczał w cadillacu, a samochód po raz ostatni zaczął kierować się w dół. Płakał nie dlatego, że umierał, ale dlatego, bo Calliope wciąż nie powróciła, bo nie udało mu się mnie uratować, bo zrobił wszystko, co mógł, abym wrócił, a mnie wciąż nie było.

Gdy samochód przechylił się do przodu, ponownie pojawiła się rzeka. Milton Stephanides, weteran marynarki wojennej, przygotowywał się na jej spotkanie. Teraz już nie myślał o mnie. Muszę rzetelnie zarejestrować tok myśli Miltona. Na samym końcu nie myślał już o mnie czy o Tessie, czy o kimkolwiek z nas. Nie było na to czasu. Gdy samochód spadał do wody, Milton zdążył tylko zdumieć się tym, jaki obrót przybrały sprawy. Przez całe życie pouczał innych, jak mają robić różne rzeczy, a teraz on zrobił najgłupszą rzecz z możliwych. Nie potrafił wprost uwierzyć, że mógł tak potwornie wszystko spieprzyć. Dlatego też jego ostanie słowa zostały

wypowiedziane spokojnie, bez złości czy obawy, jedynie z konsternacją i pewną dozą męstwa. „Ptasi móżdżek" – powiedział do siebie Milton w swoim ostatnim cadillaku. Następnie pochłonęła go woda.

Prawdziwy Grek mógłby zakończyć tą tragiczną nutą. Ale Amerykanin ma zakodowane zachowanie optymizmu. Gdy rozmawiamy teraz z matką o Miltonie, dochodzimy do wniosku, że odszedł w samą porę. Odszedł, zanim nasz Jonasz, który przejął po nim rodzinną firmę, w niecałe pięć lat doprowadził ją do ruiny. Zanim Jonasz, jakby odwołując się do przepowiadania płci przez Desdemonę, zaczął nosić na szyi małą srebrną łyżeczkę. Odszedł przed opróżnieniem kont bankowych i zablokowaniem kart kredytowych. Zanim Tessie była zmuszona sprzedać Middlesex i przenieść się z ciotką Zo na Florydę. I na trzy miesiące przed wypuszczeniem przez koncern Cadillaca, w kwietniu 1975 roku, ekonomicznego modelu seville, który wyglądał, jakby zgubił spodnie, i od tego czasu cadillaki nigdy już nie były takie same. Milton odszedł, zanim wydarzyło się wiele rzeczy, których nie będę opisywał w mojej opowieści, ponieważ są to powszechne tragedie amerykańskiego życia i nie pasują do tak wyjątkowego i nietypowego zapisu egzystencji. Odszedł przed końcem zimnej wojny, przed tarczami przeciwrakietowymi, globalnym ociepleniem, przed tragedią 11. września oraz przed drugim prezydentem, w którego nazwisku była tylko jedna samogłoska.

Ale co najważniejsze, Milton odszedł, nie zobaczywszy mnie. To nie byłoby łatwe. Lubię wyobrażać sobie, że miłość mojego ojca do mnie była na tyle mocna, że mógłby mnie zaakceptować w mojej nowej postaci. Ale z pewnych względów to nawet lepiej, że ani on, ani ja nigdy nie musieliśmy rozwiązywać tego problemu. Dla mojego ojca na zawsze pozostanę dziewczynką. Jest w tym jakaś czystość, czystość dzieciństwa.

Ostatnia przystań

– To się w pewien sposób z tym wiąże – powiedziała Julie Kikuchi.

– Nie – odrzekłem.

– Tak, to ma wiele wspólnego.

– To, co ci o sobie opowiedziałem, nijak się ma do bycia gejem czy lesbijką. Zawsze podobały mi się dziewczyny. Podobały mi się również wtedy, gdy ja sam byłem dziewczyną.

– Czy nie jestem dla ciebie czymś w rodzaju ostatniej przystani?

– Raczej pierwszej przystani.

Julie się roześmiała. Wciąż jeszcze nie podjęła decyzji. Czekałem. W końcu stwierdziła:

– Dobra.

– Dobra? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Dobra – powiedziałem.

Wyszliśmy zatem z muzeum i poszliśmy do mnie. Wypiliśmy kolejnego drinka, tańczyliśmy w salonie przytuleni do siebie. Następnie poprowadziłem Julie do sypialni, gdzie już od dawna nikogo nie gościłem.

Wyłączyła światło.

– Poczekaj – zawołałem. – Czy wyłączasz światło ze względu na siebie, czy ze względu na mnie?

– Ze względu na mnie.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem skromną, wstydliwą kobietą Wschodu. Nie myśl, że będę cię kąpała.

– Nie będzie kąpieli?

– Nie, chyba że odtańczysz taniec Zorby.

– Gdzie ja mam moje buzuki? – starałem się dalej przekomarzać. Równocześnie zdejmowałem ubranie. Julie również. To przypominało skok do zimnej wody. Nie można się zbyt długo zastanawiać, trzeba to

zrobić od razu. Wsunęliśmy się pod pościel i objęliśmy się, skamieniali, szczęśliwi.

– To ja mogę być twoją ostatnią przystanią – powiedziałem, tuląc się do niej. – Pomyślałaś kiedyś o tym?

A Julie Kikuchi odpowiedziała:

– Przeszło mi to kiedyś przez myśl.

Jonasz przyleciał do San Francisco, aby mnie odebrać z aresztu. Moja matka musiała napisać list do policji z prośbą o zwolnienie mnie i oddanie pod opiekę mojego brata. Wkrótce miała się odbyć rozprawa, ale jako młodociany i bez kryminalnej przeszłości miałem szansę, że zostanę jedynie oddany pod nadzór kuratora. (To przestępstwo zostało wymazane z moich akt i nie przeszkodziło mi w późniejszym objęciu stanowiska w Departamencie Stanu. Wtedy oczywiście nie myślałem o tym. Byłem zbyt oszołomiony, pogrążony w żalu i chciałem wrócić do domu).

Gdy wprowadzono mnie do biura na komisariacie, mój brat siedział na długiej drewnianej ławie. Spojrzał na mnie beznamiętnie, jedynie zamrugał oczami. Taki już był Jonasz. Wszystko odbywało się w jego wnętrzu. Jego mózg analizował i oceniał wrażenia, a dopiero potem pojawiała się jakaś oficjalna reakcja. Oczywiście byłem do tego przyzwyczajony. Czy jest coś bardziej naturalnego niż odruchy i zwyczaje naszych najbliższych? Przed laty Jonasz namówił mnie do opuszczenia majtek, aby móc na mnie popatrzeć. Teraz patrzył w górę, ale jego wzrok również był utkwiony w mojej postaci. Przyglądał się mojej ogołoconej głowie. Wpatrywał się w ubranie żałobnika. Całe szczęście, że mój brat brał tak dużo LSD. Jonasz wcześnie zajął się sprawami związanymi z rozszerzaniem możliwości umysłu. Kontemplował filozoficzne pojęcie maji, istnienie wielu płaszczyzn jestestwa. Tak przygotowanej osobowości łatwiej było się pogodzić z tym, że własna siostra staje się bratem. Od początku świata byli hermafrodyci. Ale sądzę, że dopiero pokolenie mojego brata, jak żadne pokolenie wcześniej, było odpowiednio przygotowane do zaakceptowania mnie. Niemniej jednak widok mojej osoby po przemianie musiał robić wrażenie. Jonasz szeroko otworzył oczy.

Nie widzieliśmy się od ponad roku. Jonasz również się zmienił. Miał krótsze włosy. Powiększyły mu się zakola. Dziewczyna kolegi zrobiła mu trwałą ondulację. Uprzednio proste włosy Jonasza teraz uciekały z przodu,

a z tyłu tworzyły lwią grzywę. Już nie wyglądał jak John Lennon. Znikły wytarte dzwony i okrągłe okulary w drucianej oprawce. Teraz nosił brązowe biodrówki. W blasku świetlówek migotała jego koszula z szerokim kołnierzykiem. Tak naprawdę lata sześćdziesiąte nigdy się nie skończyły. Wciąż trwają na Goa. Ale dla mojego brata w 1975 roku lata sześćdziesiąte już odeszły w przeszłość.

W innej sytuacji z pewnością poświęcilibyśmy więcej czasu tym szczegółom. Ale teraz nie mogliśmy sobie pozwolić na taki luksus. Przeszedłem przez pomieszczenie. Jonasz podniósł się i mocno się uściskaliśmy.

– Tato nie żyje – brat powtórzył mi do ucha. – Nie żyje.

Zapytałem go, co się stało, a on mi opowiedział. Milton przejechał przez posterunek celny. Ojciec Mike również był na tym moście. Teraz jest w szpitalu. We wraku gremlina znaleziono starą walizkę Miltona wypełnioną pieniędzmi. Ojciec Mike przyznał się policji do wszystkiego, do podstępu z porwaniem i do wymuszenia okupu.

Gdy to wszystko już do mnie dotarło, zapytałem:

– A jak się czuje mama?

– Nieźle. Trzyma się. Jest wściekła na Milta.

– Wściekła?

– Że tam pojechał. Że jej nie powiedział. Cieszy się, że wracasz do domu. Na tym się skupia. Wracasz na pogrzeb. I to się liczy.

Wracaliśmy do domu nocnym lotem. Pogrzeb był następnego ranka. Jonasz zajmował się wszystkimi formalnościami, załatwiał odpisy aktu zgonu i umieszczał nekrologi w prasie. Nie pytał mnie o mój pobyt w San Francisco czy w klubie „Sześć na Dziewięć". Dopiero gdy znaleźliśmy się w samolocie i Jonasz wypił kilka piw, nawiązał do mojego aktualnego stanu.

– To chyba nie mogę już do ciebie mówić: „Callie".

– Możesz mnie nazywać, jak chcesz.

– To może: „bracie"?

– Może być.

Nie odzywał się, tylko mrugał oczami. Jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał, musiała upłynąć chwila, zanim ponownie się odezwał.

– Niewiele słyszałem o tym, co się stało w tej klinice. Byłem wtedy w Marquette. Rzadko rozmawiałem z rodzicami.

– Uciekłem.

– Dlaczego?

– Chcieli mnie pokroić.

Czułem, jak na mnie patrzy tym swoim szklistym wzrokiem skrywającym to, co się działo w jego głowie.

– To jest dla mnie dość niesamowite.

– Dla mnie też.

Chwilę później się zaśmiał:

– Ha! Niesamowite! Cholernie niesamowite!

Pokiwałem głową w geście komicznej rozpaczy.

– Masz absolutną rację, bracie.

W konfrontacji z czymś niemożliwym jedynym wyjściem było potraktować to jak rzecz normalną. W naszych wzajemnych kontaktach nigdy nie sięgaliśmy po górnolotne i kwieciste sformułowania i teraz musieliśmy się porozumiewać, korzystając z przeciętnych zasobów naszych wspólnych doświadczeń i zachowań czy żartów. Ale to nam wystarczyło.

– W tym genie jest jedna dobra rzecz – powiedziałem.

– Co takiego?

– Nigdy nie wyłysieję.

– Dlaczego?

– Żeby wyłysieć, trzeba mieć DHT.

– Hm… – zasępił się Jonasz, macając się po głowie. – Ja chyba mam dość dużo DHT. Można by powiedzieć, że jestem hojnie obdarzony DHT.

Do Detroit dolecieliśmy parę minut po szóstej rano. Rozbite eldorado zostało odholowane na parking policyjny. Na parkingu przy lotnisku stał samochód naszej matki, florida special. Ten cytrynowy cadillac to było wszystko, co pozostało nam po Miltonie. Już wtedy zaczynał wyglądać jak relikt przeszłości. Fotel kierowcy zapadł się od ciężaru ciała Miltona. Na skórzanym obiciu widać było ślad jego pośladków. Tessie wypełniała te zagłębienia poduszkami, aby coś widzieć nad kierownicą. Jonasz rzucił poduszki na tylne siedzenie.

Nie włączając klimatyzacji i nie otwierając szyberdachu, ruszyliśmy w drogę tym samochodem stworzonym z myślą o zupełnie innych warunkach klimatycznych. Minęliśmy gigantyczną oponę Uniroyal i rzadki lasek w Inkster.

– O której jest pogrzeb? – zapytałem.

– O jedenastej.

Robiło się jasno. Słońce wstawało po tej stronie co zawsze, może za odległymi fabrykami albo za niewidoczną rzeką. Nasilające się światło wsączało się w ziemię jak jakiś wyciek lub powódź.

– Jedź przez centrum – powiedziałem do brata.

– To zajmie za dużo czasu.

– Mamy czas. Chcę je zobaczyć.

Jonasz posłuchał. Skierowaliśmy się drogą I-94 obok River Rouge i Olympia Stadium, a następnie łukiem w kierunku rzeki na autostradę Lodge'a i wjechaliśmy do miasta od północy.

Dorastanie w Detroit pozwala zapoznać się z panującym na świecie porządkiem rzeczy. Już bardzo wcześnie można zaznajomić się z entropią. Gdy wyjeżdżaliśmy z zagłębienia, którymi biegła droga, naszym oczom ukazały się zrujnowane domy, z których wiele było spalonych, a także olśniewające piękno niezabudowanych parcel, szarych i zamarzniętych. Niegdyś eleganckie bloki mieszkalne stały obok składowisk złomu, a tam gdzie kiedyś były zakłady kuśnierskie i kina, teraz znajdowały się banki krwi i ośrodki odwykowe oraz budynki organizacji społecznej Mother Waddles Perpetual Mission. Powrót z cieplejszych stron do Detroit zazwyczaj wpływał na mnie depresyjnie. Ale dziś cieszyłem się tym. Problemy nękające miasto łagodziły ból po śmierci ojca, powodując, że przyjmowałem to jak element obecnego stanu rzeczy. Przynajmniej miasto nie szydziło z mojego żalu, nie drażniło oczu swoim urokiem czy blaskiem.

Podobnie było w śródmieściu, z tą różnicą, że wyglądało na jeszcze bardziej puste. Nie można było zburzyć wieżowców, gdy wynieśli się ich użytkownicy, więc zamiast tego drzwi i okna zabito deskami i płytami, a wielkie skorupy centrów handlowych czekały na lepsze czasy. Na nabrzeżu budowano Centrum Renesansu, które miało zainaugurować odrodzenie, jakie nigdy nie nadeszło.

– Jedźmy przez dzielnicę grecką – poprosiłem. Mój brat znowu mi ustąpił. Wkrótce przejeżdżaliśmy przez kwartał z restauracjami i sklepami z pamiątkami. Pośród etnicznego kiczu nadal można było napotkać kilka autentycznych kawiarenek, chętnie odwiedzanych przez starych mężczyzn po siedemdziesiątce czy osiemdziesiątce. Niektórzy już teraz byli na nogach, popijali kawę, grali w tryktraka lub czytali greckie gazety. Po

śmierci tych staruszków kawiarenki podupadną i w końcu zostaną zamknięte. Powoli odbije się to również na sąsiednich restauracjach, z których znikną markizy z napisem „Laikon" i wypalą się oświetlające je wielkie żółte żarówki, a grecka piekarnia na rogu zostanie przejęta przez południowych Jemeńczyków z Dearborn. Ale to wszystko miało się dopiero wydarzyć. Jadąc ulicą Monroe, minęliśmy Greckie Ogrody, gdzie odbywało się *makaria* po Leftym.

– Czy organizujemy *makaria* dla taty? – zapytałem.

– Tak, będzie cała impreza.

– Gdzie? W Greckich Ogrodach?

Jonasz się roześmiał.

– Żartujesz? Nikt tam nie chciał przyjść.

– Mnie się tu podoba – powiedziałem. – Kocham Detroit.

– Tak? To witamy w domu.

Zawrócił na Jefferson i pojechaliśmy przez zniszczoną East Side. Sklep z perukami. Stary klub Vanity Dancing, obecnie do wynajęcia. Sklep z używanymi płytami, z ręcznie malowanym szyldem prezentującym ludzi tańczących pośród eksplozji nutek. Zamknięto tanie sklepy i cukiernie, domy handlowe Kresge, Woolworth, lodziarnię Sanders. Na dworze było zimno i niewielu przechodniów szło ulicami. Na jednym rogu widać było sylwetkę zblazowanego mężczyzny, odcinającą się na tle zimowego nieba. Skórzany płaszcz sięgał mu do kostek. Na jego pociągłej twarzy błyszczały okulary w stylu funk, a na dumnie wzniesionej głowie widniał, lub raczej żeglował jak hiszpański galeon, aksamitny, rdzawoczerwony kapelusz. Ta postać nie należała do mojego podmiejskiego świata, przez co była egzotyczna. Ale i tak czułem, że jest mi znajoma, przypominała o szczególnym potencjale twórczym mojego rodzinnego miasta. Ucieszył mnie jej widok. Nie mogłem od niej oczu oderwać.

Kiedy byłem mały, tacy stojący na rogu ulicy goście czasami opuszczali okulary, aby łypnąć okiem i przestraszyć białą dziewczynkę siedzącą na tylnym siedzeniu przejeżdżającego samochodu. Ale ten facet patrzył na mnie zupełnie inaczej. Nie zsunął swoich okularów przeciwsłonecznych, ale jego usta, rozdęte nozdrza i przechylona głowa rzucały mi wyzwanie, a nawet sygnalizowały nienawiść. W tym momencie uświadomiłem sobie coś wstrząsającego. Nie mogłem stać się mężczyzną, wprzód nie stając się Mężczyzną. Nawet jeśli tego nie chciałem.

Namówiłem Jonasza, aby jechał przez Indian Village, obok naszego starego domu. Chciałem na chwilę pogrążyć się w nostalgii, aby ukoić nerwy przed spotkaniem z matką. Na ulicach nadal było sporo drzew, o tej porze roku ogołoconych z liści, dzięki czemu przed nami rozciągał się widok aż do zamarzniętej rzeki. Myślałem o tym, jakie to cudowne, że na świecie było takie bogactwo życia. Tam, na ulicach, ludzie byli uwikłani w tysiące spraw, w kłopoty finansowe, problemy miłosne, trudności w szkole. Ludzie się zakochiwali, pobierali, szli na odwyk po narkotykach, uczyli się jeździć na łyżwach, zaczynali nosić dwuogniskowe okulary, wkuwali do egzaminów, mierzyli ciuchy, ścinali włosy i rodzili się. A w niektórych domach ludzie się starzeli, chorowali i umierali, pozostawiając innych w żalu. To odbywało się przez cały czas, niezauważalnie, a przecież tak naprawdę tylko to się liczyło. Tym, co było najważniejsze w życiu, co nadawało mu znaczenie, była śmierć. Patrząc pod tym kątem, moja niewielka cielesna metamorfoza była mało znaczącym wydarzeniem. Jedynie stręczyciel mógł się tym zainteresować.

Wkrótce dotarliśmy na Grosse Pointe. Nagie wiązy wyciągały ramiona z obu stron ulicy, dotykając się czubkami palców, a na klombach przed ciepłymi, pogrążonymi we śnie zimowym domami zalegała pokrywa śniegu. Poczułem, że całe moje ciało reaguje na widok domu, eksplodując wewnątrz iskrami szczęścia. To była taka psia żarliwość, pełna gorącej miłości i głucha na tragedię. Tu był mój dom, Middlesex. Tam, na górze, na wykafelkowaej ławeczce we wnęce okiennej potrafiłem całymi godzinami czytać, zajadając owoce morwy zrywane z rosnącego na zewnątrz drzewa.

Nikt nie usunął śniegu z podjazdu. Nikt nie miał czasu o tym pomyśleć. Jonasz nieco zbyt szybko wjechał na podjazd i aż podskoczyliśmy w fotelach, gdy samochód uderzył rurą wydechową o ziemię. Wysiedliśmy, mój brat otworzył bagażnik i zaczął nieść do domu moją walizkę. Ale w połowie drogi się zatrzymał.

– Zaraz, bracie – powiedział. – Przecież sam możesz to nieść.

Uśmiechał się szelmowsko. Widać było, że bawiła go ta nowa sytuacja. Moją metamorfozę odbierał jak łamigłówkę, jakie zamieszczano na ostatniej stronie czasopism science fiction.

– Bez przesady – odpowiedziałem. — Zawsze przecież możesz nosić mój bagaż, mnie to nie przeszkadza.

– Łap! – zawołał Jonasz i podniósł walizkę. Złapałem ją i aż się zatoczyłem pod jej ciężarem. W tym momencie otworzyły się drzwi do domu i w domowych pantoflach na mroźne powietrze wyszła moja matka.

Tessie Stephanides, która w innym okresie życia, gdy podróże kosmiczne były czymś zupełnie nowym, postanowiła wraz ze swoim mężem chwycić się przebiegłego sposobu i stworzyć dziewczynkę, teraz widziała przed sobą, na zaśnieżonym podjeździe, owoc tego planu. Już wcale nie córkę, ale, przynajmniej z wyglądu, syna. Była zmęczona, przybita i nie miała już sił zmagać się z tą nową sytuacją. Nie potrafiła przyjąć, że ja teraz żyłem jako mężczyzna. Jej zdaniem to nie powinno zależeć ode mnie. To przecież ona mnie urodziła, wykarmiła i wychowywała. Znała mnie, zanim ja sam siebie poznałem, a teraz nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Życie rozpoczęło się w pewien sposób, a potem nagle zrobiło zwrot i okazało się, że jest na opak. Tessie nie wiedziała, jak coś takiego mogło się wydarzyć. Chociaż w mojej twarzy nadal rozpoznawała Calliope, to jednak każda cecha wyglądała na zmienioną, mocniejszą, na mojej brodzie i nad górną wargą pojawił się zarost. W oczach Tessie nabrałem kryminalnego wyglądu. Nie mogła pozbyć się myśli, że mój przyjazd był częścią jakiegoś wyrównania rachunków, że Milton został ukarany, a jej kara dopiero się zaczynała. Dlatego też z zaczerwienionymi oczami stała nieruchomo w drzwiach.

– Cześć, mamo – odezwałem się. – Wróciłem do domu.

Podszedłem, aby się z nią przywitać. Postawiłem walizkę na ziemi i gdy ponownie spojrzałem w górę, zobaczyłem, że twarz Tessie się zmieniła. Od miesięcy przygotowywała się na tę chwilę. Jej cienkie brwi podniosły się, a kąciki ust poszły w górę, marszcząc zapadnięte policzki. Wyglądała jak matka obserwująca ciężko oparzone dziecko, z którego lekarz zdejmuje bandaże. Twarz optymistyczna, ale fałszywie, jaką często można zaobserwować przy łóżku chorego. Niemniej jednak wyrażała to, co chciałem wiedzieć. Tessie była gotowa spróbować zaakceptować zaistniałą sytuację. Była załamana tym, co mi się stało, ale dla mojego dobra chciała to wytrzymać.

Objęliśmy się. Chociaż byłem tak wysoki, złożyłem głowę na ramieniu matki, a ona głaskała mnie po włosach, podczas gdy ja szlochałem.

– Dlaczego? – łkała cichutko, potrząsając głową. – Dlaczego?

Sądziłem, że mówi o Miltonie, ale spytała:

– Dlaczego uciekłeś z domu, kochanie?
– Musiałem.
– Czy nie uważasz, że lepiej było zostać takim jak byłeś?
Podniosłem głowę i spojrzałem matce w oczy. I powiedziałem jej:
– Takim właśnie byłem.

Z pewnością interesuje was, jak nam się udało przystosować do nowej sytuacji? Co się stało z naszymi wspomnieniami? Czy Calliope musiała umrzeć, aby ustąpić miejsca Calowi? Na te wszystkie pytania mogę tylko odpowiedzieć truizmem – do wszystkiego można się przyzwyczaić. Po moim powrocie z San Francisco i rozpoczęciu życia jako mężczyzna, moja rodzina stwierdziła, że wbrew powszechnej opinii płeć nie była aż tak istotna. Moja przemiana z dziewczynki w chłopca okazała się mniej dramatyczna niż odległość, jaką wszyscy pokonują na swojej drodze z dzieciństwa do dorosłości. Pod wieloma względami pozostałem tą samą osobą, którą zawsze byłem. Nawet obecnie, choć żyję jako mężczyzna, w zasadniczych kwestiach pozostaję córką Tessie. To ja pamiętam, aby co niedzielę do niej zadzwonić. To mnie opowiada szczegółowo o rosnącej liście swoich dolegliwości. Jak każda dobra córka, to ja będę się nią opiekować na starość. Nadal rozmawiamy o tym, co dolega mężczyznom, wciąż razem chodzimy do fryzjera, gdy ją odwiedzam. Pod wpływem zmieniających się czasów w „Złotym Runie" ścinają już nie tylko kobiece, ale również męskie włosy. (I w końcu pozwoliłem, aby Sophie ścięła mi włosy na krótko, tak jak zawsze chciała).

Ale to wszystko przyszło później. Na razie wszyscy się spieszyliśmy. Była już prawie dziesiąta. Za trzydzieści pięć minut miała przyjechać limuzyna z zakładu pogrzebowego.

– Lepiej idź się odświeżyć – powiedziała Tessie. Pogrzeb spełniał swoje zadanie – nie zostawił nam czasu na zastanawianie się nad naszymi uczuciami. Tessie wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do domu, który również cały był pogrążony w żałobie. Lustro w gabinecie było zakryte czarnym materiałem. Na rozsuwanych drzwiach wisiały czarne wstęgi. Wszędzie czuło się klimat imigrantów. Ponadto dom sprawiał wrażenie nienaturalnie cichego i ciemnego. Jak zawsze przez ogromne okna do domu wkraczał świat zewnętrzny, przez co w salonie panowała zima, wokół nas wszędzie leżał śnieg.

– Chyba możesz pójść w tym garniturze – powiedział do mnie Jonasz. – Wygląda zupełnie stosownie.

– Ty pewnie nie masz garnituru.

– Nie. Nie chodziłem do snobistycznej szkoły prywatnej. A tak w ogóle, skąd ty to masz? Trochę cuchnie.

– Ale przynajmniej jest to garnitur.

Podczas gdy ja przekomarzałem się z bratem, Tessie bacznie się nam przyglądała. Uczyła się od mojego brata, że to, co mi się przydarzyło, można traktować lekko. Nie wiedziała, czy sama będzie w stanie tak się zachowywać, ale patrzyła, jak radziło sobie młodsze pokolenie.

Nagle rozległ się straszliwy hałas, skrzek przypominający krzyk orła. Zatrzeszczał interkom na ścianie salonu. Słychać było skrzeczący głos:

– Hej tam! Tessie, kochanie!

Oczywiście to nie Tessie była odpowiedzialna za te wszystkie imigracyjne akcenty. Przez interkom dochodził głos Desdemony.

Cierpliwy czytelniku, być może zastanawiałeś się, co się działo z Desdemoną. Być może zauważyłeś, że wkrótce po tym, jak na zawsze położyła się do łóżka, Desdemona zaczęła odchodzić w zapomnienie. Ale zrobiłem to celowo. Pozwoliłem Desdemonie wymknąć się z mojej opowieści, ponieważ, szczerze mówiąc, w tych dramatycznych latach mojej przemiany przez większość czasu ona również wymykała się mojej uwadze. Przez pięć ostatnich lat pozostawała przykuta do łóżka w domku gościnnym. W okresie mojej nauki w Baker & Inglis, gdy zakochiwałem się w Przedmiocie, miałem bardzo mglistą świadomość istnienia mojej babki. Widziałem, jak Tessie przygotowuje jej posiłki i nosi tace do domku gościnnego. Co wieczór widziałem mojego ojca sumiennie składającego wizyty w tej wiecznej izbie chorych, przynoszącego termofory i dostawy leków. W tamtych latach Milton rozmawiał ze swoją matką głównie po grecku. W czasie wojny Desdemonie nie udało się nauczyć syna pisać po grecku. Na stare lata z przerażeniem odkryła, że zapominał również, jak się mówi w tym języku. Od czasu do czasu przynosiłem Desdemonie tacę z jedzeniem i przez kilka minut ponownie zapoznawałem się z jej życiem w tej pozaczasowej samotni wypełnionej reliktami przeszłości. Na stoliczku nocnym obok jej łóżka, jakby na pocieszenie, nadal stała fotografia w ramce, przedstawiająca jej miejsce na cmentarzu.

Tessie podeszła do interkomu.

– Tak, *yia yia* – powiedziała. – Potrzebujesz czegoś?

– Stopy strasznie mnie dziś bolą. Czy masz sól angielską?

– Tak. Zaraz ci przyniosę.

– Tessie, dlaczego Bóg nie pozwala umrzeć *yia yia*? Wszyscy nie żyją! Wszyscy, ale nie *yia yia*! *Yia yia* jest już za stara, żeby żyć. A co robi Bóg? Nic.

– Skończyłaś śniadanie?

– Tak, dziękuję ci, kochanie. Ale suszone śliwki dzisiaj nie były dobre.

– To te same śliwki, co zawsze.

– Coś im się musiało stać. Kup nowe, Tessie. Kup marki Sunkist.

– Dobrze.

– Dobra, słodka *mou*. Dziękuję, kochanie.

Moja matka wyłączyła interkom i odwróciła się z powrotem do mnie.

– *Yia yia* nie czuje się już zbyt dobrze. Zaczyna tracić zmysły. Od czasu twojego wyjazdu jej stan bardzo się pogorszył. Powiedzieliśmy jej o Milcie – Tessie mówiła drżącym głosem, na pograniczu płaczu. – O tym, co się stało. *Yia yia* bez przerwy płakała. Już myślałam, że od razu umrze. A kilka godzin później zapytała, gdzie jest Milt. O wszystkim zapomniała. Może tak i lepiej.

– Czy wybiera się na pogrzeb?

– Ledwo chodzi. Pani Papanikolas przyjdzie posiedzieć przy niej. *Yia yia* przez większość czasu nie zdaje sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje – Tessie uśmiechnęła się smutno, kręcąc głową.

– Kto by pomyślał, że przeżyje Milta? – już znowu miała się rozpłakać, jednak powstrzymała łzy.

– Czy mogę się z nią zobaczyć?

– Chcesz?

– Tak.

Tessie wyglądała na lekko przestraszoną.

– A co jej powiesz?

– A co mam powiedzieć?

Moja matka przez chwilę milczała, zastanawiając się. Następnie tylko wzruszyła ramionami.

– To i tak nie ma znaczenia. Cokolwiek byś powiedział, ona i tak nie będzie tego pamiętać. Zanieś jej to. Chce moczyć stopy.

Trzymając w rękach sól angielską i kawałek ciasta zawiniętego w celofan, wyszedłem z domu i poszedłem wzdłuż pergoli przez podwórze i obok łaźni do znajdującego się z tyłu domku gościnnego. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyłem je i wszedłem do środka. Jedyne światło w pomieszczeniu docierało z bardzo głośno włączonego telewizora. Wewnątrz powitał mnie wiszący naprzeciwko wejścia portret patriarchy Atenagorasa, który Desdemona uratowała z wyprzedaży wiele lat temu. Zielona papuga, ostatni ocalały przedstawiciel dawnej ptaszarni moich dziadków, chodziła tam i z powrotem po żerdce z drzewa balsamowego w stojącej przy oknie klatce. Ujrzałem również inne znajome przedmioty i meble. Płyty Lefty'ego z muzyką rebetiko, mosiężny stoliczek i oczywiście skrzyneczkę na jedwabniki stojącą na środku okrągłego, rzeźbionego blatu. Skrzyneczka była do tego stopnia wypchana pamiątkami, że nie dało się jej zamknąć. W środku znajdowały się fotografie, stare listy, cenne guziki, sznur koralików. Wiedziałem, że gdzieś pod spodem leżały dwa długie warkocze przewiązane rozsypującymi się czarnymi wstążkami i weselna korona wykonana z liny okrętowej. Chciałem spojrzeć na te rzeczy, ale gdy wkroczyłem głębiej do pokoju, moją uwagę zwróciło wielkie widowisko na łóżku.

Desdemona siedziała rozparta jak królowa na beżowej, sztruksowej poduszce, nazywanej przez wszystkich mężem. Ramiona poduszki oplatały ją. Z umieszczonej na zewnątrz jednego ramienia elastycznej kieszeni wystawała gruszka do nosa i dwie lub trzy buteleczki z tabletkami. Desdemona była ubrana w wyblakłą białą koszulę nocną, pościel miała podciągniętą do pasa, a na kolanach trzymała jeden ze swoich wachlarzy z tureckimi okropnościami. Nie było w tym nic dziwnego. Zdumiało mnie natomiast to, co Desdemona zrobiła ze swoimi włosami. Gdy usłyszała o śmierci Miltona, zdjęła siatkę z włosów i zaczęła je targać, a one zwaliły się kaskadą w dół. Włosy miała zupełnie siwe, ale nadal bardzo ładne i w świetle telewizora wyglądały na blond. Opadły na ramiona i rozsypały się po jej ciele jak włosy Wenus Botticellego. Jednak twarz okolona tą kaskadą nie była twarzą młodej, pięknej kobiety, a twarzą starej wdowy z kwadratową głową i wyschniętymi ustami. W nieruchomym powietrzu tego pomieszczenia, wypełnionym zapachem lekarstw i maści do skóry, czułem ciężar czasu, który spędziła w łóżku w oczekiwaniu i w nadziei na śmierć. Mam pewne wątpliwości, czy mając taką babkę jak moja, można

stać się prawdziwym Amerykaninem, który wierzy, że w życiu najważniejsze jest, aby być szczęśliwym. Lekcja cierpienia i odrzucenia życia przez Desdemonę wskazuje, że starość nie stanowi kontynuacji wielorakich przyjemności młodego wieku, jest natomiast długotrwałym procesem, podczas którego życie okradane jest z najdrobniejszych nawet, najprostszych radości. Wszyscy walczymy z rozpaczą, ale w końcu to ona wygrywa. Musi. To dzięki niej możemy się pożegnać.

Gdy tak stałem i chłonąłem obraz mojej babki, ona nagle odwróciła głowę i zauważyła moją obecność. Jej dłoń powędrowała do piersi. Z wyrazem przerażenia na twarzy opadła do tyłu na poduszki i wykrzyknęła:

– Lefty!

Teraz to ja byłem zszokowany.

– Nie, *yia yia*. To nie *papou*. To ja, Cal.

– Kto?

– Cal – przerwałem. – Twój wnuk.

To oczywiście było nie fair. Desdemona nie miała już dobrej pamięci. A ja jej wcale nie pomagałem.

– Cal?

– Jak byłem mały, wołali na mnie Calliope.

– Wyglądasz jak mój Lefty – powiedziała.

– Tak?

– Myślałam, że jesteś moim mężem i że przyszedłeś zabrać mnie do nieba – po raz pierwszy się roześmiała.

– Jestem dzieckiem Milta i Tessie.

Uśmiech zniknął z twarzy Desdemony równie szybko, jak się pojawił, i popatrzyła na mnie smutnym i przepraszającym wzrokiem.

– Przykro mi. Nie pamiętam cię, kochanie.

– Przyniosłem ci to – wyciągnąłem rękę z solą angielską i ciastem.

– Dlaczego Tessie nie przyszła?

– Szykuje się.

– Na co?

– Na pogrzeb.

Desdemona wydała krótki okrzyk i ponownie chwyciła się za pierś.

– A kto umarł?

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego odwróciłem się i ściszyłem telewizor. Następnie, wskazując na klatkę dla ptaków, powiedziałem:

– Pamiętam, że kiedyś miałaś ze dwadzieścia ptaków.

Spojrzała na klatkę, ale nic nie powiedziała.

– Kiedyś mieszkałaś na poddaszu. Na Seminole Avenue. Pamiętasz? To wtedy miałaś te ptaki. Mówiłaś, że przypominają ci Bursę.

Na dźwięk tej nazwy Desdemona znowu się uśmiechnęła.

– W Bursie mieliśmy przeróżne ptaki. Zielone, żółte, czerwone. Przeróżne. Małe ptaszki, ale piękne. Jakby zrobione ze szkła.

– Chcę tam pojechać. Pamiętasz ten kościół? Chcę tam pojechać i go naprawić.

– Milton go naprawi. Ciągle mu o tym mówię.

– Jeśli on tego nie zrobi, to ja się tym zajmę.

Desdemona popatrzyła na mnie przez chwilę, jakby oceniając moje możliwości spełnienia tej obietnicy. Następnie powiedziała:

– Nie pamiętam cię, kochanie, ale czy możesz przygotować dla *yia yia* sól angielską?

Wziąłem miednicę i nalałem do niej ciepłej wody z kranu nad wanną. Wsypałem do środka sól do moczenia nóg i przyniosłem ją z powrotem do sypialni.

– Postaw to obok krzesła, kochanie.

Zrobiłem, jak powiedziała.

– Teraz pomóż *yia yia* wyjść z łóżka.

Podszedłem i pochyliłem się. Wysunąłem po kolei jej nogi spod przykrycia, równocześnie odwracając ją na bok. Założyłem jej rękę na moje ramię i, ciągnąc ją, postawiłem na nogi, aby mogła przejść krótki dystans dzielący ją od krzesła.

– Już nic nie mogę robić – zawodziła po drodze. – Już jestem za stara, kochanie.

– Dobrze sobie radzisz.

– Nie, ja już niczego nie pamiętam. Ciągle mnie coś boli. Serce mi już nawala.

Dotarliśmy do krzesła. Obszedłem ją dookoła, aby pomóc jej usiąść. Następnie powróciłem do przodu, podniosłem jej obrzmiałe stopy naznaczone niebieskimi żyłkami i włożyłem je do wody z mydlinami. Desdemona mruczała z zadowolenia. Zamknęła oczy.

Przez kilka następnych minut nie odzywała się, rozkoszując się ciepłą wodą. Kąpiel przywróciła kolor jej kostkom, a później łydkom. Ta zdrowa rumianość znikała pod rąbkiem jej koszuli nocnej, ale już po chwili wyglądała przez kołnierzyk. Rumieniec rozlał się po jej twarzy, a gdy otworzyła oczy, widać w nich było, nieobecne wcześniej, przytomne spojrzenie. Patrzyła prosto na mnie. I wtedy wykrzyknęła:

– Calliope!

Podniosła dłoń do ust.

– *Mana*! Co się z tobą stało?

– Dorosłem! – powiedziałem tylko. Nie miałem zamiaru jej o tym mówić, ale i tak już się wydało. Pomyślałem, że to nie sprawi żadnej różnicy. Ona i tak zapomni o tej rozmowie.

Nadal przyglądała mi się oczami powiększonymi przez szkła w okularach. Gdyby była w pełni władz umysłowych, prawdopodobnie nie zrozumiałaby, co ja mówię. Ale w swojej starczej demencji jakoś przyswoiła tę informację. Żyła obecnie w świecie wspomnień i marzeń, a w tym stanie ponownie powróciły do niej stare opowieści z wioski.

– Teraz jesteś chłopcem, Calliope?

– Mniej więcej.

Zrozumiała.

– Moja matka mówiła mi coś zabawnego – powiedziała. – Dawno temu w naszej wiosce rodziły się dzieci, które wyglądały jak dziewczynki. A potem – jak miały piętnaście, szesnaście lat – nagle zaczynały wyglądać jak chłopcy! Tak mi mówiła matka, ale ja jej nie wierzyłam.

– To kwestia genetyczna. Doktor, u którego byłem, mówił, że to się zdarza w małych wioskach. Tam, gdzie małżeństwa zakłada się w rodzinie.

– Doktor Phil też o tym mówił.

– Naprawdę?

– To wszystko moja wina – ponuro pokiwała głową.

– Co ty mówisz? Jaka twoja wina?

W zasadzie nie płakała. Miała zupełnie wysuszone kanaliki łzowe i jej policzki nawet się nie zawilgociły. Ale widać było, że jej twarz drży i że trzęsą się jej ramiona.

– Księża mówią, że nawet kuzyni nie mogą się z sobą pobierać – powiedziała. – Krewni piątego stopnia już mogą, ale po uzyskaniu zgody

od arcybiskupa – patrzyła gdzieś na bok, starając się przypomnieć sobie wszystko dokładnie.

– Nie wolno nawet wyjść za syna swojego ojca chrzestnego. Myślałam, że to ma tylko jakiś związek z Kościołem. Nie wiedziałam, że to dlatego, że coś może stać się dzieciom. Byłam po prostu głupią dziewczyną ze wsi.

Przez chwilę ciągnęła w tym tonie, czyniąc sobie wymówki za swoje postępowanie. Na moment zapomniała, że jestem obok niej czy też, że mówi na głos.

– A potem doktor Phil mówił mi straszne rzeczy. Tak się bałam, że zrobiłam sobie operację! Żeby już nie mieć dzieci. A potem Milton miał dzieci i znowu się bałam. Ale nic się nie stało. I już myślałam, że po tak długim czasie wszystko jest w porządku.

– O czym ty mówisz, *yia yia*? *Papou* był twoim krewnym?

– Krewnym szóstego stopnia.

– Ale to nie przeszkadza.

– Nie tylko krewnym szóstego stopnia. Również bratem.

Aż serce mi podskoczyło.

– *Papou* był twoim bratem?

– Tak, kochanie – odpowiedziała Desdemona z niezmiernym znużeniem. – Dawno temu. W innym kraju.

W tym momencie odezwał się interkom:

– Callie? – Tessie odchrząknęła i poprawiła się: – Cal?

– Tak?

– Lepiej się przygotuj. Samochód będzie za dziesięć minut.

– Nie jadę – zawahałem się. – Zostanę tu, z *yia yia*.

– Kochanie, powinieneś pójść – powiedziała Tessie.

Podszedłem do interkomu, przyłożyłem usta do mikrofonu i grubym głosem powiedziałem:

– Nie idę do tego kościoła.

– Dlaczego?

– Czy widziałaś, ile kasują za te cholerne świece?

Tessie się roześmiała. Potrzebowała tego. Ciągnąłem więc, jeszcze bardziej obniżając głos, aby brzmiał podobnie do głosu mojego ojca.

– Dwa dolce za świeczkę? Toż to granda! Może dałoby się przekonać kogoś ze starego kraju, żeby na coś takiego wybulił tyle kasy, ale nie tu, w Stanach Zjednoczonych!

Udawanie Miltona było zaraźliwe. Teraz z głośnika dobiegł pogrubiony głos Tessie:

– Niesamowite zdzierstwo! – powiedziała i znowu wybuchnęła śmiechem. Zrozumieliśmy wtedy, że właśnie tak będziemy to robić. W ten sposób mieliśmy zachować Miltona przy życiu.

– Jesteś pewien, że nie chcesz iść? – zapytała.

– To będzie zbyt skomplikowane, mamo. Nie chcę wszystkim wszystkiego wyjaśniać. Jeszcze nie teraz. To by tylko niepotrzebnie zakłóciło uroczystość. Lepiej będzie, jeśli nie pójdę.

W głębi serca Tessie zgadzała się ze mną i wkrótce dała się ubłagać.

– Powiem pani Papanikolas, że nie musi przychodzić do *yia yia*.

Desdemona nadal patrzyła na mnie, ale teraz już rozmarzonym wzrokiem. Uśmiechała się. A po chwili powiedziała:

– Moja łyżeczka nie myliła się.

– Chyba tak.

– Przepraszam, kochanie. Przepraszam, że to cię spotkało.

– W porządku.

– Bardzo mi przykro, kochanie.

– Podoba mi się moje życie – odpowiedziałem. – Na pewno będzie mi dobrze w życiu.

Nadal wyglądała na smutną, więc wziąłem ją za rękę.

– Nie martw się, *yia yia*. Nikomu nie powiem.

– A komu można powiedzieć? Wszyscy już nie żyją.

– Ty nie. Poczekam, aż odejdziesz.

– Dobrze. Gdy umrę, możesz wszystkim powiedzieć.

– Tak zrobię.

– Brawo, kochany *mou*. Brawo.

W kościele Wniebowzięcia, z pewnością wbrew temu, czego życzyłby sobie sam Milton Stephanides, odbyło się pełne nabożeństwo żałobne w obrządku prawosławnym. Nabożeństwo prowadził ojciec Greg. Ojciec Michael Antoniou został uznany winnym próby dokonania zaboru mienia o dużej wartości i odsiedział dwa lata w więzieniu. Ciotka Zo rozwiodła się z nim i wraz z Desdemoną przeniosła się na Florydę. A gdzie dokładnie? Do New Smyrna Beach – bo gdzieżby indziej? Kilka lat później, gdy moja matka była zmuszona sprzedać dom, ona również przeniosła się na

Florydę i mieszkały tam we trzy, jak niegdyś w domu przy Hurlbut Street, aż do śmierci Desdemony w roku 1980. Tessie i Zoë do dziś mieszkają na Florydzie, dwie kobiety same radzące sobie w życiu.

Podczas pogrzebu trumna z Miltonem była zamknięta. Tessie dała Georgiemu Pappasowi, przedsiębiorcy pogrzebowemu, koronę weselną swojego męża, aby włożył ją do trumny i pogrzebał razem z nim. Gdy nadszedł czas składania zmarłemu ostatniego pocałunku, żałobnicy przeszli rzędem obok trumny Miltona i całowali wypolerowane wieko. Na pogrzeb przyszło mniej ludzi, niż się spodziewaliśmy. Nie pojawił się żaden z właścicieli punktów sieci Hercules, żaden z mężczyzn, z którymi Milton przez tyle lat utrzymywał kontakty towarzyskie. Zdaliśmy sobie wtedy sprawę z tego, że tak naprawdę Milton, mimo swojej serdeczności, nigdy nie miał przyjaciół, miał tylko partnerów w interesach. Przybyli natomiast członkowie rodziny. Peter Tatakis, kręgarz, przyjechał swoim ciemnobordowym buickiem, a Bart Skiotis pożegnał zmarłego w kościele, którego fundamenty położył, stosując podrzędne materiały. Przyszli również Gus i Helen Panos, a ponieważ to był pogrzeb, głos Gusa po tracheotomii jeszcze bardziej przypominał głos śmierci. Tym razem ciotka Zo i nasi kuzyni nie siedzieli z przodu. Ta ławka była zarezerwowana dla mojej matki i brata.

Tak więc to ja, kultywując dawno już zapomniany grecki zwyczaj, zostałem na Middlesex, pilnując drzwi, aby duch Miltona nie powrócił do domu. Tę funkcję zawsze pełnił mężczyzna, a ja już spełniałem ten warunek. W czarnym garniturze i w brudnych welurach stałem w drzwiach otwartych na zimowy wiatr. Dwie wierzby płaczące, nagie, ale nadal potężne, wyrzucały w górę swoje powykręcane ramiona, jak kobiety pogrążone w żalu. Na białym śniegu żółciła się pastelowym kolorem kostka naszego modernistycznego domu. Middlesex miał już prawie siedemdziesiąt lat. I, chociaż zrujnowaliśmy go naszym kolonialnym umeblowaniem, nadal był latarnią oświetlającą całe otoczenie, jak to było w założeniu, miejscem z niewielką liczbą ścian wewnętrznych, pozbawionym oficjalności mieszczańskiego życia, miejscem zaprojektowanym dla nowego typu istot ludzkich, które będą zamieszkiwać nowy świat. Oczywiście nie mogłem pozbyć się uczucia, że taką osobą byłem ja sam, ja i wszyscy do mnie podobni.

Po nabożeństwie żałobnym wszyscy wsiedli do samochodów, aby udać się na cmentarz. Z anten powiewały fioletowe chorągiewki, a kondukt pojazdów jechał wolno ulicami starego East Side, gdzie mój ojciec dorastał, gdzie kiedyś grał mojej matce serenady z okna swojej sypialni. Orszak przejechał Mack Avenue i gdy mijał Hurlbut Street, Tessie spojrzała przez szybę limuzyny, chcąc zobaczyć stary dom. Ale nie mogła go odnaleźć. Wszystko zarosło krzewami, podwórza były zaśmiecone, a walące się domy wyglądały podobnie. Chwilę później karawan i limuzyny napotkały rząd motocykli i moja matka zauważyła, że wszyscy motocykliści mieli na głowach fezy. Byli to członkowie Zakonu Szlachty Kaplicy Mistycznej, którzy przyjechali do miasta na swój zjazd. Z szacunkiem zjechali na bok i przepuścili kondukt żałobny.

Tymczasem na Middlesex ja wciąż pozostawałem w drzwiach frontowych. Poważnie potraktowałem swój obowiązek i nie ruszyłem się ani na krok, mimo lodowatego wiatru. Milton, apostata od dziecka, utwierdziłby się w swoim sceptycyzmie, gdyż jego duch nie powrócił tego dnia i nie próbował wejść do domu. Morwa stała ogołocona z liści. Wiatr wiał przez zmrożony śnieg wprost w moją bizantyjską twarz, będącą twarzą mojego dziadka i amerykańskiej dziewczynki, którą kiedyś byłem. Stałem w drzwiach przez godzinę, a może dwie. Już po chwili straciłem poczucie czasu, szczęśliwy, że jestem w domu, opłakując mojego ojca i myśląc o tym, co mnie czeka w przyszłości.